

Kronika miasta Łodzi

kwartalnik • 2(46)/2009

Bezpowrotna Łódź



**65. Rocznicą Likwidacji
Litzmannstadt Ghetto**

ZYDŃM ŁÓDZKIM

WYKORZYSTANYCH PRZEZ

BARBARZYŃCÓW

NIEHIECKO-HITLEROWSKICH

W LATACH 1939-1945

W GIETTACH I OBOZACH

WIECZNA PAMIĘĆ!

ZYDZI H. ŁÓDZI

יזכור

את שמות קרובי עזרת לודז

שנפלו זכה רגו

על הכיכרם הרומנים שיש

השם נשכחם בלילות

יה זכרם כבוד!

די

פארש'לעקעט לארשער יידן

אין ריגסטאטן לאמיר ווייך די

רעטינג אלס א שיידידישע

ארן

1945

געדענק

In Memory Of
HENRY CARR, Born CHAIM HERSHMAN,
20th April 1926, Died London 22nd April 1995,
And in Memory of our Grandparents and all the
other HERSHMAN'S who died in the Lodz Ghetto
or elsewhere during the Holocaust.
Dedicated by CHAIM'S six Sons, their wives, 18 Grandchildren
and 16 Great Grandchildren

**DLA UCZCZENIA PAMIĘCI
ZIUTY I REGINY GUTMAN
SPALONYCH ŻYWCEM W OBOZIE SCHIPPENBEIL
- SEMPOPOL NA MAZURACH W 1945 R.
ORAZ ICH RODZICÓW I SIOSTRY POLI
ZMARŁYCH ŚMIERCIĄ GŁODOWĄ
W „GETTCIE” ŁÓDZKIM
NIE BYŁO ZBRODNI PRZED KTÓRĄ
HITLEROWCY BY SIĘ COFNELI**

Matka

Jest na łódzkim cmentarzu,
Na cmentarzu żydowskim,
Grób polski mojej matki,
Mojej matki żydowskiej.

Grób mojej Matki Polki,
Mojej Matki Żydówki,
Znad Wisły ją przywiozłem
Na brzeg fabrycznej Łódki.
(...)

Zastrzelił ją faszysta
Kiedy myślała o mnie
Zastrzelił ją faszysta
Kiedy tęskniła do mnie
(...)

Przestrzelił świat matczyny:
Dwie pieszczotliwe zgłoski,
Trupa z okna wyrzucił
Na święty bruk otwocki.

Zapamiętaj, córeczko!
Przypomnij, późny wnuku!
Wypełniło się słowo:
„Idealn sięgnął bruku”
(...)

Julian Tuwim

Dla uczczenia pamięci członków naszych rodzin **AND HIS SURVIVING
OTHER
LIPKA, USA**
Frania Solarz, Rywka Solarz, Lejb Solarz
Zosia Focher, Sabina Focher oraz Hillel Focher

Lajzer-Ela Licht, Mariem Licht,
Bajla Licht oraz Gitla Licht

Zamordowanych w okresie holocaustu (1940-1944)
w Litzmannstadt Getto w Łodzi, w Oświęcimiu
i w innych hitlerowskich obozach koncentracyjnych
poświęcamy niniejszą tablicę.

Ewa, Artur, Włodek oraz Ryszard Solarz

לזכר

אהרון דינאל הכהן מידוויצקי. שנפטר בניסו לודז' ב- 22.6.1942
רעינתו שיינדיל לאה. שנפטרה בברלין ב-1930
ולזכר בניהם. כלותיהם ונכדם-שנספו בשואה

**משה, הלה ויעקב
אביגדור וינקה**

מצאצאיהם האוהבים בישראל ובצרפת

לזכרו של א
די **מנדל בן משה לייב טוגנדרייך** ז"ל
נפטר בגטו לודג'
ט"ו אדר תש"ב - 4.3.1942
מנציחה:
הבת **רחל** ששרדה יחידה מכל המש

LIPKA SZMUEL
BOREN 31.01.1928 URODZIŁ
(DIED) 06.03.1944 UMARŁ
W ŁÓDZI GETTO
(Section) CZ IX
ULICA 6
GROB 9

הלפניה
שטיין מלכה
7.5.1944
איטא
ה בחמנו 1942
שנספתה בשטוטגרטן 1945
RODZINA ZYLBE

84 לאדזשער יידישע
יען פון לאגער שטוטטהאף
דערמארדעטע דורך די
דיטלערדיסטישע רוצחים
אין יאר 1945 אין דער
געגנט פון וועיהערלאוויץ
כבוד
זייער הייליקן אנדענק

Kronika miasta Łodzi

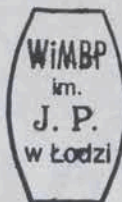
kwartalnik • 2(46)/2009



Łódź 2009

15,00

Prac. Reg.



ci 118768/09

Gustaw Romanowski – redaktor naczelny
Marek Strąkowski – sekretarz redakcji

Współpraca – Małgorzata Golicka-Jabłońska, Barbara Gortat,
Mateusz Sidor

Projekt typografii i okładki – Andrzej Chętko
Skład – Jerzy Ledzion

Druk: 2K s.c.
93-134 Łódź, ul. Płocka 35/43

Wydawca: Urząd Miasta Łodzi
Biuro Analiz Medialnych i Wydawnictw

Redakcja:
Kronika Miasta Łodzi, ul. Piotrkowska 113, 90-004 Łódź
tel. (42) 638-44-39
e-mail: kronika@uml.lodz.pl

ISSN 1231-5354

iw/dk/267/2009

Spis treści

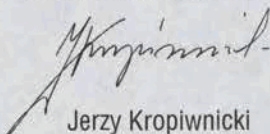
<i>Jerzy Kropiwnicki, Obowiązek świadka</i>	5
pierwsze kolumny	7
<i>Jerzy Kropiwnicki, Łódź pamięta</i>	9
<i>Gustaw Romanowski, Bezpowrotna Łódź</i>	20
<i>Andrzej Kempa, Zamach na polską inteligencję</i>	31
<i>Joanna Mikosz, Piotr Fąka, Zagłada elity</i>	39
<i>Wojciech Żródlak, Łódzki Umschlagplatz</i>	44
<i>Joanna Mikosz, Piotr Fąka, Pozory normalności – prasa i ogłoszenia</i>	49
<i>Wojciech Żródlak, Tramwaj w getcie</i>	59
<i>Joanna Mikosz, Piotr Fąka, Milczące świadectwo</i>	71
nauka	79
<i>Kaja Kaźmierska, Powrót do miejsca urodzenia</i>	81
<i>Wojciech Żródlak, Kurcząca się granice</i>	85
kultura	93
<i>Anna Walaszczyk, Tajemniczy świat chasydów</i>	95
<i>Mateusz Sidor, Język jidysz ze sceny</i>	108
<i>Marcin Kieruzel, Festiwal edukacyjny</i>	116
<i>Joanna Wygnańska, Artysta odkrytego sentymentu</i>	123
<i>Marek Strąkowski, W odbiciu prawdy</i>	128
historia	137
<i>Mateusz Sidor, Początki okupacji w Łodzi</i>	139
<i>Aleksander Klugman, Między Łodzią a Wzgórzem Wiosny</i>	149
<i>Piotr Kulesza, Patriotyczna filantropia</i>	160
<i>Przemysław Waingertner, Widzewska dynastia</i>	167
<i>Aleksander Klugman, Miasto rodzinne</i>	179
<i>Kaja Kaźmierska, Odbudowana tożsamość</i>	186
z cyklu: czarne dziury, białe plamy	193
<i>Mateusz Sidor, Niezwykłe odkrycie</i>	195
<i>Małgorzata Sas-Witusik, Zerwana pamięć</i>	203

	Łodzianie	213
<i>Paweł Spodenkiewicz</i> , Zniknięcie „Saturatora”		215
<i>Danuta K. Gruszczyńska</i> , Wybitny botanik		220
<i>Michał Seweryn Erlicki</i> , Byłem w łódzkim getcie		227
<i>Marcin Kieruzel</i> , Amerykańska biografia trudnego łodzianina		237
	osiedla, domy, ulice	243
<i>Dariusz Kędziński</i> , Ulica z charakterem		245
	recenzje	257
<i>Wojciech Źródłak</i> , Za drutami pamięci		259
<i>M. Magdalena Starzycka</i> , Sześćdziesiąt lat później		264
<i>Gustaw Romanowski</i> , Proces bez wyroku		269
	z łódzkiego raptularza	273

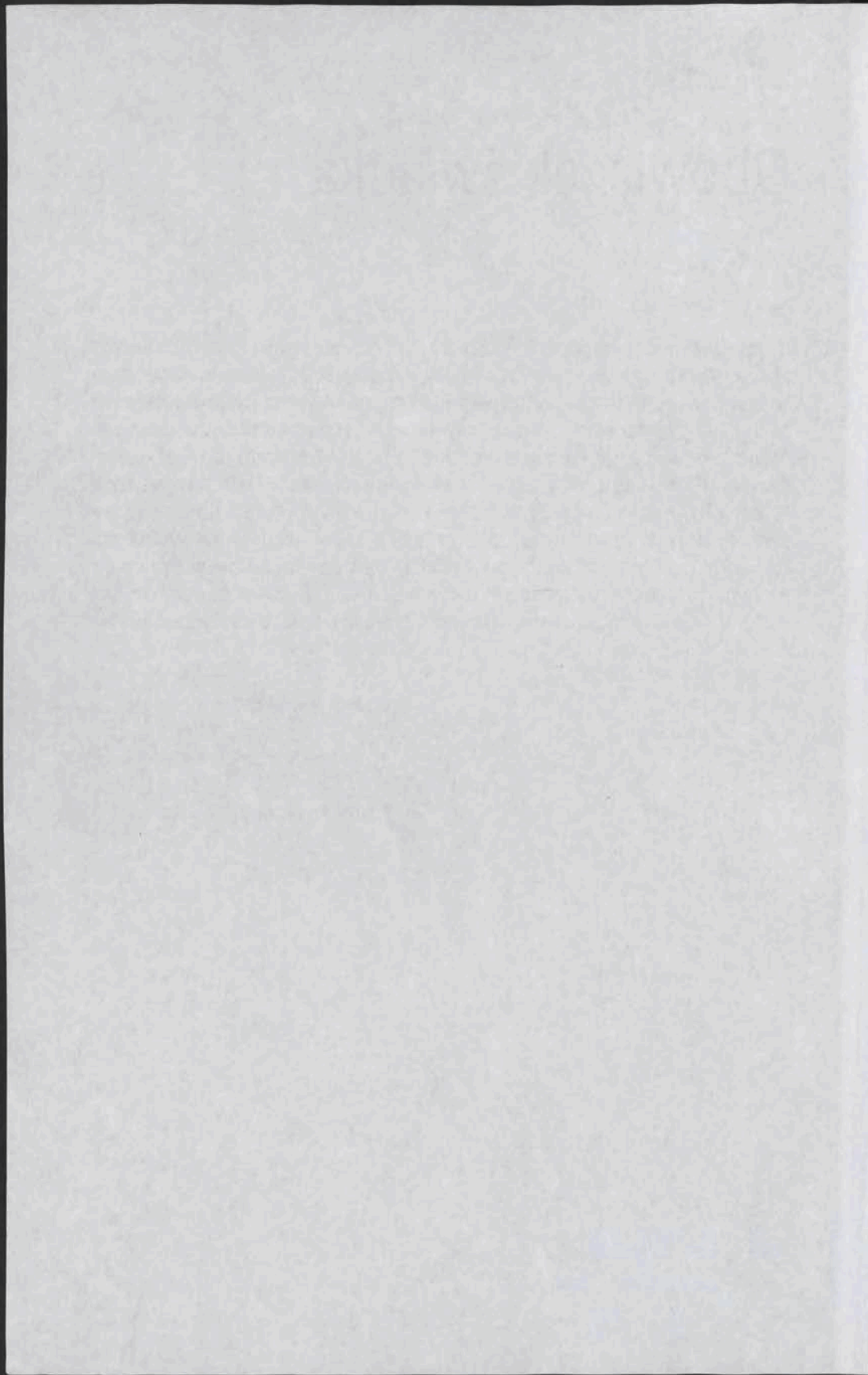
Obowiązek świadka

Uważam niezmiennie, że polscy mieszkańcy Łodzi, których hitlerowska machina śmierci przecież także nie omijała, mają prawo i moralny obowiązek przypominania światu faktu unicestwienia jednej trzeciej części żywej tkanki miasta. Metodycznej zagłady kilkudziesięciu tysięcy całych rodzin żyjących w tym mieście, którym bezpowrotnie odebrano naturalne prawo do trwania poprzez odnowę pokoleń. O tym trzeba pamiętać, uświadamiając kto był katem, kto ofiarą, a kto świadkiem zbrodni. W Łodzi zbrodniarzami, katami byli Niemcy, ofiarami Żydzi, a świadkami ci, których w getcie nie zamknięto – głównie Polacy. W każdej zbrodni rola ofiary i kata jest z góry ustalona. Kat wybiera ofiarę, rozmiar represji, narzędzie zbrodni. Świadek staje zaś wobec wyzwania moralnego. Kiedy zbrodnię trzeba rozliczyć nie możemy milczeć razem z katem, musimy krzyczeć razem z ofiarą. Zawsze milczenie w takiej chwili jest moralnie nie do zaakceptowania.

Prezydent Miasta Łodzi



Jerzy Kropiwnicki



pierwsze kolumny

Łódź pamięta

65. Rocznica Likwidacji Litzmannstadt Ghetto

Jerzy Kropiwnicki

str. 9

Bezpowrotna Łódź

Odbudowywanie pamięci

Gustaw Romanowski

str.20

Zamach na polską inteligencję

Dziennikarze w łódzkim getcie

Andrzej Kempa

str. 31

Zagłada elity

Naukowcy i pedagodzy ofiarami Litzmannstadt Ghetto

Joanna Mikosz, Piotr Fąka

str. 39

Łódzki Umschlagplatz

Stacja Radegast

Wojciech Źródłak

str. 44

Pozory normalności – prasa i ogłoszenia

Źródła historyczne do badań nad dziejami dzielnicy żydowskiej

Joanna Mikosz, Piotr Fąka

str. 49



Tramwaj w getcie

Elektrische Strassenbahn Ghetto

Wojciech Żródlak

str. 59

Milczące świadectwo

Dzieci w Litzmannstadt Ghetto

Joanna Mikosz, Piotr Fąka

str. 71

Łódź pamięta

65. Rocznicą Likwidacji Litzmannstadt Ghetto

pierwsze kolumny

Szanowni Państwo!

Czcząc pamięć o naszych zamordowanych sąsiadach, trzeba wyjaśniać, dlaczego z taką uwagą obchodzimy kolejny już raz rocznicę zagłady społeczności Żydów łódzkich oraz eksterminację Żydów z kilku krajów Zachodniej Europy, którzy zostali do Łodzi przywiezieni w okresie okupacji niemieckiej. Warto przypomnieć, że w dniu, w którym rozpoczęła się II wojna światowa – inwazją Niemiec na Polskę – Żydzi stanowili 1/3 ludności Łodzi, Niemców było 10%, a około 2% stanowiła mieszanka różnych innych narodowości, w tym Rosjan, którzy nie wycofali się razem z administracją carską po pierwszej wojnie światowej. Wśród mieszkańców można było spotkać Włochów, Anglików, Francuzów, Szwajcarów, Czechów, Austriaków. Można powiedzieć, że wcześniej w Łodzi znajdowali swoje miejsce przedstawiciele wszystkich narodów europejskich, którzy w drugiej połowie XIX wieku przyjeżdżali tu w poszukiwaniu lepszego życia. I był to proces naturalny, kiedy Łódź w sposób niejako „wybuchowy” wyrosła z małej mieściny na wielką metropolię. To zjawisko kształtowania się społeczności przemieszanej, o różnych korzeniach i rodowodach, żyjącej w jednym mieście, było jednocześnie czymś wyjątkowym na terenie Imperium Rosyjskiego. A to dlatego, że było to jedyne miasto w Imperium Rosyjskim, w którym Żydom umożliwiono przekraczanie rejonu osadnictwa, zrezygnowano także z zakazu zamieszkania przy głównej ulicy miasta. Może dlatego, że miasto tak szybko się rozwijało, może dlatego, że nie było stolicą guberni, bo był nią Piotrków. Otóż, po wkroczeniu we wrześniu 1939 roku armii niemieckiej do Łodzi, w mieście została ustanowiona administracja niemiecka i mianowany nadburmistrz. Miasto pod dyktando niemieckiej administracji niebawem zaczęło zmieniać swoją nazwę. Było kilka etapów tej zmiany – ostatecznie przyjęto nazwę Litzmannstadt dla upamiętnienia generała Karla Litzmanna, który na tym terenie dowodził podczas I wojny światowej. Jeszcze w 1939 roku podjęto decyzję o utworzeniu dzielnicy żydowskiej. Początkowo sami Żydzi nawet dość chętnie przeprowadzali się do tej dzielnicy, ponieważ po wkroczeniu Niemców do Łodzi zaczęły się rabunki na mieniu żydowskim, a administracja niemiecka obiecała, że w granicach tej dzielnicy będą mieli zapewnione bezpieczeństwo.

To wszystko, o czym teraz mówię, jest u mnie wiedzą dosyć świeżą. Nie jestem od urodzenia mieszkańcem Łodzi, nie kończyłem tutaj szkoły podstawowej,

średniej i nawet tu nie studiowałem. Przyjechałem do Łodzi jako dorosły, żonaty już mężczyzna. I tak się jakoś złożyło, że mieszkałem przy trasie tramwaju, który odjeżdżał spod mojego domu, a miał swój przystanek jakieś 150 metrów od Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego Uniwersytetu Łódzkiego, na którym pracowałem w tamtym czasie i potem jeszcze przez wiele, wiele lat. Ta wiedza nie docierała do mnie także poprzez moich kolegów w pracy czy znajomych, a świadomość obecności społeczności żydowskiej w Łodzi była w moim otoczeniu nikła. O tym braku zdałem sobie sprawę w kilka tygodni po tym, jak objąłem urząd Prezydenta Miasta w pierwszej kadencji, i kiedy przyszedł do mnie z wizytą profesor Władysław Bartoszewski. Od razu oświadczył, że przybywa z pewną misją, a mianowicie z takim problemem, że za jakieś półtora roku od dnia, gdy mnie odwiedził, zbliżała się rocznica Holokaustu Żydów łódzkich. Holokaustu dokonanego przez administrację niemiecką i z tego to powodu wielu Żydów – spośród tych, którzy ocalili z getta – chciało przyjechać do Łodzi. Dla wielu z nich – a to są przecież już starsi ludzie – mówił pan Bartoszewski, będzie to być może ostatnia wielka podróż, a może jedna z ostatnich wielkich podróży w życiu. I że tym ludziom należy się tyle, żeby umierając, mieli tę nadzieję, że wraz z nimi nie zaginie pamięć cierpień ich i ich bliskich, których tutaj, w okresie okupacji niemieckiej doznawali. I oto mnie prosił prof. Bartoszewski po starej znajomości „Solidarnościowej” i rządowej. Bo byliśmy znajomymi, zarówno z okresu działania jawnej „Solidarności” jak i w podziemiu. I tak się też potem złożyło, że byliśmy ministrami w rządzie Jerzego Buzka.

Bardzo szanuję profesora Władysława Bartoszewskiego, więc prośbę przyjąłem natychmiast i początkowo myślałem o niej w kategoriach właśnie takich charytatywnych, że trzeba zrobić coś dla tych ludzi, którzy dożywają swoich dni i którzy powinni mieć zapewniony ten komfort, aby nie myśleć, że po ich śmierci rozpadnie się pamięć po nich. Ale wtedy, kiedy zacząłem nad tym głębiej myśleć, uświadomiłem sobie, że to jest o wiele poważniejszy problem. Uświadomiłem sobie bowiem, że ja właściwie nic nie wiem, że w kręgu moich znajomych, nawet tych, którzy byli łódzianami urodzonymi i wykształconymi w Łodzi, nie istnieje świadomość nawet tego, gdzie było getto, że bardzo wielu ludzi, mieszkając dziś na Bałutach, nie zdaje sobie sprawy, że właśnie tam w okresie okupacji była zamknięta drutem dzielnica i że tam zgromadzono ludność żydowską.

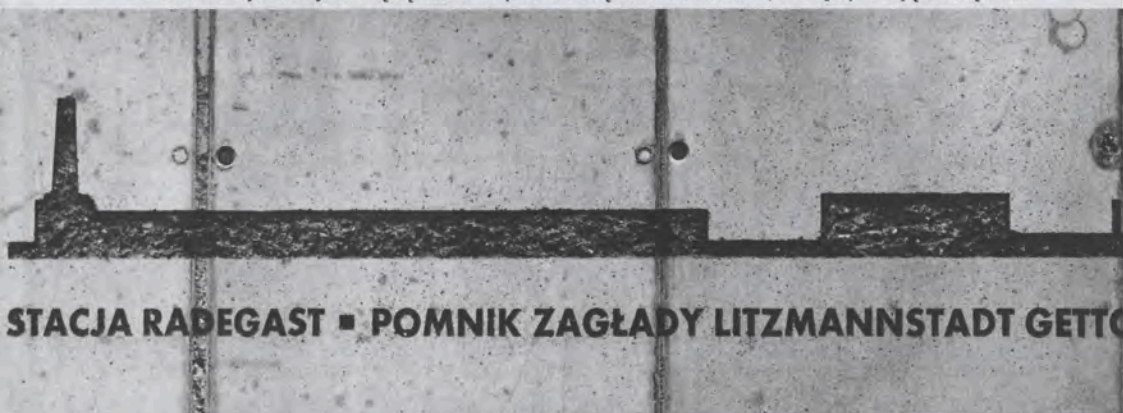
Stwierdziłem więc, że problem jest znacznie poważniejszy i że ten problem dotyczy już nie tego, co robi Kropiwnicki, ale tego, co robi miasto. Okazało się następnie, że tak naprawdę, to żadna z poprzednich okrągłych rocznic nie została – jakby to powiedzieć – obchodzona w sposób adekwatny do rozmiarów zbrodni i kary. Kiedy sobie uświadomiłem, że to była jedna trzecia miasta, że to było ponad 200 tys. mieszkańców, których za drutami tutaj zamknięto, zrozumiałem także, że rzeczywiście coś tu jest takiego z czym ani ja, ani moje miasto pogodzić się nie możemy, bo jest to wyzwanie moralne, wobec którego musi stanąć każdy, kto się dowiaduje o zbrodni. Bo o ile rola ofiary i kata jest raz na zawsze określona w momencie, w którym zbrodnia zostaje popełniona, to istnieje także ta trzecia strona, czyli ktoś, kto się o zbrodni do-

wiedział albo kto ją widział, kto był jej świadkiem, albo ktoś, kto ma jej świadomość. I jeżeli milczy, to zajmuje tym samym stronę zbrodniarza, kata, mordercy. Nie ma wobec tego innego moralnego, etycznego wyboru jak tylko opowiedzieć się po stronie ofiar i krzyczeć razem z nimi, albo za nie, a w każdym razie – nie dać o zbrodni nigdy zapomnieć.

Oczywiście z tego wyniknęło parę następnych problemów, a mianowicie: jeżeli już organizować porządne uroczystości i organizować je razem z miastem, to trzeba po pierwsze – wybrać jakieś miejsce, które będzie w sposób najbardziej dobitny upamiętniało to, co tutaj się stało. Łódź w pewnym sensie miała problem z nadmiarem, bo prawie wszystkie zabudowania dawnego getta ocalały; wymordowano ludzi, ale ocalały budynki. I można powiedzieć, że tak jak zwiedzałem różne miejsca, które mi wówczas pokazywano, tak do żadnego nie byłem w stanie dołączyć emocji. Miałem już jednak wtedy pewne doświadczenia w odwiedzaniu Ziemi Świętej i wiedziałem, że przez całe stulecia franciszkanie, projektując pielgrzymki do Ziemi Świętej, zawsze starali się określić miejsce, choćby symboliczne, choćby domniemane, w sposób bardzo precyzyjny. Na zasadzie – to nie było w tym mieście, to nie było gdzieś tam, ale to było w t y m miejscu, bo dopiero wtedy człowiek jest w stanie rzeczywiście związać się emocjonalnie. Kazałem więc szukać czegoś takiego w mieście, co spełniałoby ten warunek. I oto któregoś dnia powiedziano mi, że jest zapomniana stacja kolejowa, którą zbudowano wyłącznie dla potrzeb getta, a która po jego likwidacji już nigdy tej roli nie pełniła. Kiedy obfotografowano tamten zaniedbany i zarośnięty chwastami, zabłocony teren i zrobiono także zdjęcia torów kolejowych, okazało się, że na jednej z szyn zachował się znamionowy znak fabryczny „Krupp 1939”.

Teraz należało się wobec powyższego zastanowić nad dwoma rzeczami. Przede wszystkim, w jaki sposób w tym całym przywracaniu pamięci i oddawaniu hołdu osobom zamordowanym powinna wziąć udział społeczność naszego miasta. Bo tu już nie chodzi o elity. Bo proszę Państwa, jestem wystarczająco sprawnym organizatorem i jeżeli tylko będę miał odpowiednią ilość środków, to dysponując urzędem

pierwsze kolumny



STACJA RADEGAST ■ POMNIK ZAGŁADY LITZMANNSTADT GETTO

odpowiednio wyspecjalizowanym, mogę zrobić wielką uroczystość na każdą okazję, na każdy wielki temat, jaki tylko Państwo zechcecie. Tyle że po dwóch dniach nikt nie będzie o tym pamiętał, bo tak się z wieloma rzeczami nawet bardzo hucznymi dzieje. [...] A tu chodziło o to, żeby były to uroczystości, w których wezmą udział Łodzianie i to nie tylko fizycznie, ale także emocjonalnie. Odbyłem, proszę Państwa, w tamtym okresie poprzedzającym poprzednie obchody 60. Rocznicy Zagłady Litzmannstadt Ghetto ponad sto różnego rodzaju spotkań, wspólnie z obecnym tutaj Jarosławem Nowakiem (doradca prezydenta – przyp. red.) i ułożyliśmy program, w którym było ponad sto różnego rodzaju imprez, a obchody zaczęliśmy następnego dnia po 59. rocznicy.

Drugi problem polegał na tym, żeby pozyskać społeczność żydowską i tę w Łodzi, i tę w Izraelu, i tamtą za oceanem. Bo to nie mogło być robione przeciwko komuś, to nie mogło ranić niczyich uczuć. Kiedy wówczas mówiłem, że trzeba to właśnie tak przygotować, odpowiadano mi: *Kropiwnicki, jeśli Cię Żydzi nie ukrzyżują, to Polacy na pewno...* Otóż, muszę powiedzieć, że nieufność była nawet w gminie żydowskiej, przynajmniej jednej osoby, która być może to pamięta. Wielce pomocny był rabin Michael Schudrich, bo z tego, co wiem, stanął po mojej stronie i nie tylko w gminie, ale i w ambasadach amerykańskiej i izraelskiej. Niebawem też bardzo dobrą współpracę nawiązałem się z przewodniczącym Symchą Kellerem i ta współpraca, bardzo lojalna i wierna trwa po dzień dzisiejszy. Poradzono mi, żebym nawiązał kontakt w kwestii należytego opracowania miejsca, gdzie miałyby odbyć się te uroczystości, z Czesławem Bieleckim, przedstawiając mi go jako człowieka, który na pewno dobrze porozumie się i z Żydami, i z Polakami. Ponieważ jest to Polak i Żyd, który obydwa składniki swojej tożsamości traktuje z dumą.

Takich elementów, gdzie trzeba się było posuwać po bardzo wąskiej ścieżce, było wtedy dosyć sporo. Rzeczywiście, Czesław Bielecki przedstawił projekt imponujący, bo był to projekt przeobrażenia tamtego miejsca wokół zapomnianej budy stacyjnej w Wielki Memoriał. I dzisiaj jest to największy memoriał, jaki jakkolwiek samorząd miejski na świecie zbudował bez przymusu ze strony rządu centralnego, tylko z własnej inicjatywy, bez jakichkolwiek nacisków międzynarodowych organizacji żydowskich. To była od początku własna inicjatywa łódzkiego samorządu. Odbyliśmy też wówczas dość liczne podróże do Izraela, spotykając się tam z Prezydentem Mosze Kacawem, rozmawialiśmy z szefem jego gabinetu, dzisiejszym ambasadorem w Polsce Davidem Pelegiem. Początkowo był zdystansowany, ale słuchał mnie z coraz większym zainteresowaniem. Rozmawiałem także z Ronem Houldai – merem Tel Awiwu, naszego miasta partnerskiego i tutaj od razu napotkałem znaczne zaufanie, okazane początkowo na kredyt.

Skąd wynikała ta początkowa nieufność?

Otóż, jak wszyscy wiedzą, jestem wierzącym i praktykującym katolikiem i działaczem organizacji centroprawicowej, nie mam żydowskich korzeni, a nawet w środowisku moich kolegów szkolnych mieszkających w Polsce niewiele się już

znajdzie osób z takim pochodzeniem. W żaden więc sposób nie pasowałem do obrazu człowieka, który coś chciałby w takiej sprawie zrobić.

Potem jeździliśmy do Nowego Jorku i do Kanady. Muszę przyznać, że przeżycia z pierwszych kontaktów były dość traumatyczne. Dlatego, że pierwsze pytanie w wielu miejscach brzmiało: *Łódź? Przecież to takie podłe miasto*. I kiedy pytałem, dlaczego podłe miasto, mówiono mi: *Proszę się wobec tego po swoim mieście przejść – a my to wiemy, widzieliśmy, pokazywano nam i można obejrzeć w internecie – te straszne bazgroły na murach, te napisy „Żydy do gazu” i szubienice z gwiazdą Dawida*. Przyznawałem wtedy: *Tak, to prawda, ale gorsze napisy widziałem w Paryżu, czy Strasburgu, a nikt nie mówi, że to są podłe miasta*. Przyznawano mi rację i natychmiast wysuwano następny argument, że ani w Strasburgu, ani w Paryżu, ani w Berlinie nikt nie próbuje tłumaczyć tych łobuzów, którzy takie hasła malują. Ja na szczęście miałem już pewne doświadczenia, kiedy przy okazji imprezy „Kolorowa tolerancja” zainicjowanej przez dziennikarkę Joannę Podolską, postawiłem publicznie tezę, że dla mnie ta wartościowa akcja nie jest zachętą do tolerancji. Dla mnie ona jest imperatywem do odmowy mojej tolerancji dla wszelkiego rodzaju łobuzerii, chuliganerii, dla niszczenia cudzego mienia i postanowieniem, że ja takich przejawów barbarzyństwa w żaden sposób nie mam zamiaru akceptować.

Moi rozmówcy za granicą wiedzieli nawet, że brałem udział w akcji zamalowywania tych napisów, ale padał kolejny argument z ich strony: *W Łodzi jeździ się po kościach nieboszczyków*. Niestety, nie wszyscy o tym nie wiedzą, że w okolicy ulicy Limanowskiego znajdował się stary cmentarz żydowski. W czasie okupacji niemieckiej zlikwidowano ten cmentarz w sensie administracyjnym i wywieziono z niego większość macew. Kiedy zainstalowała się w Łodzi władza komunistyczna, część tego cmentarza zajęto pod jezdnię, a część pod bloki. I choć minęło od tego czasu 60 lat, po dzień dzisiejszy dzieciaki w piasku wykopują tam kości. Większość z nas ma tylko umiarkowaną wiedzę na temat tego, czym dla Żydów jest naruszenie miejsca, gdzie są pochowani zmarli, dlatego z naciskiem powinienem podkreślić, że to nie ma porównania z naszym chrześcijańskim sposobem traktowania miejsc zmarłych. Według uświęconej tradycji żydowskiej tam, gdzie Żyd został pochowany, tam ma on pozostać aż do dnia, w którym zostanie z tego miejsca powołany. W kulturze żydowskiej w zasadzie nie ma ekshumacji – stosuje się ją w wyjątkowych wypadkach, a wymaga to niezwyklej zabiegów. Komuniści pod względem uszanowania tej tradycji byli wyjątkowo mali i nawet nie próbowali dokonać zgodnej z naszą tradycją ekshumacji. Tylko po barbarzyńsku, tak jak zastali to miejsce, rozpoczęli na nim budowę. Podobno kilkakrotnie trzeba było zmieniać ekipy robotników, którzy pracowali przy budowie mieszkalnych bloków. Bo często któryś łopata natrafiał na szczątki ludzkie i niektórzy wręcz nie wytrzymywali tego rozgrzebywania miejsc wiecznego spoczynku. Rozmawiałem na ten bolesny temat z przewodniczącym Symchą Kellerem. Powiedział, że przecież dzisiaj już ani rozebranie tych bloków, ani likwidacja części ulicy niczego nie zmieni.



Okazało się więc, że i o tym moi rozmówcy za oceanem wiedzieli. Spytałem więc o co tak naprawdę chodzi? Odpowiedziano mi szczerze: *Przede wszystkim chodzi o to, że jedna trzecia waszego miasta została starta z powierzchni ziemi, a reszta zachowuje się tak, jakby tego nie zauważyła.* Bogu dziękowałem, że właśnie przyjechałem z misją odniesienia się do tego problemu. I powoli lody te były przełamywane, tym bardziej, że Łódź jest miastem ich dzieciństwa, do którego oni tęsknią i mają swoje wspomnienia związane z tym miejscem na ziemi.

Przedstawiłem więc program obchodów. Z Czesławem Bieleckim doszliśmy do porozumienia w sprawie projektu memoriału na stacji Radegast. Jego sercem jest dzisiaj ten stary budynek stacyjny, gdzie zwożono Żydów i do którego przywożono surowce do produkcji różnego rodzaju rzeczy na potrzeby armii niemieckiej. Bo trzeba nam wiedzieć, że Niemcy na sugestię przełożonego Starszeństwa Żydów – Chaima Mordechaja Rumkowskiego – postanowili przekształcić getto w wielką fabrykę, działającą na potrzeby armii i gospodarki niemieckiej. Przekształcili więc zamkniętą

dzielnicę żydowską w kombinat, podporządkowując wszystko w getcie wymogom produkcji, a z czasem także likwidując bezwzględnie w pierwszej kolejności tych, których dla tego rodzaju działalności, dla tego rodzaju produkcji, uważali za nieprzydatnych. Ludzie starsi, chorzy i dzieci poniżej pewnego wieku byli uważani za zbędnych i podlegali likwidacji w pierwszej kolejności. A jednocześnie funkcjonowanie samego getta jako fabryki pracy niewolniczej było kilkakrotnie przedłużane, ponieważ Ministerstwo Gospodarki III Rzeszy Niemieckiej doceniało to, co dawało ono dla potrzeb ich armii. Chciałbym w tym miejscu zwrócić uwagę, że przy olbrzymim zaangażowaniu wojennym hitlerowskich Niemiec organizowano w okupowanej Europie przymusowe prace w systemie niewolniczym. Dlatego Polaków, Ukraińców, Rosjan, Czechów i przedstawicieli wielu innych narodów europejskich łapano i wywożono do różnych miejsc pracy. Prowadząc wojnę na kilku frontach Niemcom musiało zależeć na sile roboczej. Mając zatem fachowo zorganizowany, gigantyczny warsztat pracy w getcie, minister gospodarki kilkakrotnie podejmował interwencję na rzecz przedłużenia jego żywota. Ten stan trwał aż do wiosny 1944 roku, choć zapadła ostateczna decyzja o likwidacji, tym bardziej, że to już było ostatnie getto, jakie na terenie okupowanej Polski jeszcze istniało, ba – ostatnie getto, jakie istniało na terenie Europy zajętej przez Niemców. I choć nadal przedłużano jego istnienie, zaczęły się już wywózki na zwiększoną skalę. Jednak jeszcze na początku lipca 1944 roku obliczono, że znajdowało się tam jakieś 50 tys. Żydów i tylko niewiele mniej było ich na początku sierpnia. Nikt nie wie, jak długo ten stan mógłby się jeszcze ciągnąć i być może owe 50 tys. miało szansę zostać uratowanych. Gdyby tak się stało i gdyby nie ta straszna historia „szpery” i związanym z nią wydaniem żydowskich dzieci Niemcom, to pewnie by Rumkowskiemu tak do końca pozytywnej oceny w oczach Żydów nie zabrano. Gdyby się okazało, że miał silny argument w postaci tych 50 tys. ocalałych, to nie wiadomo jakby go oceniano dzisiaj. Bo brakuje przekonujących argumentów historycznych na zupełne potępienie Rumkowskiego. Brakuje właśnie ze względu na to, że w dość wiarygodny sposób przypisuje mu się grę o to, aby ocalić jakąś liczbę ludzi swojego narodu. Jeśli gdzieś jest taka niezaleczona rana, to jest to słynne przemówienie, które wygłosił, kiedy Niemcy zaczęli polowania w mieście na dzieci. I Rumkowski zaapelował do władz niemieckich, żeby akcję tę wstrzymano, a następnie wygłosił słynne przemówienie do rodaków: *...oddajcie mi swoje dzieci*, mając pełną świadomość, że chodziło o wydanie ich na śmierć. I jedynie dwa argumenty, które przedstawił w tym przemówieniu miały usprawiedliwiać tę straszną decyzję. Pierwszy – że w ten sposób sam negocjował, że tych dzieci oddanych na śmierć będzie mniej, niż początkowo przewidziano i drugi – że akcja ta będzie przebiegała w sposób „bardziej cywilizowany”, jeżeli można tu w ogóle mówić o cywilizowanym sposobie w obliczu takiej hekatombi najmłodszych mieszkańców getta.

Nie jestem Żydem, nie znajduję się więc w położeniu odpowiednim do tego, żeby oceniać to wydarzenie. Relacjonuję je tak, jak to usłyszałem. Bogu tylko dziękuję, że się tam nie znalazłem.

Ostatni transport ze stacji Radegast do Auschwitz-Birkenau wyjechał 29 sierpnia 1944 roku. Armia Czerwona stała wtedy 120 kilometrów od Łodzi, w okolicy Radzymina, alianci byli już na terenie Europy i te wszystkie niemieckie transporty zaczęły się już odbywać bardziej chaotycznie. Między innymi dlatego dokumentacja dotycząca obszarów transportu skrupulatnie dotychczas prowadzona przez administrację niemiecką – która do tej pory działała bardzo sprawnie i dokładnie – gdzie na listach transportowych można było odnaleźć każde nazwisko deportowanego i miejsce jego pochodzenia – otóż ta dokumentacja raptem się urywa. I w pewnym momencie, tak mniej więcej na początku wiosny, w tej dokumentacji następuje brak ciągłości. Jest jednak faktem, że to zamieszanie niemieckiej administracji i pośpiech spowodowały także i to, że z naszego miasta, spośród jego byłych żydowskich mieszkańców ocalało więcej niż z jakiegokolwiek innego getta na terenie Polski. Dzisiaj 13 tys. rodzin żyjących na świecie ma w swoim składzie ocalałych z Litzmannstadt Ghetto. Jakaś część więc przetrwała, ale proszę pamiętać, że to jest zaledwie 10% tego potencjału społecznego sprzed II wojny światowej – to niby dużo, ale i rozpaczliwie mało. (...)

Wśród żydowskich środowisk na świecie przepływ informacji jest wprost nieprawdopodobny. Kiedy zastanawiałem się, w jaki sposób oznakować ważne dla historii łódzkich Żydów miejsca, wydawało mi się oczywiste, że powinno być ono utrwalone w języku polskim, angielskim, niemieckim i hebrajskim. I ledwo to umieściliśmy na naszej stronie internetowej, natychmiast przyszło pięć pierwszych, bardzo ostrych reakcji: *Po pierwsze, dlaczego niemiecki? Bo nasłuchali się tego języka dosyć, o tak. I dlaczego nie w jidysz?* Owszem, hebrajski jest językiem narodu żydowskiego od jego samego początku, ale oni tutaj żyli, kochali, umierali i cieszyli się w kulturze jidysz. To był ważny argument, ale z drugiej strony wiemy, że do Łodzi przyjeżdża co roku duża grupa młodzieży niemieckiej. Więc to nie może być tak, żeby oni się domyślali, co tam tak naprawdę jest napisane, gdyż to ci młodzi Niemcy muszą to wiedzieć i zrozumieć. Udało się w końcu wynegocjować, że owszem może być po niemiecku, ale tylko na odrębnej tablicy. Na tablicy głównej ma być natomiast hebrajski, jidysz, angielski, polski, ewentualnie francuski, ale też niekoniecznie. W żadnym zaś przypadku na tej samej tablicy nie może być niemiecki – obok hebrajskiego. Co do umieszczenia jidysz decyzję podjąłem natychmiast. Ale znów dostałem następne listy i dziesiątki interwencji, najdalej z Nowej Zelandii i z Chile. To coś nieprawdopodobnego, jak te sprawy żyją w środowisku łódzkich Żydów i chciałbym, żeby wszyscy łodzianie mieli tego świadomość. Także i tego, że u niektórych istnieje nadal głęboka rezerwa, niektóre osoby nie zdecydowały się przyjechać na obchody 60. Rocznicy Zagłady Litzmannstadt Ghetto do Polski, bo nie wierzyły, że tutaj rzeczywiście zostanie zrobione coś na miarę ich bólu, ich przeżyć i tej tragedii, która tutaj się zdarzyła. Zauważmy, że te osoby mają już co najmniej po 70 lat. Ci, którzy wtedy, w 2004 roku, przybyli do Łodzi, przyjechali tak przepełnieni bólem, że byli gotowi widzieć wszystko źle. Ale to się już w znacznym stopniu zmieniło.



pierwsze kolumny

W tym roku będą trzy dni głównych obchodów i jeden szczególny półdzień. Tego pół dnia pierwszego – a będzie to 26 sierpnia – odmówiony zostanie kadiśz na cmentarzu żydowskim. To będzie tylko modlitwa za zmarłych. Chciałem Łoździanom uświadomić, a być może już to wiedzą, że w środowiskach żydowskich rytuał związany ze zmarłymi zyskuje bardzo autonomiczny charakter. W początkach historii Żydów zmarłych chowano w taki sposób, żeby nie ruszyły ich dzięki zwierzęta, więc miejsce, gdzie ich złożono, obkładano kamieniami. Było to jednocześnie oznaczenie miejsca pochówku, jak i zabezpieczenie przed zwierzętami i ten stary zwyczaj kładzenia kamieni na grobach zachował się do dzisiaj. Polscy pielgrzymi, którzy odwiedzają Ziemię Świętą, mogli już zauważyć, że na żydowskich grobach, choćby na stokach Góry Oliwnej, nie ma kwiatów, leżą natomiast większe lub mniejsze kamienie. Główny dzień tegorocznych obchodów – 27 sierpnia – będzie miał uroczystą oprawę. Spodziewamy się wielu dostojnych gości, nie tylko Prezydenta Rzeczypospolitej Lecha Kaczyńskiego,

który obiecał swą obecność, ale także Prezydenta Państwa Izrael Szimona Peresa, który dwukrotnie potwierdził, że wpisuje tę uroczystość do swego kalendarza. Mam nadzieję, że ta bardzo ważna wizyta dla nas wszystkich, a zwłaszcza Ocalałych, dojdzie skutku. Będzie też Prezydent Republiki Czeskiej Vaclav Klaus oraz około 5 tys. osób z tego kraju. Swoją obecność obiecał także mer Berlina, stojący na czele jednego z tych miast, które były w tamtym czasie punktami zbiorczymi deportacji Żydów. Taką też obietnicę uzyskałem od premiera landu Hesji. Myślę, że to będzie duża uroczystość, podczas której zostanie odsłonięty Pomnik Polaków Ratujących Żydów. Pomnik, który – mam nadzieję – uspokoi temat kwestii drażniących w stosunkach między Polakami i Żydami.

Jak było z pomnikiem? Przyszedł do mnie Czesław Bielecki i zwierzył się, że wykonał projekt takiego pomnika, próbował zainteresować nim kogoś w Warszawie, pokazał go kilku osobom, ale na razie bez efektu. Od razu więc zainteresowałem się tym tematem. Na samym początku chcieliśmy lokalizować ten projekt w Parku Śródmiejskim, tam, gdzie była kiedyś zwarta zabudowa żydowskiej dzielnicy, ale doszedłem do wniosku, że to miejsce nie utworzy właściwej aury dla tak dużych pomysłów. Miały tam być wszystkie nazwiska Polaków, które znajdują się w rejestrach Yad Vashem. Pomysł na lokalizację przyszedł przez przypadek. Otóż, w pewnym momencie

przygotowywania uroczystości sprzed 5 lat, związanych z poprzednią rocznicą, jedna z osób stwierdziła, że musi być takie miejsce, gdzie można byłoby jakoś upamiętnić każdego z ocalałych oraz tych, którzy ocalili innych ludzi. Zaczęliśmy szukać takiego miejsca. Najbardziej zdawałoby się oczywistym był teren przy ul. Stalowej, tak jak się idzie w kierunku stacji Radegast. Kiedy zacząłem pomysł ten konsultować z pracownikami naszej administracji, dr Grażyna Ojrzyńska zawiozła mnie na rozległy teren przy ul. Wojska Polskiego.

Może ktoś jeszcze pamięta jak on wtedy wyglądał. Od strony ulicy były tam jakieś złomowiska i przypadkowe baraki oraz zarośnięte chwastami pole z gruzowiskiem. To był więc śmiały pomysł, który dzięki entuzjazmowi Grażyny Ojrzyńskiej bardzo szybko zaczął nabierać kształtów przyszłego Parku Ocalałych. Już podczas poprzednich obchodów w 2004 roku ten uporządkowany obszar, liczący ponad 8 hektarów, nie przynosił nam wstydu, choć jedyne co się udało wtedy zrobić to usunąć gruzowisko





i wyciąć dziką roślinność. Od tamtego czasu pojawiło się kilka ważnych instalacji na terenie Parku Ocalałych. Został usypany Kopiec Pamięci oraz postawiony, jako jedyny taki w świecie, Pomnik Polaków Ratujących Żydów według projektu Czesława Bieleckiego. W Parku Ocalałych przed tym pomnikiem odbędą się 27 sierpnia uroczystości 65. Rocznicy Zagłady Litzmannstadt Ghetto. Mam nadzieję, że przybędzie tam z całego świata spora reprezentacja Ocalałych Łoździan. Przewidzieliśmy też – 28 sierpnia – konferencję naukową zatytułowaną *Rząd RP na uchodźstwie i Delegatura Rządu na Kraj wobec zagłady Żydów*. Mam nadzieję, że pojawią się na niej tacy goście jak profesor Władysław Bartoszewski i Pan Ryszard Kaczorowski – ostatni Prezydent RP na Uchodźstwie. Fachowe referaty przedstawią naukowcy z Uniwersytetu Łódzkiego, którzy w tej dziedzinie wyróżniają się szczególną kompetencją. Kolejnego dnia obchodów – 29 sierpnia – w ciągu dnia nie będzie żadnych publicznych wydarzeń, gdyż jest to dzień szabatu. Będą więc w tym dniu tylko udostępniane wszystkie miejsca pamięci. Natomiast już po zmroku odbędzie się wielka

pierwsze kolumny

uroczystość – nasz wybitny kompozytor Krzysztof Penderecki będzie osobiście dyrygował wykonaniem swego utworu pt. *Siedem Bram Jerozolimy* z multimedialnym oprzyrządowaniem, wstawkami filmowymi i recytacjami. Ten podniosły koncert w Teatrze Wielkim obejrzą nie tylko ci, którzy znajdą się na widowni, ale także zgromadzona na placu gen. Henryka Dąbrowskiego publiczność. A to dzięki telebimom i urządzonej tam przestrzennej widowni dla kilku tysięcy widzów.

*Spisał i opracował:
Marcin Kieruzel*

Jest to skrócony zapis wykładu Prezydenta Miasta Łodzi – dr. Jerzego Kropiwnickiego, inaugurującego program edukacyjny „Dialog”. Wykład odbył się 16 marca 2009 roku na Uniwersytecie Łódzkim w Pałacu Biedermanna.

Na fotografiach fragmenty Memoriału „Radegast”.
Fot. Barbara Gortat i Marek Strąkowski

Bezpowrotna Łódź

Odbudowywanie pamięci

Często przyrównuje się Łódź do miast amerykańskich, zawdzięczających swój gwałtowny rozwój przełomu XIX i XX wieku intensywnej industrializacji i bezprzykładnemu otwarciu się – niejako wbrew dotychczasowej europejskiej tradycji – na wolną przedsiębiorczość ludzi różnych nacji. I jeśli Łódź na tym otwarciu skorzystała, to właśnie jako miasto nowego typu uznające prawo każdego człowieka, bez względu na jego pochodzenie, religię, przynależność etniczną, do swobodnego osiedlenia się tu, podejmowania przedsięwzięć gospodarczych i ten sposób budowania fundamentów bytu dla wielu następnych pokoleń. Te przyszłe pokolenia mieszkańców miasta – Polaków, Żydów, Niemców ale także Rosjan, Czechów, Anglików, Francuzów, Holendrów, Ormian i przedstawiciele wielu innych jeszcze narodowości, którzy żyli tu przed wybuchem II wojny światowej – mogły mieć szansę na wspólne wrastanie w to miasto, zachowując swoją odrębność kulturową, a pewnie z czasem odrębności te mieszając w warunkach naturalnej społecznej symbiozy. Tak jak to dokonało się przez lata w wolnym społeczeństwie amerykańskim.

Tę szansę Łodzi zniweczył bezpowrotnie agresywny i brutalny reżim III Rzeszy Niemieckiej i jego ludobójcza rasistowska ideologia. Współistnienie w tym polskim mieście ludzi różnych narodowości zostało przerwane wraz z wybuchem II wojny światowej. Brutalna eksterminacja wszelkiej ludności nie niemieckiej, a przede wszystkim przerażająca masowa hekatomba liczącej ponad 200 tys. społeczności łódzkich Żydów, zakończyły myśl o Łodzi jako o realnym mieście ludzi reprezentujących harmonijnie współistniejące tu wcześniej kultury.

Polonizacja czy autoizolacja

Kiedy przypomni się stosunki ludnościowe miasta w latach 1921–39, zwraca uwagę postępująca polonizacja środowisk żydowskich, procentowo znacznie wyższa niż równoległa z nią polonizacja dokonująca się wśród łódzkich Niemców. To ważne, bo choć do dziś niektórzy historycy powołują się w swoich rozważaniach na autoizolację Żydów, wypływającą ich zdaniem z odrębności religijnej, to przecież fakty mówią coś innego. Według spisów ludności Łodzi w okresie międzywojennym proces polonizacji wśród społeczności żydowskiej sukcesywnie rósł i jeśli w 1921 roku język polski jako język swego domu deklarowało 6% Żydów, to w roku 1931 polszczyznę jako swój język ojczysty deklarowało już 17% łódzian z żydowskim rodowodem. Tymczasem w tym samym 1931 roku tylko dla nieco ponad 10% łódzkich Niemców polski według ich deklaracji

10671A

był głównym językiem ich rodziny. To ważne, bo jednocześnie proces polonizowania się wykształconej ludności żydowskiej przekładał się na szersze upowszechnienie języka polskiego także w praktykach religijnych, skoro w synagodze przy ul. Zielonej, gdzie zbierała się żydowska inteligencja już przed I wojną światową, wierni wysłuchiwali sobotnich kazań wygłaszanych przeważnie po polsku.

Muzycy, architekci, pisarze

Polskie aspiracje ludności żydowskiej zaznaczyły się szczególnie w środowiskach artystycznych, prasie oraz w pewnym stopniu w oświacie. Już pod koniec w XIX w. działały w Łodzi dwie prywatne szkoły muzyczne założone przez Żydów, ale kształcące młodzież nie tylko żydowską. Najlepsze koncerty muzyki symfonicznej Łódź przed I wojną światową zyskała dzięki działalności Żydowskiego Towarzystwa Muzyczno-Literackiego „Hazomir”, które prezentowało miejscowemu społeczeństwu wielkie dzieła muzycznej literatury światowej. Pochodzący z całkowicie spolonizowanej rodziny wybitny pianista, łódzianin Artur Rubinstein, przynoszący światową chlubę swemu rodzinnemu miastu, może być przykładem jak pięknie, bo naturalnie, można łączyć w sobie polskość i żydowskość bez jakiegokolwiek uchybienia tym dwu wartościom. Trzeba też przypomnieć, że Łódź najpiękniejsze budynki w stylu historyzmu i secesji zawdzięcza trzem architektom pochodzenia żydowskiego: Dawidowi Landemu, Gustawowi Landau--Gutentegerowi i Adolfowi Zeligsonowi. Wszyscy utożsamiali się z polską inteligencją, a Adolf Zeligman był nawet współzałożycielem pierwszego polskiego gimnazjum w Łodzi.

pierwsze kolumny





Spośród ludzi pióra, oprócz władającego najpiękniejszą polszczyzną poety Juliana Tuwima pochodzącego ze spolonizowanej rodziny żydowskiej, Łódź wydała także innych polskich poetów wywodzących się ze środowisk żydowskich. To choćby Mieczysław Braun, autor bardzo „łódzkich” poetyckich cykli poświęconych pracy i industrialnemu postępowi. To także Aleksander Kraśniański, młodo zmarły bardzo zdolny poeta, któremu przepowiadano wielką pisarską karierę. A przecież wiek XX przyniósł odrodzenie języka jidysz jako pełnoprawnego języka europejskiego za sprawą m.in. łódzkich literatów: Jecheskiela Mojżesza Neumana, Icchaka Kacnelsona i Mojżesza Brodersona. Ich udział w artystyczno-literackiej grupie „Jung Jidysz” działającej w Łodzi w latach 1919–21, dopełniał nie tylko personalnie reprezentację nowoczesnych malarzy i grafików tworzących tę twórczą formację. Trzon grupy „Jung Jidysz” tworzyli Jankiel Adler, Henryk Barciński, Wincenty Brauner, jego siostra Ida Brauner, wspomniany już Mojżesz Broderson – który niezależnie od swojej twórczości poetyckiej był wziętym grafikiem – Zofia Gutentag, Pola Lindenfeld, Dina Matus, Marek Szwarz.

Braun, Barciński, Brauner, Kacnelson, Lindenfeld, Matus to ofiary Holokaustu, podobnie jak bardzo popularni w międzywojennej Łodzi malarze Maurycy i Tadeusz Trębaczowie. A także tacy ważni dla łódzkiej sztuki malarze jak Natan Szpigiel, Ignacy Hirszfang, Henryk Hirszenberg, Samuel Finkelstein, Joachim Kahane, Izrael Lejzerowicz, Izaak Lichtenstein, Józef Mitler, Marceli Słodki, Marek Szapiro, Szymon Serman, Rega Szenbrun i ponad stu innych artystów łódzkich zgładzonych w latach 1939–44 w imię ludobójczej rasistowskiej idei.

Z Łodzi pochodził i tu debiutował bardzo znany malarz miniaturzysta Artur Szyk, autor oryginalnych kaligraficznych dzieł, który zyskał światową popularność dzięki cyklowi miniatur zatytułowanemu *Statut Kaliski*, będącego ilustrowaną opowieścią o historii Żydów w Polsce. Szyk, który opuścił Łódź w 1922 roku

wyjeżdżając do Paryża, aż do swojej śmierci w 1951 roku w Stanach Zjednoczonych, utrzymywał bardzo ścisły kontakt z Polską, interesując się szczególnie sprawami rodzinnej Łodzi.

Wydawcy, dziennikarze, ludzie kina

Niebagatelny jest udział wydawców i dziennikarzy żydowskiego pochodzenia w rozwoju polskiej prasy w Łodzi. W sytuacji, kiedy mniejszość niemiecka dysponowała w mieście wieloma dziennikami i czasopismami, prasa polskojęzyczna przeżywała wiele problemów, głównie organizacyjno-finansowych. Dopiero powstanie w latach dwudziestych XX w. silnych spółek wydawniczych „Republiki” i „Głosu Porannego” umożliwiło stabilne ukazywanie się wielonakładowych polskojęzycznych dzienników. W powstanie tych koncernów prasowych decydujący udział kapitałowy wnieśli przedsiębiorcy żydowscy, a dużą część dziennikarzy także stanowili spolonizowani Żydzi.

W bardzo dużym stopniu Łódź zawdzięcza popularyzację sztuki filmowej żydowskim przedsiębiorcom. Już od 1907 roku uruchomili oni kina w całym mieście, głównie jednak w śródmieściu. Przy ul. Piotrkowskiej 15 kino „Theatre Optique Parisien” posiadał Mani Handlisz, przy Piotrkowskiej 22 kino „Arkadia” było własnością Alberta Hoffmana i Dawida Bernsteina, przy Piotrkowskiej 67 najelegantsze kino w mieście uru-

chomili w 1913 roku Maks Glicenstein i Francis Fezer. W Grand Hotelu kino „Theatre Moderne” należało do Lwa Samuela Rubaszkina. Kino „Odeon” przy ul. Przejazd 2 (dzisiaj ul. Tuwima) należało do spółki, której udziałowcami byli łódzcy Żydzi. Kino „Kassandra” przy ul. Aleksandrowskiej 37 należało kolejno do Szulema Dębińskiego, Moszka Pakuły i Mendla Szoski, a kino „The Bio-Express” przy Zielonej 2 do Juliana Szrojta, wuja Juliana Tuwima. Warto dodać, że po I wojnie światowej nastąpił dalszy rozwój sieci kin w Łodzi, do czego przyczyniali się w dużej mierze żydowscy przedsiębiorcy, często prowadzący równoległe interesy także w zupełnie innych dziedzinach. W sali „Filharmonii” seanse filmowe urządził Alfred Strauch, Mojżesz Leizerowicz i Mieczysław Gluck. Na Bałutach, na zamieszkałej wyłącznie przez ludność ży-



dowską ulicy Zawiszy, działał kinoteatr „Flora” założony przez Berka Baumgarta. W 1925 roku powstało przy ul. Dzielnej kino „Reduta”, którego właścicielami byli Maurycy Rys i Wolf Aronson, a kilka lat później kino „Oaza” przy ul. Chrobrego, założone przez braci Józefa i Wolfa Lewinów. Przy ul. Pomorskiej kino „Świt” było inwestycją Chila Ikki.

W 1939 roku znajdowały się w Łodzi 34 kina. Zdecydowana większość z nich, bo aż 16, było własnością przedsiębiorców żydowskich. Polscy przedsiębiorcy posiadali 9 kin, niemieccy 5. Dwa kina należały do Francuzów. Po jednym posiadali osiadli w Łodzi Rosjanie oraz Anglik.

Radni miejscy

Trzeba też wspomnieć o udziale żydowskich radnych w pracach łódzkiego samorządu. W Radzie Miejskiej Łodzi w okresie międzywojennym około 25% radnych stanowili Żydzi. Niekoniecznie jednak reprezentowali interesy swojej mniejszości narodowej, ponieważ byli reprezentantami różnych ugrupowań politycznych działających w Polsce. Niektórzy z łódzkich radnych prowadzili zresztą działalność szerszą, wykraczającą poza granice miasta czy województwa, będąc członkami centralnych władz swoich partii. Warto podkreślić, że w gronie łódzkich radnych znajdował się Markus Braude, członek delegacji Żydów polskich na konferencję pokojową w Paryżu.

Żydowscy radni cieszyli się na ogół opinią sprawnych przedstawicieli łódzkiej społeczności. Kiedy w drugiej połowie lat trzydziestych XX w. w Radzie Miejskiej coraz częściej zaczęły zdarzać się pozamerytoryczne ataki na radnych żydowskich ze strony ich samorządowych adwersarzy z Narodowej Demokracji, bardzo ostro w obronie zaatakowanych interweniowali zawsze prezydenci Łodzi. Tak było, gdy w 1935 roku endeccy radni próbowali wprowadzić tzw. paragraf aryjski do regulaminu bardzo prestiżowej w owych latach ogólnopolskiej Nagrody miasta Łodzi. Interwencja Wacława Wojewódzkiego, komisarycznego prezydenta była tak ostra, że – jak podkreśla łódzki historyk Leszek Olejnik – *doprowadziła do furii prasę endecką*. Do historii zmagania z zacietrzewieniem i ksenofobią na terenie Rady Miejskiej weszło też starcie w 1939 roku ówczesnego prezydenta Jana Kwapińskiego z radnymi koła Narodowej Demokracji atakujących fizycznie jednego z radnych żydowskich. Prezydenta miasta usiłującego zdecydowanie przywrócić porządek na sali obrad oskarżono potem hałaśliwie o pobicie radnego z ugrupowania narodowego.

Wybitni szachiści

Także udział łódzkich Żydów w rozwoju sportu, i to nie tylko w skali ich rodzinnego miasta, był niebagatelny. Wystarczy wspomnieć spektakularną działalność Łódzkiego Towarzystwa Zwolenników Gry Szachowej i jego błyskotliwego przedstawiciela, światowego arcymistrza Akibę Rubinsteina. Jak zauważył historyk sportu Andrzej Bogusz, do 1939 roku tytuły szachowego mistrza Łodzi zdobywali nieprzerwanie członkowie tego żydowskiego stowarzyszenia szachowego. To za sprawą szachistów żydowskich odbywały się w okre-



pierwsze kolony

się międzywojennym w Łodzi najbardziej spektakularne turnieje szachowe w Europie. Towarzystwo Zwolenników Gry Szachowej uzyskało też rangę liczącej się instytucji kulturalno-sportowej dysponującej siedzibą we własnej kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 74 oraz największym w Polsce fachowym księgozbiorem szachowym w wielu językach. Łódzcy szachiści pochodzenia żydowskiego powoływani byli do wszystkich ekip reprezentacyjnych Polski na międzynarodowe Olimpiady Szachowe. Na Olimpiadzie w Paryżu w 1924 roku barw kraju bronił Dawid Daniuszewski, a na Olimpiadzie w Hadze w 1928 roku debiutował godny następcą Akiby Rubinsteina – Teodor Regedziński. Regedziński reprezentował Polskę także podczas następnych Olimpiad Szachowych, w 1933 roku w Falkestone, w 1936 roku w Monachium i w 1939 roku w Buenos Aires.

Wspominając łódzkich sportowców żydowskiego pochodzenia trzeba także wymienić bardzo znanego w okresie międzywojennym szermierza Romana Kantora, uczestnika XI Olimpiady w Berlinie w 1936 roku. Ten pochodzący z zamożnej rodziny łódzkich jubilerów sportowiec poległ jako polski żołnierz na froncie w 1939 roku.

Cień pogromu

Wbrew obiegowym opiniom tworzonym przez lata przez polską prasę i propagandę narodową o znacznym udziale Żydów w ruchu komunistycznym, wydaje się prawie pewne, że aktywność środowiska żydowskiego w Łodzi w tym ruchu była bardzo niewielka. Bardziej aktywne były tu żydowskie partie socjalistyczne Bund i Poalej Syjon, ale i one w porównaniu do innych miast w Polsce, gdzie istniały znaczne skupiska ludności żydowskiej, nie miały znaczniejszego poparcia nawet wśród licznego w Łodzi proletariatu żydowskiego. Na tę rezerwę wobec udzielenia poparcia organizacjom głoszącym potrzebę rewolucji społecznej – niekoniecznie nawet w postaci najbardziej

radykałnej – wpłynęła niewątpliwie pamięć o pogromach Żydów, które miały miejsce podczas strajku w 1892 roku. Podczas antysemitycznych rozruchów, do których doszło w czwartym dniu strajku proklamowanego w dniu 1 maja 1892 roku, zrewoltowani robotnicy zaczęli napadać na Żydów, rabować ich sklepy i mieszkania, burzyć i podpalać żydowskie domy. Trwająca dwa dni antyżydowska, krwawa rabacja była na tyle traumatycznym przeżyciem, że wzbudziła niechęć przed angażowaniem się Żydów nawet w organizowane w późniejszych latach pierwszomajowe pochody. I choć rzeczywistą przyczyną owego strajku był konflikt polskich robotników z niemieckimi majstrami i dyrektorami największych łódzkich fabryk, to spontaniczne przekształcenie go w antysemityczną akcję wywarło na ludności żydowskiej długotrwałe wrażenie zagrożenia nawet pierwszomajowym pochodem. *Należy odnotować, że panuje opinia w Łodzi, iż 1 Maja jest dniem, w którym robotnicy chrześcijańscy rabują Żydów* – pisał w 1900 roku bundowski „Arbajter Sztyme”. I choć po pogromie ukazały się ulotki, autoryzowane przez Związek Robotników Polskich oraz II Proletariat, potępiające antyżydowskie rozruchy i obciążające władze carskie ich wywołaniem, społeczność żydowska Łodzi przez dwa pokolenia zachowała pamięć o niebezpieczeństwie związanym z angażowaniem się w ruch robotniczy podszyty klasową bądź rewolucyjną retoryką. *Pamięć tych wypadków, które dotknęły przede wszystkim najbiedniejszych Żydów, była niewątpliwie jedną z zasadniczych przyczyn, które zdecydowały o tym, że w tak wielkim ośrodku ludności żydowskiej i robotników Żydów jak Łódź, żydowski ruch robotniczy stawiał swoje pierwsze kroki dopiero po powstaniu Bundu* – zauważa izraelski historyk Moshe Mishkinsky. Jego zdaniem *strach przed chrześcijańską Wielkanocą towarzyszący Żydom w średniowieczu został przeniesiony na 1 Maja*.





pierwsze kolumny

W drugiej połowie lat 30. XX wieku, kiedy zaczęły się także w Polsce zaostrzać antysemityczne nastroje, żydowscy radni Bundu podczas gwałtownych debat Rady Miejskiej w Łodzi, przypominali radnym Narodowej Demokracji tamten pogrom jako tło do powtarzających się w mieście napadów na Żydów. Do zamachów tych dochodziło przeważnie po zebraniach młodych działaczy zdelegalizowanego od 1935 roku Obozu Narodowo-Radykalnego i miały one charakter na tyle bezwzględny, że w ich wyniku w latach 1935–38 śmierć poniosło co najmniej sześciu łódzkich Żydów, a zdemolowanych zostało kilkanaście żydowskich sklepów.

Informowała o tym na bieżąco łódzka prasa. Szczególnie dokładne relacje z antysemitycznych ekscesów publikował „Głos Poranny” po zabójstwie w 1937 roku żydowskiego kupca na ul. Wschodniej, kiedy bronił on swego sklepu przed demoluującą go grupą młodych narodowych radykałów. Niskie wyroki sądowe jakie otrzymali sprawcy tego dokonanego w biały dzień mordu wzburzyły społeczność żydowską i stały się tematem licznych komentarzy także na sali obrad Rady Miejskiej.

Fala podobnych antyżydowskich ekscesów, która w tamtych latach przechodziła przez Polskę, nie była jednak w Łodzi szczególnie drastyczna. O wiele ostrzej incydenty takie przebiegły w Grodnie, Brześciu nad Bugiem, Częstochowie czy niedalekim od Warszawy Przytyku, gdzie przybrały rozmiary pogromów, połączonych z masowym demolowaniem żydowskiego mienia. W Łodzi stosunkowo niewielki wpływ na nastroje miała prasa endecka i ta część prasy katolickiej, która manifestowała programową nieprzychylność wobec Żydów. Zarówno miejscowa hierarchia kościelna jak i zdecydowana większość duchowieństwa katolickiego Łodzi nie podzielały wrogiej,



a nawet wojującej postawy okazywanej wyznawcom judaizmu np. na Podlasiu. Tę wojującą postawę tak np. uzasadniał na łamach jezuickiego „Przeglądu Powszechnego” w 1938 roku ks. Józef Kruszyński, profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego: *Polscy katolicy (...) mogą być pod wrażeniem tego, co jawi się im jako „głęboka religijność” żydowskich mas, które przestrzegają Talmudu, powstrzymują się w szabas od palenia tytoniu czy dłuższych spacerów. Jednak życie religijne ortodoksyjnych Żydów jest płytkie. (...) Jego istotą jest wykonywanie pustych obrzędów, aby otrzymać w zamian nagrodę. Nawet w święto Jom Kipur wizyta w synagodze nie przypomina niczego takiego, co by przypominało katolicki „duch modlitwy”. Judaizm zerwał z Mojżeszem i prorokami, winę za to ponosi Talmud, który jest „źródłem nienawiści” Żydów do gojów, zwłaszcza chrześcijan oraz powodem, dla którego Żydzi nie potrafią spokojnie współżyć z innymi ludźmi.* (cytat za Rolandem Modrasem, amerykańskim teologiem katolickim, autorem książki *The Catholic Church and Antisemitism: Poland 1933–1939*).

Zamknięty rozdział

Historia łódzkich Żydów, podobnie zresztą jak historia współżycia w Łodzi trzech wielkich wspólnot narodowych jest dawno już zamkniętym rozdziałem. W dniu wybuchu II wojny światowej żyło w mieście liczącym 620 tys. mieszkańców 233 tys. Żydów. Było to blisko 35% ogółu ludności Łodzi. Nie wszyscy łódzcy Żydzi byli ortodoksami religijnymi, nie wszyscy nawet wyznawali judaizm, wielu z nich zresztą uważało się już tylko za Polaków o żydowskich korzeniach. Niektórzy z nich nawet z własnego wyboru lub z wcześniejszego wyboru ich rodziny byli chrześcijanami.

Wszystkich ich jednak nazaczyły tragedią paragrafy antyludzkich ustaw norymberskich i połączyła hekatomba Holocaustu. W łódzkim getcie nazwanym przez zwycięskich Niemców Litzmannstadt Ghetto zamknięto już na początku 1940 roku ponad 160 tysięcy ludzi uznanych w ramach ustaw norymberskich za przedstawicieli przeznaczonej do fizycznej likwidacji rasy.

Niemiecki porządek III Rzeszy nie przewidywał bowiem miejsca na ziemi dla Żydów. Wyzuci z wszelkich praw łódzcy Żydzi – przemysłowcy, kupcy, robotnicy, ludzie wolnych zawodów, a także zamieszkująca Bałuty żydowska biedota, znaleźli się na dnie jakiegokolwiek społecznej hierarchii. Rabunek żydowskiego mienia, rozpoczęty już jesienią 1939 roku, ten państwowy – polegający na zaborze fabryk, maszyn, budynków i surowców – i ten spontaniczny, „prywatny” – podejmowany przez dotychczasowych niemieckich sąsiadów, którzy nagle uwierzyli w swoją wyższość rasową – był dla nich zwiastunem końca sprawiedliwego świata. Tym bardziej, że rabunkom towarzyszyły uliczne mordy bez żadnych konsekwencji dla zabójców, ponieważ hitlerowskie prawo nie uznawało zabicia Żyda za przestępstwo. Dlatego sterroryzowani Żydzi uznawali swoje przesiedlenie do dzielnicy gettovej za pewnego rodzaju dobrodziejstwo, chroniące ich przed ulicznym bezprawiem w innych dzielnicach Łodzi.



pierwsze kolumny

Litzmannstadt Ghetto było przedsionkiem śmierci dla wszystkich jego mieszkańców. Ci, którzy nie zostali wyselekcjonowani do komór gazowych w ośrodku zagłady w Chełmnie nad Nerem czy w obozie Auschwitz-Birkenau mieli służyć niewolniczą pracą dla niemieckiej armii i wojennej gospodarki III Rzeszy. W tym getcie-fabryce było miejsce tylko dla ludzi od 10 do 65 roku życia. Młodsze dzieci i starzy Żydzi jako nieprodukcyjni podlegali obowiązkowej fizycznej egzekucji. Tragiczna rola, jaką musiała spełniać żydowska administracja getta, odpowiedzialna przed Niemcami za sprawność tych barbarzyńskich selekcji budzi wciąż mieszane komentarze, choć wiadomo, że żadna postawa tej administracji nie mogła zapobiec „ostatecznemu rozwiązaniu kwestii żydowskiej” (*Endlösung*) zarządzonemu przez hitlerowskie państwo. Dlatego ocena kasandrycznej roli przełożonego Rady Starszeństwa Żydów Chaima Mordechaja Rumkowskiego, będącej moralnie przedłużeniem ludobójczej woli barbarzyńskiego hitlerowskiego reżimu, wymyka się wciąż jednoznacznym standardom etycznym. Nie udało mu się uratować 70 tys. oddanych jego pozornej opiece „produktywnych” Żydów łódzkiego getta ani ocalić własnej głowy i życia członków swojej rodziny. Ginąc w końcu lata 1944 roku w obozie oświęcimskim wraz z tysiącami innych więźniów Litzmannstadt Ghetto, którym obiecywał przetrwanie, jeśli tylko w pokorze będą wykonywać polecenia, nie wiedział nawet czy ocalał na ziemi choćby jeden łódzki Żyd.

Arnold Mostowicz, gettowy lekarz i kronikarz pamięci łódzkich Żydów obliczył, że ocalało ich w różny sposób kilkanaście tysięcy. To przerażająco mało wobec 233 tys. ludzi, którzy jeszcze pięć lat wcześniej mieli prawo cieszyć się życiem i z nadzieją planować swój los. Ale w tragicznym bilansie Holokaustu to dużo wobec całkowitej zagłady całych populacji żydowskich gmin wielu innych polskich miast. Zagłady ostatecznej i bezpowrotnej.

Gustaw Romanowski

Literatura:

1. *Niemcy, Polacy, Żydzi w Łodzi. Sąsiedzi dalecy i bliscy*, praca zbiorowa pod red. Pawła Samusia, Instytut Historii Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1997.
2. Julian Baranowski, *Łódzkie Getto 1940–1944. Vademecum*. Archiwum Państwowe w Łodzi, Łódź 2003.
3. Martin Gilbert, *Atlas historii Holokaustu*, Wydawnictwo Platan 2003.
4. Jerzy Malinowski, *Grupa „Jung Idysz” i żydowskie środowisko „nowej sztuki” w Polsce 1918–1923*, Warszawa 1987.
5. Andrzej Strzelecki, *Deportacja Żydów z getta łódzkiego do KL Auschwitz i ich zagłada*, Oświęcim 2004.
6. Gustaw Romanowski, *Okaleczone miasto*, „Kronika Miasta Łodzi” nr 2/2004

Zamach na polską inteligencję

Dziennikarze w łódzkim getcie

pierwsze kolumny

W latach trzydziestych XX wieku wydawano w Łodzi kilkadziesiąt czasopism w języku polskim, niemieckim, jidysz i hebrajskim: od gazet codziennych poprzez periodyki o różnej częstotliwości ukazywania się. Jedne pojawiały się regularnie przez wiele lat, inne były tylko efemerydami. Wiele z nich było adresowanych do łódzkiej diaspory żydowskiej. Świadczył o tym druk w jidysz, potocznie zwanym żargonem, przeznaczony głównie dla czytelników posługujących się na co dzień tym językiem, lub w języku hebrajskim, w którym publikowano teksty literackie i społeczno-kulturalne. Prasa niemiecka była również podzielona, szczególnie po dojściu Hitlera do władzy. Niektóre czasopisma niemieckie zachowywały lojalność w stosunku do Rzeczypospolitej, inne deklarowały podziw dla umacniającego się nazizmu i wspierały łódzkich Niemców w ich sympatiach dla III Rzeszy. Prasa polska i część niemieckiej nie ukrywała obaw przed totalitaryzmem rosnącym w siłę za zachodnią granicą, kpiała z Hitlera i jego pretorianów i utwierdzała swoich czytelników w przekonaniu, że Polska jest na tyle silna, by oprzeć się agresji ze strony hitlerowskich Niemiec. Nic więc dziwnego, że po klęsce wrześniowej okupanci dążyli do eksterminacji dziennikarzy, którzy ośmielali się powątpiewać w potęgę Rzeszy i lekceważyli Führera.

Pierwsza próba utworzenia w 1916 r. zawodowej organizacji dziennikarskiej – Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich w Łodzi – skończyła się niepowodzeniem. Dopiero pod koniec 1921 roku Lucjan Dąbrowski (1890–1924) powołał do życia Syndykat Dziennikarzy Polskich w Łodzi i został jego prezesem. Po śmierci założyciela organizacji prezesurę objął Czesław Gumkowski, który pełnił tę funkcję do września 1939 roku. Po pewnym czasie pierwotna nazwa Syndykatu uległa zmianie na Syndykat Dziennikarzy Łódzkich. W jego skład wchodził dziennikarzy łódzcy niezależnie od ich narodowości i wyznania: Polacy, Niemcy i Żydzi. Jedynym członkiem honorowym Syndykatu do 1939 r. był Lazar Fuks (1892–1935), dziennikarz prasy żydowskiej, wieloletni redaktor naczelny dziennika „Najer Fołksblat”. Godność członka zwyczajnego posiadał Bernhard von Haller (1898–1938), od 1924 r. redaktor naczelny dziennika „Neue Lodzer Zeitung”.

W kwietniu 1939 roku Syndykat Dziennikarzy Łódzkich liczył 83 osoby, w tym: 2 członków honorowych, 2 członków seniorów, 59 członków rzeczywistych, 6 członków nadzwyczajnych i 14 aplikantów. Osobną grupę stanowiło 14

dziennikarzy zrzeszonych w Sekcji Żydowskiej SDŁ, której przewodniczył Jakub Szulman (1889–1942), dziennikarz gazety „Najer Folksblat”.

Tymczasem w *Księdze adresowej miasta Łodzi i województwa łódzkiego. Rocznik 1937–1939* figuruje blisko 180 osób deklarujących swoją przynależność do zawodu dziennikarskiego jako redaktorzy, dziennikarze i wydawcy periodyków. Prawie połowę ogólnego stanu dziennikarzy figurujących w *Księdze* stanowili Żydzi. Niektórzy z nich, zmobilizowani do armii polskiej, zginęli podczas kampanii wrześniowej i ślad po nich zaginął. Inni, szczególnie redaktorzy czołowych dzienników polskich i żydowskich, jeszcze przed wkroczeniem oddziałów armii niemieckiej do Łodzi, uciekali do Wilna i Lwowa, by uniknąć represji ze strony miejscowych Niemców i funkcjonariuszy gestapo.

* * *

10 września 1939 roku przybył do Łodzi sztab i jeden z oddziałów III Grupy Operacyjnej policji bezpieczeństwa. Wkrótce nastąpiły masowe aresztowania przedstawicieli polskiej i żydowskiej inteligencji. Ze szczególną zawziętością policja poszukiwała członków Związku Niemców w Polsce, deklarującego lojalność wobec przybranej ojczyzny. 9 października 1939 roku aresztowano dziennikarza niemieckiego – Aleksandra Hoefiga „za działalność w partii Związku Niemców w Polsce”, jak brzmiał akt oskarżenia. Po kilkunastu dniach został on przekazany do obozu przejściowego w Rawiczu, a stamtąd prawdopodobnie do obozu koncentracyjnego w Dachau.

1 listopada 1939 roku w łódzkiej cukierni „Astoria”, przy ul. Piotrkowskiej 27, batalion policji przeprowadził obławę i aresztował kilkudziesięciu Żydów, wśród nich dziennikarzy, literatów, aktorów i artystów. Większość z nich została zwolniona po uiszczeniu odpowiednio wysokiego okupu. Masowe zaś aresztowania polskiej inteligencji nastąpiły tuż przed rocznicą odzyskania niepodległości przez Polskę 11 listopada 1939 roku.



Jednym z pierwszych aresztowanych dziennikarzy polskich pochodzenia żydowskiego był powszechnie przez Łoździan ceniony Henryk (Herszel) Passierman (1898–1939), dziennikarz „Expressu Wieczornego” i redaktor depešzowy „Republiki”, sekretarz Stowarzyszenia Polsko-Jugosłowiańskiego w Łodzi. Aresztowany 8 listopada 1939 roku „za przynależność do polskiej inteligencji”, po czterech dniach został skazany przez sąd doraźny i zamordowany w zbiorowej egzekucji.

Następnego dnia policja aresztowała Szaję Ugera (1873–1939), redaktora prasy żydowskiej, prezesa Łoźdzkiego Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich (1918), członka Sekcji Żydowskiej Syndykatu Dziennikarzy Łoźdzkich. Został skazany na śmierć pod tym samym zarzutem, co jego kolega Passierman i rozstrzelany wraz z nim tegoż samego dnia, podobnie zresztą jak Abram Alfred Grünfeld, dziennikarz „Republiki”.

Nieco później zginął w masowej egzekucji w lasach lućmierskich Szymon Glück, znany wśród czytelników „Republiki” pod pseudonimem Stefan Barylski, wiceprezes Syndykatu Dziennikarzy Łoźdzkich (1935). Przed wywiezieniem na śmierć był osadzony w policyjnym więzieniu na Radogoszczu. Prawdopodobnie towarzyszył mu Antoni Weiss (1905–1939), dziennikarz depešzowy „Republiki” i „Expressu Ilustrowanego”. Redagował tygodniki przygodowo-sensacyjne concernu „Republiki”: „Lord Lister tajemniczy nieznanomy” (1937–1939) i „Bufallo Bill bohater Dzikiego Zachodu”. Kolejną ofiarą nazistów był Edward (Eliasz) From, piszący pod pseudonimem Andrzej Nullus, bardzo popularny felietonista, od 1921 r. czynny w dziennikarstwie. Od 1925 r. pracował w „Republice”, był członkiem Syndykatu Dziennikarzy Łoźdzkich. Jego jednak nie rozstrzelano. Osadzony w więzieniu zachorował na zapalenie płuc i został dobity przez strażników więziennych.

* * *

Zanim utworzono getto w Łodzi, wcielonej w skład Rzeszy, niektórzy dziennikarze żydowscy przenieśli się do Generalnej Guberni w nadziei, że znajdą tam znośniejsze warunki egzystencji. Jednym z nich był dziennikarz prasy żydowskiej w Łodzi – Izrael Abraham Kahan (1888–1939), który w 1939 r. redagował warszawski tygodnik „Unzer Ekspres”. W czasie bombardowania stolicy został ranny i wkrótce bestialsko zamordowany przez nazistów.

Eli Baruchin (1901–1942), poeta, krytyk literacki, dziennikarz, współpracownik „Republiki” i „Expressu Ilustrowanego”, redaktor naczelny miesięcznika „Ilustrirter Pojliszer Manczester” (1929–1931), zmarł w warszawskim getcie zarażony tyfusem plamistym.

Jakub (Jakow) Obarzanek (1891–1943), dziennikarz prasy łoźdzkiej w języku jidysz, felietonista dziennika „Fołksbłat” (1917–1920) i „Łoździer Togbłat” (1926–1932), był stałym współpracownikiem dziennika „Najer Fołksbłat”. Pisał również komedie wystawiane w żydowskich teatrzykach rewiowych. 8 listopada 1939 roku został aresztowany przez Niemców „za przynależność do polskiej inteligencji” i osadzony na

Radogoszczu. Zwolniony na początku 1940 roku, przedostał się do Warszawy i zamieszkał w warszawskim getcie, gdzie uczestniczył w tamtejszym życiu kulturalnym. Został zamordowany w styczniu 1943 roku. Jego syn, Henoch, zmarł w getcie łódzkim w październiku 1940 roku.

Kontrowersyjną postacią łódzkiego środowiska dziennikarskiego był pochodzący z Częstochowy Abraham Gancwajch (1904–1943), dziennikarz, rabin, nauczyciel języka hebrajskiego. Po aneksji Austrii (1938) zamieszkał z żoną i synem w Łodzi, gdzie wydawał, prawdopodobnie z inspiracji wiedeńskiego gestapo, rzekomo antyhitlerowski tygodnik „Wolność” (1938–1939). Znalazłszy się w warszawskim getcie, stanął na czele kolaborującego z Niemcami Urzędu do Walki z Lichwą i Spekulacją, tzw. „Trzynastki”. Przekonany o nieuchronnym zwycięstwie III Rzeszy opowiadał się za utworzeniem autonomii żydowskiej pod protektoratem Niemiec. Po rozwiązaniu „Trzynastki” był poszukiwany, prawdopodobnie za nadużycia gospodarcze, przez gestapo. Ścigany listem gończym ukrywał się po stronie aryjskiej. Został rozstrzelany na Pawiaku.

W getcie wileńskim zaś zginęli dziennikarze łódzcy, którzy we wrześniu 1939 roku opuścili miasto: Chaim Jankiel Brzustowski, redaktor „Najer Folksblat” (1921–1939), członek zarządu Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich, oraz Marian Nusbaum-Ołtaszewski (1896–1943), współtwórca koncernu prasowego „Republika”, redaktor naczelny „Republiki” (1923–1925) i współredaktor „Expressu Wieczornego Ilustrowanego” (1923–1939).

Juda Lajb Horowicz (1905–1942), dziennikarz, publicysta i poeta, jeden z założycieli łódzkiego, hebrajskiego miesięcznika literacko-ortodoksyjnego „Bet Jaakow”, który przed zamknięciem getta łódzkiego zbiegł do Częstochowy i zamieszkał w tamtejszym getcie, zginął podczas jego likwidacji w 1942 roku.

* * *

Decyzja o utworzeniu w Łodzi wyodrębnionej dzielnicy mieszkaniowej zamieszkałej wyłącznie przez Żydów (8 lutego 1940 r.) wykluczała jakąkolwiek komunikację ze światem zewnętrznym. Dziennikarze musieli podejmować każdą pracę, by zdobyć minimum środków na utrzymanie. Bezrobotni byli z góry skazani na śmierć głodową.

Wspomniany wcześniej Jakub Szulman, lekarz, przed wojną aktywny działacz Poalej Syjon – Lewicy, dziennikarz dziennika „Najer Folksblat”, w łódzkim getcie pełnił funkcję kierownika szpitala zakaźnego i organizatora służby dozorców domowych. Zmarł 2 stycznia 1942 roku.

Lubiana przez czytelników, a szczególnie przez czytelniczkę, reporterka miejską w „Expressie Ilustrowanym” Irena Weiss (1931–1939), prowadząca dział porad dla kobiet, w łódzkim getcie pracowała jako urzędniczka. Popełniła samobójstwo 24 października 1942 roku.

Mieczysław Kołtoński, redaktor efemerycznego czasopisma artystyczno-literackiego „Zwierciadło Dziesięciu Muz” (1924) i „Głosu Kupiectwa” – organu Stowarzyszenia Kupców Miasta Łodzi (1926–1939), członek Stowarzyszenia Dzien-

nikarzy Łódzkich, w łódzkim getcie pracował jako urzędnik. Data i miejsce jego śmierci są nieznane.

Eliasz Tabaksblat, nauczyciel, członek komitetu redakcyjnego dwutygodnika „Nasze Dzieci w Domu i Szkole” (1931–1932) poświęconego sprawom współdziałania domu rodzinnego ze szkołą, sekretarz Zawodowego Zrzeszenia Nauczycielstwa Szkół Powszechnych Rzeczypospolitej Polskiej – Ogniska w Łodzi, w łódzkim getcie był kierownikiem wydziału szkolnego Gminy Żydowskiej. Zginął w Auschwitz w 1944 roku.

Hersz Unikowski, redaktor czasopisma „Folks-Sztyme”, wydawanego przez Związek Syjonistów Państwowców, przebywał w getcie i zginął prawdopodobnie w Auschwitz.

Kiedy Chaim Rumkowski, przełożony Starszeństwa Żydów w getcie, podjął decyzję o utworzeniu Archiwum, którego celem miało być opracowanie kroniki codziennego życia w getcie, tego zadania podjął się inż. Bernard Ostrowski. Po reorganizacji Archiwum w lutym 1943 roku powstał Dział Historii Ghetta, pozostający w nieoficjalnej strukturze Archiwum. W redagowaniu „Kroniki Getta” pomagali mu dziennikarze: Julian Stanisław Cukier-Cerski (1904–1943), Josek (Josef) Zelkowicz (1897–1944) i Abraham Szulem Kamieniecki (1874–1943). Cukier-Cerski był dziennikarzem „Republiki”. Zmarł na gruźlicę 7 kwietnia 1943 roku. Kamieniecki, dziennikarz prasy hebrajskiej i żydowskiej, który z Mordechajem Frankentalem wydał pierwszą część almanachu *Lodzer gezelszafflechkajt* (1938), zmarł również na gruźlicę w 1943 roku. Josek Zelkowicz, rabin, pisarz, etnograf i dziennikarz prasy żydowskiej zginął zamordowany w Auschwitz w sierpniu 1944 roku.

Przebogata w treści „Kronika Getta” szczęśliwie ocalała przed zagładą. Wydana w niewielkim nakładzie przez Wydawnictwo Łódzkie w latach 1965–1966 obejmowała tylko dwa tomy, publikację tomu trzeciego wstrzymała antysemicka polityka narzucona przez PZPR w 1968 roku. Prawdopodobnie całość tego ważnego dokumentu zostanie opublikowana jeszcze w 2009 roku.

* * *

Spora grupa dziennikarzy łódzkich żydowskiego pochodzenia ocalała z zagłady łódzkiego getta, wybierając ucieczkę na wschód do Wilna i Lwowa, która zresztą potem zakończyła się wywózką lub ewakuacją przez Sowieców w głąb Rosji. Jeden z wybitniejszych łódzkich dziennikarzy, Mojżesz (Mosze) Broderson (1890–1956), pisarz, malarz, ilustrator, współpracownik łódzkich gazet żydowskich „Łodzier Togblat” i „Najer Folksblat”, we wrześniu 1939 roku znalazł się w Białymstoku, a następnie w Moskwie, gdzie współpracował z Sekcją Żydowską Związku Patriotów Polskich. Gdy Stalin rozpoczął w 1948 r. kampanię antyżydowską, Broderson został aresztowany i zesłany do obozu pracy. Po śmierci Stalina wrócił do Polski, zamieszkał w Warszawie i wkrótce zmarł.

Gustaw Wassercug (1893–1944), prawnik, dziennikarz „Republiki”, współwłaściciel i udziałowiec „Głosu Porannego”, 5 września 1939 roku opuścił Łódź

i udał się przez Ostróg i Równe do Lwowa. Prawdopodobnie towarzyszyła mu córka Dorota (Dora), dziennikarka „Republiki”. Ewakuowany w głąb Rosji, 23 sierpnia 1944 roku zmarł na zawał serca w Kujbyszewie (Samara) i tam został pochowany. Losy Doroty Wassercużanki są nieznane.

Jan Urbach (1895–1987), od 1929 r. współwydawca i dziennikarz „Głosu Porannego”, od jesieni 1939 roku mieszkał we Lwowie, a następnie w głębi Rosji.

Stefan (Szmul) Gelbart, dziennikarz, publicysta i krytyk teatralny, redagował ilustrowany dwutygodnik teatralno-filmowy „Scena i Film” (1929) oraz ilustrowany dwutygodnik aktualności „Tempo”, był członkiem redakcji „Głosu Porannego”. Zesłany do Samarkandy, w Polskim Teatrze Marionetek „Niebieskie Migdały” reżyserował *Panią Twardowską* Mickiewicza we własnej adaptacji. Po powrocie do Łodzi pracował w „Kurierze Popularnym”. Wyjechał do Izraela wkrótce po powstaniu państwa żydowskiego.

Ocaleli i wrócili do kraju bracia Kałuszynerowie: Adam (1913–1991), dziennikarz prasy łódzkiej w latach 1931–1939, piszący pod przybranym nazwiskiem Ochocki, znany jako autor wspomnień dziennikarskich *Reporter przed konfesjonalem, czyli jak się przed wojną robiło gazetę* (1980), oraz Ludwik (1903–1984), znany pod przybranym nazwiskiem Starski, dziennikarz „Republiki”, scenarzysta filmowy, autor tekstów piosenek i scenariuszy filmowych. Trzeci z Kałuszynerów – Stefan, kuzyn Adama i Ludwika, piszący pod pseudonimem Kalus, sportowiec, publicysta, redaktor działów sportowych w „Republice” i „Expressie Ilustrowanym”, opuścił Związek Sowiecki z armią Andresa i zamieszkał po wojnie w Australii, podobnie jak Władysław (Wolf) Polak, dziennikarz „Głosu Polskiego”, współwydawca „Republiki”, redaktor naczelny „Expressu Ilustrowanego” (1923–1939), współredaktor „Expressu Wieczornego Ilustrowanego”.

Adam Szenberg-Górski (1891–1948), dziennikarz „Republiki”, korespondent łódzki warszawskiej „Gazety Polskiej”, po zakończeniu działań wojennych wrócił do pracy w dziennikarstwie pod przybranym podczas okupacji nazwiskiem Konstanty Bogusławski.

Eugeniusz Kronman (1898–1955), dziennikarz „Głosu Polskiego” (1921–1926), redaktor naczelny „Gońca Wieczornego Ilustrowanego” (1926), redaktor i udziałowiec „Głosu Porannego”, w czasie okupacji, pod przybranym nazwiskiem Kroniewicz, działał w podziemiu i wydawał nielegalną prasę antyhitlerowską. Po wojnie był przez pewien czas zastępcą redaktora naczelnego „Expressu Ilustrowanego”.

Bardziej dramatyczne były losy Natana Ecka (1896–1982), nauczyciela, dziennikarza i publicysty. Współpracował z łódzkim, polskojęzycznym dziennikiem żydowskim „Wiadomości Codzienne” i z gazetą „Łodzior Togblat”, redagował czasopisma syjonistycznej partii robotniczej Hitachdut: „Unzer Trybune” (1933–1936) i „Folk’s Trybune” (1936) oraz „Folk und Land” (1931–1933). Podczas okupacji mieszkał



pierwsze kolumny

w getcie warszawskim, skąd – dzięki fałszywemu paszportowi paragwajskiemu – został wywieziony do obozu w Vittel pod Paryżem, rzekomo w celu wymiany na internowanych przez aliantów obywateli i żołnierzy niemieckich. Wywiezionemu stamtąd do KL Auschwitz-Birkenau Eckowi udało się zbiec z pociągu i ukryć na terenie Francji do zakończenia działań wojennych. Zmarł w Tel Awiwie po wojnie.

* * *

Mimo usilnych starań nie udało się znaleźć informacji o losach wielu łódzkich dziennikarzy żydowskich zarejestrowanych w mojej kartotece. Prawdopodobnie zaginęli w czasie zawieruchy wojennej na polu bitwy, w obozach jenieckich, obozach koncentracyjnych lub w masowych egzekucjach dokonywanych przez nazistów w krajach okupowanych. Nieliczni, być może, w przewidywaniu wojny schronili się w krajach neutralnych lub w Stanach Zjednoczonych.

W „Łódzkim Tygodniku Demokratycznym” (1945 nr 2) zasłuony dziennikarz i publicysta – Jan Kazimierz Wojdyński w artykule *Straty dziennikarstwa łódzkiego* pisał: *Zginęli wszyscy niemal dziennikarze prasy wychodzącej w języku żydowskim jak „Najer Folksblatt” i „Lodzer Tageblatt”, nie ma Brzustowskiego, Hamburgskich, Kozakiewiczza i Rosenberga. Nie ma wśród nas prezesa sekcji żydowskiej w Syndykacie – Szulmana.* Kilkanaście lat później znany dziennikarz i publicysta – Mieczysław Jagoszewski potwierdził to zdanie w notatce *Pamięci poległych dziennikarzy*, zamieszczonej w „Dzienniku Łódzkim” z dnia 3 września 1959 roku (nr 209): *Niemal doszczętnie wytypieni zostali członkowie sekcji żydowskiej Łódzkiego oddziału*

Syndykatu Dziennikarzy (pracujący w dziennikach wychodzących w języku żydowskim: „Najer Folksblatt” i „Lodzer Tageblatt”), z prezesem Szulmanem na czele.

Celem tego artykułu jest przywrócenie pamięci o ludziach, którzy pod koniec lat trzydziestych XX wieku pracowali w łódzkiej prasie i służyli mieszkańcom Łodzi stałą, codzienną informacją. Wielu z nich cieszyło się sympatią czytelników. Oblędna rasistowska teoria i hitlerowskie okrucieństwo przerwały ich zawodową działalność, niosąc cierpienia moralne i fizyczne i skazując ostatecznie na męczeńską śmierć z rąk nazistów.

Andrzej Kempa
– emerytowany wicedyrektor WiMBP im. J. Piłsudskiego,
publicysta

Bibliografia:

1. *Księga adresowa miasta Łodzi i województwa łódzkiego 1937–1939*, Łódź 1937.
2. *Księga pamiątkowa Syndykatu Dziennikarzy Łódzkich*, Łódź 1939.
3. W. Kaszubina, *Bibliografia prasy łódzkiej 1863–1944*, Warszawa 1967.
4. *Kronika getta łódzkiego*, Łódź 1965–1966.
5. A. Kempa, *Sylwetki łódzkich dziennikarzy i publicystów*, Łódź 1991.
6. Cz. Łuczak, *Dzień po dniu w okupowanej Wielkopolsce i na ziemi łódzkiej (Kraj Warty). Kalendarium wydarzeń 1939–1945*, Poznań 1993.
7. *Lodz Names. List of the Ghetto Inhabitants 1940–1944*, vol. 1–5, Jeruzalem 1994.
8. A. Ochocki, *Reporter przed konfesjonalem, czyli jak się w Łodzi przed wojną robiło gazetę*, Łódź 2001.
9. A. Kempa, M. Szukalak, *Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny Żydów łódzkich oraz z Łodzią związanych*, t. 1–4, Łódź 2001–2004.
10. M. Szukalak, *Słownik biograficzny Żydów łódzkich oraz z Łodzią związanych*, Seria II, t. 1, Łódź 2007.

Zagłada elity

Naukowcy i pedagodzy ofiarami Litzmannstadt Ghetto

pierwsze kolumny

W łódzkim getcie w wyniku pierwszej fazy przesiedleń znalazło się ponad 160 tys. osób. W okresie od 17 października do 4 listopada 1941 roku przybyły tu jeszcze transporty Żydów z Austrii, Czech, Luksemburga i Niemiec (ok. 20 tys. osób), a między 7 grudnia 1941 a 28 sierpnia 1942 roku również z likwidowanych gett Kraju Warty (ok. 18 tys. osób)¹. Przygotowania do utworzenia Litzmannstadt Ghetto rozpoczęły się już na początku października 1939 roku. Ogrodzone zasiekami z drutu getto zlokalizowane było w najbardziej zaniedbanej, północnej części Łodzi, czyli na Bałutach i Starym Mieście. W sumie zajmowało ono obszar 4,13 km kwadratowych², ale dla stłoczonych tam mieszkańców zamknięty obszar wydawał się jeszcze mniejszy: *Ludzi zamknięto na niecałych czterech kilometrach kwadratowych, oddzielonych drutami i zasiekami od miasta, bez możliwości kontaktu*³.

Już w pierwszych dniach okupacji niemieckiej ludność żydowska została poddana szykanom i prześladowaniu, nałożono na nią także szereg ograniczeń prawnych. Najdotkliwszą formą eksterminacji Żydów była jednak wciąż narastająca klęska głodu, która była przyczyną ogromnej śmiertelności w getcie. Od początku okupacji władze hitlerowskie stosowały wobec mieszkańców wiele innych form krwawego terroru.

Wśród tych, których zamknięto za drutami getta, znalazło się wielu twórców kultury i nauki. Oprócz artystów, pisarzy, poetów, kompozytorów na terror i wegetację zostali skazani także liczni uczeni. Niektórzy z nich cieszyli się przed wojną światową renomą. Wielu z nich zginęło w obozie śmierci w Chełmnie nad Nerem w trakcie masowej zagłady, która trwała od 16 stycznia 1942 do 12 września 1942 roku⁴ lub zmarła z powodu wycieńczenia, głodu i chorób.

W gronie pracowników nauki, którzy stracili życie w Litzmannstadt Ghetto, znalazł się m.in. **Jakob Edmund Speyer** (1878–1942): *chemik z Frankfurtu nad Menem. Badacz wynalazł lek przeciwbólowy, zwany Eukodalem*⁵. Prowadził on także prace nad odżywianiem witaminowym. Profesor Speyer zmarł 5 maja 1942 roku na skutek wyczerpania organizmu.

Do łódzkiego getta przesiedlono także **Hugo Ditz** (1876–1942) z Pragi, profesora tamtejszej politechniki, współautora znanych dzieł encyklopedycznych. W kręgu zainteresowań badawczych prof. Ditz znalazły się zagadnienia związane z technologią chemiczną, chemią nieorganiczną i analizą chemiczną⁶. Profesor pracował m.in. nad właściwościami eteru⁷. Warto też dodać, że Hugo Ditz za osiągnięcia na gruncie naukowym

kandydował do Nagrody Nobla. W getcie pracował zaś w Chemicznym Laboratorium Farmaceutycznym. Ekstremalne warunki życia panujące w dzielnicy żydowskiej nie przeszkodziły temu uczonemu w opracowaniu nowego podręcznika chemii nieorganicznej. Jego działalność naukową przerwała śmierć, która nastąpiła 3 listopada 1942 roku, spowodowana atakiem serca.

Godną uwagi postacią jest również znany semitolog, profesor **Abraham Szalom Kamieniecki** (1874–1943). Badacz ten studiował w Heidelbergu, Berlinie i Brnie filologię semicką oraz filozofię. Po zakończeniu studiów mieszkał w Petersburgu, gdzie prowadził wykłady z gramatyki hebrajskiej, geografii Izraela i archeologii⁸. W swoich pracach naukowych podejmował zagadnienia wpływu języka aramejskiego na hebrajski. Współpracował także nad powstaniem *Wielkiej Encyklopedii Żydowskiej*. W getcie łódzkim pracował w Wydziale Szkolnictwa. Był także wizytatorem szkół i współredaktorem „Kroniki Getta Łódzkiego”.

Do kręgu wybitnych naukowców zaliczyć też trzeba matematyka, **Ludwika Berwalda** (1883–1942) z Niemieckiego Uniwersytetu w Pradze⁹. Wcześniej pracował on także krótko jako *privatdozent*¹⁰ w Monachium. Od 1929 r. kierował w Pradze katedrą matematyki, specjalizował się w geometrii, a prace naukowe poświęcał również rachunkowi różniczkowemu. 22 października 1941 roku profesor Berwald wraz z żoną zostali deportowani do getta w Łodzi. Ludwik Berwald zmarł 20 kwietnia 1942 roku, kilka tygodni po śmierci swojej żony.

Z Pragi pochodził także profesor **Bernard Heilig** (1902–1943), ekonomista oraz wykładowca na tamtejszym uniwersytecie. Heilig studiował w Szwajcarii, a tytuł doktora uzyskał z filozofii. Był on wybitnym znawcą historii gospodarczej, prowadził też prace związane z historią Żydów w Europie Wschodniej¹¹. W getcie od lutego 1942 roku pełnił funkcję współredaktora „Kroniki Getta Łódzkiego”. Śmierć tego 41-letniego profesora nastąpiła 20 czerwca 1943 roku, a jej bezpośrednią przyczyną była gruźlica.

Wśród uczonych żydowskich, których kres życia nastąpił w Litzmannstadt Ghetto, był też profesor bakteriologii i badacz schorzeń nowotworowych – **Wilhelm Caspari** (1872–1944) z Frankfurtu nad Menem¹². Caspari urodził się w Berlinie, studiował medycynę we Fryburgu oraz Berlinie. W 1895 r. uzyskał tytuł doktora medycyny i rozpoczął pracę jako asystent w Instytucie Psychologii Zwierząt Wyższej Szkoły Rolniczej w Berlinie¹³. Habilitację napisał z fizjologii żywienia. Od 1920 r. kierował oddziałem badań nad nowotworami w Państwowym Instytucie Terapii Doświadczalnej we Frankfurcie nad Menem. Wiele z publikacji profesora dotyczy zagadnień klimatologii biologicznej i onkologii. Jak podkreślają autorzy słownika biograficznego *Żydzi dawnej Łodzi*, sukces i znaczenie prac profesora sprawiły, że został on zaproszony do ośrodka badawczego w Speyersche Klinik we Frankfurcie. Pracował tam do 1933 roku. W 1930 r. Caspari przebywał zaś w Madrycie jako niemiecki delegat na Międzynarodowy Kongres Lekarzy. 19 października 1941 roku deportowano tego uczonego do getta łódzkiego. Tutaj próbował kontynuować dalsze badania naukowe nad rakiem, pracując w szpitalu przy

ul. Łagiewnickiej 34/36. Po zamknięciu placówki – od września 1942 roku – działał w Wydziale Statystycznym¹⁴. Zajmował się tam wykazami śmiertelności i opracowaniem podziału żywności według, m.in. jej kaloryczności¹⁵. Wilhelm Caspari zmarł 21 stycznia 1944 roku.

✓ Swój wkład w rozwój nauki wniósł także dr **Hugo Natanssen** (1897–1944). Był on docentem reumatologii na Uniwersytecie w Pradze. W getcie łódzkim *pracował jako specjalista w zakresie reumatologii i astmy*. 7 lipca 1944 roku został wywieziony do Auschwitz-Birkenau.

Warto też wspomnieć o profesorach – szkolnych pedagogach, którzy przyczynili się do krzewienia edukacji wśród ludności zamkniętej w łódzkim getcie. Należał do nich m.in. **Józef Zylberbogen** (1888–1944) – niestrudzony organizator szkolnictwa. Był on z wykształcenia inżynierem agronomii, a potem wykładał w I Gimnazjum Miejskim w Łodzi. Profesor wcielał w życie swoje oświatowe ideały i rozwijał dziecięce intelekty do września 1942 roku, *kiedy szkoły na terenie getta jeszcze działały* (szkolnictwo w getcie zostało zlikwidowane w październiku 1941 roku)¹⁶.

Z ogromnym sentymentem wspomina tego pedagoga Arnold Mostowicz: *To był wspólniały, cudowny człowiek [...] Z nastaniem, jak powiadam, wiosny profesor Zylberbogen prowadził nas do parku Staszica i kazał obserwować kwiaty. Liście, pędy czy nasiona wszystkich możliwych roślin, jakie znajdowały się na terenie ogrodu. Czy dzisiaj kwitną wiosną przepyszne krzewy bzu, buchające kiśćkami wonnych liliowych kwiatów? Wówczas były czymś normalnym, a obawiam się, że dziś one są tylko wspomnieniem*¹⁷. Józef Zylberbogen zginął w komórce gazowej w obozie Auschwitz.

Nauczycielem, którego wspomina Arnold Mostowicz, był także polonista **Wilhelm Fallek** ✓ (1887–1941). Pedagog przyjaźnił się z Boyem-Żeleńskim. Podczas okupacji Mostowicz znalazł w starym koszu z książkami (a takie stały od czasu do czasu do 1942 r. na łódzkich ulicach) *Wesele Figara* Beaumarchaisa w słynnej granatowej oprawie płóciennej „Biblioteka Boya”. Na karcie figurowała dedykacja „Wilhelmowi Fallkowi – w godne ręce. Boy”. Fallek zginął w czasie okupacji, a jego nazwisko znalazło się na ogłoszonej zaraz po wojnie „Liście strat kultury polskiej”¹⁸. Był on krytykiem teatralnym, doskonale znał historie teatru i literatury. I choć w 1915 r. uzyskał tytuł doktora prawa, postanowił jednak poświęcić swoje życie zawodowe dziennikarstwu i publicystyce. W Łodzi przedwojennej pracował jako polonista w I Gimnazjum Męskim Żydowskiego Towarzystwa Szkół Średnich¹⁹. Jednocześnie dużo publikował. Pisał m.in. dla „Kuriera Łódzkiego”, „Łodzian Togbłat” i „Najer Fołksbłat”.

Wkład w rozwój edukacji muzycznej miał też humanista **Feliks Halpern** (1866–1942). ✓ Był on znanym pianistą, pedagogiem i publicystą. Udzielał lekcji gry fortepianowej, był nauczycielem w szkole muzycznej Tadeusza i Ignacego Hanickich. Prowadził dział muzyczny w „Nowym Kurierze Łódzkim”, współpracował jako felietonista i sprawozdawca muzyczny z „Tygodnikiem Łódzkim Ilustrowanym”, „Godziną Polski”, „Głosem Polskim”, „Głosem Porannym” i „Prawdą”. Skomponował utwory salonowe na fortepian



m.in.: popularne niegdyś *Illusion i Jaśminy*, pieśń liryczną *W lipowe kwiaty*, czy też *A gdy na wojenkę szli ojczyźnie służyć*. Opublikował także książkę *Muzycy w anegdocie i humor muzyczny*. Wchodził w skład Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego. W łódzkim getcie mieszkał przy ul. Bolesława Limanowskiego 28. Zmarł na tyfus plamisty 3 lutego 1942 roku²⁰.

Wiele ofiar spośród przedstawicieli żydowskiej inteligencji, którzy znaleźli się w łódzkim getcie, należało niewątpliwie do elity naukowej. Wielu z nich wniosło zaś istotny wkład w rozwój oświaty w międzywojennej Łodzi. Należy podkreślić, że wybitne jednostki pochodzenia żydowskiego były częścią inteligencji polskiej, poddanej eksterminacji przez okupacyjne władze niemieckie. Ich celem było zniszczenie ludzi, którzy swoją wiedzą,

pasją i postawą zdolni byli budować autorytety, organizować życie społeczne, stanowić nierzadko wzór postępowania. Wybitni naukowcy, którzy swoimi osiągnięciami wyznaczali nowe kierunki badań i otwierali przez nich rozpoznane przestrzenie rozwojowe cywilizacji, stanowili dla zbrodniczego systemu hitlerowskiego zagrożenie.

dr Joanna Mikosz,
mgr Piotr Fąka
– pracownicy naukowcy
Katedry Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej
Uniwersytetu Łódzkiego

pierwsze kolumny

Przypisy

1. <http://www.lodzjews.org/root/form/pl/getto/index.asp>
2. *Pomiędzy życiem a śmiercią. Litzmannstadt Getto 1940–1944*, Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi. Archiwum Państwowe w Łodzi, Łódź 2004, s. 5.
3. E. Cherezińska, *Byłam sekretarką Rumkowskiego. Dzienniki Etki Daum*, Poznań 2008, s. 102.
4. *Pomiędzy życiem a śmiercią. Litzmannstadt Getto 1940–1944*, Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi. Archiwum Państwowe w Łodzi, Łódź 2004, s. 11.
5. <http://thisdayinjewishhistory.blogspot.com/2008/05/this-day-may-5-in-jewish-history.html>
6. A. Kempa, M. Szukalak, *Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny*, t. 4, Łódź 2004.
7. *Chemik Polski. Czasopismo poświęcone wszystkim gałęziom chemii teoretycznej i stosowanej*, 20.05.1905, nr 21, s. 411.
8. A. Kempa, M. Szukalak, *Żydzi dawnej Łodzi...*, op. cit.
9. <http://www-groups.dcs.st-and.ac.uk/~history/Biographies/Berwald.html>
10. *privatdozent* – nauczyciel akademicki, który uzyskał habilitację, ale nie został zatrudniony jako profesor na uniwersytecie.
11. A. Kempa, M. Szukalak, *Żydzi dawnej Łodzi...*, op. cit.
12. <http://www.fotopolis.pl/index.php?n=2218>
13. A. Kempa, M. Szukalak, *Żydzi dawnej Łodzi...*, op. cit.
14. *Pomiędzy życiem a śmiercią. Litzmannstadt Getto 1940–1944*, Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi. Archiwum Państwowe w Łodzi, Łódź 2004, s. 50.
15. A. Kempa, M. Szukalak, *Żydzi dawnej Łodzi...*, op. cit.
16. A. Mostowicz, *Łódź, moja zakazana miłość*, Łódź 1999, s. 17.
17. *Ibidem*, s. 18.
18. *Op. cit.*, s. 32.
19. A. Kempa, M. Szukalak, *Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny*, t. 1, Łódź 2001.
20. *Ibidem*.

Łódzki Umschlagplatz

Stacja Radegast

Stacja Radegast to przedwojenny „punkt przeładunkowy”, zbudowany w trakcie realizacji odcinka od stacji Łódź-Widzew do Zgierza, będący fragmentem projektowanej magistrali z Łodzi do Brodnicy, pomyślonej jako dodatkowe połączenie towarowe Zagłębia z Bałtykiem¹.

Prace przy tym odcinku rozpoczęto już w 1919 r., ale w roku następnym wstrzymano z powodu wojny polsko-bolszewickiej. Wznowiono je w 1926. Dla budowy radogoskiego „punktu przeładunkowego”, który początkowo był tylko mijanką, inwestor – Polskie Koleje Państwowe – wykupił część gruntów folwarku Marysin. Ruch tymczasowy otwarto tu 15 października 1926 roku.

Niepewne są daty budowy tu rampy i placu przeładunkowego. Według danych inwentarzowych PKP rampa powstała w 1928 r., a budowę magazynu rozpoczęto w 1933 roku. W końcu lat 30. XX wieku powstał na północnym krańcu stacji (od strony Zgierza) jednopiętrowy, murowany budynek stacyjny z nastawnią dysponującą, niewykończony do wybuchu wojny, a w okolicy wiaduktu, na ul. Strykowskiej, parterowa nastawnia wykonawcza. Z dostępnych dokumentów nie wynika jednoznacznie, aby do wybuchu II wojny światowej dokonywano tu jakichś przeładunków.

Intensywny rozwój tego „punktu przeładunkowego” rozpoczął się dopiero wraz z powstaniem i funkcjonowaniem łódzkiego getta. W tym też czasie stał się on swego rodzaju „stacją” getta.

Tutaj przywożono transporty Żydów, najpierw z odleglejszych obszarów województwa łódzkiego, a w 1942 r. z Europy Zachodniej. Tutaj przywieziono też 5000 Cyganów z pogranicza austro-węgierskiego.

Stąd również wywożono mieszkańców getta najpierw do miejsca zagłady w Chełmnie nad Nerem (Kulmhof am Nehr; linią normalnotorową do Koła, a stamtąd kolejką wąskotorową). Tu podczas ostatecznej likwidacji getta upychano w pociągach Żydów przed ich końcową podróżą do komór gazowych KL Auschwitz.

Jednak przede wszystkim w okresie istnienia Litzmannstadt Ghetto stacja Radegast była miejscem przeładunków towarowych, służącą dostarczaniu surowców i wywożeniu produktów getta.

Dla realizacji tych zadań teren stacji Radegast został powiększony o dodatkowy obszar w kierunku ul. Strykowskiej (w sumie ok. 81 000 m²) i został ogrodzony takim samym płotem jak całe getto. Teren stacji miał kształt zbliżony do trójkąta, którego podstawa znajdowała się w okolicy obecnej al. Pamięci Ofiar

Litzmannstadt Ghetto (fragment dawnej ul. Stalowej), a wierzchołek w rejonie wiaduktu na ul. Strykowskiej. W budynku stacyjnym, na parterze pomieszczono posterunek policji niemieckiej nadzorującej ten teren. Ponadto ułożono dodatkowy ślepy tor bocznicowy od strony ul. Inflanckiej, przystosowano istniejący tor ładunkowy przy placu i rampie do funkcji boczniczy oraz wzniesiono cztery baraki (wg innych informacji – osiem). Prawdopodobnie dopiero wtedy powstał drewniany budynek magazynowy z rampą, postawiony na przedwojennych fundamentach, który dziś jest symbolem tej stacji i elementem zespołu pomnikowego.

Podczas tych prac, dostosowujących „plac” do funkcji „stacji”, poszerzono też wykop, w którym były ułożone na tym odcinku tory szlakowe. Ziemię z niego wywożono na budowę nasypu biegnącego z Chojen w kierunku powstającej dużej stacji rozrządowej na Olechowie. Przy pracach tych zatrudniono mieszkańców getta. Wszystkie te prace przeprowadzono najprawdopodobniej od drugiej połowy 1940 roku do końca pierwszej połowy roku następnego.

Na przełomie lat 1941/1942 doprowadzono do stacji tor tramwaju gettowskiego (Elektrische Strassenbahn Ghetto), który zakończono kilkudziesięciometrowym podwójnym torem.

Teren „stacji Radegast” był przez cały okres jej funkcjonowania własnością kolei (Deutsche Reichsbahn), użytkowanym bezpłatnie i bez stosownej umowy przez niemieckie władze Litzmannstadt, a pośrednio także przez Ghettoverwaltung. Działania kolei zmierzające w kierunku uregulowania jej stanu prawnego poprzez podpisanie stosownej umowy dzierżawnej nie zostały sfinalizowane do końca okupacji

pierwsze kolumny



niemieckiej w Łodzi. Z tego powodu teren stacji nie był uwzględniany na ówczesnych planach getta, ale praktycznie stanowił jego nierozdzielalną całość. Od właściwego terenu getta oddzielała go obecna ul. Inflancka. Tu, na wysokości skrzyżowania z ul. Jana Kolińskiego, znajdowały się bramy getta i stacji, które były otwierane pod kontrolą posterunku policyjnego dla przepuszczenia wozów, tramwaju lub ludzi w jedną i drugą stronę.

Z zapisów w nielicznie zachowanych kartach pracy brygad gettowych tramwajów wynika, że ludzi wagonami dowożono tylko do mijanki przy nieistniejącym dziś skrzyżowaniu ul. Marysińskiej i Jagiellońskiej (obecnie Jana Kolińskiego). Dalej szli oni pieszo².

Z tym samym kart pracy dowiadujemy się, w jakich dniach, godzinach, co i gdzie wywożono ze stacji do getta lub wwożono na jej teren.

Stacja pojawia się w dokumentach pod kilkoma nazwami: „Ghettobahnhof-Radegast”, „Verladeanlage Radegast”. Na planie inwentaryzacyjnym torów Urzędu Pomiarowego Kolei Niemieckich, oddz. Poznań (Reichsbahnvermessungsamt, Posen) z października 1944 roku nazwa tej bocznicy to „Privatgleisanschluss, Verladeanlage in Litzamnnstadt-Waldborn der Ghettoverwaltung, Litzmannstadt”. „Waldborn” to ogólna okupacyjna nazwa tego rejonu Łodzi, na terytorium którego znajdowała się stacja.

W getcie używano popularnie nazw „bahnhof”, „bahnhof Radegast”, „stacja Radegast” lub „stacja na Marysinie”.

Po wojnie stacja powróciła do swojej pierwotnej funkcji mijanki i placu przeładunkowego. Już w 1946 r. zdemontowano na ulicach getta całą linię tramwajową „na Marysin” (na obecnych Marysińskiej i Jana Kolińskiego) wraz z torem i bocznica na „stacji Radegast”. Prawdopodobnie, m.in. w celu przedłużenia linii na ul. Gabriela Narutowicza do „Radiostacji”. Chyba również w tym samym czasie likwidacji uległy wszystkie cztery drewniane baraki powstałe w czasie okupacji. Ostał się jedy-



nie budynek z rampą w bezpośredniej bliskości torów. Na początku lat 50. XX wieku stacja zaczęła pełnić funkcję tylko posterunku bocznicego dla obsługi ulokowanych w pobliżu magazynów hurtowych. W tym samym czasie wyłączono z eksploatacji nastawnię dysponującą, służącą później jako posterunek dróżnika. W latach 70. urządzono w niej na parterze poczekalnię, a na piętrze mieszkania. Poczekalnia powstała w związku z koncepcją pasażerskiej obwodnicy kolejowej dookoła Łodzi, która jednak po wstępnych pracach nie została uruchomiona. W związku z tym w drugiej połowie lat 70. cały budynek nastawni został przekształcony w dom mieszkalny dla pracowników kolei.

Definitywnie zrezygnowano z użytkowania placu na przełomie lat 80. i 90. XX wieku, gdy dotychczasowi klienci kolei przeszli na transport samochodowy. W latach 90. XX wieku zlikwidowano tu część torów i rozjazdów, pozostawiając tor szlakowy i odcięte od niego tory boczne. W ich ciągu zachowała się szyna z zakładów „Kruppa” z zaznaczonym rokiem produkcji – 1939 (aktualnie eksponat w „Tunelu Deportowanych”).

Budynek z rampą długi czas stał nieużywany, aż w końcu wydzierżawiono go na prywatną stolarnię. W drugiej połowie lat 90. połowa budynku spłonęła od przypadkowo zaproszonego ognia.

W roku 2004 na części byłego terenu stacji, w 60. rocznicę likwidacji łódzkiego getta, miasto zbudowało, według autorstwa architekta Czesława Bieleckiego, zespół memoriałowy składający się z zachowanego dawnego budynku magazynowego z rampą, długiego na 140 m „Tunelu Deportowanych” oraz tzw. „Holu miast” (Hall of Towns).





Elementem memoriału jest też parowóz niemieckiej wojennej produkcji serii „52” z podberlińskiej fabryki Berliner Maschinenbau AG, vorm. L. Schwartzkopff, o numerze bocznym 52 6340 (nr fabryczny 12793), wyprodukowany w 1944 roku. Po wojnie eksploatowany pod polskim oznakowaniem „Ty2” z numerem bocznym 702 (Ty2-702), sprowadzony po restylizacji ze skansenu kolejowego w Karsznicach. Wraz z nim ustawiono też dwa oryginalne, niemieckie, kryte wagony towarowe, podobne do takich, jakimi wywożono mieszkańców getta do miejsc zagłady³.

Od marca 2009 roku teren stacji Radegast jest oddziałem Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi.

Wojciech Źródłak

– historyk; kustosz Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi

Przypisy:

1. M. Jerczyński, T. Roszak, *Szlakiem łódzkiej kolei*, Łódź 2003, s. 65–67; J. Baranowski, *Getto w Łodzi, 1940–1944. Vademecum*, Wyd. 2, Łódź 2003, ss. 117–119 (rozdz. *Stacja przeładunkowa getta na Radogoszczu*).
2. APŁ, PSŻ, sygn. 2338 (140 kart pracy brygad tramwajowych Elektrische Strassenbahn Getto z okresu 16 VII 1942– 20 VII 1944).
3. T. Roszak, *Parowóz Ty2-702 (52 6340)*, w: „Świat Kolei”, 11/2007, ss. 4–5; M. Jerczyński, *Łódź-Radogoszcz – stacja-pomnik*, w: „Świat Kolei”, nr 12/2005, ss. 16–21.

Na fotografiach fragmenty Zespołu Memoriałowego „Radegast”
Fot. Marek Strąkowski

Pozory normalności – prasa i ogłoszenia

*Źródła historyczne do badań
nad dziejami dzielnicy żydowskiej*

pierwsze kolumny

Zamknięta i odizolowana od pozostałych części Łodzi dzielnica żydowska korzystała z narzuconej przez niemiecką machinę wojenną pseudoautonomii, mającej stwarzać pozory normalności. Jednym z przejawów owej „autonomiczności” getta była prasa.

Prezes Chaim Rumkowski postanowił stworzyć pismo, redagowane całkowicie w getcie łódzkim: *Trzeba nam prawdziwego archiwum naszej pracy tutaj. Dla potomności. [...] Getto powinno mieć własną gazetę. Byłam zdumiona, ale oczywiście nie okazałam tego. Gazetę? O czym pisać miałyby ta gazeta? O przydzielach żywnościowych? O heroicznym wysiłku ludzi, którzy głodni stoją przy maszynach i budują potęgę getta? Jak on znajduje czas, żeby w tym nawale zająć myśleć o takich rzeczach?*¹ – zanotowała Etki Daum, sekretarka Rumkowskiego.

Biuletyn Kroniki Codziennej

12 stycznia 1941 roku pojawił się pisany na maszynie „Biuletyn Kroniki Codziennej”. Rumkowski zamierzał skupić wokół „Kroniki Getta” ludzi pióra i zaoferować im pracę dziennikarską. Jej treścią stało się regularne zbieranie i opracowywanie informacji, jak też publikowanie danych statystycznych wszystkich dziedzin zbiorowego życia getta łódzkiego na przestrzeni lat 1941–1944. Pismo powstało w Archiwum – piątej komórce Wydziału Ewidencji Ludności Litzmannstadt Ghetto. Powołano je do życia bez zgody, ale za wiedzą Niemców, a prowadził je zespół kilkunastu osób zatrudnionych w Wydziale Archiwum getta. Jednym z jego redaktorów był kronikarz dzielnicy żydowskiej – Bernard Ostrowski, który na potrzeby pisma przeprowadzał m.in. *wywiady ze świadkami początków getta. [...] Spisywał to wszystko, robił wywiady i pytał czasami, jak to mówię, że Pan Prezes wszystkiego tego (organizacji getta) dokonał osobiście*².

W „Kronice” pisano o różnych wydarzeniach, mających miejsce w getcie. Często był to lapidarny opis tragedii: *Na terenie szpitali odgrywały się dramatyczne sceny. Próby ucieczki likwidowane były krwawo: kto próbował ratować się ucieczką, a został przez władze spostrzeżony, musiał opłacić to życiem*³. Warto też zwrócić uwagę na bardzo wartościowe teksty, jakimi są reportaże autorstwa między innymi Oskara Singera i Bernarda Heiliga. Regularnie zamieszczane były publikacje

№ 2

דער עלטסטער פון די יידן אין ליצמאנשטאט

פרייו 10 פעניג

טריטע פון דרוקסטיק:
דארטשאפט 1

אומגעפער 1000 יידן געווען
דיין דירעקטאָר פון 7 אָרטן

געטאָ = צײַטונג

פאר אינפארמאציע,
פאר ארדענונג און באקאנטשאַפֿונג

Litzmannstadt-Getto, den 14. März 1941.

ליצמאנשטאָט, מיטוואך דעם 14טן פון מרץ 1941

ארבעט און שפארזאמקייט

אין די פארגאנגענע טעג איז דער ארבעט
אין דעם געטאָ געווען אַזוי גוט ווי
אין די פארגאנגענע טעג. און דער
אומגעפער 1000 יידן געווען
דיין דירעקטאָר פון 7 אָרטן.

אין דער שטאָט איז אַזוי גוט ווי
אין די פארגאנגענע טעג. און דער
אומגעפער 1000 יידן געווען
דיין דירעקטאָר פון 7 אָרטן.

אין דער שטאָט איז אַזוי גוט ווי
אין די פארגאנגענע טעג. און דער
אומגעפער 1000 יידן געווען
דיין דירעקטאָר פון 7 אָרטן.

דורך ריינקייט ראפערעסעו דיין געזונט און לעבן!

דאָרג פאר קראַנקע - השגחה איבערו קינד

אין דער שטאָט איז אַזוי גוט ווי
אין די פארגאנגענע טעג. און דער
אומגעפער 1000 יידן געווען
דיין דירעקטאָר פון 7 אָרטן.

אין דער שטאָט איז אַזוי גוט ווי
אין די פארגאנגענע טעג. און דער
אומגעפער 1000 יידן געווען
דיין דירעקטאָר פון 7 אָרטן.

אין דער שטאָט איז אַזוי גוט ווי
אין די פארגאנגענע טעג. און דער
אומגעפער 1000 יידן געווען
דיין דירעקטאָר פון 7 אָרטן.

פאַר אַלע ייִדישע יונגע מענטשן

אין דער שטאָט איז אַזוי גוט ווי
אין די פארגאנגענע טעג. און דער
אומגעפער 1000 יידן געווען
דיין דירעקטאָר פון 7 אָרטן.

אין דער שטאָט איז אַזוי גוט ווי
אין די פארגאנגענע טעג. און דער
אומגעפער 1000 יידן געווען
דיין דירעקטאָר פון 7 אָרטן.

אין דער שטאָט איז אַזוי גוט ווי
אין די פארגאנגענע טעג. און דער
אומגעפער 1000 יידן געווען
דיין דירעקטאָר פון 7 אָרטן.

דאָס נעמען פון די היינטיגע ייִדישע

אין דער שטאָט איז אַזוי גוט ווי
אין די פארגאנגענע טעג. און דער
אומגעפער 1000 יידן געווען
דיין דירעקטאָר פון 7 אָרטן.

אין דער שטאָט איז אַזוי גוט ווי
אין די פארגאנגענע טעג. און דער
אומגעפער 1000 יידן געווען
דיין דירעקטאָר פון 7 אָרטן.

אין דער שטאָט איז אַזוי גוט ווי
אין די פארגאנגענע טעג. און דער
אומגעפער 1000 יידן געווען
דיין דירעקטאָר פון 7 אָרטן.

dotyczące niemal każdego obszaru życia społecznego. Oto treści, jakie znalazły się w „Kronice” we wrześniu 1941 roku: pogoda, informacje o aresztowaniach, liczbie zgonów, narodzinach i samobójstwach, postrzeleniu, pożarach. Są także dość szczegółowe informacje na temat chorób zakaźnych panujących w getcie, zmniejszaniu racji żywnościowych, „amnestiach” i urlopowaniu więźniów. Autorzy „Kroniki” zanotowali także fakty częstych kradzieży oraz inspekcji w różnych działach gettovej administracji.

Pozory normalności to wzmianki o święcie lata, uruchomieniu tramwaju, spadku cen żywności, pojawieniu się nowego sprzętu dla straży pożarnej. Jednocześnie dokładnie odnotowane zostały fakty dotyczące transportów ludności żydowskiej z Łodzi, choć oczywiście brak informacji, jaki był los deportowanych. Obok siebie na kartach „Kroniki” sąsiadują teksty zatytułowane *Ożywienie w restauracjach*, *Pomysłowi złodzieje* i *Obóz cygański*. Z kart „Kroniki” można dowiedzieć się o trudnościach w werbowaniu pracowników, alarmach przeciwlotniczych czy wizytacjach prezesa Rumkowskiego. Kronikarze odnotowali również informację o zawaleniu się murów kościoła, wypadkach, ostatecznych wysiedleniach do getta, narodzinach i śmiertelności wśród nowo przybyłych, życiu kulturalnym (głównie o koncertach odbywających się w getcie), ślubach (także o ślubie prezesa), budowie drogi na cmentarz, kuchni dla inteligencji, procesach o zabójstwo, obchodach chanukowych oraz o dwudziestu tysiącach paczek cukierków przesłanych dla dzieci przez Chaima Rumkowskiego przy okazji świąt chanukowych (landrynki wyprodukowała marysińska fabryka). Wśród mnogości notatek czysto informacyjnych znaleźć można też opisy pełne emocji, przedstawiające nastrój niepokoju.

Jak podkreśla gettowy lekarz i późniejszy pisarz – Arnold Mostowicz: *Autorzy prowadzili więc „Kronikę” tak, ażeby Niemcy, gdy przyjdzie im ochota rzucić na nią okiem, nie mogli nic zakwestionować. [...] kronikarze gettowi przyjęli zasadę, iż skoro nie można mówić źle o zbrodniarzach, mówić trzeba o ich ofiarach. Potrafili tak formułować informacje, notatki, dane, aby nie wspominając o gwałtach i zbrodniach, dać przyszłym historykom do ręki materiał niepozostawiający żadnej wątpliwości co do losów zamkniętych w getcie Żydów. Oczywiście trzeba umieć tę „Kronikę” odpowiednio czytać. Trzeba pamiętać, że kiedy mowa o wysiedleńcach, oznacza to wysyłki do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem, gdzie mordowano Żydów w zamkniętych samochodach ciężarowych z wmontowanymi do wnętrza rurami wydechowymi. Kiedy mowa o skupie futer, biżuterii, marek – oznacza to bezlitosny rabunek. Kiedy mówiono o zmarłych na atak serca albo z powodu zasłabnięcia w lokalu Kripo, oznacza to śmierć na skutek tortur. Za każdą na pozór beznamietną informacją kryje się prawda⁴.*

„Kronika” została stworzona przez kilkanaście osób. Wśród nich byli m.in.: Bernard Ostrowski, Józef Klementynowski, Julian Stanisław Cukier Cerski (był przewodniczącym kolegium redakcyjnego „Kroniki”, zmarł w kwietniu 1943 r. na gruźlicę płuc), Abraham Kamieniecki, Józef Zelkowicz, Oscar Singer i Oskar Rosenfeld.

„Kronika Getta Łódzkiego” stanowi nieocenione źródło historyczne do badań nad dziejami getta łódzkiego. To bardzo ważny, bo wszechstronny, zbiór informacji, wykorzystywany przez ludzi nauki do badań wydarzeń tamtego okresu.

„Geto-Cajtung”

Pierwszy numer „Geto-Cajtung” ukazał się 7 marca 1941 roku. Gazeta w całości redagowana była w języku jidysz. Był to tygodnik, oficjalny organ Starszeństwa Żydów w getcie łódzkim, przeznaczony do publikowania rozporządzeń i ogłoszeń: *Tam ukazywały się*

obwieszczenia Prezesa Rumkowskiego⁵. Już w pierwszym numerze znalazł się jego artykuł skierowany do młodzieży pt. *Do młodzieży zwracam mój zew*.

W przekonaniu, że dla nas Żydów jedynym wyjściem w obecnej chwili jest występowanie w charakterze dobrych fachowców we wszystkich zawodach, postanowiłem rozszerzyć sieć zatrudniania również dla niefachowców, a w pierwszym rzędzie dla młodzieży, która za wszelką cenę musi zostać elementem produktywnym, by móc wyżyć się w pracy... Ponieważ nie ma możliwości przyjęcia do fabryk całej młodzieży pragnącej wiedzy fachowej, trzeba będzie przeprowadzić selekcję kandydatów. Zbadane zostaną zdolności, inteligencja, stan zdrowia i warunki materialne wszystkich zgłaszających się, przede wszystkim ich sumienność i zachowanie się oraz czy traktują pracę jako sprawę swojej egzystencji w przyszłość⁶.

Pomysł powstania gazety należał do prezesa Rumkowskiego, który był także wydawcą pisma. Już w 1940 r. planował druk pierwszego numeru, jednak opóźnienia w dostawie maszyny powielającej – hektografu, pozwoliły na rozpoczęcie publikowania periodyku dopiero od 1941 roku. Co ciekawe, z powodu braku podręczników szkolnych do nauki jidysz w getcie łódzkim korzystano ze starych numerów gazety „Geto-Cajtung”, wybierając artykuły, które nadawały się dla młodzieży szkolnej.

Redaktorem gazety gettovej został z polecenia prezesa Rumkowskiego – Szmul Rozensztejn (1898–1944). Był on nauczycielem i dziennikarzem. W dzielnicy żydowskiej należał także do koła literackiego prowadzonego przez Miriam Ulinower.

Każdy numer „Geto-Cajtung” był tłumaczony na język niemiecki i przesyłany do niemieckiej Policji Kryminalnej (Kripo). Jak pisze Monika Polit: *jestem [...] najgłębiej przekonana, że jego [Chaima Rumkowskiego] związek z gazetą miał też inny wymiar – ideologiczny. Rumkowski uczynił z niej trybunę, z której ogłaszał ludności getta swoją niewzruszoną wolę – i nie znosząc sprzeciwu – dyktował jej warunki egzekucji. Poddane Rumkowskiemu łamy służyły promocji jego jedynowładztwa i forsowaniu jego wizji gettovejgo świata. Doskonałą tego ilustracją stanowi umieszczony na*



pierwszej stronie pierwszego numeru podpisany przez Rumkowskiego tekst programowy „Geto-Cajtung”⁷.

Pismo nie ukazywało się jednak regularnie, ale w okresie od marca do końca września 1941 roku wyszło 18 numerów. I tak: nr 1 (7 marca 1941), nr 2 (14 marca 1941), nr 3 (21 marca 1941), nr 4 (brak w materiale archiwalnym, prawdopodobnie 28 marca 1941), nr 5 (4 kwietnia 1941), nr 6 (11 kwietnia 1941), nr 7 (17 kwietnia 1941), nr 8 (25 kwietnia 1941), nr 9 (2 maja 1941), nr 10 (11 maja 1941), nr 11/12 (18 maja 1941), nr 13 (20 czerwca 1941), nr 14 (brak w materiale archiwalnym), nr 15 (1 sierpnia 1941), nr 16 (17 sierpnia 1941), nr 17 (14 września 1941), nr 18 (21 września 1941).

Objętość „Geto-Cajtung” wahała się między czterema a sześcioma stronami. Nad tytułem numeru pierwszego widnieją słowa: „Przełożony Starszeństwa Żydów w Getcie Łódzkim”. Cena wynosiła 10 fenigów, a redakcja mieściła się przy Dworskiej 1. Na pierwszej stronie pierwszego numeru został zamieszczony, podpisany przez Rumkowskiego, program pisma⁸. Wśród stałych działów można zauważyć opisy wydarzeń, kącik poetycki z wierszami sygnowanymi nazwiskiem Berman oraz ogłoszenia. Dla przykładu, numery wrześniowe zawierają między innymi mowę prezesa o systemie zasiłkowym, artykuł o działalności wydziału personalnego, ogłoszenia o poszukiwaniu pracowników do fabryki, informację o karach za przewinienia (wykaz osób skazanych głównie za kradzież węgla, cukru, warzyw czy za łapówki). W przypadku kradzieży żywności na ogół karą było kilka tygodni więzienia.

Pismo przestało ukazywać się 21 września 1941 roku⁹. Przyczyną jego zawieszenia był brak papieru. Po wydaniu ostatniego numeru gazety, Rozensztejn opublikował jeszcze dwa kalendarze na rok 1942 i 1943¹⁰, w których zawarł informacje o wydarzeniach z getta.

Getto w świecie ogłoszeń

W getcie łódzkim ogłoszenia były rozwieszane niemal wszędzie: na słupach, tablicach, sklepach i budynkach pełniących funkcje publiczne. Stanowiły one istotny element życia społecznego. Były też praktycznym instrumentem wymiany informacji i pozwalały na kontakt z szerokim audytorium. Powiadały o tym, co dla ludzi było ważne w danym momencie i czego powinni być świadomi. Do codziennych nośników informacji należały: ogłoszenia (także drobne), obwieszczenia, drobne komunikaty, anonse, nekrologi. Obwieszczenia były drukowane głównie w trzech językach, po polsku, w jidysz i po niemiecku. Ich autorem był Przełożony Starszeństwa lub władze niemieckie. Powielano je w drukarni przy dzisiejszej ulicy Wojska Polskiego 10. Anonse i drobne ogłoszenia rozwieszali również mieszkańcy oferujący lub poszukujący określonych produktów czy usług.

Ogłoszenia pojawiające się w dzielnicy żydowskiej pełniły rozmaite funkcje. Po pierwsze, odgrywały ważną rolę w podtrzymywaniu na duchu zgnębionej ludności getta i wzniewały uczucia solidaryzmu. Należały do nich wszelkiego rodzaju anonse informujące o wydarzeniach kulturalnych, np.: koncertach, recitalach, wysta-

wach, premierach teatralnych. Placówką będącą centrum kultury, która wspierała różne inicjatywy artystyczne, był Dom Kultury, mieszczący się przy ul. Krawieckiej 3. Tu odbywały się koncerty orkiestry symfonicznej pod batutą znanego przedwojennego dyrygenta – Teodora Rydera, a także recitale Bronisławy Rotszajtowej i śpiewaka tenorowego – Nikodema Sztajmana. Warto też dodać, że wspomniany wyżej solista miał też występy przy akompaniamencie Teodora Rydera – o czym informowały oczywiście gettowe ogłoszenia – w kuchni przy ul. Zgierskiej 41. Nikodem Sztajman odśpiewywał arie, m.in. z oper Pucciniego, Verdiego i Czajkowskiego. Jego koncerty spotykały się z bardzo entuzjastycznym przyjęciem. Pod batutą Rydera odbyło się też głośne wydarzenie muzyczne, które miało miejsce 6 lipca 1941 roku. Jak odnotowano w „Kronice Getta Łódzkiego”: *W środę odbył się koncert orkiestry symfonicznej. Koncert urozmaicony był przecudną grą na fortepianie wiedeńczyka Birkenfelda. Wykonawca z wielkim talentem odegrał następujące utwory: „Nieskończoną symfonię” Schuberta, „Sonatę księżycową” Beethovena, „II Rapsodię” Liszta i kilka utworów Mendelssohna. Grą swą Birkenfeld formalnie oczarował publiczność¹*. Warto zwrócić uwagę na postać Teodora Rydera (1881–1944), znakomitego pianisty i dyrygenta, który przed wojną pracował





jako dyrygent między innymi dla Łódzkiej Orkiestry Symfonicznej i łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia¹². Do getta został przesiedlony w 1940 r., gdzie kontynuował swoją działalność. Został uśmiercony w sierpniu 1944 roku.

Jak wynika z lektury gettowych ogłoszeń, programami muzyki popularnej i amatorskim teatrem rewiowym kierował zaś Dawid Bajgelman. I tak np. 18 lipca 1942 roku po raz dwudziesty Dom Kultury wystawił rewię numer trzy. Obejrzało ją w sumie ok. 10 000 widzów¹³. Dawid Bajgelman (1888 – 1944) był znanym skrzypkiem, dyrygentem i kompozytorem. W swojej karierze artystycznej odbył tournée po Afryce, Ameryce Południowej i Francji¹⁴. Pod koniec lat 20. XX wieku nawiązał stałą współpracę z łódzkim teatrem „Ararat”. 1 marca 1941 roku orkiestra pod batutą Bajgelmana zagrała pierwszy koncert symfoniczny w Litzmannstadt Ghetto. W łódzkim getcie dyrygent prowadził orkiestrę do czerwca 1942 roku. W 1944 roku został wywieziony do Auschwitz i tam zginął w komorze gazowej¹⁵.

Ogłoszenia w dzielnicy żydowskiej pełniły także funkcję informacyjną. Powiadamiały o działalności różnych placówek, np. towarzystwa sportowego „Makkabi”, które mieściło się przed wojną przy ul. Kościuszki 21. W anonsach zapowiadano także różne istotne wydarzenia, np. powoływanie przyspieszonych sądów na terenie getta lub obwieszczenie o możliwości otwierania Domów Modlitw w dzielnicy żydowskiej.

Mieszkańcy getta zostali także poinformowani za pośrednictwem obwieszczeń o wprowadzeniu tzw. „kwitów markowych” na terenie dzielnicy żydowskiej. Od 27 czerwca 1940 roku rozpoczęła się bowiem wymiana pieniędzy, która trwała do 8 lipca 1940 roku. Do końca istnienia getta bony te były jedyną, obowiązującą i oficjalną walutą na terenie getta. Potem specjalne gettowe marki (nazwane „rumkami”) zastą-

BEKANNTMACHUNG 100.**Bei: ARBEIT
AUSSERHALB des GETTOS.**

Hiermit gebe ich bekannt, dass
**gesunde, kräftige Männer im Alter von 18 bis 40 Jahren
Arbeit ausserhalb des Gettos erhalten können,**

Sie erhalten für die Arbeit LOHN, Unterkunft
und volle Verpflegung. Die Verpflegungskosten
werden von ihrem Lohn abgezogen. Den Rest
des Lohnes können sie ihren Familien im Getto
zukommen lassen.

Obese Arbeitsprogramme mit einer Erleichterung für Arbeitnehmer, dann

- 1) ist ihnen damit eine Arbeits- und Verdienstmöglichkeit
geboten
- 2) werden sie satt, denn sie erhalten volle Verpflegung,
- 3) können sie ihre Familien im Getto unterstützen

Ein Mann darf nicht älter als 40 Jahre sein. Er muss gesund und kräftig sein.
Seine Frau darf nicht älter als 40 Jahre sein. Sie muss gesund und kräftig sein.
Seine Kinder dürfen nicht älter als 14 Jahre sein. Sie müssen gesund und kräftig sein.
Seine Eltern dürfen nicht älter als 60 Jahre sein. Sie müssen gesund und kräftig sein.
Seine Geschwister dürfen nicht älter als 18 Jahre sein. Sie müssen gesund und kräftig sein.

Seine Arbeitsleistung muss für die deutsche Wirtschaft nützlich sein.
Seine Arbeitsleistung muss für die deutsche Wirtschaft nützlich sein.
Seine Arbeitsleistung muss für die deutsche Wirtschaft nützlich sein.

Die Registrierung und Unterscheidung der Arbeiter beginnt

am Sonntag den 24. November 1940 um 16 Uhr,
in meinem Ambulatorium Hansaatenstr. 36.

Es werden vorläufig nur 500 Arbeiter aufgenommen.

Personal - Ausweis mit Lichtbild (Pass, Geburtschein,
Krankheitsbuch oder Identitätskarte) ist mitzubringen.

Wer ohne Ausweis erscheint, wird nicht angenommen

(-) **DR. HELMUT WAGNER**

Der Achse der Juden

- Unversteht

Erstausgabe: Bonn, den 11. 11. 1940

*i zabór mienia, żeby ludzie mogli je legalnie
sprzedac⁶⁷,*

- konieczność oddania wszelkich wyrobów
ze srebra i złota (1944 r.),
- obwieszczenie informujące o zakazie po-
ruszania się w getcie,
- powołanie do życia z dniem 16 marca
1941 roku „sądu przyspieszonego”, którego
zadaniem było ściganie przestępstw przeciw
ważnym interesom ogółu,
- obowiązek przesiedlenia.

Te drugie to:

- nakaz zaciemniania mieszkań i war-
sztatów pracy po zmroku (15 kwietnia
1941 r.),
- zarządzenia obrony przeciwlotniczej,
- obwieszczenie informujące o podwyżce
zasiłków,
- informacja o półkoloniach i koloniach.
(Obwieszczenie to pojawiło się 28 czerwca

1940 roku, dla dzieci w wieku 4–7 lat zorganizowano półkolonie na wolnym powie-
trzu z krytą jadalnią od godziny 8 rano do 19 wieczorem i trzy posiłki w ciągu dnia,
natomiast dla dzieci w wieku 7–15 – kolonie letnie z całodziennym utrzymaniem
i opieką lekarską),

- obwieszczenie o działalności biura Komisji Zasiłków, które dostarczało pomocy
głodującym,
- obwieszczenie o możliwości pracy poza gettem, skierowane do mężczyzn w wieku
18–40 lat (z 19 listopada 1940 r.).

Ogłoszenia donosiły o decyzjach kary śmierci, np. obwieszczenie
o rozstrzelaniu doktora U. Schulza, skazanego za zamach na urzędnika niemieckiej
policji.

Ogłoszenia drobne

Interesującą grupę stanowi zbiór anonsów i drobnych ogłoszeń, które pisane były
w przeważającej części odręcznie po polsku lub w jidysz. Czasami pełniły one funk-
cję reklamy, pozwalając poznać codzienne życie w getcie. Wśród nich znajdziemy ta-
kie ogłoszenia jak np.: sprzedaż kawy, oferta obiadów („smaczne zupy domowe”),
czyszczenie i prasowanie odzieży, kupno i sprzedaż starych mebli, sprzedaż artykułów
aptecznych (taka oferta pojawiła się przy Młynarskiej 16, a można było nabyć m.in.:
krople walerianowe, krople miętowe, jodynę, kamforę, glicerynę), zebrania cechów

pierwsze kolumny

i grup zawodowych (np. gorseciarek), korepetycje z języka hebrajskiego, niemieckiego, angielskiego, rosyjskiego, francuskiego, matematyki (oferowane np. w mieszkaniu przy ul. Lutomierskiej 13), sprzedaż sprzętów domowych i ubrań (np.: kotłów cynkowych, palt, piecyka pokojowego), wykonanie okularów, wróżenie z ręki i twarzy przy ul. Młynarskiej 91a, pralnia chemiczna przy ul. Dworskiej 42, wypożyczalnia książek dla dorosłych i dzieci (np. przy ul. Wolborskiej 44 i ul. Bazarnej 7), czytelnia dla dzieci przy ul. Zgierskiej 12, porady lekarskie itp.

Czytając obwieszczenia i ogłoszenia, możliwe staje się bliższe poznanie codziennego życia mieszkańców łódzkiego getta, zrozumienie problemów i rygorów, z jakimi musieli mierzyć się każdego dnia oraz prześledzenie – poprzez te ulotne zazwyczaj dokumenty – postępującej degradacji materialnej przeznaczonej na zagładę zamkniętej za drutami społeczności łódzkich Żydów.

dr Joanna Mikosz,
mgr Piotr Fąka

– pracownicy Katedry Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej
Uniwersytetu Łódzkiego

Przypisy:

1. E. Cherezińska, *Byłam sekretarką Rumkowskiego. Dzienniki Etki Daum*, Poznań 2008, s. 99.
2. *Ibidem*, s. 136.
3. *Pomiędzy życiem a śmiercią. Litzmannstadt Getto 1940–1944*, Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi. Archiwum Państwowe w Łodzi, Łódź 2004, s. 47.
4. A. Mostowicz, *Łódź moja zakazana miłość*, Łódź 1999, s. 37.
5. E. Cherezińska, *op. cit.*, s. 131.
6. I. Rubin, *Żydzi pod niemiecką okupacją 1939–1945*, Londyn 1988, s. 324.
7. M. Polit, „Geto-Cajtung” – gazeta Mordechaja Chaima Rumkowskiego, *Zagłada Żydów. Studia i Materiały*, nr 2, 2006, s. 392–403.
8. Ów program został przetłumaczony przez Monikę Polit i znajduje się w jej artykule „Geto-Cajtung” – gazeta Mordechaja Chaima Rumkowskiego.
9. *Pomiędzy życiem a śmiercią...*, *op. cit.*, s. 43.
10. A. Kempa, M. Szukalak, *Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny*, t. 4, Łódź 2004.
11. *Pomiędzy życiem a śmiercią...*, *op. cit.*, s. 45.
12. A. Kempa, M. Szukalak, *op. cit.*, t. 1, Łódź 2001.
13. *Pomiędzy życiem a śmiercią...*, *op. cit.* s. 47.
14. A. Kempa, M. Szukalak, *op. cit.*, t. 1, Łódź 2001.
15. *Ibidem*, t. 1, Łódź 2001.
16. *Pomiędzy życiem a śmiercią...*, *op. cit.*, s. 45.
17. E. Cherezińska, *op. cit.*, s. 81.

Tramwaj w getcie

Elektrische Strassenbahn Ghetto

pierwsze kolumny

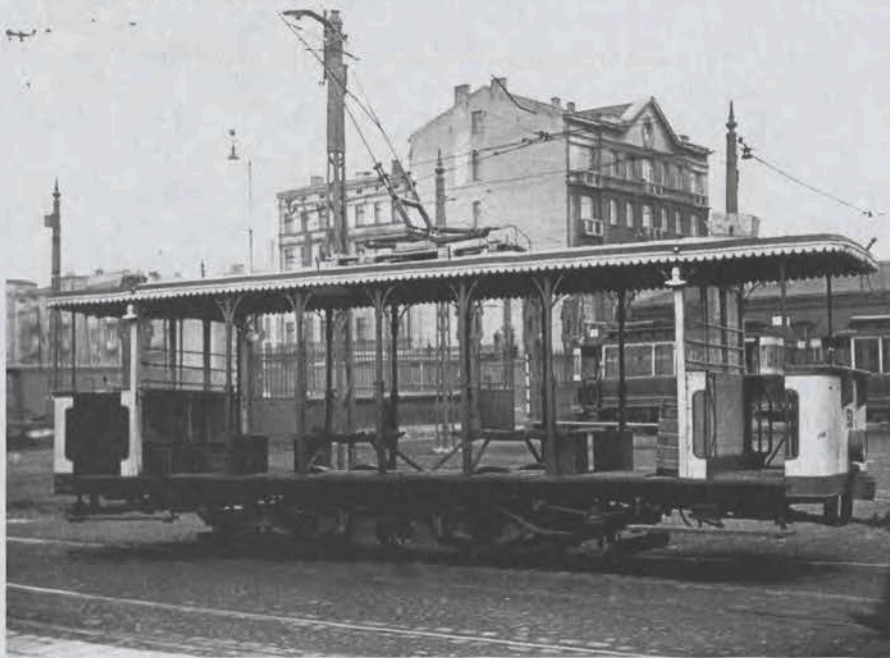
Po definitywnym zamknięciu 30 kwietnia 1940 roku bram getta w jego granicach znalazły się fragmenty miejskich torów tramwajowych na obecnych ulicach Łagiewnickiej i Wojska Polskiego, Łódzkie końcówki linii podmiejskich do Konstantinowa, Aleksandrowa oraz Zgierza i Ozorkowa oraz krańcówka tramwajów podmiejskich na Bałuckim Rynku. Zwrócili uwagę na to i Niemcy, i Przełożony Starszeństwa Żydów – Chaim Mordechaj Rumkowski. Obie strony, chyba niezależnie od siebie, podjęły starania w kierunku uruchomienia na ich bazie komunikacji tramwajowej w getcie. Zamysł ten miał istotne znaczenie, gdy szybko zaczął się rozwijać program gospodarczy, który miał zapewnić, według zamysłu Rumkowskiego, przetrwanie wojny mieszkańcom getta. Dla realizacji tego programu coraz bardziej brakowało jednak środków transportu.

Tramwaje miały służyć wyłącznie dla przewozów towarowych. Nadzór techniczny i ogólnie organizacyjny realizowało z zewnątrz Miejskie Przedsiębiorstwo Tramwajowe *Litzmannstädter Elektrische Strassenbahn* (LES; przed wojną „Kolej Elektryczna Łódzka”). Ono też, 13 września 1941 roku, przekazało do getta dwa pierwsze pasażerskie wagony silnikowe dla wyszkolenia motorniczych. Zakupiono je wcześniej, najprawdopodobniej specjalnie w tym celu, w Koblencji, gdzie dawno już wycofano je z eksploatacji. Były to wagony typu letniego, bez ścian bocznych. Miały służyć jako ciągniki wagonów towarowych. Pierwsze trzy z nich, również z zestawu taboru LES, przekazano w tym samym czasie do getta. W pół roku później, z okazji uruchomienia przewozów pasażerskich, o wagonach tych „Biuletyn getta” (nr 48 z 5 czerwca 1942 roku) napisał: *wagony motorowe dosłownie przedpotopowego typu, jak gdyby z rekwizytorni wytwórni filmowej, zamierzającej kręcić obraz z XIX wieku.*

Z czasem LES przekazała do getta kolejne wagony silnikowe i towarowe oraz kilka wagonów towarowych o dużej ładowności (tzw. lor) z zestawu tramwajów podmiejskich *Litzmannstädter Elektrische Zufurbahnen* (LEZ – to przedwojenne, przejęte przez Niemców, przed wojną Łódzkie Wąskotorowe Elektryczne Koleje Dojazdowe). Do getta przekazano też niewykorzystywane w tym czasie niewielkie wagoniki towarowe Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji używane przed wojną do budowy sieci wodociągowo-kanalizacyjnej.

W sumie po ulicach getta, w szczytowym okresie funkcjonowania komunikacji tramwajowej, kursowało co najmniej pięć wagonów silnikowych, trzydzieści pięć doczepek towarowych różnej ładowności oraz dwie doczepki pasażerskie (też „letnie” sprowadzone z Koblencji). Jednak kwestia ustalenia dokładnej ilości taboru

eksploatowanego w getcie, szczególnie towarowego, pozostaje nadal otwarta z powodu niepełnych i sprzecznych danych.



Dyrekcja Kleinmana i Dawidowicza

Dla eksploatacji przekazanego taboru w strukturze żydowskiego zarządu getta utworzono z dniem dostarczenia pierwszych wagonów przedsiębiorstwo pod nazwą *Elektrische Strassenbahn Ghetto* (ESG), którego kierownictwo powierzono inż. Władysławowi Dawidowiczowi i Leopoldowi Szretterowi. Prawdopodobnie przedsiębiorstwem tym kierował Dawidowicz¹.

W dniu 21 maja 1942 roku ESG zostało włączone do Wydziału Transportowego, którym kierował Marian (Manuel) Kleinman². On też objął bezpośredni nadzór nad komunikacją tramwajową jako *Leiter der Transport-Abt. und der Elektrischen Strassenbahn*. Kierownictwo techniczne tramwajów spoczywało w rękach Władysława Dawidowicza.

Z dniem 20 lutego 1944 roku nastąpiło ponowne wydzielenie ESG z Wydziału Transportowego. *Encyklopedia getta* jako przyczynę podaje *pewne niedociągnięcia techniczne*. Prawdopodobnie, jak wynika z akt LES, nastąpiło to pod twardym naciskiem dyrekcji przedsiębiorstwa, która stwierdziła, że troska o powierzony tabor jest niewystarczająca. Według oceny dyrekcji była na poziomie dewastacji.

Nowym kierownikiem ESG został Benjamin Grzmiła i pozostał na tym stanowisku do końca okupacji niemieckiej w Łodzi, czyli do 19 stycznia 1945 roku.

Siedziba dyrekcji ESG początkowo mieściła się w barakach na Bałuckim Rynku, potem, po włączeniu tej struktury do Wydziału Transportowego, zapewne w jego siedzibie przy Matrosenstrasse nr 7 (ul. Organizacji WiN). Budynek ten zachował się do dziś. Natomiast w baraku na Bałuckim Rynku urządzona została dyspozytornia, dzielona m.in. z posterunkiem specjalnej policji tramwajowej, organizacyjnie wchodzącej w skład przedsiębiorstwa.

W zbiorach Muzeum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie zachowała się tablica firmowa ESG³.

Linia „na Marysin”

Na przełomie 1941 i 1942 roku, czyli w okresie, kiedy w zasadzie nie prowadzi się takich prac, powstała najbardziej potrzebna gospodarce getta ponad 1000-metrowa linia „na Marysin”, czyli na stację Radegast (od końca grudnia 1943 roku przemianowanej przez *Deutsche Reichsbahn* – od której była dzierżawiona przez miasto na potrzeby getta – na *Verladebahnhof Waldborn*⁴.

Według zbeletryzowanych wspomnień z pobytu w getcie Czecha – Františka Kafki (krewnego znanego pisarza Franza Kafki) jej powstanie zostało podobno okupione śmiercią setek ludzi z powodu trudnych warunków atmosferycznych⁵. Według tych samych wspomnień pracowało tu m.in. dwudziestu młodych mężczyzn z tzw. II transportu praskiego. *Pracowali na mrozie i wracali wieczorem skostniałi z zimna*



i wyczerpania. Hans Liebscher [starszy II transportu praskiego] zdecydował, że muszą dostawać dodatkową porcję zupy⁶.

Budowę linii prowadził łódzianin – Binem (Bronisław) Kopelman⁷ pod nadzorem wiedeńczyka – inż. Leopolda Faustera i Czecha – inż. Otto Guttiga, wsiedlonych do łódzkiego getta w październiku 1941 roku. Linie poprowadzono od ul. Wojska Polskiego, od nieistniejącego dziś skrzyżowania z ul. Marysińską, dalej Marysińską, obecną ul. Jana Kolińskiego (przedwojenna Jagiellońska) do stacji Radegast. Kończyła się tam tzw. „żeberkiem”, przy zachowanym po dziś dzień „budynku” stacyjnym.

Linia była jednotorowa, ale w końcówce, w pobliżu skrzyżowania z Marysińskiej w Kolińskiego, posiadała mijankę. Do eksploatacji została oddana na początku maja 1942 roku.

Jednocześnie powstało kilka bocznic: od ul. Łągiewnickiej na plac warzywny (przedwojenny plac Jojne Pilcera) pod nr 1/3, na plac węglowy (Kohleplatz) u zbiegu z obecną ul. Organizacji WiN, do centrali krawieckiej pod nr 45 i do resortu metalowego na terenie byłej rzeźni bałuckiej (dziś teren Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania) przy Łągiewnickiej 63⁸ oraz do dużego resortu krawieckiego i Centralnej Składnicy Surowców przy ul. Jakuba.

Tylko dla towarów

Komunikację pasażerską w getcie uruchomiono 2 czerwca 1942 roku, w zasadzie tylko na trasie Bałucki Rynek – stacja Radegast. Było to i tak wielkie wydarzenie dla umęczonych mieszkańców getta, zwłaszcza zatrudnionych w marysińskich resortach. Z tego powodu „Kronika” zanotowała: *Stała się rzecz, która bodajże jeszcze przed kilku miesiącami mogła być uważana za fantazję nie do zrealizowania.*

Grafik kursów pasażerskich obejmował tylko godziny wczesno poranne i wieczorne. Przejazdy były płatne. Jednak nie wszystkim chętnym udawało się skorzystać z przejazdu tramwajem. Zelda Gotlieb, która pracowała w „resortcie słomianym” na Marysinie, po wojnie wspominała: *Szłam o godzinie 4.00 nad ranem pieszo do resortu, grzęznąąc w głębokim śniegu. Do tramwaju nie sposób było się dostać. Nawet do tramwaju trzeba było mieć protekcję, a kto jej nie miał, tego wyrzucano⁹.*

Te przewozy zakończyły się bardzo szybko, bo już 15 lipca, na skutek polecenia dyrektora LES – dr. Bodo Scheidta, który stwierdził podczas wizytacji ESG, że zbyt absorbują tabor przeznaczony tylko do przewozów towarowych. W tym okresie gettowe tramwaje przewiozły 159 tysięcy pasażerów. Jednak po interwencji Rumkowskiego wznowiono przewozy pasażerskie w pierwszych dniach sierpnia, w tych samych godzinach, ograniczając jednak możliwość korzystania z nich tylko dla pracowników zatrudnionych w rejonie Marysina. Tylko nieliczne osoby funkcyjne z administracji getta otrzymały zezwolenia na korzystanie z nich przez całą dobę. Tak pozostało do czasu likwidacji getta w sierpniu 1944 roku.



pierwsze kolumny

Do tego okresu odnosi się fragment pamiętnika nieustalonego z nazwiska mieszkańca getta znalezionej w 1962 roku na terenie obozu Auschwitz: [...] *jak ci już jest wiadomym z moich listów, istnieje tu u nas w getcie tramwaj, służący jako środek transportowy. Dość często jednak zabiera on robotników do miejsca pracy i z pracy do domu. Od czasu do czasu jadę nim również. Mam w tym podwójny cel: po pierwsze, w getcie trzeba oszczędzać nogi, a zwłaszcza obuwie. A po drugie, to jest dla mnie, jak i dla Ciebie, bardzo interesujące, by podsłuchać rozmowy prowadzone przez robotników albo wdać się w rozmowę. Dowiaduję się z nich o wszystkim, co dzieje się w getcie, a co najważniejsze, to, o czym się mówi¹⁰.*

Zestawy pasażerskie (silnikowy i doczepka) były wykorzystywane podczas akcji przesiedleńczych lub wysiedleńczych, szczególnie w 1942 i 1944 roku. Można zobaczyć je na kilku zachowanych zdjęciach.

W zbiorze dokumentów łódzkiego getta, przechowywanych w łódzkim archiwum, zachowało się kilkadziesiąt kart pracy brygad obsługujących tabor ESG¹¹. Dzięki nim możemy prześledzić szczegółowo kursowanie poszczególnych wagonów w niektóre dni z lat 1942, 1943 i 1944.

Przykładowo 20 lipca 1944 roku (czwartek):

– wagon silnikowy nr boc. 106

II zmiana (13⁰⁰–21⁰⁰)

obsada: – motorniczy – GLIKSNMAN Mates, I. 40.

– pom. motorniczego – SKOCZYLAŚ Rywen, I. 20.

Nr kursu na zmianie	Trasa	Czas przejazdu	Długość trasy (w km)	Doczepki i przewożone nimi ładunki
1	2	3	4	5
1	Baluter Ring – Ausweiche	13 ⁰⁰ –13 ⁰⁵	2,5	
2	Ausweiche – Radegast bhf	13 ²⁰ –13 ³⁵	2,5	1: nr boc. 33 (skrzynie)
3	Radegast bhf – Hanseatenstr. 1/3	14 ⁰⁰ –14 ³⁰	1,3	1: nr boc. 32 (kapusta); 2: nr 75 (kapusta); 3: nr 63 (kapusta).
4	Hanseatenstr. 1/3 – Hanseatenstr. 74	14 ⁴⁰ –14 ⁵⁰	1,2	
5	Hanseatenstr. 74 – Kirchplatz	15 ⁰⁰ –15 ¹⁰	1,2	1: nr boc. 64 (pusta)
6	Kirchplatz – Hanseatenstr. 1/3	15 ¹⁵ –15 ²⁰	0,1	
7	Hanseatenstr. 1/3 – Radegast bhf	16 ⁰⁰ –16 ³⁰	3,5	1: nr boc. 32 (pusta); 2: nr 75 (pusta); 3: nr 63 (pusta).
8	Radegast bhf – Baluter Ring	17 ⁵⁵ –17 ⁴⁵	3,8	
9	Baluter Ring – Kirchplatz	18 ¹⁵ –18 ²⁰	0,3	
10	Kirchplatz – Radegast bhf	18 ³⁰ –19 ⁰⁰	3,5	1: nr boc. 23 (pusta); 2: nr 64 (pusta); 3: nr 69 (pusta); 1: nr 74 (pusta)
11	Radegast bhf – Baluter Ring	19 ⁰⁰ –19 ⁴⁰	3,8	

„Ausweiche” – mijanka na ul. Marysińskiej w pobliżu skrzyżowania z obecną ul. J. Kolińskiego; **Kirchplatz** – pl. Kościelny; **Hanseatenstr.** – Łagiewnicka.

W tym samym dniu „Kronika getta” zapisała:

Kronika codzienna nr 201, z czwartku, 20 lipca 1944 r.

Pogoda: średnia temperatura w ciągu dnia 28-35 stopni, słonecznie, upalnie. **Zgony:** 14. **Narodziny:** 2 (1 chłopiec, 1 dziewczynka). **Aresztowania:** Za „różne” – 2. **Liczba ludności:** 70 117.

Wysiedlenie

700 osób (dziewiąty transport do pracy poza gettem).

Wiadomości dnia

Prezes także dzisiaj kontynuował swą akcję przewarstwowień [przesunięć pracowników umysłowych do pracy fizycznej – przyp. aut.].

Zmiany na Bałuckim Rynku?

Kierownik Biebow wydał dziś następujące zarządzenia: Z uwagi na to, że, jego zdaniem, tak dużo kierowników zakładów kręci się w biurze A. Jakubowicza, a ten głównie ma być do jego dyspozycji, zabrania się kierownikom zakładów wchodzić na Bałucki Rynek. Pan Jakubowicz dostał polecenie, aby zająć biuro naprzeciwko Bałuckiego Rynku i ogłosić godziny, w których będzie tam przyjmował kierowników. Poza tym ma urzędować jak dotychczas na Bałuckim Rynku. Także cały zbędny personel Centralnego Biura Resortów Pracy, jak np. księgowość, należy usunąć z Rynku Bałuckiego i włączyć do drugiego biura Jakubowicza. Poza tym zarządzono, żeby ponadto nikt, kto nie jest tam niezbędny, nie wchodził na Bałucki Rynek. Twierdzi się, że przyczyny tego stanu rzeczy należy szukać w dążeniu do ograniczenia do minimum kontaktu Żydów z aryjczykami. [...]

Apropozycja

Także dziś trwa dostawa białej kapusty. Ludność bardzo źle znosi oferowane teraz zupy z kapusty. Poza tym brakuje przecież niezbędnych dodatków, przede wszystkim mąki, aby móc przygotować z kapusty jakiś względnie pożywny posiłek.

Nowa racja kapusty

Dzisiaj została rozpisana kolejna racja 5 kg kapusty.

Ceny czarnorynkowe

Chleb (2kg) 750 mk [gettowych, tzw. „rumek”, których kurs nijak miał się do wartości rzeczywistych marek – przyp. aut.], mąka 500 mk za kg, cukier 850 mk za kg, zupa resortowa (składająca się z 40 dkg kapusty i 2 dkg kaszy) 5-7 mk.

Małe zwierciadło getta

Humor z getta. W związku ze śmiercią neurologa dr. Klozenberga opowiada się w getcie następujący dowcip: najbardziej dotyka ona Borucha Praszkiara¹², ponieważ dr Klozenberg był jedynym człowiekiem w getcie, który zawsze potwierdzał, że jest on psychicznie normalny. Teraz niestety musi ryzykować, że oficjalnie zostanie meszuga¹³.

Do tego tekstu należy dodać to, o czym ani autorzy „Kroniki”, ani mieszkańcy getta nie wiedzieli, że za 11 dni – 1 sierpnia rozpocznie się akcja ostatecznej likwidacji getta... Na razie getto powracało do równowagi po lipcowych wysiedleniach, które zakończyły się niespodziewanie dla nich 15 lipca.

Elektrische Strassenbahn Ghetto w zasadzie zakończyło działalność – rzecz by można „formalnie”, chociaż nikt nie składał podpisów pod żadnymi dokumentami – wraz z wywiezieniem ostatnich mieszkańców getta, wśród nich i Chaima Mordechaja Rumkowskiego, do komór gazowych KL Auschwitz-Birkenau. Stało się to 29 sierpnia 1944 roku.

Według opublikowanych wspomnień sekretarki Rumkowskiego – Estery (Etki) Daum, symbolicznie moment ten wyglądał tak: W pewnej chwili wyjrzałam przez okno. Duże okno apteki [w przedwojennym szpitalu Kasy Chorych – przyp. aut.] wychodzi wprost na ul. Łagiewnicką. Poczułam, że dzieje się coś bardzo ważnego, ale nie wiedziałam co. Nagle zobaczyłam Rumkowskiego z żoną (Reginą – przyp. aut.), bratem Józefem i bratową, „piękną Heleną”. Wszyscy mieli ręczny bagaż i szli w kierunku tramwaju. Oniemiałam. To nie pozostawiało wątpliwości. Tramwaj jeździ teraz wyłącznie na rampę na Marysinie. Więc Rumkowski wyjeżdża. Chaim Mordechaj Rumkowski, Przełożony Starszeństwa Żydów w getcie łódzkim idzie piechotą na tramwaj, który zawiezie go do transportu! Stałam tam jak wmurowana. Spojrzałam na ich bagaż – każdy niósł w ręku małą walizkę¹⁴.

Po odprawieniu tego ostatniego pociągu tramwaje getta nie zakończyły jednak swojego kursowania po opustoszałych ulicach. Teraz zostały zatrudnione przy wywożeniu rzeczy pozostałych po mieszkańcach getta oraz wyposażenia gettowych zakładów pracy. Dzięki temu ocalało co najmniej kilkunastu ich pracowników ESG wraz z rodzinami. Na pewno byli to motorniczowie i obsługa techniczna, w tym wspomniany już kierownik robót torowych – Kopelman.

Żydowscy tramwajarze

Przedsiębiorstwo tramwajowe łódzkiego getta zatrudniało w okresie swego funkcjonowania od 150 do ok. 300 osób w trzech grupach: pracowników etatowych, pracowników dniówkowych i akordowych. Na tle innych przedsiębiorstw łódzkiego getta nie była to więc specjalnie liczna jednostka gospodarcza. W ostatnich miesiącach funkcjonowania getta stan zatrudnienia w ESG na dzień 1 lipca 1944 roku wynosił w grupie pracowników etatowych 87 osób, a w grupie pracowników dniówkowych – 117 osób.



Gdyby nie tragiczne okoliczności można stwierdzić, że pracownicy gettowych przedsiębiorstw tramwajowych byli pierwszymi w Polsce tramwajarzami pochodzenia żydowskiego w Służbie Ruchu (motorniczowie, konduktorzy i kontrolerzy) w Łodzi, a prawdopodobnie nawet w całej Polsce¹⁵.

Tramwajarze gettowi byli umundurowani, choć nie w pełnym tego słowa znaczeniu. Szczegółowe ustalenie tej kwestii wymaga jeszcze analizy nielicznych zdjęć i dokumentów. Na pewno zasadniczym elementem tego „umundurowania” były czapki kroju opracowanego w getcie dla różnych służb. Były granatowe, z wysokim otokiem i dużym, sztywnym, okrągłym denkiem. Na otoku miały umieszczoną gwiazdę Dawida, a powyżej niej, na denku, „logo” tramwajów miejskich, czyli uskrzydłone koło zwieńczone koroną i piorunami jako symbol trakcji elektrycznej. Drugi element „umundurowania” to opaska noszona w dolnej partii rękawa z symbolem ESG (uskrzydłone koło tramwajów miejskich z literami ESG ponad nim) oraz nazwą funkcji, np. „Wagenführer” – motorniczy¹⁶. Podobno, prawdopodobnie od 1943 roku, pracowników ubrano w chałaty z naszywką „Strassenbahn” i czapki, tzw. krymki, ale brak jest materiałów zdjęciowych potwierdzających tę informację.

Tramwaje łódzkiego getta były niewątpliwie ewenementem w skali wszystkich gett żydowskich na terenie okupowanej przez Niemców Polski i Europy.

Drugim miastem, po którym jeździły w getcie tramwaje, była Warszawa, ale tu na zupełnie innych zasadach. Przez cały czas były elementem tamtejszego przedsiębiorstwa komunikacyjnego. Linia „żółtej gwiazdy” – bo tak oznaczono tamte „gettowe” tramwaje zamiast cyfry – była obsługiwana przez zajezdnię „Muranów” na takich samych zasadach jak każda inna linia. Wagony prowadzili pracownicy. W getcie warszawskim tramwaje realizowały wyłącznie przewozy pasażerskie. W getcie krakowskim nie kursowały tramwaje, tylko „aryjskie” zestawy przejeżdżały przez jego teren do krańcówki „Pogórze”.

Łódzkie tramwaje getta nie doczekały się do tej pory stosownego opracowania historycznego poza nielicznymi drobnymi artykułami i wzmiankami¹⁷. To jedna z ostatnich „białych plam” historii getta. Niedawno próbę pełnego opracowania ich dziejów podjęli członkowie Klubu Miłośników Starych Tramwajów, działającego przy Muzeum Komunikacji Miejskiej w Łodzi.

Pozostały po nich stosunkowo nieliczne, ale niezwykle interesujące materiały archiwalne. Jednym ze źródeł informacji o nich jest *Encyklopedia getta łódzkiego* oraz *Kronika łódzkiego getta*. Nie ma natomiast o nich najmniejszej wzmianki w obszernej monografii łódzkiego getta autorstwa Icchaka Rubina¹⁸.

Zachowała się stosunkowo liczna ikonografia (do chwili obecnej odnaleziono około 100 zdjęć), jest ona jednak nierówna informacyjnie. Najwięcej jest zdjęć pośrednio wiążących się z tym tematem (widoczne w tle wagony, fragmenty sieci torowej i zasilającej). Bezpośrednich, na których widać wagony i tramwajarzy, jest zdecydowanie mniej.



Materialne ślady po ESG w Łodzi

Do dziś zachowały się tylko pojedyncze materialne ślady po tramwajach gettowych, wymagające nieco wprawy w ich wypatrzeeniu. Są to haki do drutów podtrzymujących sieć górną w ścianach domów przy ul. Marysińskiej 25¹⁹, 81, 86, 97 99, Zagajnikowej 1, Młynarskiej 2 i 4. Natomiast linię „na Marysin” i tory na stacji „Radegast” w krótkim czasie po wojnie rozebrano. Pozyskane szyny użyto chyba do budowy pierwszej powojennej linii tramwajowej w Łodzi na Radiostację w 1946 roku.

Zachował się budynek dyrekcji Wydziału Transportowego przy ul. Organizacji WiN 7, jak również budynek przy Łągiewnickiej 25 (na wprost Bałuckiego Rynku), na którym został umieszczony w 1942 roku „wzorcowy” zegar dla całego getta, który zapewne też był używany do regulacji czasu „tramwajowego”.

Jeżeli chodzi o tabor ESG, to po zakończeniu okupacji powrócił on do macierzystych przedsiębiorstw, miejskiego i podmiejskiego. Ze względu na ich stan techniczny i budowę (typ letni) oraz zupełną nietypowość w polskiej komunikacji tramwajowej, „koblenckie” wagony pasażerskie nie zostały włączone do bieżącej eksploatacji, pomimo ogromnych potrzeb przewozowych w powojennej Łodzi. Jednak w 1946 roku jeden z „letnich” wagonów silnikowych, został gruntownie wyremontowany w warsztatach miejskiego przedsiębiorstwa tramwajowego. Napisał o tym „Express Ilustrowany”: *Interesujące próby z letnim wagonem dokonane zostały na ul. Narutowicza. Podczas okupacji, na terenie byłego getta, tylko w jego obrębie, kursował specjalny tramwaj dla ludności żydowskiej, sprowadzony z głębi Niemiec. Wóz ten nie posiadał bocznych ścian, które zastępowały ochronne łańcuchy. Tramwaj ten był do tego czasu w remoncie. Obecnie naprawa została zakończona i ponieważ próby wypadły pomyślnie – dyrekcja KEŁ zamierza na okres letnich miesięcy puścić ten tramwaj w eksploatację. Pomysł dobry, szkoda tylko, że letni wagon zacznie jeździć dopiero pod koniec lata²⁰.*

Z nieustalonej przyczyny nie doszło jednak do włączenia go do eksploatacji. Potem przez długi czas wagon ten stał na terenie zajezdni przy ul. Dąbrowskiego, aż prawdopodobnie w latach 60. XX wieku został oddany na złom.

W latach 50. XX wieku przynajmniej dwa inne wagony gettowe przebudowano na techniczne. Szczątki jednego z nich można było oglądać jeszcze na początku XXI wieku na poligonie „Brus”.

Na pewno wśród 800-sobowej grupy ocalałych z getta znajdowała się bliżej nieokreślona ilość byłych pracowników ESG i ich rodzin. Wśród nich na pewno byli Binem (Bronisław) Kopelman, kierownik budowy linii i ich eksploatacji oraz ich ostatni kierownik ESG – Beniamin Grzmilas wraz z 13-letnim synem – Stanisławem (również zatrudnionym „na tramwajach” jako goniec w ich biurze). Obaj, w 1947 roku, zeznawali na procesie Hansa Biebowa, ale nie byli pytani o sprawy związane z tramwajami w getcie.

Wojciech Źródłak

– historyk; kustosz Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi

Przypisy:

1. Inż. elektryk; przed wojną mieszkał przy ul. Gdańskiej 58; był prokurentem w niewielkiej fabryczce włókienniczej swojego ojca – Józefa, przy ul. Zakątnej (kpt. Pogonowskiego). W getcie był postrzegany jako *energiczny inżynier, któremu władza uderzyła do głowy...* – jak napisał o nim Jakub Poznański w swoim pamiętniku. Ocena odnosi się do maja 1944 roku. W tym czasie Dawidowicz był kierownikiem resortu „Starych prądów”, czyli wytwórni aparatów i central telefonicznych.
2. Podobno, według opublikowanych niedawno wspomnień Etki Daum, sekretarki Rumkowskiego, był aktywnym członkiem bliżej nieokreślonej grupy konspiracyjnej działającej w getcie. Z drugiej strony, jego nazwisko wiąże się z nieprzyjemną i zagadkową sprawą relacjonowaną przez „Kronikę getta łódzkiego”. W styczniu 1944 roku ożenił się. W związku z tym zapragnął powiększyć swoje mieszkanie przy Berka Joselewicza 18 kosztem sąsiadów, małżeństwa Mendelik z Pragi. Doprowadził do ich przesiedlenia do gorszego lokalu przy Pieprzowej 15. Zrozpaczona kobieta zapowiedziała popełnienie samobójstwa i niedługo potem zniknęła. Poszukiwano jej intensywnie, ale nie znaleziono. Przynajmniej „Kronika” nie odnotowała tego faktu.
3. Sygn. B–131.
4. „Waldkorn” – to nazwa dzielnicy w tym rejonie miasta (wcześniej „Klosterborn”).
5. Kronika getta nie wspomina o tym. Gdyby tak było, to zapewne w delikatny sposób – bo jej zapisy były pod kontrolą – odnotowałaby ten fakt.
6. František Kafka, *Okrutne lata*, Łódź 1966, s. 139, 222.
7. Ocalał. Zeznał w procesie Hansa Biebowa w 1947 roku.
8. Tu miał swoje prywatne mieszkania Rumkowski oraz Jakubowicz i Dora Fuchs, które zostali zmuszeni opuścić na polecenie Gettoverwaltung w połowie marca 1944 roku. Rumkowski zamieszkał na Marysinie. Por. „Kronika getta” nr 44, z 13 lutego 1944 roku.
9. Archiwum ŻIH, sygn. 301/3305 (relacja Z. Gotlieb).
10. *Szukajcie w papierach. Papiery znalezione w Oświęcimiu*, Łódź 1965, s. 45–46.
11. APL, PSZ 2332.
12. Boruch Praszkieier – współorganizator Wyd. Kuchni (od listopada 1940) i ich kierownik (od czerwca 1942).
13. *szalony* (z jidisz)
14. E. Cherezirńska. *Byłam sekretarką Rumkowskiego. Pamiętnik Etki Daum*, ss. 353–354.
15. Przed I wojną światową istniał urzędowy zakaz administracji carskiej zatrudniania ich na tych stanowiskach, a po jej zakończeniu raczej też ich nie zatrudniano. Zresztą chyba sami nie garnęli się też do tej pracy. Prawdopodobnie z przyczyn religijnych (szabas).
16. W muzeum ŻIH zachowały się dwie: motorniczego (sygn. B – 197) oraz funkcjonariusza policji tramwajowej („Odmanna”; sygn. B – 192).
17. W. Źródłak, *Tramwaj w getcie*, w: „Odgłosy” nr 28, 1988, s. 14; tenże i inni, *Komunikacja miejska w Łodzi 1898–1998*, Łódź 1998, ss. 151–152.
18. I. Rubin, *Żydzi w Łodzi pod niemiecką okupacją 1939–1945*, Londyn 1988.
19. Drugi adres tej rogowej kamienicy to ul. Organizacji WiN 55/57.
20. *Tramwaj byłego getta będzie kursował po ulicach Łodzi*, w: „Express Ilustrowany” nr 208, 16 sierpnia 1946, s. 3.

Milczące świadectwo

Dzieci w Litzmannstadt Ghetto

pierwsze kolumny

Wyodrębnienie getta łódzkiego rozpoczęło tragiczną historię jego mieszkańców. Bardzo dotkliwie konsekwencje zamknięcia w dzielnicy żydowskiej odczuły dzieci. Głodowe racje żywnościowe, brak warunków do zachowania higieny, a także narzucony przez okupanta obowiązek pracy sprzyjały gwałtownemu wyniszczaniu młodych organizmów: *Z mlekiem i przetworami jest prawdziwy problem w getcie od początku. Dzieci bardzo chorują, nie mówiąc o tym, że śmiertelność jest bardzo wysoka*¹. Najmłodszy pozostawali często na łasce losu. Rodzice i opiekunowie byli wywożeni do obozów, umierali śmiercią głodową, gdyż oddawali potomstwu swoje racje żywnościowe. Dla wielu osamotnionych, głodujących dzieci istniało tylko jedno źródło utrzymania – żebranie na ulicach.

Wiele dzieci nie radziło sobie z tragiczną rzeczywistością. Niektóre z nich decydowały się na krok samobójczy. Przykładem może być 9-letni Joel Zyner, który 27 kwietnia 1942 roku wyskoczył z okna domu w getcie. W podobnych okolicznościach zginął 14-latek zamieszkały przy ul. Zgierskiej 10².

Twórczość za drutami

Wśród pamiątek getta łódzkiego odnajdujemy m.in. zbiory wierszy, których autorami były dzieci. Twórczość poetycka stanowiła wyraz emocji i uczuć młodego pokolenia. Na uwagę zasługuje dorobek Abrama Cytryna (1926–1944). Chłopiec w wieku ośmiu lat rozpoczął pisanie poezji. Sam zginął w obozie zagłady, ale jego wiersze i opowiadania przetrwały odnalezione w 1945 r. w ruinach getta przez siostrę poety.

Wśród młodocianych, gettowych poetów – ofiar Zagłady – trzeba przypomnieć też Abrama Koplowicza (1930–1944). Zeszyt z jego wierszami został znaleziony przez jego ojca – Mendla Koplowicza, który przeżył wojnę i po powrocie do Łodzi natrafił na utwory syna. Abramek Koplowicz, tak jak wiele dzieci łódzkiego getta, pracował w warsztacie szewskim. W sierpniu 1944 roku został wywieziony do obozu Auschwitz-Birkenau, gdzie zginął w komorze gazowej wraz ze swoją matką³.

Autorem wzruszającego pamiętnika opisującego codzienne wydarzenia w łódzkim getcie był zaś Dawid Sierakowiak (1925–1943).

Domy sierot

Zinstytucjonizowaną pomoc nad sierotami próbował zorganizować Prezes Chaim Rumkowski. Jego sekretarka – Etkha Daum, notowała: *Nasze dzieci, choć wciąż są narażone na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa, są jednak lepiej traktowane, a*



w każdym razie nie ma mowy o jakimś celowym i masowym biciu. Sieroty w dużej części są adoptowane albo przysposobione, a pozostałe dzieci są po prostu przy swych rodzinach. Te nieliczne dzieci, które zostały w getcie, są otoczone przez szczęśliwych rodziców wielką troską i miłością. Nie chcę dociekać, ile w tym wyrzutów sumienia, że właśnie to dziecko udało się ocalić, a nie inne⁴. Było to już po tzw. Wielkiej Saperze czyli po selekcji dzieci młodszych przeznaczonych do zagłady w Chełmnie. Według świadectwa Etki Daum, Rumkowski ludzi się, że uda mu się wyjednać u Niemców, iż nie rozdzielią rodzin: *Choć wojna, głód i ciężkie warunki życia tutaj złamały niejednen charakter i godność nasza dawno została wystawiona na szwank, to jednak w ogólnej liczbie rodzin wciąż są razem, a to najważniejsze. Pamiętam jeszcze z początków getta gorące kłótnie Rumkowskiego z Biebowem. Naczelnik zawsze optował za rozdzieleniem rodzin i posegregowaniem ludzi według ich przydatności do poszczególnych prac, a Rumkowski od początku mówił, że żydowska rodzina musi pozostać razem, że wtedy właśnie będzie wydajnie pracować⁵.*

Rumkowski powołał do życia 1 czerwca 1941 roku dom sierot przy ul. Franciszkańskiej 102 (już w pierwszych miesiącach getta działały sierocińce przy ul. Marysińskiej 100, Okopowej 119), a także w 1940 i 1942 roku kuchnie mleczne dla niemowląt. W getcie zorganizowano także kolonie dla dzieci. Pierwszeństwo w przydziale kolonii miały sieroty i dzieci z niepełnych rodzin: *Patrząc na nie, takie rozhasane, wesołe, zgrzane zabawą, naprawdę zapominało się o ciężkim losie, jaki ich dotknął⁶.*

Szkolnictwo

Nie mniej ważnym zadaniem było zapewnienie młodzieży żydowskiej możliwości dalszego kształcenia się. 17 października 1939 roku Prezes Rumkowski powołał Wydział Szkolnictwa. Jego siedzibą był budynek przy ul. Franciszkańskiej 27: [...] *szkolnictwo i opieka nad dziećmi to była chluba Rumkowskiego, jego najbardziej prestiżową inicjatywą, w którą wkładał tyle serca! Ileż to razy w ciężkich chwilach z dumą powtarzał: „Wojna wojną. A uczyć i wychowywać trzeba”*. Warto dodać, że Wydział Szkolnictwa organizował także kolonie na Marysinie.

Rok szkolny w getcie rozpoczął się w 1939 roku. Dzieci w placówkach dydaktycznych (których organizacja była oczywiście daleka od normalności) uczyły się czytać i pisać, zdawały nawet egzaminy dojrzałości. Młodzież zdobywała także wiedzę z zakresu, arytmetyki, rysunku, śpiewu, przyrody, religii i języków obcych: *Prezes każdego dnia (1940 rok) jeździ do któreś ze szkół i wizytuje. Trzeba przyznać, że sprawy szkolnictwa zorganizował doskonale. W sumie funkcjonuje teraz w getcie 36 szkół podstawowych, dwa gimnazja, szkoła muzyczna, cztery szkoły religijne i dwie specjalne. Poza tym poszczególne resorty zajmują się doksztalcaniem zawodowym. A do tego stołówki, opieka lekarska. Myślę, że to takie ulubione zajęcia Prezesa*⁸.

pierwsze kolumny





W 1940 r. rozpoczął się drugi rok szkolny w getcie łódzkim. Zaczęto wówczas realizować nowy program szkolny obejmujący m.in. język jidysz, hebrajski, niemiecki, historię Żydów i Stary Testament.

Jesienią 1941 roku okazało się, że Niemcom nie chodzi nawet o podstawową edukację w getcie i szkolnictwo w dzielnicy żydowskiej zostało jednak zlikwidowane. Gdy do getta przesiedlono Żydów z Europy Zachodniej, Wydział Szkolnictwa i szkoły przestały funkcjonować, a opuszczone budynki zajęli Żydzi pochodzący właśnie z tego transportu. Pomimo tej decyzji edukacja w getcie trwała jednak nadal. Miała ona charakter tajny. Dzieci uczono na kursach przy resortach, w domach prywatnych i dzięki kółkom samokształceniowym prowadzonym przez liczne młodzieżowe organizacje działające w getcie. Ogromne zasługi na tym polu miał Artur Sznor – dziennikarz i poeta. Po zamknięciu szkół świeckich i religijnych czuł potrzebę edukowania dzieci. Nawet w tragicznych okolicznościach nie przerwał pracy dydaktycznej, uczył dzieci w ich domach bez finansowego wynagrodzenia. Starszej młodzieży wykladał zaś w soboty Torę w swoim mieszkaniu.

Obozy dla dzieci

Na terenie getta łódzkiego istniał od 1 grudnia 1942 roku obóz dla dzieci i młodzieży polskiej. Mieścił się on przy ul. Przemysłowej. Jego więźniami były dzieci w wieku od 8 do 16 lat. Z założenia miał to być obóz dla młodocianych polskich kryminalistów. W rzeczywistości jednak stworzono obóz koncentracyjny dla dzieci i młodzieży, których rodzice zostali zamordowani lub przebywali w więzieniach posądzeni o udział w konspiracji. Sporą grupę uwieczonych stanowili też małoletni oskarżeni o współdziałanie z ruchem oporu, nielegalny handel, odmowę pracy, drobne kradzieże.

Warunki pobytu w więzieniu były trudne, prowadziły do biologicznego wyniszczenia młodych organizmów. Dzieci musiały pracować od świtu do zmierzchu. Umierały z głodu i wycieńczenia lub z powodu pobicia przez niemieckich funkcjonariuszy.

Należy jeszcze dodać, że w getcie wydzielono w 1941 r. także obóz cygański. Umieszczono w nim ludność cygańską wywiezioną z Austrii, z pogranicza węgierskiego. Z dwóch stron – od części aryjskiej i getta – obóz odgradzały zasieki z druku kolczastego, a z pozostałych stron – fosa. Obóz zamieszkiwało ponad pięć tysięcy osób, w tym ponad dwa tysiące stanowiły dzieci i młodzież. Panowały tu wyjątkowo ciężkie warunki życiowe, które w krótkim czasie (do 12 stycznia 1942) przyczyniły się do śmierci ponad 500 cygańskich dzieci. Reszta mieszkańców obozu została później zamordowana w Chełmnie nad Nerem.



pierwsze kolumny



* * *

Na terenie łódzkiego getta zmarło z powodu głodu i chorób ponad 145 tysięcy ludności żydowskiej, w tym 5350 dzieci. Ich indywidualne losy przeważnie nie są znane. Wiadomo, że szesnaścioro z nich zostało zabitych w czasie próby opuszczenia dzielnicy żydowskiej. Życie stracił, m.in. 9-letni Lajba Lewkowicz, który 16 kwietnia 1941 roku w trakcie ucieczki z getta został zastrzelony przez niemieckiego policjanta.

Jak wielokrotnie w swoich wypowiedziach podkreślał świadek epoki – Arnold Mostowicz: *Groby na łódzkim cmentarzu żydowskim zmarłych męczeńską śmiercią w getcie ponad czterdziestu tysięcy Żydów pozostaną na zawsze milczącym świadectwem Holocaustu.*

dr Joanna Mikosz

mgr Piotr Fąka

– pracownicy naukowcy Katedry Dziennikarstwa
i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Łódzkiego

Przypisy:

1. E. Cherezińska, *Byłam sekretarką Rumkowskiego. Dzienniki Etki Daum*, Poznań 2008, s. 83.
2. *Pomiędzy życiem a śmiercią. Lizmannstadt Getto 1940–1944*, Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi. Archiwum Państwowe w Łodzi, Łódź 2004, s. 44.
3. A. Kempa, M. Szukalak, *Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny*, t. 4, Łódź 2004.
4. E. Cherezińska, op. cit., s. 278.
5. Ibidem, s. 301.
6. Op. cit., s. 73.
7. Op. cit., s. 159.
8. Op. cit., s. 83.



Commerzieller Vortrag
Kurs handlowy.

pierwsze kolumny





Synagoga przy ul. Wolborskiej. Fot. archiwum

Park Ocalałych

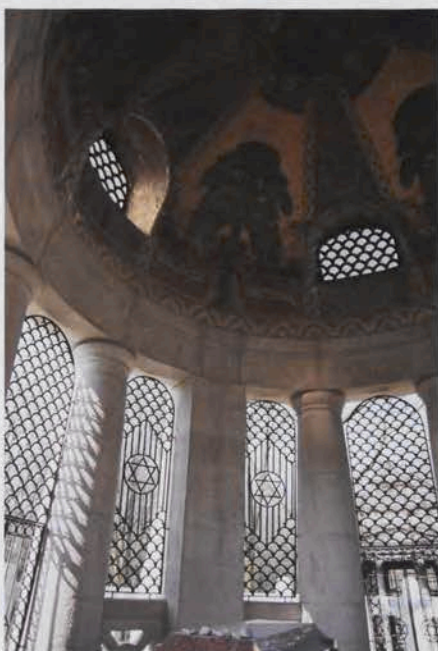


Inskrypcje nagrobne



Fot. Marek Strąkowski

Cmentarz Żydowski



Radegast





Synagoga przy ul. Spacerowej (obecnie al. Kościuszki)
Fot. archiwum



Synagoga litwaków przy ul. Wólczańskiej
Fot. archiwum

nauka

Powrót do miejsca urodzenia

Między pamięcią biograficzną a zbiorową

Kaja Kaźmierska

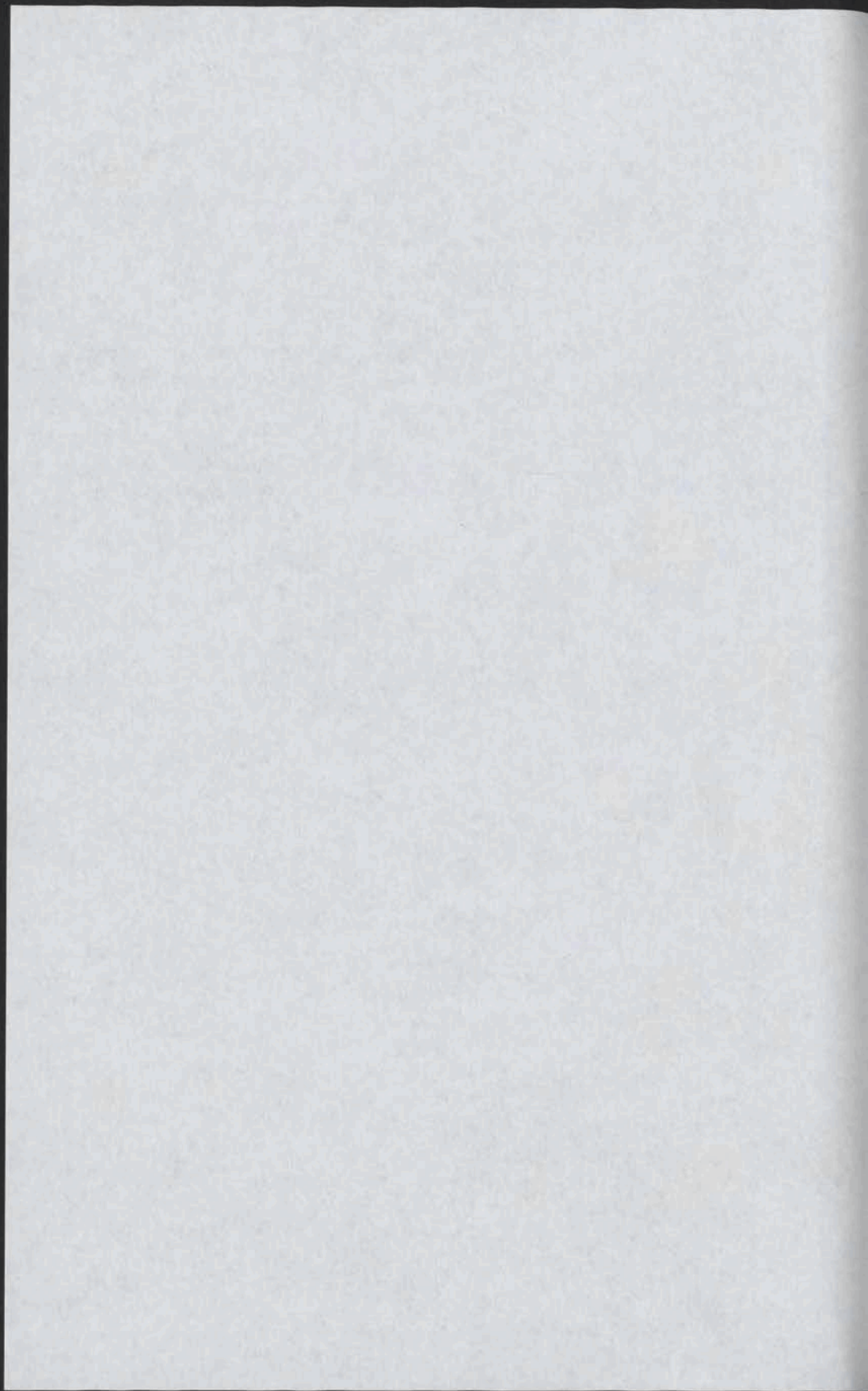
str. 81

Kurczące się granice

W sprawie planu getta

Wojciech Żródlak

str. 85



Powrót do miejsca urodzenia

Między pamięcią biograficzną a zbiorową

nauka

Niezwykle ważne miejsce w procesie budowania poczucia biograficznej ciągłości i spójności pełni pamięć biograficzna. Określenie to sugeruje, iż na jej zasób składają się doświadczenia własne człowieka zgromadzone w jego cyklu życia. Jednak „biograficzność” oznacza nie tylko wyznaczenie jednostkowej perspektywy, sugeruje również nieustanną pracę nad doświadczeniami, które poddawane są (re)interpretacji. Pamięć biograficzna odnosi się nie tylko do zachowanych w myślach obrazów przeszłości, lecz zawsze jest ich wersją uwarunkowaną zarówno indywidualnym biegiem życia, jak i szerszym kontekstem społeczno-kulturowym. Pamięć, będąc przede wszystkim działaniem komunikacyjnym, staje się wymianą narracji o przeszłości. Z tego względu budowanie pamięci poprzez transmisję międzypokoleniową (polegające na przekazywaniu zarówno wielkich, jak i małych narracji) łączy perspektywę co najmniej kilku wcześniejszych pokoleń. Tak więc, pamięć biograficzna jest efektem narracji tworzonej wobec innych i w tym sensie inni stają się jej współtwórcami, dzieląc przynajmniej część opowieści i włączając je do własnych zasobów pamięci biograficznej. W ten sposób tworzy się pamięć generacyjna związana ze wspólnotą doświadczeń i ich interpretacji. Zmiana generacyjna jest procesem ciągłym zarówno w wymiarze biologicznym, jak i kulturowym. Kolejne pokolenia, wchodząc w życie społeczne, przyjmują dziedzictwo kulturowe od pokoleń zstępujących, a przekaz międzygeneracyjny jest podstawowym warunkiem trwania danej zbiorowości. Jednak każde pokolenie ulokowane jest w określonej przestrzeni społeczno-historycznej. Zakorzenie doświadczenia w danym miejscu i czasie czyni je zawsze do pewnego stopnia nieprzekładalnym.

Powyższe uwagi prowadzą do trzech stwierdzeń: po pierwsze – jedną ze znaczących cech społecznego sensu biografii jest dążenie do jej interpretacji jako (w miarę) spójnej całości; po drugie – pamięć biograficzna, służąca między innymi podtrzymaniu poczucia biograficznej ciągłości, zawsze uwikłana jest w kontekst pamięci zbiorowej kształtującej ramy dla wyobrażeń na temat przeszłości; wreszcie po trzecie – proces konstruowania biograficznej ciągłości, będący uniwersalną cechą kulturowo zdefiniowanej biografii, w sytuacjach szczególnych kształtowany jest przede wszystkim przez wyjątkowość generacyjnych i indywidualnych doświadczeń. Niewątpliwie doświadczenie Zagłady tworzy ów kontekst wyjątkowości.

Z ponad trzymilionowej społeczności żydowskiej w Polsce Zagładę przeżyło ok. 10%. Żydowscy mieszkańcy miast i miasteczek wracali do swoich domów, które najczęściej były już zajęte przez nowych lokatorów. W wielu przypadkach dopiero

powrót do domu unaoczniał tragedię Zagłady. Ocaleni nieliczni, zniknęli nie tylko najbliżsi, ale i cała społeczność. W tej sytuacji – społecznej pustki i nierzadko nieprzychylniej lub wręcz wrogiej postawy społeczności polskiej – akt powrotu do miejsca zamieszkania stawał się często punktem zwrotnym w dotychczasowej biografii, co sprzyjało decyzji o emigracji z Polski, zwłaszcza do Palestyny i późniejszego Izraela. Była to jedna z dwóch dróg określających projekt powojennej biografii. Ta droga związana była z ideologią syjonistyczną, którą doświadczenie wojny bardzo wzmocniło. Opuszczenie miejsca Zagłady wiązało się też z pragnieniem odcięcia się od traumatycznych doświadczeń. Izolacja przestrzenna miała być jednym z remediów pozwalających wrócić do normalnego życia. Inną drogą biografii było pozostanie w Polsce. Decyzja taka podejmowana była ze względu na zgola odmienne przesłanki. Z jednej strony – w środowiskach ortodoksyjnych kierowano się przekonaniem, że tradycja i historia Żydów polskich winna być kontynuowana. Z drugiej – postrzegano nowy system polityczny jako dający szansę dla zmiany sytuacji społecznej Żydów wobec tej istniejącej w II Rzeczypospolitej. Nie bez znaczenia była tu ideologia komunistyczna, z którą identyfikowała się część Żydów. Pomiędzy tymi dwoma perspektywami mieściła się socjalistyczna ideologia Bundu, gdzie decyzja o pozostaniu w Polsce wiązała się z przekonaniem, iż w społeczeństwie polskim istnieje miejsce dla kultury i społeczności żydowskiej, ale o tożsamości pozbawionej wymiaru ortodoksyjnego. Jak wynika z danych emigracyjnych, przekonanie o skuteczności tej drugiej drogi stopniowo słabło, najpierw wobec aktów antysemityzmu i nasilającego się poczucia zagrożenia, potem na skutek coraz mniej przychylniej postawy władz wobec społeczności żydowskiej.

W konsekwencji w latach 1945–1950 wyemigrowało z Polski co najmniej dwie trzecie Żydów, czyli ok. 250 tys., z czego dla większości celem imigracji stał się Izrael. W pierwszych latach istnienia nowego państwa ponad połowę populacji stanowili Żydzi europejscy ocaleni z Zagłady (w tym największą grupą byli Żydzi z Polski). Przybyli oni do *Erec Israel* z bagażem traumatycznych doświadczeń. Tymczasem w okresie powojennym pamięć Zagłady była postrzegana jako element niesprzyjający procesowi powstawania państwa żydowskiego. Nowe, kształtujące się społeczeństwo nie chciało budować tożsamości zbiorowej na symbolice ofiary i cierpienia. Dlatego po wojnie *Yom Hashoa* – Dzień Pamięci o Ofiarach *Shoa* (dziś jeden z najważniejszych w Izraelu dni w kalendarzu uroczystości państwowych) był szeroko ignorowany. Starano się więc zapomnieć o Zagładzie. Można tu wyróżnić dwa równoległe występujące procesy – biograficzny odnoszący się do doświadczenia ocalonych i ich chęci zapomnienia, czy wręcz wyparcia traumatycznych doświadczeń oraz kolektywny – związany z etosem budowania nowego państwa, ideologicznie wsparty przez syjonizm. Społeczeństwo Izraela, walczące o swoją egzystencję (zarówno w wymiarze militarnym, politycznym, jak i gospodarczym), nie potrzebowało mitu ofiary, narracji o cierpieniu i bezsilności, lecz opowieści o bohaterstwie, ofiarności i męstwie. W myśl ideologii syjonistycznej Zagłada postrzegana była jako konsekwencja życia na wygnaniu.

Ta indywidualna i zbiorowa tendencja do zapominania skonstruowana była z potrzebą pamięci. W wymiarze indywidualnym potrzeba ta odnosiła się do faktu niemożności zapomnienia o przeszłości. W wymiarze kolektywnym do eliminowanej ze świadomości prawdy, iż zbiorowość nie jest w stanie wymazać własnej przeszłości i to zwłaszcza taka zbiorowość, w której pamięć pełni kluczową rolę w budowaniu tożsamości. Z tego względu, dzieje izraelskiej konfrontacji z Zagładą określa się jako „wielki dramat wypierania i rozpoznawania”. Zwłaszcza w pierwszych dwóch powojennych dekadach można było obserwować ambiwalentny stosunek do *Shoa* – rozdarcie między potrzebą zapomnienia a zapamiętania. Sytuacja ta była tym bardziej złożona, że ocaleni stanowili około połowy ludności nowego państwa, zaś fakt Zagłady stał się, zwłaszcza w dyskursie politycznym, jednym z podstawowych argumentów dla ustanowienia Izraela. Stąd pomijane początkowo pytanie, jak włączyć pamięć o *Shoa* w ideologię nowo powstającego państwa, z czasem nabierało mocy. Za punkt zwrotny uznaje się tu proces Adolfa Reichmanna, hitlerowskiego realizatora „ostatecznego rozwiązania”, w 1961 r., transmitowany w mediach i szeroko komentowany. Wydarzenie to dało impuls dla podjęcia pracy nad pamięcią zbiorową z włączeniem do niej narracji o *Shoa*. Zaczęto postrzegać ocalonych jako bohaterów, którzy przetrwali pomimo piekła Zagłady. Ci, którzy ocaleli, mogli przecież budować przyszłe państwo. Takie przewartościowanie umożliwiło przywrócenie, tak ważnej w tradycji żydowskiej, roli pamięci.

Kolejne lata naznaczone konfliktem izraelsko-arabskim spowodowały, że pamięć *Shoa* stała się ważna nie tylko w kontekście wojennej przeszłości narodu żydowskiego, lecz coraz mocniej wyznaczała interpretacje teraźniejszości i w takiej właśnie postaci przekazywano ją następnym pokoleniom, bo Izrael walczy o swoje państwo po to, by nie powtórzyła się raz jeszcze Zagłada. W ten sposób pamięć o *Shoa* łączy jej ofiary ze współczesnymi generacjami. Ofiary nie są zapomniane, przeciwnie – pamięć o nich jest przekazywana. Bo to pierwsi bohaterowie, którzy zginęli w imię sprawy powstania nowego państwa. Tak więc, jeśli w latach powojennych dominowało milczenie zarówno w wymiarze pamięci zbiorowej, jak i biograficznej, tak obecnie mamy do czynienia z włączaniem opowieści ocalonych do pamięci zbiorowej. Każdy z nich ma swoją opowieść, która składa się na zbiorową opowieść o historii cierpienia narodu, a żyjący ocaleni są nosicielami pamięci przekazywanej młodemu pokoleniu. Dzielenie się własnymi doświadczeniami biograficznymi stało się więc nie tylko wymianą narracji wojennych, ale również formą rytuału budowania więzi między przeszłością (reprezentowaną przez ocalonych) a teraźniejszością (reprezentowaną przez młode pokolenie). Ta powinność dzielenia się, świadkowania, wynika z przekonania o wyjątkowości *Shoa* oraz wpisanego w kulturę żydowską nakazu pamiętania. W liturgii hebrajskiej ciągle przewija się zwrot *le dor wa dor* – z pokolenia na pokolenie. Przekazywanie tradycji żydowskiej zawsze równało się pamiętaniu o niej – „pamiętam, więc jestem”, bo od pamięci zależało zachowanie tożsamości zbiorowej.

Wyrażona na poziomie pamięci zbiorowej intencja powrotu do przeszłości przez wspomnienia świadków zbiegła się w czasie z opisanym wyżej impulsem do budowania spójności życiowych doświadczeń pokolenia Ocalonych. To spójność szczególnie, bo trzeba zaznaczyć, że większość z nich po opuszczeniu Polski nigdy nie odwiedziła miejsca urodzenia. Wiązało się to nie tylko z lękiem przed konfrontacją z traumatyczną przeszłością, ale również z późniejszą niemożnością odbycia takiej podróży z powodów politycznych. Dopiero zmiany polityczne po 1989 r. doprowadziły do zniesienia żelaznej kurtyny, a tym samym otwarcia granic Europy Środkowo-Wschodniej. Dlatego w ostatnich dwóch dekadach jesteśmy świadkami podróży do rodzinnych stron osób, które w wyniku działań wojennych i powojennych zmian granic podjęły decyzje o opuszczeniu miejsca urodzenia.

Podróże takie stały się wręcz masowe i zasługują dziś na miano zjawiska społecznego. Przyjeżdżają zresztą nie tylko Żydzi, Polacy odwiedzają Kresy Wschodnie II Rzeczypospolitej, a Niemcy dzisiejsze tereny Polski Zachodniej. Jednak w przypadku Żydów podróż do miejsca urodzenia zazwyczaj nie jest sentymentalną wyprawą w przeszłość, ale związana jest z koniecznością zmierzenia się z traumatycznymi wspomnieniami czasu wojny oraz próbą odbudowania relacji z miejscem, które zarówno na poziomie pamięci biograficznej, jak i zbiorowej kojarzone jest z Zagładą.

Doświadczenia biograficzne powracających Żydów, mimo traumy wojny, jej wyjątkowości oraz prób jej wyparcia, wpisują się zarazem w jakiejś mierze w uniwersalny schemat przeżywania biografii. Tak więc, powroty do miejsca urodzenia, do korzeni, podejmowane przez impuls biograficznego nakazu domknięcia koła, realizowane są niejako wbrew generacyjnemu zdefiniowaniu biografii Ocalonych. Podstawowym jego wzorem (zarówno na poziomie kolektywnym, jak i indywidualnym) jest bowiem wyznaczenie wyraźnej granicy między traumą wojny a „nowym życiem”. Perspektywa taka sprzyja jednak bardziej segmentacji niż scalaniu biografii. Mamy tu więc do czynienia z napięciem między potrzebą uporządkowania biografii przez odniesienie do typowych etapów i doświadczeń biegu życia a wyjątkowością doświadczenia Zagłady.

Patrząc na ów problem z perspektywy generacji Ocalonych, można powiedzieć, że powrót-podróż to ostatni rozdział ich wojennego doświadczenia. To w jakimś sensie również część doświadczenia Zagłady, przeżywanego przez pryzmat całego życia – trzeciego wieku, czasu przepracowania i scalania biografii.

Kaja Kaźmierska
– dr hab. prof. UŁ (Katedra Socjologii Kultury)

Kurcząca się granice

W sprawie planu getta

nauka

Literatura dotycząca łódzkiego getta jest już stosunkowo liczna, zarówno *stricte* historyczna, jak i popularna. Uzupełniają ją nieliczne, ale istotne wspomnienia. Ostatnio ukazała się ciekawa, fabularyzowana relacja sekretarki Chaima Rumkowskiego – Etki Daum. Wkrótce badacze dziejów getta otrzymają kluczowe opracowanie, jakim jest pełne polskie wydanie *Kroniki getta łódzkiego*¹, które ma się ukazać z okazji 65. Rocznicy Likwidacji Litzmannstadt Ghetto.

W tym wszystkim jedno jest zdumiewające: nikt do tej pory nie zajął się szczegółowym albo chociażby bliższym opracowaniem podstawowej, wydawałoby się, kwestii, jaką jest... obszar getta. Schemat informacyjny w tej sprawie dostępny w publikacjach jest wszędzie taki sam. Autorzy opracowań historycznych, łącznie z „fundamentalnym” Rubinem², wymieniają niejako automatycznie datę zarządzenia z 8 lutego 1940 roku szefa łódzkiej policji J. Schäfera o utworzeniu getta w Łodzi (pomijając istotną informację, że wyznaczony obszar był znacznie mniejszy niż powszechnie przyjmowany), nie wspominając o zarządzeniu z 8 kwietnia, poszerzającym znacznie jego obszar do ok. 4,13 km²³. Na zakończenie wspominają, że uległo ono zmniejszeniu (bez podania roku i w jakim rejonie) do 3,82 km².

Prawdopodobnie te wartości i sposób opisu do obiegu wprowadził Mirosław Cygański w pierwszej obszernej publikacji nt. okupacji w Łodzi⁴.

Chaos informacyjny w tej kwestii pogłębiło wydanie tzw. „planu Janeczka”⁵, szeroko kolportowanego podczas obchodów 60. rocznicy likwidacji łódzkiego getta w 2004 roku. A przecież sprawa granic getta jest możliwa do w miarę dokładnego zarysowania z zachowaniem chronologii zmian terytorialnych tej zamkniętej dzielnicy. Wszystkich zmian, bo przykładowo obszar getta według zarządzenia z 8 lutego to tylko ok. 1,96 km² (196 432 m²)⁶!

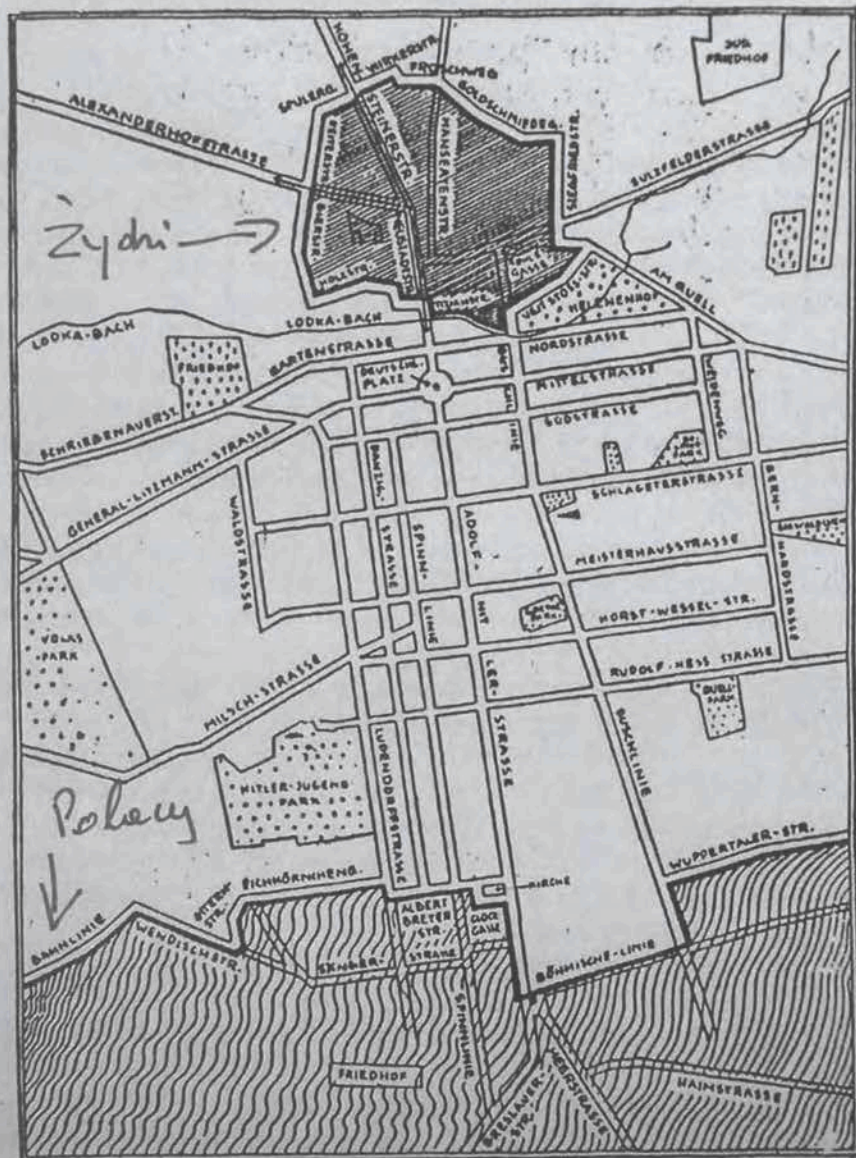
Trzy zasadnicze „grzechy” „planu Janeczka” to: wydzielenie z obszaru getta Bałuckiego Rynku – tak aby każdy „aryjczyk” mógł bez przeszkód udać się w tym czasie na rynek – brak zaznaczenia obszaru stacji Radegast i umieszczenie tytułu planu w sposób niezgodny z kierunkami geograficznymi.

Fakt, teren stacji Radegast (od końca 1943 r. – *Verladebahnhof Waldborn*) formalnie nie wchodził w skład obszaru getta, był tylko dzierżawiony przez miasto od *Deutsche Reichsbahn*, ale tragiczna rola, jaką odegrał w jego dziejach, uzasadnia umieszczenie go na planie getta, np. przy pomocy linii przerywanej. W efekcie nawet mieszkańcy Łodzi do dzisiaj myślą „stację Radegast” z więzieniem na Radogoszczu,

Der Tag in Lodsch

Seite 5

Die Wohngebiete der Juden und Polen



Wir bringen auf dieser Karte eine Darstellung des Wohngebietes, das den Juden durch die Volksgemeinschaft vom 8. Februar als ausschließlicher Aufenthaltort zugewiesen wurde (südlich des Stadtkerns), sowie der beiden Durchfahrtsstraßen durch dieses Gebiet (durch durchgehende Pfeile gekennzeichnet). Durch Wellenlinien ist das Gebiet bezeichnet, das als neuer Wohnraum der Polen bestimmt wurde. Die Abgrenzung dieses Wohnraums nach Osten, Süden und Westen ist durch die Verlängerung der Nordgrenze an die Stadtgrenze.

gdyż ciągle nie mają świadomości umiejscowienia i wielkości tego miejsca w odniesieniu do terenu getta.

Faktem jest również, że wstęp na Rynek Bałucki miała tylko ściśle określona liczba mieszkańców getta tam zatrudnionych. Plac był więc swoistą enklawą w getcie, ale bynajmniej niewyłączoną z niego. O tym warto pamiętać, jak również o tym, jaką powierzchnię miał obszar stacji Radegast. Kiedy bowiem ukazała się nowa wersja „planu Janeczka” już z zaznaczonym Radegastem, to wyglądało to jak jakieś niewielkie pole przyklejone na siłę do wschodniej granicy getta. A przecież teren ten miał w rzeczywistości powierzchnię ok. 0,11 km² (112 273 m²)!

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ten plan, odruchowo układając go zgodnie z tytułem, zauważyłem pewien dysonans poznawczy. Wydaje się bowiem, że kanonem wydawniczym jest takie umieszczenie tytułu, aby czytelnik ułożył go zgodnie z kierunkiem północ-południe. Tak są przecież publikowane i rysowane wszystkie plany i mapy. Tu natomiast powstał układ przekręcony o 90° w lewo. Prawdopodobnie autor przyjął taki sposób prezentacji, bo był wygodniejszy w publikacji, umożliwiając umieszczenie obok niego dodatkowych treści informacyjnych.

I jeszcze jedna kwestia dla bliżej interesujących się dziejami getta. Otóż zabrakło informacji precyzującej jakiego okresu dotyczą zaznaczone granice. A jest to obszar zakreślony prawdopodobnie dopiero od końca maja 1941 roku aż po kres istnienia getta.

Ten nie w pełni oddający istotę problemu plan getta posłużył niestety jako baza do nakładki historycznej na komputerowy plan Łodzi administrowany przez Miejski Ośrodek Dokumentacji Geodezyjnej i Kartograficznej (www.mapa.lodz.pl).

Oczywiście, potrzebny jest ogólny plan getta, chociażby dla turystów chcących poznać jego obszar obecnie, ale można na nim zapisać lub zaznaczyć kilka szczegółów, jak np. pierwotny obszar z 8 lutego 1940 roku. No i oczywiście stację Radegast.

Swego czasu zwracałem uwagę na potrzebę zajęcia się tą kwestią podczas sesji naukowej zatytułowanej – *Fenomen getta*, zorganizowanej przez Uniwersytet Łódzki w 2004 roku. Problem nie został przez nikogo podjęty i w publikacji posesyjnej pod tym samym tytułem pojawił się znów tylko „plan Janeczka” i w takim samym układzie odwrotnym do rzeczywistego położenia na obszarze Łodzi. A przecież dokładna znajomość faz rozwoju i kurczenia się obszaru getta pozwalałaby na rozwiązanie innego kluczowego problemu, jakim jest w miarę dokładne datowanie wielu planów getta pozbawionych wskaźnika chronologicznego. Choćby np. w zbiorach Archiwum Państwowego w Łodzi.

Chociaż nie uważam się za historyka getta, po raz pierwszy podszedłem do tego problemu przy okazji 60. Rocznicy Likwidacji Litzmannstadt Ghetto, po obejrzeniu „planu Janeczka”, wykorzystując „na szybko” najłatwiej dostępne źródła informacji. To dwa pierwsze tomy *Kroniki getta* obejmujące lata 1941 i 1942 (opubliko-

wane w latach 1965–1966) oraz opracowanie Icchaka Rubina. Narysowałem wówczas odręcznie, na bazie „planu Janeczka”, dokładny plan, korygujący nieco błędy tego pierwszego, ukazujący podstawowe fazy zwiększania i zmniejszania się obszaru getta.

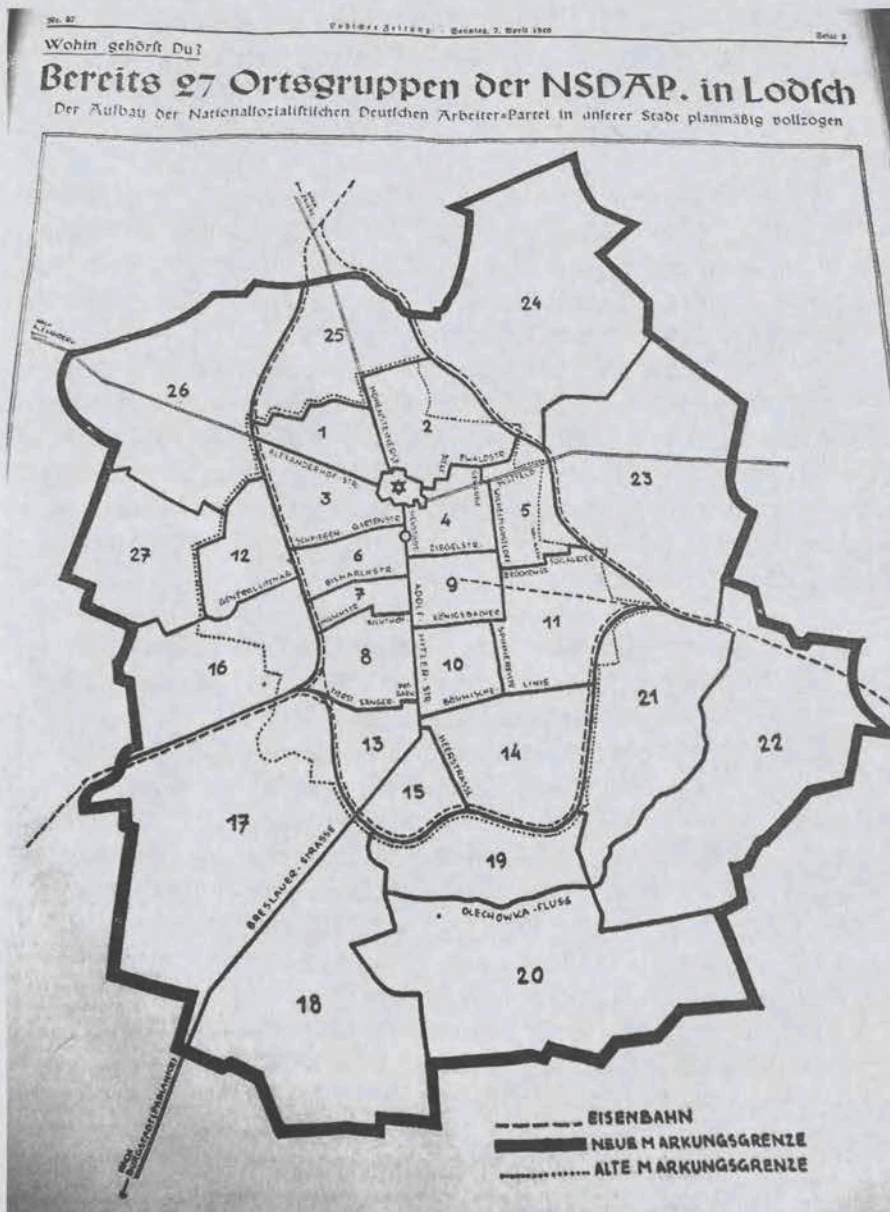
Druga okazja bliższego zajęcia się tym problemem pojawiła się niedawno przy okazji prac nad pełnym wydaniem *Kroniki getta łódzkiego*. To rezultat zetknięcia się z trzonym zespołu redakcyjnego – mgr Ewą Wiatr i dr. Jackiem Walickim oraz z emerytowanym już dziś kierownikiem Miejskiego Ośrodka Dokumentacji Geodezyjnej – Zygmuntem Szumskim.

Efekty tych wszystkich spotkań można obejrzeć na nowej nakładce historycznej na komputerowy plan Łodzi, którą przygotowała do prezentacji m.in. Magdalena Szrajber-Urbańska. Udało się też wrysować w niego przebieg linii tramwaju gettowskiego (*Elektrische Strassenbahn Ghetto*). Jest to w sumie pięć nakładek w sekwencjach: obszar getta wg zarządzenia z 8 lutego 1940 roku, według zarządzenia z 8 kwietnia tego samego roku, na koniec lat 1941 i 1942 oraz na 29 sierpnia 1944, kiedy odszedł z Łodzi ostatni transport do komór gazowych KL Auschwitz-Birkenau⁷.

Nie jest to może pełne rozpracowanie tego problemu, bo na szersze szczegóły zabrakło czasu i wymagają one pogłębionych badań archiwalnych, ale te pięć nakładek pozwala chyba na uchwycenie zasadniczych punktów tego zagadnienia. Te szczegóły to przede wszystkim określenie granicy getta w jej północnym przebiegu, od ul. Urzędniczej do cmentarza żydowskiego i miejscowe, czasowe lub pełne, wyłączenia z obszaru getta poszczególnych budynków czy miejsc. Nie jest np. szerzej znany fakt, że początkowo były wyłączone z getta także obszary, na których znajdowały się katolickie świątynie. Chodzi o kościoły Najświętszej Marii Panny, Dobrego Pasterza oraz kościół mariawicki przy ul. Franciszkańskiej.

Wyłania się pewien ogólny wniosek z dotychczas wykonanych prac przez badaczy tego problemu. Dla znakomitej większości mieszkańców Łodzi (Litzmannstadt), zarówno Polaków, jak i Niemców, obszar getta zamykał się w granicach mniej więcej prezentowanych przez „plan Janeczka”. Został on ukształtowany do końca 1941 r. i otoczony tym charakterystycznym drewnianym płótem poprzęplatanym drutem kolczastym, „chronionym” od zewnątrz licznymi posterunkami policji niemieckiej, która chyba z równą szybkością i skutecznością strzelała zarówno do Żydów, jak i do „aryjczyków” próbujących przekroczyć tę granicę. Natomiast „od wewnątrz” kwestia ta prezentuje się zdecydowanie inaczej. Mamy tu do czynienia z dwiema zasadniczymi formami zmniejszania obszaru getta: poprzez odłączenia i wydzielania.

Większe odłączenia miały miejsce w zasadzie tylko w 1941 r. i były zauważalne z zewnątrz. Dotyczą one południowej części getta:– trójkąta, którego wierzchołek stanowiło nieistniejące dziś skrzyżowanie ul. Majowej i DREWnowskiej (w pobliżu Odolanowskiej), a podstawę – obecna ul. Jeneralska, – teren ówczesnej fabryki farmaceutycznej „Ciba” (dziś „Polfa” SA.) przy ul. DREWnowskiej.



nauka

Ponadto w tym czasie włączono w obszar getta spory teren dawnej rzeźni bałuckiej przy ul. Łagiewnickiej, dziś zajmowany przez Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania. Zaczęła też funkcjonować stacja Radegast.

Wyłączenia z obszaru getta były niezwykle dotkliwe i zauważalne tylko przez jego mieszkańców. Na przykład wyłączenie z terenu getta obszaru o powierzch-

ni 85 000 m², pomiędzy Franciszkańską – Wojska Polskiego – Oblęgorską i Smugową z dniem 1 listopada 1942 roku spowodowało konieczność wysiedlenia stamtąd około 5 tys. ludzi. W sytuacji przybywających w tym czasie transportów z okolicznych gett oraz Żydów z Europy Zachodniej stworzyło to potężny problem mieszkaniowy dla administracji gettowej.

Obszar ten z zewnątrz pozostał terenem getta, był w dalszym ciągu strzeżony przez posterunki policyjne, ale był już zamknięty dla mieszkańców getta, mogli na nim przebywać tylko tu pracujący. Ponadto wraz z tym terenem getto straciło wiele ziemi uprawnej dostarczającej pewnej ilości świeżych produktów rolnych. To okoliczność nie do przecenienia dla stale głodującego getta.

Przełom lat 1941/1942 to wyłączenie z obszaru getta niewielkiego terenu w rejonie obecnego skrzyżowania ulic Wojska Polskiego i Towiańskiego pod obóz cygański (Ziganeuerlager). Wyłączenie to trwało tylko kilka miesięcy, od 5 listopada 1941 do 12 stycznia 1942 roku⁸. Istotniejszym ubytkiem było wyłączenie od drugiej połowy 1942 roku terenu pod budowę obozu dla młodocianych Polaków, znanego dziś pod nazwą „oboza przy ul. Przemysłowej” o powierzchni 0,06 km² (642,81 m²). Obóz ten, jak wiadomo, przetrwał do końca okupacji.

Jak takie wyłączenia zakłócały normalne funkcjonowanie getta doskonale widać w zapisach „Kroniki”. To jeden z nich, z 4 kwietnia 1944 roku, („Kronika” nr 95):

Odłączenie części getta

Przełożony Starszeństwa Żydów otrzymał od władz niemieckich zlecenie wyburzenia części getta od Holzstrasse [Drewnowska] do Am Bach [Podrzeczna]. To ciężki cios dla getta, którym dotkniętych zostanie około 2 000 właścicieli mieszkań, dla których teraz trzeba znaleźć mieszkania w pozostałej części getta. Znaczący to również, że Prezes musi znaleźć do tych prac kolumnę 500 ludzi. Przy obu ulicach, Holzstrasse i Am Bach, znajduje się szereg budynków, które są w doskonałym stanie i gdzie mieszka duża liczba protegowanych osób (głównie lekarze). Jest nadzieja, że rozbiórki będą posuwać się w umiarkowanym tempie, aby spokojnie móc przeprowadzić wszystkie osoby. W każdym razie wiadomość ta zakłóca świąteczny już nastrój, przede wszystkim tych, którzy przynajmniej tym razem mogą mieć nadzieję na specjalny przydział ze strony Prezesa.

Najbardziej istotne wyłączenia miały miejsce w ostatnim miesiącu funkcjonowania getta, w sierpniu 1944 roku. Z dniem 14 sierpnia gestapo wyłączyło z zamieszkania całą zachodnią część getta, czyli obszar od linii przebiegającej ulicami Jeneralską, Modrą i Urzędniczą na zachodzie po ul. Zgierską, ale posterunki policyjne zostały utrzymane. Mieszkańcy tego obszaru w większości zostali wywiezieni do komór gazowych, nie było zatem problemu z „dogęszczaniem” mieszkań w części wschodniej. W sumie z obszaru getta ubyło w tym czasie 0,82 km² (821, 429 m²) dawnej powierzch-

ni. W następnych dniach Niemcy wyłączali ze wschodniego terenu getta kolejne partie: 18 sierpnia obszar zamknięty ulicami: Zgierską – Dolną – Łagiewnicką oraz ulicami: Wojska Polskiego – Franciszkańską – doliną rz. Łódki do Zgierskiej (pow. ok. 1,40 km² [404,449 m²]). 24 sierpnia obszar pomiędzy ulicami: Marysińską – Górnica – Emilii Plater (z pominięciem obozu przy ul. Przemysłowej) – Przemysłową – T. Boya-Żeleńskiego i B. Głowackiego do Wojska Polskiego (pow. ok. 0,48 km² [476,260 m²]), a 25 sierpnia obszar ograniczony ulicami Łagiewnicką – Wojska Polskiego – Marysińską – Organizacji WiN (pow. ok. 0,29 km² [283,293 m²]).

W efekcie, na kilka dni przed odprawieniem ostatniego transportu ze stacji Radegast w dniu 29 sierpnia, obszar dostępny dla pozostających jeszcze w getcie zmniejszył się już tylko do 2,14 km².

Tymczasem na zewnątrz – getto trwało w swoich niezmiennych granicach...

I tu otwiera się wspólne pole badawcze i prezentacyjne do napisania co najmniej pracy magisterskiej dla studentów historii i może też geografii. Można by w ten projekt włączyć adeptów kartografii i geodezyjnych technik komputerowych. Służę materiałami zebranymi do tej pory. Z opracowania takiego można byłoby się dowiedzieć wszelkich szczegółów dotyczących kwestii kształtowania się obszaru getta. Dlaczego przede wszystkim lub w jakich okolicznościach następowały poszczególne wyłączenia. Przy okazji musi zostać tu poruszony problem wyburzeń, np. wzdłuż ulic Zgierskiej, Ogrodowej i Północnej jako element przygotowywania tego terenu do przyszłego zagospodarowania przez władze Litzmannstadt. W zbiorach Archiwum Państwowego w Łodzi znajdują się perspektywiczne plany z 1941 r. z rozrysowanymi obszarami w tym rejonie i z planowanymi stawkami za sprzedaż gruntów⁹. Stawki te wahały się od 1,5 do 6 marek niemieckich za metr kwadratowy.

Ideąłem byłoby taki plan wydać osobno, bądź załączyć do jakiejś nowej, fundamentalnej pracy o dziejach łódzkiego getta.

Wojciech Żródlak

– historyk; kustosz Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi

Przypisy:

1. Na razie mają do dyspozycji 4-tomowe wydanie niemieckie z 2008 roku.
2. I. Rubin, *Żydzi w Łodzi pod niemiecką okupacją, 1939–1945*, Londyn 1988.
3. Opublikowane w „Lodscher Zeitung” z 8 kwietnia 1940, nr 98, s. 3 w wersji niemiecko-polskiej, pomiędzy którymi istnieje mała rozbieżność, a raczej istotne niedoprecyzowanie w przebiegu granicy północnej. Według wersji polskiej miała ona bieć od nieistniejącego dziś skrzyżowania ul. Wspólnej i Łagiewnickiej do cmentarza żydowskiego, nie precyzując dokładnie tego przebiegu. W wersji niemieckiej podana jest na tym odcinku ul. Inflancka, ale zagadkę stanowi przebieg granicy od wspomnianego skrzyżowania do tejże ulicy. Jak wynika z kolejnych, późniejszych wersji przebiegu granicy w tym miejscu, możliwości i realizacji były tu różne.

4. M. Cygański, *Z dziej—wokupacji hitlerowskiej w Łodzi, 1939–1945*, Łódź 1965. *Notabene* jedynej jak do tej pory tak przekrojowej publikacji! Kolejna na ten sam temat, wprowadzająca wiele nowych wątków i ocen Tadeusza Bojanowskiego (*Łódź pod okupacją niemiecką w latach II wojny światowej 1939–1945*) ukazała się w roku 1992 w nakładzie... 100 egzemplarzy.
5. Zbigniew Janeczek, autor oprac. graficznego vademecum łódzkiego getta Juliana Baranowskiego, wydane go z okazji 60. rocznicy likwidacji getta (Łódź 2003 r.) i dołączonego do niego planu.
6. Dane przybliżone w częściach setnych! Obliczone „na szybko” przy pomocy funkcji „oblicz powierzchnię” w interfejsie komputerowej mapy Łodzi.
7. Poza tym nakładka została wzbogacona o wiele istotnych informacji dodatkowych, jak zaznaczenie na nim podstawowych miejsc posadowienia urzędów i zakładów pracy getta wraz z krótkimi notkami historycznymi i zdjęciami archiwalnymi.
8. Mieszkańców tego obozu, po wybuchu wśród nich epidemii tyfusu, wywieziono do Chełmna n. Nerem i tam wymordowano.
9. np. sygn. Kartografia 2959 i 2960.



Fotografie pochodzą z archiwum autora

kultura

Tajemniczy świat chasydów

Ruch, który przetrwał Holokaust

Anna Walaszczyk

str. 95

Język jidysz ze sceny

Bleter *Teatru Fabrycznego*

Mateusz Sidor

str. 108

Festiwal edukacyjny

Spotkania z kulturą jidysz – „Słyszę Gwar”

Marcin Kieruzel

str. 116

Artysta odkrytego sentymentu

Grafiki Zdzisława Wiatra

Joanna Wygnańska

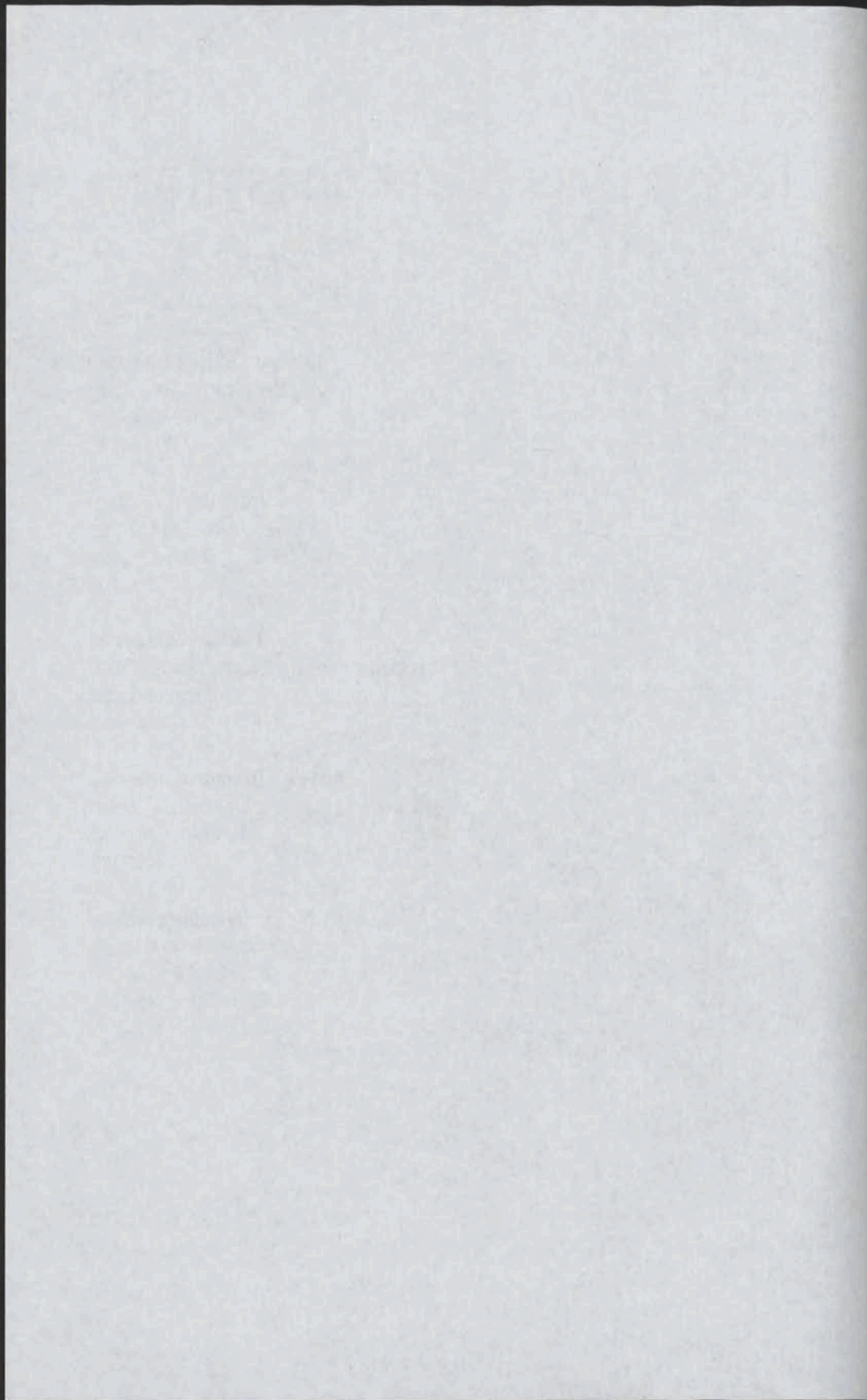
str. 123

W odbiciu prawdy

Niewinne oko nie istnieje

Marek Strąkowski

str. 128



Tajemniczy świat chasydów

Ruch, który przetrwał Holocaust

kultura

Nie sposób przejść obojętnie obok chasydyzmu – zbyt silne piętno odcisnęła na żydowskiej kulturze, obyczajach i folklorze. Wpisany w życie polsko-żydowskich miasteczek, zwanych w języku jidysz *sztetl*, naznaczony mistyczną filozofią, tajemniczą myślą kabały, charakterystycznym stylem życia, strojem, śpiewem, tańcem i niezwykłą obyczajowością – chasydyzm dla większości z nas pozostaje zagadką. Aby choć trochę bliżej poznać tajemniczy świat chasydów, Muzeum Historii Miasta Łodzi przygotowało jego muzealną prezentację.

Pokazujemy świat, którego już nie ma, a który był tak bardzo obecny w Polsce do 1939 roku. Jest to świat wirtualny, bo przecież nie może być rzeczywisty. Ten autentyczny zniszczyła bezpowrotnie tragedia Holocaustu. I choć przedwojennych chasydów pochłonęła Zagłada, chasydyzm przetrwał. Stopniowo odtworzył swoje społeczności w Stanach Zjednoczonych, Izraelu, w niektórych krajach Europy Zachodniej. Jest zjawiskiem żywym, współczesnym.

Wystawa *Tajemniczy świat chasydów* przygotowana została w kontekście Obchodów 65. Rocznicy Likwidacji przez Niemców Litzmannstadt Ghetto. Na jej motto obrano wypowiedź amerykańsko-żydowskiego uczonego, Artura Hertzberga: *Jest rzeczą ważną, byśmy pamiętali – ale o czym mamy pamiętać? Czy tylko o tym, jak zginęło sześć milionów Żydów? Czy o tym, jak oni żyli?*

Tysiące łódzkich Żydów i żydowskich mieszkańców pobliskich miasteczek było chasydami. Obraz chasyda, podobnie jak obraz łódzkiego fabrykanta, jest jednym z elementów kulturowego dziedzictwa naszego miasta. Wspólnoty chasydzkie, administracyjnie przypisane do rozsianych po Ziemi Łódzkiej gmin żydowskich, w większości spotkał wspólny los. Los Litzmannstadt Ghetto.

Celem wystawy jest przywrócenie pamięci o tym, co już na stałe zniknęło z przestrzeni polskich miast i miasteczek. Przywołujemy czas chasydów, kiedy brodaci mężczyźni z pejsami, ubrani w długie chałaty, w czarne kapelusze bądź futrzane czapy, przechadzali się po uliczkach *sztetla*, a ich głośnie modły i ekstatyczne śpiewy słyhać było w najbliższym sąsiedztwie. Jest to wystawa pamięci i życia.

Po społecznościach chasydzkich zachowało się niewiele pamiątek. Wyjątek stanowią skromne w swej architekturze *ohele* (groby) cadyków, do których pielgrzymują tysiące chasydów z całego świata (najliczniej do Leżajaska i Lelowa k. Częstochowy). Na grobach zostawiają *kwitelech* – karteczki z prośbami, ufając, że duch świątobliwego rebebo wstawi się za nimi u Stwórcy. Kontynuują ekstatyczne praktyki

(kiwanie ciałem, kołysanie, pokłony, korowody taneczne, mistyczne śpiewy), a przy grobach modlą się wciąż nowe pokolenia pielgrzymów.

Od nowatorstwa do ultraortodoksji

Chasydyzmem określa się mistyczny ruch filozoficzno-religijnej odnowy w obrębie judaizmu. Był to ruch masowy o szczególnym znaczeniu społecznym, bowiem zmiany, jakie wywołał w sferze wyobraźni i światopoglądu zwykłych Żydów, wywarły olbrzymi wpływ zarówno na ich wierzenia, jak i życie codzienne. Narodził się w połowie XVIII w. na południowych i wschodnich obszarach Rzeczypospolitej (Podole, Wołyń). W początkowym okresie rozwijał się i umacniał przede wszystkim na terenach dawnej Polski, by później rozprzestrzenić się na kraje ościenne. Był ruchem protestu przeciw skostniałym formom judaizmu rabinicznego, który studiowanie Tory, Talmudu i drobiazgowe przestrzeganie nakazów religijnych uważał za jedyną drogę do Boga. Zewnętrzność rytuałów zastąpił mistycznym doświadczaniem boskości, zalecał autentyczną pobożność, wyrażaną radośnie i spontanicznie.



Chasydyzm to nowa postawa w judaizmie, nowy sposób modlenia się, nowy światopogląd oparty na Kabale i własnych autorytetach religijnych. Spopularyzował wiedzę kabalistyczną, szczególnie mistyczną naukę Izaaka Lurii, która – przekazywana przez kabalistów jako tajemna – stała się dostępną zwykłym ludziom.

Chasydyzm traktowany jako ostatni nurt mistyki żydowskiej, w potocznym rozumieniu postrzegany jest jako symbol ortodoksyjnej żydowskiej religijności. Dziś oznacza styl życia ultraortodoksów, przede wszystkim w Izraelu i Stanach Zjednoczonych.

Początki chasydyzmu łącznie są z charyzmatyczną postacią Izraela Ben Eliezera (1700–1760), znanego jako Baal Szem Tow (Pan Dobrego Imienia), nazywanego w skrócie Beszt. Tradycja chasydzka przyjęła uważać go za swego założyciela i przywódcę.

Baal Szem Tow wniósł nową jakość w przeżywanie religii. Głosił, że mistyczne doświadczenie Boga dostępne jest dla każdego Żyda. Nauczał, że Bóg jest wszędzie, w każdym Jego stworzeniu, w każdym cza-

sie. Nakazał odrzucić smutek i poprzez radość życia wychwalać Stwórcę. Nauczał, że Bogu można służyć każdą życiową czynnością – jedzeniem, pić, nauczaniem, biesiadowaniem, zwykłą codzienną pracą i oczywiście modlitwą, byle działania te wykonywać ze świadomą intencją (*kawana*). Propagował charakterystyczną dla chasydyzmu ideę radości i pogody ducha. Mawiał, że Bóg nie mieszka z człowiekiem smutnym, że wbrew przeciwnościom, należy radować się z życia takim, jakim ono jest. Potępił ascetyzm oraz beznamiętne rytuały tradycyjnego judaizmu. Praktyki religijne ubogacił osobistą modlitwą, gorącymi emocjami, religijną ekstazą, śpiewem i tańcem.

Chasydyzm zyskał rzesze wyznawców i zwolenników we wszystkich warstwach żydowskiego społeczeństwa, niezależnie od wykształcenia i statusu społeczno-ekonomicznego. Stworzył własną filozofię, system pojęć, sposób wypowiedzi. Chasydzi mieli własną literaturę, muzykę, a także strój, obyczaje i folklor. Najważniejsze i zupełnie wyjątkowe miejsce pośród społeczności chasydzkiej zajmował cadyk. Był on przywódcą duchowym chasydów. Wokół niego skupiała się cała wspólnota i idea chasydyzmu.

Ruch chasydzki wywołał rewolucyjne zmiany w łonie judaizmu. Chociaż do wierzeń i praktyk wprowadził myśl kabalistyczną, indywidualną modlitwę o różnych porach dnia oraz nowe przywództwo religijne, oparte na autorytecie cadyka, to nie obalał przepisów wjary, jedynie niektóre z nich upraszczał. Chasydzi modlili się w odrębnych domach modlitwy, w tak zwanych *sztiblach*, niepodlegających dozorowi gminy. Używali modlitewników według rytu sefardyjskiego (zamiast aszkenazyjskiego), sprawowali mistyczne rytuały, prowadzili kabalistyczne medytacje, odprawiali hałaśliwe nabożeństwa ze śpiewem, pokrzykiwaniem i gwałtownymi ruchami ciała. Nigdy nie wyszli jednak poza oficjalne ramy judaizmu. Zachowali tradycyjne zwyczaje, a żydowskie święta obchodzili zgodnie z ich kalendarzem, szczególnie żarliwie świętując szabat.

W pierwszym okresie rozwoju chasydyzm miał wielu przeciwników i był ostro zwalczany. Jego największymi oponentami byli tzw. *mitnagdym* („przeciwnicy”). Walka *mitnagdów* z ruchem chasydzkim zaczęła słabnąć w późnych latach XVIII wieku. W dużej mierze przyczyniła się do tego Haskala, reformatorski ruch żydowskiego oświecenia. Judaizm rabiniczny szukał sojusznika w walce z modernistycznymi prądami, co skłoniło uczonych talmudystów i rabinów do akceptacji chasydyzmu.

Z czasem ruch chasydzki zatracił swój poszukujący i nowatorski charakter. Powrócił także do studiów talmudycznych i zbliżył się do zinstytucjonalizowanej formy ortodoksji. Z ruchu innowacji i religijnego odrodzenia stał się strażnikiem żydowskiej ortodoksji i tradycji. W dzisiejszym judaizmie występuje jako jego ultraortodoksyjny odłam.

Śladami łódzkich chasydów

Dzieje wyznawców chasydyzmu w Łodzi nie są jeszcze w wystarczającym stopniu opisane i zbadane, co wynika z ograniczonej ilości materiałów źródłowych, dostępnych dla celów badawczych. Większość archiwaliów uległa zniszczeniu podczas drugiej wojny

światowej, a te, które ocalały, są znikome i niekompletne. Pierwsze zapisy, dotyczące obecności chasydów w Łodzi, pojawiają się w dokumentach miejskich oznaczonych jako Akta miasta Łodzi¹.

Informacje o łódzkich zwolennikach chasydyzmu znajdziemy w książce F. Friedmana², wspominał o nich H. Banner³. W oparciu o te skromne źródła, kilka uwag o łódzkich chasydach znalazło się w opracowaniach, m.in.: W. Pusia⁴, K. Stefańskiego⁵ i J. Walickiego⁶. Krótki tekst, sygnalizujący zjawisko chasydyzmu pośród łódzkich Żydów ortodoksyjnych, autorstwa S. Kellera ukazał się w 2002 r. w przewodniku *Łódzkie judaika na starych pocztówkach*. Warto wspomnieć, że w zbiorowym dziele zatytułowanym *Fenomen getta łódzkiego*⁷ znalazł się angielskojęzyczny artykuł współautorstwa Avrahama Kriegera i Symchy Kellera, o życiu religijnym m.in. chasydów Chabad i chasydów Ger (Góra Kalwaria) w getcie łódzkim.

Skromnej literaturze przedmiotu, a właściwie krótkim tekstem zamieszczonym w książkach wyżej wymienionych autorów, brakuje niestety ilustracji. Wśród archiwalnej *stricte* chasydzkiej fotografii, zdjęć związanych z życiem chasydów w Łodzi jest zaledwie kilka. Warto tu przypomnieć, że chasydzi nie mieli potrzeby fotografowania się, tym bardziej nie wyrażali zgody na robienie zdjęć w swoim środowisku i niechętnie odnosili się do wszelkich fotoreporterskich prób wtargnięcia do ich zamkniętego świata.

W Łodzi i w pobliskich miastach (m.in.: Pabianicach, Zgierzu, Zduńskiej Woli, Strykowie) żyło dziesiątki tysięcy chasydów. W większości byli oni wyznawcami cadyków dynastii zwanej w jidysz *Ger*, czyli dworu w Górze Kalwarii i dworu w Aleksandrowie Łódzkim.

Na pierwsze informacje o łódzkich chasydach natrafiamy dość późno, bo w roku 1832, kiedy to stanowisko rabina łódzkiej gminy objął Chaskiel Naumberg. Był on chasydem, zwolennikiem Menachema Mendla Morgensterna z Kocka (1787–1859), jednego z najpopularniejszych cadyków I połowy XIX wieku. W źródłach archiwalnych z 1832 r. pojawia się zapis o *huzetach* (chasydach), którzy obowiązani są uiszczać opłaty z tytułu używania własnego rodału⁸. W dokumentach z lat późniejszych chasydzi nazywani są także „huzytami”, „husetami”, „hiwitami”, „zabobonnikami i sektą hussydymów”⁹, bądź „sektą chasydysmów”¹⁰.

Kolejnym dokumentem władz administracyjnych Łodzi, w którym pojawiają się wpisy o chasydach jest pismo z marca 1836 roku w sprawie dobrowolnych składek na wybudowanie domu i szkoły dla rabina. Rozliczenie zebranych funduszy i wydatków uzupełnia sprawozdanie opisujące przeznaczenie lokali znajdujących się w domu rabina, wybudowanym na placu gminnym obok bóżnicy na Starym Mieście. W dokumencie czytamy: *Dom z złożonych powyżej wymienionych ofiar mieści w sobie dwie stancje na mieszkanie dla rabina, jednej obszernej stancji na szkołę i dwóch stancji na gurze na nabożeństwa, tudzież jedna stancja także na gurze dla Husitów [chasydów] dla nabożeństwa, za co Ciż ofiarowali książek do nauki za złotych trzysta*¹¹.



kultura

Chaskiel Naumberg (funkcję łódzkiego rabina pełnił przez 24 lata), będąc zwolennikiem chasydyzmu, popierał przybyłych do Łodzi kockich chasydów. Ci, mając za sprzymierzeńca swojego współwyznawcę, bez przeszkód otrzymali w gminnym budynku osobne pomieszczenia i urządzili tam własny *sztibl* – dom modlitwy i nauki. Ofiarodawcami ksiązek byli zaś majętni łódzcy Żydzi, chasydzi cadyka z Kocka: Sz. Saltzman, J.W. Sonnenberg, Z. Orbach, J. Hamburski, I. Berger, I. Bławat, M. Dobrzyński, A. Bronowski i J. Brzeziński. Wśród ich cennych darów znalazł się 14-tomowy *Talmud Babiloński*, 5-tomowa *Biblia Mojżeszowa* i wiele innych dzieł. Wspomniany Szmul Saltzman zapisał się w historii Łodzi jako właściciel ulicy Solnej, przy której wybudował piętrowe, murowane domy, do dziś zamieszkane i zachowane w dobrym stanie.

Następcą rabina Naumberga został Mojżesz Lipszyc, pochodzący z warszawskiej rodziny rabinackiej. Do wyboru Lipszyca na łódzkiego rabina przyczynił się zapewne i ten fakt, że Lipszyc był chasydem kockim, a zwolennicy cadyka z Kocka mieli w gminie łódzkiej stanowczą przewagę¹². W końcu lat 40. i w następnych dziesięcioleciach XIX w. wśród łódzkich Żydów dochodziło do wewnętrznych podziałów na tle religijnym. Zewnętrznym przejawem różnicowania stał się odmienny styl życia, zarówno wyznawców chasydyzmu i tradycyjnego judaizmu, jak i „ucywilizowanych”, najmniej licznych zwolenników judaizmu reformowanego.

Pojawienie się w Łodzi chasydów, zwolenników cadyków z różnych dynastii, potwierdzają dane łódzkich władz administracyjnych. Zapisy podają, że w 1858

r. było już tutaj 16 żydowskich domów modlitwy, organizowanych w prywatnych domach i funkcjonujących poza oficjalną synagogą.

W kolejnych dziesięcioleciach XIX w. zjawisko podziałów wewnętrznych na tle religijno-społecznym wyraźnie się nasiliło. W omawianym okresie, społeczność chasydzka, szczególnie chasydzi koccy, mieli w gminie zdecydowaną przewagę. O znacznej liczbie zwolenników dworu z Kocka świadczą skargi wnoszone do magistratu przez niechasydzkich Żydów o to, że liczebna „nowa sekta” organizuje swoje życie poza urzędową gminą i rzadko uczęszcza do głównej synagogi, co powoduje spadek dochodów gminy z „czytania rodaków” i „wykupu ławek”.

Chasydzi dworu Aleksander

W późniejszym okresie, szczególnie w dwudziestoleciu międzywojennym, największe wpływy wśród Żydów łódzkich mieli chasydzi cadyka Altera z Góry Kalwarii (Ger) oraz cadyków dynastii aleksandrowskiej: Bacelela Jair z Łodzi i Szmuela Danzigerera, mieszkającego i prowadzącego dwór w Aleksandrowie Łódzkim.

Nasilanie się wewnętrznych konfliktów w łonie łódzkiej społeczności żydowskiej między ortodoksami i zwolennikami judaizmu reformowanego, a także między zwolennikami poszczególnych dworów chasydzkich, prowadziło do powstawania licznych *sztiblech* – prywatnych domów modlitwy i nauki. W łódzkich dokumentach archiwalnych chasydzkie modlitewnie określane są często terminem „szkółka”. Określenie to występuje m.in. w piśmie Szmula Saltzmana – dzierżawcy rodaku, który prosił magistrat łódzki o interwencję w ściąganiu zapłaty od czytania rodaku, m.in. od „szkółki zwanej Chasydym z Warki”¹³, czyli chasydów wareckich.

W 1873 r. nowym rabinem łódzkiej gminy został wybrany Eliasza Chaim Majzel. Mimo że był Litwakiem, przełożonym łomżyńskiej szkoły religijnej, potrafił nawiązać dobre stosunki i współpracę ze wszystkimi grupami społeczności żydowskiej w Łodzi. Prowadził intensywną działalność charytatywną. Razem z przedstawicielami Kościoła katolickiego organizował darmowe kuchnie dla biedoty obu wyznań. Cieszył się dużym uznaniem nie tylko wśród wyznawców religii mojżeszowej, ale także wśród pozostałych mieszkańców Łodzi. W praktyce realizował chasydzką ideę, iż nie jest godzien być rabinem ten, kto osobiście nie odczuwa bólu każdego członka swojej gminy. Urząd swój sprawował przez 39 lat, aż do śmierci w 1912 roku. Pochowany został na żydowskim cmentarzu przy ulicy Brackiej. W uroczystości pogrzebowej uczestniczyło tysiące mieszkańców Łodzi.

Jego następcą został chasyd cadyka z Góry Kalwarii (Ger) – Eliezer Lejb Treistman (Trajsman). Funkcje przywódcy religijnego w łódzkiej gminie pełnił do 1929 roku. W tym czasie chasydzi łódzcy związani byli przede wszystkim z dworem cadyka – Abrahama Mordechaja Altera z Ger (1864–1948) i dworem Danzigerów z Aleksandrowa Łódzkiego. Bacelel Jair (1856–1934), cadyk dynastii Aleksander, od 1914 r. *admor* w Łodzi, działalność swoją prowadził głównie w ośrodku łódzkim. Był

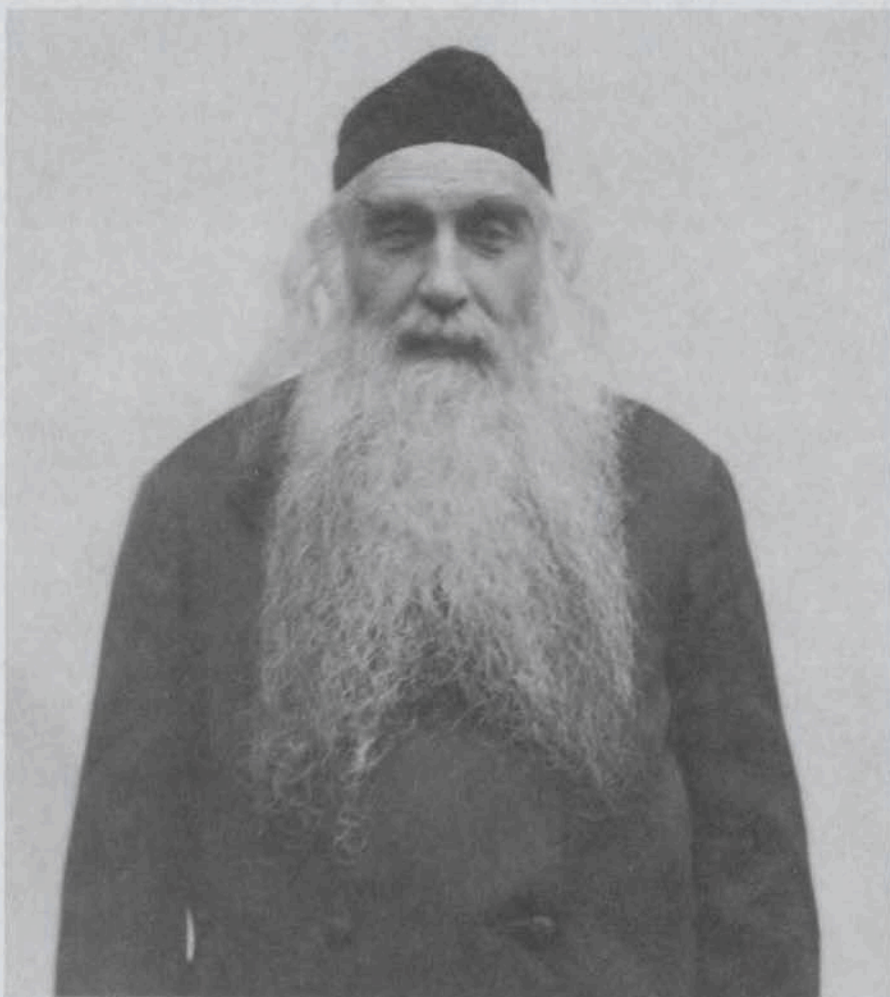


str. 7 | Cadyk Abraham Mordechaj Alter z Góry Kalwaril (Ger),
podczas pobytu w Szczawnicy, 1930-1939 r.

bratem słynnego rebego – Jerachmiela Izraela Izaaka z Aleksandrowa, współautorem dzieła *Jiszmah Jisrael* i popularnym kaznodzieją ludowym.

Przywódcy religijni z reguły wzajemnie się popierali i spotykali, bywało, że wspólnie wyjeżdżali do znanych kurortów w celu poprawy zdrowia. Pobyty cadyków w sanatoriach chętnie rejestrowali fotoreporterzy. Na zachowanych zdjęciach z podgórskich miejscowości możemy oglądać udających się na spacer popularnych przywódców chasydzkich w towarzystwie ich uczniów i zwolenników, w tym cadyka aleksandrowskiego.

Ostatnim przedwojennym prezesem Gminy Żydowskiej w Łodzi był Jakub Lejb Minberg. On także należał do najbardziej wpływowej w przedwojennej Polsce grupy chasydów z Góry Kalwarii, zwolenników Mordechaja Altera, od 1905 r.



– IV rebege dynastii Ger, z którym był nawet spokrewniony. Do Łodzi przeniósł się w 1902 roku. Tu w 1905 r. otworzył swoją pierwszą fabrykę, produkującą wstążki przy ul. Widzewskiej (obecnie Kilińskiego). W 1936 r. stał się właścicielem fabryki wstążek przy ul. Dowborczyków 28.

Minberg był liderem i współzałożycielem w Łodzi żydowskiego Zrzeszenia Ortodoksów (Agudas ha Ortodoksim), z którego później powstała ortodoksyjna partia Agudas Isroel (Związek Izraela). Jak pisze Paweł Samuś¹⁴ – Aguda popierała akcję tworzenia siedzib żydowskich w Palestynie, miała jednak w swym zakresie nieco inną koncepcję osadnictwa niż syjoniści. Propagując intensywnie hasła emigracyjne, zwłaszcza w latach trzydziestych, Aguda zajmowała lojalną postawę wobec państwa polskiego, choć krytkowała politykę władz państwowych w kwestii żydowskiej. Podjęła współpracę z pomajowym obozem rządzącym. Jakub Lejb Minberg, z czasem prezes Agudy w Polsce i członek władz jej światowej organizacji, był równocześnie przemysłowcem i kupcem, dwukrotnie piastował mandat poselski do sejmu RP. Z nominacji miasta zasiadał w radach nadzorczych Gazowni Miejskiej i Komunalnej Kasy Oszczędnościowej. Prowadził aktywną działalność w środowisku organizacji żydowskich. 6 września 1939 roku ewakuował się z Łodzi do Wilna, gdzie zginął w tamtejszym getcie w 1941 roku.

Ortodoksyjni Żydzi łódzcy związani byli z różnymi ośrodkami chasydzkimi. Byli wśród nich zwolennicy wielu cadyków, m.in. z: Kocka, Warki, Góry Kalwarii, Aleksandrowa, ale także z Sochaczewa, Mszczonowa, Radoszyc, Kozienic, Białej, Strykowa, a nawet odległego Bełzu i znacznie dalej położonej Sadagóry.

Wśród pabianickich Żydów wielu chasydów pozostawało pod wpływem dynastii cadyków z Góry Kalwarii. W mieście mieszkał Mendele Alter, brat słynnego Gerer Rebe, co przekładało się na propagowanie tam chasydyzmu ośrodka kalwaryjskiego. Stosunkowo silną pozycję miał też ruch chasydzki w Zgierzu. Wśród religijnych Żydów rywalizowały tam ze sobą m.in. znane okoliczne dwory z Aleksandrowa Łódzkiego, Strykowa, Sochaczewa oraz z Góry Kalwarii.

Do Zgierza przeniósł się pod koniec życia cadyk – Samuel (Szmuel) Bornstein (1855–1926) z Sochaczewa. Jego syn Dawid (1878–1942) przejął sukcesję po ojcu oraz grono jego zwolenników i nauczał w Wyszogrodzie, Tomaszowie Mazowieckim, Otwocku, Sochaczewie, Pabianicach i Łodzi. Został zamordowany w getcie warszawskim, miejsce jego pochówku jest nieznanne. Na żydowskim cmentarzu przy ulicy Brackiej w Łodzi pochowany został Meir Bornstein, potomek dynastii sochaczewskich cadyków.

W tragicznych latach Holokaustu społeczność chasydzka, mimo narzuconych ograniczeń, kontynuowała swoją pobożną codzienność i praktyki religijne. W getcie łódzkim (Litzmannstadt Ghetto), zwłaszcza w pierwszym okresie jego istnienia funkcjonowały domy modlitwy, zachowywano tradycyjne obyczaje, obchodzono święta. Aktywność wykazywali szczególnie chasydzi. W trudnych warunkach spełniali gorliwie chasydzką ideę pobożnego życia, o czym zaświadcza pamiątkowe pismo. Jest to oryginalny list napisany przez chasydów do Chaima Mordechaja Rumkowskiego –

Ludzie uwięzieni przez Niemców w Litzmannstadt Ghetto próbowali prowadzić normalne życie, a może tylko tworzyć pozory normalności, zmagając się z narzuconym im okrutnym losem. Społeczność ta wykazywała niezwykłą w tak ciężkich warunkach siłę duchową i afirmację życia.

Chasydyzm po tragedii Holokaustu

Centra chasydyzmu w Europie Środkowo-Wschodniej zostały doszczętnie zniszczone podczas II wojny światowej. Holokaust kończy bezpowrotnie historię obecności chasydów także na ziemiach polskich. W hitlerowskim planie eksterminacji Żydów rabini chasydscy, będący przywódcami wspólnot, wysyłani byli do obozów śmierci razem z rodzinami w pierwszej kolejności. Chasydzi, noszący brody i pejsy, wyróżniający się tradycyjnym strojem, byli dla hitlerowców przedmiotem prześmiewczych praktyk i poniżenia. Zginęły tysiące, chasydów, lecz sam nurt nie pozwolił się unicestwić. O jego sile i vitalności zaświadczało wielu, w tym chasydzi braclawscy, którzy – tańcząc i śpiewając – wchodzili do komór gazowych. Udało im się w ten sposób dowieść – pisze Marc-Alain Ouaknin – że nawet w samym środku piekła do końca pozostali ludźmi, że nie dali się okaleczyć ani poniżyć, aby nie umrzeć, zanim zginą¹⁵.

Po zakończeniu II wojny światowej chasydyzm stopniowo odbudował swoje wspólnoty. Już w latach pięćdziesiątych tradycje ruchu zaczęły odradzać się za sprawą ocalałych z Zagłady nielicznych cadyków, chasydów i ich potomków. Ci, którzy przeżyli Holokaust, wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych Ameryki i Izraela. Dołączyli do skupisk chasydzkich istniejących w Palestynie od czasów Menachema Medla z Witebska (przeniósł chasydyzm rodem z Polski do *Erec Isroel*) oraz do chasydów diaspory w Stanach Zjednoczonych. Stworzyli tam swoje społeczności, odbudowali



ugrupowania i dynastie, które istnieją do dnia dzisiejszego i stanowią ważny element współczesnego judaizmu.

W dzisiejszym świecie izraelskiej ultraortodoksji chasydzi nazywają się *charedim* (hebr. „bogobojny”). Zamieszkują jerozolimską dzielnicę Mea Szearim oraz Bnei Brak (część aglomeracji miejskiej Tel Awiwu).

W Stanach Zjednoczonych osiedlili się w niektórych dzielnicach Nowego Jorku (Williamsburg, Boro Park, New Square, Crown Heights), a także w Los Angeles, Chicago, New Jersey, Filadelfii. Wbrew różnym przeciwnościom trwanie chasydzkiej mistycznej duchowości i kultury kontynuują także w niektórych miastach zachodniej Europy, jak chociażby w Antwerpii.

Ruch Chabad

Wspomniane już Crown Heights na Brooklynie obrał za swoją siedzibę w 1940 r. rabbi Josef Icchak Schneerson, potomek z rodziny Szneura Zalmana z Ladów – twórcy ruchu chasydzkiego Chabad. Nazwa Chabad jest akronimem pochodzącym od trzech najwyższych kabalistycznych *sefirot*: *Chochma*, *Bina*, *Daat* („Mądrość, Zrozumienie, Wiedza”) i nawiązuje do intelektualnego poznania i studiowania Tory oraz doktryn mistycznych. Od kiedy syn Zalmana przeniósł dwór do miejscowości Lubawicze na Białorusi, chasydów Chabadu nazywa się Lubawiczami.

Najpopularniejszy powojenny cadyk dynastii Lubawicz – Menachem Mendel Schneerson (1902–1994) objął przywództwo dworu lubawiczów w 1950 roku. Zmienił radykalnie obraz swoich chasydów, przez wieki kontemplujących mistykę żydowską i filozofię swojego dworu. Zbudował prężną i świetnie zorganizowaną grupę. Ich działalność posiada znamiona misyjności skierowanej do Żydów niereligijnych lub nieprzestrzegających tradycji. Rebe Schneerson wysyłał *szlichim* („posłańców”), by w rozmaitych zakątkach świata budowali struktury Chabadu. *Szlichim* można spotkać wszędzie. Na lotniskach wielu miast mają swoje kącki z literaturą, uczą jak wiązać filakterie, gdzie można znaleźć domy Chabadu, w którym każdy potrzebujący otrzyma pomoc. W Izraelu chabadnicy jeżdżą nagłośnionymi samochodami i przemawiają do przechodniów. Chabad jako jedyna grupa chasydzka przyjmuje konwertytów. Istnieje także w Polsce – swój pierwszy ośrodek ma w Warszawie, od niedawna także w Krakowie. Przedstawicielem organizacji religijnej i nurtu filozoficznego „Chabad Lubawicz w Polsce” jest rabin – Szalom Ber Stambler. Jest on także twórcą pierwszej od II wojny światowej Jesziwy w Polsce czyli uczelni religijnych studiów, szkolącej przyszłych rabinów. Chabad rozwija w Polsce szeroko pojętą działalność edukacyjną, której celem jest propagowanie kultury żydowskiej. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że Rabin Stambler z dużą życzliwością odniósł się do prośby organizatorów wystawy w sprawie udostępnienia materiału filmowego z wesela chasydzkiego. Skrócona wersja filmu, ukazująca współczesną obrzędowość weselną chasydów odłamu Chabad-Lubawicz, zaprezentowana została publiczności odwiedzającej wystawę.

Świat ultraortodoksji nie jest jednolity, wspólnoty chasydzkie podążają własną drogą chasydyzmu. Wśród współczesnych ugrupowań chasydzkich znaczne wpływy w świecie żydowskim mają m.in. chasydzi należący do dynastii Gur (Góra Kalwaria), Wyżnic, Biała, Bełz, Aleksander, Braclaw. Wyjątkową grupę tworzą chasydzi Satmar, wywodzący się z węgierskiej dynastii Teitelbaumów. Należą oni do najbardziej ortodoksyjnych z ultraortodoksyjnych grup chasydzkich.

Anna Walaszczyk
– kustosz Muzeum Historii Miasta Łodzi

kultura



Przypisy:

1. Amł. opatrzone sygnaturami: 1561, 1565, 1566, 1569, 1578.
2. F. Friedman, *Dzieje Żydów w Łodzi od początków osadnictwa do 1863 roku*, Łódź 1935.
3. H. Banner, *Gmina żydowska w Łodzi. Krótki zarys dziejów ustrojowo-gospodarczych z 1938 r.*, Łódź 1938.
4. W. Puś, *Żydzi w Łodzi w latach zaborów 1793-1914*, Łódź 2003.
5. K. Stefański, *Architektura sakralna w Łodzi w okresie przemysłowego rozwoju miasta 1821-1914*, Łódź 1995.
6. J. Walicki, *Synagogi i domy modlitwy w Łodzi (do 1939 r.)*, Łódź 2000.
7. A. Krieger, S. Keller, *The Religions Life of the Lodz Getto* [w:] *Fenomen getta łódzkiego*, op. cit., ss. 235-241.
8. Amł., 1586, ss., 6-17.
9. Amł., 1565, ss., 83-84, 145-146, 151-152.
10. Amł., 1565, ss., 247-249.
11. Amł., 1561, s. 91.
12. Por. F. Friedman, op. cit., ss. 272, 274.
13. Amł., 1565, s. 266.
14. P. Samuś, *Spółeczność żydowska wielonarodowej Łodzi (do 1939 r.)*, [w:] *Fenomen getta łódzkiego*, op. cit., s. 50.
15. M-A. Ouaknin, *Chasydzi*, przeł. z ang. Krystyna i Krzysztof Pruscy, Warszawa 2002., s. 13.

Fotografie pochodzą ze zbiorów Muzeum ŻIH w Warszawie.

Język jidysz ze sceny

Bleter *Teatru Fabrycznego*

Przez szesnaście dni czerwca Łódź przygotowywała mieszkańców i gości do obchodów 65. Rocznicy Zagłady Litzmannstadt Ghetto. Program Spotkań z Kulturą Żydowską połączył różne dyscypliny. Były wystawy, projekcje filmowe, przedstawienia i warsztaty języka jidysz. Spotkania te zestawiły dwa światy żydowskiej kultury: tę przedwojenną, polską z dzisiejszą, tworzoną w Izraelu. Jednak propozycji czerpiących z tradycji łódzkich Żydów w programie spotkań było niewiele. Na tym tle wyróżnia się spektakl *Bleter* Teatru Fabrycznego, którego premiera odbyła się 22 czerwca na dawnej scenie awangardowej, łódzkiej grupy Teatr 77. Fabryczny sięgnął po mało znany, ale kapitalny dla tradycji żydowskiej przed wojną, dorobek awangardowych twórców języka jidysz.

Ideą Marka Strąkowskiego, współtwórcy i reżysera Teatru Fabrycznego, tworzącą profil artystyczny sceny, była adaptacja tekstów filozoficznych i manifestów ideowych. Na podstawie dzieł Martina Heideggera: markiza de Sade powstał spektakl *Cache-Sexe*. Teatr zwrócił się w nim do widza wymagającego, szukającego w gestach teatralnych symbolu, a w podawanym przez aktorów tekście refleksji o obecnym świecie. Rezygnacja z akcji dramatycznej i psychologicznych konfliktów postaci oraz zagęszczenie znaczeń w tekście zadecydowały o hermetyczności sceny. Jednak Fabryczny zdobył swoją publiczność i stał się rozpoznawalny w środowisku łódzkich teatromanów. Okazało się, że na przedstawienia teatru nie przychodzą wyłącznie absolwenci kierunków humanistycznych, ale osoby z różnych środowisk, zainteresowane awangardową sceną w Łodzi. Było jedynie kwestią czasu, kiedy ten rdzennie łódzki teatr sięgnie po dokonania awangardy artystycznej kształtującej tożsamość kulturalną miasta. Powstała w Łodzi, po I wojnie światowej grupa „Jung Jidysz”, założona przez młodych poetów żydowskich, zainspirowała powstanie słynnej warszawskiej „Hałustry”. Dokonania tych poetów tworzących w języku jidysz są ważne nie tylko dla historyków literatury. Fabryczny realnie sięgnął po stworzone przez nich teksty literackie i manifesty programowe.

Dzisiaj zapomniana twórczość tych grup należy już do obiektów muzealnych. Trudno odbiera się patetyczne, wzniosłe teksty, posługujące się ekspresjonistyczną symboliką. Młodzi żydowscy twórcy tamtego okresu odwołują się do etosu lewicowego, postulując zerwanie ze starym porządkiem społecznym i kulturowym, chęcą nowego świata. Podobne ówczesne nurty ideowe w Europie dziś jawią się jako ponura i karykaturalna zapowiedź nazizmu i komunizmu. Dlatego też przed Fabrycznym stanęło trudne zadanie wydobycia z tego historycznego materiału wątków, które mogłyby stać się atrakcyjne dla współczesnego widza.

Tramwajem przez miasto

Spektakl *Bleter* nie posiada akcji w tradycyjnym znaczeniu teatralnym. Nadaremno szukać tu konfliktu dramatycznego, akcji i starć bohaterów. Każdy z piątki aktorów wypowiadał fragmenty dzieł literackich oraz tekstów teoretycznych. Ilustracją i pewnego rodzaju komentarzem były działania aktorów, które budowały przestrzeń interpretacyjną, posługując się symbolem. Rzecz można, że akcja rozgrywała się w grze pomiędzy symbolami a podawanym przez aktorów tekstem. Tutaj reżyser znalazł klucz do nowego odczytania łódzko-warszawskiej awangardy. Jednocześnie wykorzystał narzędzia rodem z epoki, odwołując się do kolażu. Dowolnie łączył i zestawiał teksty literackie, tworząc z nich własną wypowiedź artystyczną.

W spektaklu wyłaniają się trzy opowieści. Opowieść o buncie przeciw źle urządzonemu światu, przeczucie Holokaustu oraz refleksja o losie narodu żydowskiego w XX wieku. To sporo pojemnych zagadnień jak na jeden spektakl. Medium, które je spaja, to swoisty dialog między ideami młodych żydowskich awangardzistów a przedstawicielami dzisiejszego pokolenia. Młodzi Żydzi z „Hafasty” wydają się zwracać do nas, opowiadając o swoich próbach naprawy świata i doświadczeniu Zagłady. Odczytanie *Bleter* jako rozmowy pokoleń pozwala więc odsunąć łatwo przychodzącą myśl, że spektakl jest jedynie lekcją historii literatury ubraną w teatralny sztafaż.

W spektaklu *Bleter* tył sceny jest ekranem, na którym w trakcie przedstawienia wyświetlany jest film. Jazda kamery prowadzi nas przez ulice Łodzi szlakiem linii tramwajowych. W mieście prawie nie ma ruchu. Momentami widzimy





aktorów-pasażerów. Przesuwające się obrazy Łodzi wprowadzają nastrój relaksującej podróży. Projekcja spaja narracyjnie następujące po sobie, niepołączone więzami dramaturgicznymi, sceny. Ulice łódzkiego śródmieścia, które niewiele zmieniły się od czasów przedwojennych, stają się ruchomą scenografią umieszczającą spektakl w przeszłości i teraźniejszości. Reżyser zabiera widzów na wycieczkę, która wiedzie przez dziesięciolecia i pokolenia oraz zbliża dwie odległe rzeczywistości. Jeden z aktorów na scenie ubrany jest w kolorowy t-shirt i dżinsy i jako jedyny nie mówi w jidysz. W jego wykonaniu teksty grupy „Hałastra” to głos naszych czasów. Przedstawicielka pokolenia przedwojennego nosi strój, który mógłby pochodzić z każdej epoki. Jej opowieści o wrzawie i galopie dzisiejszego świata towarzyszy erotyczny gest. Przemawia do współczesności, posługując się seksualnością, najbardziej dziś rozpanoszonego wabikiem popkultury. Kusi uczestnika współczesności, namawiając do przełamania starych form, relacji społecznych. Aktor odpowiada: *Pozostaliśmy nadzy, lecz wierni sobie, z własną, organiczną estetyką. Nie trzeba nam narkozy, nie trzeba zapachu nirwany z puszczyki tabaki – Weltschmerzu.* Aktualność tych zwierzeń buduje porozumienie między dwoma pokoleniami. W innej scenie aktorka wychodzi z walizką, z której po chwili wyjmuje słuchawki. Wcześniej mówi: *O kamienną ścianę wieczności uderza zakrwawiona, żelazna, opleciona drutami elektrogłowa wykutego w ogniu XX wieku [...] Nasz wewnętrzny bunt jest tym samym logicznym i nielogicznym rezultatem oraz koniecznością nieograniczonego, namiętnego postępu ludzkości.* Bunt okazuje się po-

trzebą każdej generacji, wręcz instynktownym odruchem. Aktorzy zakładają słuchawki, co czyni ich głuchymi „elektroglowami”. Reprezentant współczesności zwraca się do niesłyszących, wypowiadając monolog o sile jednostki, która pozbywa się *gipsowych bandaży* stereotypów. Młodzi nawołują do zmian, ale w ogóle nie docierają do odbiorcy. Pozostaje pytanie o ich program. Przeciwko czemu chcą się buntować? Tego nie dowiemy się ze spektaklu, chyba również dlatego, że same grupy „Jung Jidysz” i „Hałastra” nie zainicjowały w latach 20. trwałych zmian w kulturze. Jednak nawoływanie do rewolucji, wybrzmiewając ze sceny, pozostawia niedosyt. Nie ma zgody ma zastany porządek, ale jakie są propozycje? Z pewnością intencją twórcy spektaklu nie było udzielenie takiej odpowiedzi. Niemożność buntu wydaje się łączyć z inną płaszczyzną interpretacyjną, z doświadczeniem Holokaustu.

Pytania do chrześcijan

Reżyser wybrał z dorobku grupy „Hałastra” fragmenty, w których pobrzmiewa zapowiedź Zagłady. Tworząc tuż po I wojnie światowej, młodzi awangardziści myśleli raczej o koszmarach minionej wojny, wielu z nich było również świadkami rewolucji bolszewickiej. Jednak słowa wybrzmiały na scenie tchną aktualnością. W *naszych ziemskich wieżach postawiono na stołach duchową strawę dla przegranego pokolenia i chleb czarnego szabasu – nasz chleb pokładny. Wieczorem, u stóp przeszłego świata, pokolenie świętuje czerwoną, trzecią ucztę ziemskiego czarnego szabasu. Zła*





pleców – czarne słupy krzyży. Jednak nie intencje młodych poetów są ważne. Nie można zapominać, że reżyser konstruuje autonomiczną wypowiedź i spektakl kończy odniesieniem do Holokaustu. W ostatniej scenie aktorka otwiera walizkę wypełnioną piaskiem, z którego aktorzy wydobywają flagi różnych państw. Wcześniej pojawiają się trzy walizki z krzyżami; odniesienie do Golgoty jest tu bardzo czytelne. Twórca zdaje się sugerować, że wszystkie narody są ofiarami Holokaustu, ale również katami. Symbol krzyża użyty w tym kontekście wzbudził dyskusje u części publiczności. Padały nawet słowa o „antypolskości” spektaklu. Z pewnością jest to pogląd jednostronny, mając w pamięci sceny z początku przedstawienia, kiedy aktorzy rozwijają zwój Tory. Na świętą księgę rzucają się zmięte kartki papieru z tekstami „Halastry”. *Bleter* w języku jidysz to właśnie „kartki”. Ciskane na Torę kartki to akt rozpacz, bluźniercze wyzwanie rzucone świętej księdze i przodkom, którzy nie uchronili narodu przed Szoah. Reżyser wyraźnie kieruje uwagę widza na sprawę buntu, o którym opowiada poprzez dobrane teksty. W tym świetle rola tradycji chrześcijańskiej i judaistycznej jako ostoji ładu moralnego zostaje podważona. Bo właśnie w kolebce chrześcijaństwa i silnego judaizmu, w Europie, doszło do Zagłady. Wskazanie obu tradycji, które nie umiały przewidzieć i ochronić świata przed złem, realizuje się w przejmującej wypowiedzi: *Słowo chciało być królem i zbawicielem bólu. Z jego rąk i nóg spływa krew. Do grobu zabierze żyjącą w nim tajemnicę bólu i tajemnicę radości. [...] Wciąż jeszcze służyłeś pięknu, wciąż jeszcze służyłeś kłamstwu, dlatego cię opuściłem.*

Na tle doświadczenia Holokaustu pytanie o program buntu zamienia się w wątpliwość, czy bunt ma sens, skoro przynosi tak wynaturzone rezultaty?



kultura

Być może nie chodzi o program rewolucji, ale o samą postawę, o immanentną cechę człowieka, która każe burzyć i budować na nowo? Znamienny jest monolog w trakcie rozkładania Tory, kiedy to aktorka przytacza parafrazę Księgi Rodzaju. Bóg, zanim stworzył świat, który mu się spodobał, zniszczył wiele wcześniejszych. Czy nie na wzór Boga działa człowiek, unicestwiając wciąż na nowo swoje cywilizacje? Być może niezgoda na zastany porządek to drzemiący w nas boski pierwiastek, który przerasta człowieka i w naszych rękach zamienia się w narzędzie samozniszczenia? Pokolenie „Jung Jidysz” i „Hałustry” namawia nas do buntu, opowiada o swojej historii, ale jednocześnie ostrzega przed konsekwencjami. Choć komunikuje się z nami zabytkową już ekspresjonistyczną symboliką i stylem, niesie nam przesłanie: buntujcie się, bo i tak nie macie innego wyjścia.

Klezmerzy i muzycy

Trudno ocenić na ile aktorzy w *Bleter* poprawnie podali tekst w języku, którym w Polsce nikt się już nie posługuje. Nieliczni widzowie znający jidysz chwalili jednak aktorów, którzy na opanowanie tekstu mieli niecałe trzy miesiące. Poza tym wydaje się, że wygłaszanie manifestów ideowych na scenie bez wspomagania się akcją to recepta na zirytowanego widza. Tym bardziej robi wrażenie gra całego zespołu. Aktorzy grają do publiczności, zagarniają słuch oglądających, wciągając w jakby znajomą, ale niezrozumiałą niemiecko-polsko-hebrajską melodię na wpół martwego języka. Siła ich przekazu wprowadza widza w hipnotyczną podróż. Wrażenie przebywania poza czasem, między rzeczywistościami, potęguje wyświetlana w tle projekcja. Jeśli nie ma się ochoty śledzić

polskiego przekładu, można poddać się zmysłom. Niestety ułatwiały to niedociągnięcia techniczne, gdyż tekst tłumaczenia był zbyt mały, by nie zakłócać odbioru podawanego tekstu.

W *Bleter* ważną rolę odgrywa muzyka, która mogłaby stać się autonomiczną wartością. Gitarzysta z łódzkiego zespołu rockowego do wierszy awangardzistów skomponował muzykę, wykonywaną na żywo. Piosenki w interpretacji Jowity Popow tchną nostalgią i przywołują nastrój podróży; bardzo spodobały się widzom i szkoda by zamilkły wraz z ostatnim spektaklem. Są oryginalnymi utworami, które powstały z inspiracji nieistniejącą kulturą żydowską, będącą przecież częścią polskiego dorobku.

Spektakl *Bleter* opowiada o osamotnieniu Żydów i ich przetrąconej w XX wieku tożsamości. Młodzi żydowscy twórcy pragnęli znaleźć się w głównym nurcie kultury swojej epoki. Porzucili tradycję religijną, ale zwrócili się ku językowi jidysz. Pragnęli zbudować na nowo żydowską kulturę, sprawić, by jej głos był w Europie słyszalny. Wykonywane podczas spektaklu piosenki przypominają śpiewane psalmy. Aktorka ubrana w powłóczystą szatę z rozpuszczonymi włosami to jak gdyby lamentujący naród. W *Bleter* ukazuje się los narodu skazanego na odizolowanie i niezrozumienie. Narodu, którego jedynym kawałkiem ziemi stał się popiół zamordowanych przodków wyspany w finale w walizki. Ich próba przekonstruowania świata i wprowadzenia własnej kultury w obieg europejski kapituluje, a idea budowania nowego porządku wynaturza się w systemie masowej zagłady. Dziś zwracają się do nas ze sceny, opowiadając o swoim losie. Aktorzy machający flagami w zakończeniu to cierpki komentarz zwracający się do nas dzisiaj. Mówią: byliśmy częścią waszego losu, to również historia o was.



Dziś przy okazji festiwalu kultury żydowskiej często przywołuje się pogrzebany świat galicyjskich sztetli, fabrykanckich fortun czy szabasowych potraw. Obraz kultury Żydów w Polsce w obiegu medialnym i świadomości społecznej został mocno zredukowany do pozycji folkloru. Sztuka żydowska zamyka się w klezmerskich, skocznych piosenkach, a tańcząca postać w pejsach zastępuje tradycję religijną. *Bleter* przełamuje te schematyczne obrazy i pokazuje świat idei postępowych Żydów. Przedstawia dorobek artystów, których dzieła nie są łatwe w odbiorze, ale stanowią ewenement na skalę światową. Awangardowe grupy żydowskie tworzące w Łodzi, Wilnie i w Warszawie to ówczesne europejskie centra kultury jidysz. Szkoda, że widzowie przybywający na spektakl nie mogli dowiedzieć się czegoś więcej o tekstach, które słyszeli ze sceny. Mogliby przecież dowiedzieć się, że powstanie łódzkiej grupy „Jung Jidysz” zainspirowało warszawską „Hałastrę”. Ciekawa wydać by się mogła postać łódzkiego artysty – Mojżesza Brodersona, autora programowego manifestu „Jung Jidysz”, z którego warszawianie zaczerpnęli nazwę. Bez tych informacji odbiór spektaklu musi się jednak obejść.

Twórca przerzucił most między pokoleniami, ale wskrzesił też tradycję łódzkiego teatru w języku jidysz. Od lat 50. XX wieku, kiedy działał teatr Idy Kamińskiej, w Łodzi nie powstawały żadne spektakle w języku europejskich Żydów. Przedstawienie to również hołd złożony kulturze przedwojennej Łodzi. *Bleter* Teatru Fabrycznego to chyba najgłębiej związana z duchem przedwojennej kultury żydowskiej propozycja teatralna Spotkań z Kulturą Żydowską. Sukces przedstawienia tkwi też w poważnej bezkompromisowości zespołu, który odrzucił pokusy uwspółcześniania tekstu. *Bleter*, podany w oryginalnym brzmieniu, pozbawiony jest popkulturowej kokieterii. Docenili to goście z Francji, którzy już zaprosili spektakl na pokazy do Lyonu. Przedstawienie staje się kulturalną wizytówką Łodzi.

Mateusz Sidor
– publicysta

Teatr Fabryczny, *Bleter*, premiera 22 czerwca 2009,
Akademicki Ośrodek Inicjatyw Artystycznych w Łodzi.
Reżyseria: **Marek Strąkowski**
Obsada: **Piotr Augustyniak, Barbara Gortat, Agnieszka Nawrocka,
Joanna Okupska, Jowita Popow**
Muzyka: **Rittus**
Wykonawcy: **Krzysztof Kowalewski, Sławomir Ostrowski,
Marcin Ritter, Tomasz Żeno**
Koordynator projektu: **Marcin Kieruzel**

Festiwal edukacyjny

Spotkania z kulturą jidysz – „Słyszę Gwar”

„Spotkania z kulturą jidysz – Słyszę Gwar” to w roku obchodów 65. Rocznicy Likwidacji Litzmanstadt Ghetto jedna z ciekawszych inicjatyw, mających na celu upamiętnienie przedwojennej społeczności łódzkich Żydów. Ważna przede wszystkim dlatego, iż od początku do końca została zainicjowana i zorganizowana przez młodzież i zaadresowana do swoich rówieśników. Projekt powstał spontanicznie w grupie studentów Uniwersytetu Łódzkiego, którzy nazwali sami siebie *Meszugasi*, czyli w języku jidysz „zwarowani”. Organizacyjnie pomogło Europejskie Forum Studentów AEGEE, finansowo program Komisji Europejskiej „Młodzież w działaniu”. Idea projektu zasługuje na uwagę – wydaje się bowiem, że pomysłodawców nie tyle zainspirowała kultura jidysz, co samo miasto niegdyś tą kulturą przesiąknięte. Pokolenie dzisiejszych dwudziestolatków jest oczywiście świadome żydowskiego dziedzictwa Łodzi, zazwyczaj zdaje sobie sprawę, że przed drugą wojną światową miasto zamieszkiwała licząca ponad 220 tys. osób społeczność Żydów i że społeczność ta posługiwała się zapomnianym dzisiaj językiem jidysz. Młodzież zwykle wie, kim byli Julian Tuwim, Artur Rubinstein czy Izrael Poznański. W przeciwieństwie jednak do swoich dziadków, czasem rodziców, nie ma żywego kontaktu z tym, co żydowskie w Łodzi. Stąd projekt „Słyszę Gwar” miał być nie tyle mnożeniem wiedzy, co rzeczywistym spotkaniem z historią miasta, które na swoich placach, ulicach i podwórkach skrywa relikty żydowskiej obecności. Relikty, za pomocą których można w jakiś sposób odtworzyć czy wyobrazić sobie obraz przedwojennej Łodzi. Obraz związany z codziennością miasta przesiąkniętego wspólnym życiem jego wieloetnicznej społeczności. Tę ideę oddaje świetnie sama nazwa projektu – „Słyszę Gwar”, zaczerpnięta z piosenki łódzkiego muzyka Ziemowita Kosmofskiego pod tym samym tytułem:

*I zastygł tu w murach kamienic gwar dawny
Polski, niemiecki, rosyjski i jidysz
Wśród pubów nowych i nowych latarni
Przechadza się z Tobą i czasem go słyszysz...*

Program „Słyszę Gwar” podzielony był na spotkania przeznaczone dla zainteresowanych łódzian oraz dla młodzieży licealnej i gimnazjalnej z rejonu Bałut. I to nieprzypadkowo, bo właśnie ta młodzież, przedstawiciele XXVIII LO oraz XVIII gimnazjum, w drodze do szkoły mija najważniejsze zabytki żydowskiej Łodzi, których historii nie zna.

Na uwagę zasługuje również fakt, iż organizatorom udało się zaprosić do współpracy właściwie wszystkie środowiska związane ze spuścizną żydowską w mieście, na czele z Gminą Wyznaniową Żydowską, Fundacją „Monumentum Iudaicum Lodzense”, Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym Żydów w Polsce oraz Fundacją Laudera. Honorowy patronat nad spotkaniami objęli też Prezydent Miasta Łodzi oraz Rektor Uniwersytetu Łódzkiego.

Cmentarz żydowski

Wycieczka w głąb historii miasta zaczyna się od identyfikacji znanych miejsc takich jak cmentarz żydowski, synagoga, Stary Rynek i ciągnie się dalej w nieznaną przeszłość z nimi związaną. To swego rodzaju miejska archeologia, która za pomocą materialnych relikwów odtwarza bogactwo i żywotność dawnej kultury. Z pewnością najciekawszym miejscem dla takich poszukiwań jest w Łodzi wielki cmentarz żydowski przy ulicy Brackiej. Spacer po nim prowadzili Hubert Rogoziński i Joanna Podolska. Młodzież z XXVIII LO oraz XVIII gimnazjum miała niecodzienną okazję zwiedzić również *Beit Tahara* – żydowski dom pogrzebowy i miejsce oczyszczenia, a przy okazji posłuchać o żydowskich obrzędach związanych z chowaniem zmarłych od członka bractwa pogrzebowego – Chewra Kadisza, który do dziś owe rytuały pielęgnuje. Cmentarz to bogata symbolika. Obowiązujący w judaizmie zakaz czynienia obrazów i oddawania kultu ludziom powoduje, że na żydowskich macewach nie znajdziemy, tak jak na katolickich grobach, zdjęć zmarłych. Obraz i historia człowieka pokazane są zawsze za pomocą symboli. Symboliczne jest również pozorne zaniedbanie cmentarza – w judaizmie jest





on własnością zmarłych, ich kości nienaruszone mają tam czekać na Mesjasza. Grób jest własnością zmarłego na wieki i nie powinien być remontowany. Z żydowskim rytuałem pogrzebowym związane są nie tylko materialne relikty – okazuje się, że i w języku zachowało się ich kilka. Polskie powiedzenie „być wyniesionym nogami do przodu”, oznaczające śmierć, pochodzi z żydowskiej tradycji, w której zmarły był właśnie w taki sposób odprowadzany do miejsca pochówku. Powiedzenie „nic ze sobą do grobu nie zabierzesz” wywodzi się z obowiązującego w judaizmie ścisłego zakazu zostawiania w grobach jakichkolwiek przedmiotów poza rytualnym strojem, oraz tradycji chowania zmarłego wprost w ziemi bez trumny, bo „z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”. Uczestnicy spaceru zatrzymywali się też na chwilę przed grobem Siaji Rozenblata, fabrykanta, którego wyroby włókiennicze były tak słabej jakości, że stały się synonimem bubla, stąd na jego określenie używa się jeszcze czasem w Łodzi przymiotnika „siajowy”.

Synagoga

Podobnie inspirująca dla uczestników projektu okazała się wizyta w synagodze. Spośród wielu przedwojennych łódzkich bożnic do dnia dzisiejszego zachowała się tylko jedna – zaadaptowana w czasie wojny na magazyn soli synagoga Reicherów przy ul. Rewolucji 1905 roku. Opowieść o judaizmie snuli w jej murach członkowie Klubu Fundacji Laudera. Był to wykład o judaizmie „na jednej nodze” – jak się wyraził Baruch Ciesielski, jeden z prowadzących. W tradycji chasydzkiej istnieje podanie o pewnym młodym Żydzie, który zażądał od swojego rabina, by ten odkrył przed nim istotę Talmudu – by opowieść nie ciągnęła się zbyt długo – stojąc na jednej nodze. Takie żądanie spotkało się oczywiście



z ostrą reprimendą rabina. W istocie bardzo trudno jest podczas krótkiego wykładu choćby wprowadzić w bogatą i skomplikowaną symbolikę judaizmu. Prowadzący skupili się więc na najbardziej charakterystycznych cechach kultu synagogałnego. Dorota Ciesielska opowiadała o codzienności żydowskiej rodziny, która do dzisiaj zachowuje przepisy swojej religii. Uczestnicy obejrżeli również prezentację żydowskiego kalendarza świąt i tradycyjnych obrzędów. W synagodze Arkadiusz Walczak wygłosił wykład na temat historii żydowskiej diaspory w Europie.

Nieopodal synagogi Reicherów znajduje się jeszcze jeden, niezwykle ciekawy zabytek związany z dziedzictwem kultury jidysz. Na kamienicy przy Rewolucji 1905 r. nr 19 zachował się przedwojenny napis w języku hebrajskim. Był to sztyl żydowskiej organizacji charytatywnej „Linat Ha-Holim”, dzisiaj co prawda wyblakły, ale wciąż jeszcze czytelny. Znajdował się on obok sklepiku przy Więckowskiego, w którym krótko po wojnie bieliznę sprzedawała matka Dawida Libeskinda – architekta o światowej dziś sławie – i w którym do dzisiaj handluje się koronkami, jednym z ciekawszych punktów na trasie spacerów edukacyjnych „W poszukiwaniu żydowskich korzeni miasta”.



Stary Rynek

Większość spotkań w ramach projektu „Słyszę Gwar” odbyła się na Starym Rynku, miejscu szczególnym, bo właśnie w jego obrębie koncentrowało się wspólne życie wieloetnicznej społeczności przedwojennej Łodzi. Stary Rynek to obszar najstarszego kwartału żydowskiego z czasów, kiedy Żydom nie wolno było osiedlać się w innych rejonach miasta. Organizatorom „Słyszę Gwar” chodziło o to, by ożywić to trochę zapomniane dzisiaj miejsce, które kryje w sobie ciekawą historię.

Warto więc przypomnieć genezę zwyczajowej nazwy dawnego rynku i obecnego parku Staromiejskiego, które Łodzianie nazywają „rynkiem śledzia” i „parkiem Śledzia”. Przed II wojną światową kwitł w obrębie tego rynku ożywiony handel, również śledziami sprzedawanymi z wydrążonych w ziemi dołów wypełnionych wodą. Woń ryby tak głęboko wsiąkła w ziemię, że podobno jeszcze długo po wojnie i po tym jak Niemcy wyburzyli dużą część tego obszaru, można tam było wyczuć zapach śledzi. Zapach ten unosił się na rynku również w czasie tegorocznych imprez. Podczas warsztatów kulinarnych, prowadzonych przez Iżę Grynsztajn, Łodzianie obok wielu żydowskich potraw mogli też spróbować przyrządzanych na wiele sposobów śledzi.

Kolejnym interesującym pomysłem w ramach projektu „Słyszę Gwar” był happening pod nazwą *Tu był sklep krawca Birenbauma*. Pomysłodawcy chcieli przywrócić na chwilę wygląd przedwojennej ulicy Nowomiejskiej (dzisiaj Zgierskiej) okalającej Stary Rynek. W archiwum udało się odnaleźć przedwojenne zdjęcia i na ich podstawie z pomocą farb i pędzli odtworzyć stare szyldy żydowskich sklepików przed laty tam prosperujących. Szyldy, razem z wystawą archiwalnych fotografii, zawisły w podcieniach Starego Rynku.

Koncerty

„Słyszę Gwar” to też koncerty – gdzieżby indziej, jeśli nie na Starym Rynku. Organizatorzy zaprosili w to miejsce Kapelę Bałucką, która przypomniała stare łódzkie piosenki, a razem z nimi kawałek historii miasta. Podczas koncertu finałowego *Słyszę Gwar! Głosy łódzkich kamienic* – na scenie wystąpili uczniowie XXVIII LO z przedstawieniem teatralnym pt. *Szosza* na podstawie tekstów Isaaca Singera. Zagrali Ziemowit Kosmofski z zespołem, który przypomniat piosenkę *Słyszę Gwar*, będącą inspiracją dla całego projektu. Gwiazdą wieczoru zaś była znana z Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie artystka – Urszula Makosz, śpiewająca tradycyjne pieśni w trzech najważniejszych językach żydowskich: w jidysz, po hebrajsku oraz w języku Żydów sefardyjskich – ladino. Podczas koncertu ogłoszono też wyniki i rozdano nagrody w konkursie fotograficznym „Miasto Tuwima”.

Tęsknota za różnorodnością

Organizatorom Spotkań z kulturą jidysz – „Słyszę Gwar” udało się zwrócić uwagę młodych Łodzian na sens powrotu do żywej historii miasta i pokazać to w sposób bardzo pomysłowy i niekonwencjonalny. Nie tyle więc wykłady, co przyjęcie praktycznych form

w postaci warsztatów teatralnych, plastycznych czy kulinarnych i spacerów do miejsc, gdzie kwitło żydowskie życie miały na jakiś czas uczynić zapomnianą żydowską Łódź bliższą, a wiedzę o niej bardziej konkretną i „zaczeponą” w przestrzeni. W ramach realizacji tego projektu nie było bezpośrednich odniesień do problemu Holokaustu i antysemityzmu. Organizatorzy skupili się przede wszystkim na tym, co w tradycji żydowskiej Łodzi żywotne. Innymi słowy: zainteresowanie kulturą jidysz nie było w tym przypadku pretekstem do skądinąd ważnej misji krzewienia tolerancji, czy upamiętniania tragicznego losu Żydów. „Słyszę Gwar” wziął się raczej właśnie z autentycznej fascynacji ową kulturą.

Fakt, że młodzież potrafi dzisiaj myśleć o żydowskiej przeszłości Łodzi pozytywnie i co więcej identyfikować się z nią, uważając dziedzictwo jidysz za składnik własnej tożsamości lokalnej, jest bardzo znaczący. Jest w tym też zapewne nuta tęsknoty za innością i różnorodnością przedwojennej Łodzi – fascynującej niegdyś wielością kultur, tradycji i języków.

Marcin Kieruzel

– student socjologii Uniwersytetu Łódzkiego

Fot. Marek Strąkowski



Artysta odkrytego sentymentu

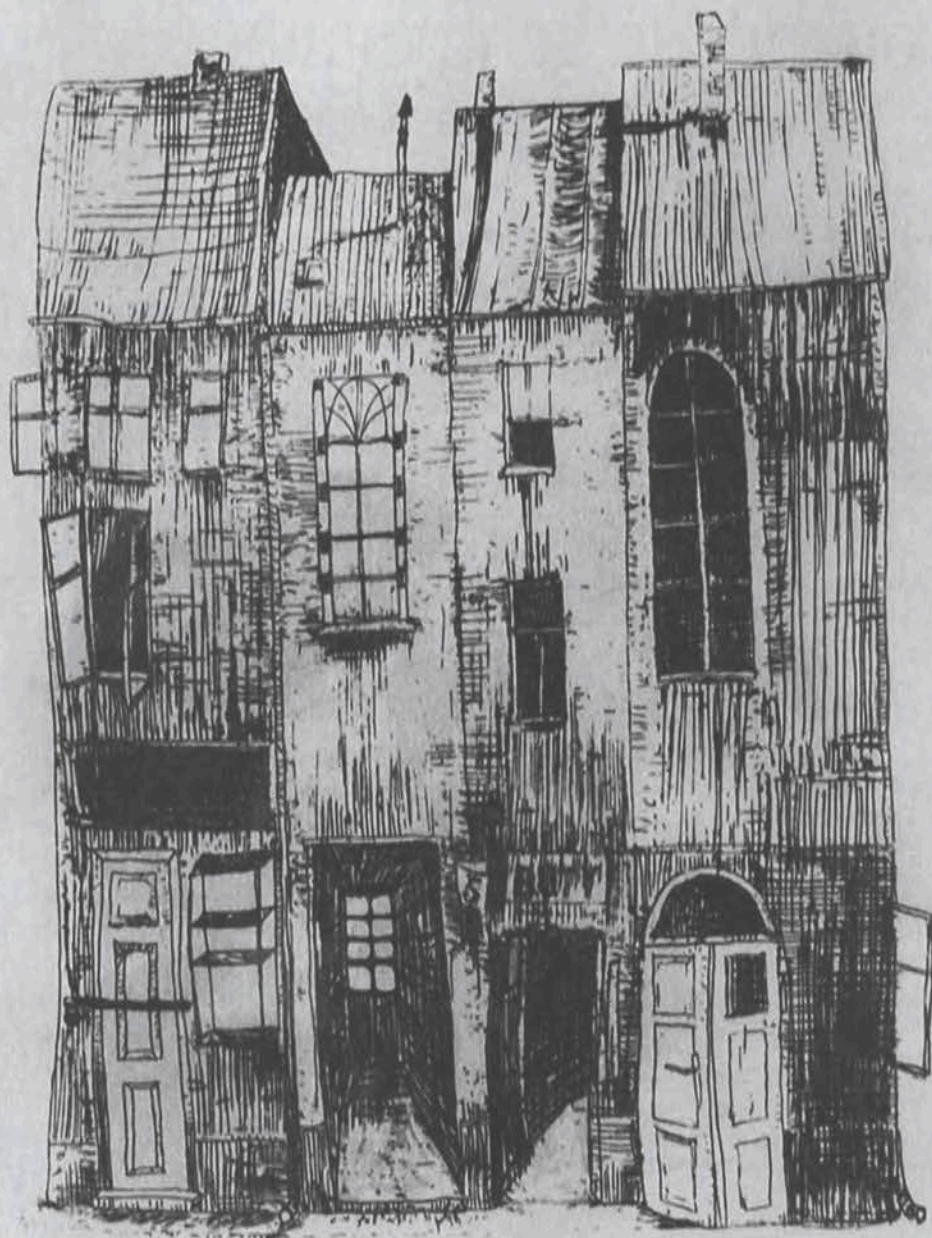
Grafiki Zdzisława Wiatra

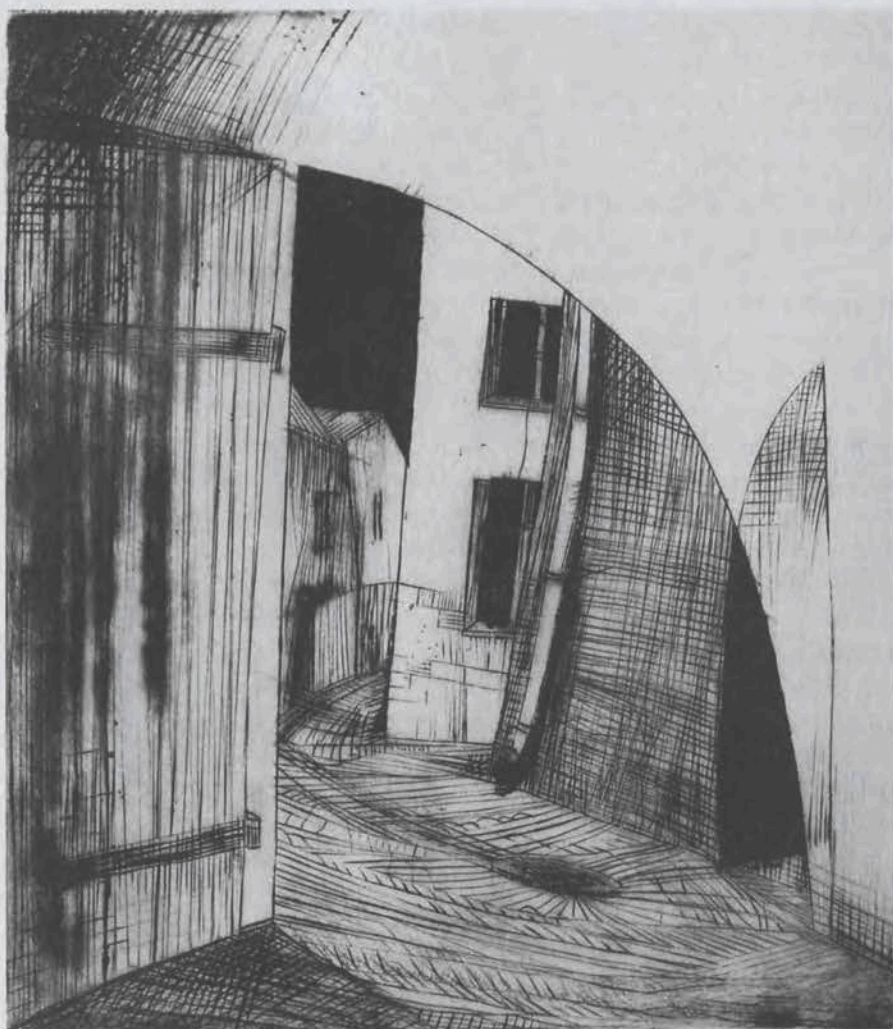
Zdzisław Wiatr, wykładowca w Instytucie Plastyki Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, zawodowo zajmuje się grafiką, rysunkiem, malarstwem i fotografią. Od wielu też lat wystawia swoje prace. W 2006 r. otrzymał nagrodę za grafiki *Shofar – święta trąba* i *Święto namiotów*, prezentowane w Poznaniu na wystawie ilustracji biblijnej – *Gdy słowo staje się obrazem*, stanowiącej zbiór autorstwa kilku pokoleń polskich grafików. Obie prace zostały przez autora dołączone do cyklu małych form zatytułowanego *Grafika*, udostępnionych w Akademickim Ośrodku Inicjatyw Artystycznych w Łodzi.

Inspiracją dla eksponowanych w Łodzi prac stało się, jak mówi sam artysta: *wieloletnie zainteresowanie Biblią, stanowiącą swoistą przestrzeń inspiracji dla pokazania wątków w niej zawartych, w inny, plastyczny sposób*. Ważnym elementem jest także ciągłe poszukiwanie przez autora dialogu z kulturą żydowską, z jej klimatami i tradycją, nie tylko ze względu na jego osobiste, rodzinne korzenie, ale również z powodu fascynacji artysty symboliką tej kultury. Stąd w jego grafikach i rysunkach nie odnajdziemy stereotypowego wizerunku Żyda z pejsami, ale tylko klimaty żydowskie ujęte w sposób niedosłowny, często nieoczekiwany.

Prezentowana w Łodzi nieco wcześniej wystawa *Choni rysownik kół*, powstała w efekcie zainteresowania artysty postacią legendarnego zaklinacza deszczu o imieniu Choni. *Przeczytałem o nim książkę – mówi Wiatr – i pomyślałem, że niesamowite jest chwalenie Pana w sposób tak lapidarny, jak rysowanie kół. Koło jest przecież symbolem trwania, symbolem życia. Choni stał się hasłem przewodnim wystawy, ale poza jego wątkiem, dotyczyła ona także powrotu do przypowieści, m.in. przypowieści o raju utraconym, do postaci Adama i Ewy. Pokazane w cyklu *Choni rysownik kół* prace wyraźnie nawiązywały do symboliki koła, do postaci żydowskiego mistyka Choniego, modlącego się wytrwale o upragniony deszcz. Wspomniana przez autora *przypowieść o raju utraconym* została przedstawiona jako *Sen o trzech jabłkach*, gdzie inspiracją dla powstania rysunków były obserwacje prawdziwych jabłek, wysychających, o pomarszczonej skórce, w których dostrzegał zarys twarzy Adama i Ewy.*

Wystawa – *Grafika* otworzyła cykl „Spotkań z kulturą żydowską”, trwający w Łodzi do końca czerwca i była prezentacją małych form, dopełnioną dwiema dużymi grafikami: *Shofar – święta trąba* i *Święto namiotów*. Wśród prezentowanych rysunków ukazujących elementy kultury żydowskiej, takie jak np. schody w pożydow-





skiej kamienicy, naczynie do obmywania czy też fragment dawniej zamieszkiwanej przez Żydów ulicy w Radomsku, znalazła się również praca pt. *Ptak* – będąca ilustracją do utworu Bruno Schulza.

Szkoda tylko, że na wystawę złożyły się jedynie skany oryginalnych prac autora. Wiatr posługuje się techniką druku wklęsłego, a jego akwaforty i akwatinty mają w oryginale o wiele wyższy walor artystyczny niż komputerowe kopie. Przyglądając się na przykład pracy pt. *Brama Józefa*, wykonanej techniką reliefu i akwaforty, dostrzegamy jedynie ślady subtelnych cieni, jakie widać zapewne na oryginalnej odbitce. Czarno-białe grafiki przywołują słowa z biografii innego wspomnianego już artysty – Bruno Schulza: *Żywołem grafiki jest czerń. Światło przebija się w niej na powierzchnię,*

*przemaga drukarską farbę, rozdziera ciemność [...] bo przecież czerń farby drukarskiej jest materią przed-stworzonego świata*¹. Myślę, że Wiatr, inspirując się Schulzem, pamięta o tej zależności. Miedziorytnicze prace Wiatra posiadają efektowne skłębienia kresek, tak dobrze widoczne np. na grafice *Brama V*. Uwieczniony tutaj, wyłaniający się zza bramy, świat dawnej żydowskiej ulicy, charakteryzuje brak dbałości o detale, a wszystko to dla podkreślenia nastroju pogrążonego w mroku fragmentu miasta, w którym żyli.

Najwięcej komentarza Wiatr poświęca jednak pracy – *Shofar – święta trąba*. Shofar to trąba wykonana z baraniego rogu, której dźwięk ma wyzwalać w duszach skruchę i reprezentować ludzkie serce pochyłające się przed Bogiem. Zgodnie ze starotestamentową symboliką – Shofar ma przypominać o dniu związania się Abrahama z Bogiem, kiedy to Bóg prosił, aby zamiast własnego syna Izaaka – Abraham złożył mu w ofierze barani róg. Shofar w grafice Wiatra przypomina zakłęta w barani róg postać ludzką. Tłem grafiki jest wspomniany już świat symboliczny, w którego przekazie artysta szuka sensu, inspiracji. Powstała w ten sposób praca balansuje między sferą kulturowego symbolu a sferą wyobraźni artysty, który – opowiadając o Shofar – podkreśla: *Fascynuje mnie jej dźwięk, symbolika, sam chciałbym umieć na niej zagrać*.

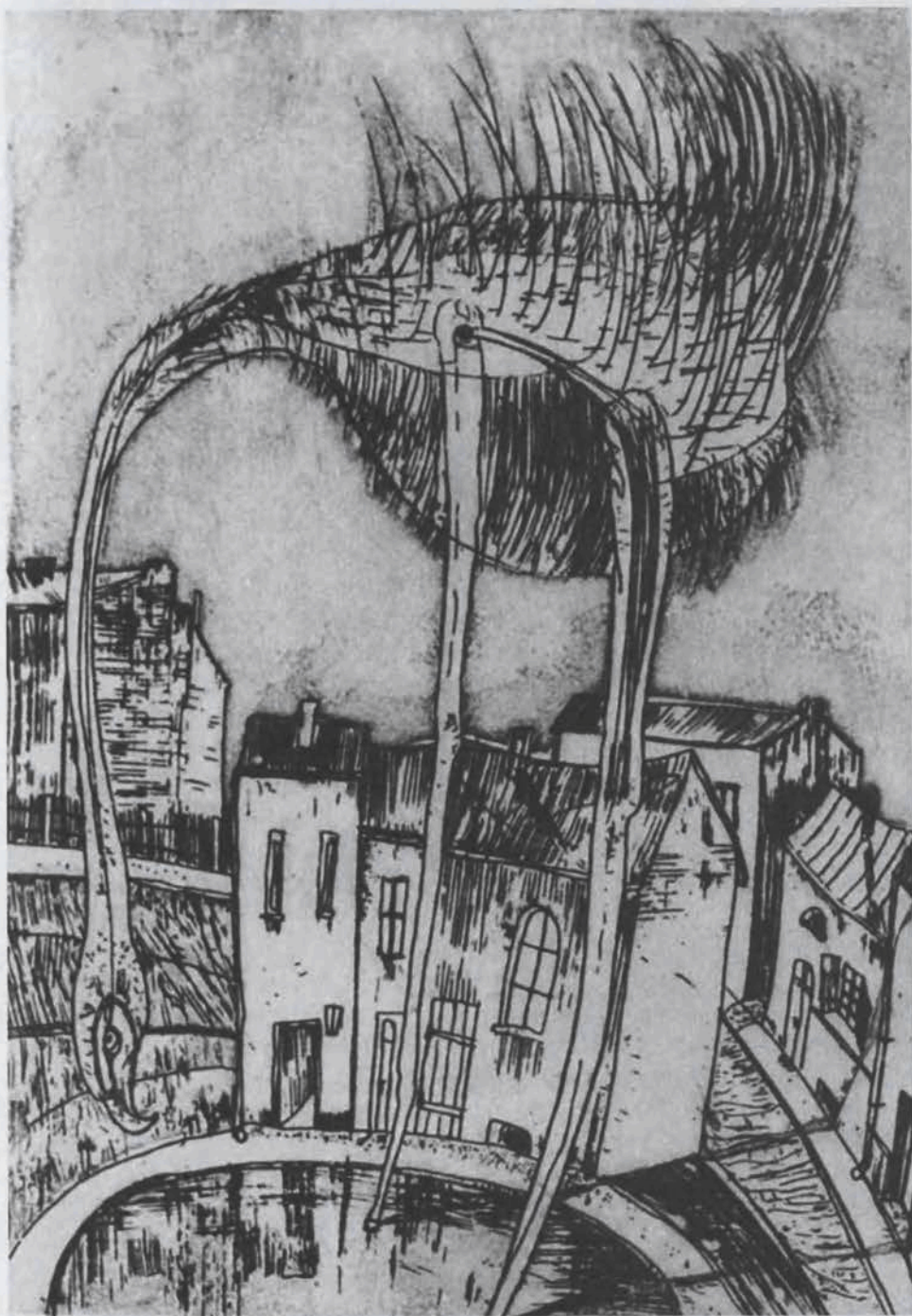
Zawarte w grafikach i rysunkach Zdzisława Wiatra dość intrygujące efekty poszukiwań klimatów żydowskich emanują prostotą i skłaniają do kontemplacji. Sam autor wciąż pogłębia swoją wiedzę o judaizmie, czytając Torę. Stara się dowiedzieć jak najwięcej o losach polskich Żydów, korzystając z archiwum Muzeum w Oświęcimiu. Pogłębiając tę wiedzę, nie przestaje być jednak artystą odkrytego sentymentu i żalu za światem, który zmarł w Polsce wraz z Holokaustem.

Joanna Wygnańska
– doktorantka socjologii UŁ

Fot. Barbara Gortat

Zdzisław Wiatr, *Choni rysownik kół*, (18.05–4.06.2009).
Zdzisław Wiatr, *Grafika*, (8.06–3.07.2009),
Akademicki Ośrodek Inicjatyw Artystycznych.
Wystawy zorganizowane w ramach Dni Kultury Żydowskiej.

1. J. Gondowicz, *Bruno Schulz*, Wyd. Edipresse Polska S.A., Warszawa 2006.



W odbiciu prawdy

Niewinne oko nie istnieje

*W obrazie i w tym, co odwzorowane,
coś musi być identyczne, aby w ogóle
jedno mogło być obrazem drugiego.*

(Ludwig Wittgenstein)

Fotograficzny projekt Wojciecha Wilczyka pt. *Niewinne oko nie istnieje* dokumentuje historię miejsc, którym czas odebrał ich religijny immunitet, bo inny czas skazał na śmierć i zapomnienie naród, który nie współtworzy już ani polskiej historii ani kultury, ale czas nie jest sprawą oddzielnego i samotnego podmiotu, lecz jest relacją podmiotu do innego człowieka (Emmanuel Levinas).

I właśnie współczesne związki pomiędzy materialnym śladem żydowskiego istnienia – jakim są zachowane synagogi, bóżnice i domy modlitw – a świadomością Zagłady i osobistym stosunkiem do jej etycznego wymiaru stanowi główną strukturę interpretacyjną fotografii, które w mannowskim określeniu „duch opowieści” wyrażają konieczność egzystencjalnej i moralnej konfrontacji. Konfrontacji z rzeczywistością, w której skończona historia Żydów polskich jest niekończącą się opowieścią.

Opowieścią chętnie podejmowaną przez artystów. Częściej z powodu sumienia niż potrzeby manifestowania twórczej kreacji. Bywa, że opowieść wynika z okazjonalnie zdobytej wiedzy historycznej lub nagłego, powodowanego niejasnym uczuciem impulsu. Dlatego tzw. temat żydowski stale się odradza w świadomości wrażliwych Polaków.

Historia Polski jest historią Żydów. Związki Żydów z Polską trzeba rozpatrywać paralelnie: jako dwustronne relacje, które kształtowały wspólne dzieje. Pierwsze dane o żydowskim osadnictwie w Polsce pochodzą z końca dwunastego wieku. Główny czas migracji Żydów aszkenazyjskich (*Aszkenaz* po hebrajsku oznacza Niemcy) przypadł na czternaste i piętnaste stulecie. Żydowscy emigranci z Niemiec przynieśli ze sobą dobrze rozwiniętą kulturę opartą na tekstach hebrajskich, wyspecjalizowane umiejętności rzemieślnicze i młody jeszcze język jidysz.

Polskie przywileje

Osiedlając się w miastach królewskich Żydzi, pamiętający wcześniejsze nie tylko ekonomiczne reperkusje, zdobywali przywileje korzystniejsze niż w pozostałych państwach europejskich. Spełniali jednak takie same role handlowe i finansowe, jakim w poprzednich

wiekach oddawali się na Zachodzie. W rozwijających się miastach polskich powstawały grupy interesu, dla których Żydzi stanowili niepotrzebną konkurencję. Niemieccy i polscy kupcy oraz rzemieślnicy organizowali się w cechy zwalczające żydowski potencjał. Antagonizmy często wzmacniali hierarchowie Kościoła katolickiego, przestrzegając przed żydowskim wpływem na chrześcijańskie dusze. Prowadziło to wprost do gwałtownych przejawów nienawiści, nierzadko kończącej się atakami na żydowskie dzielnice, prowadzonymi głównie przez seminarzystów i terminatorów.

Biorąc pod uwagę fakt, że w XV-wiecznej Rzeczypospolitej nakazy wydalenia Żydów z miast ukazywały się dosyć regularnie, naturalną konsekwencją takiego stanu rzeczy stało się zbliżenie żydowsko-szlacheckie. Od XVI stulecia poczy-

kultura



nając, Żydzi coraz częściej i coraz chętniej łączyli podstawy swojego ekonomicznego bytu z rozwijającym polską gospodarkę ziemiaństwem. Poszerzając swoje wpływy na Kresach, szlachta wykorzystywała umiejętności Żydów, zatrudniając ich jako arendarzy, a bywało, że i dzierżawców nowych posiadłości. Kolonizując Kresy wschodnie Żydzi zakładali nowe miasta i przyczyniali się do rozwoju już istniejących. W wielu spośród tych miast większość stanowili żydowscy mieszkańcy. Te miasta, nazywane przez Żydów *sztetl*, szczególnie liczne na wschodzie, chociaż występujące w całej Polsce, stanowią charakterystyczną formę osadnictwa żydowskiego, występującą jeszcze w końcu dziewiętnastego wieku, w którym to okresie Żydzi zaczęli przenosić się do miast przemysłowych.

Sztetlech odgrywały zasadniczą rolę w gospodarce feudalnej Polski: były ośrodkami życia handlowego. Spełniały ważną funkcję w systemie wymiany dóbr, towarów i usług. Nie mając gospodarczej konkurencji i posiadając względną swobodę, Żydzi organizowali w nich życie wspólnoty w zgodzie z własną tradycją i kulturą. Zarząd gminy (*kahal*) zbierał podatki dla właściciela ziemskiego i na cele własnej społeczności. W ten sposób utrzymywano m.in. cmentarz, synagogę i domy modlitwy. Tak więc żydowskiemu życiu w *sztetlech* bieg wyznaczało żydowskie prawo i stary obyczaj. Do połowy XVIII wieku Rzeczypospolitą zamieszkiwało około 750 tysięcy Żydów: jedna czwarta światowej populacji żydowskiej mieszkała w polskich *sztetlach*. Stanowili trwały element polskiego krajobrazu wraz z pańskim dworem i chłopską wsią.



Granice nietolerancji

Stosunków polsko-żydowskich w tym okresie na ogół nie cechowała przemoc. Występował jednak silnie zakorzeniony stereotyp, który wpływał bezpośrednio na zakres i sposób kontaktów. Dla chłopca Żyd charakteryzował się przebiegłością, oszustwem i chciwością. Powszechne przekonanie o żydowskiej niechęci do pracy i nieustanne dążenie do wzbogacenia się, utrwalał ich status formalny: z powodu narzuconych ograniczeń społeczno-gospodarczych zmuszeni byli zajmować się wyłącznie handlem lub lichwą. Sprawując władzę nad duszą chłopstwa duchowieństwo przypisywało Żydom tajemną wiedzę i nie pozwalało zapomnieć, że według nauki chrześcijańskiej odrzucili oni prawdziwą wiarę i zamordowali Boga. Ten motyw stał się na zawsze *argumentum certum* polskiego antysemityzmu.

Nie tylko Kościół budował i utrwalał etniczne stereotypy. Wśród przedstawicieli polskiej elity również nie brakowało głosów potępienia dla – jak nazwał Żydów Wincenty Krasiński, ojciec poety Zygmunta – „brudnych geszefciarzy”. Generał Krasiński szczerze obawiał się „przekształcenia szlachetnej i cnotliwej Polski” w drugą Judeę. Widmo zapanowania Żydów nad rycerskim i katolickim orężem Polaków antycypował Niemcewicz w roku 1820 w wyraźnie antysemickim pamflecie pt. *Rok 3333-ci, czyli sen niesłychany*. W tym strasznym śnie Warszawa zmienia nazwę na Moszkopolis, a polskim królem zostaje Żyd Moszko XII. W porównaniu z tymi literackimi fantazmatami niepokoją poglądy Stanisława Staszica, który upatrywał w Żydach „przyczynę wszelkich nieszczęść narodu polskiego” i zalecał zamykać ich w gettach.

Lata 30. XX wieku objawiają się eskalacją przemocy skierowanej przeciw Żydom. Po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego w 1935 roku jego polityczni następcy zbliżyli się programowo do endecji i opętańczo zajęli „kwestię żydowską”. Haniebnym projektem poradenia sobie z „problemem żydowskim” były negocjacje ówczesnego rządu polskiego z Włodzimierzem Żabotyńskim z Partii Syjonistycznych Rewizjonistów w sprawie „ewakuacji” polskich Żydów do Palestyny. Takie pomysły rodziły się w atmosferze wyraźnej fascynacji polityką wewnętrzną III Rzeszy. W latach międzywojennych poza PPS tylko niewielkie Stronnictwo Demokratyczne i bardzo słaba Partia Komunistyczna nie popierały masowej emigracji Żydów z Polski.

Syndykat zawłaszczania

W okupowanej Polsce Niemcy z premedytacją rozpoczęli realizację „polityki żydowskiej”. Przede wszystkim stygmatyzowano Żydów, nakazując im nosić opaski z gwiazdą Dawida. Następnym etapem zwyrodniałego planu hitlerowskiego było stworzenie dla ludności żydowskiej gett, które z reguły stanowiły fragmenty przedwojennych dzielnic żydowskich w kilkuset miastach na terenie całej Polski. Pod koniec 1941 roku już wszyscy Żydzi, pozbawieni środków do życia, byli zamknięci w gettach w warunkach, w których – trawestując Martina Bubera – *życie ludzkie straciło sens tego co absolutne*. Za murami getta stworzony został świat z prolongatą śmierci. Wyrok na jego miesz-

kańcach wykonywany był w obozach zagłady, do których transporty z gett odbywały się regularnie aż do drugiej połowy 1944 roku.

Rządy nazistowskie szybko ujawniły skuteczność narzędzi represji zarówno wobec Żydów jak i ludności polskiej. W stosunku do Polaków opresyjność Niemców miała przede wszystkim charakter polityczny – czego dowodem było wymordowanie elit – wobec Żydów, niezależnie od realizowania rasistowskiego modelu etnicznego, głównym zadaniem tej polityki był zwyczajny rabunek majątku, a więc jej charakter był w swej istocie ekonomiczny. W wymiarze praktycznym tak sprawowanych rządów okazało się, że dla wielu Polaków są one materialnie korzystne. Wywłaszczenie przez Niemców około 3,5 mln polskich Żydów było po prostu gospodarczą rewolucją. Znakomita większość przejętego majątku przypadła *iure caduco* Niemcom. Resztki dostały się Polakom. Głównie w małych, prowincjonalnych miastach pozostawione sklepy, warsztaty, restauracje i domy szybko znajdowały nowych właścicieli. W taki oto przewrotny sposób ziścił się przedwojenny program polskiej endecji, głoszący konieczność eliminacji Żydów z polskiej gospodarki i uczynienie jej na wskroś narodową. Biorąc nową sytuację za fakt dokonany, wielu Polaków odrzuciło możliwość powrotu prawowitych właścicieli po wojnie i zwrot zagarniętego mienia. Wyobrażenie o słuszności takiej postawy sankcjonował niejeden polityk polskiego Państwa Podziemnego, pamiętający narastające w drugiej połowie lat 30. XX wieku zanegowanie równouprawnienia Żydów i konieczność ich wymuszonej emigracji. Stereotyp wartości ustalił misję narodową w oparciu o wspólnotę etniczną, a nie obywatelską. I chociaż premier rządu na wygnaniu – Władysław Sikorski – podczas przemówienia w Albert Hall w Londynie – w październiku 1942 roku – głośno potępił morderstwa żydowskich obywateli Polski i obiecał Żydom równe prawa w nowej Polsce, nie wystosował czytelnego apelu do Polaków, aby pomagali Żydom.

Obowiązek sumienia

Pomimo to pomoc Żydom stanowiła dla tysięcy Polaków „obowiązek sumienia”. Pomagano na wiele sposobów: od prostych bezinteresownych gestów ofiarowania jedzenia, po desperackie ukrywanie żydowskich rodzin przez całą wojnę. Polską pomoc dla Żydów ograniczał strach przed sąsiadem. Świadomość powszechnych postaw wobec Żydów wykształciła mechanizm bierności, który skutecznie usprawiedliwiał zbiorowy resentyment, decydujący o doraźnych kategoriach moralnych.

Zmiany geopolityczne po drugiej wojnie światowej uczyniły z Polski kraj zamieszkały wyłącznie przez rzymskokatolickich Polaków: jak na ironię plan polskich nacjonalistów spełnił się w komunistycznej Polsce. W 1946 roku liczba oficjalnie zarejestrowanej ludności żydowskiej wynosiła 244 tysiące. Były to osoby wracające z obozów koncentracyjnych, wychodzące z ukrycia, a także ponad 100 tysięcy repatriantów z terenu ZSRR. Nowy rząd przewodnił ideą i motorem działania uczynił deklarowaną chęć zerwania z przedwojennym „reakcjonizmem”, a zwłaszcza z dziedzictwem antysemityzmu.



kultura

Wydarzenia październikowe w 1956 roku wprowadziły „kwesję żydowską” do politycznych intryg. Partyjna propaganda spowodowała rozkwit popularnego w wielu kręgach politycznych antysemityzmu. Działania te stymulowały myślenie o emigracji. Dlatego od 1956 do 1960 roku z Polski wyjechało do Izraela ponad 40 tysięcy osób. Kolejny dramatyczny wzrost wystąpień antysemitycznych inspirowanych przez komunistyczną władzę miał miejsce w latach 1968–70, której skutkiem ponad 20 tysięcy Żydów opuściło Polskę, ustanawiając powszechne przekonanie o końcu tysiącletniej obecności Żydów w Polsce.

Archeologia wstydu

Zostały ślady, które artysta odkrywa tak, jak archeologiczne wykopaliska. A są to przecież miejsca tętniące jeszcze siedemdziesiąt lat temu życiem żydowskich wspólnot. Tak więc kluczową dystynkcją, której trzeba się trzymać, analizując zdjęcia synagog Wojciecha Wilczyka jest ich obcość. W pejzażu, jaki współtworzą, ustanawiają swoją jawną obecność w poczuciu wstydu. Opuszczone, przerobione i adaptowane do innych celów niż je powołano trwają, zmuszając do rekonstrukcji pamięci. Animują – w spojrzeniu oglądającego – nieistniejący świat. Utracony na zawsze, przeniesiony w rejony

metafizyczne, stał się kategorią systemu społecznego, skutecznie kryjącą jego ideologiczne przesłanie.

Fotografie Wilczyka przeznaczone są do łatwego zdekodowania. Pozwalają na doświadczenie przedmiotu wyobrazonego innego niż rzeczywisty, ale w konfrontacji z indywidualnym stosunkiem do niego. Dzieje się tak za sprawą specyfiki tych prac opartych na dokumentującym stan faktyczny, reporterskim zapisie. Artysta zdecydował o walorach estetycznych swoich prac, wykorzystując centralną kompozycję i frontalny kadr rejestrowanych obiektów. W ten sposób wartością nadrzędną – również w kategoriach estetycznych – staje się surowe odwzorowanie miejsca.

Malraux twierdził, że wielcy artyści nie kopią świata, ale z nim rywalizują. Czy jest to zdanie prawdziwe w stosunku do realizacji Wojciecha Wilczyka? Tak, jeśli status sfotografowanych przez niego przedmiotów jest świadomą, kantowską „rzeczą w sobie” (*noumen*). Takie właśnie są jego zdjęcia. Odnoszą się przede wszystkim do postaci poznawczo-intelektualnej fotografii, zwanej obrazem zastępczym, a wyrażonym za pomocą formalnego i niematerialnego przyjęcia przedmiotu poznania. Obraz zastępczy sprowadzony zostaje do funkcji znaku, za pośrednictwem którego intelekt wartościuje treść rozpoznanego symbolu. W takim przypadku obraz spełnia rolę przy-



sposobienia konkretnego przedmiotu do wyobrażenia i przypomnienia. Najważniejsza w odbiorze takiej konstrukcji jest pamięć.

I do zbiorowej i jednostkowej pamięci odwołuje się w swoich pracach Wojciech Wilczyk. Formalną pozostałość obecności Żydów w Polsce okrywa coraz gęstszy mrok zapomnienia wynikający z nieprzyswojonej odpowiedzialności za wspólne dziedzictwo. A jest to spuścizna wciąż niepojęta w codziennym eksperymencie poznawczym, w którym historyczna narracja oddziela rozum od rzeczywistości. *Ale jest jeszcze tutaj do rozważenia przypadek, w którym największe mamy omamienie, mianowicie, gdy się zdarza, że coś, co się wynurza w wyobraźni, jest także i w rozumie, tj. zostaje jasno i wyraźnie pojęte. Wówczas, dopóki nie odróżni się wyrażności od mętności, pewność, tj. idea prawdziwa ulega powikłaniu z ideami niewyraźnymi* (Baruch Spinoza).

Jedyna pewność jaką gwarantują zdjęcia Wojciecha Wilczyka, to pewność nieistnienia. W pustych murach synagog trwa niezmiennie *quantum* cierpienia, które prowadzi innych wprost do naszego piekła.

Marek Strąkowski

Wojciech Wilczyk – *Niewinne oko nie istnieje*. Atlas Sztuki w Łodzi.

Bibliografia:

1. Norman Davies, *Boże igrzysko, historia Polski*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1992.
2. Evyatar Friesel, *Atlas of Modern Jewish History*, Oxford Univ. Press, Oxford 1990.
3. Martin Buber, *Problem człowieka*, Fundacja Aletheia, Warszawa 1993.
4. Benedykt Spinoza, *Traktaty*, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2000.
5. Alain Finkielkraut, *Zagubione człowieczeństwo*, PIW, Warszawa 1996.
6. Maria Janion, *Bohater, spisek, śmierć. Wykłady żydowskie*, Wydawnictwo WAB, Warszawa 2009.
7. Martin Heidegger, *Źródło dzieła sztuki*, Fundacja Aletheia, Warszawa 1997.
8. Nelson Goodman, *Languages of Art: An Approach to a Theory of Symbols*, Hackett, Indianapolis, 1976.

Fot. Marek Strąkowski



W odbiciu prawdy



Wielkie Oczy,
synagoga, Rynek Kopernika 55



Dąbrowa Tarnowska,
synagoga, ul. Berka Joselewicza



Nowy Korczyn,
synagoga, ul. Zamkowa



Przemyśl,
synagoga, ul. Unii Brzeskiej 6



Chełm,
synagoga, ul. Kopernika 8



Sieradz,
synagoga, ul. Wodna 7



Plotków Trybunalski,
Synagoga Mała, ul. Jerozolimska



Sandomierz,
synagoga, ul. Basztowa



Ujazd,
synagoga, ul. Parkowa 10



Pyzdry,
synagoga, ul. Kościuszki 10



Zawiercie,
synagoga, ul. Marszałkowska 41



Radymno,
synagoga, Rynek 26



Buk,
synagoga, ul. Mury 7



Biała Rawska,
synagoga, pl. Wolności 44



Krośniewice,
synagoga, ul. Kutnowska 16



Kargowa,
synagoga, ul. Dworcowa 17



Kosów Lacki,
synagoga, ul Łąkowa 6



Kolno,
synagoga, ul. Strażacka



Pleszew,
synagoga, ul. Ogrodowa 1



Przysucha,
synagoga, ul. Żeromskiego



Kraków,
beit ha-midrasz Holberstroma, ul. Elstery 12



Opoczno,
synagoga, ul. Janasa 13



Lubań,
synagoga, ul. Grunwaldzka 11



Ostrów Wielkopolski,
synagoga, ul. Raszkowska 21



Raciaż,
synagoga, ul. Kilińskiego 12



Przemyśl,
synagoga Scheinbacha, ul. Słowackiego 15



Puńsk,
synagoga, ul. Mickiewicza 58



Praszka,
synagoga, ul. Piłsudskiego 27



Łódź,
dom modlitwy, ul. Piotrkowska 46



Łódź,
dom modlitwy, ul. Zgierska 32



Łódź,
dom modlitwy, ul. Piotrkowska 107



Łódź, dom modlitwy Henoła Bryczkowskiego,
ul. Piotrkowska 118

Fot. Barbara Gortat i Marek Strąkowski

historia

Początki okupacji w Łodzi

Niepublikowane relacje Łodzian w Archiwum Ringelbluma

Mateusz Sidor

str. 139

Między Łodzią a Wzgórzem Wiosny

Łodzianie w Izraelu

Aleksander Klugman

str. 149

Patriotyczna filantropia

Żydowski sponsor Bitwy pod Grunwaldem

Piotr Kulesza

str. 160

Widzewska dynastia

Wzlot i upadek rodziny Konów

Przemysław Waingertner

str. 167

Miasto rodzinne

Dlaczego Łódź jest miastem wyjątkowym?

Aleksander Klugman

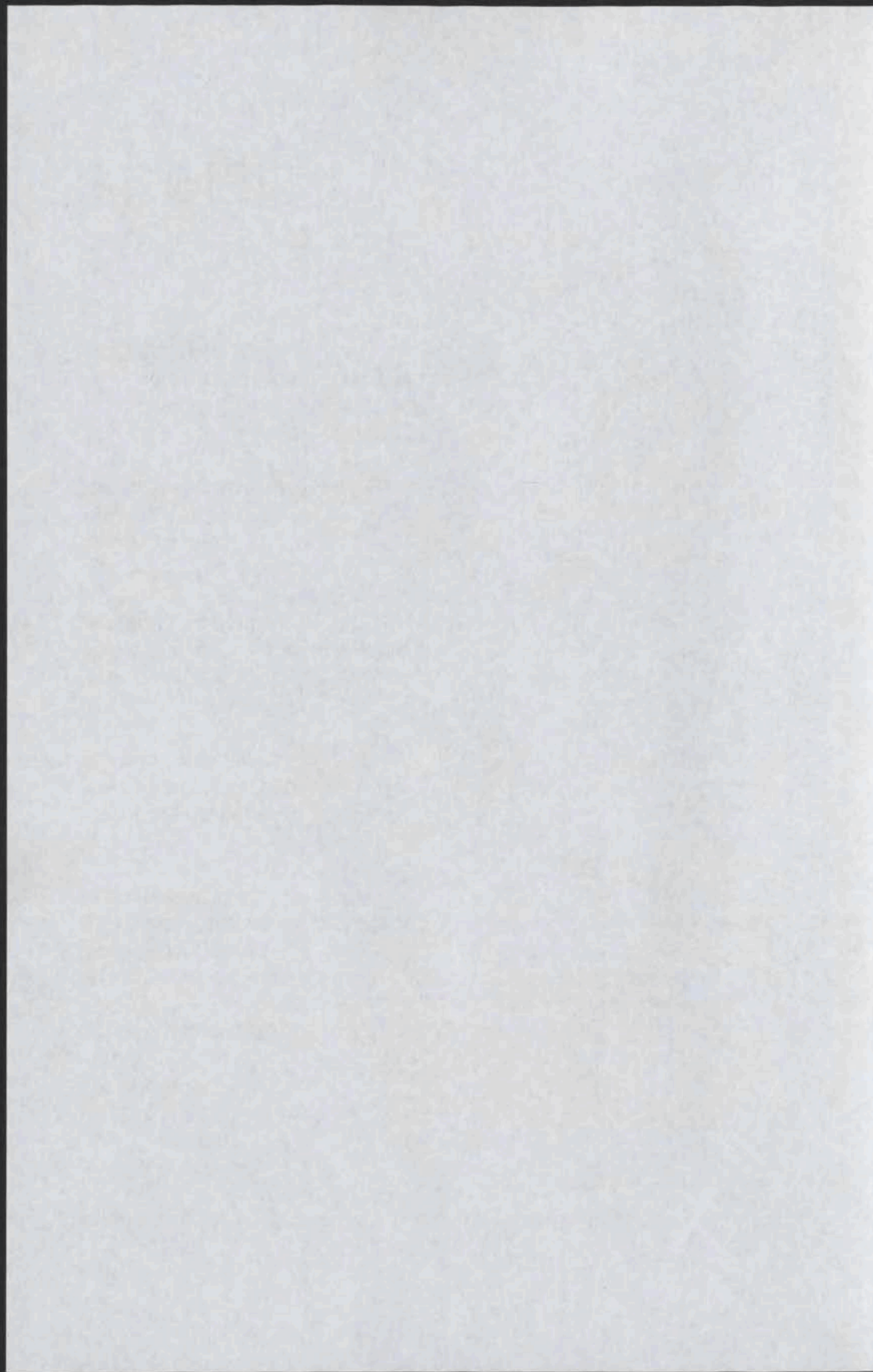
str. 179

Odbudowana tożsamość

Estera

Kaja Kaźmierska

str. 186



Początki okupacji w Łodzi

Niepublikowane relacje Łodzian w Archiwum Ringelbluma

historia

30 kwietnia 1940 roku odizolowano od reszty miasta Litzmannstadt Ghetto. W jego granicach nie znaleźli się jednak wszyscy Żydzi, mieszkający w Łodzi w 1939 roku. Około 80 tysięcy z nich opuściło miasto, uciekając przed frontem, niektórzy wyjeżdżali podczas niemieckiej okupacji. Uchodźcy docierali do strefy sowieckiej lub do innych polskich miast, najczęściej do Warszawy.

W listopadzie 1940 roku zamknięto getto warszawskie. Trudno oszacować, ilu Łodzian zostało jego mieszkańcami. Spisy wykonane w getcie pod koniec pierwszego roku funkcjonowania mówią o około piętnastu tysiącach osób bezdomnych urodzonych w Łodzi. Dane te pochodzą z konspiracyjnego ośrodka „Oneg Szabat”, które tydzień po zamknięciu getta założył przedwojenny historyk i działacz społeczny – Emanuel Ringelblum. Wraz ze współpracownikami rozpoczął zbieranie świadectw losów Żydów podczas okupacji. Kolekcjonowano różnorodne dokumenty pochodzące z getta, wśród nich listy, papiery urzędowe, rysunki, zdjęcia, prasę, afisze. Ogłoszono również akcję zbierania wspomnień. Dzięki temu powstały relacje z początków okupacji w Łodzi. Narastające pogłoski o likwidacji getta warszawskiego, z których ostatnia okazała się prawdziwa, spowodowały stopniowe ukrywanie archiwum, aby świadectwo to dotarło do potomnych po latach. Ringelblum zabezpieczył skrytki w sierpniu 1942 oraz w lutym i kwietniu 1943 roku. Po wojnie odzyskano większy fragment zbiorów, który został nazwany Archiwum Ringelbluma. Znajduje się on w zbiorach Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie.

Zawarte w Archiwum relacje stanowią rzadki dokument obrazujący życie w Łodzi w początkach okupacji. Opisują terror skierowany przeciwko Żydom, który rozpoczął się z chwilą wkroczenia do miasta Niemców. Zamieszczone wspomnienia zostały przetłumaczone z języka jidysz w zeszłym roku i jest to ich pierwsza publikacja. Oprócz zapisu rabina Trajstmana, relacje są anonimowe. Dotyczą okresu od września do grudnia 1939 roku, a zostały spisane w getcie warszawskim w 1941 roku.

„Łódź”

W piątek wieczorem, 8 września, weszli do miasta Niemcy. Tego samego wieczoru radio nadało audycję o Łodzi, w której tłumaczono, że jest niemieckim miastem. Najpiękniejsze domy oraz przemysł zostały zbudowane przez Niemców. W mieście znajduje się jednak dużo Żydów, „ale z nimi szybko skończymy”. W niedzielę już bito i obcinano brody. Chwymano Żydów do robót przy zasypywaniu schronów przeciwlot-

niczych. Żydzi chowali się w mieszkaniach, uciekali na ulice. [...] W niedzielę, niestety, nie można było się niczego dowiedzieć, bo obowiązywał zakaz opuszczania domów. W poniedziałek z dużym trudem docierało się do gminy. Odbyło się posiedzenie. [...] Wydzielono trzy komisje: reprezentacyjną (do podtrzymywania kontaktów z władzą), Miejsową Komisję Pomocy (dla miejscowych Żydów, którzy stracili zatrudnienie) i Komisję Pomocy dla Łodzian na drogach (w różnych miasteczkach jak Brzeziny, Jeżów – skąd dochodziły straszne wiadomości). Dewizą komisji było: „chleb dla żywych, całun dla martwych”. Komisje miały się ukonstytuować we wtorek, ale już w poniedziałek, po obiedzie, gestapo wzięło pod swój nadzór wszystkie bożnice, zabierając do nich klucze. Wtorek był „dniem żydowskim”. [...] O godzinie wpół do dwunastej aresztowano rabina Trajstmana, sochaczewskiego rabina [Dawida] Bornsztajna i [...] Nachmana oraz Dawida Zelwera. Dwóm ostatnim zaraz obcięto brody, a wszystkich zaprowadzono na gestapo, które znajdowało się w lokalu katolickiego uniwersytetu na ulicy Żeromskiego, przy Kopernika¹. Oskarżono nas o okradzenie synagogi „wołyńskiej” [przy ulicy Wólczańskiej 6].



Gestapo, będąc w posiadaniu kluczy do synagog, zaczęło szukać wartościowych rzeczy. [...] Trzej aresztowani oświadczyli, że żaden z nich nie ma z kradzieżami nic wspólnego. Gestapo posadziło Trajstmana i kazało mu zrobić listę wszystkich synagog, domów modlitw, bożnic, sztiblechów [pokojów modlitw], a nawet związków antysemitycznych [...]. Wszystko odbywało się przy akompaniamencie gróźb i straszenia szpadą. Zwolniono dwóch aresztowanych, a rabina Bornsztajna i Zelwera o trzeciej po południu. Trajstman wciąż robił listę. [...]

W synagodze „wołyńskiej” usłyszałem, że Niemcy jadą na ulicę Południową. Pojechali do rabina Segala [Joska Menachema, naczelnego rabina Łodzi], którego zastali ubranego w tałas i tefilin. Zawieźli go do bożnicy „wołyńskiej”. W przedśionku synagogi Niemcy kazali podrzeć rabinowi zwój Tory. Segal powiedział, że nie ma dosyć sił, by to zrobić. Oficer wyjął szpadę i sam naddał zwój. Następnie zmusił Segala, by darł dalej, co rabin zrobił. Niemiec kazał rzucić zwój na ziemię i go podeptać. [...] Potem wezwał szamesa [służącego] synagogi i kazał pluć w twarz rabinowi, a potem rabinowi pluć szamesowi. Rabin musiał jeszcze tańczyć w kółko i dopiero wtedy został wyrzucony. W tym samym czasie wezwano do staromiejskiej bożnicy rabina Mosze Dąba. Mocno go pobito i wyrzucono. Szukano jeszcze innych rabinów, ale nikogo nie spotkano.

rabin Salomon Trajstman
AŻIH ARG I 898

„Łódzkie refleksje”

Wszyscy Niemcy (wojskowych, dla odróżnienia od cywilnych folksdojczy, nazywano militerdojczy) łapali Żydów do pracy. Panowało też przekonanie, że sama praca nie jest tak straszna, jak łapanie. Najgorsi byli przy tym folksdojczy. Często były wypadki, że łódzki Niemiec łapał na ulicy dwóch Żydów, prowadził do swego mieszkania na końcu miasta, tam rozkazywał im przynieść drzewo z piwnicy, wylać brudną i przynieść świeżą wodę, a po godzinie ich zwalniał. Wszystkie niemieckie urzędy były nastawione na eksploatację Żydów, co łączyło się z biciem. Łapano kilkadziesiąt osób, choć do pracy potrzebowano tylko parę. Schwytanego wieziono samochodem kilka godzin przez miasto, by rozkazać mu odnieść walizkę jakiemuś oficerowi, po czym zwalniano. [...]

Pewien urzędnik gminy miał zadanie dostarczyć żydowskich robotników do różnych prac. Wypełniając te zadania, spotykał bardzo sympatycznego kierownika urzędu. Po pewnym czasie [...] tak się zżyli, że Żyd nabrał odwagi, by prosić Niemca o możliwość zmiany sposobu dostarczania Żydów do różnych prac. Niemiec bardzo energicznie zabrał się do tej sprawy. Przyznał, że łapanie ludzi na ulicach wpływa negatywnie na morale niemieckiego narodu. Żydowski urzędnik triumfował. Codziennie opowiadał swoim kolegom i wyższym urzędnikom, że nastąpi kolosalna zmiana na lepsze, że wyjdzie zarządzenie zabraniające łapania Żydów. *Wiecie co znaczy dla Niemca zarządzenie* – dodawał.

I rzeczywiście, wkrótce otrzymał od Niemca dokument, który gmina żydowska miała na własny koszt wydrukować w „Gazecie Łódzkiej”². Było to owe przyręczone zarządzenie. Po kilku dniach ukazało się w gazecie. Napisałem, że po kilku dniach, bo trzeba było otrzymać pozwolenie, by Żyd mógł dostać się do „Gazety Łódzkiej”. Po pokonaniu wszystkich trudności i wniesieniu opłat zarządzenie nadal się nie ukazywało, bo Niemiec nie miał prawa go wydać. Zaczęły się interwencje, telefony, dyskusje między różnymi urzędami, aż pewnego dnia ukazało się tak długo oczekiwane zarządzenie. Ale jak ono wyglądało! To już nie było zarządzenie, ale anons, który zawiadamtiał, że niemieckie placówki – w celu należytego wykorzystania żydowskiej siły roboczej – są proszone o telefoniczne lub pisemne powiadomienie, z jednodniowym wyprzedzeniem, ilu robotników dany urząd potrzebuje. [...]

Natychmiast zaczęto wykupywać gazetę z tym zawiadomieniem. Płacono do dwóch marek, każda rodzina chciała ją mieć w razie, gdyby po nich przyszli. Radość trwała jednak krótko. Nikt już nie potrzebował żydowskiego robotnika.

AŻIH ARG I 914

„Z Łodzi”

2 listopada 1939 roku do cukierni „Astoria” na rogu ulic Piotrkowskiej i Śródmiejskiej [obecnie Więckowskiego] wszedł niemiecki porucznik, zabrał Żydom dowody i kazał przyjść następnego dnia o ósmej rano na ulicę Zgierską 116, gdzie znajdowała się siedziba SS [batalionu Totenkopf]. Taką samą akcję przeprowadzono w kawiarni „Kaprys”, która znajdowała się naprzeciwko „Astorii”.

Nazajutrz o godzinie siódmej piętnaście przy ulicy Zgierskiej zaczął gromadzić się tłum. O ustalonej godzinie brakowało trzech Żydów. Dwaj przyszli o dziewiątej rano, a trzeci dopiero o jedenastej. W czasie nieobecności tego ostatniego oficer oświadczył, że z powodu spóźnienia zostanie rozstrzelanych dziesięciu Żydów. Część zebranych nie uwierzyła w te pogrożki, biorąc je za metodę zastraszenia. Inni przyjęli tę zapowiedź tragicznie. Łącznie znajdowało się tam od dziewięćdziesięciu do stu Żydów. [...]

Zebrani zostali ustawieni na małej estradzie, gdzie musieli wykonywać ćwiczenia gimnastyczne. Jeden z Żydów powiedział, że jest chory. Kazano mu stanąć z boku. Zgłosiło się jeszcze dwóch innych. Im również kazano odsunąć się na bok. W tym czasie wszedł inny oficer, który szukał [...] dziesięciu Żydów, którzy mają być rozstrzelani. Żydzi, usłyszawszy tę zapowiedź, przerazili się. Oficerowie weszli między ćwiczących. Oficer zauważył, że jeden z Żydów bardzo dobrze wykonuje ćwiczenia i przywołał go. Okazało się, że był to nauczyciel gimnastyki. Oficer kazał mu poprowadzić ćwiczenia. [...] W międzyczasie rozeszła się pogłoska, że przyszedł [Chaim] Rumkowski, przewodniczący łódzkich Żydów. [...] Przyszedł, by interweniować w sprawie urzędnika, który też został zatrzymany, ale w innej sprawie. Żydzi byli przekonani, że Rumkowski wstawi się również za nimi i wszyscy zostaną zwolnieni. Ale



historia

oficer powiedział, że przewodniczący, który był ubrany w futro, ma również wykonywać ćwiczenia, w trakcie których Rumkowski zemdłał, ale zdążył pokazać, gdzie ma krople. Położono go na ławce i podano je. Gdy tylko wrócił do siebie, kazano mu ćwiczyć dalej. W pewnej chwili przyszedł po niego oficer i po długich targach zgodzili się go zwolnić.

Następnie oficer zażądał, by zgłosili się najsilniejsi. Wystąpiło sześciu. Wsadzono ich do samochodu i wywieziono do lasu w pobliżu Ozorkowa, gdzie kazano wykopać piętnaście dołów. Przywieziono piętnastu Żydów. Oficer kazał im uklęknąć nad dołami. Jedni uważali, że chcą ich tylko przestraszyć i na tym wszystko się skończy. Inni natomiast zaczęli płakać i odmawiać *widuj* [wyznanie grzechów przed śmiercią]. Jeden z klęczących, Mosze Szałdarewski, rozpacział tak, że cały las płakał. Zwrócił się do oficera z pytaniem, za co go zabijają, przecież on ma żonę i małe dzieci. Oficer mu odpowiedział, że otrzymał taki rozkaz i nie ma innego wyjścia. Po czym podchodził od tyłu do każdego i strzelał. Zabici wpadali do dołów. Uratował się tylko jeden, bo zwrócił się do jednego z asystujących folksdojczów, który wstawił się za nim. Następnie rozkazano sześciu Żydom, by zasypali groby i wszyscy, wraz z uratowanym, wrócili na Zgierską. Na miejscu ustawiono pozostałych około osiemdziesięciu mężczyzn, a oficer spytał uratowanego Żyda, jakie wrażenie na nim wywarła egzekucja. Ten bał się cokolwiek powiedzieć. Wtedy folksdojcz, który go uratował, powiedział,

że on nie rozumie po niemiecku i spytał po polsku: *Jakie wrażenie odniosłeś, dobre?* Żyd zrozumiał, że powinien powiedzieć: „dobre”. Znów został uratowany. Oficer, który przeprowadził egzekucję, powiedział, że nie chciałby jeszcze raz przeżywać czegoś podobnego, ale musiał wykonać rozkaz. Dodał, że jeśli ktokolwiek opowie o tym, co się stało, podzieli los zabitych. Zrobił to jednak w taki sposób, jakby właśnie należało o tym opowiadać. Wszyscy Żydzi zostali zwolnieni, ale należało zapłacić od 150 do 300 złotych.

AŻIH ARG I 900

„Tragedia łódzkiej, staromiejskiej synagogi”

Zanim zapoznamy się z zagładą małej, staromiejskiej świątyni jerozolimskiej w Łodzi [synagoga Altshtot przy ulicy Wolborskiej, obecnie Park Śródmiejski], zastanowimy się nad tym, jakie miała znaczenie dla Żydów łódzkich, szczególnie dla tych ze Starego Miasta. Wygląd zewnętrzny świadczył o wyjątkowości tego obiektu. Można powiedzieć, że nie było w Europie drugiej takiej świątyni. Wyjątkowy był też wystrój wewnętrzny, który przewyższał inne łódzkie domy modlitw. Kto święcił zwoje Tory, chciał przeprowadzić jakąś uroczystość, kiedy należało z okazji radosnych lub smutnych obchodów zgromadzić dużo ludzi, kiedy łódzcy Żydzi chcieli ulżyć swemu sercu przed twórcą świata lub zaprotestować przeciw nacjonalistom za prześladowania Żydów, zawsze przychodzili do synagogi staromiejskiej. [...]

Po 11 listopada 1939 gestapo [...] poleciło gminie zebrać w synagodze Żydów. Gmina miała wybrać określony dzień, w którym przysliby uczniowie z Talmud Tora [szkoła religijna], chederów, kantor z synagogi z chórem i Żydzi ubrani w tałesy. Przyszli przedstawiciele władz z aparatami fotograficznymi i mikrofonami. Nabożeństwo było fotografowane dla zagranicy, by pokazać, że plotki o zakazie zgromadzeń Żydów w domach modlitwy to kłamstwo. Żydzi nie rozumieli, o co chodzi. Nagle taka łaskawość i współczucie! Jednak długo to nie trwało, jeszcze w tym samym tygodniu w nocy [16 listopada], w synagodze zgromadzono beczki ze smołą i benzyną. Starannie je rozlano i rozsmarowano. Następnie podpalono ten święty dla Żydów budynek. Ogień objął całą świątynię od środka, wewnętrzny wystrój i przedmioty obrządku. Tej noc spłonęło, wraz ze wszystkimi urządzeniami, jakieś dziewięćdziesiąt procent zwojów Tory. [...]

Całą noc ogień niszczył wewnątrz synagogi. Nad ranem, kiedy przez spalone okna i drzwi płomienie zaczęły przedostawać się na zewnątrz, rozpoczynał się na ulicach ruch. Zaalarmowano straż pożarną, ale władze nie pozwoliły gasić synagogi, lecz jedynie znajdujące się w jej pobliżu budynki. Sąsiednie ulice zostały odcięte. Nie dopuszczano w pobliże, a rano zostały już tylko chmury dymu i cztery gołe ściany. Przy bramie wejściowej stało dwóch żandarmów z bronią w ręce. Tak to wyglądało przez kilka dni. Wydarzenie to łamało serce, a widok był straszny. [...] Żydowi trudno było tamtędy przechodzić. Nad całym miastem zawisła ciemność,

tak jakby stracono sławnego Żyda. Po kilku dniach przyjechała taksówka, z której wysiadł oficer. Wszedł do synagogi, dumny niczym Tytus w Świątyni Jerozolimskiej. Sprawdził czy wszystko zostało przeprowadzone zgodnie z zaleceniami. Przyjął raport od warty, zwolnił ją i odjechał. Był zadowolony z wykonanej pracy. Po kilku dniach oblano ściany specjalną cieczą, by zaczęły się kruszyć, a do gminy żydowskiej wysłano okólnik, zawierający termin zburzenia ścian. Było jasne, że polecenie musiała wykonać gmina.

28 kwietnia 1941
AŻIH ARG I 911

„W okupowanej Łodzi”

Rozporządzenie o opaskach [wprowadzone 14 listopada] zrobiło piorunujące wrażenie. Mieliśmy zostać oznakowani. Byłem tym bardzo przygnębiony. [...] Nie chodziło o wstydy przyznania się do pochodzenia, a Niemcy nie zawsze umieli rozpoznać Żydów. Chodziło o to, że napiętnowano nas symbolem niższości narodowej, znakiem pariasa. [...] Gdy po raz pierwszy wyszedłem w opasce na ulicę, byłem bardzo zdenerwowany. [...] W biurze Żydzi, niezależnie od poglądów, byli przygnębieni. [...]

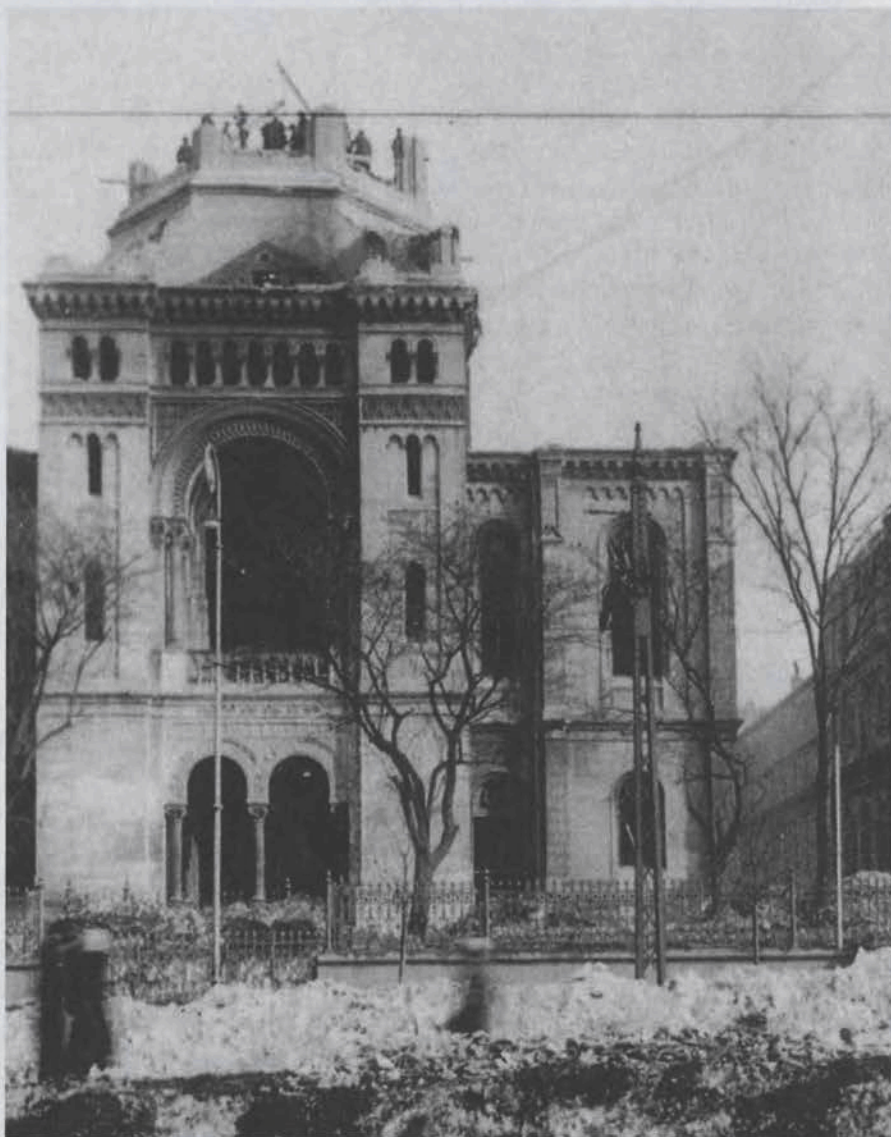
Nie wiem, co miał na myśli pomysłodawca, ale wprowadzenie opasek okazało się dla Niemców bardzo praktyczne. Żyda łatwo było zauważyć i to już z daleka. [...] Niemcy ułatwili sobie też pracę w związku z wydaniem zakazu chodzenia Żydom po ulicy Piotrkowskiej [wprowadzonym 7 listopada]. Rozporządzenie uderzyło w ludność Łodzi jak piorun. [...] Zabraniało nawet przechodzenia przez tę ulicę, przecinającą prawie całe miasto. Przerazenie ogarnęło Żydów, którzy mieszkali przy ulicy Piotrkowskiej. Wskutek zakazu ulica, przecinając ją bocznice oraz przejściowe podwórka, robiły niesamowite wrażenie. Wszędzie było pełno Żydów, którzy wyczekiwali chwili, gdy można będzie „przeszmuglować” się przez Piotrkowską. Podczas panicznego przebiegania dochodziło do upadków, potrażeń przez tramwaj lub pędzące niemieckie auta. W takim wypadku nawet ciężko rannemu Żydowi spisywano protokół i nakładano karę pieniężną.

AŻIH ARG I 894

„Moje łódzkie przeżycia”

Gestapo przychodziło codziennie, wywoływali nazwiska i zabierali ludzi – nikt nie wiedział dokąd. Wybierali spośród inteligencji i członków organizacji wojskowych. Raz zauważyliśmy przez okno Rumkowskiego, negocjującego z komendantem obozu³. [...] Po kilku minutach wydano rozkaz, aby wszyscy przedstawiciele gminy włożyli pałta, bo w ciągu pięciu minut zostaną zwolnieni. Z mojej celi wśród nich znaleźli się: Abraham Ajzner, Hochnberg, Sztal, Jaszunski, Wajnsztajn, syn Sendera Gutmana, Akawia, Rozen i inni. Ubrali się szybko i zabrali walizki. Po paru minutach wydano rozkaz, że inni pozostają. Rumkowski domagał się również ich zwolnienia, mówiąc,

że potrzebuje ich w Judenracie. Jeden oficer rozkazał ich zwolnić, ale inny nie chciał się na to zgodzić. Stało się oczywiście tak, jak chciał ten drugi. Wydarzenie wywołało zamieszanie i paskudne nastroje u chrześcijan, wśród których byli też antysemita. Mówili, że Żydzi chcieli przekupić gestapo, ale im się nie udało. Po około dziesięciu dniach, pracując przy drzewie i czyszczeniu ubikacji [...], wydano rozkaz, aby przerwać prace i zebrać się do apelu w celach. Nastroje były bardzo złe. Czuliśmy, że nastąpi coś strasznego. [...]



Wywoływano nazwiska Żydów i Polaków. [...] Każdy musiał podbiec do urzędników. Był grudzień, część miała na sobie swetry, ale nie nosili czapek. Podczas podbiegania Jonim [gołębiarze] podstawiali nogi. Upadających bito nogami od krzeseł po głowach i reszcie ciała, deptano nogami. Krew się lała, a my staliśmy do apelu. Wyciągnięto profesora [Wincentego] Tomaszewicza, znanego działacza demokratycznego. Pobito go straszliwie i zostawiono rannego⁴. Wśród nas znajdował się też major z PKU [Powiatowa Komenda Uzupelnień], Kowalczyk⁵. Oficer z gestapo spytał przez tłumacza, kim jest, po czym powiedział: *To wstyd, żeby znajdował się tu oficer. Powinien już być tam, gdzie niczego nie ma*. Straszliwie go pobito. Major był silny fizycznie i wytrzymał uderzenia, co rozwścieczyło oprawców. Inny oficer przywołał folksdojczka i kazał mu dołożyć razów. Folksdojcz zdjął doniczkę z okna i bił nią majora po głowie. Znęcał się tak bestialsko, że trzeba było wyciągać kawałki szkła z głowy. Nie dawało się zatamować krwi. Major leżał przez dwa tygodnie.

Wywołanych nadal bito. Zakrwawionych, bez ubrań, doprowadzono do samochodów. Wydano rozkaz, aby dobrowolnie zgłosiło się sześciu Żydów. [...] Wrócili dopiero o godzinie dziewiętnastej. Wypytywaliśmy, co się stało. Byli roztrzęsieni i długo nie chcieli nic mówić. [...] Dopiero leżąc na postaniach, powiedzieli, że zaprowadzono ich na gestapo i postawiono za oszklonymi drzwiami. Po drugiej stronie prowadzono aresztowanych. Byli straszliwie pobici, mieli zabandażowane głowy i ciała. Trzymano ich pod silną strażą. Za nimi szli robotnicy niosący szpadle. Nie wiadomo, co stało się z zatrzymanymi. Następnie zwolniono sześciu ochotników i oświadczono, grożąc największymi karami, że nie wolno im nikomu opowiadać o tym, co widzieli. Mężczyźni szlochali, przypominając sobie tą scenę. Wydarzenie wywarło na nas ogromne wrażenie. Zabrano z naszej celi najwspanialszych ludzi. Jeszcze podczas apelu wielu mdlało, nawet najwięksi antysemita. Sprawa miała wpływ na stosunki między Żydami i Polakami. Znikła nieufność. Atmosfera stała się czystsza. Przeżyliśmy jedną z największych tragedii.

grudzień 1939
AŻIH ARG I 892

„Moja druga ucieczka z Łodzi”

Żyliśmy w atmosferze ciągłego niepokoju i napięcia. W ciągu dnia nie można było siedzieć w domu, gdyż od rana Niemcy obchodzili mieszkania, zabierając mężczyzn do tak zwanej roboty. Należało być w ubraniu, bo groziło wyprowadzenie na ulicę w samych gaciach. [...] Nie mogłem czytać, całymi godzinami przechadzałem się z kąta w kąt lub leżałem na kanapie. Potem następowała długa, bezsenna noc, pełna niepokoju i trwogi.

Poważną troską było uratowanie mojej biblioteki. Miałem wartościowe dzieła z różnych dziedzin [...], komplety periodyków. [...] W ciągu blisko 30 lat zbierania książek posiadałem dużo białych kruków. [...] Chciałem mój zbiór umieścić

w bibliotece miejskiej, ale okazało się to niemożliwe, gdyż głównego bibliotekarza nie było, a klucze miał okupant. [...] Żyliśmy z jednej strony jak na wulkanie, a z drugiej jak w podróży. Część rzeczy było spakowanych na wypadek rekwizycji mieszkania, a część na wypadek nagłego wyjazdu z Łodzi. [...]

Po mieście poruszałem się ostrożnie, aby nie wpaść w oczy i nie przypominać się komu nie należy. Spotykałem się z przyjaciółmi chrześcijanami, którzy informowali mnie o tym, kto wyjechał, kto pozostał na wolności lub kto został zatrzymany. Aresztowania wśród inteligencji, zwłaszcza żydowskiej, stawały się coraz częstsze. Około połowy listopada aresztowano adwokatów, lekarzy, inżynierów, dziennikarzy, członków różnych związków. Na ulicy niektórzy dawali wyraz zdziwieniu, że nie opuszczam Łodzi. [...] Postanowiliśmy, że wyjedziemy do Warszawy. [...] W mieszkaniu mego przyjaciela [w Warszawie], u którego mieliśmy zamieszkać, a nawet pozostać na utrzymaniu, służąca powiedziała, że przed tygodniem wyjechał. Z naszych bagaży, które przewiozły mi dwie Polki, zniknęły najlepsze rzeczy, plecaka nie odzyskaliśmy, a z pieniędzy zostało tylko 30 złotych. [...] Po dwóch dniach przenieśliśmy się do innych przyjaciół Żydów [...] rozpoczynając nasze warszawskie wegetowanie. Po dwóch latach nie wiem, kiedy się skończy, ani jaki będzie koniec. Horoskopy są dla mnie i dla mojej żony bardzo niekorzystne.

AŻIH ARG I

Ze zbiorów Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie.
Tłumaczenie Sara Arm

zebrał i opracował:
Mateusz Sidor
– publicysta

Przypisy:

1. Prawdopodobnie chodzi o policyjny areszt śledczy i więzienie przy ulicy Kopernika 29. Pierwszym naczelnikiem był późniejszy komendant więzienia na Radogoszczu Walter Pelzhausen. Przed wojną mieścił się tam posterunek policji.
2. „Gazeta Łódzka” czyli tzw. gadzinówka ukazywała się w języku polskim od 22 września do 9 listopada 1939 roku.
3. Obóz-więzienie na Radogoszczu w fabryce Glazera przy ulicy Krakowskiej 55 (obecnie Liściastej 17). W 1940 roku więzienie przeniesiono do fabryki Abbego u zbiegu ulic Zgierskiej i Sowińskiego.
4. Prof. Wincenty Tomaszewicz ocalał, został zwolniony w grudniu 1940 roku. Uczestnik powstania warszawskiego.
5. Prawdopodobnie chodzi o mjr. Kazimierza Kowalskiego ps. „Wyrwa”, pierwszego organizatora konspiracji na terenie Łodzi.

Między Łodzią a Wzgórzem Wiosny

Łodzianie w Izraelu

Dzień 7 kwietnia 1923 roku nie jest odnotowany w żadnym podręczniku historii, w żadnej kronice wydarzeń ani też w żadnym kalendarium jako data, pod którą stało się coś tak ważnego, że godzi się pozostawić potomnym jakiś zapis na ten temat. A jednak właśnie tego dnia, w godzinach popołudniowych, w mieszkaniu przy ulicy Południowej 29, miało miejsce wydarzenie, które wywarło duży wpływ na los wielu mieszkańców Łodzi, jak i odległego o wiele tysięcy kilometrów niedużego wtedy miasteczka położonego nad Morzem Śródziemnym o dziwnie brzmiącej dla polskiego ucha nazwie Tel Awiw, co w tłumaczeniu na język Piastów oznacza „Wzgórze Wiosny”.

„Łodzija” i „Łodzianka”

W mieszkaniu łódzkiego przemysłowca Jehudy Mozesa¹, mieszkającego pod wymienionym adresem, odbyło się wówczas spotkanie pięciu zaprzyjaźnionych z nim przemysłowców z branży włókienniczej. Postanowili zbudować w odległym Tel Awiwie pierwszą nie tylko w tym mieście, ale i w całej ówczesnej Palestynie, dużą, jak na owe czasy, fabrykę pończoch i trykotaży, w której nazwie chcieli uwiecznić pamięć swego rodzinnego miasta w Ziemi Świętej.

Oprócz gospodarza w spotkaniu uczestniczyli Eliezer Braun i Meir Danzigier, właściciele znanej w Łodzi fabryki pończoch „Braun&Danzigier”, Mosze Berliński, Benjamin Guter oraz Icchak Lejb Szajnfarder. Z zachowanego protokołu tego spotkania (spisanego w języku hebrajskim) dowiadujemy się, że wszyscy obecni postanowili wspólnie założyć towarzystwo pod nazwą „Łodzija” z kapitałem zakładowym 12 tysięcy funtów szterlingów. Każdy z uczestników zobowiązał się wnieść wkład w wysokości 2000 funtów. Utworzone towarzystwo zadeklarowało zbudowanie w Tel Awiwie w możliwie najkrótszym czasie fabryki, która w pierwszej fazie miała produkować pończochy, a następnie także trykotaże. 10 nowych maszyn postanowiono zakupić w znanej angielskiej firmie „Shtybel” a 40 kolejnych maszyn, lekko używanych, od spółki „Braun&Danzigier” w Łodzi.

Inicjatorzy towarzystwa udali się do Tel Awiwu, gdzie nabyli parcelę budowlaną na skrzyżowaniu ulic Maze i Jehuda Halewi, wtedy znajdującą się na obrzeżach miasta, a dziś leżącą w samym jego centrum. Kamień węgielny pod budowę fabryki położony został latem 1924 roku, a po roku wyprodukowana została pierwsza

para pończoch. Budynek wzniesiono z czerwonych cegieł, budulca wtedy nieużywanego w Palestynie, ale – jak zaznaczyli inicjatorzy – *fabryka ta ma być podobna i przypominać swoim wyglądem fabryki w Łodzi.*

Niezwykle charakterystyczny dla nastrojów i uczuć budowniczych był wybrany przez nich znak fabryczny: pod rozpostartymi skrzydłami białego orła umieszczona została Gwiazda Dawida, a w jej centrum – hebrajski napis „Lodzija”. Ponieważ przez wiele lat była to jedyna fabryka branży włókienniczej, nie było w Palestynie a później w Izraelu człowieka, który nie słyszałby o „Lodziji”, a więc pośrednio także o Łodzi.

Nie tylko przemysłowcy uwiecznili w Ziemi Świętej nazwę Łodzi, walnie przyczynili się do tego także przybyli z Łódki rzemieślnicy żydowscy. W roku 1947 przyjechał z Łodzi do Palestyny żydowski mistrz cukierniczy – Jakub Kuper, który czas wojny spędził na Syberii. Niewiele pozostało mu pamiątek ze zniszczonego w Łodzi domu, ale jednej rzeczy pilnował jak źrenicy oka – dyplomu wystawionego przez Cech Cukierników w Łodzi, potwierdzającego, że zdał egzamin na mistrza cukierniczego. Ten dyplom, opatrzony godłem państwa – Orłem Białym na czerwonym tle, znalazł się na honorowym miejscu na ścianie cukierni, którą mistrz otworzył w Tel Awiwie.

Jak przystało na patriotę łódzkiego, właściciel nazwał swoją cukiernię „Łodzianka”. Bardzo szybko zdobyła sobie stałą i wierną klientelę, pochodzącą zresztą nie tylko z Łodzi, a cudowne babki dosłownie rozpyływały się w ustach, rozsławiając „Łodziankę” po całym Izraelu. Nie trzeba chyba dodawać, że językiem obowiązującym w tej cukierni był język polski. Po latach, gdy mistrz poczuł się zmęczony, „Łodzianka” wystawiona została na sprzedaż. Kupił ją jeden z pracowników cukierni, rodem z Algierii, który u polskiego mistrza nauczył się piec owe wspaniałe babki. Warunkiem transakcji było jednak pozostawienie na ścianie cukierni dyplomu z orłem. Nabywca zachował także, rzecz jasna, jej nazwę, licząc na wierność polskiej klienteli. I nie zawiódł się. Miłośnicy wysmienitych babek, jabłeczników i serników nadal tłumnie odwiedzali „Łodziankę”, a nowy właściciel witał ich gardłowym „dzen dobchy” w głębokim przekonaniu, że jest nie tylko mistrzem cukierniczym, ale także mistrzem słowa polskiego. Po latach jednopiętrowy dom, w którym mieściła się „Łodzianka”, został rozebrany i na jego miejscu wyrósł wielki, siedmiopiętrowy gmach. Łódzka perła cukiernicza w Ziemi Świętej przeszła więc do historii, ale ilekroć jakiś Izraelczyk urodzony w Polsce przechodzi w tym miejscu, zawsze wspomina: „Och, jakie cudowne ciastka były w tej «Łodziance»...”.

Sejm wzorem dla Knesetu

Niepodległy Izrael, który w bieżącym roku obchodzi swoje 60-lecie, powstał w dużym stopniu dzięki aktywności największego na świecie, przed II wojną światową – nie tylko liczebnie, ale także pod względem jakości – skupiska żydowskiego w Polsce, wśród którego jedno z czołowych miejsc zajmowali Żydzi łódzcy. Nie jest chyba przypadkiem,

że w pierwszym parlamencie izraelskim, Knesecie, zdecydowana większość – bo 68 na 120 członków Knesetu – władała językiem polskim. Ta przodująca rola Żydów polskich w budowie ich niepodległego państwa stała się możliwa dzięki temu, że przed wieloma wiekami królowie Polski udzielili Żydom gościny w swoim kraju, umożliwiając im rozwijanie ich własnej narodowej kultury i nieskrępowaną działalność organizacyjną. Oczywiście w ciągu niemal tysiąca lat życia Żydów na ziemi polskiej przeżyli oni okresy lepsze i gorsze, ale jednym z najważniejszych wyników polskiej gościnności był niezwykle rozwój żydowskiego skupiska w Polsce, co uczyniło z niego przodującą siłę w walce o odrodzenie żydowskiej państwowości.

W rozmowie z prezydentem Lechem Kaczyńskim, podczas jego wizyty w Jerozolimie w ramach uroczystości 60-lecia proklamowania niepodległości Izraela, premier tego kraju – Ehud Olmert zażartował: *Jeśli Izraelczyk mówi, że nie ma polskich korzeni, świadczy to tylko o tym, że on o tych korzeniach nie wie.*

Szczególne uczucia wielu Izraelczyków wobec Polski wynikają głównie z faktu, że wielu z nich urodziło się tam i z polskim krajobrazem łączą się ich wspomnienia z dzieciństwa i młodości. Jednakże uczucia sympatii dla Polski, jakie Żydzi polscy wywieźli z kraju swego pochodzenia, przeplatają się nieraz z uczuciami żalu i bólu związanymi z przeżyciami w okresie hitlerowskiej okupacji. I dlatego Polak odwiedzający dziś Izrael spotkać się może z dwoma zupełnie przeciwstawnymi sobie reakcjami – przyjaźni lub niechęci. Przyjaźń i niechęć należą do sfery emocji i dlatego tu żadne logiczne argumenty i uzasadnienia na nic się nie zdadzą. Jedni będą gośćmi z Polski mówili z rozrzewnieniem i nieukrywanym wzruszeniem o „Żegocie” i polskich „Sprawiedliwych”, którzy podawali im lub ich znajomym pomocną dłoń w najokrutniejszym okresie historii Żydów i Polaków. Inni będą wspominali „szmalcowników” czy też ludzi, którzy wyrażali zadowolenie, że „Hitler oczyszcza Polskę od Żydów”. Złożoność problemu polega na tym, że jedni i drudzy mają rację, albowiem zarówno „Sprawiedliwi”, jak i „szmalcownicy” byli synami narodu polskiego, zarówno działacze „Żegoty”, jak i uczestnicy pogromu kieleckiego w lipcu 1946 roku byli Polakami. I dopiero przyszłe pokolenia – za 50 czy 100 lat – wolne całkowicie od osobistych emocji związanych z przeżyciami własnymi czy ich rodziców, będą mogły spróbować orzec, która z tych racji przeważa. Dzisiaj panują jeszcze emocje, a emocjonalnie nie można oceniać racji.

Niewielu Izraelczyków, a tym bardziej Polaków, wie o tym, że schemat organizacyjny wielu naczelnych agend państwa Izrael został żywcem skopiowany z wzorca II Rzeczypospolitej. Tworząc nowe państwo i ustalając jego strukturę, przywódcy żydowskiego społeczeństwa w Palestynie, a więc Żydzi pochodzący w ogromnej większości z Polski, korzystali z jedyne go wzoru państwowości, jaki znali. Tym wzorem była dla nich Polska. Gdy powołano komisję, która miała przygotować projekt przyszłego parlamentu niepodległego państwa, nie było sporu, co do tego, że będzie ono demokracją parlamentarną. Problemem było jednak to, że istniało kilka wzorów takiego

parlamentaryzmu. Istniał wzór brytyjski – Izba Gmin i Izba Lordów, który uchodził za kolebkę nowoczesnego parlamentaryzmu. Dla mającego powstać państwa żydowskiego wzór ten był całkowicie nieprzydatny, gdyż w owym czasie Wielka Brytania była najbardziej zajadłym wrogiem wszelkiego dążenia niepodległościowego Żydów w zarządzanej przez nią (na mocy mandatu Ligi Narodów) Palestynie. Także wzór amerykański – Izba Deputowanych i Senat – nie nadawał się dla mającego powstać państwa żydowskiego, ze względu na strukturę ustroju w USA, gdzie szef państwa (prezydent) nie jest wybierany ani zatwierdzany przez parlament, ale przez ogół obywateli. Stało się, że na czele owej komisji stał dr Icchak Grinbaum, polityk o wielkim doświadczeniu parlamentarnym, które zdobył jako wieloletni poseł na sejm RP, przewodniczący Koła Żydowskiego oraz Bloku Mniejszości Narodowych w parlamencie polskim. Gdy w roku 1935 Grinbaum wyemigrował do Palestyny, zupełnie przypadkowo – jak później wielokrotnie podkreślał – zabrał ze sobą regulamin Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej. Ten właśnie dokument, przetłumaczony na hebrajski – z pewnymi adaptacjami – był regulaminem pierwszego parlamentu izraelskiego.

Stara ojczyzna, nowa ojczyzna

Wraz z upływem lat zmniejszała się proporcjonalnie pozycja, jaką zajmują dziś w Izraelu Żydzi polscy. Drugie i trzecie pokolenie czuło się coraz luźniej związane z krajem pochodzenia ich rodziców, a wspomnienia z „dawnego domu” z biegiem lat traciły na atrakcyjności. I właśnie wtedy, pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, nastąpiła – zrodzona zresztą w Stanach Zjednoczonych – moda na „szukanie korzeni”, na intensywne zapoznawanie się z historią i środowiskiem swoich przodków. Te zainteresowania znów wzbudziły ciekawość średniego i młodego pokolenia wokół kraju pochodzenia ich ojców i dziadków. Jednocześnie otwarcie po upadku komunizmu granic Polski dla turystyki z Izraela – co było nie do pomyślenia w okresie PRL – umożliwiło zaspakajanie tej ciekawości.

Komunistyczne władze Polski nie były zainteresowane jakimikolwiek kontaktami z Żydami polskimi żyjącymi poza granicami Polski, na kapitalistycznym Zachodzie. Mieszkający w Izraelu Żydzi pochodzący z Rzeczypospolitej nie otrzymywali do niej wiz wjazdowych, nawet w celu odwiedzenia grobów swoich najbliższych pochowanych na ziemi polskiej. Dzisiaj wielu Żydów polskich z Izraela odwiedza swój stary kraj czy też kraj swoich rodziców. Izraelczycy interesują się żydowskim cmentarzem i budynkiem dawnej synagogi, odwiedzają szkołę, do której uczęszczali lub dom, w którym mieszkali, kontaktują się z sąsiadami, kolegami szkolnymi i przyjaciółmi. Te odwiedziny stanowią w dużym stopniu odnowienie dawnych sentymentów do miasta swego pochodzenia. Związek b. Łodzian w Izraelu – podobnie zresztą jak wiele ziomkostw, np. Lublina, Zagłębia, Krakowa, Warszawy, Nowego Sącza, Ostrołki, Ciechanowa, Częstochowy – organizuje niemal regularnie grupowe odwiedziny swoich członków w „ich” miastach.

W pierwszych latach istnienia Izraela rolę spoiwa, łączącego Żydów polskich w tym kraju, odgrywał w znacznym stopniu język polski. Istniały liczne księgarnie polskie w kilku miastach (dziś nie pozostała ani jedna), odbywały się imprezy w języku polskim, po polsku ukazywało się dość wiele jak na tak mały kraj czasopism, przez jakiś okres dwie gazety codzienne, kilka tygodników i miesięczników itp. Z biegiem lat i w miarę włączania się młodego pokolenia w działalność „organizacji polskich” język polski wyparty został przez hebrajski, który jest niepodzielnie językiem młodego pokolenia. Z bogatego czasopiśmiennictwa w języku polskim pozostał tylko tygodnik „Nowiny-Kurier” oraz ukazujący się raz w roku almanach „Kontury” wydawany przez Związek Autorów Piszących po Polsku, stanowiący sekcję przy Związku Pisarzy Izraelskich. Na łamach „N-K” ogłaszają się firmy, które zakładają *specjalne anteny satelitarne, umożliwiające odbiór programów telewizyjnych z Polski*, co świadczy o tym, że telewizja polska ma widzów także nad Jordanem. Ponadto na każdy odczyt gościa z Polski – czy jest nim profesor literatury, czy polityk – przybywa spragniona polskiego słowa liczna publiczność.

Zarówno polscy, jak i izraelscy historycy nie ustalili dokładnej czy nawet przybliżonej daty przybycia do Ziemi Świętej pierwszych żydowskich imigrantów z Łodzi. Widocznie kronikarze żydowskiej emigracji z Łodzi do Palestyny nie uważali tego szczegółu za wydarzenie o tak wielkiej wadze, by je przekazać potomnym. Także w publikowanych w Polsce w okresie międzywojennym danych na temat emigracji Żydów do Palestyny nie wyodrębnia się Łodzi jako miejsca poprzedniego zamieszkania emigrantów. Niemniej jednak wiadomo, że w okresie międzywojennym wiele tysięcy Żydów wyjechało z tego miasta do Palestyny. W latach 1918–1939 działało w Łodzi aż siedem partii syjonistycznych² i o różnym zabarwieniu politycznym, ale o wspólnym zasadniczym założeniu ideologicznym, mianowicie – walki o utworzenie Żydowskiej Siedziby Narodowej w Palestynie, której główną bronią było organizowanie imigracji żydowskiej do tego kraju.

W pierwszym okresie w ramach emigracji do Palestyny wyjeżdżali przeważnie ludzie młodzi, tak zwani „chaluce” czyli pionierzy, którzy za główny cel życia uważali pracę na roli. W ich przekonaniu powrót po wiekach do ziemi praojców powinien być jak najbardziej dosłowny – do z i e m i . I dlatego praca na roli była w oczach tych młodych zapaleńców – synów kupców i inteligentów żydowskich z polskich miast i miasteczek – nie tylko środkiem utrzymania, ale wręcz narodowym i historycznym powołaniem. Opuszczając miasto i kraj swego urodzenia i rodziców, chcieli zerwać z całym wypaczonym, ich zdaniem, trybem i strukturą żydowskiego życia w dawnej ojczyźnie. Ojców – owych kupców, rzemieślników i inteligentów – pozostawiali za sobą. W kraju, do którego przyjechali, zakładali osławione kibuce, które z biegiem lat stały się supernowoczesnymi gospodarstwami rolnymi.

Podjęcie pracy na roli wymagało jednak pewnego przygotowania, bo w swych łódzkich domach nie mieli żadnego związku z rolnictwem. Dlatego też

przed wyjazdem do Palestyny odbywali roczne lub dwuletnie kursy praktycznego przysposobienia zarówno do kolektywnego życia w kibucu, jak i do przyszłej roli rolników w Ziemi Świętej. W Łodzi działało kilkanaście takich ośrodków przysposobienia, zwanych „Hachszara”³, w których naukę rolnictwa i pokrewnych zawodów pobierało po kilkadziesiąt przyszłych „chaluców”. „Hachszary” takie działały m.in. przy ul. Piotrkowskiej 120, Zamenhofs 5, Ogrodowej 3 (gdzie mieściły się wielkie hale targowe, głównie tekstyliów), Killińskiego 17, Zawadzkiej 54 itd. Tylko w ciągu dwóch lat 1925–1926 wyemigrowało z Polski do Palestyny 26 tysięcy „chaluców”, spośród których wiele tysięcy pochodziło z Łodzi⁴.

Po przybyciu do Palestyny – zwanej po hebrajsku *Erec Israel*, czyli Ziemia Izraela – owi „chaluce” albo zakładali nowe kibuce, czyli kolektywne gospodarstwa rolne, albo też przyłączali się, grupowo lub indywidualnie, do już istniejących. Mimo stosunkowo szybkiego wrastania w nową rzeczywistość, w jakiej się znaleźli, tak bardzo odmiennej od warunków ich życia u rodziców w Łodzi, nie zrywali jednak więzów ze starym krajem i gdy któryś z nich otrzymywał list z domu, dzielił się otrzymanymi informacjami z przyjaciółmi, którzy także pochodzili z Łodzi i – rzecz jasna – interesowali się tym, co się tam dzieje.

Te kontakty znacznie się zacieśniły w latach II wojny światowej, gdy mieszkający w Palestynie młodzi Łodzianie byli zupełnie oderwani od swych rodzin pozostawionych w Łodzi, o których nie mieli żadnych informacji. Więc siłą rzeczy kontaktowali się między sobą w nadziei, że może ktoś coś wie o losie ich bliskich w okupowanej Łodzi. W tych kontaktach dopatrzeć się można w dużym stopniu zrębów przyszytych organizacyjnych już form działalności Łodzian w Ziemi Świętej.

Emigracja podatkowa

W latach dwudziestych ubiegłego wieku struktura społeczna emigracji żydowskiej z Łodzi uległa dość zasadniczej zmianie. W grudniu 1923 roku, sejm dla opanowania pogłębiającego się kryzysu gospodarczego i szalejącej inflacji powierzył misję utworzenia pozaparlamentarnego rządu fachowców ekonomiście i działaczowi Narodowej Demokracji – Władysławowi Grabskiemu, który w rządzie tym objął także tekę ministra skarbu. W ramach walki z inflacją Grabski przystąpił do realizowania głębokich reform gospodarczych, które obok zastąpienia dotychczasowej polskiej marki nowym pieniądzem – złotym, objęły także znaczne obciążenie podatkami warstw średnich. W Polsce w owych latach do tej klasy społecznej zaliczało się żydowskie mieszczaństwo. Ta polityka „przykręcania śruby” podatkowej stała się przyczyną masowej – jak na owe czasy – emigracji żydowskiej do Palestyny.

W dziejach żydowskiego osadnictwa w Palestynie fala ta – w latach 1924–1926 – otrzymała nazwę „czwartej fali imigracji” lub też „imigracji Grabskiego”. O ile w ramach poprzednich emigracji z Polski – w dużym stopniu właśnie z Łodzi – przybywali młodzi ideowcy, o tyle ten ruch obejmował głównie kupców i rzemieślników,

czyli element miejski. Przyczyniło się to do niezwykłego rozmachu i rozwoju stawiającego pierwsze kroki niedawno powstałego Tel Awiwu, który był pierwszym miastem w nowoczesnej Palestynie, zbudowanym całkowicie od podstaw przez Żydów.

Jak już wspominałem, Tel Awiw znaczy po hebrajsku „Wzgórze Wiosny” i tajemnicą historii pozostaje odpowiedź na pytanie, dlaczego założyciele tego miasta, położonego nad rzeką Jarkon u jej ujścia do Morza Śródziemnego, wplekli w jego nazwę słowo „wzgórze”. W protokołach z posiedzeń zarządu grupy założycieli żydowskich, mieszkańców arabskiej wtedy Jaffy nie ma na ten temat żadnej wzmianki. Jest natomiast bardzo ciekawa wzmianka o... Łodzi. Na jednym z posiedzeń telawiwskiej rady gminnej – zarządu miasta jeszcze wtedy nie było – omawiano sprawę szerokości jezdni głównej ulicy, która otrzymała imię brytyjskiego generała (później marszałka) Edmunda Henry’ego Hynmana Allenby’ego, w czasie I wojny światowej dowódcy zwycięskiej armii brytyjskiej, która w bitwie pod Megiddo w roku 1918 rozbiła armię turecką i ostatecznie wyzwoliła Ziemię Świętą spod 400-letniej władzy tureckiej. Na owym posiedzeniu toczyła się dość zażarta dyskusja na temat szerokości jezdni na budowanej właśnie ulicy, czy powinna być sześćo- czy też dwunastometrowej szerokości. Niektórzy domagali się 12 metrów, *bo tak wyglądają ulice w największych miastach Europy*, inni natomiast uważali, że nie ma sensu budowanie w Tel Awiwie kopii paryskich Pól Elizejskich. W końcu osiągnięty został kompromis – nowa ulica nie będzie przypominała swoją szerokością paryskich Pól Elizejskich, ale tylko ulicę Marszałkowską w Warszawie. *I ulicę Piotrkowską w Łodzi* – dorzucił jeden z uczestników owego zebrania. Przez wiele lat zresztą w potocznych rozmowach wielu wywodzących się z Łodzi telawiwian ulicę Allenby nazywało... Piotrkowską.

Związek Żydów Łódzkich

Tuż po zakończeniu II wojny światowej, jeszcze przed powstaniem państwa Izrael⁵, żyjący wtedy w kraju łodzianie doszli do wniosku, że konieczne są zmiany dotychczasowych form kontaktowania się, między innymi dla uzyskania informacji od działającego wtedy w Łodzi Komitetu Żydowskiego. Chodziło o wiadomości, czy wśród powracających do miasta Żydów uratowanych z hitlerowskiej zagłady są krewni poszukiwani przez mieszkających w Palestynie łodzian. W związku z tym powstał w Tel Awiwie Związek Żydów Łódzkich, na czele którego stanął adw. Zerach Sztrauch, członek Rady Miejskiej Łodzi w latach 1937–1939. Z natury rzeczy w skład tego związku w owym okresie wchodziłi ludzie, którzy wyemigrowali z Polski w okresie międzywojennym, a więc hitlerowską okupację i jej okropności znali tylko z opowiadań. W pierwszym okresie swej działalności zarząd Związku Łodzian – jak go potocznie nazywano – wykorzystując swoje dawne znajomości z wieloma ludźmi, czynnymi w organizacjach żydowskich działających wtedy w Łodzi, pomagał w odnajdywaniu krewnych czy też w uzyskaniu informacji o ich losie. W owym czasie była to działalność o niezwykłym wręcz znaczeniu zarówno dla szukających, jak i odnajdywanych krewnych z Łodzi. Stosunkowo szybko jednak ta forma

poszukiwania rodzin pozostawionych w Polsce czy też uzyskiwania informacji o ich losie została w pewnym stopniu scentralizowana i odbywała się za pośrednictwem specjalnie dla tego celu powołanych instytucji, korzystających – rzecz jasna – z o wiele większych możliwości, niż dysponował nimi Związek Łodzian.

Mimo to zadzierzgnięte więzy organizacyjne nie zostały całkowicie porzucone, ale coraz bardziej zaczęły zmieniać swój charakter i formy. Od czasu do czasu organizowano jakiś odczyt na temat interesujący szczególnie łodzian, ale przeważały raczej spotkania towarzyskie, koktajle i herbatki, przy czym szczególną aktywność w tej właśnie dziedzinie okazywało działające przy zarządzie związku – Koło Pań. Zmiana charakteru działalności pociągnęła za sobą także zmianę składu personalnego aktywu związku – miejsce tych, którzy przybyli do kraju jako „chaluce”, czyli ludzie bardzo młodzi, zajęli przeważnie przemysłowcy, kupcy i inteligenci – adwokaci, lekarze itp.

W międzyczasie nastąpiła kolejna zmiana sytuacji. Od razu po zakończeniu II wojny światowej, jeszcze przed proklamowaniem niepodległości Izraela, rozpoczęła się fala – nielegalnej wtedy (bo brytyjskie władze mandatowe pod naciskiem nacjonalistycznych kół arabskich odmawiały wpuszczania Żydów do Palestyny) imigracji żydowskiej. W ogromnej części imigrantami byli Żydzi polscy, którzy cudem uratowali się z hitlerowskich obozów śmierci i obozów koncentracyjnych na terenie Niemiec i przebywali w obozach DP, czyli bezpaństwowców. Wśród tej grupy ludzi bardzo znaczną część stanowili właśnie Żydzi pochodzący z Łodzi. Wynikało to z faktu, że spośród wszystkich gett na terenie okupowanej Polski, getto łódzkie przetrwało najdłużej – zlikwidowane zostało bowiem dopiero w sierpniu 1944 roku, gdy ponad 70 tysięcy Żydów Niemcy wywieźli do Oświęcimia. Część z nich zginęła od razu w tym obozie śmierci, a część wysłana została do różnych obozów pracy i obozów koncentracyjnych na terenie Niemiec. I właśnie spośród nich stosunkowo znacznej liczbie łodzian udało się przeżyć hitlerowską gehennę i dożyć upadku faszystowskich Niemiec.

Wielu emigrantów próbujących dotrzeć do brzegów Palestyny ujętych zostało przez specjalne jednostki brytyjskiej marynarki wojennej i przymusowo odtransportowanych do utworzonych dla nich obozów na Cyprze. W chwili proklamowania niepodległości Izraela pierwszymi przybyszami do nowo powstałego państwa byli internowani w brytyjskich obozach na Cyprze nielegalni imigranci do Izraela, wśród których – ze wspomnianych już przyczyn – znaczny odsetek stanowili łodzianie.

Pielęgnowanie pamięci

Łodzianom przybyłym do Ziemi Świętej w ramach tej oraz późniejszych fal imigracji, towarzyski charakter działalności Związku Łodzian wydawał się co najmniej dziwny. Herbatki i bale kolidowały z jeszcze nierozładowanymi nastrojami nowych imigrantów, którzy w okupowanej Polsce czy w hitlerowskich obozach koncentracyjnych przeżyli okres Holokaustu. Kilku nowo przybyłych imigrantów włączyło się co prawda do aktywnej działalności w związku – znany łódzki dentysta dr Jan (Jakub) Kinrus został nawet

sekretarzem zarządu – ale jako główny cel tej działalności uważali spowodowanie zmiany charakteru działalności organizacji. Szło to jednak bardzo opornie.

W międzyczasie miało miejsce kilka kolejnych fal imigracji z Łodzi, między innymi w latach 1948–1949 oraz 1956–1957. W pierwszym okresie po przybyciu do nowego kraju, w którym warunki życia były zupełnie odmienne od warunków w Polsce, nowi łodzianie-imigranci nie bardzo mieli czas i ochotę na zajmowanie się pracą społeczną. Po krótkim czasie jednak, gdy tylko jako tako się urządzili, ich zainteresowanie tą działalnością wzrastało i koncentrowało się wokół dążenia do uwiecznienia pamięci ich najdroższych, którzy nie dożyli wolności. To właśnie pragnienie legło u podstaw inicjatywy grupy młodszej generacji izraelskich łodzian, którzy na początku lat siedemdziesiątych powołali społeczny Komitet Uwiecznienia Pamięci Męczenników Getta Łódzkiego. Komitet – w sprawach związanych z celem wyrażonym w nazwie – jak np. w organizowaniu co roku akademii żałobnej w rocznicę likwidacji getta – ściśle współpracował ze Związkiem Łodzian. Ta współpraca doprowadziła 3 stycznia 1976 roku do zjednoczenia obu organizacji przy zachowaniu wspólnej nazwy Związek b. Mieszkańców Łodzi oraz Komitet Upamiętnienia Męczenników Getta Łódzkiego. Po jakimś czasie, gdy upamiętnienie przeszłości stało się głównym tematem zjednoczonej organizacji, powrócono do pierwotnej nazwy – Związek b. Łodzian w Izraelu. Wszystko to działo się w okresie braku jakichkolwiek więzów izraelskich łodzian z ich rodzinnym miastem – w czerwcu 1967 roku Polska zerwała bowiem wszelkie stosunki – nie tylko dyplomatyczne – z Izraelem. I nawet listy wysyłane przez związek do ówczesnego Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi poruszające różne sprawy związane z uwiecznieniem pamięci getta i jego mieszkańców zamordowanych przez hitlerowców, po prostu pozostawały bez odpowiedzi.

Jeszcze przed zjednoczeniem obu organizacji łodzian urządziły one wspólnie w Tel Awiwie, w 30. rocznicę likwidacji getta łódzkiego, znamienne wystawę zdjęć, przedstawiających życie młodzieży w tym getcie. Otwarcia wystawy dokonał b. prezydent Izraela – prof. Efraim Kacir, który dzieciństwo swoje spędził w Łodzi i objął honorowy patronat nad działalnością Związku. Wystawę tą – w ramach nauki historii narodu żydowskiego – odwiedzały wycieczki uczniów ze wszystkich szkół średnich w Tel Awiwie i okolicy, którzy w ten sposób zapoznawali się z tym niezwykle tragicznym okresem w historii narodu żydowskiego.

Jednocześnie znacznie rozszerzona została – zapoczątkowana już wcześniej – współpraca Związku ze szkołami, co wyrażało się m.in. w tym, że np. Miejskie Gimnazjum nr 11 w Tel Awiwie „objęło patronat” nad pamięcią getta. Polegało to na studiowaniu przez uczniów historii gminy żydowskiej w Łodzi, ze szczególnym uwzględnieniem okresu hitlerowskiej okupacji, organizowaniu spotkań z ludźmi, którzy przeżyli getto i opowiadali dzieciom o swoich przeżyciach itp. Owocem tej działalności była imponująca ok. 200-stronicowa książka pt. *Uczniowie – w holdzie młodzieży w getcie*, zawierająca prace kilkudziesięciu uczniów i uczennic tego gimnazjum na temat

życia żydowskiego w Łodzi. Także dziś kontynuowana jest taka współpraca związku ze szkołami, m.in. z gimnazjum zawodowym ORT⁶ im. Sengalowskiego oraz gimnazjum im. Cajtlina w Tel Awiwie. Współpraca ta wyraża się m.in. w organizowaniu spotkań uczniów wyższych klas z łodzianami, którzy okres okupacji przeżyli w getcie i hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Opowiadając młodzieży o owych latach, wzmacniają w nich zainteresowanie historią gminy żydowskiej w Łodzi, która jest przecież nieodłączną częścią historii miasta. Warto przypomnieć, że do dziś jest w Tel Awiwie ulica Gminy Łódzkiej, przy czym godzi się podkreślić, że w języku hebrajskim słowo „gmina” oznacza ogół mieszkańców.

Jednocześnie związek podjął inicjatywę wzniesienia na cmentarzu w przylegającym do Tel Awiwu mieście Holon (które w dosłownym tłumaczeniu na polski znałoby się... Piaseczno) pomnika ku czci męczenników getta. Zorganizowana zbiórka pieniędzy na budowę tego pomnika spotkała się z niezwykle przychylnym przyjęciem ze strony wielu tysięcy żydowskich łodzian w Izraelu oraz rozsianych po świecie. W marcu 1977 roku specjalna delegacja związku, pokonując ogromne trudności wynikające z braku polsko-izraelskich stosunków dyplomatycznych, udała się do Łodzi, skąd przywoziła woreczek z ziemią z żydowskiego cmentarza przy ul. Brackiej. Ziemia ta, symbolizująca męczeństwo Żydów łódzkich w okresie hitlerowskiej okupacji, została złożona 15 marca 1977 roku – przy udziale kilku tysięcy łodzian – na cmentarzu w pobliżu Tel Awiwu, w miejscu przeznaczonym na budowę pomnika. Pochodząca z Łodzi znana izraelska rzeźbiarka i poetka – Estera Ajzen przygotowała projekt monumentu, którego odsłonięcie odbyło się 8 października 1978 roku. Co roku, w Dniu Upamiętnienia Zagłady i Bohaterstwa, odbywa się u stóp tego pomnika żałobne spotkanie łodzian w Izraelu.

Niezwykle ważnym i wyjątkowym przedsięwzięciem Związku Łodzian było wydanie 5-tomowej *Księgi Imion*, zawierającej pełne dane personalne – imiona i nazwiska, imiona rodziców, miejsca urodzenia, zawodu oraz adresu w getcie – wszystkich Żydów, którzy przebywali w getcie łódzkim, łącznie z datą ich śmierci (o ile umarli w getcie) lub datą wysiedlenia do obozów zagłady. Księga ta opracowana została w oparciu o otrzymane z Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie mikrofilmy z kart meldunkowych w getcie, odnalezionych po wojnie w Łodzi.

W dniach 11–13 września 1994 roku, w 50. Rocznicę Likwidacji Getta Łódzkiego, odbył się w Tel Awiwie i Jerozolimie światowy zjazd b. żydowskich mieszkańców Łodzi, na którym gościem honorowym był ówczesny prezydent Łodzi – Marek Czekalski. Głównym tematem była sprawa uwiecznienia pamięci gminy żydowskiej w Łodzi i przekazanie młodemu pokoleniu wiedzy o tym mieście. Podczas jego pobytu w Izraelu podpisana została – z inicjatywy Związku Łodzian – umowa o partnerstwie między Łodzią a Tel Awiwem.

Niezwykle ważną akcją, której co prawda Związek Łodzian w Ziemi Świętej nie zorganizował bezpośrednio, ale niewątpliwie moralnie się do niej przyczyni-

nił, było starcie z murów miasta napisów godzących w pamięć zamordowanych i w honor żyjących Łodzian. Reakcja dzisiejszych mieszkańców grodu nad Łódką na „List Otwarty” (autorstwa niżej podpisanego) żyjących w Izraelu Łodzian w sprawie haniebnych napisów antyżydowskich na murach miasta, była i pozostała dowodem, że silne i nierozzerwalne są więzy łączące mieszkańców Łodzi – dawnych i obecnych.

Duży nacisk w swej działalności izraelscy Łodzianie kładą na zapoznanie drugiego i trzeciego pokolenia, czyli ich dzieci i wnuków, z historią Łodzi, którą znają tylko z opowiadań swych rodziców i dziadków. Jednocześnie uważają oni za konieczne, aby młodzież oraz przyszłe pokolenia mieszkańców Łodzi dowiedziały się o wkładzie Żydów w rozwój i rozkwit grodu nad Łódką. Temu celowi służyć powinno zarówno zachowanie i pielęgnowanie licznych śladów i pamiątek żydowskich pozostawionych w Łodzi, jak i przekazanie młodym Łodzianom wiedzy o historii ich miasta, współkształtowanej przez Żydów, stanowiących w owych czasach jedną trzecią jego mieszkańców. To zadanie wzięła na siebie utworzona wspólnie przez Gminę Łódź oraz Związek Łodzian w Izraelu – Fundacja Pamięci Żydów Łódzkich pod nazwą „Monumentum Iudaicum Lodzense Foundation”, która postawiła sobie za cel realizację zadań wynikających z jej nazwy.

Skromną cegiełką w tym dziele niechaj będzie także ten artykuł.

Aleksander Klugman

– łodzianin; dziennikarz i publicysta.

Mieszka w Izraelu

Przypisy:

1. Po emigracji do Palestyny w roku 1934 założyciel największej dziś gazety „Yediot Achronot”.
2. „Organizacja Syjonistyczna w Polsce” z siedzibą przy ul. Śródmiejskiej 29, „Syjoniści-rewizjoniści” z siedzibą przy ul. Piotrkowskiej 61, Marynarskiej 15 i Narutowicza 28, „Syjoniści-państwowcy” z siedzibą przy ul. Lipowej 43, „Folkiści” ul. Wólczańska 21, „Syjonistyczna Partia Pracy Hitachdut”, „Poalej Syjon Prawica” ul. Piotrkowska 15, „Poalej Syjon Lewica” ul. Brzezińska 7.
3. *Hachsza* – po hebrajsku przysposobienie, przygotowanie.
4. Archiwum Akt Nowych, zespół MSZ,teczka 2282, s. 131.
5. 15 maja 1948 roku.
6. Założone w roku 1880 w Rosji Towarzystwo Krzewienia Pracy wśród Żydów („Obszczestwo Rasprostaniennija Truda”), które do I wojny światowej działało – przez zakładanie szkół zawodowych – tylko w Rosji, a po tej wojnie także w wielu innych krajach, m.in. w Polsce. Od roku 1949 – działa także w Izraelu.

Patriotyczna filantropia

Żydowski sponsor

Bitwy pod Grunwaldem

Wejście Łodzi w XX wieku na drogę szybkiego rozwoju kapitalistycznego przyniosło miastu żywiołowe przemiany, w konsekwencji których stało się ono jednym z najważniejszych centrów przemysłowych na ziemiach polskich. Oznaczało to nie tylko rozwój demograficzny i przestrzenny miasta, ale również podniesienie jego statusu wśród miast regionu. Uznawane do tej pory za przemysłową „ziemię obiecaną” mogło pretendować do miana centrum życia społecznego z coraz to bogatszym zapleczem kulturalnym. Było to w dużej mierze zasługą kształtującej się burżuazji łódzkiej, która zaczęła odgrywać decydujące znaczenie w mieście poprzez przejęcie inicjatywy od niezdolnych do podejmowania samodzielnych decyzji władz. To właśnie dzięki staraniom grupy fabrykantów były możliwe inwestycje w zakresie rozbudowy infrastruktury miejskiej oraz poprawy życia jego mieszkańców. Łódź zaczęła wyrastać na centrum nowo tworzącej się aglomeracji, łącząc wokół siebie mniejsze miasta regionu nie tylko pod względem gospodarczym, ale również i społeczno-kulturalnym, choć plany przekształcenia go w miasto gubernialne jednak nie zostały zrealizowane.

Pomysłodawca Banku Handlowego

Ogromną rolę w tworzeniu się podstaw finansowych, szczególnie jeżeli chodzi o pozyskiwanie kapitału, miała w Łodzi grupa burżuazji warszawskiej, która przejawiała zainteresowanie kolejnymi inwestycjami w łódzki przemysł. Jednym z jej reprezentantów był Dawid Rosenblum, inicjator utworzenia w Łodzi pierwszej prywatnej instytucji kredytowej, która miała zaspokajać potrzeby dynamicznie rozwijającego się przemysłu łódzkiego. W 1871 roku Rosenblum, wywodzący się z warszawskich sfer kupiecko-bankierskich, przedstawił propozycję utworzenia instytucji, która zapewniłaby środki obrotowe łódzkiemu regionowi przemysłowemu. Pomysł utworzenia Banku Handlowego został szybko podchwycony przez wielkich fabrykantów łódzkich: Feliksa Halperta, Wilhelma Ginsberga, Ludwika Grohmana, Hermana Konstadta oraz Karola Scheiblera. Ten ostatni objął jako pierwszy fotel prezesa rady Banku Handlowego w 1872 roku. Z odgrywającą w Łodzi decydującą rolę rodziną Scheiblerów wiązały Dawida Rosenbluma zresztą bardzo bliskie stosunki. Objął on nawet, chociaż na bardzo krótko, fotel prezesa firmy po śmierci Karola Scheiblera, co świadczy o jego wysokiej pozycji oraz dużym zaufaniu rodziny¹.

Działalność Rosenbluma wykraczała jednak znacznie poza krąg zainteresowań finansowych. Było to zresztą charakterystyczne dla drugiego pokolenia burżuazji łódzkiej, która przejawiała o wiele większe ambicje niż swoi poprzedni-

cy, przede wszystkim ze względu na lepsze wykształcenie. Było to widoczne głównie w działalności filantropijnej oraz mecenacie w zakresie muzyki i sztuk plastycznych. Te dążenia i aspiracje kulturalne nowo wytworzonej grupy przemysłowej w Łodzi były jednak zróżnicowane w zależności od zamożności oraz horyzontów umysłowych jej poszczególnych przedstawicieli². Do końca lat 70. XIX wieku nie istniało zbyt duże zainteresowanie fabrykantów jeżeli chodzi o sztuki plastyczne. Najwięcej jednak uwagi poświęcały tej dziedzinie kultury kręgi burżuazji żydowskiej, co zresztą nie było dziwne, ponieważ większość z łódzkich artystów tego okresu wywodziła się właśnie ze środowisk żydowskich³. O ile w Łodzi miało to w tym okresie charakter zdecydowanie regionalny, to Rosenblum wykraczał znacznie przed łódzką elitę finansową. Wynikało to przede wszystkim z faktu, że był on związany z finansjerą Warszawy i miał zapewne o wiele bogatsze kontakty zawodowe i osobiste jako bankier.

Pieniądze dla Matejki

Poważną inwestycją, którą Rosenblum chciał urzeczywistnić, było sfinansowanie powstania nowego obrazu Jana Matejki pod tytułem *Bitwa pod Grunwaldem*. Jak można przeczytać w wielu opracowaniach, wielkie starcie z Zakonem Krzyżackim miało zaprzętać głowę artysty od jego najmłodszych lat i już w okresie szkolnym zaowocowało namalowaniem kilku akwarel przedstawiających Jagiełłę na polach grunwaldzkich⁴. Prace nad obrazem rozpoczęły jednak dopiero w połowie 1872 roku, kiedy to w liście do żony napisał: *...maluję spore szkice do „Grunwaldu” na inaugurację nowego mieszkania, albowiem chciałbym nie zalegać pola, a korzystać z obszaru nowej pracowni*. Były to jednak prace wstępne, bowiem materiał do pracy artysta otrzymał dopiero w 1875 roku. Było to grube, francuskie płótno, utkane bez szwu i naciągnięte na blejtram o wysokości 543 cm, a szerokości 1100 cm wraz z ramą. Dało to około 42 metrów kwadratowych



powierzchni malarskiej. Ze względu na małe mieszkanie Matejko nie mógł w nim realizować tego obrazu, dlatego otrzymał od rządu obszerniejsze atelier – początkowo w gmachu Instytutu Techniki przy Plantach, a następnie w nowo zbudowanym budynku Szkoły Sztuk Pięknych. Pierwotnie Matejko założył, że prace nad obrazem przeciągną się do 1880 roku. Dzieło zostało jednak ukończone znacznie wcześniej i po trzech latach artysta dokonywał ostatnich poprawek po podróży na pola grunwaldzkie i konfrontacji obrazu z rzeczywistością. Ostatecznie obraz został ukończony w 1878 roku i z początkiem tegoż roku artysta zdecydował się go sprzedać.

Dawid Rosenblum spotkał Matejkę zapewne podczas podróży artysty do Warszawy, którą odbył kilka miesięcy wcześniej i uczestniczył w obiedzie w resursie kupieckiej. Podróż ta była także pomyślana jako okazja do przedstawienia samego artysty wielkiej finansjerze Warszawy, która mogła stać się odbiorcą jego prac. W Warszawie musiała również nastąpić wstępna umowa pomiędzy artystą i bankierem, ponieważ Matejko podarował Rosenblumowi jeden ze szkiców do „Grunwaldu” jako prezent przy zakupie ostatecznego obrazu. Nie był to zresztą pierwszy kontakt Rosenbluma z Matejką. W 1875 r. kupił on od artysty, dla jednego z potentatów kolejowych Warszawy i Łodzi – J. Blocha⁵, jedno z jego poprzednich arcydzieł, obraz zatytułowany *Iwan Groźny*. Poza tym artysta doradzał bankierowi przy kilku zakupach dzieł sztuki, co może świadczyć, że liczył się z jego zdaniem.

Jak można przeczytać w pamiętnikach asystenta Matejki, Mariana Gorkowskiego⁶, sprzedaż obrazu nastąpiła „na pniu” 19 lutego 1878 roku. Sam Matejko chciał całą transakcję utrzymać w tajemnicy przed pierwszą prezentacją obrazu, bojąc się prawdopodobnie reakcji opinii publicznej. Obawy te nie były zresztą bezpodstawne, ponieważ już po zakupie zaczęły krążyć przykre plotki, że rzekomo Rosenblum kupił obraz nie dla siebie tylko z pobudek czysto spekulacyjnych, aby go sprzedać ze znacznym zyskiem. Artysta otrzymał za obraz 45 tysięcy guldenów czyli 40 tysięcy rubli w dwóch wekslach. Jednym o wartości 20 tysięcy płatnym trzy miesiące po podpisaniu umowy oraz drugim na kwotę 25 tysięcy, który miał zostać spłacony za rok⁷. Według zachowanych dokumentów dotyczących sprzedaży, Rosenblum zastrzegł w umowie kupna wyłączne prawo do reprodukcji, *począwszy od fotografii aż do sztychu*, autorowi, co oznaczało, że Matejko pozostawał *wyłącznym i jedynym posiadaczem reprodukcji obrazu „Bitwy Grunwaldzkiej”*⁸. Był to bardzo ważny zapis, w którym Matejko pozostawiał sobie lub swoim spadkobiercom pełne prawo do wizerunku i ani Rosenblum, ani następni właściciele obrazu, łącznie z władzami państwowymi, nie będą mieli do niego prawa. Artyście został zagwarantowany także pełny dostęp do obrazu, również w celach wykonania kopii handlowej.

Co ciekawe w umowie zapisano, że *Rosenblum obiecuje ograniczyć wystawę obrazu Grunwaldzkiej bitwy do czterech miast głównych tj. Wiednia – Warszawy – Petersburga i Paryża, a obietnicę tę wyjednać ma u każdego nabywcy domniemanego*⁹. Jest to o tyle dziwne, że oznaczało ograniczenie dostępu do obrazu widzów, a co za tym idzie, również i zysków z prezentacji. Matejko nalegał jedynie na pokazanie obrazu na

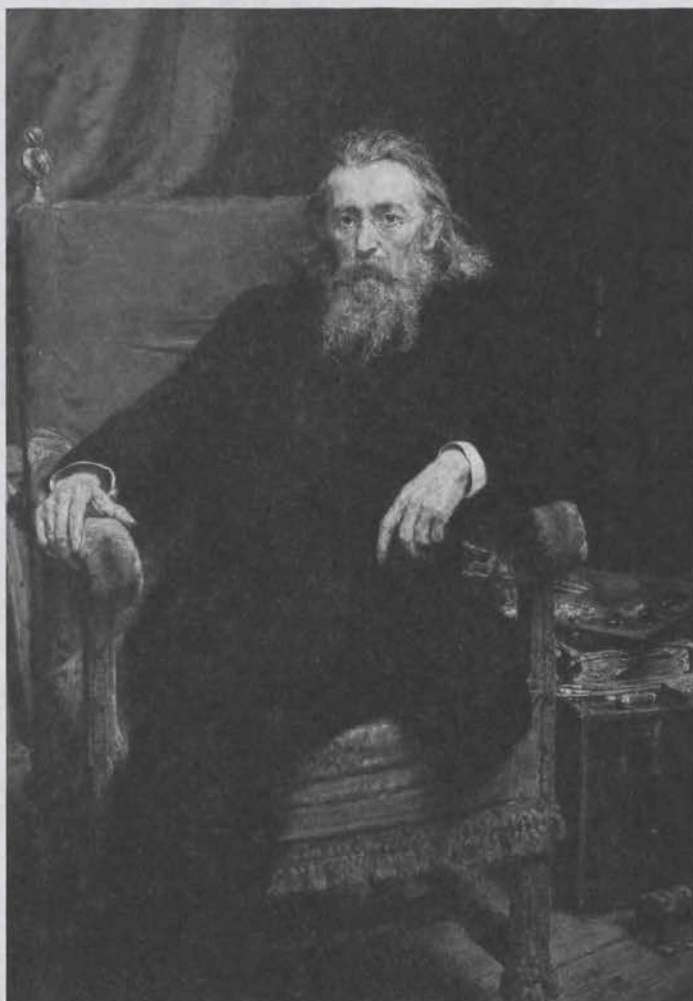
Salonie Wystawowym w Paryżu w 1879 roku, co Rosenblum miał uczynić na własny koszt. Jak można przypuszczać, artysta zdecydował się szukać nabywcy obrazu wskutek trudnej sytuacji finansowej. Jego majątek w Krzesławicach przynosił znaczne straty, a praca nad gigantycznym obrazem kosztowała artystę wiele nakładów finansowych. Sam artysta przyznawał zresztą, że musiał do tej pory reperować budżet domowy małymi zamówieniami, ograniczającymi czas, który powinien poświęcić większym dziełom. Sprzedaż *Bitwy pod Grunwaldem* miała mu zapewnić spokojną pracę nad następnymi projektami. Matejko był z transakcji bardzo zadowolony i, pomimo że tracił bardzo dużą część zysków związanych z dysponowaniem prawami do dzieła, to jednak uważał, że jest to doskonała forma promocji. Miał też nadzieję, że Rosenblum kupi od niego kolejne obrazy.

Okazało się jednak, że już w sierpniu bankier pojawił się ponownie w Krakowie i oznajmił Matejce, że obraz nie będzie mógł być pokazany w Paryżu w tym roku, więc postanowił wystawić go w Warszawie, Moskwie, Petersburgu i w Londynie. Do Francji miał pojechać dopiero za rok. Artysta nie krył rozczarowania, ponieważ na prezentacji paryskiej zależało mu najbardziej. Gorzkowski zapisał również, że Rosenblum oświadczył mu, że zamierza z *samej wystawy wziąć tyle, ile zapłacił za cały obraz*¹⁰. Jest to bardzo prawdopodobne, ponieważ obraz cieszył się ogromną popularnością już w trakcie powstawania i można było się spodziewać, że sprowadzi do sal wystawowych tłumy widzów.

Pierwsza prezentacja „Grunwaldu” odbyła się 28 września 1878 roku w salach magistratu Krakowa, do których przeniesiono obraz z pracowni artysty. Reakcja na jego wystawienie była ogromna¹¹. W relacjach spotkać można zdanie: *Tłum na obrazie. Tłum przed obrazem*, które chyba najlepiej oddaje atmosferę towarzyszącą jego prezentacji. Matejko został następnego dnia uhonorowany przez władze Krakowa berłem, czyli jak to ładnie nazwano: *symbolem panowania w sztuce*.

Niesprawiedliwe ataki

Po pierwszej prezentacji obrazu odezwały się jednak głosy krytyki odnoszące się do Dawida Rosenbluma. Było to związane z listą miast, w których miało być pokazane dzieło Matejki. Oczywiście każde większe miasto na ziemiach polskich było chętne do wystawienia *Bitwy pod Grunwaldem*, jednak sam właściciel obrazu był zainteresowany jego prezentacją przede wszystkim za granicą. Dawid Rosenblum zobligowany jednocześnie umową z Matejką, najprawdopodobniej nie mógł wystawić obrazu w tak wielu miastach, w ilu chciał. Zachował się list do Rosenbluma, w którym Matejko pisał: *Usilnie proszę zaniechać zamiaru ponownego wystawienia nadmienionego obrazu „Grunwaldu” w Krakowie; przypominam ustęp Kontraktowy*¹². Przesadzone były zatem ataki prasy na Rosenbluma nazywające go wręcz „spekulantem” i oskarżające o bronienie dostępu do obrazu Matejki¹³. Ukazały się nawet fałszywe plotki, według których Rosenblum wolałby wywieźć obraz do Ameryki niż pokazać go na ziemiach polskich. Było to oczywiście nieprawdą. Prowadzone były zresztą rozmowy przez pełnomocnika bankiera, aby pokazać obraz we Lwowie.



Choć więc Rosenblum kupił ten obraz dla zysku, to przecież nie można również pomniejszać jego zaangażowania w działalność filantropijną znacznie ułatwiającą Janowi Matejce realizację jego planów artystycznych.

Jednak nie wszędzie obraz Matejki zrobił tak oszałamiające wrażenie. Pod koniec listopada 1878 roku został on zaprezentowany w Wiedniu, gdzie spotkał się z ostrą krytyką jednego z dzienników. Spowodowało to nie tylko niezadowolenie artysty, ale – co gorsza – złe notowania dla Dawida Rosenbluma oczekującego na dobre recenzje przekładające się na podniesienie zysku.

Ostatecznie bankierowi udało się spełnić prośbę Matejki w 1880 roku, kiedy to „Grunwald” dotarł do Paryża. Jego prezentacja została natychmiast okrzyknięta wielkim wydarzeniem, a gazety napisały, że trzeba go nazywać nie obrazem, ale całym

muzeum. W „Le Golois” ukazała się recenzja niemal entuzjastyczna, wedle której, *jeśli który malarz zasłużył na miano narodowego, to jest nim właśnie twórca „Grunwaldu”*.

Niestety, sukces ten nie wiązał się z dodatkowymi pieniędzmi dla samego artysty. Większość praw do obrazu miał Dawid Rosenblum i to on zarabiał na publicznych prezentacjach. Dbał on zresztą o dzieło Matejki z wielkim pietyzmem, zamawiając specjalny blejtram i walec do przewożenia dzieła. Podobno rzemieślnicy wykonujący te urządzenia, usłyszawszy, że są one dla mistrza Matejki, wykonali je z takim oddaniem, że był idealnie dopasowany do obrazu. Samemu artyście pieniądze, które otrzymał od Rosenbluma, skończyły się jednak bardzo szybko, bowiem już w 1880 roku większość honorarium została wykorzystana na spłacenie długów powstałych z prowadzenia majątku artysty w Krzesławicach. Resztę pochłonęły wydatki domowe oraz zakup materiałów do kolejnych dzieł, m.in. następnego wielkiego obrazu, jakim był *Hołd pruski* ukończony w 1882 roku.

Obraz ten wystawiono w Sukiennicach i, jak każde poprzednie dzieło malarza, okrzyknięty został wielkim wydarzeniem. Na prezentację *Hołdu pruskiego* do Krakowa przyjechał również Dawid Rosenblum. Był on nawet gotowy zakupić również i ten obraz i zgłosił Matejce taką propozycję. Jednak tym razem artysta uprzedził jego zamiary i postanowił darować nowe dzieło narodowi z zaleceniem, aby zostało umieszczone na Wawelu po jego restauracji.

Bankier przeżył więc rozczarowanie, a jego stosunki z artystą zaczęły się powoli psuć. Właściwie nie można powiedzieć, czy łączyła ich jakokolwiek przyjacielska więź poza czystymi interesami, jednak to Rosenblum bardzo często wypowiadał się ciepło o Matejce, a podczas swoich pobytów w Krakowie wyrażał troskę o jego zdrowie. Ostatecznie znajomość bankiera i artysty zakończyła się bardzo negatywnie łącznie z obrzucaniem się inwektywami na łamach prasy. Spowodowane to zostało ostrymi komentarzami Matejki wygłoszonymi w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w 1882 roku¹⁴ pod adresem swego sponsora.

Sam obraz natomiast po powrocie z Paryża ostatecznie trafił na stałe do warszawskiej galerii Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Dzieło to przekazał do galerii za symboliczną kwotę sam Dawid Rosenblum. Znajdował się tam aż do września 1939 roku. Bardzo ciekawe są również dalsze losy obrazu, który zawieruchę II wojny światowej przetrwał w okolicach Lublina. „Grunwald” został wywieziony z Warszawy już we wrześniu 1939 roku przez dyrektora administracyjnego „Zachęty” – Stanisława Radeckiego-Mikulicza. Towarzyszył mu wiceprezes „Zachęty” – artysta malarz Stanisław Ejsmond oraz Bolesław Surała. Dwaj ostatni przy płacili tę podróż życiem, ponieważ zginęli na ulicach Lublina. Ostatecznie obraz został zakopany w 1941 roku pod nadzorem naczelnika wydziału, w lubelskim magistracie¹⁵. Nie wyjawił on tajemnicy miejsca ukrycia dzieła Matejki nawet wtedy, gdy jego syn został aresztowany i wywieziony do Auschwitz. Dopiero w październiku 1944 roku płótno zostało przejęte przez kierownika resortu kultury i sztuki przy Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego, przywracając

je narodowi. Obecnie obraz *Bitwa pod Grunwaldem* znajduje się w jednej z sal Muzeum Narodowego w Warszawie.

Postać Dawida Rosenbluma bardzo silnie związana z Łodzią, przede wszystkim ze względu na jego kontakty finansowe z łódzkimi przemysłowcami, jest dobrym przykładem rodzenia się autentycznych powiązań nowoczesnej burżuazji przemysłowej z elitą artystyczną. I choć związki te podyktowane były w większości chęcią dobrego ulokowania pieniędzy i czerpania zysku, to jednak nie wyklucza to zamiaru tworzenia kolekcji i rozwoju zbiorów dzieł sztuki. Można przypuszczać, że wzorce dotyczące zachowań filantropijnych i inwestowania w przedsięwzięcia o charakterze kulturalnym przybywały do Łodzi właśnie za pośrednictwem takich osób jak Dawid Rosenblum, będący pośrednikiem i reprezentantem interesów warszawskiego centrum finansowego w naszym mieście. Jego osoba, tak niejednoznaczna w historii zakupu obrazu Jana Matejki, jest jednak bardzo interesującym przykładem bankiera i finansisty poruszającego się doskonale nie tylko w świecie wielkich inwestycji, ale również tworzącego się rynku sztuki.

Piotr Kulesza

– historyk, pracownik Muzeum Kinematografii w Łodzi

Reprodukcje z archiwum autora

Przypisy:

1. W. Puś, S. Pytlas, *Dzieje Łódzkich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju „Uniontex”* (d. Zjednoczonych zakładów K. Scheiblera i L. Grohmana) w latach 1827–1977, Łódź 1979.
2. S. Pytlas, *Łódzka burżuazja przemysłowa w latach 1864–1914*, Łódź 1994.
3. J. Strzałkowski, *Artyści, obrazy i zbieracze w Łodzi do 1918 r.*, Łódź 1991.
4. M. Gorzkowski, *Grunwald. Wskazówki do obrazu Jana Matejki*, Kraków 1879.
5. Jan Gottlieb Bloch (1836–1902), finansista i przemysłowiec. Jeden z twórców budownictwa kolejowego Królestwa Polskiego. Autor publikacji na temat przemysłu i kolejnictwa m.in. opublikowanej w 1880 r. pracy *Historia dróg żelaznych w Królestwie Polskim*. Symbol uformowanej nowej burżuazji polskiej. Znany również ze swej pracy filantropijnej.
6. Marian Gorzkowski (ur. 1830 w Białocerkwi, zm. 7 marca 1911 w Krakowie), pisarz, autor dzieł naukowych, dramatów i powieści, kolekcjoner, sekretarz Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, powiernik Jana Matejki.
7. M. Gorzkowski, *Jan Matejko, Epoka od r. 1861 do końca życia artysty z dziennika prowadzonego w ciągu lat siedemnastu*, Kraków 1993, s. 135.
8. Materiały w zbiorach Domu Jana Matejki, Oddziału Muzeum Narodowego w Krakowie.
9. Ibidem.
10. M. Gorzkowski, *Epoka od r. 1861 do końca życia artysty...*, s. 171.
11. „Kronika Rodzinna” 1878, T.6, nr 20.
12. Materiały w zbiorach Domu Jana Matejki, Oddziału Muzeum Narodowego w Krakowie.
13. „Gazeta Torunska” nr 165, 19 VII 1979.
14. *Między innymi na łamach gazety „Rola”*, [za:] M. Gorzkowski, *Jan Matejko, Epoka od r. 1861 do końca życia artysty z dziennika prowadzonego w ciągu lat siedemnastu*, Kraków 1993, s. 246.
15. Informację pochodzą z artykułu na stronie: www.album-grunwaldzki.iq.pl

Widzewska dynastia

Wzlot i upadek rodziny Konów

historia

Narodziny dynastii

„Polski Manchester” był świadkiem narodzin i upadków wielu fabrykanckich fortun. Niemal wszystkim spośród łódzkich „królów bawełny” i „wełnianych baronów” w trakcie ich kariery „udało się” ściągnąć na siebie oskarżenia o chciwość i nieuczciwość w interesach ze strony konkurencji oraz o wyzysk i skąpstwo ze strony pracowników. Jednak można zaryzykować twierdzenie, że chyba żaden spośród wyrachowanych łodzermenschów, których nieustanną pogoń za zyskiem i bezwzględność wobec bliźnich tak sugestywnie sportretował Władysław Reymont na kartach *Ziemi obiecanej*, nie doczekał się równie mrocznego wizerunku we wspomnieniach współczesnych, jak „Panowie Widzewa” – Konowie.

Czy rzeczywiście „czarna legenda” tego fabrykanckiego rodu wynikała – jak chcą niektórzy łódzcy historycy – z wyjątkowej nawet jak na łódzkie warunki bezwzględności Konów w interesach? A może przeczerniony portret tych żydowskich „królów fabrycznego Widzewa” wynikał z faktu, iż czasy ich świetności przypadły na kryzysowe dla Łodzi lata Polski międzywojennej, kiedy to wielka kariera żydowskich przedsiębiorców ściągała na ich głowy niechęć? I to zarówno ze strony robotników i socjalistów, widzących w nich wyzyskiwaczy, jak i antysemitcko nastawionych narodowców, a także administracji państwowej, tropiącej faktyczne i rzekome nadużycia finansowe wielkich przemysłowców.

Za założyciela fabrykanckiego rodu uchodzi urodzony w 1870 roku w Łodzi Oskar Kon. Jego ojciec Lewi, pochodzący z Konstancy, otoczony był wielkim szacunkiem żydowskich sąsiadów. Nie tylko dlatego, że był potomkiem wielu pokoleń rabinów, ale także dla osobistych przymiotów charakteru – inteligencji, wielkiej wiedzy, uczciwości i pobożności. Początkowo Lewi marzył o stanowisku metameda, czyli nauczyciela w chederze (religijnej szkole żydowskiej), i kontynuowaniu w ten sposób tradycji przodków¹. Jednak bieda zmusiła go do przyuczenia się do zawodu tkacza. W poszukiwaniu pracy wyruszył do niedalekiej Łodzi. Tu poznał Lajzera Bergera, prowadzącego skład przędzy i dzierżawiącego młyn przy ulicy Piotrkowskiej. Ten dał mu nie tylko warsztat tkacki i przędzę do przerobu, ale także... swą córkę za żonę i niewielki domek. W krótkim czasie Kon dorobił się niewielkiego majątku i siedmiorga dzieci – najmłodszym z nich był Oskar. Także po raz drugi fortuna postawiła na jego drodze człowieka, któremu miał zawdzięczać przyszły sukces w interesach. Był nim nowy sąsiad – Juliusz Heinzel, który nabył rozległe parcele przylegające do domku Konów.

Pozornie obu sąsiadów dzieliło wszystko – religia, narodowość, pozycja społeczna i majątek. Heinzel był przecież niemieckim katolikiem, jednym z najbogatszych łodzermenschów, do tego z ambicjami wejścia do elitarnego środowiska arystokracji (które zresztą urzeczywistnił, kupując wraz z zamkiem w Niemczech tytuł barona von Hohenfels). Tak różnice dzielące sąsiadów opisywał Bolesław Lesman w świetnej książce *Recepta na miliony (z dziejów rodu Konów)*: *Ich poglądy na świat, charaktery, postawy życiowe – były krańcowo różne. Heinzel należał do praktykujących [...] katolików, lecz w Boga nie wierzył. Kon czytany w Piśmie Świętym, Talmudzie i komentarzach erudyta [...] chętnie i łatwo rozumował kategoriami abstrakcji, ale był przy tym naiwny życiowo jak nieodrosłe od ziemi dziecko [...]. Najdrobniejszy nawet problem rozstrzygał on w kategoriach praw odwiecznych i ogólnoludzkich, znanych jak świat światem. Heinzel, który znał się tylko na tkactwie i przędzy, a wartość rzeczy oceniał wyłącznie dotykem, był za to spryciarzem nie lada*². Jednak ówczesni wspominali, że sąsiadów – może zgodnie z przysłowiem o przyciąganiu się przeciwności, a może dlatego, że obaj posiadali mimo wszystko podobne przymioty charakteru: pracowitość, zapobiegliwość i żyłkę do interesów – połączyła szczególna przyjaźń. Jej efektem miało być powierzenie Lewiemu przez Heinzla koncesji z prawem wyłączności na prowadzenie komisowej sprzedaży wybrakowanych towarów i resztek z jego fabryki. Ich niskie ceny zapewniały szybki i łatwy zbył, który pozwolił Lewiemu dorobić się w krótkim czasie sporego majątku.

Tymczasem życie na własny rachunek rozpoczął Oskar Kon, który w wieku 16 lat ożenił się z córką zamożnego właściciela komisowego składu towarów w Tomaszowie. Tam też zamieszkał wraz z młodą żoną. W tym czasie z zapałem uczył się języków: polskiego, rosyjskiego, francuskiego i niemieckiego. Wcześniej odebrał gruntowne, religijne wykształcenie w chederze, u prywatnych melamedów i w Domu Modlitwy. Pasjonowały go również nowoczesna technika i wynalazki. Z czasem jednak i on miał poddać się urokowi, jaki roztaczała „ziemia obiecana”. Kiedy po roku małżeństwa urodził mu się syn, wraz z teściem wybrał się do Łodzi, która uwiodła go mirażem zdobycia wielkich bogactw. Jednakże pierwsza próba zdobycia przez młodego Kona fortuny zakończyła się bolesną porażką. Prowadzona przez niego tkalnia najpierw podpadła finansowo – gdy z interesu wycofał się jego wspólnik Feliks Nelken – a następnie w 1897 roku zbankrutowała, pomimo iż Oskar nie szczędził wysiłków, pieniędzy i czasu, aby podtrzymać chwiejną pozycję swej „pierworodnej” firmy.

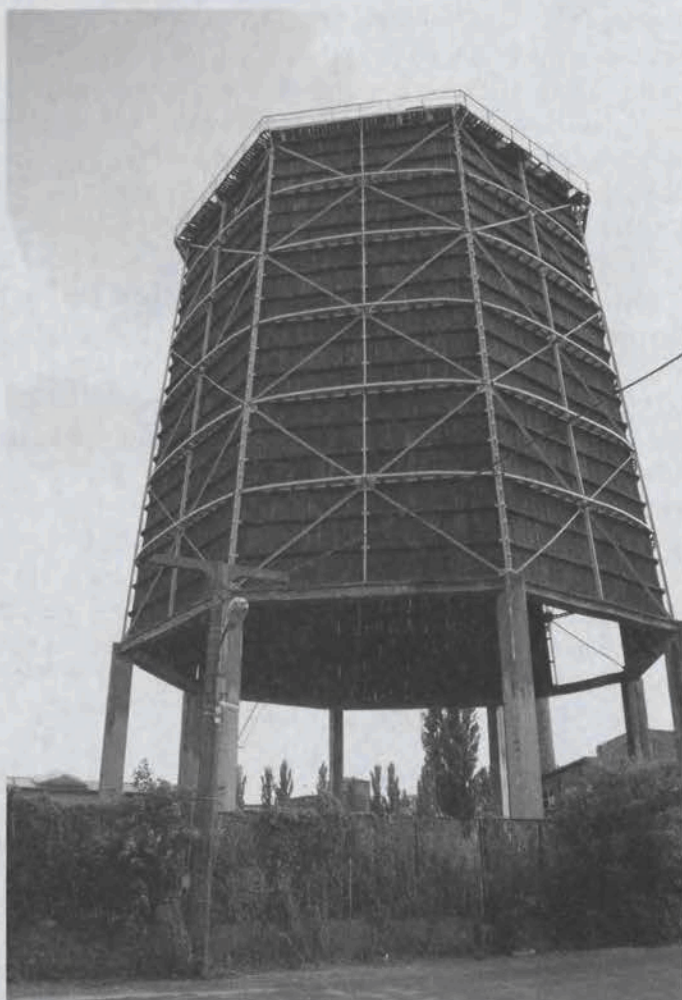
Po trupach do celu

Ponoć to właśnie wtedy – zrażony fiaskiem interesu, który zgodnie z naukami ojca starał się prowadzić rzetelnie i uczciwie – Oskar postanowił, że odtąd będzie mu przyświecała dewiza: „cel uświęca środki”. Swoją nową filozofię prowadzenia biznesu zaczął urzeczywistniać natychmiast i przyznać trzeba niezwykle skutecznie. Najpierw, na otarcie łez, jeszcze w tym samym roku, w którym jego pierwszy rozkręcony interes zakończył się

spektakularną klapą, został mianowany przez Juliusza Kunitzera generalnym odbiorcą resztek i braków z widzewskiej fabryki (po śmierci Juliusza Heinzla, który wcześniej zawarł spółkę z Kunitzerem, jego syn wycofał się z zarządu firmy, pozostawiając ją wspólnikowi ojca). Odbyło się to w okolicznościach co najmniej niejasnych i chyba nieprzynoszących Oskarowi nadmiernej chluby. Otóż, swoje nowe stanowisko miał on zawdzięczać... zadenuncjowaniu własnego ojca. Ponoć doniósł Kunitzerowi, że Lewi działa na szkodę przedsiębiorstwa, wywołując, a następnie sprzedając w swym komisie nie tylko resztki i braki z fabryki, ale również przemycone wśród nich pełnowartościowe towary. Czy było tak naprawdę – nie wiadomo. Jednak dewizę „po trupach do celu” ambitny przedsiębiorca miał później stosować bardzo często i to z dużym powodzeniem.

Kolejną okazją dla wprowadzenia jej w życie była misterna gra, jaką przeprowadził wspólnie z nowym współwłaścicielem fabryki – Giuseppe Fanfanim po tragicznej śmierci Kunitzera (bezwzględny dla swych pracowników przedsiębiorca został 30 września 1905 roku zastrzelony przez socjalistyczną bojówkę), aby pozbawić prawa do udziałów w firmie jego spadkobierców. Oskar zajmował już wówczas prestiżowe stanowisko samodzielnego pracownika działu sprzedaży w widzewskim przedsiębiorstwie, ale jego intrygi spowodowały, że krewny Kunitzera – Maksymilian Wünsche wydał ponoć zakaz wpuszczania go na teren fabryki. Okazja do zemsty nadeszła wkrótce. Kiedy firma nie dysponowała odpowiednimi środkami finansowymi, Kon, Fanfani i współdziałający z nimi finansista – Maksymilian Goldfeder, posiadający





wpływy w bankach współpracujących z nią, mieli doprowadzić do wystąpienia wierzycieli z jednoczesnymi żądaniem spłaty kredytów. To działanie doprowadziło do przejścia przez trójkę spiskowców kontroli nad widzewskimi zakładami. Ostatecznie Fanfani został nowym prezesem, a spadkobiercy Kunitzera utrzymali w swoich rękach zaledwie 10% akcji przedsiębiorstwa.

W okresie I wojny światowej ofiarami ambitnego lodzermenscha padała przede wszystkim konkurencja – dzięki łapówkom, przekazywanym niemieckim urzędnikom i kontaktom nawiązanym dzięki temu procederowi z wpływowymi przedstawicielami niemieckich cywilnych i wojskowych władz okupacyjnych, Kon zdobywał regularnie dochodowe zamówienia wojskowe, bezwzględnie eliminując z rynku konkurentów.

Następnym celem Oskara stało się przejęcie pełnej władzy nad wiedzuską fabryką. Aby to osiągnąć, musiał wyeliminować z gry Fanfaniego i Goldfedera. Ten drugi okazał się łatwiejszym celem. Angażując przed rewolucją 1917 roku wielkie pieniądze w Rosji, a po puczu bolszewików do końca wierzący w ostateczne zwycięstwo „białych”, nie zdecydował się na ratowanie choćby części zainwestowanego w państwie carów majątku, a mógł to uczynić, pozbywając się go choćby za część jego nominalnej wartości. Wybrał jednak iluzoryczną własność zaangażowanych – jak się w istocie okazało po prostu utopionych – w Rosji sum i brnął dalej w „rosyjskie interesy”, wierząc, że zakończą się wielkim sukcesem. Zdobywał też nowe środki przez zapożyczanie się pod zastaw akcji różnych banków i przedsiębiorstw oraz wykupywanie od Kona walorów rublowych. Kiedy w 1919 roku na giełdach przestano je notować,

historia



a obalenie bolszewików okazało się mirażem, „rosyjska operacja” Goldfedera zakończyła się finansową katastrofą. I tak Kon stał się właścicielem zastawionych akcji – w tym również widzewskich zakładów.

Stopniowo też eliminował wpływy drugiego współnika w firmie, co było tym łatwiejsze, że jeszcze przed I wojną światową i w okresie jej trwania Fanfani przebywał głównie za granicą. Więc w rękach Kona znalazło się faktyczne kierownictwo przedsiębiorstwa. W ten sposób dzięki determinacji, zmysłowi do spekulacji i... brakowi skrupułów, Oskar Kon powitał odzyskanie przez Polskę niepodległości jako „pan fabrycznego Widzewa” i fabrykant liczący się nie tylko w dawnym „polskim Manchesterze”, ale i w skali całego kraju.

W międzywojennej Łodzi Oskar Kon cieszył się złą sławą za sprawą polityki prowadzonej wobec swych pracowników. Bezwzględnie rozprawiał się ze strajkami załogi, wysuwanymi przez nią żądaniami socjalnymi i płacowymi. Odpowiedzią na nie były zwolnienia z pracy, zatrudnianie łamistrajków i konsekwentne trwanie przy podjętych decyzjach. Fabrykant lubił przy tym porównywać taką postawę do taktyki stosowanej przez „twórcę przemysłowego Widzewa”, swego wielkiego poprzednika w widzewskim przedsiębiorstwie – Kunitzera. Ta „twarda” metoda nie zjednywała mu popularności w mieście. Złorzeczyli mu nie tylko robotnicy. Również w łódzkiej prasie – i to nie tylko tej o socjalistycznej proweniencji – ukazywało się wiele artykułów, w których przedstawiano go jako nieludzkiego wyżywiacza, despotę, osobę odpowiedzialną za narastanie w mieście konfliktów i napięć społecznych.

W powtarzonym przez różne gazety określeniu „widzewski królik” kryła się wszakże cała prawda o rzeczywistej pozycji Kona – fabrykanta-dorobkiewicza, którym powszechnie pogardzano, ale zarazem jednego z najpotężniejszych polskich przemysłowców, którym pozostał pomimo wszelkich przeciwności, jak choćby wielki pożar widzewskich zakładów w 1922 roku, czy zamieszki, jakie wybuchły w nich 2 lata później³.



Ojciec kontra syn

Oskar doczekał się licznego potomstwa: żona urodziła mu ośmioro dzieci. W 1894 roku jako czwarty w kolejności (po zmarłym wkrótce po urodzeniu Moszku i dwóch córkach) przyszedł na świat syn, Henryk.

Bardzo inteligentny, solidnie wykształcony, a przede wszystkim przejawiający po dziadku i ojcu przysłowiową żytkę do interesów, miał on zgodnie z planami Oskara przejąć w przyszłości rodzinny interes. Jednak początki jego fabrykanckiej kariery okazały się wyjątkowo trudne, choć zapobiegliwy ojciec już w 1919 roku wprowadził go do zarządu przedsiębiorstwa. Niemał równocześnie z nową prestiżową funkcją Henryk otrzymał bowiem... powołanie do wojska, jako że trwała właśnie wojna polsko-sowiecka. Nie zgłosił się jednak do macierzystej jednostki i uciekał za granicę. Jako dezerterski nie mógł po wojnie powrócić do Polski.

W kraju pojawił się dopiero w 1924 roku, mając zapewnienie władz, że nie zostanie aresztowany. Stało się to dzięki wstawiennictwu Oskara, który wyjednał synowi amnestię, argumentując, iż młody i energiczny Henryk łatwiej niż on upora się z problemami przedsiębiorstwa. Były one dotkliwe, bowiem na skutek gwałtownego sporu płacowego pomiędzy załogą a właścicielami fabryka została zamknięta, potęgując i tak wielkie łódzkie bezrobocie. Gwoli prawdy historycznej warto zresztą wspomnieć, iż część opinii publicznej widziała w trudnościach, jakie przeżywały widzewskie zakłady, fragment iście diabelskiej intrygi Oskara Kona. Dowodzone, że wywołał je specjalnie po to, aby dysponować wobec władz argumentem, mającym skłonić je do wyrażenia zgody na powrót do kraju rzutkiego, pełnego energii Henryka. Tak interpretował te wydarzenia socjalistyczny „Łodzianin”: *Konowie [...] kosztem głodu kilkutyśięcznych rzesz robotniczych, spowodowanego kilkumiesięcznym lokautem, potrafili otworzyć drogę do Polski panu Henrykowi, który w pamiętnych dniach roku 1920, kiedy krwawił chłop i robotnik, wołał zamiast pod Warszawę pojechać do Gdańska⁴.*

Przyznać trzeba, że po powrocie do kraju Henryk Kon, jako wiceprezes widzewskich zakładów, w zdecydowany sposób zabrał się do porządkowania interesów firmy, pomnożenia jej kapitału i zmniejszenia ciężących na niej zaległości podatkowych. Wymagający dla robotników, śrubujący plany produkcji, a z drugiej strony niechętny wszelkim podwyżkom i przyznawaniu robotnikom jakichkolwiek ulg, wprowadził również niezwykle surowy regulamin pracy dla fabrycznej administracji i pracowników biurowych. Mogli oni porozumiewać się tylko w języku niemieckim, w pracy nie wolno im było palić papierosów, ani też prowadzić prywatnych rozmów. Nawet podczas przerwy śniadaniowej nie można było czytać gazet. Musiała też panować absolutna cisza. Te drakońskie zasady Oskar zaakceptował i w pełni popierał kolejne surowe zarządzenia Henryka – tym bardziej, iż wprowadzane przez niego gospodarcze i administracyjne regulacje zaczęły przynosić pożądane wyniki, a zakład odzyskiwał swą pozycję na rynku produkcji włókienniczej.

Rodzina sielanka nie trwała jednak długo. Już po dwóch latach Henryk ponownie opuścił kraj, tym razem skłócony z ojcem. Przyczyniły się do tego ponoć intrygi jego młodszego brata – Maksa, który zazdrościł Henrykowi wiodącej pozycji w przedsiębiorstwie, a także ojcowskich faworów. Oskar bowiem nie krył się w tym czasie z podziwem dla sukcesów „następcy tronu” i traktował go zdecydowanie najlepiej z całego rodzeństwa. Jednak na decyzję Henryka o zerwaniu stosunków łączących go z ojcem największy wpływ miał zdecydowany sprzeciw Kona-seniora wobec planów matrymonialnych syna. Ten bowiem chciał – i uczynił to pomimo braku ojcowskiego błogosławieństwa – ożenić się z córką bogatego eksportera bawełny z Egiptu – Odettą Cisureli.

Małżeństwo Henryka i wyjazd młodej pary z kraju zapoczątkowały zażarty spór prawny i finansowy, w którym obie strony oskarżały się wzajemnie o oszukańcze machinacje i domagały się wysokich odszkodowań. Procesom sądowym i kolejnym sporom nie było końca. Ta „wojna domowa” w rodzinie Konów zakończyła się porozumieniem dopiero po wielu latach, ale stosunki rodzinne pomiędzy ojcem i synem nigdy nie zostały w pełni naprawione.

„Grzeszny” Maks

Kolejny syn Oskara – Maks, urodził się w roku 1896. Choć nie przejawiał finansowych i kupieckich talentów, które cechowały jego starszego brata, szybko okazało się, że bił go na głowę umiejętnością wywoływania gorszących skandali. Tutaj opinie współczesnych były jednoznaczne – dezercja Henryka oraz jego spór z ojcem o żonę i pieniądze (podobny toczył zresztą i Maks, zarzucając Oskarowi, że chce go wydziedziczyć) były doprawdy niczym wobec wybryków jego młodszego brata.

W rubrykach towarzyskich łódzkiej prasy rozpisywano się o licznych sercowych przygodach Maksa Kona z mężatkami i pannami z towarzystwa, „girlsami” z kabaretów, a także damami... nie najcięższych obyczajów oraz o „pirackich”, szaleńczych rajdach samochodem ulicą Rokicińską. W 1931 roku to upodobanie do szybkiej jazdy omal nie skończyło się tragicznie, gdy Maks zderzył się z taksówką. Dziennikarze sportowi opisywali skandale związane z przekupywaniem przez niego (był kierownikiem Łódzkiego Klubu Sportowego „Wima”) zawodników z innych drużyn kolarskich, aby ci ułatwiali łodzianom odnoszenie zwycięstw. Doniesienia te zakończyły się zresztą ostatecznie skreśleniem „Wimy” z listy Okręgowego Związku Kolarskiego.

Informacja o największym „wyczynie” Maksa mogłaby z kolei z powodzeniem stać się ozdobą rubryk kryminalnych – w 1929 roku zagroził rewolwerem urzędnikowi skarbowemu, który zgłosił się po kolejną ratę podatku z firmy Konów. Rozbrojony został dopiero wspólnymi siłami przez poborcę i wezwanego policjanta. Wyśmiewano również powszechne podkreślanie przez Maksa posiadanego tytułu honorowego konsula Szwecji, nadużywanie przez niego perfum, a nawet... noszenie butów na podwyższonej podeszwie, które miały maskować jego niski wzrost.



A do tego dochodziły jeszcze standardowe wobec fabrykantów zarzuty o wysokich pracownikach.

Jak już wcześniej wspomniano, Maks, podobnie jak jego brat, procesował się z ojcem. Zarzucał Oskarowi, że próbuje go rugować z przedsiębiorstwa i pozbawiać należnych mu pieniędzy, że dąży do doprowadzenia firmy do bankructwa i wywiezienia całego majątku zagranicę. O gorszącym widowisku, jakim były ciągnące się sądowe sprawy Kon versus Kon, rozpisywała się łódzka prasa. Tak swoje relacje z ojcem opisywał podczas jednego z procesów sam Maks: *Praca moja w Widzewie, jakkolwiek piastuję wysokie stanowisko wiceprezesa Rady Nadzorczej, stała się wskutek postępowania pana Oskara Kona kompletnie uniemożliwioną. Wszelkimi dozwoleńnymi i niedozwolonymi środkami pan Oskar Kon zmierza do usunięcia mnie z pracy*

w Widzewie. Wszystkie poczynania pana Oskara Kona mają na celu nie dobro przedsiębiorstwa, lecz jedynie walkę ze mną i utrudnianie, a raczej uniemożliwianie mi zajęcia się sprawami Widzewskiej Manufaktury, jak to nakazuje piastowany przez mnie mandat. Pan Oskar Kon nie przebiera w środkach – oczernia mnie przed urzędnikami firmy, imputując mi brak zdolności, lenistwo, działanie na szkodę firmy [...]. A dzieje się tak nie tylko wobec ludzi z Widzewa. Pan Oskar Kon oczernia mnie także na mieście, rozpowszechniając o mnie, jak to miało miejsce wobec Geyerów, najrozmaitsze kalumnie o moim szkodnictwie, niezdolności itd. [...]. Poza tym pan Kon rozpowiada wszem i wobec, że mnie wyrzuci z Widzewa, zwołuje [...] bezprawnie nadzwyczajne walne zebranie, celem usunięcia członków Rady Nadzorczej, a w tej liczbie i mnie. Dalej Maks zeznawał: Ponadto rządy jednoosobowe w spółce tak się rozwieliły, że pan Oskar Kon nie uważa za stosowne naradzać się ze mną, względnie nawet powiadamiać mnie [...] o najrozmaitszych jego posunięciach [...]. Niszczenie przedsiębiorstwa przez pana Oskara Kona przybrało charakter zastraszający, ciągle rozsiewane wiadomości, że Widzew będzie oddany, że cała rodzina będzie usunięta [...]. Oczywiście siłą i gwałtem siedzieć i pracować nie można, a ponieważ wszystko to się stało z winy pana Oskara Kona [...] winien ponieść wszystkie konsekwencje finansowe, by mnie sprawiedliwie spłacić⁵.

Trzeba dodać, iż wyroki – najpierw Sądu polubownego, następnie Sądu Okręgowego i wreszcie Apelacyjnego – były niekorzystne dla Oskara. Sędziowie podtrzymali zasadność roszczeń Maksa i przyznali mu wysokie odszkodowanie.

Wobec takiego natłoku skandali nic dziwnego, iż prasa bulwarowa, a w ślad za nią i opinia publiczna nie poświęcała wiele uwagi innemu, „normalnemu” obliczu Maksa Kona. A miał przecież także liczne zasługi. Należał do władz łódzkich banków, działał społecznie w łódzkim Czerwonym Krzyżu, patronował szkole Talmud Tora, przekazywał wysokie datki na cele charytatywne.



Strzelanina na Targowej

W 1902 roku urodził się najmłodszy syn Oskara Kona – Albert. Stał się on z czasem prawdziwym „oczkiem w głowie” ojca, który – skonfliktowany ze starszymi braćmi Alberta – przełał na niego całą rodzicielską miłość. Faworyzował go i darzył wielkim zaufaniem, czego wyrazem było powierzenie mu kierownictwa wielkiej, nowoczesnej przędzalni – prawdziwego serca widzewskiego przedsiębiorstwa Konów. Przy tej nominacji stary Oskar być może po raz pierwszy w życiu kierował się odruchem serca, a nie zimną kalkulacją, i poniósł porażkę. Nowy kierownik nie okazał szczypty talentu do zarządzania i organizacji pracy w tak wielkim zakładzie. Mało tego, wyniosły, drażliwy, konfliktowy, pogardliwie traktujący podwładnych, wciąż prowokował zatargi z załogą. Uchodził przy tym za podrywacza, hulakę i utracjusza, a jego „znakiem firmowym” były częste wizyty w łódzkich nocnych lokalach, które rozpoczynał od fundowania wszystkim gościom koniaku lub szampana.

Burzliwe życie najmłodszego dziedzica fortuny Konów zakończyło się gwałtowną śmiercią 1 lutego 1929 roku. Dzień wcześniej na ulicy Targowej doszło do krwawego incydentu. Do Alberta strzelał robotnik widzewskich zakładów – Ciesiński, według jednych relacji – mszcząc się za zwolnienie z pracy, według innych – za próbę uwiedzenia przez Kona jego narzeczonej. Ciężko ranny Albert zdołał odpowiedzieć ogniem, trafiając napastnika. W sumie wymieniono 12 strzałów! Poszkodowanych operowano – Kona przewieziono do szpitala natychmiast, Ciesińskiego – który zdołał o własnych siłach oddalić się z miejsca wymiany ognia, po jego zgłoszeniu się na policję. Jednak odniesione rany dla obojgu okazały się śmiertelne: Albert zmarł następnego dnia, Ciesiński 2 lutego.

Tak te dramatyczne wypadki opisywał łódzki „Głos Poranny”: *Dnia 31 stycznia 1929 r. przechodnie na ulicy Targowej zostali zaalarmowani strzałami. Zaciekawieni udali się w kierunku strzałów i przed domem nr 51 ulicy Targowej zauważyli na chodniku ślaniającego się jakiegoś mężczyznę, który upadł, a do niego strzelił jakiś mężczyzna stojący na środku jezdni w odległości 10 kroków od leżącego. Po czym strzelający przeszedł na chodnik, gdzie leżał ranny i następnie oddalił się w kierunku ulicy Fabrycznej. Przechodnie, zbliżywszy się do leżącego na chodniku osobnika, usłyszeli z jego ust, że nazywa się Albert Kon i że został postrzelony, prosząc o przeniesienie go do domu przy ul. Targowej nr 61, co też przechodnie uskuteczнили. W krótkim czasie po wypadku [...] do gmachu Komendy Policji Państwowej przy ulicy Kilińskiego nr 162 zgłosił się jakiś osobnik i wręczając dyżurnemu posterunkowemu [...] rewolwer oświadczył: „Masz pan rewolwer, zastrzeliłem człowieka i on mnie również ranił, niech pan aresztuje mnie”, przy czym podał się za Edwarda Ciesińskiego, który, będąc natychmiast przesłuchany przez nadkomisarza Weyera Stanisława, zeznał co następuje: „Nazywam się Ciesiński Edward, syn Stanisława, lat 21, zamieszkały przy ulicy Brzezińskiej 58. Byłem majstrem w Widzewskiej Manufakturze i zostałem zredukowany przez młodego Kona, wobec czego postanowiłem go zabić. O godzinie*

23 strzeliłem do niego na ulicy Targowej nr 51 a on do mnie. Chciałem go zabić ze względu na maltretowanie mnie⁶.

Oskar Kon zareagował na śmierć ukochanego syna jak rasowy łodzermensch: *Choć początkowo [...] śmierć syna szczerze opłakiwał, szybko jednak – bo już kilka miesięcy później – przystąpił do walki z urzędem skarbowym, próbującym ściągnąć zaległe podatki* – relacjonuje jego biograf, Dariusz Majewski⁷.

W cztery lata po śmierci Alberta widzewskie przedsiębiorstwo Konów w wyniku zbyt dużych nakładów inwestycyjnych i błędnych decyzji ekonomicznych Oskara Kona przeszło pod przymusowy zarząd państwa. Jednak ani utrata kontroli nad fabryką, ani nawet II wojna światowa i okupacja niemiecka nie zakończyły kariery Oskara, który przed 1939 roku ulokował przezornie w zagranicznych bankach okazałe środki. W grudniu 1939 roku w zamian za przekazanie Niemcom części swych bogactw, został przez nich przewieziony bezpiecznie do Szwajcarii. Po wojnie dalej prowadził interesy w Egipcie i Meksyku, dożywając sędziwego wieku. Zmarł w Argentynie w 1961 roku.

Przemysław Waingertner
– historyk, prof. UŁ

Fot. Barbara Gortat i Marek Strąkowski

Przypisy:

1. J.J. Trunk, *Pojln. Obrazy i wspomnienia z Łodzi*, Łódź 1997, s. 67.
2. B. Lesman, *Recepta na miliony (Z dziejów rodu Konów)*, Warszawa 1967, s. 28–29.
3. O Oskarze Konie zob. też w: J. Luszniwicz, *Kon Oskar*, [w:] *Encyklopedia Drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1999, s. 163–164.
4. „Łodzianin”, 6 IX 1938, nr 250, s. 6.
5. Za: D. Majewski, *Konowie i ich „widzewskie królestwo”. Szkic z dziejów łódzkiej burżuazji*, Łódź 2007, mps w zbiorach Katedry Historii Polski Najnowszej Uniwersytetu Łódzkiego, s. 65–66.
6. „Głos Poranny”, 17 II 1929, nr 16, s. 1–2.
7. D. Majewski, op. cit., s. 119.

Miasto rodzinne

Dlaczego Łódź jest miastem wyjątkowym?

historia

Spośród wszystkich wielkich miast polskich najmłodszą metropolią jest Łódź. Gdy protoplasta dzisiejszego grodu, wieś Łodzia, była jeszcze zapadłą wioską o niewielkim znaczeniu, Warszawa, Kraków, Poznań czy Gdańsk były już poważnymi ośrodkami miejskimi w kształtującej się Polsce. Łódź, mimo swej młodości, tempem i rozmachem swego rozwoju w ogromnym i imponującym stopniu wyprzedziła wszystkie bez wyjątku miasta polskie. Co prawda, jeszcze 27 lipca 1423 roku król Władysław Jagiełło nadał jej przywileje miejskie, ale – na dobrą sprawę – był to raczej akt królewskiej łaski niż decyzja oparta na rzeczywistości, bo liczba mieszkańców tego „miasta” nie sięgała bowiem wówczas nawet stu.

W kilka wieków później, w latach 1793/1794 Łódź liczyła „już” 190 mieszkańców, ale odtąd wzmogła się wyraźnie tendencja zwyżkowa i w roku 1808 miasto liczyło już 434, aby w ciągu niespełna dwóch dziesięcioleci, czyli w roku 1827 wzrosnąć ponad 6,5-krotnie – do 2837 mieszkańców. Od tej chwili wzrost liczby ludności miasta, świadczący o niezwykłym rozmachu jego rozwoju, nabiera wręcz niebywałego tempa. I tak w roku 1857 Łódź liczy już 24 655 mieszkańców i wzrasta w tempie wręcz astronomicznym: w roku 1897 – 309 853, w 1921 – 604 629. W przededniu hitlerowskiego najazdu na Polskę w roku 1939 – Łódź liczy już 672 629 mieszkańców. Po wojnie, mimo ogromnego ubytku ludności spowodowanego hitlerowską eksterminacją w okresie okupacji, liczba mieszkańców Łodzi nadal rośnie, aby w 1992 roku osiągnąć stan 832 tysięcy osób. Dzisiaj Łódź jest nadal drugim pod względem liczebności (po Warszawie) miastem w Polsce.

Nie ma w tym kraju żadnego miasta, które dorównywałoby Łodzi tempem rozwoju. Przy tym podkreślić się godzi, że to ogromne zwycięstwo w rozwojowym wyścigu Łódź odniosła, mimo iż w odróżnieniu od wielu innych miast, nie dysponowała szczególnymi warunkami geograficznymi – nie była stolicą jak Warszawa, a przedtem Kraków, nie była, jak Poznań, stolicą Wielkopolski, kolebką Piastów i tworzonych tam zrębów polskiej państwowości, nie leży, jak Gdańsk, nad morzem, stwarzającym wyjątkowe warunki rozwoju jako „brama do świata”, nie powstała, jak Gdynia, z inicjatywy państwa i dzięki jego pomocy. Łódź leży w krainie niewyróżniającej się niczym szczególnym i niedysponującej żadnymi, ważnymi surowcami, które mogłyby być bodźcem do jej wręcz fantastycznego rozwoju.

W takim razie, co leży u podstaw niezwykłego tempa i rozmachu rozwoju Łodzi?

Odpowiedź na pytanie jest niezwykle prosta: jej mieszkańcy. Niemal od zarania swoich dziejów miasto stało się magnesem przyciągającym ludzi nie tylko z jego bezpośredniego sąsiedztwa, ale niemal ze wszystkich zakątków kraju. Rezerwuarem ludzkim Łodzi byli zarówno mieszkańcy jej naturalnego, rolniczego zaplecza, jak i niemieccy mieszczenie z zachodnich rubieży kraju i inni obcokrajowcy oraz Żydzi z wielu zakątków Królestwa Polskiego. W przeciwieństwie jednak do normalnego magnesu, który – przyciągając metalowy przedmiot – unieruchamia go, Łódź oddziaływała wprost przeciwnie: wyzwalała w ludziach niewykorzystaną dotąd energię. W niespotykanym gdzie indziej tempie rozwija się rzemiosło, powstaje handel, krzepnie przemysł, a to wszystko razem stymuluje rozwój bankowości, bez której obejść się nie może nowoczesna gospodarka. Z każdym nowym przybyszem, osiedlającym się w Łodzi, przybywała nie tylko jeszcze jedna gęba do wykarmienia, ale także jeszcze jedna para rąk do pracy i co było, i jest po dziś dzień nie mniej ważne – jeszcze jedna głowa do myślenia, jak życie uczynić lżejszym i przyjemniejszym.

* * *

W różnych okresach historycznych wiele miast polskich otrzymało – czy to od królów polskich, czy to od władców państw zaborczych, czyli Rosji, Niemiec i Austrii – *privilegia de non tolerandis Judaeis*, czyli przywilej nietolerowania Żydów. Wśród tych miast wymienić można: Warszawę, Kraków, Lublin, Kielce, Sambor, Wiślicę, Radziejów, Krasnystaw, Bydgoszcz, Wieliczkę, Piotrków, Wieluń, Krosno i wiele innych większych i mniejszych miast polskich. Swoisty rekord pod tym względem pobiło miasto Żywiec, które – przynajmniej z punktu widzenia formalnego – do końca II wojny światowej zachowało średniowieczny przywilej *De non tolerandis Judaeis*, nadany po raz pierwszy przez królową Konstancję w Ordynacji dla miasta Żywca z 1626 roku. W ordynacji tej, królowa między obowiązkami i przywilejami nadanymi mieszczenom nakazuje, że *Żydów... z państwa żywieckiego wyganiać potrzeba. Powodem tego przywileju – wyjaśnia autor hasła w Wikipedii – była konkurencja gospodarcza pomiędzy miejskimi rzemieślnikami a Żydami. Od tego też czasu żaden Żyd nie mógł osiedlić się w granicach administracyjnych tzw. miasta. Podczas zaborów zaistniało zagrożenie, że przywilej ten nie zostanie zachowany. Wobec tego mieszczenie żywieccy postarali się u zaborcy, Cesarza Franciszka II, o odnowienie lub nadanie nowego prawa w tym zakresie, co zakończyło się sukcesem w 1797 r., aczkolwiek połowicznym. Cesarz zgodził się z tym, aby w granicach administracyjnych miasta nie mógł zamieszkać żaden Żyd, ale w ramach swej „łaskawości” nakazał, że gdyby zdarzyło się urodzić jakiemuś Żydowi na terenie miasta, to miałby prawo do zamieszkania w nim. Od tego czasu mieszczenie szczególnie dbali o to, aby nie dopuścić do urodzenia się jakiegoś Żyda w mieście, nawet będącego tu przejazdem. Dlatego stacja PKP „Żywiec Główny” została tak naprawdę ulokowana w graniczącej z Żywcem wsi Zabłocie, która w granice administracyjne miasta została włączona w latach 50. XX w. Oto fragment przemówienia jednego z rajców*

miejskich wraz z komentarzem, w wyniku którego udało się uniknąć „fatalnej w skutkach” lokalizacji dworca kolejowego bliżej centrum miasta (za Stanisławem Jeziorskim, „Dwa światy”, w: Księga Pamiątkowa Gimnazjum im. Kopernika w Żywcu, s. 319): „Sławetni rajcowie! Kolej dobra rzecz, bo to bez marnowania koni zajedziesz do Bielska, Wiednia i Pesztu. Towary można sobie sprowadzać i szynki, kiełbasy z naszych prosiąt wysyłać... Ale z tą stacją to mi się nie widzi. Kolejami jeżdżą sobie różni ludzie i Żydzi naturalnie też... A co będzie, jak taka Żydówka urodzi dziecko na stacji, w poczekalni, na ziemi naszego miasta?! Nowego obywatela nam przysporzy!... Ja pierwszy nie zgadzam się na żadną stację w mieście”... Poszli za nim wszyscy. Nie było ani jednego głosu sprzeciwu...

Jak więc widać, faktycznym powodem nadawania tego przywileju była walka konkurencyjna między polskim a żydowskim mieszczaństwem, przy czym władcy Polski – rodzimi czy obcy – chcąc kupić sobie przychylność polskich mieszczan, płacili za to „żydowską monetą”, czyli ograniczeniami i nieraz brutalną dyskryminacją zdanych na ich łaskę Żydów. Oczywiście nigdy władca w uzasadnieniu – o ile w ogóle czuł potrzebę uzasadnienia swych decyzji – nie podawał tej przyczyny, ale jakiś inny pretekst, przeważnie o charakterze religijnym. Tak np. król Jan III Sobieski (bohater „odsieczy wiedeńskiej” w roku 1683, który rozgromił oblegającą Wiedeń potężną armię turecką), chcąc uzyskać przychylność kupców lubelskich, nadał im specjalny przywilej, którego art. 27 brzmi: *aby Żydzi nie godzili się rozpościerać w handlach swoich, także żadnego z kupców lubelskich, w żadnym kupnie albo targu podkupować, we wszelkich towarach, gdyż w każdym kupnie, przed Żydem bliższy jest i być powinien, każdy chrześcijanin kupiec, w targ wstąpić i pieniądze położywszy, towar odebrać*. W roku 1698 król August II potwierdził nadane przez Sobieskiego antyżydowskie przywileje dla kupców lubelskich, by po 14 latach, czyli w roku 1712 nakazać wydalenie „raz na zawsze” wszystkich Żydów z Sandomierza z powodu udowodnionych różnych zabójstw dzieci chrześcijańskich, przez Żydów miasta Sandomierza popełnionych i ciąglej nienawiści okazywanej przez nich chrześcijanom.

Zakazy osiedlania się Żydów czy też nakazy wysiedlania Żydów już tam osiadłych w różnych okresach ich historii, jakie obowiązywały w wielu polskich miastach, były właściwie „towarem importowanym” z państw ościennych. Tak więc, już w roku 1421 cała gmina żydowska w Wiedniu zginęła na stosie i cesarz Albrecht II ślubował nigdy więcej Żydów nie przyjmować do swej stolicy. Co prawda, jego następca cesarz Fryderyk III uzyskał od papieża dyspensę od ślubu, ale mieszczaństwo wiedeńskie sprzeciwia się stanowczo powrotowi Żydów do stolicy Austrii. W roku 1542 następuje wygnanie Żydów z Pragi. *Wszelkie próby osadnictwa Żydów w Szwecji – notuje historyk – rozbiły się o opór tamtejszego rządu, a szczególnie o opór kupiectwa. Dopiero w roku 1774 udało się osiąść w Sztokholmie pierwszemu Żydowi*. W roku 1727 Katarzyna I wydaje ukaz, aby usunąć wszystkich Żydów z imperium rosyjskiego. Ukaz nie został jednak ściśle wykonany, więc powtórzono go w roku 1739 podczas wojny

z Turcją, ale także tym razem z nie lepszym skutkiem. Toteż Katarzyna II, w kilka lat po wstąpieniu na tron (1762), wydaje zakaz tolerowania Żydów w granicach swojego państwa, poza ściśle wyznaczonymi miejscami. Tak powstaje pierwsze swoiste nie miejskie, nie lokalne, ale ogólnoimperialne getto żydowskie w Rosji pod nazwą „czerta osiadłości”, czyli strefa osiadłości dla Żydów.

Łódź – może właśnie dlatego, że „urodziła się” dość późno, bo w XIX wieku – należy do tych miast polskich, w których nigdy nie było ani narzuconych z zewnątrz, ani zrodzonych wewnątrz, „przywilejów antyżydowskich”. Owszem, w pierwszym okresie, gdy znajdowała się pod zaborem pruskim, a następnie rosyjskim, istniały pewne wymierzone przeciwko Żydom zarządzenia władz, ale nigdy nie były one zbyt rygorystycznie egzekwowane. W dużym stopniu Łódź była jednym z najbardziej tolerancyjnych miast w II Rzeczypospolitej. I nie jest przypadkiem, że była pierwszym, a może nawet j e d y n y m miastem w Polsce, które przed laty w sposób dość niezwykły zareagowało na osławiony „List Otwarty do mieszkańców Łodzi” od byłych łodzian mieszkających w Izraelu, w sprawie haniebnych napisów antyżydowskich i właściwie także antypolskich, szpecących miasto i plamiących jego wizerunek w oczach świata. Zorganizowana młodzież łódzka z pędzlami w rękach i kubłami farby zamalowywała owe haniebne napisy, a w konsekwencji tego ruchu powstała (zdaje się, że dotąd jedyna w Polsce) inicjatywa pod nazwą „Kolorowa tolerancja”.

I faktem jest także, iż żadne miasto w Polsce nie zdobyło się (przynajmniej jak dotąd) na zorganizowanie na taką skalę i z takim rozmachem, jak to uczyniła Łódź, uroczystości żałobnych (w 60. Rocznicę Likwidacji Litzmannstadt Ghetto) ku czci swych żydowskich mieszkańców, wymordowanych podczas okupacji przez wspólnego Polakom i Żydom hitlerowskiego wroga.

* * *

Od pierwszej chwili powstawania Łodzi i przez cały okres jej rozwoju aż do hitlerowskiej okupacji, udział Żydów oscylował wokół jednej trzeciej ogólnej liczby mieszkańców miasta. Pod względem udziału w jego rozwoju i rozbudowie, w wielu dziedzinach znacznie te proporcje liczebne przekraczali. Byli wśród inicjatorów rozwoju rzemiosła, z którego z biegiem czasu wyrósł przemysł łódzki. A także pośród tych, których przedsiębiorczość i inicjatywa przekształciła zapadłą wioskę w rekordowo krótkim czasie w wielką i uprzemysłowioną Łódź. W II Rzeczypospolitej łódzcy antysemita rzucili hasło: „Nasze ulice – wasze kamienice”, ale dla wszystkich logicznie myślących ludzi jest chyba rzeczą jasną i zrozumiałą, że bez budowania kamienic (nie tylko zresztą przez Żydów, ale z ich znacznym udziałem) Łódź pozostałaby zapadłą wioską i nie przekształciła się w wielkie i wciąż rosnące miasto.

Nie tu jest miejsce na dokonywanie analizy i podjęcie polemiki z najrozmaitszymi, często nawet wzajemnie sobie zaprzeczającymi, antysemitami argumentami i hasłami, ale bezsprzeczny jest fakt, że Żydzi byli i po wsze czasy pozostaną

nieodłączną częścią historii Łodzi. Można – rzecz jasna – historyczną rzeczywistość różnie oceniać i interpretować, ale zmienić jej nikt nie jest w stanie, ani filosemici i antysemita, ani zwolennicy czy przeciwnicy Żydów.

Jaki z tego nasuwa się wniosek?

Jednym z fundamentów a właściwie warunków ukształtowania się uczucia patriotyzmu i umiłowania swej ojczyzny – nie tylko zresztą u Polaków i w Polsce, ale w odniesieniu do wszystkich narodów i wszystkich państw – jest poznanie historii ziemi ojczystej i przyswojenie sobie jej dziejów. Poznanie historii swego kraju zacząć zaś trzeba od zaznajomienia się z historią swego miejsca zamieszkania, swojej wsi, miasteczka czy miasta. Dla łodzianina oznacza to konieczność zapoznania się, chociażby nawet powierzchownie, z dziejami jego miasta, przynajmniej w ich najbardziej ogólnych zarysach. Łodzianin taki powinien więc wiedzieć, że w II Rzeczypospolitej, a więc w niepodległej Polsce, aż do hitlerowskiego najazdu, Żydzi stanowili ponad jedną trzecią mieszkańców tego miasta i wnieśli ogromny wkład w jego rozwój.

Z tego punktu widzenia należy wielkie uznanie wyrazić ojcom miasta, a w pierwszym rzędzie prezydentowi – Jerzemu Kropiwnickiemu, za odważną inicjatywę, która w 2004 roku nie była tylko jednorazowym zrywem dla „odfajkowania” zaniedbywanego dotąd problemu, ale stała się punktem wyjścia dla częstego przypominania wkładu ludności żydowskiej w rozwój miasta i jego osiągnięcia. Odnotowanie w godny sposób ważnej w historii Łodzi rocznicy zagłady Litzmannstadt Ghetto było nie tylko przypomnieniem mieszkańcom wydarzeń sprzed 60 lat, a więc nie tylko finału hitlerowskiej zbrodni dokonanej na żydowskich mieszkańcach okupowanej Łodzi, ale także tego, co zostało wtedy zniszczone i zgładzone przez hitlerowców – śmiertelnych wrogów Polaków i Żydów.

W Izraelu działa kilkadziesiąt tzw. ziomkostw, czyli związków zrzeszających dawnych mieszkańców wielu miast i miasteczek w Polsce. Spośród wszystkich tych ziomkostw wyróżnia się aktywnością i przedsiębiorczością właśnie Związek Łodzian. Dlaczego? Bo izraelscy łodzianie wynieśli widocznie z dawnego domu, czyli z Łodzi, ducha aktywności i przedsiębiorczości, którymi od zawsze odznaczyli się łodzianie.

Łódź była bowiem nie tylko wielkim miastem przemysłowym, nie tylko „polskim Manchesterem”, nie tylko miastem fabrycznych kominów z przesyconym sadzami powietrzem, ale także niezwykle ważną kuźnią dóbr kulturalnych. O ile obok ludności żydowskiej w Łodzi znaczny wkład w rozwój gospodarczy i urbanistyczny miasta miała także zamieszkała tam od wielu dziesięcioleci ludność niemiecka, o tyle wkład mniejszości niemieckiej w rozwój kultury polskiej był w ogóle nieporównywalny do wkładu Żydów. Można przytoczyć długą, bardzo długą listę nazwisk wybitnych twórców i odtwórców polskiej kultury pochodzenia żydowskiego. W roku 1960 paryski

Instytut Literacki, którym kierował Jerzy Giedroyc, wydał wielką pracę Aleksandra Hertzta pt. *Żydzi w kulturze polskiej*, którą w maju 2003 roku wznowiła biblioteka katolickiego miesięcznika „Więź”, z przedmową Czesława Miłosza. Ogromna część nazwisk twórców kultury polskiej, wymienionych w studium Hertzta, związana jest z Łodzią.

Uroczystości rocznicowe w 60-lecie likwidacji Litzmannstadt Ghetto odbyły się co prawda tylko w Łodzi, ale mimo to nie były „wydarzeniem lokalnym”, ale demonstracją pamięci na skalę ogólnopolską, a może nawet ogólnoswiatową. Co prawda, getto w Łodzi nie było pierwszym gettem założonym przez hitlerowskiego okupanta na podbitej ziemi polskiej, a jego likwidacja nie była też największą zbrodnią okupanta w latach 1939–1944, ale stało się ono ostatnim gettem zlikwidowanym u progu kłęski Niemiec hitlerowskich. Likwidacja Litzmannstadt Ghetto to ostatni akord Holokaustu, dokonywanego przez okupantów na okupowanej ziemi Polski. I chociaż mordy i eksterminacja jeszcze trwały, niemal aż do ostatniego dnia istnienia III Rzeszy, likwidacja łódzkiego getta była swego rodzaju ostatnim rozdziałem historii Żydów na ziemi polskiej. I ten właśnie element nadał tym uroczystościom rocznicowym szczególny charakter.

* * *

Wracając do pytania, jaki właściwie element charakteryzujący historię Łodzi spowodował, że zostały jej zaoszczędzone moralnie kłopotliwe rozdziały w rodzaju *privilegia de non tolerandis Judaeis*, czy wręcz wypędzenia Żydów lub innych form ich dyskryminowania, warto się zatrzymać nad warunkami demograficznymi, w jakich miasto powstawało.

Od drugiej połowy XVIII wieku następuje początkowo powolny, ale z biegiem lat przybierający na sile, upadek systemu pańszczyźnianego. Mnożą się wypadki wykupywania się poszczególnych chłopów czy nawet całych wsi z pańszczyźnianej zależności od ich panów. Już w roku 1794 Hugo Kołłątaj opracował ustawę, która miała zapewnić ziemię uczestnikom powstania, a w razie ich śmierci – ich synom. Byłoby to pierwsze uwłaszczenie chłopów na ziemiach polskich. W roku 1807 następuje zniesienie pańszczyzny na terenie zaboru pruskiego (w Wielkim Księstwie Poznańskim dopiero w 1823 roku). Rok 1848 przynosi zniesienie pańszczyzny na terenie zaboru austriackiego w celu pozyskania wsi pod presją powstania krakowskiego i rzezi galicyjskiej. Wreszcie w roku 1864 następuje zniesienie pańszczyzny na terenie zaboru rosyjskiego.

Uwłaszczenie chłopów otworzyło nowe, nieznane dotąd możliwości dla młodzieży wiejskiej. Sam chłop, chociaż prawnie już wolny, nie bardzo mógł porzucić ziemię, którą uprawiał, bo po prostu nie miał odpowiednich zasobów na taką wędrowną za chlebem. Inaczej miała się rzecz z ludźmi młodymi, nieobciążonymi jeszcze rodzinami, którym migracja do miasta mogła otworzyć – i wielu rzeczywiście otworzyła – nowe perspektywy życiowe. Szybko rozwijające się gospodarczo miasto potrzebowało coraz więcej rzemieślników, kupców i usługodawców we wszystkich dziedzinach. Wciąż niedostateczne – przez wiele lat – szeregi rzemieślników, kupców

i różnych innych usługodawców, zapelniali młodzi adepci tych specjalności, rekrutujący się przeważnie spośród przybyłej do miasta młodzieży wiejskiej. Wobec braku w owych czasach jakichkolwiek form szkolnictwa zawodowego, młodzież ta uczyła się zawodu systemem terminatorstwa u doświadczonych majstrów, rekrutujących się w znacznym stopniu spośród rzemieślników żydowskich i niemieckich. Fakt ten miał ogromny wpływ na ukształtowanie się w Łodzi, od pierwszej chwili, dobrych stosunków między zamieszkującymi miasto różnymi narodowościami i wyznawcami różnych religii. Wykorzystywanie tych różnic w walce konkurencyjnej następuje dopiero z biegiem lat, gdy znacznie wzrosły szeregi rzemieślników i powstała silna konkurencja na rynku.

W tej późniejszej walce konkurencyjnej niemało zresztą było obłudy, fałszu i hipokryzji. Typowym przykładem pod tym względem była np. przybierająca nieraz bardzo silne i ostre formy konkurencja w handlu. W tej dziedzinie, która jest usługą niezbędną dla istnienia życia w nowoczesnym świecie, bezsprzecznie w Łodzi górowali Żydzi, drugie miejsce zajmowali Niemcy i dopiero na samym końcu znajdowali się kupcy polscy. Tak było nie tylko w okresie powstawania i bujnego rozwijania się Łodzi, tak było także w II RP. Pamiętam z czasu poprzedzającego II wojnę światową wielki – mówiono wtedy, że największy w mieście – sklep wszelkiego rodzaju sukna pod nazwą „Bławat Polski” na Rynku Bałuckim 2. W dwóch wielkich witrynach sklepu wisiały duże napisy „Sklep chrześcijański” oraz „Swój do swego”. Oba te hasła oznaczały, rzecz jasna, że Żydzi nie powinni do tego sklepu wchodzić, a gdy zdarzało się, że jakiś Żyd nie zauważył czy nie zrozumiał obu haseł i mimo wszystko wszedł, sprzedawca witał go sarkastycznym stwierdzeniem: „Pan się chyba pomylił”. Sklep ten o patriotycznej nazwie „Bławat Polski” należał do dwóch Niemców – Ludwika Kuka i Gustawa Pfeiffera. W kilka godzin po wkroczeniu do Łodzi pierwszych jednostek armii hitlerowskiej, wielki szyld z patriotycznie brzmiącą nazwą sklepu zastąpiony został ogromnym hitlerowskim sztandarem ze swastyką. Wkrótce Ludwik Kuk został mianowany szefem wydziału *treuhaender* w komendzie policji w Litzmannstadt. Zadaniem *treuhaendera* było kierowanie przedsiębiorstwem – sklepem czy zakładem pracy – przejętym przez władze okupacyjne od ich prawowitych właścicieli, głównie Żydów. Nazwisko Ludwika Kuka figuruje na liście hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, działających w okresie okupacji na terenie Łodzi. Drugi współwłaściciel „Bławatu Polskiego” – Gustaw Pfeiffer natychmiast po wkroczeniu Niemców do Łodzi mianowany został dyrektorem Gazowni Miejskiej. Jaki był dalszy los tych dwóch „patriotów” polskich – nie wiem.

Aleksander Klugman

– łodzianin; dziennikarz i publicysta. Mieszka w Izraelu

Odbudowana tożsamość

Estera

Esterę poznałam w 1999 roku, przyjechała do Polski po 53 latach, aby odnaleźć swoje korzenie. Urodzona w 1938 roku kobieta nie mogła pamiętać czasu przedwojennego, nie wiedziała, gdzie znajdował się dom, w którym spędziła pierwsze półtora roku życia. Z biegiem lat przymus biograficzny odbudowania przeszłości stawał się coraz bardziej intensywny. Estera postanowiła odbyć podróż do Polski i powrócić do miejsca urodzenia. W czasie pierwszego, biograficznie niezmiernie znaczącego pobytu, nie zdołała jednak odnaleźć rodzinnego domu. Postanowiłam pomóc Esterze w jej poszukiwaniach. W rezultacie badań archiwalnych, rozmów z mieszkańcami odnalezionnej posesji, udało mi się nie tylko ustalić, gdzie Estera mieszkała przed wojną, ale również odnaleźć jedną z sąsiadek – Polkę, wówczas kilkunastoletnią dziewczynkę, pamiętającą rodzinę Estery, czasem opiekującą się nią w ramach sąsiedzkich przysług i – jak się okazało – z ciekawością nastolatki obserwującą życie rodzinne i towarzyskie rodziny żydowskiej. Jej wspomnienia stały się dla Estery głównym zasobem dla budowania obrazu własnej, przedwojennej przeszłości. Ta część Łodzi, a w zasadzie przedwojenne przedmieście, otoczone zielenią i lasami, zamieszkiwane było głównie przez Niemców i Polaków. Rodzina Estery reprezentowała nieliczną w tej okolicy społeczność żydowską.

Nasze przypadkowe spotkanie zapoczątkowało znajomość, która szybko przerodziła się w przyjaźń. W roku 2004 przeprowadziłam z Esterą wywiad biograficzno-narracyjny, którego fragmenty zaprezentowane są poniżej. Od 1999 roku Estera przyjeżdża do Polski co roku, od 2001 roku wraz z grupami młodzieży szkolnej jako świadek – ocalony z Zagłady. Przyjazdy te mają ustalony harmonogram, zawsze jednak mam możliwość, by spotkać się z Esterą.

Estera nie pamięta okresu przedwojennego i początku wojny. Wspomnienia pojawiały się u niej stopniowo, tworząc raczej zbiór zapamiętanych obrazów niż ciąg zdarzeń. Część tego, co Estera wie o swoim wojennym losie, było efektem opowieści innych. Jednak kluczową rolę w doświadczeniu traumatycznych zdarzeń odgrywają jej własne wspomnienia. Ojciec Estery ukrywał się od początku wojny, matka wraz z dwójką dzieci (Estera miała o pięć lat starszego brata) uciekła z getta. Odtąd przez całą wojnę rodzina ukrywała się razem, w różnych miejscach. Matka, ze względu na „dobry wygląd” organizowała aprowizację i kolejne kryjówki, ojciec pozostawał z dziećmi. Zapamiętane z tego czasu obrazy to ucieczka w czasie śnieżycy i odczucie przenikliwego zimna, bochenek chleba przyniesiony na jej trzecie urodziny jako tort (do

dziś wspomniany jako najwspanialszy tort urodzinowy), wiersze Brzechwy, Tuwima, polskie kołysanki recytowane i śpiewane przez ojca. Pamięta je do dziś, mimo iż zatraciła pełną kompetencję językową. Narratorka zachowała bierną znajomość języka – rozumie polski, ma bezbłędną wymowę, ale nie potrafi swobodnie mówić w tym języku (narracja odbyła się w języku angielskim).

Tuż przed końcem wojny, na Lubelszczyźnie, nastąpił najbardziej traumatyczny moment w jej wojennej biografii. Był przednówek, rodzina ukrywała się w lesie, a matka poszła szukać żywności. W tym czasie brat Estery umarł z głodu. Tego samego dnia Estera wraz ojcem niosącym na rękach zwłoki syna, zostali schwytani przez oddział niemiecki, ustawieni przed wielkim dołem i poddani egzekucji. Estera wpadła do dołu razem z zastrzelonym ojcem wciąż trzymającym w ramionach ciało jej brata. Znajdowały się tam już ciała innych pomordowanych. Nie wiadomo dlaczego dziewczynka nie została zastrzelona. W nocy, gdy wszystko ucichło, ostatek sił wy dostała się z dołu i doczołgała do wsi. Tam chłopci uratowali dziecko od śmierci głodowej i otoczyli opieką. Wojna wkrótce się zakończyła. Przypadek sprawił, że Esterę odnalazła matka, przekonana, że w lesie wymordowano całą jej rodzinę. Wrócili do Łodzi i w niedługim czasie, w zorganizowanej grupie, nielegalną drogą opuścili Polskę. Podróż do Palestyny/Izraela trwała półtora roku.

Estera nigdy nie opowiedziała matce, co wydarzyło się w lesie. Nigdy też nie rozmawiały na temat wojny i okresu przedwojennego. To, co pozostało jako wspomnienie przedwojennego czasu, to pudełko fotografii, zabrane przez matkę jako jedyna rzecz z Polski. Estera nie wiedziała nic o większości zatrzymanych w kadrcze miejsc i postaci.

Powróćmy teraz do narracji. Estera rozpoczyna od krótkiej charakterystyki powojennych losów. Gdy przyjechała do Izraela, miała niespełna 10 lat. Tak jak inni zamieszkała w kibucu. Szybko zaadaptowała się do nowych warunków, chociaż ciągle nosiła w sobie przeszłość. Podjęła więc świadomą decyzję wyparcia pamięci o traumatycznych doświadczeniach, jednak pamięć przeszłości ciągle powracała:

Czułam się jak ktoś, kto wkłada swoją stopę w drzwi i nie może zamknąć tych drzwi. Czułam, że jeśli nie będę chciała wrócić kiedyś do Polski, najwyżej raz... nie będę mogła zamknąć drzwi, zawsze będę miała swoją stopę w tych drzwiach. Nie będę mogła zamknąć drzwi, nie będę mogła zamknąć drzwi do mojej przeszłości. Ale – jak to się mówi – chciałam, ale bałam się. I przez te wszystkie lata miałam różne myśli: „Tak, nie, może raz, kto wie” (uśmiechając się). Ale to nigdy nie przerodziło się w prawdziwą decyzję: tak albo nie. Problem pojawił się znowu jakieś pięć lat temu... albo może więcej, może około siedmiu, kiedy kuzynka mojego męża, która urodziła się w Izraelu i nigdy nie była tu w czasie wojny, znalazła w portfelu ojca list od jego matki, gdy przyjechała na jego ślub do Drezna. I kiedy wróciła do Łodzi, wysłała im pocztówkę, że jest bezpieczna w domu. I ten człowiek trzymał tę pocztówkę przez całe swoje życie w portfelu. I kiedy zmarł, ona otworzyła ten portfel i znalazła tę kartkę. Była nią

tak podekscytowana i zaczęła rozmawiać ze mną, mówiąc: „Eстера, jedźmy do Polski zobaczyć. Mam adres, może będziemy mogły znaleźć miejsce, gdzie mieszkałaś”. I ja powiedziałam: „Może któregoś dnia”. Zawsze, kiedy rozmawiała ze mną o tym, mówiłam jej: „Hm, kiedyś zobaczymy”. I co kilka miesięcy przypominała mi: „Pojeżdż ze mną do Polski, pojeżdż ze mną do Polski” i ja (uśmiechając się), ja chciałam, ale bałam się. Nie wiedziałam, jak na to zareaguję, jak będę się czuła. Ja po prostu, wiesz, myślałam o tym: „Może któregoś dnia, zobaczymy”. Później, na początku 1999 roku powiedziała mi: „Dobrze, musisz podjąć decyzję, musimy pojechać do Polski”, a ja powiedziałam jej: „Mam inne problemy teraz, przed ślubem mojego syna i teraz tylko o tym myślę”. Więc ona powiedziała: „Dobrze, po ślubie”. Po ślubie (śmiejąc się) zadzwoniła do mnie znowu – powiedziałam jej: „Nie, prawdopodobnie muszę mieć operację”. Śmieszna rzeczą było to, że kiedy miałam operację i byłam pod narkozą, a pielęgniarki próbowały obudzić mnie na sali dla chorych, słyszałam jak mówiły: „Eстера, Eстера”, a ja powiedziałam im, w moich myślach oczywiście: „Nie wiecie, ale jadę do Polski”. I to była tak śmieszna myśl, ponieważ nie opuszczała mnie. Byłam trzy dni w szpitalu. Kiedy wróciłam do domu, odłożyłam rzeczy ze szpitala, wzięłam telefon i powiedziałam: „Miriam, jadę z tobą do Polski”. Była zaskoczona, powiedziała: „Właśnie wróciłaś ze szpitala!” (udając krzyk i śmiech). Powiedziałam: „Dobrze, jeśli chcesz jechać ze mną do Polski – jadę do Polski” i ona powiedziała: „Dobrze”. I zdecydowałyśmy, że przyjeżdżamy do Polski. Kupiliśmy bilet w Air France, mówiąc: „Po traumie związanej z pobytem w Polsce, spędzimy kilka dni w Paryżu”. Więc pojechaliśmy do Paryża, byliśmy około trzy godzin na lotnisku i potem poleciliśmy samolotem do Warszawy. I kiedy samolot zaczął lądować (uśmiechając się), zaczęłam płakać i powiedziałam do Miriam: „Nie zejść z pokładu samolotu”, a ona odpowiedziała: „Eстера, nie rób (uśmiech) problemów, proszę!”. Powiedziałam: „Nie, nie zejść z pokładu, nie mogę postawić stopy na tej ziemi, ja, ja nie mogę”. Płakałam, ludzie wokół patrzyli na mnie jak: „Szalona kobieta, czemu płacze?” (uśmiechając się). Samolot wylądował, Miriam wzięła moją rękę i (uśmiechając się) wyciągnęła na zewnątrz. I wyszłam z samolotu i byłam, byłam trochę zakręcona, naprawdę, ja, moja głowa była jak na kołach... To, co sprawiło, że było mi trochę... łatwiej, to kobieta, którą znam z Izraela – jej mąż pracował tu, w Polsce. Spotkała mnie kilka tygodni przed tym, jak przyjechałam do Polski. I powiedziała: „Nie pojedziesz do hotelu w Warszawie, przyjedziesz do nas”. I to było naprawdę dobre wyjście, ponieważ czułam się jak w domu. Byłam wśród swoich ludzi, rozmawialiśmy po hebrajsku. I to sprawiło, że było mi trochę łatwiej.

Następnego dnia wsiadaliśmy w pociąg do Łodzi. I pierwszego dnia – pamiętam – poszliśmy na spacer na ulicę Piotrkowską, i pamiętam, mój dom – moja mama mówiła często coś o Piotrkowskiej 42, ale nie wiedziałam, co tam było, ale poszłam tam, zrobiłam zdjęcie, ale naprawdę nie wiedziałam, co tam się stało. I potem poszliśmy na plac Wolności i za Piotrkowską jest Nowomiejska i mój znajomy powiedział mi: „Jeśli znajdziesz ulicę Nowomiejską, moi dziadkowie mieszkali tam pod numerem

13". Więc poszłam na róg, pod numer 13 i zrobiłam zdjęcie domu. I Miriam powiedziała, że ma tę pocztówkę ojca, a jej dziadkowie mieszkali na ulicy Północnej, powiedziałam: „Dobrze” (uśmiechając się), Odwróciłam się i zaniemówiłam. Wzięłam Miriam i powiedziałam: „Zobacz!” a ona powiedziała: „Ooo! Północna”. A ja powiedziałam: „To jest Północna, (uśmiech) teraz rozumiem znaczenie tego słowa”. Byłyśmy bardzo podekscytowane. I chodziłyśmy cały dzień wokół getta, wokół ulic, gdzie znajdowało się getto. Następnego dnia rano poszłyśmy do archiwów. Kobieta pracująca tam powiedziała mi: „Znalazłam świadectwa urodzenia Pani oraz Pani ojca” [...] I znalazłyśmy [świadectwo urodzenia brata Estery – przyp. aut.] i wtedy po raz pierwszy dowiedziałam się, że miał na imię Maurycy Henryk, ponieważ znałam go tylko jako Ryśka. Nie wiedziałam oczywiście, że to żydowskie imię było po moim dziadku, ojcu mojej matki. Ja miałam imię po babci, mamie mojej mamy. Więc ja nigdy nie wiedziałam, że jego imię było Maurycy Henryk. Nigdy nie znałam imienia mojej babci, ponieważ... jak wielu ludzi, kiedy pytałam mamę, albo pytałam starszą kuzynkę o rodzinę, nie chcieli o tym rozmawiać. Myślę, że nie mieli siły rozmawiać o tym. Wiesz, że mam pudełko ze zdjęciami. To była jedna rzecz, którą moja matka ocaliła z wojny. Oddała je sąsiadom, aby przechowali je dla niej i kiedy wróciła po wojnie to była jedyna rzecz, którą ona miała. I to było jak skarb, ale ona nigdy nie powiedziała mi, kim są ci ludzie, nie miała siły, żeby podzielić się tym. Więc miałyśmy wszystkie papiery. A Miriam chciała oczywiście świadectwo urodzenia swojej babci, [...] więc [następnego dnia] wróciłam do tego archiwum i kobieta, która była z nami tamtego dnia, ona spojrzała na mnie i spytała: „Coś jest nie tak”? Więc ja powiedziałam jej: „Nie, wszystko jest w porządku, ale potrzebujemy świadectwo ślubu jej dziadków, [...] i jeśli mogłaby Pani postarać się znaleźć świadectwo ślubu moich rodziców i świadectwo urodzenia mojej, mojej matki, byłabym więcej niż wdzięczna”. I kobieta powiedziała: „Postaram się”. Więc usiadłyśmy tam na 45 minut, a ona wróciła ze świadectwem ślubu babci Miriam, świadectwem ślubu moich rodziców i świadectwem urodzenia mojej matki (uśmiechając się). Zaczęłam wtedy płakać, miałam w kieszeni małą srebrną Hamsę, którą dałam tej kobiecie, mówiąc: „Proszę to wziąć”. A ona odpowiedziała: „Nie, to jest moja praca, nie mogę”, więc ja powiedziałam: „Wiem, że to jest Pani praca, ale ja chcę, żeby Pani to przyjęła. Pani zwróciła mi moje życie. Czy Pani wie, co Pani dla mnie zrobiła teraz? Pani sprawiła, że całe moje życie wróciło”. Więc ona wzięła to, a my byłyśmy tak podekscytowane, Miriam była podekscytowana, ponieważ dowiedziała się, że jej babcia nosiła nazwisko L. Ja poznałam nazwiska moich dziadków, przynajmniej w tamtym momencie wiedziałam, co zdarzyło się na Piotrkowskiej 42. To był adres mojej matki, kiedy mieszkała tam z rodziną G. I znam to nazwisko, znam człowieka. On żył po wojnie, przeżył i wrócił do Izraela i byłam z nim w kontakcie, byłam tak (uśmiech), żałowałam, że nie zadałam mu tych wszystkich pytań, na które moja matka nie mogła – nie wiem, czy on mógłby znać odpowiedź. On teraz on już nie żyje oczywiście, było m i bardzo przykro, że nie zapytałam go o wiele spraw. Potem dowiedziałam się, że to był ich dom. [...] Byłam bardzo zawiedziona, że

nie znalazłam miejsca, w którym się urodziłam, domu. Miałam zdjęcie, które czułam, że może przedstawiać ten dom. Nie wiem, w jaki sposób to wiem, ponieważ tam jest wiele domów na tym zdjęciu, ale czułam coś w związku z tym zdjęciem. Znalazłam grób mojego dziadka na cmentarzu, z którego nic już prawie nie pozostało. Więc zdecydowałyśmy, że musimy zbudować z kamienia nowy grób dziadka, ale najpierw chciałam porozmawiać z pozostałymi wnukami, które żyją. I byłam bardzo zawiedziona, że nie mogłam znaleźć mojego domu. A więc wróciłam. [...]

I pamiętam jak dzisiaj, to był czerwiec 2000, to było święto w Izraelu zwane Szawuot. [...] Więc jak zawsze miałam wiele osób wieczorem na kolacji i powiedziałałam mężowi: „Nie budź mnie rano, pozwól mi pospać trochę dłużej”. Ale o godzinie 9 on był już (uśmiech) tak podekscytowany, obudził mnie: „Obudź się, obudź się, znaleziono dom, w którym mieszkałaś ze swoją opiekunką”. Wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam do komputera, zobaczyłam list od ciebie, który wysłałaś o wszystkim, jak znalazłaś (chrząknięcie) miejsce i tydzień później byłam tu ze swoim synem M. On jest operatorem kamery w telewizji i tego samego dnia, pamiętam, że to był Szabat, poszliśmy zobaczyć się z panią Nowak i nie zapomnę, jak staliśmy w drzwiach, a ona powiedziała: „Pani Gizela¹, pani jest tak podobna do mamusi”. I to jest prawda, jestem bardzo podobna do matki. To było niezwykle, byłam bardzo podekscytowana. Nie wiem, czy widziałaś, ale przesywały mnie dreszcze. I ona opowiedziała mi historię o moim bracie, o którym nikt mi nie powiedział. Powiedziała: „Pani była silna, jadła dużo, a on był niejadkiem”. I w tamtym momencie pomyślałam, że jego śmierć jest w moim życiu. Pamiętam, że jem tę nać i te, wiesz, dżdżownice, a on nie może ich dotknąć (narratorka jest bardzo poruszona). Więc byłam bardzo wzruszona, pamiętam, że poszliśmy razem i znaleźliśmy dom moich dziadków i dom kuzyna. Zrobiłam im zdjęcia i Zielonego Rynku, z którego pochodzili. I jakoś (westchnienie) czułam, w tamtym momencie, w tamtym czasie czułam, że ułożyłam puzzle. To nie jest cały obraz, ponieważ tu i tam czegoś brakuje, czegoś nie jestem pewna, ponieważ byłam bardzo mała i nie mogę pamiętać wszystkiego. Więc jest kilka dziur w moim życiu, w mojej przeszłości, ale czuję, że uzupełniłam obraz. To jest, to jest prawie tak, jak włożyć ostatni element puzzli w obraz (uśmiech) i jestem bardzo szczęśliwa, że to zrobiłam. Tak bardzo się bałam, tak bardzo się bałam. Pamiętam przed pierwszym przylotem z Miriam kupiłam mały dyktafon i miałam go przy sobie i wczoraj wysłuchałam rano taśmę, powiedziałam: „Nie wiem, co zamierzam tam znaleźć, ale mam nadzieję, że nie zawiodę się”. I nie zawiodłam, naprawdę. Jestem bardzo szczęśliwa, że zrobiłam to i nie wiem, jak to powiedzieć, ale tak, czuję się znowu związana z Polską. Moje uczucia do Polaków, Polski, były bardzo ambiwalentne, ponieważ Polacy są mało znani w Izraelu, a między Żydami jako antysemitami. I tak jak powiedziałam, moje uczucia są ambiwalentne, ponieważ żyją dzięki dobrym sercom Polaków, którzy kładli swoje życie – jak to powiedzieć – ryzykowali swoje życie, ponieważ, jeśli Niemcy wiedzieliby, że to byli Żydzi, oni zostaliby zabici. Człowieczeństwo znajdziesz na świecie nawet wtedy, gdy

jest najgorsze, w najgorszym czasie znajdziesz przejawy człowieczeństwa (uśmiecha się)...

Opowieść ta ma swój ciąg dalszy w wymiarze kolejnych doświadczeń biograficznych opisanych dalej w narracji, oraz dokonujących się w następnych latach, po 2004 roku. Warto je więc pokrótce przytoczyć. Przyjeżdżając do Izraela, Gizela-Estera podała nieprawdziwe imię ojca i po kilkudziesięciu latach podjęła starania, aby zmienić je w dokumentach na właściwe. W rok po przeprowadzeniu wywiadu z dumą pokazała mi swój dowód osobisty z wpisanym już prawdziwym imieniem jej ojca.

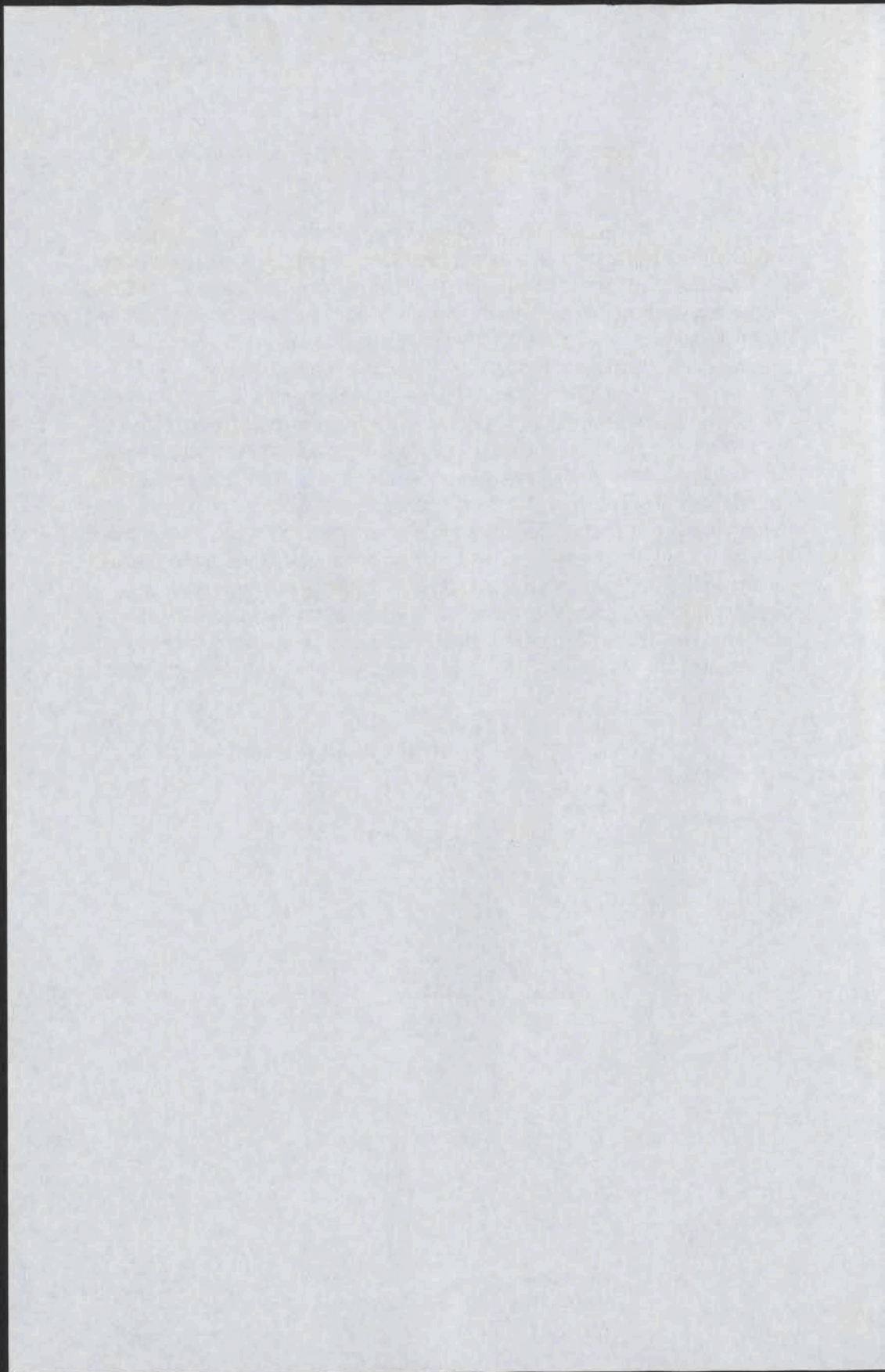
W 2004 roku na skutek nieuleczalnej choroby zmarła córka Estery. W 2005 roku Estera poprosiła o posadzenie swojego drzewka w łódzkim parku Ocalałych. W tym samym czasie zgromadziła potrzebne dokumenty, aby potwierdzić obywatelstwo polskie. Miała zrobić to wcześniej, ale potrzebowała czasu, aby dojrzeć do tej decyzji. Namawiała ją do tego zmarła córka, uznając, że potwierdzenie polskiego obywatelstwa będzie symbolicznym przypięczeniem powrotu do korzeni. Towarzystwem Esterze w składaniu dokumentów, nie umiała wytłumaczyć swojego zdenerwowania, dopiero gdy okazało się, że dokumentacja jest kompletna i papiery zostały przyjęte, napięcie opadło. Podczas ostatniego pobytu w Polsce Estera powiedziała, że gdy otrzymała wiadomość potwierdzającą obywatelstwo, cały dzień płakała, łącząc doświadczenia przeszłości z rolą, jaką zmarła córka przyjęła w procesie odbudowywania jej biografii.

Kaja Kaźmierska

– dr hab. prof. UŁ (Katedra Socjologii Kultury)

Przypis:

1. Imię Estery sprzed wojny.



historia

z cyklu: czarne dziury, białe plamy



Niezwykłe odkrycie

„Nasza Gazetka” – pismo sierocińca Litzmannstadt Ghetto

Mateusz Sidor

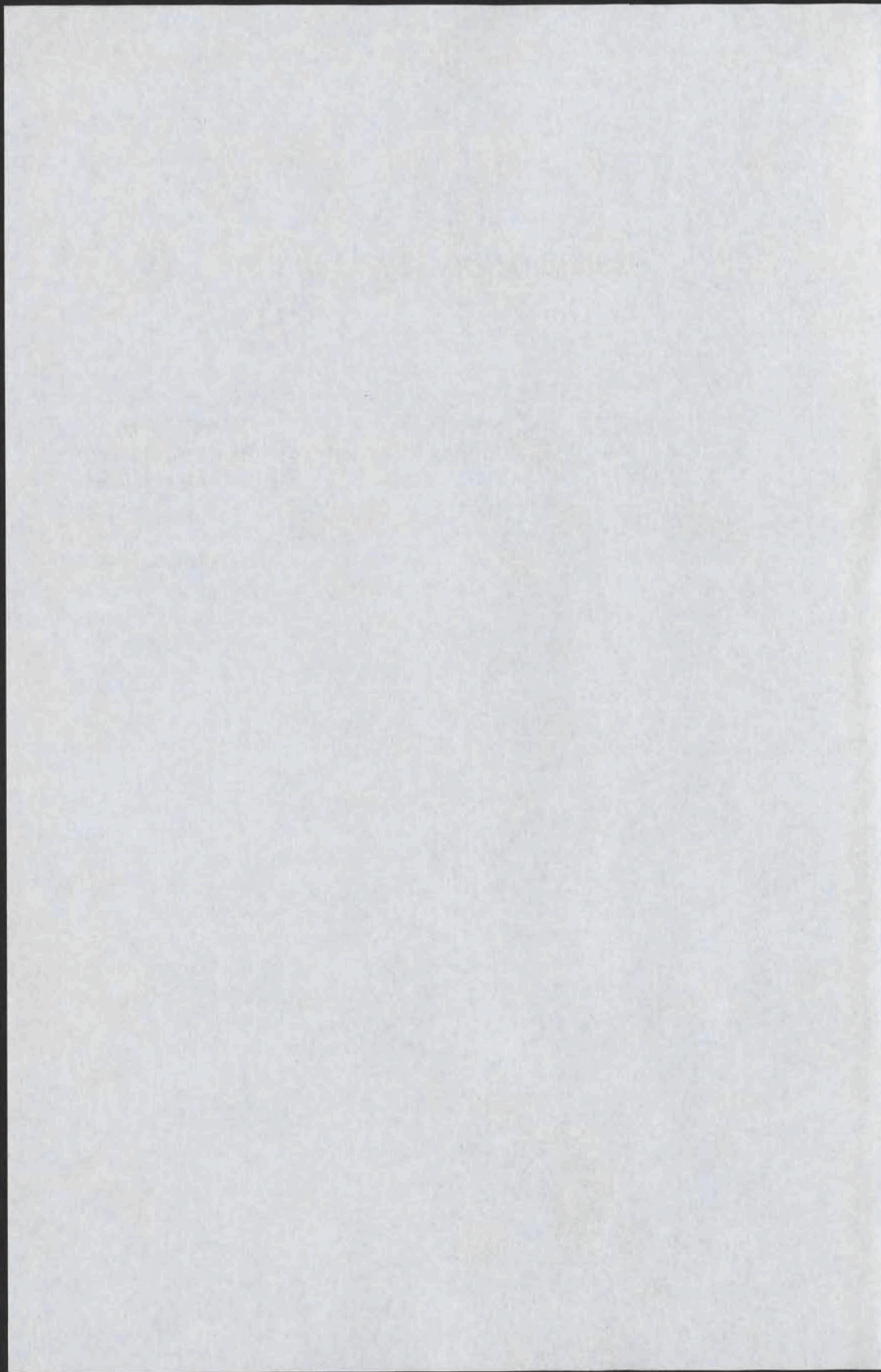
str. 195

Zerwana pamięć

W poszukiwaniu łódzkich Żydów, którzy zginęli w Katyniu...

Małgorzata Sas-Witusik

str. 203



Niezwykłe odkrycie

„Nasza Gazetka” – pismo sierocińca Litzmannstadt Ghetto

Niewiele ponad miesiąc po utworzeniu Litzmannstadt Ghetto, 12 marca 1940 roku, w jego granice przesiedlone zostały dzieci z dwóch żydowskich sierocińców z ulic Świętego Jakuba i Północnej. Na parę miesięcy ich adresem stała się ulica Dworska 10, ale w końcu lipca wszystkie sieroty trafiły do domu przy ulicy Marysińskiej 100.

Dzielnica Marysin była dla mieszkańców odizolowanej zony symbolem lepszego świata. Jej legendę tworzyły otoczone zielenią wille członków władz getta i apartament Chaima Rumkowskiego, o których luksusie i świetnej aprowizacji krążyły plotki pośród głodujących w getcie. Na Marysinie powstały również ogródki działkowe, w których mieszkańcy mogli uprawiać warzywa, a latem na półkolonie przyjeżdżały tu dzieci ze szkół. Jedną z osób, które poznały sierociniec, była Cecylia Landau, mieszkanka getta przesiedlona z Hamburga: *Sierociniec był usytuowany w zwykłym, dużym domu, który wymagał pomalowania w środku i na zewnątrz. Niewielkie pokoje wypełnione były posłaniami dzieci i pracowników. Sierociniec miał dość dużą kuchnię, ale nie było łazienek i toalet. Korzystaliśmy z wychodków na zewnątrz, a wodę targaliśmy w wiadrach z podwórkowej pompy. Mebli było niewiele, ale to nam wystarczało. Warunki w reszcie getta były o wiele gorsze. Poważnie obawialiśmy się potwornie mroźnej zimy, braku węgla i ciągłego głodu¹.*

Mimo to ośrodki dla sierot należały do najlepiej zorganizowanych instytucji w łódzkim getcie. Dobre wyżywienie i zakwaterowanie, w porównaniu z przydziałami dla reszty mieszkańców, dzieci zawdzięczały przełożonemu Starszeństwu Żydów w Getcie – Chaimowi Rumkowskiemu, który obdarzał je szczególną troską. Przed wojną Rumkowski należał do Centralnego Komitetu Pomocy Sierotom w Polsce i do Towarzystwa Pomocy Żydowskim Biednym Dzieciom w Łodzi. W Helenówku stworzył razem z organizacją „Joint” sierociniec, przygotowujący dzieci do wyjazdu do Palestyny, którego był też kierownikiem. W czasie masowych wywózek z getta latem 1942 roku Rumkowski mówił do jego mieszkańców: *Mnie niestety nie dane było mieć własnych dzieci, dlatego właśnie dziecku poświęciłem wszystkie moje najlepsze lata. Żyłem i odychałem wraz z dzieckiem. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że moje własne ręce będą musiały złożyć je jako ofiarę na ołtarzu.*

Szmul Rozensztajn, sekretarz Rumkowskiego, podczas przedstawienia w domu kultury we wrześniu 1941 roku, zanotował przemówienie, w którym przewodniczący opowiada o Marysinie i ukochanym sierocińcu: *Tysiące, tysiące samotnych i nieszczęśliwych dzieci szturmują progi Marysina, chcąc się do niego dostać.*

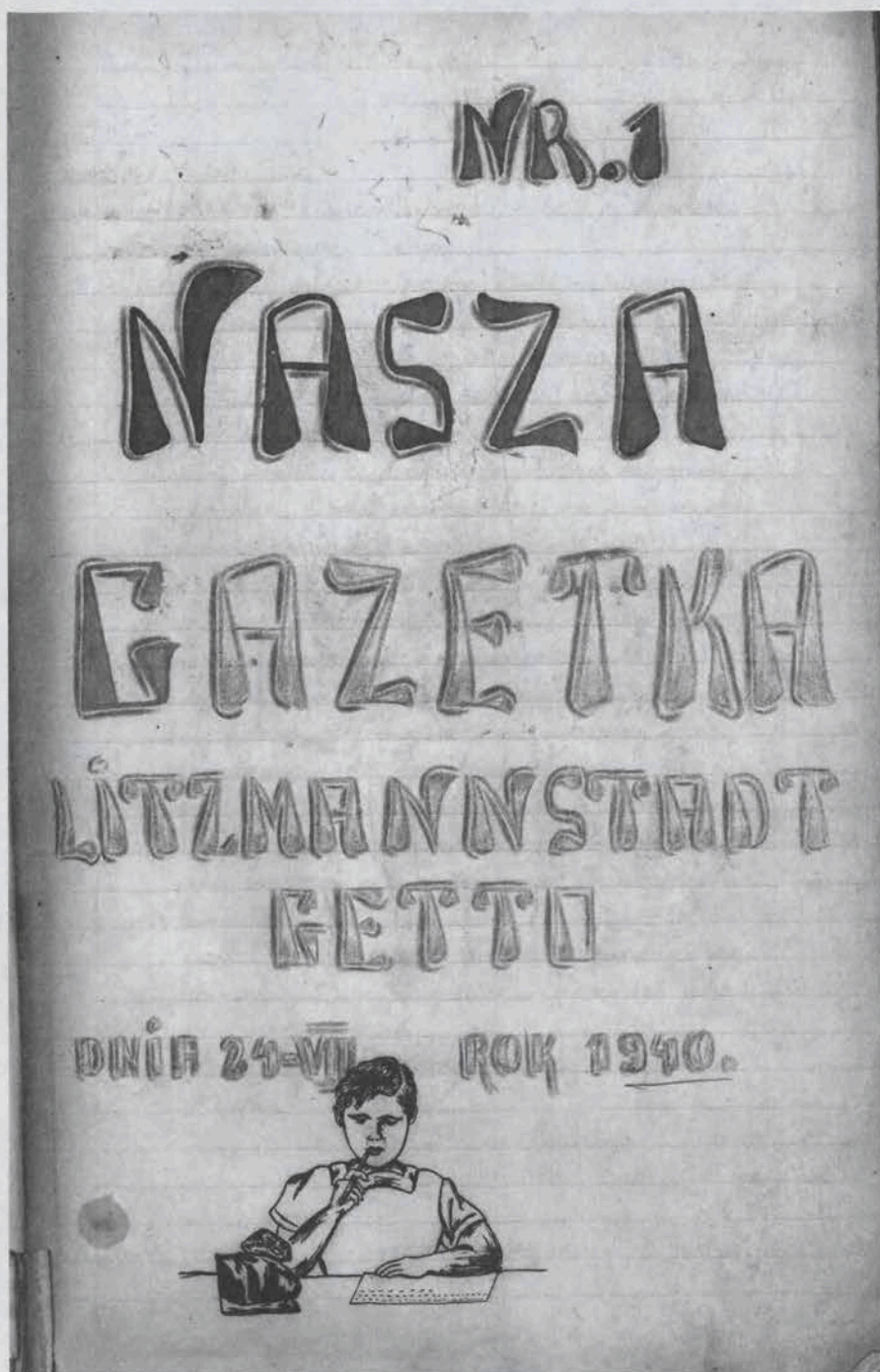
historia – czarne dziury, białe plamy

To, co zostało zrobione, to kropla w morzu. Tysiące liścików i próśb, które otrzymuję od tych najniezwyklejszych z nieszczęśliwych, są tego świadectwem. Niestety, wielu Żydów w getcie wcześniej tego nie rozumiało. Chcieli handlować Marysinem. Gwałtem rwano się do tych domów i domków z zamiarem drogiego wynajmowania mieszkań latem, wzorem niegdysiejszych właścicieli willi. Takich zmusiłem jednak do opuszczenia tych mieszkań i urządziłem tam kolonie dziecięce oraz otworzyłem wiele fabryk. Tak, gdybym miał wielu pracowników i uczciwych, zaufanych ludzi, mógłbym bardzo dużo zdziałać. Jedynymi moimi przyjaciółmi w getcie są dzieci. Kiedy was widzę, dzieciaki, jak się uczycie, bawicie i jesteście dość zadbane, serce mi rośnie z radości².

W sierocińcu na Marysinie mieszkało około trzech tysięcy dzieci, które uczyły się i pracowały, uprawiając ogród i rolę. Zaczęto również wydawać szkolną gazetkę. Każdy z numerów był w jednym egzemplarzu, ręcznie wpisywanym do brulionu. We wszystkich wydaniach ukazywały się artykuły wychowanków przepisywane przez opiekunów w języku polskim. W latach 50. ubiegłego wieku w Żydowskim Instytucie Historycznym odnaleziono zeszyt z pierwszymi numerami datowanymi od 24 sierpnia 1940 do 12 stycznia 1942 roku. Na odszukanie kolejnego trzeba było czekać pół wieku. Brulion z „Naszą Gazetką”, zawierający tym razem ostatnie numery, niespodziewanie znalazł się w posiadaniu Instytutu dopiero jesienią zeszłego roku.

Do gazetki tej wszyscy nadsyłamy różne artykuły, wierszyki oraz rozrywki umysłowe. A gdy nadchodzi sobota, zapraszamy gości i p. Hela, jako naczelna redaktorka, uroczyście odczytuje gazetkę. Czasami odwiedza nas pan prezes Rumkowski, niemieccy oficerowie lub dzieci z kolonii, którym się nasz dom bardzo podoba. Na ogół jest tu wesoło i przyjemnie. Tak brzmią słowa artykułu wstępnego z pierwszego numeru „Gazetki”. W podobnym tonie utrzymane będą teksty pisane do ostatniego numeru. Dzieci rzadko relacjonują w nich okropności gettowego życia, bo w dużym stopniu były od nich odizolowane. Przeważają sprawy organizacyjne, plany sierocińca czy konkursy literackie, np. opisujące zimę. Brulion z 1940 roku jest ilustrowany rysunkami postaci i wydarzeń, z którymi stykały się dzieci. Relacje dziecięcych tragedii przytaczane są sporadycznie i dotyczą wydarzeń sprzed powstania getta. Jedna z dziewczynek pisze o rozstaniu ze swym ukochanym psem, kiedy to Niemcy na placu Kościelnym zastrzelili wszystkie zwierzęta domowe w getcie. Do sierocińca trafiały również dzieci, których rodziców nie było stać na ich utrzymanie. Przejmującą relację zamieszcza w 17. numerze „Gazetki” autor podpisany jako „Tolek”: Pewnego dnia mamusia powiedziała, że pojedę z Jurkiem koleją na kolonie. Ucieszyłem się bardzo i niecierpliwie oczekiwałem dnia wyjazdu. Gdy nadszedł dzień wyjazdu, mamusia zaprowadziła nas do Opieki Społecznej. W opiece kazano mamusi się z nami pożegnać. Potem jedna pani zaprowadziła nas do tramwaju. Zajechaliśmy na Bałucki Rynek. Gdy zeszliśmy z tramwaju, wtedy pani, z którą jechaliśmy, zaprowadziła nas do pana Rumkowskiego. I tu nam się smutno zrobiło i zaczęliśmy płakać, lecz pan Rumkowski uspokoił nas. Mówił, żebyśmy nie płakali. Pośle nas tam, gdzie jest dużo dzieci i będzie nam wesoło i dobrze. Uspokoiliśmy się.

historia – czarne dziury, białe plamy



Pala P.

wios. II rok.

Pamięcie

Było to wczorajem, gdy otam i mamusia na ulicy. Dojechali do nas żołnierz i spytał się, gdzie idziemy. Mamusia nie rozumiała co on mówi, ale mniej więcej się domyśliła, tylko udawała, że nie słyszy i chciała pójść dalej. Ale żołnierz powiedział żeby z nim poszła. Mamusia chciała mnie zabrać ze sobą, ale żołnierz powiedział żeby mnie zostawiła na ulicy i poszła z mamusią. Długo czekałam na ulicy, ale na darmo. Po kilku godzinach wygłodzona i drżąca z zimna, poszłam do sąsiadki i jej powiedziałam o wszystkim. Sąsiadka wzięła mnie do siebie, myślałam, że niedługo przyjdzie mamusia. Minęło kilka dni i mamusi nie było. Wtedy sąsiadka poszła ze mną do quinny, a tam dostała karteczki, że mam być w domu. Po kilku miesiącach przyjechała do mnie mamusia. Tak się ze mną całowała jakby mnie dwa lata nie widziała. Spytałam się gdzie była, ale mamusia nie chciała mi powiedzieć. Dala mi różne rzeczy do jedzenia i odešla. I jej dotąd nie widzę.



Bójka

Wpada Kuba do jadalni rdyżany i radośny, nowiny i oznajmia, że dzisiaj na kolacji jest jajecznica. Wtem przerywa mu głos Hrosła, wcale nie, bo kartoflane kluski. Kubec w śmiech, ty głupi. Ale ja wyraźnie widziałem na tacy kartoflane kluski. Sie drze obok niego. Idek zaczyna się śmiać i durić z niego. I doszło do sprzeczki. Sprzeczali się dość długo. W końcu doszło do bitwy.

Zjedliśmy bułki z masłem i wypiliśmy kakao. Później pan Rumkowski kazał jednemu panu zaprowadzić nas tutaj. Na początku pan Wacker zapytał Jurka, gdzie chce pracować na polu czy w ogrodzie. Jurek wołał w ogrodzie. Obiad nie bardzo nam smakował, bo w mieście jedliśmy lepsze obiady. Po obiedzie chłopcy oprowadzali nas po całym domu i podwórzu. Szybko się zaprzyjaźniłem z chłopcami i jest mi dobrze i wesoło.

Jednak dzieci świadome były swojego położenia i mimo izolacji towarzyszył im lęk. Niewiele w „Gazetce” jest miejsc, gdzie dzieci dają upust swojemu żalowi. Inna z autorek, Halina, nie ukrywa, że cierpi i w formie bardzo dojrzałej odwołuje się do lamentu: *Nowy Rok zastał nas w getcie pogrążonych w wielkiej rozpacz. Nie jest już to Nowy Rok, po którym można się spodziewać naprawdę czegoś nowego. Nie będziemy teraz prosić Boga o przebaczenie nam naszych grzechów, gdyż nie my zawiniliśmy, że jesteśmy teraz w takim położeniu. Jeżeli już, to Przeznaczenie jest winne. Nie od nas zależało, jakiej narodowości mieliśmy być. Nie będziemy też prosić o zdrowie naszych bliskich. Nie jest to dzisiaj ważne. Siedząc w zamkniętych murach getta, tego Symbolu hańby naszej i głupoty średniowiecznej (dziś już niestety wieku cywilizowanego). Odcięci jesteśmy od świata, żadnych nowin, żadnych wieści, żadne echo świata ludzkiego nie przedostaje się do naszego grobu, w którym nas żywcem zamurowano.*

Dla sierot bezsprzecznie ważną postacią był Chaim Rumkowski, który przyjeżdżał na Marysińską, by osobiście dopilnować spraw organizacyjnych domu i spotkać się z wychowankami. Był przez nich przyjmowany jak ojciec i dobroczyńca, zawsze przywoząc nieosiągalne rarytasy, jakimi w getcie były słodycze. Radosne przyjęcie przygotowywali wychowawcy, licząc na korzystne dla domu decyzje Rumkowskiego, demonstrującemu szczególną „opiekuńczość” wobec dzieci. Jeden z numerów „Gazetki” poświęcony został w całości wizycie przełożonego starszeństwa, w którym dzieci dają wyraz uwielbieniu swojego opiekuna. Jedno z wychowanków pisze:

*My Pana Prezesa kochamy
I jako Przyjaciela Dzieci zauważamy
A gdy przychodzi do nas w odwiedzin
Każdy ma już wesołe miny.
Gdy Pan Prezes do szkoły przychodzi
Zaraz do każdej klasy wchodzi
i pyta każdego
czy się dobrze w szkole czuje
bo nie lubi, gdy ktoś próżnuje.*

Chaim Rumkowski jest niewątpliwie postacią kontrowersyjną. Opinie o zasługach przewodniczącego jako przywódcy getta są wśród współczesnych badaczy i ocalonych mieszkańców podzielone. Niektórzy uważają, że Rumkowski otarł się o kolaborację, a jego rządy w getcie wyręczały Niemców w procesie eksterminowania Żydów. Inni twierdzą, że sprawnie pracująca na potrzeby armii niemieckiej fabryka, którą

z getta uczynił przewodniczący, ocalała wiele istnień. Podobne pytania rodzą się wokół zaangażowania Rumkowskiego w opiekę nad sierotami. Jeszcze przed wojną opinia prężnego i zasłużonego organizatora sierocińców łączyła się z pogłoskami o molestowaniu przez niego dzieci. Cecylia Landau, współpracownica przewodniczącego w getcie, poświęciła tej sprawie wydaną w USA książkę, podając relacje i opisując własne doświadczenia z łódzkiego getta. Przytacza w niej opowieść Dory, wychowawczynie sierocińca na Marysinie: *Kiedy przyjechał w grudniu z wizytą, rozgościł się w pokoju dyrektora i kazał przysłać do siebie parę dzieci. Przeglądał dziennik lekcyjny, chwalił za dobre oceny. Po godzinie zawołał Manię. Dziewczynka witała go od progu, uśmiechając się radośnie. Rumkowski wziął ją za rękę i zamknął drzwi od środka. Za chwilę usłyszeliśmy przeraźliwy płacz dziecka i pełne bólu krzyki. Nie wiedzieliśmy co robić. Jak idioci i tchórze czekaliśmy, nie odważając się zapukać. W końcu Rumkowski otworzył drzwi, wypychając gwałtownie szlochającą Manię. Jej popielata twarz tonęła we łzach. Prawy rękaw sukienki pękł w szwach, a w wypchanej kieszeni tkwiły zmięte majtki. Wzięłam ją za rękę i zaprowadziłam do mojego pokoju. Nalałam ciepłą wodę do miski, umyłam ją i położyłam spać³.*

Ośmioletnia Mania nie mogła poradzić sobie z szokiem po spotkaniu z Rumkowskim. Zamknęła się w sobie, płakała. Jakiś czas później uciekła z sierocińca. Poszła do granic getta. Pod drutami zastrzelił ją niemiecki strażnik. Kiedy Rumkowski dowiedział się o śmierci Mani, wpadł we wściekłość. Opiekunka Dora powiedziała przewodniczącemu, że Mania zmieniła się po jego ostatniej wizycie, co Rumkowski uznał za insynuację i wyrzucił opiekunkę z pracy. Pracownicy ośrodka byli postawieni w rozdzierającej sytuacji. Starając się zapewnić dzieciom i sobie godziwe warunki życia, musieli przymknąć oko na kaprysy i zachcianki przywódcy getta.

Można przypuszczać, że „Nasza Gazetka” powstawała przez cały okres istnienia sierocińca. Ostatni numer 48/49, z kwietnia 1942, kończy się apelem: *Komunikat. Wyjątkowo wychodzi dziś podwójny numer „Naszej Gazetki” 48 i 49, a to z powodu tego, że chcemy przed rozłączeniem się wydać 50 numer, który wyjdzie w poniedziałek. Redakcja prosi wszystkich, jeżeli pragną napisać jakies okolicznościowe artykuły z okazji 50 gazetki, o nadesłanie tychże do jutra po południu.*

Numer 50. prawdopodobnie nigdy się nie ukazał. Na wiosnę 1942 roku nawet najmłodsze dzieci zostały zmuszone do pracy, by uchronić je przed wywózką. Getto przeczynało zbliżającą się tragedię. 1 września 1942 do dzielnicy żydowskiej weszli Niemcy. Rozpoczęła się *Gehsperre Aktion*, czyli okrutna „Szpera”. Władze niemieckie zażądały od Rumkowskiego wyznaczenia 24 tysięcy osób, w tym dzieci poniżej 10. roku życia i osób powyżej 65 lat, które miały zostać przeniesione poza getto. Wiadomo było, że oznacza to fizyczną likwidację tej najbardziej bezbronnej grupy żydowskiej społeczności. Wtedy też Rumkowski wygłosił dramatyczne przemówienie, w którym deklarował przywiązanie do dzieci i zwrócił się do rodzin, by dobrowolnie wydały swoje potomstwo i osoby starsze. W rezultacie tej akcji Niemcy wywieźli 15 ty-

Wątek 2.
współczesność

Jak płynięcie rzeki na Marysinie

Co to jest Marysin chyba wszyscy wiecie. Wiecie, że na Marysinie nie stały się wszystkie zakłady i otrzymały wspólną nazwę Marysin. A początkowo jakoś niechętnie spoglądały dwie jedne zakłady na drugi. A potem nawiązała się rywalizacja przyjacielska. Czasami ktoś się z kimś pobija, ale po kilku minutach był jego najlepszym przyjacielem lub przyjaciółką. Ale tak dłużej być nie mogło, trzeba było rzec jakos uregulować i unormować. Kiedy dawno się pracowało dla p. Lini i p. Wackera. Przedwzrostkiem należało uważać kto ma jakie dyżury, gdyż od tego zależało czyś domy. Do tej po niedługim czasie wisiła na tablicy kartka, na której wypisane były dyżury. Następnie dnia, kiedy staroś dawał dyżury, lub chłopcy mieli już jakąś pracę, którą sumiennie wykonywali i szli do domu dnia wykonują. Następnie postanowiono bardzo ważną rzecz, rzecz bez której zakłady nie mogły się obejść. Samorząd, gdyż bez samorządu nie można było rozstrzygać różnych rzeczy. Do tej powstał samorząd, który składa się z staroś dawał dyżury i chłopcy pod przewodnictwem p. Lini. Co tygodni lub częściej odbywały się i odbywają się posiedzenia, na których uchwalano różne sprawy. Utworzone komisje sportowa, urzędniczo biblioteczna, dalej opozycja tego jedna z najważniejszych rzeczy. Gazetka. Do gazetki tej wysyłały nam sylaby różne artykuły, wiadomości, oraz rozrywki i myśli. Kiedy nadechodzą sobota, zapraszamy gości i p. Hela jako naszego redaktora, uroczysto odekrytuje gazetkę. Czasami odwiedza nas pan profesor Pankowski, niemiecki oficerowie, lub dzieci z kolonii, którym się nasz dom bardzo podoba. Stałoby się nam tu wesoło i przyjemnie. Chyba podobno jak powiedział p. Hela, wysyłał nam o naszym zakładzie. Kto wie może jesteśmy w tej chwili, że całe Łódź o nas mówi.



historia – czarne dziury, białe plamy

sięcy osób i uśmiercili je w komorach gazowych obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem. Rumkowski do końca starał się ratować swoich podopiecznych z Marysina, których w tym okresie było około tysiąca. Kazał oddzielić dzieci ułomne umysłowo i fizycznie od zdrowych. Starał się działać na zwłokę, więc sam niemiecki naczelnik getta – Hans Biebow przyjechał do sierocińca, by wyznaczyć dzieci do wywózki. Niektóre z załadowanych już na wozy dzieci uciekły. Rumkowski po raz ostatni próbował powstrzymać transport na stację kolejową, proponując Niemcom łapówkę. Ponownie jednak przyjechał Biebow i po kolejnej selekcji pozostali wychowankowie zostali przewiezieni na stację Radegast, a stamtąd do Chełmna nad Nerem, gdzie wszyscy zostali zgładzeni.

Wtedy też dom na Marysinie przestał istnieć. Ale po wielkiej wywózce z getta na ulicach pojawiły się nowe sieroty, których rodzice zostali zamordowani w Chełmnie nad Nerem. Rumkowski nie otworzył już jednak kolejnego sierocińca, by dzieci nie stały się łatwym celem dla Niemców. Po *Gehsperre Aktion* w getcie pozostało również wiele samotnych rodziców. 19 września przełożony starszeństwa zaproponował im, aby adoptowali sieroty, a koszty ich utrzymania miała ponieść gmina.

Ponad sześćdziesiąt lat te ostatnie, nieznane numery „Naszej Gazetki”, należały do Tadeusza Małolepszego, śpiewaka w zespole „Mazowsze”. Po wyzwoleniu Łodzi niespełna osiemnastoletni łodzianin penetrował opustoszały teren po getcie. Tak trafił na zeszyt z numerami „Naszej Gazetki” i zabrał go ze sobą. „Gazetka” stała się jego szczególną pamiątką z czasów wojny. Zabrał ją podczas przeprowadzki do Warszawy i na wiele lat ukrył, strzegąc jak osobiwej tajemnicy. Córka Tadeusza Małolepszego, po jego śmierci, przypomniła sobie o skarbie ojca, kiedy znalazła się w trudnej sytuacji. Zaniósła zeszyt do Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie z propozycją, by w zamian za przekazanie „Naszej Gazetki” do archiwum Instytut pomógł jej znaleźć pracę. Tak też się stało, dzięki czemu wysiłek młodych redaktorów, dających na stronach „Gazetki” naiwne świadectwo wiary w lepsze jutro, przetrwał, choć ich samych pochłonęła Zagłada.

Mateusz Sidor
– publicysta

Reprodukcje „Naszej Gazetki” pochodzą ze zbiorów ŻIH w Warszawie.

Przypisy:

1. Lucille Eichengreen [Cecylia Landau], *Rumkowski and the Orphans of Lodz*, San Francisco 2000.
2. Szmul Rozensztajn, *Notatnik*, Warszawa 2008, s. 113.
3. Lucille Eichengreen, *ibidem*.

Zerwana pamięć

*W poszukiwaniu łódzkich Żydów,
którzy zginęli w Katyniu...*

Łódź skrywa w swych murach wiele tajemnic... Podejmuję się zadania, aby odkryć jedną z nich – odnaleźć nazwiska żydowskich mieszkańców miasta, którzy jako oficerowie Wojska Polskiego zginęli w Katyniu. To podróż do starej Łodzi, dotarcie do kilkunastu pozycji książkowych związanych z tematem. I wreszcie próba znalezienia miejsc zamieszkania tych, których uda mi się ponad wszelką wątpliwość zidentyfikować. Spróbuję spojrzeć na Łódź, w której żyli, ich oczami... Sprawdzę, czy ktoś ich jeszcze pamięta. Zginęli w roku 1940, a więc blisko 70 lat temu! Dziś mieliby 100 lat albo niewiele mniej...

* * *

Jest piątek, 5 czerwca 2009 roku, godzina 11.00. Znajduję się w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. J. Piłsudskiego w Łodzi. Przedemną: *Katyń. Księga Cmentarna Polskiego Cmentarza Wojskowego*. To od niej właśnie postanawiam zacząć swoje poszukiwania.

Księga Cmentarna to tak naprawdę lista polskich jeńców obozu w Kozielsku, zamordowanych przez Sowietów w Lesie Katyńskim w kwietniu i maju 1940 roku, spoczywających na Polskim Cmentarzu w Katyniu. Znalazło się na niej 4406 nazwisk (w tym 2437 ze zdjęciami) głównie policjantów i oficerów Wojska Polskiego (przeważnie rezerwy), a wśród nich jednocześnie wielu prawników, setki nauczycieli szkół powszechnych i średnich, dwudziestu kilku profesorów uniwersyteckich, ponad 300 lekarzy, dziennikarzy i duchownych. Wśród ofiar, oprócz oficerów, znaleźli się też szeregowcy i 22 osoby w ubraniach cywilnych. Odkryto również ciało jedynej kobiety – podporucznika lotnictwa, Janiny Lewandowskiej, córki generała Dowbór-Muśnickiego. Plan likwidacji Polski, poczynając od unicestwienia polskiej inteligencji, był zbrodnią ludobójstwa okrytą przez długi czas złą milczeniem.

Odnalezione groby jako ślady okrutnego mordu badane były już w 1943 roku przez Niemców. Ich zestawienia poczynione na podstawie ekshumacji podają liczbę 4241 (lub 4143) wydobytych ofiar i 200 zwłok, które pozostały w częściowo opróżnionym grobie nr 8. Łącznie 4441. Sprawozdania PCK podają liczbę 4243. Adam Moszyński twierdzi, że zabito 5300 Polaków, zaś Jędrzej Tucholski – 5700.

Przedemną 746 stron cmentarnej książki. Jak wśród tylu nazwisk znaleźć łódzkich Żydów? Zaczynam pracę... Litery, nazwiska, opisy, czasem zdjęcia. Historie ludzkich istnień: narodzin, pracy, schyłku życia. W tym suchym spisie tysięcy nazwisk szukam więc łodzian.

historia – czarne dziury, białe plamy

* * *

Po czterech godzinach mam już wypisanych ponad 30 nazwisk. To zaledwie namiastka... Są wśród nich przemysłowcy tacy jak:

– **Ppor. rez. Brunon Maksymilian BECHTOLD** urodzony w Łodzi w 1893 r. – właściciel fabryki w Łodzi, od 1921 r. dyrektor przedsiębiorstwa handlowego w Poznaniu,

– **Ppor. rez. Dymitr BUDRYN** urodzony w 1892 r. w Warszawie – pełnomocnik Zrzeszenia Przedsiębiorstw Bawełny w Łodzi, czy prawnicy np.:

– **Por. Józef Feliks DEMBICKI-JAXA** urodzony w Łodzi w 1896 r. – wiceprezes Sądu Okręgowego w Warszawie.

I jest pierwsze z żydowska brzmiące nazwisko:

– **Kpt. rez. Leon FAMILIER** – syn Abrama i Liby z Ginsbergów, urodzony 4 lutego 1888 roku w Łodzi. Absolwent uniwersytetu w Berlinie (1913). W 1920 r. ordynator szpitali wojskowych w Łodzi i Łowiczu. Potem lekarz w 65. i 10. pułku piechoty oraz 4. pułku artylerii ciężkiej. Specjalista chorób wewnętrznych i dziecięcych. Mieszkał w Łodzi. Żonaty z Janiną z Turowskich, miał trzech synów: Włodzimierza, Adama i Leona. Biorę do ręki czterotomowe opracowanie Andrzeja Kempy i Marka Szukalaka, które polecił mi jeden z jej współautorów: *Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny*. Tak, to pierwszy zidentyfikowany przeze mnie łódzki Żyd, który zginął w Katyniu. Dowiaduję się jeszcze, że w lutym 1922 roku został na własną prośbę przeniesiony do rezerwy. Po zwolnieniu z wojska praktykował w Łodzi jako internista i pediatra, był też lekarzem domowym Ubezpieczalni Społecznej. I jeszcze jedno: mieszkał w Łodzi przy ulicy 6 Sierpnia 37! W pozycji pojawia się tylko jedna różnica w nazwisku rodowym jego matki: nie Ginsberg, a Ginberg. Współautorzy książki informacje zaczerpnęli z księgi adresowej Łodzi 1937–1939 (Archiwum Państwowe Łodzi – Akta Miasta Łodzi – księga ludności stałej miasta Łodzi). Tam też jadę. Wszystko się zgadza – Leon Familier zamieszkały w Łodzi przy ul. 6 Sierpnia 37.

Mając jedno pewne nazwisko i poświadczony adres, wiem, że ten artykuł uda mi się napisać. Zanim podążę do kamienicy, w której mieszkał Leon Familier, przede mną kolejne mozolne godziny zgłębiania księgi Katynia. Ciekawe, ilu łódzian w niej znajdę?... Ilu łódzkich Żydów?

* * *

Mija kolejny dzień i kolejna godzina. I pojawiają się kolejne ślady:

– **Ppor. rez. Izaak FRENKIEL**, syn Samuela, urodzony 23 czerwca 1904 roku w Łodzi. Członek POW, gdzie był łącznikiem i kurierem. Ukończył studia lekarskie i Szkołę Podchorążych Rezerwy Sanitarnej (1932). Pracował i mieszkał w Łodzi. Czy był Żydem? (Izaak, syn Samuela – chyba tak!). Sprawdzam w *Żydach dawnej Łodzi*, ale tam nie znajduję jego nazwiska. Gmina Wyznaniowa Żydowska w Łodzi odsyła mnie do Marka Szukalaka – jednego ze współautorów książki *Żydzi dawnej Łodzi*, a więc krąg się zamy-

ka... Mieczysław Gumola w swoim artykule *Leczyli w Łodzi, zginęli w Katyniu* wymienia tego lekarza jako osobę żydowskiego pochodzenia. A więc się zgadza. Nie udało mi się jednak do tej pory odszukać adresu, pod którym Frenkiel mieszkał.

W toku dalszych poszukiwań natrafiam na następane żydowsko brzmiące nazwisko:

– **Ppor. w st. sp. Leon FUKS**, syn Mojżesza, urodzony 5 marca 1896 roku w Maciejowie pow. kowelski. Absolwent gimnazjum w Łodzi i Uniwersytetu Warszawskiego. Lekarz, internista, zamieszkały w Łodzi. Jego też nie umieszczono w książce o łódzkich Żydach...

I pewne zaskoczenie. Bardzo znane w Łodzi nazwisko, choć na pewno nie żydowskie:

– **Ppor. rez. Karol Emmanuel GROHMANN**, syn Karola i Olgi ze Schrothów, urodzony 17 września 1897 roku w Łodzi. Absolwent uniwersytetu w Lozannie (1919). Inżynier elektrotechnik. Przemysłowiec, członek Zarządu Scheiblera i Grohmana. Żonaty z Janiną ze Skotnickich. Grohmann – polski oficer z niemieckiego rodu. Zamordowany jako polski patriota, pozostawił w Katyniu kolejny ślad fabrycznej Łodzi... Gwoli pamięci o tym potomku niemieckiej rodziny zapisuję i jego nazwisko cenne dla budowania naszej wiedzy o Łodzi.

W swoich notatkach na pozycji 37 zapisuję:

– **Ppor. rez. Stefana HIRSZBERG**, syn Władysława i Róży z Wiślickich, urodzony 27 grudnia 1894 roku w Łodzi. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego (1925), student uniwersytetu w Paryżu. W 1920 r. był kierownikiem pracowni bakteriologicznej w szpitalu etapowym. To lekarz dermatolog zamieszkały w Warszawie. I znowu sprawdzam w książce Kempy i Szukalaka. Tam go nie ma, ale to nazwisko jest na pewno żydowskie, choć rodzina zapewne od lat spolonizowana.

Zapisuję pozycję 44. To:

– **Major rez. Miron KANTOR**, urodzony 10 marca 1882 roku w Kownie. Syna Mojżesza i Matyldy. Absolwent uniwersytetu w Charkowie (1907). Znany lekarz chirurg zamieszkały w Łodzi. Z pozycji *Żydzi dawnej Łodzi* dowiaduję się, że Kantor studiował medycynę na uniwersytecie w Berlinie, zaś dyplom nostryfikował na uniwersytecie w Charkowie. Zamieszkał w Łodzi w 1910 r., gdzie został zatrudniony jako asystent na oddziale chirurgii Żydowskiego Szpitala im. małżonków Izraela i Leony Poznańskich. W 1913 r. został mianowany nadetatowym lekarzem żydowskich miejskich szkół elementarnych. Jego kariera zawodowa dalej się rozwijała. Został ordynatorem Miejskiego Szpitala Powszechnego na Radogoszczu i konsultantem chirurgicznym Łódzkiego Klubu Sportowego. W 1914 r. został zmobilizowany do armii rosyjskiej, a wzięty do niewoli austriackiej przebywał w obozie jenieckim na Węgrzech. W 1919 r. wstąpił do Wojska Polskiego. Zdemobilizowany powrócił do Łodzi, gdzie zamieszkał przy ul. Legionów 5. Miał żonę Florę z Amzelów (tu: inna litera w nazwisku: z Amselów – zamieszczonym w księdze cmentarnej). Miał syna – Stefana urodzonego 24 maja 1913 roku.

Wertuję dalej księgę cmentarną zbrodni katyńskiej, szukając dalszych łodzian:

– **Ppor. rez. Dawid GODEL**, syn Hirsza i Basi z Milikowskich, urodzony 18 kwietnia 1913 roku w Wilnie. Mgr farmacji, pracownik apteki w Łodzi. Żonaty z Rachelą z Zytlerów,

– **Ppor. rez. Pinkus KAMIENIECKI**, syn Dawida i Chai z Liskierów. Urodzony 16 marca 1906 roku w Łodzi. Lekarz. Studia medyczne ukończył w Genewie. Dyplom nostryfikował w 1937 r. na uniwersytecie w Wilnie,

– **Ppor. rez. Chuna Zelik Zygmunt PAJEWSKI**, syn Mojżesza i Ewy z Karpowskich, urodzony 20 października 1897 roku w Łodzi. Lekarz, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Żonaty, miał synów: Anatola i Bolesława.

* * *

Kolejne żydowsko brzmiące nazwiska niepotwierdzone w innych pozycjach:

– **Ppor. rez. Izaak ROZENFELD**, syn Eliasza i Kajli z Torończyków, urodzony 23 grudnia 1897 roku w Łodzi. Lekarz, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego (1926). Żonaty z Belą Bussel, miał dziecko,

– **Ppor. rez. Anatol SIMCHOWICZ**, syn Szepsła i Juchwety z Frankłów. Urodzony 19 czerwca 1910 roku w Łodzi. Absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego (1937) i Szkoły Podchorążych Rezerwy Sanitarnej. Specjalizował się w chirurgii.

* * *

Czasem ani imię, ani nazwisko nie kojarzy się z żydowskimi korzeniami. Ale w moich zapiskach to już 94. osoba mająca coś wspólnego z Łodzią. Zapisuję:

– **Major rez. Henryk SZYDŁOWSKI**, syn Samuela i Salomei z Jakubowskich, urodzony 15 października 1884 roku w Łodzi. Był absolwentem Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu w Getyndze (1914). W 1915 r. został zmobilizowany do armii rosyjskiej. Od marca 1919 roku w Wojsku Polskim z przydziałem do Szpitala Okręgowego w Łodzi. Sprawdzam w książce *Żydzi dawnej Łodzi*. Jest dr Henryk Szydłowski. Mieszkał w Łodzi przy ulicy Żeromskiego 102.

Na pozycji 102 zapisuję kolejne żydowsko brzmiące nazwisko, które niestety nie widnieje w żadnych innych źródłach. Ale nie wolno pominąć i tego oficera rezerwy:

– **Ppor. rez. Paweł WAJKSELFISZ**, syn Abrama i Anny, urodzony 13 października 1907 roku w Łodzi. Absolwent Szkoły Włókienniczej w Łodzi (1928).

* * *

Znajduję ślad czwartego, bardzo dokładnie udokumentowanego (według źródeł) łódzkiego Żyda, który zginął w Katyniu, choć podczas ekshumacji takich

zwłok nie zidentyfikowano. Ślad potwierdzony w *Żydach dawnej Łodzi*. To:

– **Ppor. rez. Jakub WELLER**, syn Natana i Chai (Heleny) z Keldów, urodzony 29 lipca 1895 roku w Łodzi. W 1924 r. ukończył Wydział Lekarski Uniwersytetu Warszawskiego. Był lekarzem domowym Ubezpieczalni Społecznej w Łodzi. Żonaty ze Stefanią (Szewą) ze Spirów. Miał syna Tadeusza. Sprawdzam w Archiwum Państwowym Łodzi – był zameldowany przy ulicy Piotrkowskiej 225.

* * *

Mija 12. godzina mojego mozolnego śledztwa w oparciu o cmentarną księgę. Czytam nazwisko po nazwisku, opis po opisie... Na pozycji 110. zapisuję kolejne „żydowsko” brzmiące nazwisko niepotwierdzone w innych pozycjach. To:

– **Kpt. posp. rusz. Elias Hirs WIGDOROWICZ**, syn Oszera i Goldy z Arkinów, urodzony 21 października 1881 roku w Łuninie na Grodzieńszczyźnie. Absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu w Paryżu (1912). W 1920 r. w Szefostwie Służby Sanitarnej Dowództwa Okręgu Generalnego Łodzi. Lekarz w Szpitalu Żydowskim na Czystem w Warszawie. Żonaty z Wierą z Meissnerów. Miał córkę Noemi.

Znajduję jeszcze jedno nazwisko, które muszę ocalić od zapomnienia:

– **Por. rez. Aleksander Rosenzweig**, syn Leona i Racheli w 1939 r. mieszkał w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 130. Był prawnikiem, pracował w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych.

* * *

Zbliżam się do końca. Mija 13. godzina w czytelni biblioteki. Kończę swoje notatki numerem 124 (lub 125 – w którym jest mowa tylko o Radogoszczu). Przypomnijmy: to liczba osób mających związek z Łodzią, które zginęły w Katyniu. Co o tym wie dzisiaj przeciętny łodzianin?

Zróbmy kolejne zestawienia:

Wśród wypisanych przeze mnie nazwisk znajdują się dane osobowe kilku łódzkich Żydów, ale ich liczba może być większa. Warto więc podjąć dalsze udokumentowane badania. Trzeba zauważyć, że spośród wspomnianych 124 ofiar Katynia, mających jakiś związek z naszym miastem, 81 urodziło się w Łodzi. Reszta uczyła się tu lub pracowała.

Kolejne moje zestawienie dotyczy grup zawodowych. Oto one w przybliżeniu:

lekarze – 22 osoby,
nauczyciele – 11,
dowódca Wojskowej Szkoły Samochodowej – 1,
solista Chóru „Harfa” – 1,

pracownicy Urzędu Skarbowego i Izby Skarbowej – 3,
współwłaściciel, właściciel fabryki w Łodzi – 2,
przemysłowiec – członek Zarządu Scheiblera i Grohmana – 1,
technik włókiennik – 5,
dziennikarz – 3,
dyrektor Wydawnictwa „Nowy Kurier” w Poznaniu – 1,
mgr farmacji – 2,
właściciel apteki w Łodzi – 1,
właściciel drukarni – 1,
kierownik farbiarni w Łodzi w zakładach włókienniczych – 1,
Pełnomocnik Zrzeszenia Przedsiębiorców Bawełny w Łodzi – 1,
Radca w Urzędzie Wojewódzkim w Łodzi – 1,
inżynierowie w tym w: Wydziale Dróg i Mostów Zarządu m. Łódź, naczelny inżynier Łodzi, inżynier w zakładzie w Starachowicach, inżynier Budownictwa Lądowego Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi – 6,
technik Budownictwa Lądowego w Magistracie m. Łodzi – 1,
dyrektor handlowy Fabryki WYROBÓW Bawełnianych – 1,
prawnik – 6 (w tym: wiceprezes Sądu Okręgowego w Warszawie – 1 i sędzia grodzki Łodzi – 2),
inspektor Służby Więziennej w Łodzi – 1,
komisarz Państwowej Policji w Łodzi – 1,
dyrektor Litografii Artystycznej W. Głowczewskiego w Warszawie – 1,
księgowy w Wytwórni Kłódek – 1,
kapelan – administrator parafii grekokatolickiej w Łodzi – 1,
pracownik Zarządu Kolei Elektrycznej – 1,
urzędnik bankowy – 2 (w tym Urzędnik Banku Polskiego – 1),
księgowy w banku – 1,
urzędnik w Zarządzie Miejskim w Łodzi – 5,
inżynier leśnik – 2,
piłkarz RTS „Widzew” – 3,
inżynier rolnik – 1,
harcerz – 3,
pracownik Wojskowego Instytutu Geograficznego – 1,
architekt – 2,
kierownik składów telefonicznych w Łodzi – 1,
historyk – 1,
kierownik Administracji Koszar w Łodzi – 1,
pracownik Polskich Zakładów Marconiego w Warszawie,
właściciel biura handlowego – 1.

Mieczysław Gumola w swoim artykule *Leczyli w Łodzi, zginęli w Katyniu* wymienia jeszcze 5 nazwisk polskich lekarzy pochodzenia żydowskiego, którzy zginęli w Katyniu. Są to:

- **Adolf Abram ENGEL**, urodzony w 1886 r., ginekolog i położnik,
 - **Josef (Jozef) FRENKIEL** (Frejnkell), pediatra z Łodzi, pracował w szpitalu dziecięcym Anny Marii,
 - **Napoleon (Natan) JELENKIEWICZ**, urodzony w 1898 r., internista, lekarz miejski i ordynator oddziału wewnętrznego szpitala w Radogoszczu,
 - **Stefan KIELSON**, urodzony w 1890 r., szef oddziału rentgenologicznego szpitala Izraela Poznańskiego
- oraz
- **Natan KIJAK**, urodzony w 1895 r., internista, lekarz Łódzkiej Kasy Chorych.

* * *

Mam cztery adresy, pod którymi zameldowani byli łódzcy Żydzi – udokumentowane ofiary mordu katyńskiego. Na początek zajmę się **Jakubem WELLEREM** (1895–1940), zamieszkałym w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 225. Wchodzę do zadbanej, choć tkniętej znamionami czasu klatki schodowej. Mam wielkie szczęście – otwiera mi drzwi najdłużej żyjący w tym miejscu Zbigniew Tadeuszak. Urodził się w 1954 r. i zaraz po narodzinach zamieszkał w tej kamienicy. Jego rodzice wprowadzili się tu dwa lata wcześniej. Opowiadali, że wcześniejsi lokatorzy zostali w czasie wojny stąd wysiedleni. Była to przecież reprezentacyjna kamienica przy Adolf Hitlerstrasse, którą zajęli Niemcy. Od obecnej współwłaścicielki dowiaduję się, że jej dziadkowie kupili tę kamienicę na jakiś czas przed wojną. Jej babcia zmarła w 1939 r., dziadek – wcześniej. Musieli więc znać Jakuba Wellera. Współwłaścicielka potwierdza, że w czasie wojny mieszkali tam Niemcy, ale jej ojciec wprowadził się tam dopiero w 1946 r. i nigdy nie opowiadał o Jakubie Wellerze – lekarzu Ubezpieczalni Społecznej – sprzed wojny. Nie zachowały się księgi meldunkowe – a więc ślad się urywa. Mogę tylko popatrzeć na wewnątrz i wyobrazić sobie łódzkiego lekarza, który tu mieszkał.

Kolejny adres – ulica 6 Sierpnia 37, gdzie zameldowany był internista i pediatra, lekarz domowy Ubezpieczalni Społecznej – **Leon FAMILIER** (1888–1940). To również najładniejszy budynek w pobliżu. Ładna elewacja, choć nadszarpnięta przez upływający czas. Docieram na III piętro do najdłużej żyjącej w tym miejscu Elżbiety Augustyniak. Jest niedosłysząca i ma 74 lata. Rozmawiam z nią przez jej synową. Pani Elżbieta wprowadziła się tu 59 lat temu, gdy miała 15 lat. O Leonie Familierze nikt nigdy jej nie wspominał... Jej mama, która zmarła 5 lat temu w wieku 95 lat, też niczego nie opowiadała – wprowadziła się tu bowiem dopiero w 1950 roku. To był pustostan... O nikim zamieszkałym w tym miejscu nigdy nie słyszała. Wiadomo tylko, że nadal jest to kamienica prywatna. Obecni czterej właściciele mieszkają w USA. Administracją zajmuje się spółka z Warszawy.

Patrzę na ściany budynku, na które kiedyś spoglądał Leon Familier, o którego życiu mogą tak naprawdę opowiadać tylko zapiski urzędowe, jak chociażby księgi meldunkowe. Już wiem, po co jest ta cała administracja i biurokracja – to między innymi zapis historii ludzkich istnień...

W swoich poszukiwaniach docieram do Łódzkiego Stowarzyszenia „Rodzina Katyńska” mającego swoją siedzibę w Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi przy ulicy Gdańskiej 13. Prezes zarządu stowarzyszenia Janusz Lange, analizując życiorys Leona Familiera, stwierdza, iż pracował on z jego ojcem – zamordowanym w Charkowie, w 4. pułku artylerii ciężkiej w Łodzi. Nigdy o nim jednak wcześniej nie słyszał...

Szukam kolejnych śladów... Tym razem **Mirona (Michała) KANTORA** (1882–1949) zamieszkałego w Łodzi przy ulicy Legionów 5. Docieram do krótkiego odcinka tejże ulicy między Zachodnią a placem Wolności. Tu nie jest łatwo o jakiegokolwiek informacje. Nieufni ludzie (nieinteresujący się życiem sąsiadów) podają jednak kolejne numery mieszkań. Moją bytność w tej kamienicy kończę na rozmowie z najdłuższymi tu: Marią (78 lat) i Piotrem (94 lata) Dłużakami. Ale wprowadzili się tu w 1958 r., a więc – jak sami twierdzą – nie mogli o Mironie Kantorze słyszeć... Opowiadają tylko, że kiedyś cały ten budynek zamieszkiwali łódzcy Żydzi.

I znowu zwracam się z prośbą do Stowarzyszenia „Rodzina Katyńska”. Pan Lange twierdzi, że kuzyni Mirona Kantora mieszkają w USA, ale nie mają kontaktu z łódzką rodziną katyńską. Jego nazwisko, jak sobie przypomina, widnieje jednak na pierwszym, jaki powstał w Polsce, Pomniku Katyńskim w Łodzi, przed kościołem Matki Boskiej Zwycięskiej, przy ulicy Łąkowej 27. Oprócz nazwiska Mirona Kantora, innych znalezionych przeze mnie nazwisk może nie być, bowiem pomnik powstawał przed ukazaniem się cmentarnej księgi...

I ostatni adres, którego szukam... to Żeromskiego 102, gdzie mieszkał Henryk Szydłowski (1884–1940), także żydowski lekarz. I tu niestety spotyka mnie smutny widok: żadnego budynku pod tym adresem nie ma. Między posesjami: Żeromskiego 96 a Żeromskiego 110 znajduje się wiadukt nad aleją Mickiewicza i niedawno wybudowany Hotel „Qubus”. To ślady współczesnej Łodzi, która czasem grzebiąc mury, grzebie pamięć...

Próbując ją choćby na chwilę wskrzesić, cofam się do Łodzi najlepszych lat życia tych żydowskich ofiar zbrodni katyńskiej.

Miron Kantor miał 18, Henryk Szydłowski 16, Leon Familier 12 i Jakub Weller 5 lat, kiedy w 1900 r., 18 kwietnia umierał Izrael Kalmanowicz Poznański – wielka postać łódzkiego przemysłu bawełnianego. Miron Kantor (ur. w Kownie w 1882 r.) mógł o nim tylko słyszeć, gdyż w Łodzi zamieszkał dopiero w 1910 roku.

Za życia trzech z nich (wliczając w to Kantora) 1 lutego 1889 roku zmarł inny łódzki przemysłowiec – Ludwik Grohman. Miron Kantor – najstarszy z czterech opisywanych przeze mnie łódzkich żydowskich lekarzy – urodził się zaledwie rok po śmierci największego łódzkiego przemysłowca – Karola Scheiblera.

Dwóch z nich – bez najmłodszego Jakuba Wellera (ur. w 1895 r.) i najstarszego, niemieszkałego wtedy jeszcze w Łodzi – Mirona Kantora, było naoczniymi świadkami zamknięcia starego cmentarza żydowskiego (1892 r.), na którym i tak odbywały się nadal pochówki osób, które wykupiły wcześniej miejsca spoczynku. Ostatnie złożenie tam ciała miało miejsce w 1922 r., kiedy wszyscy czterej lekarze byli już dorośli. Dwaj najstarsi lekarze (bez Jakuba Wellera i Mirona Kantora) byli też świadkami powstania w 1892 r. nowego cmentarza żydowskiego przy ul. Brackiej. Dwóch najstarszych (pomijając Kantora) było świadkami rozpoczęcia budowy neogotyckiej katedry im. św. Stanisława Kostki (1901 r.). Ukończono ją w 1912 r., gdy nasi lekarze mieli: 30, 28, 24 i 17 lat.

Za życia wszystkich czterech, bo w latach 1909–1928 wznoszono kościół ewangelicko-augsburski św. Mateusza przy ulicy Piotrkowskiej. Ich rodzice, a może i dziadkowie, byli naocznymi świadkami rozwoju Łodzi, o której uczy się łódzkich przewodników. Sami widzieli nie tylko rozwój, ale i zawirowania łódzkich dziejów – chociażby strzelaninę i demonstracje w 1905 roku.

A jak wyglądała wtedy łódzka medycyna?

Otóż od lat 40. XIX wieku w Łodzi funkcjonował tylko jeden miejski szpital im. św. Aleksandra, który nie mógł zapewnić wszystkim chorym łodzianom należytej opieki. Z tego też powodu najzamożniejszy członek gminy żydowskiej – Izrael Kalmanowicz Poznański zobowiązał się do wybudowania na początku 1881 roku, na własny koszt, dwupiętrowego murowanego budynku (ze sprzętem szpitalnym) i pokrywać w przyszłości wydatki związane z jego ogrzewaniem i oświetleniem. Resztę wydatków (na żywność, lekarstwa, pensje lekarzy) miała ponieść gmina żydowska. Inne koszty miały być pokrywane z opłat za leczenie chorych z Łodzi i okolicznych miast. Miał być on wzniesiony u zbiegu ulic Północnej i Targowej (obecnie S. Sterlinga).

W okresie przygotowań do budowy Poznański wynajął przy DREWnowskiej prywatny dwupiętrowy budynek, w którym urządzono tymczasowy szpital dla Żydów (1882 r.). Było w nim 20 łóżek, a w trzy lata później 34. Przy szpitalu stworzono ambulatorium internistyczne, w którym udzielano bezpłatnie porad bez względu na wyznanie.

W międzyczasie, w 1884 r., nastąpiło w Łodzi otwarcie pierwszego nieżydowskiego, wzorcowego, fabrycznego szpitala w skali Królestwa Polskiego, pod wezwaniem św. Anny przy zakładach Karola Scheiblera.

Otwarcie nowego szpitala przy ul. Targowej, budowanego przez najbogatszego Żyda, nastąpiło w październiku 1890 roku. Nazwano go Łódzkim Żydowskim Szpitalem im. Izraela i Leony Poznańskich. Podjęli w nim pracę najwybitniejsi łódzcy lekarze żydowskiego pochodzenia, m.in. Seweryn Sterling. Przypomnijmy, że to w nim właśnie od 1910 r. został zatrudniony jako asystent na oddziale chirurgii – Miron Kantor. Za 30 lat miał z przestrzeloną potylicą wpaść do katyńskiego dołu śmierci.

Zakończyłam swoje dochodzenie na temat łódzkich Żydów, którzy zginęli w Katyniu. I mam wrażenie, że pomordowani zostali zapędzeni w jakąś zdradziecką czarną dziurę. Choć chcieli przekazać naturalną sztafetę życia kolejnemu pokoleniu – stracili swoje istnienie bezpowrotnie. Kiedy oni tracili swoje życie w katyńskich dołach ich rodziny zmierzały do unicestwienia w łódzkim getcie, w Chełmnie nad Nerem czy w Auschwitz-Birkenau. Dlatego ich najbliższych nie ma wśród licznych członków Rodziny Katyńskiej.

Ps. Droga, którą przebyłam w moim dziennikarskim dochodzeniu, dotyczy tylko Katynia. To jednak nie koniec moich starań o odkrywanie absurdów historii i bolesnego tła niemiecko-sowieckiego okrucieństwa. Na razie zamykam ten rozdział historii, ale kto wie, może za rok pokuszę się o kolejną analizę łódzkich Żydów, tym razem ofiar z Charkowa. Mam już pierwszy ślad:

– **Seweryn Aleksander KLOZENBERG**, urodzony 10 czerwca 1908 roku, syn Fabiana, mieszkał w Łodzi przy ul. Narutowicza 37. Zginął w Charkowie...

Małgorzata Sas-Witusik
– dziennikarka

Bibliografia:

1. *Katyrń. Księga cmentarna Polskiego Cmentarza Wojennego*, Wyd. przez „Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa”, Warszawa 2000.
2. A. Kempa, M. Szukalak, *Żydzi dawnej Łodzi. Słownik biograficzny*, tom I–IV, Oficyna Bibliofilów, Łódź 2001–2004.
3. M. Budziarek, *Krzyk o tragedii*, „Piotrkowska 104”, październik 2005.
4. Internet: M. Gumola, *Leczyli w Łodzi. Zginęli w Katyniu*.
5. *Charków. Księga cmentarna Polskiego Cmentarza Wojennego*, pod red. J. Ciesielskiego, Warszawa 2003.
6. *Księga adresowa Łodzi – APŁ*, Akta m. Łodzi, Księga ludności stałej m. Łodzi.
7. *Łodzianie pochodzenia żydowskiego ofiarami mordy katyńskiego. Komunikat wstępny*, [w:] M.M. Blomberg, A. Felchner, *Zagłada Żydów z getta łódzkiego*, Łódź 1994.
8. J. Fijałek, J. Indulski, *Opieka zdrowotna w Łodzi do roku 1945. Studium organizacyjno-historyczne*, Z.G.W.N, Łódź 1990.
9. A. Kulazińska, M. Szukalak, *200 lat Żydów w Łodzi*, Oficyna Bibliofilów 2006.
10. W. Puś, *Żydzi w Łodzi w latach zaborów 1793–1914*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1998.
11. A. Moszyński, *Lista katyńska. Jeńcy obozów Kozielsk, Ostaszków, Starobielsk. Zaginieni w Rosji Sowieckiej*, Agencja „OMNIPRESS” i Polskie Towarzystwo Historyczne, Warszawa 1989.
12. Internet – „Forum Żydów Polskich. Żydowskie Ofiary Zbrodni Katyńskiej”.
13. Internet – Dzieje Łodzi.

Łódzianie

Zniknięcie „Saturatora”

Bolesław Lesman (1924–1977)

Paweł Spodenkiewicz

str. 215

Wybitny botanik

Jakub Mowszowicz (1901–1983)

Danuta K. Gruszczyńska

str. 220

Byłem w łódzkim getcie

Wspomnienia z czasów grozy

Michał Seweryn Erlicki

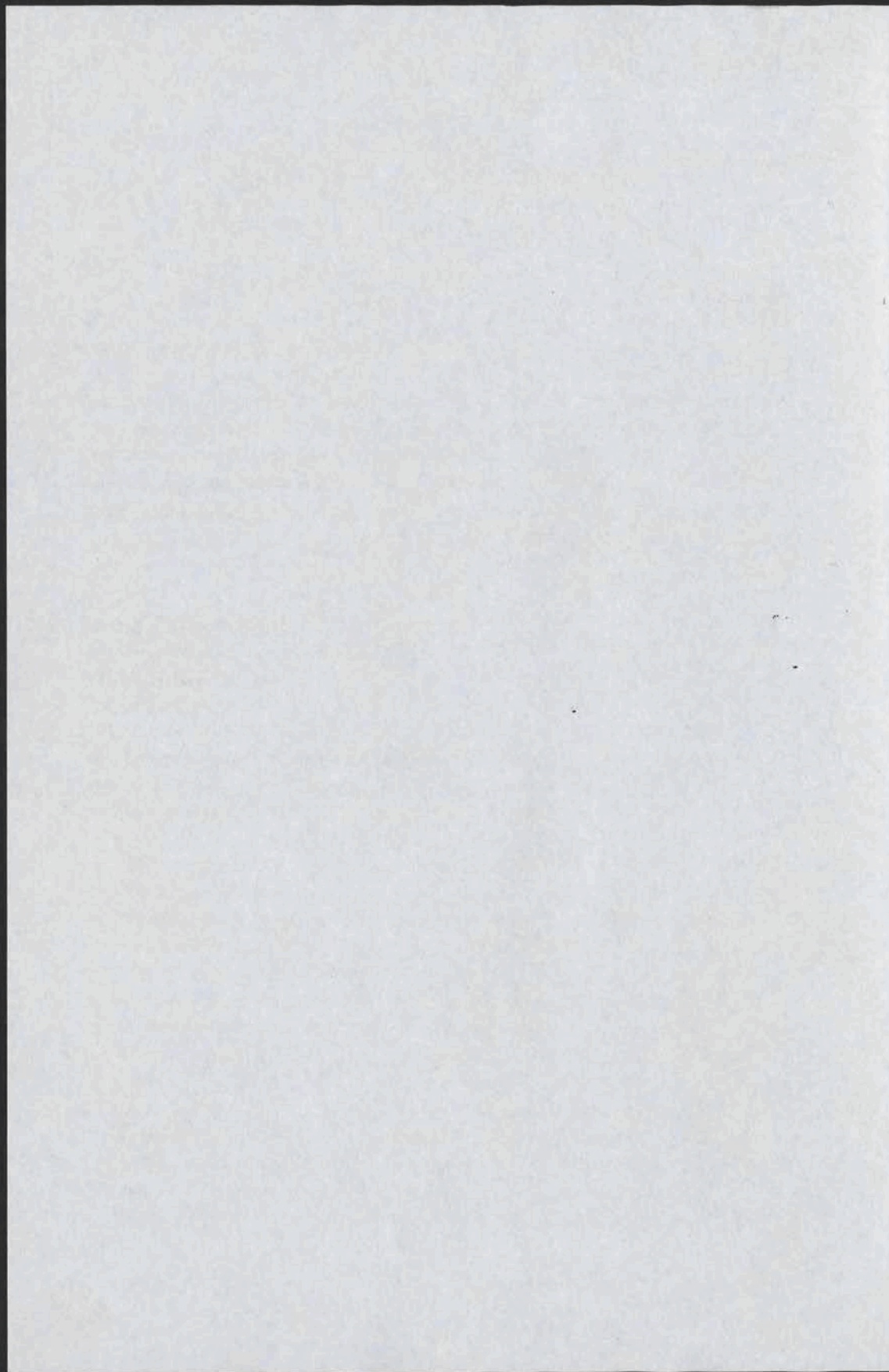
str. 227

Amerykańska biografia trudnego łódzianina

Michel Thomas, potomek Konów

Marcin Kieruzel

str. 237



Zniknięcie „Saturatora”

Bolesław Lesman (1924–1977)

Łódzianie

Na pytanie o najciekawiej opisany wizerunek międzywojennej Łodzi, wielu miłośników miasta wskazuje bez wahania na książkę Bolesława Lesmana *Recepta na miliony*. Wielu też szuka dziś informacji na temat autora tej książki, o którym przez całe lata wiadomo było tylko to, że pracował jako reporter w „Expressie Ilustrowanym”. Zdawało się, że przemknął on przez Łódź jak zbłąkany elektron i nie zostawił żadnego śladu. Dzięki dokumentom odnalezionym niedawno w archiwach RSW „Prasa” i łódzkiego oddziału Instytutu Pamięi Narodowej można jednak ustalić przynajmniej podstawowe fakty z jego tragicznego życia.

Wydana w roku 1967 *Recepta na miliony* opowiada o losach przedwojennego fabrykanta – Oskara Kona, właściciela Widzewskiej Manufaktury, osoby – jak wiadomo – nieszablonej, łączącej drapieżność nowoczesnego przemysłowca z zainteresowaniami i aspiracjami talmudysty. Ta książka jest jednak czymś więcej niż typową biografią, bowiem można w niej znaleźć także ciekawy wizerunek kultury i obyczajów środowiska łódzkich fabrykantów, ze szczególnym uwzględnieniem ich działalności finansowej. Autor *Recepty na miliony* powtórzył za Paulem Valerym, że *człowiek żyje i porusza się wśród tego, co widzi, ale widzi to, o czym myśli*. Skoro zatem Lesman miał do czynienia z przemysłowcem i finansistą, głównym tematem swej książki uczynił pieniądze.

Budzi szacunek sprawność, z jaką autor *Recepty na miliony* przedzierał się przez gąszcz najrozmaitszych machinacji pieniężnych. Na pewno przesiedział wiele tygodni w archiwach, przewracając karty protokołów zarządu Widzewskiej Manufaktury i śledząc słupki sprawozdań finansowych. Udało mu się też dotrzeć do ważnych świadków opisywanych wydarzeń – tu okazał wyraźną żytkę reporterską. Źródłem wielu poufnych danych o Oskarze Konie i jego synach był tajemniczy „mecenas M.”, zorientowany w skrytych operacjach finansowych tego magnata przemysłowego. A to dlatego, że niekiedy doradzał fabrykantowi w interesach, a ponadto grywał z nim w brydża i przy okazji wiele rozmawiał. *Jako znany adwokat, zaliczający się do najlepszych znawców prawa handlowego i cywilnego w Polsce, a przy tym doskonały praktyk, miał wielu klientów wśród ludzi bardzo bogatych. Praktyka i pozycja zawodowa wymagały, aby utrzymywał z nimi także kontakty towarzyskie* – charakteryzował go Lesman, nie zdradzając jednak przed czytelnikiem jego tożsamości, co – jak wyjaśnił – należało do warunków umowy, jaką zawarł z tajemniczym informatorem.



Szewc bez butów chodzi: o autorze tak wybitnej biografii, jaką stanowi *Recepta na miliony*, wiadomo było zdumiewająco niewiele. Po śmierci Bolesława Lesmana nie wydrukowano, o ile mi wiadomo, żadnego nekrologu, nikt też nie poświęcił mu artykułu czy choćby wspomnienia. Wśród kompletowanych przez Bibliotekę im. J. Piłsudskiego biogramów pisarzy związanych z Łodzią nie ma jego nazwiska, choć opisano tam wiele osób mniejszego kalibru. Po prostu ten ważny dla historii Łodzi dziennikarz rozplynął się w czasoprzestrzeni.

Na szczęście nie do końca. W zdekompletowanym krakowskim archiwum dawnej Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej (wydawcy m.in. także „Expressu Ilustrowanego”) zachowała się

teczka osobowa Lesmana z obszernym życiorysem oraz ankietą personalną. Pozwała to jednak ocalić jego osobę od całkowitego zapomnienia. Z dokumentów tych wynika, że przyszły dziennikarz przyszedł na świat w Łodzi 13 listopada 1924 roku. Legendy o jego rzekomym fabrykanckim pochodzeniu, jakie krążyły po wojnie wśród kolegów dziennikarzy, były krojone na wyrost. *Ojciec mój, w młodości woźnica, po śmierci dziadka w 1935 roku objął, jako spadek po nim, kierownictwo fabryczki wody sodowej, w której oprócz czterech braci ojca – współwłaścicieli przedsiębiorstwa – pracowało stale 6 do 10 pracowników najemnych* – czytamy w życiorysie. Fabryczka, mieszcząca się przy ul. Targowej 38 i Wodnym Rynku 14, nie była zapewne jakimś wyjątkowo intratnym interesem. Status materialny umożliwił jednak młodemu Bolesławowi podjęcie nauki w dobrym gimnazjum, gdzie do wybuchu wojny zdołał ukończyć trzy klasy.

Gdy po wkroczeniu wojsk niemieckich do Łodzi w roku 1939 zaczęły się szykany wobec ludności żydowskiej, Lesman z rodzicami i młodszym bratem przeniósł się do Główna. Tam rodzina dotrwała do wiosny 1940 roku, po czym przedostała się do Skierniewic. Utrzymywała się – „na głodowym poziomie” – z prac dorywczych i pokątnego handlu. Wiosną 1941 roku Lesmanowie trafili do getta w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie Bolesław rozpoczął pracę w Piotrkowskich Zakładach Drzewnych „Rifi”, a jego brat i ojciec w hucie szkła „Hortensja”. W październiku 1942 roku rodzinę spotkał pierwszy cios – matkę przyszłego dziennikarza, wraz z tysiącami innych więźniów getta, zabrano do obozu śmierci w Treblince. Zaś Juda Lesman i jego dwaj synowie zostali wytypowani do dalszej pracy. Jesienią 1944 roku wysłano ich do obozu

koncentracyjnego w Buchenwaldzie, a po trzytygodniowym tam pobycie przerzucono do Schlieben i zatrudniono w fabryce panzerfaustów. W połowie kwietnia jego podobóz ewakuowano w Sudety czeskie. Wtedy, w czasie tragicznego „marszu śmierci”, padł z wycieńczenia Juda Lesman, podobnie jak trzy czwarte więźniów z tego transportu. Bracia Lesmanowie – wtedy już cierpiący na zaawansowaną gruźlicę – doczekali wyzwolenia w maju 1945 roku, na terenie obozu ewakuacyjnego Teresin. Byli tak osłabieni, że trafili do lazaretu Armii Czerwonej, gdzie odzyskali siły na tyle, by mogli wrócić do Łodzi. Niestety, u młodszego brata choroba robiła szybkie postępy i w roku 1946 Bolesław pozostał sam. Cała jego bliższa i dalsza rodzina, z wyjątkiem ciotki i stryja, którzy jeszcze przed wojną wyemigrowali z Polski, padła ofiarą Zagłady.

Bolesław Lesman wznowił naukę w gimnazjum – uczęszczał do Państwowego Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego przy ul. Piramowicza 6 w Łodzi – i równoległe prowadził rodzinną fabryczkę, aż do jej likwidacji (przez władze?) w roku 1947. Po uzyskaniu matury zaczął studia chemiczne na Politechnice Łódzkiej, ale wkrótce porzucił je i wybrał karierę dziennikarską. Terminował w „Głosie Robotniczym”, po dwóch latach przeniósł się do „Expressu Ilustrowanego”. Był tam kolejno pracownikiem działu miejskiego, gospodarczego i publicystycznego, by pod koniec awansować na stanowisko szefa działu miejskiego. W międzyczasie przez rok lub dwa studiował ekonomię w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Łodzi. Ożenił się w 1951 roku z Teresą Gałkowską.

Tyle mówią dokumenty, które zgromadził były pracodawca Bolesława Lesmana. O charakterze i zainteresowaniach dziennikarza możemy wnioskować z jego tekstów. W dużym reportażu z roku 1967, opublikowanym na pierwszej stronie tygodnika „Polityka” (co niewątpliwie było dużym sukcesem autora), ujawnił zainteresowania społeczne – opowiadał o szlachetnym socjologu, opiekującym się trudną młodzieżą z Bałut. Z minireportażu drukowanego w tym samym roku w „Expressie Ilustrowanym” wynika, że był zapalonym żeglarzem i miał stopień sternika jachtowego. Większość jego dorobku to jednak typowe reporterskie notatki pisane dla działu miejskiego. *Jest pracownikiem obrotnym, zdolnym, o dobrej inwencji i stylu. Na ogół mało obowiązkowy i lekkomyślny, prawdopodobnie wskutek toczącej go od kilku lat gruźlicy* – charakteryzował go przełożony z „Expressu Ilustrowanego”. *Był wesoły, sympatyczny, lubił alkohol i kobiety* – wspomina jego koleżanka i była podwładna z działu miejskiego tej gazety, Halina Stęplówna.

Zamiłowanie do życia towarzyskiego nie przeszkodziło jednak Lesmanowi w pisaniu *Recepty na miliony*. W świetle tego, co już wiemy o autorze, można zrozumieć, że składał on w swojej książce nostalgiczny hołd środowisku, z którego się wywodził – barwnemu *milieu* żydowskich przedsiębiorców z Łodzi, zamordowanemu przez hitlerowców wraz z całym światem polskich Żydów. Książka została opublikowana w kwietniu 1967 roku w warszawskiej oficynie wydawniczej „Książka i Wiedza”. Czytelnicy i recenzenci przyjęli ją ciepło, zapewne dlatego, że czytało się ją niczym kryminał i wolna była od typowego w PRL potępiania w czambuł wszystkich fa-

brykantów. Zyskała też pochlebne recenzje historyka – Andrzeja Garlickiego w warszawskiej „Kulturze” oraz Janusza Termera w „Nowych Książkach” i Teresy Swieżawskiej w „Prasie Polskiej”. *Napisana z nerwem, okraszona anegdotą, stanowi lekturę, od której naprawdę trudno się oderwać. Pozbawiona jest też na szczęście natrętnego dydaktyzmu, który w publicystyce historycznej dość często się spotyka* – pisał Andrzej Garlicki. *Recepta...* okazała się prawdziwym sukcesem a jej autor, prowincjonalny dziennikarz lokalnej popołudniówki, śmiałym kursem wypływał na szersze wody.

Powodzenie Bolesława Lesmana trwało jednak bardzo krótko. Niepełna rok później został zaatakowany w swojej redakcji jako Żyd, w ramach „pomarcowej” kampanii antysemickiej. Oficjalny pretekst zwolnienia był naturalnie inny. Halina Stęplówna zapamiętała, że jednym z zarzutów podnoszonych przeciwko autorowi *Recepty na miliony* było jego fabrykanckie pochodzenie.

Wiedzieliśmy o tym, że Lesmanowie mieli fabrykę wody sodowej. Bolesław miał nawet wśród nas przydomek „Saturator”. W roku 1968 jego kolega z redakcji dostał zadanie, by przedstawić dawne obyczaje panujące przy placu Zwycięstwa. I on napisał, spełniając propagandowe oczekiwania, że miał tam fabrykę dziadek Lesmana, a w niej bito robotników. Dziś wydaje się to nieprawdopodobne, ale wówczas takie słowa wystarczały, by kogoś zwolnić z pracy – wspomina Halina Stęplówna.

Wspomnianego artykułu nie udało mi się odnaleźć, choć starannie przewertowałem ówczesne łódzkie gazety. O ataku na dziennikarza informuje jednak pośrednio *Ocena nastrojów politycznych w wybranych środowiskach Łodzi*, sporządzona przez łódzką Służbę Bezpieczeństwa 22 maja 1968 roku¹. Z cytowanego dokumentu wynika, że Bolesław Lesman próbował się bronić przed redakcyjnymi prześladowcami, przechodząc do kontrataku, co mu się jednak nie udało. Raport SB potwierdzałby słowa Haliny Stęplówny, która zapamiętała, że osobą najbardziej agresywnie atakującą Lesmana w redakcji „Expressu Ilustrowanego” był Konrad Turowski, znany dziennikarz, który kilkanaście lat później objawił się jako ambitny działacz „Solidarności” w Łódzkim Wydawnictwie Prasowym RSW „Prasa–Książka–Ruch”.

We wspomnianym dokumencie SB czytamy, że [...] *red[aktor] Bolesław Lesman, spodziewając się kompromitujących zarzutów natury etyczno-moralnej, uprzedził [je] i przeniósł [sprawę] na płaszczyznę polityczną, atakując red[aktora] Turowskiego za wygłoszony przez niego słuszny projekt naprawy pracy tej redakcji, nazywając go „tubą RWE”, „wichrzycielem” itp. epitetami. Wywołało to powszechne oburzenie, a taktyka B. Lesmana została natychmiast przejrzana. I jakkolwiek jego sprawa nie miała być jeszcze rozpatrywana na tymże zebraniu – jednogłośnie przyjęto zgłoszony przez red[aktora] Panasewicza wniosek o natychmiastowe usunięcie B. Lesmana ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i pracy w prasie.* Być może nie bez znaczenia w całej tej sprawie był fakt, że Konrad Turowski, jak wynika z dokumentów łódzkiego IPN, był już od roku 1967 zarejestrowany jako tajny współpracownik SB (o pseudonimie „Znicz”).

13 kwietnia 1968 roku w dodatku wielkanocnym „Expressu” ukazał się jeszcze pogodny, niemal idylliczny, reportaż Lesmana z rejsu jachtem. Już 29 kwietnia zwolniono go jednak ze stanowiska kierownika działu miejskiego, a 8 maja Wiktor Malski, ówczesny redaktor naczelny „Expressu Ilustrowanego”, realizując rezolucję Podstawowej Organizacji Partyjnej, wystąpił do Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa” o rozwiązanie z dziennikarzem umowy o pracę. Pod pismem w tej sprawie złożył również swój podpis Konrad Turowski, reprezentujący Radę Zakładową „Expressu”.

Po utracie pracy Bolesław Lesman postanowił wyemigrować. W aktach dziennikarza zachowała się korespondencja na ten temat, prowadzona między Ministerstwem Spraw Wewnętrznych a RSW „Prasa” z października 1968 roku. Prawdopodobnie wyjeżdżał samotnie. Dzieci, zdaje się, nie miał, a według informacji Haliny Stęplówny był już wtedy rozwiedziony.

Po krótkim pobycie w Izraelu przeniósł się do Republiki Federalnej Niemiec. Nie wiem dokładnie, z czego się utrzymywał. Zmarł nagle. Podobno umówił się na spotkanie brydżowe, wyszedł z hotelu i przewrócił się na ulicy – mówi Halina Stęplówna.

Czy na emigracji nadal pisał? Nie wiadomo, bo ludzie emigracji „pomarcowej” zostali rozproszeni i w poszukiwaniu źródeł utrzymania wytrąceni na stałe ze swego dotychczas wykonywanego zawodu. Pewne jest tylko, że sukcesu *Recepty na miliony* już nie powtórzył – pozostał autorem jednej książki. Książki ważnej i zasługującej na wznowienie.

Paweł Spodenkiewicz

– publicysta, pracownik IPN Oddział w Łodzi

Przypis:

1. „Ocena...” będzie wydana w przygotowywanym przez łódzki IPN wyborze dokumentów z Marca '68 w Łodzi, pod redakcją S.M. Nowinowskiego.

Wybitny botanik

Jakub Mowszowicz (1901–1983)

W okolicach Łodzi znajduje się wiele rezerwatów przyrody. Są to głównie pozostałości po Puszczy Łódzkiej, drzewostany o naturalnej strukturze i zróżnicowanej florze, uroczyska leśne, małe rzeki, strumienie i obszary źródliskowe, bagniste łąki, torfowiska i szuwały w dolinach rzek. Takie miejsca stanowią często ostatnią szansę przetrwania dla zagrożonych gatunków roślin i zwierząt. Chronią naturalne stanowiska jodły (Lubiaszów, Kobiele Wielkie), jawora i buka (Wiączyń, Nowa Wieś i Gałków), jałowca (Ciosny), lipy drobnolistnej (Meszczce), lipy szerokolistnej (Dębowiec), cisu (Jasień), modrzewia polskiego (Trębaczew), bagienny las olszowy u źródeł Wolbórki, czy niezwykle cenne, unikalne na niżu, źródła krasowe w rezerwacie Niebieskie Źródła w Tomaszowie Mazowieckim. Ale czy zwiedzając te miejsca, zastanawiamy się, komu zawdzięczamy, że nie zniknęły? Że – jak wiele innych, podobnych reliktyw przyrody – nie ustąpiły miejsca ekspansywnej cywilizacji, zachłannie pożerającej kolejne naturalne obszary Ziemi? Otóż, odkrycie, naukowe opracowanie i sporządzenie projektów odpowiednich form ochrony konserwatorskiej zawdzięczamy głównie profesorowi Uniwersytetu Łódzkiego – Jakubowi Mowszowiczowi oraz jego współpracownikom i uczniom.

Wilno

Jakub Mowszowicz urodził się 5 grudnia 1901 roku w Wilnie. Jego rodzice Izaak i Fruma wielkim szacunkiem darzyli kulturę i język polski. Jakub ukończył rosyjską szkołę powszechną i gimnazjum jeszcze przed uzyskaniem przez Polskę niepodległości, ale maturę zdawał już w wolnej Polsce, w wileńskim gimnazjum im. A. Mickiewicza. Następnym etapem jego edukacji był Uniwersytet Stefana Batorego, który wznowił działalność po 87 latach przerwy. Tu przyszły uczonej studiował biologię i geografię na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym. Od początku przejawiał wybitne zainteresowanie systematyką roślin. Pracę naukową w Zakładzie Botaniki Ogólnej rozpoczął już na trzecim roku studiów. Nie było mu łatwo, bowiem żeby kontynuować studia musiał zarabiać na swoje utrzymanie, udzielając korepetycji i pracując w świetlicach szkolnych. W 1931 roku uzyskał tytuł magistra filozofii w zakresie botaniki. Jego praca magisterska *Trawy i turzycowate Wileńszczyzny ze szczególnym uwzględnieniem okolic Wilna i Trok* otrzymała nagrodę Ministra ds. Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, któremu podlegało wówczas szkolnictwo wyższe.

Po studiach, dwuletnim stażu zawodowym i egzaminie państwowym – bo takie wtedy warunki trzeba było spełnić – Mowszowicz został nauczycielem w szko-

le średniej. Równolegle podjął pracę jako kustosz-wolontariusz w Zakładzie Botaniki Ogólnej Muzeum Botanicznego w Wilnie. To pozwalało mu na rozwój naukowy, choć podwójne obciążenie obowiązkami było niewątpliwie dokuczliwe. Nie otrzymał jednak etatu, więc żeby zarobić na życie udzielał korepetycji z biologii. Mimo tak pracowitego trybu życia znalazł czas na napisanie w 1936 roku pionierskiej rozprawy doktorskiej z zakresu fitosocjologii *Flora i zespoły roślinne Gór Ponarskich i ich najbliższych okolic* (1936). W pracy tej opisuje budowę i życie zbiorowisk roślinnych (fitocenoz) okolic Wilna, dokonując analizy prawidłowości rządzących ich składem, strukturą, rozmieszczeniem i ich oddziaływaniem na otoczeniem.

Od września 1941 do września 1943 roku znalazł się wraz z rodziną w gettcie wileńskim. W trudnych warunkach gettowej izolacji, ryzykując życiem, wrócił do zawodu nauczycielskiego, ucząc przyrody, geografii i chemii w konspiracyjnych szkołach. Uniknął śmierci w podwileńskich Ponarach, gdzie wymordowano większość wileńskich Żydów. Oprawcy – dowodzeni przez Niemców litewscy policjanci – wyprowadzali na śmierć całą jego rodzinę – 31 osób. Sam uratował się cudem, uciekając w przededniu likwidacji getta, 23 września 1943 roku.

Po wyzwoleniu spod niemieckiej okupacji Wilna, 15 lipca 1944 roku, powrócił na krótko do pracy na Uniwersytecie Wileńskim. Został mianowany docentem geobotaniki, a w październiku 1944 roku – nawet kierownikiem Katedry Geobotaniki oraz kierownikiem Wileńskiego Ogrodu Botanicznego. Nie trwało to jednak długo, bo już 1 sierpnia 1945 roku, w ramach tzw. akcji repatriacyjnej, przyjechał do Łodzi i tu pozostał aż do śmierci.

Łódź

Jesienią 1945 roku rozpoczął pracę na Uniwersytecie Łódzkim jako adiunkt, potem zaś jako zastępca profesora. W 1946 roku został kierownikiem Zakładu Systematyki i Geografii Roślin Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego UŁ. Wkrótce też wyjechał do Francji, gdzie w Stacji Naukowej SIGMA w Montpellier przebywał na trzymiesięcznym stażu u sławnego twórcy systemu fitosocjologicznego – prof. Josiasa Braun-Blanqueta. Rok później habilitował się, a następnie został zatwierdzony jako docent z zakresu systematyki i geografii roślin. 31 maja 1948 roku otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego. W 1951 roku Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego powierzyło mu zadanie utworzenia i zorganizowania Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi UŁ. W 1953 roku Jakub Mowszowicz został kierownikiem Katedry Systematyki i Geografii Roślin i prodziekanem Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi. Potem przez dwie kadencje pełnił funkcję dziekana tego Wydziału. W 1972 roku profesor Mowszowicz przeszedł na emeryturę. Warto dodać, że pełnił też wiele odpowiedzialnych funkcji w szeregu towarzystw naukowych, komitetach i zespołach związanych z ochroną przyrody, botaniką i farmacją.

W pamięci tych, którzy go znali, zachował się jego wizerunek jako człowieka niezmiernie pracowitego. Profesor Zdzisława Wójcik, jego uczennica,



wspomina: *Jakub Mowszowicz pracował bez przerwy. Nie wiem, jak on to robił, ale mnie się wydawało, że poświęcał się pracy i we dnie, i w nocy, dosłownie, że nie było chwili, kiedy nie pracował. Nie wiem kiedy profesor spał, bo ciągle coś „produkował”, coś pisał, tworzył...*

Dorobek naukowy profesora Mowszowicza to około 800 publikacji. Wielonakładowe podręczniki, skrypty i monografie botaniczne, książki o roślinach użytkowych, klucze do oznaczania roślin, biogramy i opracowania historyczne, recenzje, notatki i liczne artykuły popularyzatorskie. Jako autor wypowiadał się w bardzo szerokiej naukowej przestrzeni tematycznej uprawianej dyscypliny. Były to: systematyka i taksonomia roślin, florystyka, fitosocjologia, teratologia, dendrologia, dydaktyka i historia botaniki, botanika stosowana – w tym zwłaszcza rośliny lecznicze i trujące. Tu ciekawostka – w czasach, kiedy chemia w wielu dziedzinach nauki, także w farmacji i lecznictwie, była synonimem postępu – Jakub Mowszowicz udawał, że tradycje ludowego ziołolecznictwa nie powinny ulec zapomnieniu. Doceniał szerokie możliwości terapeutyczne kryjące się w roślinach i grzybach, które często pioniersko opisywał jako źródła witamin i antybiotyków.

Twórcy szkoły geobotanicznej

Jakub Mowszowicz był znakomitym dydaktykiem i popularyzatorem wiedzy. Stworzył w Łodzi wyróżniającą się szkołę geobotaniczną. *Przez 27 lat swojej pracy w Łodzi był profesorem promotorem 258 prac magisterskich, 14 doktorskich, recenzentem 18 prac doktorskich i 12 prac habilitacyjnych, w tym 4 prac habilitacyjnych własnych uczniów,*

superrecenzentem 6 przewodów habilitacyjnych, opiniodawcą przeszło 21 wniosków o nadanie tytułu profesora nadzwyczajnego i 11 wniosków o tytuł profesora zwyczajnego – podsumowuje inny jego uczeń – prof. Janusz Hereźniak. Nic zatem dziwnego, że teraz dawni uczniowie i współpracownicy, wykształceni i zainspirowani przez niego, tworzą nową szkołę naukowej ochrony przyrody. Pragnienie Mowszowicza stworzenia samodzielnego, łódzkiego zespołu badawczego, który doprowadziłby do *poznania całej flory i roślinności tego regionu, a tym samym zlikwidowanie „białej plamy” geobotanicznego poznania obszaru Polski Środkowej*, w pełni się powiodło, choć ostateczne, organizacyjne sfinalizowanie (i twórcze rozwinięcie przez następców) nastąpiło dopiero w roku 2001. Wtedy to z istniejącej Katedry Botaniki wyodrębniono trzy oddzielne katedry: Algologii i Mikologii, Geobotaniki i Ekologii Roślin oraz Ochrony Przyrody.

Profesor był członkiem, a od 1957 roku przewodniczącym Wojewódzkiego Komitetu Ochrony Przyrody. Swoich uczniów zawsze zachęcał do działalności naukowej, służącej ochronie przyrody badanego obszaru. Kiedy przyjechał do Łodzi, w regionie był tylko jeden rezerwat i to w środku miasta – Polesie Konstantynowskie. Po latach pracy, kiedy odchodził na emeryturę, było ich już w województwie 30. Warto porównać inne dane liczbowe. Na terenie Polski Środkowej w roku 1932 było 6 rezerwatów. W roku 2000 już – 130, z czego 60 powstało z inicjatywy Jakuba Mowszowicza i jego uczniów, w tym 1 – w woj. świętokrzyskim, 2 – w śląskim, 4 – w mazowieckim i ponad 50 – w łódzkim (w którym są 82 rezerваты). Uczniowie profesora Mowszowicza są też autorami koncepcji i dokumentacji naukowej do 5 z 8 istniejących na tym terenie parków krajobrazowych: Załęczańskiego, Przedborskiego, Sulejowskiego, Spalskiego i Wzniesień Łódzkich. Nic dziwnego, że w 1990 roku powstał projekt nazwania jednego z rezerwatów – „Dąbrowy Grotnickiej” – imieniem prof. Jakuba Mowszowicza. Jego imieniem nazwano także w roku 1986 Miejski Ogród Botaniczny, którego – wspólnie z prof. Janem Muszyńskim – był projektodawcą i współzałożycielem.

Jak wspominają po latach profesora Mowszowicza ludzie, którzy się z nim zetknęli? *Jako uczonego wysokiej miary, kochającego przyrodę i ludzi, który wyróżniał się wysoką kulturą osobistą, a jednocześnie wielką wrażliwością na ludzkie problemy i życzliwością w stosunku do potrzeb innych ludzi* – napisał w liście z okazji setnej rocznicy urodzin tego uczonego prof. Benon Polakowski. Zwłaszcza jego stosunek do studentów był pełen serdeczności i dobroci. *Profesor był naprawdę przyjacielem nas, studentów i wspierał nas, jak tylko mógł, w wielu trudnych momentach. Chyba nie umiałby nikomu dokuczyć, nie był złośliwy, nie przerażał nikogo surowością, wyjaśniał niezrozumiałe problemy podczas dyskusji i indywidualnych rozmów. Nie zawsze udało się zaliczyć ćwiczenia, czy zdać kolokwium w odpowiednim czasie, jednakże dzięki delikatnemu traktowaniu delikwenta przez profesora, udawało się ostatecznie załatwić wszystko bezboleśnie* – wspomina była studentka i pierwsza jego asystentka – Maria Brutkowska, dziś 90-letnia emerytowana pracownica naukowa w Warszawie. *Jego wykłady były prowadzone dynamicznie, z dużym zaangażowaniem uczuciowym i pozostawały w pamięć*

ci słuchaczy. Ponieważ był obdarzony przez naturę nieprzeciętną spostrzegawczością i pamięcią, nie korzystał z notatek. Nam zalecał, aby w zeszytach tekst umieszczać po stronie prawej, jako łatwiejszej w percepcji, natomiast rysunki, schematy itp. – po stronie lewej – opowiada prof. Józef K. Kurowski. Przypomina też, że profesor nie szczędził czasu ani studentom, ani pracownikom. Troszczył się o ich rozwój naukowy, interesował się sytuacją materialną, często dyskretnie pomagał. Będąc od wojny człowiekiem samotnym, traktował swoich uczniów niemalże jak członków rodziny. Znajdował czas, aby ze swoimi magistrantami wybrać się do teatru. Warto tu dodać, że był także wielkim melomanem i co tydzień bywał w Filharmonii Łódzkiej, gdzie miał własne miejsce.

Prof. Krzysztof Jażdżewski podkreśla, że z wykładów Profesora, poza ogromnym ładunkiem wiedzy botanicznej, można było jeszcze wynieść podziw dla piękna języka polskiego. Pokazywał także piękno nazewnictwa łacińskiego, wskazując – tak cenne dla biologa – świetne przykłady na pokazanie wręcz poezji tego nazewnictwa.

Wszyscy jego dawni uczniowie zgodnie i bardzo ciepło wspominają wycieczki z profesorem, który nie żałował czasu na ćwiczenia terenowe ze studentami. W majowe i czerwcowe soboty i niedziele jeździli do lasów tuszyńskich, lasów między Łodzią a Zgierzem, w dolinę Neru, na wydmy i torfowiska w okolicach Aleksandrowa, lub choćby do łódzkich parków. Maria Brutkowska wspomina: *Zbieraliśmy wówczas wszystkie rośliny, nawet pospolite chwasty, które się potem suszyło i włączało do zielników. Wycieczki te sprawiały nam zawsze wiele radości, były okazją do „nagadania się” z Profesorem, zacieśniały więzy przyjaźni między nami i nim. Umacniał się też wielki (i bez tego) szacunek i podziw dla jego głębokiej wiedzy i nieprawdopodobnej wprost skromności.* Nieodłącznym elementem tych wycieczek były... „wałówki”, które zawsze zabierał profesor, żeby potem karmić uczestników wycieczki wielkimi pajdami chleba z jajecznicą.

Taka „rozrywkowa” forma ćwiczeń z systematyki roślin pozwalała poznawać ich piękno, różnorodność, znaczenie i zastosowanie, o czym uczony ten wiele pisał. Prof. Maria Ławrynowicz podkreśla, że profesor Mowszowicz zachęcał swoich uczniów do *poszukiwań florystycznych w terenie, zwłaszcza w miejscu zamieszkania, tłumacząc, że znajomość flory rodzimej jest elementem patriotyzmu, nie mówiąc o praktycznej przydatności wiedzy botanicznej w życiu, niezależnie od ukończonej specjalności.* Terenowe badania geobotaniczne stały się też początkiem działań na rzecz ochrony przyrody, które zaowocowały projektem objęcia ochroną rezerwatową obszarów o wyjątkowej wartości przyrodniczej.

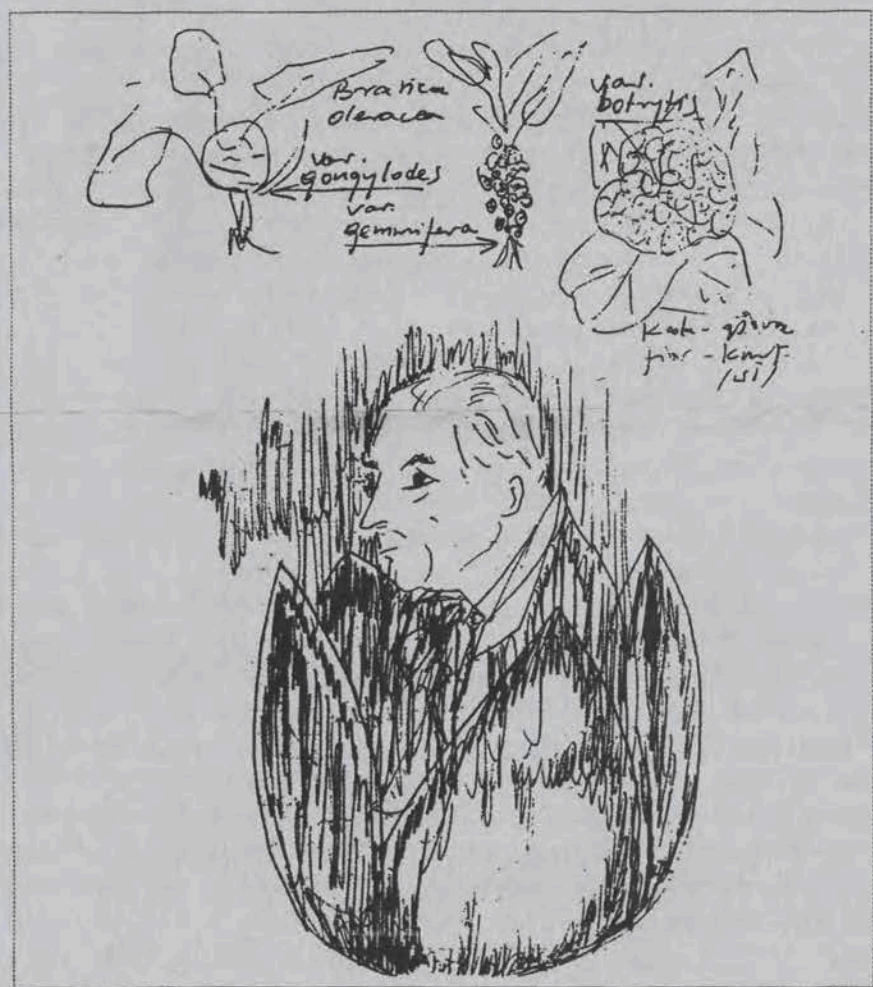
Jakub Mowszowicz był człowiekiem skromnym i wielkodusznym. Prof. Romuald Olaczek przypomina historię z czasów, kiedy w 1960 r. ukazała się książka profesora Mowszowicza, będąca pierwszą syntezą wiedzy o florze Polski Środkowej. Opisał w niej rozmieszczenie około 1160 gatunków wraz z ich odmianami. Otrzymał wtedy z Wojewódzkiej Rady Narodowej wysoką, jak na owe czasy, nagrodę – 20 tysięcy zł. *Profesor każdemu ze swoich pracowników oświadczył, że na tę nagrodę złożyła się też praca wszystkich pracowników Katedry i wręczył każdemu z nas, łącznie z woźnymi,*

po 500 zł. W ten sposób rozdysponował całą kwotę nagrody. Prof. Olaczek dodaje także, że wiadomo mu, iż prof. Mowszowicz posyłał regularnie pieniądze komuś, kto pomógł mu przeżyć okupację niemiecką. Zachował wdzięczność do końca życia.

Sam prof. Jakub Mowszowicz niewiele mówił o tamtych traumatycznych przeżyciach. Warto tu może tylko przytoczyć fragment z biogramu, w którym zegnał swoją koleżankę z Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie, a później współpracownicę w Katedrze Systematyki Roślin w UŁ – adiunkt Annę Niekrasz: *Piszący te słowa zawdzięcza adiunkt – Annie Niekrasz swoje ocalenie w okresie prześladowań rasistowskich i mrocznych lat hitlerowskich. Pełna poświęceń i humanitaryzmu nie*

36

WIADOMOŚCI BOTANICZNE 48(1/2), 2004



tylko chowała u siebie, ale również czyniła starania i wysiłki, aby znaleźć schronienie dla człowieka, przeznaczonego przez bestię hitlerowską na zagładę. Dzięki zabiegom szlachetnej Pani adiunkt, magister Anny Niekrasz znalazłem po długich poszukiwaniach i perypetiach schronienie i opiekę u naszej wspólnej koleżanki z Uniwersytetu – mgr Weroniki Milewskiej, gdzie mogłem przetrwać ostatnie 10 miesięcy czarnej nocy hitlerowskiej. Pragnę w tym miejscu oddać w głębokim ukłonie hołd Koleżankom-Polkom, które niosły ratunek swojemu koledze bez względu na jego pochodzenie. Wiadomo, że w ostatnich tygodniach przed wyzwoleniem Wilna ukrywał się w szklarni uniwersyteckiego ogrodu botanicznego. Niestety, wydał go przerażony ogrodnik. Trzej oprawcy, którzy wywlekli Jakuba Mowszowicza z ukrycia, pobili go i – trzymając pod bronią – kazali kopać grób. W tym czasie do miasta weszli już pierwsi radzieccy zwiadowcy. Przechodząc obok, zobaczyli tę scenę i zastrzelili Niemców. Podobno – jak wspomina prof. Olaczek – profesor nigdy nie okazał niechęci owemu ogrodnikowi, choć przez wiele lat po wojnie spotykał się z nim w Łodzi. To cudowne ocalenie nie było jedyne, bo – jak opowiada prof. Janusz Hereźniak – już wcześniej, w trakcie jakiegoś przeszukania w jednej z kryjówek, Niemcy nie zauważyli kryjącego się za drzwiami Mowszowicza. Być może cudem był także fakt, że przechodząc w gettcie przez dziurę na strychu, gdzie się ukrywał, potłukł fiołkę z cyjankiem potasu, którą miał na wypadek, gdyby został schwytany przez Niemców lub litewskich *szaulisów* (policyjna formacja litewska pracująca dla niemieckiej władzy). Nie wiadomo, co by zrobił, gdyby miał ją w tamtych chwilach, kiedy o włos mijał się ze śmiercią...

Tragiczne przejścia wojenne niewątpliwie zostawiły trwałe ślady w psychice profesora Mowszowicza. Nigdy nie założył już własnej rodziny. Zastąpiła mu ją zaprzyjaźniona rodzina Grajewskich. Profesor, po przyjeździe do Łodzi, dostał przydział na mieszkanie przy ul. Sienkiewicza, wspólnie z małżeństwem prawników, pracowników naukowych UŁ – Ireną i Henrykiem Grajewskimi. Jakub Mowszowicz bardzo się z nimi zaprzyjaźnił i kiedy urodziła się ich córka – Elżbieta... odstąpił im część swego mieszkania, zostawiając sobie tylko jeden, duży pokój. Prowadzili potem wspólne gospodarstwo, a mała Elunia stała się „wnuczką Profesora”. Zachowały się nieliczne zdjęcia ze wspólnych wyjazdów urlopowych do Szczawnicy w 1965 roku i ze Świąt Bożego Narodzenia w 1974 roku, spędzanych wspólnie z Profesorami Ireną i Henrykiem Grajewskimi. Fotografia z 1974 roku to chyba jedyne zdjęcie tak bardzo roześmianego profesora Mowszowicza, trzymającego w ramionach małą wnuczkę państwa Grajewskich. Jakub Mowszowicz zmarł 12 grudnia 1983 roku. Przed śmiercią wydał dokładne dyspozycje dotyczące swego pogrzebu i pochówku. Opisał nawet wygląd nagrobka. Prosił, aby pochować go na Cmentarzu Komunalnym „Doły”, gdzie spoczywa w alei Zasłużonych. Z tego miejsca widać budynek jego macierzystego Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska, w którym reprezentacyjna aula nosi imię właśnie Profesora Jakuba Mowszowicza.

Danuta K. Gruszczyńska
— dziennikarka

Byłem w łódzkim getcie

Wspomnienia z czasów grozy

Łódzianie

Urodziłem się w Łodzi 24 listopada 1924 roku. Razem z matką – dentystką i o cztery lata starszym ode mnie bratem – Feliksem mieszkaliśmy do wybuchu wojny w kamienicy przy ulicy Kilińskiego 41. Uczęszczaliśmy z bratem do Społecznego Polskiego Gimnazjum Męskiego. Szkoła działała pod auspicjami Polskiego Towarzystwa Demokratycznego i zatrudniała wielu wybitnych pedagogów, doktorów nauk, a nawet docentów uniwersytetu. Moim polonistą był Mieczysław Jastrun, który nieraz w poetyckim zapale łapał się za głowę i przywoływał uczniów do porządku, mówiąc: *Siadaj chłopie, nie mogę ciębie słuchać, kaleczysz mowę ojczystą.*

W 1939 roku brat zdał maturę i został przyjęty na studia medyczne w Besançon. Miał wyjechać do Francji w pierwszych dniach września. Ale wybuchła wojna i Feliks został w Łodzi. Ja miałem rozpocząć nowy rok szkolny w 4 klasie gimnazjalnej, jednak w chwili zajęcia Łodzi przez Niemców szkoła została zamknięta. Po wojnie wielu naszych nauczycieli uzyskało profesurę na wyższych uczelniach.

W marcu 1940 roku na rozkaz okupanta przenieśliśmy się do getta. Naszej matce wraz z jej znajomym – dr. Danielem Wajskopfem, udało się znaleźć dwa sąsiadujące ze sobą mieszkania na trzecim piętrze, w domu przy ulicy Młynarskiej 25 (róg Zawiszy Czarnego). Mieliśmy szczęście. Był to dom murowany i jak na warunki w getcie – luksusowy, bo z bieżącą wodą, ale niestety z ubikacjami na podwórku. Jedno z tych mieszkań zajął dr Wajskopf ze swą dość liczną rodziną, a w drugim my otrzymaliśmy jeden z trzech pokoi. Znalazło się w nim miejsce na fotel dentystyczny naszej matki.

Nasz sąsiad, dr Wajskopf, internista, był jedynym lekarzem w getcie łódzkim, który nie przyjmował specjalnych racji żywnościowych, przyznawanych lekarzom przez Rumkowskiego. Dr Wajskopf leczył pacjentów bezpłatnie i na naszym korytarzu zawsze czekała kolejka. Wraz z grupą znajomych lekarz przygotował kryjówkę, aby ukryć się w niej w ostatnich dniach likwidacji getta w sierpniu 1944 roku. W piwnicy gromadzili zapas żywności i wody. Wychodzili w nocy w poszukiwaniu pożywienia w opuszczonych już przez wysiedlonych mieszkaniach. Podczas jednej z takich wędrówek dr Wajskopf złamał rękę. Opatrzył ją chirurg (zdaje się dr Ajzner), który był skoszarowany w obozie przy ulicy Jakuba 16, wśród pozostawionych dla „uprzątnięcia” getta. Do wykrytej kryjówki przybył Hans Biebow¹. Podczas słownej utarczki dr Wajskopf zarzucił mu zbrodniczą działalność. Biebow go uderzył, Wajskopf oddał mu ręką w gipsie. Wtedy Biebow go postrzelił i odjechał autem po komisarza Fuchsa, aby zastrzelić niepokornego



lekarza. Opowiedział mi o tym zdarzeniu szwagier dr. Wajskopfa (adwokat z zawodu), który też był w tej kryjówce. Spotkałem go w Łodzi tuż po wojnie.

Moje radio

W getcie uczęszczałem do gimnazjum na Marysinie, gdzie skończyłem czwartą klasę i część pierwszej licealnej. Kiedy Niemcy zamknęli wszystkie szkoły, rozpocząłem pracę w warsztatach naprawczych silników elektrycznych przy ul. Limanowskiego 40. Jako elektryk pracowałem po 10 godzin dziennie i dwukrotnie w ciągu dnia przechodziłem przez most na placu Kościelnym. Żyłem jak wszyscy w ciasnocie i w głodzie. Brat Feliks pracował jako sanitariusz, początkowo w szpitalu przy Łągiewnickiej, a następnie w pogotowiu ratunkowym. W latach 1941–1944 współpracował z doktorem Arnoldem Mostowiczem, który powrócił do Polski po studiach we Francji w przeddzień wybuchu wojny.

Ciekawa może być historia mojego radia. Jak wiadomo radioodbiorniki zostały odebrane wszystkim Żydom i ich posiadanie groziło śmiercią. Podobno w getcie znajdowały się cztery radioodbiorniki – nakryci właściciele trzech z nich zostali powieszani. Ja byłem tym czwartym, który – mimo swej lekkomyślności – nie został odkryty. Lekkomyslnością z mojej strony było przekazywanie wiadomości bliższym znajomym, co dziwnym i szczęśliwym trafem nie dotarło do gestapo. Radioodbiornikami interesowałem się od wczesnego dzieciństwa. Jako 5–6-letni chłopak budowałem pierwsze „radia”. Z braku innych możliwości postanowiłem w getcie zmontować odbiornik kryształkowy, początkowo z myślą o słuchaniu wiadomości z lokalnej stacji, z nadzieją,

że uda mi się „złapać” coś ciekawszego. Wiedziałem, że kryształek jest związkciem siarki i ołowiu. Znalazłem siarkę w proszku, a ołów znajdował się w osłonie powszechnie wówczas stosowanych kabelków. Starty na proszek ołów wymieszany z siarką umieściłem w szklanej probówce, zakorkowałem, by nie było dostępu powietrza i nagrzałem palnikiem, aż nastąpił zapłon i z rozbitej próbówki wypadła twarda, jednolita masa. Po jej rozbiciu można było znaleźć maleńkie kryształki. Pozostawała kwestia anteny. Chciałem, żeby była niewidoczna i jak najdłuższa.

W domu, w którym mieszkaliśmy, nad trzecim piętrem znajdowała się mała kłitka (chyba dawna pralnia). Na jej szczytowej ścianie pod sufitem znalazłem okrągły otwór do przewodu kominowego. Przez ten otwór wbitem w środku gwóźdź i z niego spuściłem swoją antenę. Miała blisko 15 metrów długości i nie było jej widać. Nawinałem cylindryczną cewkę (około 500 zwojów) i przy pomocy igły znalazłem odpowiedni punkt na kryształku. Po manipulacji kondensatorami otrzymałem czysty odbiór lokalnej niemieckiej stacji. Miałem bardziej ambitne zamiary – chciałem słuchać BBC z Londynu (Londyn miał bardzo silną stację nadawczą). Pierwszą czynnością było wyeliminowanie odbioru lokalnej stacji. Udało mi się to uzyskać. Gdy już cisza zapanowała w słuchawkach, zmieniłem cewkę wielozwojową na cewkę zaledwie parozwojową i ku mojej radości i zdziwieniu usłyszałem dźwięk Big-Bena. A więc Londyn!!!

Od tej pory w latach 1942–1944 (aż do wysiedlenia) w godzinach od 23.00 do 1.00 w nocy siedziałem ze słuchawkami na uszach i odbierałem BBC, w tym też audycje po polsku. Często odbiór uciekał, często zagłuszali go Niemcy, ale mimo to wiadomości do mnie dochodziły.

Po latach spotkałem w Hajfie kilka osób, które opowiadały mi, że docierały do nich w getcie wiadomości radiowe. Okazało się, że ich informatorem był mój sąsiad, Janek Wajskopf, brat doktora Wajskopfa, któremu z kolei ja przekazywałem radiowe informacje. Po zakończeniu nasłuchu, wieszałem „radio” na gwoździu w kominie i zakrywałem otwór. Schowek był doskonały, ale gdybym wpadł w ręce gestapo, to bardzo prędko bym wszystko wyśpiewał...

Londyn podawał wiadomości raczej obiektywnie, zarówno o zwycięstwach, jak i o klęskach. Niemcy zachłystywali się swymi sukcesami, a po Stalingradzie mówili, że „skracają” front lub wycofują się na dogodniejsze pozycje...

Słyszałem o wielu sprawach dziś wstydliwie zapomnianych. Pamiętam oświadczenie gen. Franco, że otwiera granice Hiszpanii dla Żydów, którym uda się wydostać z hitlerowskiego piekła. Ale chyba niewielu z tego zaproszenia mogło skorzystać. Pamiętam też błogosławieństwo papieża dla faszystowskich sił walczących na wschodzie. To był ten sam papież, który nie potępił oficjalnie hitlerowskiego terroru i zabójstwa milionów, w tym dziesiątków tysięcy katolickich księży w obozach koncentracyjnych.

Po dziś dzień wielu zastanawia się, czy świat wiedział o zbrodni ludobójstwa, choć istniały jednoznaczne i udokumentowane dowody (np. wielokrotne misje polskiego bohaterskiego kuriera – mjr. Jana Karskiego). A może świat nie chciał

o tym wiedzieć? BBC informowało wprawdzie o obozach koncentracyjnych, ale nie mówiło wprost, tylko sugerowało, że są to obozy zagłady.

Na granicy życia

W drugiej połowie 1944 r. Londyn informował codziennie o transportach 10 do 15 tysięcy Żydów węgierskich do Oświęcimia. Ale nie pamiętam, czy padła kiedyś nazwa Oświęcim (bo bym znalazł tę miejscowość na mapie). O ile mnie pamięć nie myli, to mówili o obozie w Birkenau (a może w Brzezince), a ta nazwa nie była mi znana.

W łódzkim getcie wszyscy wiedzieli o systematycznej zagładzie Żydów w obozach, szczególnie o obozie w Chełmnie nad Nerem, dokąd były głównie kierowane transporty z Łodzi w latach 1942–1944 (z przerwami). Obóz w Chełmnie był obozem zagłady i nikt z niego żywy nie wyszedł. Z Chełmna przesłano do getta odzież po zamordowanych i ludzie rozpoznawali rzeczy swoich najbliższych.

Jak już wspominałem, moja rodzina pracowała w getcie, ja przy naprawie silników elektrycznych, matka jako lekarz dentysta, a brat był sanitariuszem. Ogólnie mówiąc, panowała w getcie bieda i choroby, ale z wyjątkiem okresu szper², wysiedleń i łapanek, żyliśmy raczej spokojnie w swoich rodzinach.

Byłem jednak świadkiem wydarzeń, których nigdy nie zapomnę. Pewnego dnia rozeszła się pogłoska, że nazajutrz będzie szpera i łapanka na wysiedlenie. Postanowiliśmy się schronić w lokalu pogotowia ratunkowego, w którym pracował mój brat. Pogotowie zajmowało dwa pokoje przy ulicy Łagiewnickiej. W pokoju od ulicy przyjmowano pacjentów, a w drugim był magazyn i sprzęt. W tym pokoju schroniliśmy się już o 6 rano. Zebrały się tam również rodziny innych pracowników pogotowia – razem około 15–20 osób, w tym małe dzieci. Traf chciał, że około 8 rano w pokoju od ulicy usadowił się sztab prowadzących wysiedlenie gestapowców. Zastygliśmy jak skamieniały, tak jak kto stał i pozostaliśmy w ciszy i bezruchu, chyba do godz. 16.00. Także dzieci, jakby zrozumiały powagę sytuacji, nawet nie pisnęły! Po zakończeniu łapanki hitlerowcy się wynieśli.

Getto było ogrodzone drutami kolczastymi i pilnowane przez wartowników rozmieszczonych co 50–100 metrów. Byli to przeważnie Ukraińcy albo wojskowi, starsi wiekiem i na ogół nie zwracali uwagi na to, co się dzieje za drutami. Ale były okresy, gdy bez powodu i uprzedzenia strzelali do ludzi, których widzieli zza drutów, nawet, gdy ci byli daleko. W ten sposób został zastrzelony mój kolega szkolny – Emanuel Fiszman. Miałem się z nim spotkać na zapleczu pewnego domu przy ul. Drewnowskiej. Było tam parę drzewek i trawnik, a druty były odległe o ponad 20 metrów. Przybyłem na to spotkanie z pewnym opóźnieniem. Przed domem, od strony ulicy stał już zbity tłum ludzi, od nich dowiedziałem się, co zaszło...

Getto było bardzo dobrze zorganizowanym obozem pracy. Przetrwało tyle lat, bo pracowało dla wojska, hitlerowscy funkcjonariusze odnosili korzyści z jego istnienia, bo getto chroniło ich także przed powołaniem i wysyłką na front.

Wszyscy w getcie otrzymywali przydziały żywności, wprawdzie bardzo skromne, ale dzięki nim ludzie umierali z głodu i chorób w swoim „domu”, a nie na bruku, jak w getcie warszawskim. I tak przeżyłem z rodziną do sierpnia 1944 roku, do ostatecznej likwidacji getta.

Do oczyszczenia getta – to znaczy wywiezienia wszystkiego, co ma jakąś wartość – pozostawiono w getcie kilkaset osób, głównie fachowców. Jako elektryk zostałem zaliczony do tej grupy i wraz z matką i bratem zakwaterowany na terenie dawnej fabryki przy ul. Jakuba 16. Ostatniego dnia, tj. 31 sierpnia 1944 roku, przybył tam Hans Biebow i wybrał do wysiedlenia dodatkową grupę, prawdopodobnie, aby zmniejszyć liczbę pozostałych na Jakuba lub aby zrobić miejsce dla swoich protegowanych. Tak więc 31 sierpnia po południu załadowano nas na dworcu Radegest do bydłęcych wagonów i odjechaliśmy do Oświęcimia. Przybyliśmy tam 1 września nad ranem. Był to ostatni transport z łódzkiego getta. W nocy pociąg zatrzymał się na stacji kolejowej w Mysłowicach. Przez zakratowane okienko rozmawialiśmy z polskimi kolejarzami. Nie wiedzieli, dokąd nas wiozą, ale powiedzieli, że wszystkie pociągi wracają puste. Gdy pociąg zatrzymał się na terenie obozu i zobaczyłem wózki z napisem K.L. Auschwitz, nie miałem wątpliwości, jaki był cel naszej podróży.

Mój Auschwitz

Procedura przyjmowania transportów z wrzaskiem SS-manów, psami, biciem itp. jest powszechnie znana. Przemaszerowaliśmy przed samym doktorem Mengele. Ja z bratem skierowani zostaliśmy na prawo, zaś nasza matka na lewo. I nic nie pomogło, że była jeszcze młoda i silna (46 lat), a na rękę miała opaskę Czerwonego Krzyża. Wtedy widzieliśmy ją po raz ostatni.

Dalej wszystko potoczyło się „normalnie”: odebranie odzieży (na razie oprócz paska i butów), strzyżenie, gdzie się dało i prysznic w wielkim pomieszczeniu z otworami w suficie, przez które poprzednio wrzucano cyklon. Potem nas ubrano. Każdy dostał jakieś spodnie i marynarkę o przypadkowej wielkości, jak popadło, i skarpetki. Ja otrzymałem elegancką marynarkę, uszytą podobno przez najdroższego warszawskiego krawca. Kawałki podszewki tej marynarki zastępowały mi przez pewien czas w Oświęcimiu papier toaletowy. Skarpetki były uszyte z dwóch różnych kawałków materiału ze szwem, który przebiegał nie wzdłuż stopy, ale od spodu. Moje skarpetki były połączeniem grubego drelichu z cienkim kretonem i oczywiście obie były różne. Tak odziani powędrowaliśmy wzdłuż obozu do Lager C. Po drodze spotkaliśmy grupę warszawiaków, którzy trafili tu po powstaniu. Wpakowano nas do jednego z kilkunastu bloków obozu C, które podobno przed wojną były stajniami kawalerii Wojska Polskiego. W takim bloku lokowano około tysiąca ofiar. Było tak ciasno, że stosowano specjalną metodę, by nas rozmieścić do spania. Wyglądało to jak przygotowanie do gimnastyki. Ustawiano nas rzędami na odległość wyciągniętych ramion. Łokciami odmierzaliśmy odległość między sąsiadami z obu stron. Potem padła komenda: *Siadać!* a następnie: *Kłaść się!* Tragedią było, gdy w nocy

ktoś chciał dotrzeć do kubła. Musiał chodzić po swych towarzyszach, bo nie było miejsca między leżącymi. Podłoga była betonowa i jeśli *Blockälteste* tak zdecydował, to układało się na niej deski, deskę obok deski, a na niej rozkładaliśmy różne barwne derki. Bardzo często dawano nam tylko deski i często też, chyba za „karę”, spaliliśmy na betonie.

Dzień rozpoczynał się o świcie i wtedy wypędzano nas z bloku, a w Oświęcimiu nad ranem, po nieprzespanej nocy, było bardzo zimno nam głodnym i skąpo odzianym. Ogrzewaliśmy się, tworząc tak zwane „piece”, stawialiśmy ciało obok ciała, kto stawał na zewnątrz marzył, aż go ostonił nowy delikwent. Następnie jakaś zupa, picie i apel, którego czas trwania bywał różny. W obozie wiedzieliśmy, co nas czeka, a nawet krążyły na ten temat makabryczne dowcipy: radzono siadać na piecu, żeby się przyzwyczajać. Widzieliśmy dymy i często wiatr przynosił budzące podejrzenia zapachy. Wiedzieliśmy, że pozostając w Oświęcimiu, sami się szybko skończymy albo nas wyselekcjonują. Jedyną możliwością wydostania się była praca w Niemczech. Był to już okres, kiedy Niemcy potrzebowali fachowców i dlatego zdrowszych i silniejszych więźniów pozostawiali przy życiu i zmuszali do pracy, póki jeszcze siły nam na to pozwalały. [...]

Byłem doświadczonym elektrykiem i swobodnie władałem niemieckim, ale obawiałem się o brata, nikt nie potrzebował sanitariuszy. Dlatego przez kilka dni starałem się go nauczyć nazw paru narzędzi, czy połączeń stosowanych w instalacjach elektrycznych. Aż nastał ten „szczęśliwy” dzień. Tzw. kupiec z grubym cygarem w gębie potrzebował czterech elektryków. [...] I tak obaj trafiliśmy do obozu koncentracyjnego, chyba filii obozu w Gross-Rosen. Zatrudnili nas w gigantycznej firmie: *Wagon Und Maschinen Bau A.G.-Wumag*, w której produkowano różnego rodzaju uzbrojenie.

Produkowałem czołgi

Przydzielono nas do jednostki produkującej lekkie czołgi lub samochody pancerne na gąsienicach. Jak to często bywa w życiu, mój brat został elektrykiem, a ja montowałem płyty pancerne. Po krótkim czasie znów byłem elektrykiem i pracowałem przy taśmie produkcyjnej z drugim elektrykiem – panem Fensterem z Łodzi. Z taśmy na dziennej zmianie schodziło od 6 do 8 czołgów, a na nocnej od 5 do 6. Pracowaliśmy 12 godzin, od 6 do 18. Dzieliłiśmy się pracą i sami montowaliśmy całą instalację elektryczną. Zaletą naszej pracy była samodzielność. Pracowaliśmy na szczęście sami, bez stojących nam nad głową wiecznie goniących i często bijących niemieckich majstrów. Podlegaliśmy głównemu elektrykowi zakładu (Obermeister Elekriker), który przychodził raz na 2 lub 3 tygodnie, sprawdzał prace i zabierał nas do magazynu po sprzęt. Jego stosunek do nas był całkiem ludzki, zdarzało się czasami, że zostawiał jakąś kanapkę skrętnie ukrytą w któryś ze schowków narzędziowych czołgu.

Bardzo uciążliwa była droga z obozu do fabryki – ok. 5 km. Wychoziliśmy przed świtem, a wracaliśmy o zmierzchu. Na nogach mieliśmy drewniane trepy, do których przyklejał się śnieg i trudno było utrzymać równowagę. W drodze pilnowali nas żołnierze, ale czasami udało się nam doskoczyć do stojących przy drodze kubłów ze

śmieciami i złapać garść łupin kartoflanych. Czyściliśmy je ręką i zjadaliśmy w fabryce, po podgrzaniu na rurach centralnego ogrzewania. Nasze pasiaki i obuwie szybko się niszczyły. Ciekawe, że nigdzie nie ujawniono, że były utkane nie z nici włókienniczych, ale z papierowych sznureczków. Gdy wyciągało się taką nitkę, to otrzymywało się papierową tasiemkę o szerokości 4–5 mm. Moje ubranie właściwie przestało istnieć, bo z przodu zostało przeżarte przez kwasy z akumulatorów, które montowałem.

W początkowym okresie warunki życia i odżywianie były w Görlitz znacznie lepsze niż w Oświęcimiu. Baraki podzielono na duże sale dla 6–8 więźniów. Dostawaliśmy aż 400 gramów chleba dziennie i dość pożywną zupę. Nie trwało to jednak długo. Wkrótce ścianki działowe usunięto i zostawiono baraki z trzypiętrowymi pryzcami, po dwie jednostki razem.

Między pryzcami było wąskie przejście. Normalnie spaliśmy po dwóch na jednej pryzcy, by okryć się dwoma kocami, ale i tak w zimne noce nie udawało się nam rozgrzać. Spaliśmy w ubraniach, choć to było zakazane. A buty i talerz, który był skarbem, chowaliśmy pod głową. Komu ukradli talerz, musiał „odkraść” albo ginął. Z czasem i nasz wikt uległ ograniczeniu, zupy stały się wodniste, a racja chleba spadła do 1/6 jednokilogramowego chleba dziennie.

Naczelnikiem obozu był niezwykle elegancki oficer SS, podobno był on członkiem jakiejś elitarnej jednostki, z której został usunięty za wykroczenie. Sam nigdy się nie zbliżał do więźnia. Starszym obozu był sadysta i zbrodniarz o nazwisku Tschech. Też był więźniem, który odsiadywał karę za pięciokrotne morderstwo. Znęcał się nad nami i bił przy każdej okazji. Po wyzwoleniu obaj zostali rozpoznani i powieszani w Łodzi. W ich identyfikacji pomocny był lekarz dentysta – dr Kinrus, który pewnie znał ich uzębienie.

Numer bez tatuażu

Na początku naszego pobytu w Görlitz przybyli SS-mani z obozu Gross-Rosen, aby spisać nasze numery i je wytatuować. Dokonano tego tylko na małej liczbie więźniów, bo zabrakło tuszu. I tak zostałem bez tatuażu, ale swego numeru – 56821 nigdy nie zapomnę. Ciekawe, że numer ten pamiętam w zasadzie tylko po niemiecku i na inne języki tłumaczę z niemieckiego.

W męskim obozie w Görlitz byli Żydzi i Polacy głównie z Łodzi oraz Żydzi z Węgier. Zajmowaliśmy różne bloki. Oni mówili po niemiecku, a my przeważnie po polsku. Z męskim obozem graniczył obóz żeński, w którym były same Węgierki. Nie mieliśmy z nimi żadnego kontaktu. W styczniu lub w lutym 1944 roku przywieziono do obozu trzech Słoweńców. Byli piekarzami, którzy dostarczali chleb partyzantom jugosłowiańskim. Rozmawialiśmy z nimi zupełnie swobodnie, bo okazało się, że język słoweński jest bardzo zbliżony do polskiego, bardziej niż słowacki, rosyjski czy czeski.

I tak mijał dzień po dniu o głodzie i przy ciężkiej pracy. Ludzie marnieli w oczach i tracili siły. Coraz więcej umierało, przy czym główną przyczyną zgonów była biegunka, tak zwana w obozie *szajsa*.

Zaobserwowałem w obozie ciekawe zjawisko. Mój partner – elektryk Fenster przybył do Oświęcimia z otwartą gruźlicą i pluł krwią. W obozie krwotoki ustały i nawet przestał kasłać. Przypadków takich było więcej. Więźniowie z krwawiącymi i bolesnymi wrzodami jedli surowe łupiny, gnijące warzywa itp. i objawy choroby zniknęły. Podobnie było z innymi dolegliwościami. Pamiętam, że do łaźni na odwzelenie gonilli nas kilkaset metrów nagich po śniegu i nikt się nawet nie przeziębził i nie dostał kataru. Albo się było słabym, ale „zdrowym” albo *szajsa* i koniec. Jak to wytłumaczyć?

Czas płynął i rozpoczęła się zimowa ofensywa rosyjska. Słychać było działa. Rosjanie doszli do Nysy i zajęli miasteczko Penzig 13 km na północ od Görlitz, ale wtedy ofensywa się zatrzymała i znikły nadzieje na nasze rychłe oswobodzenie. W tym też mniej więcej okresie wystąpiły zakłócenia w produkcji fabryki. Alianci zbombardowali węzły kolejowe. Ustały dostawy podwozi i innych części potrzebnych do produkcji. Wstrzymana została taśmowa produkcja czołgów i zatrudniono nas przy różnych pracach pomocniczych, na przykład przy układaniu torów kolejowych, przy przygotowaniu terenu pod budowę. Trwało to długo, aż nadszedł rozkaz ewakuowania obozu.

Wówczas zaczął się najtragiczniejszy dla nas marsz śmierci. Całymi dniami szliśmy, z trudem popychając ciężkie wozy z „dobytkiem” SS-manów. Kierowali nas na południe, aby oddalić się od frontu. Wytworzył się długi wąż powłóczących nogami półtrupów. Mego brata ciągnęliśmy z kolegami tak, aby nie upadł w „ogonie”, bo co jakiś czas SS-mani odcinali ten ogon i opieszale wykańczali strzałem w tył głowy. Zostawiali zabitych na uboczu drogi, przykrytych tylko warstwą śniegu.

Nocowaliśmy w stodołach lub oborach w wielkich majątkach. Pamiętam, że przez dłuższy czas zatrzymaliśmy się we wsi Rennersdorf. Ulokowano nas w oborze, którą ładnie wyścielono świeżą słomą. Ale rozsypano ją na oborniku i po kilku dniach zaczęła gnić. Zrobiło się gorąco i rozmnożyły się wszy. Wydawało nam się, że są ich miliony. Pamiętam, że wychodziłem z obory, aby strząsnąć wszy z odzieży. Śnieg robił się czarny i ruchomy od tego robactwa. Wszy mieliśmy wszędzie, nawet w brwiach. W dzień rozgniatało się je między paznokciami. Ale w nocy, po ciemku, jedyne co pozostawało, to zgrzyż je w zębach i wypluć.

Ta męka skończyła się, kiedy nadszedł rozkaz, aby zapędzić nas z powrotem do obozu. Wielu z nas było w takim stanie, że nie wytrzymałoby drogi powrotnej. Wówczas Niemcy ogłosili, że chorych zawiozą ciężarówkami. Choć wiedzieliśmy, że zwykle los oszukiwał chorych, nasi chorzy postanowili zaryzykować i o dziwo zostali dowiezieni do obozu, a nie do krematoriów w Gross-Rosen. Wśród nich był także mój brat.

O pracy w fabryce nie było już mowy i zaczęto nas posyłać do kopania okopów. Właściwie, to było wyrąbywanie okopów kilofem w łupku skalnym, bardzo ciężka praca. Pilnowali nas głównie Łotysze i Ukraińcy, którzy popijali i gonili nas do pracy. Zawsze ktoś z nas pilnował, czy nie zbliża się wartownik. Spokój mieliśmy tylko podczas nalotów, kiedy samoloty aliantów w swych wahadłowych lotach przelatywały

nad Görlitz. Niemcy wówczas chowali się w bunkrach, a my „świętowaliśmy”. Pewnego razu nakrył mnie wartownik, gdy na chwilę stanąłem oparty o kilof. Powiedziałem mu, że zaboląła mnie noga. On zarepetował broń, wycelował we mnie i powiedział, że ma świetne lekarstwo na ból nogi. I nagle o dziwo – odszedł. A był to jeden z najokrutniejszych sadystów. Normalnie na okopy szliśmy w 100-osobowych grupach. Ten hitlerowiec zawsze zabierał 104 lub 105, bo jak mawiał i tak zredukuję się grupę do 100. [...]

Po tym incydencie postanowiłem zadekować się na pewien czas na rewirze, tam co prawda mniej się jadło, ale można było leżeć. Ryzyko było duże, bo co jakiś czas rewir był „oczyszczany”. Do rewiru można było być przyjętym tylko z *szajsą*, a ja byłem zdrowy. Wiedział o tym dr Jakobson, znajomy matki z Łodzi, który przyjął mnie na rewir i uratował życie. Pozostanie przy życiu zawsze było sprawą szczęścia lub przypadku. Na rewirze przeleżałem aż do wyzwolenia.

Trudna wolność

Chyba 2 maja 1945 roku zebrano nas na placu apelowym i *Lagerälteste* oznajmił, że Adolf Hitler nie żyje, obozy są zlikwidowane, a my jesteśmy wolni. Od razu otwarto bramy obozu, a SS-mani i kapo się ulotnili. Składy obozu były pełne żywności i pomimo napomnień lekarzy, ludzie rzucili się na jedzenie. Wielu spuchło, a może i przypląciło to życiem. Mój brat był spuchnięty aż do lutego 1946 roku. Ja jako dobrze przyjąłem tę obżerkę.

Nieliczni śmiałkowie postanowili zakosztować wolności i wyjść na miasto. Może się na coś skusili, może się to nie spodobało uzbrojonym mieszkańcom. Dość, że sprowadzili żandarmów z Zwickau (39 km na południe od Görlitz). Pamiętam, że owinięty w koc wyszedłem na jakieś wzgórze tuż przy obozie. Byłem sam, nikt mnie nie pilnował, dookoła cisza, zielono i tyle powietrza... Ogarnął mnie strach i powróciłem do obozu. Tam czułem się bezpiecznie!

Prawdziwe wyzwolenie nastąpiło prawdopodobnie dopiero 9 maja, chociaż wojna zakończyła się 8 maja. Nad ranem weszło na rewir dwóch wielkich, brodatych Sybiraków z rusznicami przeciwpancernymi i gdy nas zobaczyli wybuchnęli płaczem. Mówili, że to pierwszy obóz, w którym zastali żywych więźniów. Dotychczas wszędzie zastawali śmierć.

Wyszedłem z obozu wraz z kilkoma kolegami i zadomowiliśmy się w czteropiętrowym, pustym domu przy ulicy, dochodzącej do obozu z bezludnego wówczas miasta. Jedzenia nam nie brakowało, bo choć opowiadano, że w Niemczech wszystkiego brakuje, zastaliśmy piwnice pełne kartofli, warzyw, konserw były nawet kury w wekach i setki butelek wina i soków. Pozostaliśmy w Görlitz jeszcze 6 tygodni, żeby nabrać sił (ważyłem wtedy 39 kilogramów), a potem rosyjskimi eszelonami wyjechaliśmy do Polski. Pociąg składał się z dziesiątków wagonów załadowanych kartoflami, nad którymi umocowano prowizoryczne daszki. Te 50 cm między daszkiem a ziemniakami to był nasz dom na blisko 2 tygodnie. Tyle trwała droga z Görlitz do Łodzi, ale było nam dobrze.

* * *

Po wojnie odwiedziłem Drezno. W mojej pamięci wyryła się olbrzymia tablica wyszczególniająca „zbrodnie aliantów”!!! W drodze z Drezna do Łodzi zatrzymałem się na jeden dzień w Görlitz. Na końcu ulicy Menanchtoustwasse trafiliśmy na miejsce, w którym – jak sądziliśmy – był obóz. Była to kotlina otoczona pagórkami, a na niej boisko sportowe i ogródki działkowe. Tuż przy drodze prowadzącej do obozu znaleźliśmy pomnik postawiony ku czci ofiar hitleryzmu przez uczniów jakiejś szkoły zawodowej. Ale nie było tam wzmianki o samym obozie koncentracyjnym. Aby się upewnić, że to tutaj, zapytaliśmy przechodzącą staruszkę. Odpowiedziała: *Ach tak, był tu taki obóz pracy...* I tylko tyle.

Prof. Michał Seweryn Erlicki, łodzianin. W getcie łódzkim przebywał wraz z matką i bratem od 1940 do 1944, potem przeszedł przez Auschwitz i obóz w Görlitz. Po zakończeniu wojny studiował na Wydziale Elektrycznym Politechniki Łódzkiej, gdzie został asystentem w Katedrze Maszyn Elektrycznych i Transformatorów i uzyskał stopień doktora nauk technicznych. 7 stycznia 1957 r. wyjechał z rodziną do Izraela. Osiedlił się w Hajfie, gdzie w Izraelskim Instytucie Technicznym pracował naukowo aż do emerytury. W 1987 r., po 30-letniej nieobecności, odwiedził Polskę. Jak podkreślał, przez wszystkie lata w Izraelu żył sprawami Polski, a język polski jest jego ojczystym językiem, w którym myśli i rozmawia. Od tej pory, przez wiele lat regularnie przyjeżdżał z żoną do Łodzi i odwiedzał kolegów z Politechniki Łódzkiej. Obecnie nie pozwala mu na to stan zdrowia. Wspomnienia, które publikujemy, prof. Seweryn Erlicki wysłał do Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, *aby dodać co nieco do znanych już i mniej znanych faktów, gdyż coraz mniej zostało na tym świecie świadków hitlerowskich zbrodni, a coraz więcej jest „świątłych naukowców”, którzy świadomie i cynicznie negują sam fakt masowego ludobójstwa lub też starają się umniejszyć jego rozmiary.*

Na prośbę redakcji prof. Erlicki zgodził się udostępnić wspomnienia czytelnikom „Kroniki”.

Prof. Michał Seweryn Erlicki

– Hajfa, Izrael

Opracowała: Małgorzata Golicka-Jabłońska

Przypisy:

1. Hans Biebow – szef cywilnej administracji niemieckiej w getcie łódzkim. Zbrodniarz wojenny, po zakończeniu wojny aresztowany przez aliantów.
2. Szpera z niem. *Allgemeine Gehsperr* – zakaz opuszczania domów.

Amerykańska biografia trudnego Łodzianina

Michel Thomas, potomek Konów

Łodzianie

Postać Michela Thomasa nie jest znana w Łodzi – mieście, w którym się urodził i w którym spędził lata dziecięce. I do którego w końcu wracał aż do czasu kiedy Holocaust nie odebrał mu całej rodziny. Autor tego tekstu na historię Michela Thomasa trafił zupełnie przypadkiem, szybko zdając sobie sprawę, że jego kontrowersyjna biografia ma cechy pewnej legendy. Biografia ta wzbogaca w pewnej mierze dziedzictwo historyczne naszego miasta i jest głosem w skomplikowanych relacjach polsko-żydowskich.

Superlingwista

Amerykańska kariera Michela Thomasa rozpoczęła się w wrześniu 1947 roku, kiedy to utworzył w Beverly Hills swoją pierwszą szkołę językową – Instytut Poliglotów (*The Poliglot Institute*). Zyskał szybko sławę genialnego nauczyciela, który w przeciągu sześciu tygodni jest w stanie nauczyć każdego płynnie i poprawnie mówić i pisać po francusku, hiszpańsku, włosku, niemiecku, rosyjsku. Sam płynnie posługiwał się jeszcze kilkoma innymi językami; w tym jidysz oraz polskim. Instytut Poliglotów szybko przekształcił się w Centrum Językowe Michela Thomasa, z tej prostej przyczyny, że gros jego klientów nie rozumiało słowa „poliglota”. Z usług Thomasa korzystały gwiazdy filmowe, politycy, biznesmeni w tym Woody Allen, Yves Montand, Emma Thompson, Bob Dylan, Francois Truffaut i wielu innych. Wiele międzynarodowych hollywoodzkich produkcji filmowych zaczynało się od zaangażowania Thomasa, podobnie jak karier dyplomatycznych i biznesowych, a czasem nawet małżeństw. Tak było w przypadku Grace Kelly i księcia Rainiera.

Na czym polegała skuteczność jego metody, budzącej tak duże zainteresowanie? Przede wszystkim na umiejętności pobudzenia u ucznia językowej ciekawości i pasji. Najważniejsza była jednak osobista charyzma i urok samego Thomasa, wzbudzającego niebawym respekt w swoim otoczeniu, na które oddziaływał niemal hipnotycznie.

Każdy kurs, czy to przeprowadzany w Centrum Thomasa w Los Angeles i Nowym Jorku, czy zarejestrowany na płytach, rozpoczynał się zawsze od autorytatywnego wstępu: *Będziecie uczyć się nową metodą, w której nie ma notatek, nie ma prac domowych. Z całą mocą proszę byście nie starali zapamiętywać, cała odpowiedzialność za waszą naukę spoczywa na mnie*. Thomas nigdy nie strofował swoich uczniów ani ich nie poprawiał, tworząc jedynie silne postanowienie wewnętrzne u ucznia. W pewnym sensie była to metoda rewolucyjna w swojej prostocie: klasyczne nauczanie



języków polega raczej na uczeniu osobno struktury gramatycznej i słownictwa. Kiedy uczymy się języka – jak mawiał Thomas – najbardziej przerażające jest to, że uczymy się od początku czegoś, czego w ogóle nie znamy, obcego kodu, który dodatkowo zniechęca swoją rozbudowaną strukturą. Dlatego tak ważna jest rola nauczyciela w rozładowaniu tego napięcia i utrzymywaniu go w przekonaniu, że z czasem szybko nauczy się skutecznie języka.

Thomas zaczynał naukę od najprostszych konstrukcji gramatycznych – prosząc swoich uczniów, by układali je w przeróżne konfiguracje, z czasem je rozbudowując i uzupełniając o dodatkowe słownictwo. Już po godzinie uczniowie byli przekonani, że są w stanie komunikować się w obcym języku na najprostszym poziomie. Kurs francuskiego, hiszpańskiego czy włoskiego Thomas oparł na paralelach tych języków z angielskim. Mawiał bowiem, że

większość angielskich słów to źle akcentowane wyrazy francuskie. Wystarczyło więc pół godziny nauki by przekonać adepta francuskiego, że zna w tym języku już jakieś 3 tys. słów. Swoją metodą nauczania Thomas próbował zainteresować odpowiedzialnych za szkolnictwo. W tym celu przeprowadził dwa znaczące eksperymenty. Pierwszy w 1970 roku, kiedy to podjął się nauki latynoskich dzieci z przedmieść Los Angeles, które porozumiewały się jedynie dialektem hiszpańskiego. Po sześciu tygodniach nauki posługiwały się już nie tylko poprawną angielszczyzną w mowie i piśmie, ale równie poprawnie mówiły i pisały po hiszpańsku. Eksperyment ten powtórzył jeszcze w latach 90. we wschodnim Londynie. Sześć tygodni wystarczyły by nauczyć grupę młodzieży francuskiego. Według Thomasa każdy, kto był w stanie nauczyć się dobrze swego języka ojczystego, już dowiódł talentów językowych i jest w stanie nauczyć się następnych.

Autokreator czy bohater

Michel Thomas zmarł w 2005 roku. Mimo swoich 90 lat był cały czas aktywny zawodowo i towarzysko. Pięć ostatnich, burzliwych lat życia Thomasa postawiło jednak wiele znaków zapytania co do jego historii. Zaczęło się w 1999 roku, kiedy Christopher Robbins wydał biografię Thomasa pt. *Test odwagi* (The test of Courage), rysując w niej portret człowieka o tak nieprawdopodobnej sile wewnętrznej i prawości, że jak twierdzili krytycy: *aż trudno w to uwierzyć*. Szybko też pojawiły się kontrowersje – w 2001 roku „Los Angeles Times” opublikował artykuł oskarżający Thomasa o to, że fałszował i wyolbrzymiał swoje wojenne bohaterstwo. Co więcej gazeta twierdziła, że w podobny sposób wyolbrzymiał skuteczność swojej metody nauczania. Doszło do tego, że publicznie nazwano go *starym kłamcą*. Thomas poszedł do sądu, ale pozew zarzucający gazecie znieślawienie został odrzucony przez sędziego.

Rozpoczęła się medialna wojna o dobre imię Thomasa. Wojna, która za sprawą starań jego przyjaciół i dokładnych badań archiwalnych oraz świadectw dawnych kolegów, doprowadziła do uznania za bohatera. W 2004 roku senator John McCain przyznał mu odznaczenie Srebrnej Gwiazdy za działalność na rzecz aliantów. To wydarzenie nie zamknęło jednak dyskusji ani nie rozwiązało wszystkich kontrowersji. Trudno jest orzec dzisiaj kto w tym sporze miał rację i na ile Thomas mówił prawdę o swoim życiu. W jego biografii kryje się zagadka, która czyni tę historię jeszcze bardziej przejmującą. Wydaje się, że zza obrazu wojennego bohatera, człowieka prawego i niezłomnego, i wybitnego lingwisty wyłania się skrywany obraz kogoś przeżywającego wciąż morderczą traumę, człowieka nie pogodzonego z ogromem nieszczęść, które go spotkały.

Dzieciństwo w Łodzi

Michel Thomas urodził się w Łodzi jako Moniek Kroskof 3 lutego 1914 roku. Pochodził ze znanej żydowskiej rodziny fabrykantów, która była jednym z symboli miasta. Na jej czele stał Oskar Uszer Kon, właściciel Widzewskiej Manufaktury. Jego bratanica Frida – matka Mońka – była jak na owe czasy i obyczaje środowiskowe kobietą niezależną. Dwukrotnie rozwiedziona, najpierw z pierwszym mężem, którego wybrała jej rodzina, potem z inżynierem naftowym Samuelem Kroskofem, pracującym wiele lat w przemyśle petrochemicznym w Baku. Najwcześniejsze wspomnienia Michela Thomasa wiążą się z ponurym okresem końca I wojny światowej w Łodzi, chorobą i nieporozumieniami rodziców. Wreszcie z pewnym incydentem, który już w wieku sześciu lat na zawsze zburzył poczucie bezpieczeństwa chłopca. To był głupi i okrutny żart – na podwórku kamienicy, w której mieszkał Moniek znajdowała się studnia – jego rówieśnicy widząc panią Kroskof na balkonie zaczęli wołać do studni: *Moniek, Moniek*. Matka chłopca wpadła w panikę, sądząc, że jej syn się topi.

Kiedy Moniek krótko potem pojawił się podwórzu, widok rozpaczającej matki i zbiegowiska wokół niej wywołał w nim silny stan depresji. Ta trauma spowodowana złośliwym żartem była przyczyną radykalnej niechęci Thomasa do Łodzi. Niechęć graniczącą z fobią wobec kraju urodzenia, a nawet języka polskiego. Thomas wspomina, że czuł się znacznie lepiej w Poznaniu i Gdańsku, gdzie zabierała go matka, bo nie musiał tam słuchać polskiego.

Rodzice zdecydowali, że syn powinien wyjechać – wysłali go więc do Wrocławia, do ciotki Idessy. W 1933 roku, kiedy w Niemczech zaczęła rządy partia narodowosocjalistyczna, Kroskof wyjechał do Francji. Studiował tam językoznawstwo na Sorbonie, a potem na Uniwersytecie w Bordeaux.

W opowieści Thomasa jest jeszcze jedna relacja z Łodzi. W 1937 roku Moniek Kroskof ostatni raz odwiedza rodziców. Ci, posługując się autorytetem jego wielkiego wuja Oskara Uszera Kona, próbują go skłonić do powrotu do rodzinnego miasta. Kon proponuje Mońkowi udział w interesach, ale spotyka się ze zdecydowaną odmową krewniaka. Relacja Thomasa daje też rzut oka na osobowość samego Kona,

który miał wtedy powtarzać: *Łódź nie dba o nic więcej jak tylko o pieniądze. Rabini wiedzą więcej o wekslach niż o Torze. Znają się lepiej na bankructwach niż na prawach Bożych [...]. Łódź wie, że za pieniądze można kupić wszystko, nie tylko wełnę czy bawełnę....* Trudno powiedzieć, czy ta relacja bardziej była opisem miasta, osobowości Kona, czy też efektem utrwalonej niechęci samego Thomasa. Faktem jest, że był to ostatni raz kiedy Kroskof odwiedził Łódź, ostatni raz w życiu widział też swoich rodziców. Z Oskarem Konem spotka się jeszcze długo po wojnie w Meksyku.

Ucieczka przed faszyzmem

Prosto z Łodzi Kroskof udał się koleją do Wiednia, gdzie rozpoczął studia z psychologii i filozofii. Początek pobytu w mieście Freuda był dla Kroskofa bardzo beztroski – prowadził studencko-kawiarniany tryb życia, który dawał mu sporo satysfakcji. W Wiedniu związał się z miłością swojego życia Suzanne Adler – krewną twórcy psychologii indywidualnej – Alfreda Adlera. Ten idylliczny okres skończył się wraz ze zbliżającym się widmem nazizmu. *Anschluss* Austrii uczynił życie żydowskiego imigranta, wkrótce pozbawionego również polskiego paszportu, bardzo niebezpiecznym. Postanowił uciekać.

Kroskof i Suzanne Adler, uciekając do Francji, wybrali drogę najkrótszą – przez Niemcy. Był to pomysł tak szalony, że mało komu mógł przyjść do głowy. Przekroczyli granicę francusko-niemiecką w okolicach Saarbrücken. Następne miesiące płynęły wśród grozy zbliżającej się wojny – w ciągłej trosce o rodzinę, która pozostała w Łodzi. Śledząc doniesienia wojenne z Polski, był też świadkiem napaści Niemiec na Francję.

W pierwszych miesiącach wojny związał się też z francuskim ruchem oporu – wówczas bardzo jeszcze słabym. Już wtedy językowe zdolności łodzianina czyniły go człowiekiem bardzo użytecznym. Zajmował się między innymi imigrantami niemówiącymi po francusku. Został aresztowany razem z Suzanne Adler w październiku 1940 roku przez kolaboracyjne władze francuskie i oskarżony o „sprzedajność”. Od tego zarzutu udało mu się oczyścić. Ale drugie aresztowanie okazało się dużo bardziej brzemiennie w skutkach. Został przewieziony do obozu koncentracyjnego La Vernet na południu Francji – obozu zwanego później „francuskim Dachau”.

Okoliczności w jakich Moniek Kroskof został – właściwie w okresie kiedy był bliski śmierci głodowej – uwolniony z La Vernet, w niezwykle sposób zaważyły na jego życiu. Więźniowie w obozie dzielili się na tych, którzy mieli widoki na uzyskanie wizy do któregoś z krajów neutralnych oraz tych, którzy takich szans nie mieli i byli skazani wcześniej czy później na deportację do obozów zagłady. Pewnego dnia został wezwany do ambasady Wenezueli w celu wypełnienia dokumentów wizowych – z ulgą opuścił obóz, ale dokumentów nie wypełnił. Nie był w stanie zaakceptować, że jego narzeczona Suzanne Adler, by wyciągnąć go z obozu i ocalić mu życie, związała się z innym mężczyzną. To był koniec ich związku. Zrozpaczony wrócił do La Vernet, niedługo potem znalazł się w obozie koncentracyjnym w Les Milles w Prowansji. Stamtąd, dzięki podrobionym dokumentom, udało mu się uciec. Postanowił walczyć z nazistami.

Partyzant, żołnierz, wywiadowca

Początkowo Moniek Kroskof związał się z francuskim ruchem oporu *Resistance*. Brał udział w bitwie o płaskowyż Vercor, od której partyzanci zamierzali rozpocząć wyzwolenie Francji. Przegrana bitwa doprowadziła do rozbicia oddziału Kroskofa, ale z tamtego okresu pochodzi również nazwisko jakie przyjął. Odtąd nazywał się Michel Thomas. Historia zmiany imienia i nazwiska miała kilka faz. Najpierw zmienił swoje polsko brzmiące imię na hebrajskie Mosze, potem na francuskie Michel. Nazwisko to efekt przypadku – jedno z wielu nazwisk jakim posługiwał się w konspiracji.

Kiedy armia amerykańska znalazła się we Francji, jego doskonała znajomość angielskiego, francuskiego i niemieckiego, razem z wybitną inteligencją, przydały się służbom wywiadowczym aliantów. Brał udział w poszukiwaniu i schwytaniu Emila Mahla, kata Dachau, oraz odpowiedzialnego za masakrę żołnierzy amerykańskich pod Malmedy Gustava Knittela. Już po zakończeniu wojny Thomas zajmował się infiltrowaniem podziemnych organizacji nazistowskich Odessa i Werwolf. Niektórzy twierdzą, że działalność Thomasa doprowadziła do ujęcia ponad 2,5 tys. hitlerowskich zbrodniarzy wojennych. Thomas jeszcze w 1987 roku zeznawał w procesie Klausa Barbie, kata Lyonu, który przesłuchiwał go w okresie działalności w *Resistance*.

W 1947 roku wycieńczony wojną i w ciężkim stanie psychicznym wypłynął z portu Le Havre do Stanów Zjednoczonych. Ciąg przygód Thomasa, droga jaką przebył przez całą niemal Europę, uciekając przed faszyzmem, a potem walcząc z nim, była pełna zaskakujących zwrotów, dziwnych przypadków i szczęścia. Szczęścia przyćmionego nieznanym losem całej rodziny w Polsce i przecuciem ich tragedii.

Bolesna awersja

W tej ciekawej biografii łódzkiego Żyda tkwi oczywiście pewna rysa, która zapewne utrudni łodzianom dumę ze swojego rodaka. Jest to akcentowana na kartach tej książki niechęć Thomasa do Polski i Łodzi. Niechęć, która z naszego punktu widzenia jest w oczywisty sposób niesprawiedliwa. Thomas rozwodzi się o polskim antysemityzmie, według niego gorszym i bardziej groźnym niż ukraiński czy rosyjski. Łódź w opisach Thomasa to miasto brudu, choroby i nienawiści. Thomas nigdy nie uczył polskiego, nie mówił po polsku po wojnie, co więcej, stwierdził, że *po prostu usunął język polski z pamięci*. Michel Thomas nigdy też nie zaakceptował tego, co stało się z jego rodziną na polskiej ziemi – nigdy nie odmówił tu modlitwy kadisz za swoich bliskich. Do końca życia zabierał ze sobą niemal wszędzie, jako najcenniejszą własność, małą teczkę, w której znajdowało się kilka zdjęć i listów – jedynych pamiątek po rodzinie w Polsce. Miał swój rytuał – wyciągał zaadresowane dobrze mu znanym charakterem pisma jego matki i ciotki listy do rodziny w Ameryce, przekładał je, oglądał i odkładał na miejsce. Twierdził, że do późnej starości nie odważył się przeczytać tej korespondencji. Nie potrzeba skomplikowanej psychologicznej analizy, by na tej monumentalnej biografii



dostrzec rysę, która pokazuje obraz człowieka nie tylko wielkiego, ale i w dramatyczny sposób złamanego, człowieka ukształtowanego przez towarzyszącą mu traumę. Człowieka, który nie zdobył się nigdy na to, by skonfrontować się z własną przeszłością i pogodzić się z nią.

Marcin Kieruzel
– student socjologii UŁ

Fot. archiwum autora

Źródła:

Christopher Robbins, *The Test of Courage*, London 1999.
The Language Master 1997, film prod. BBC, reżyseria Nigel Levi.
Strona internetowa www.michelthomas.com

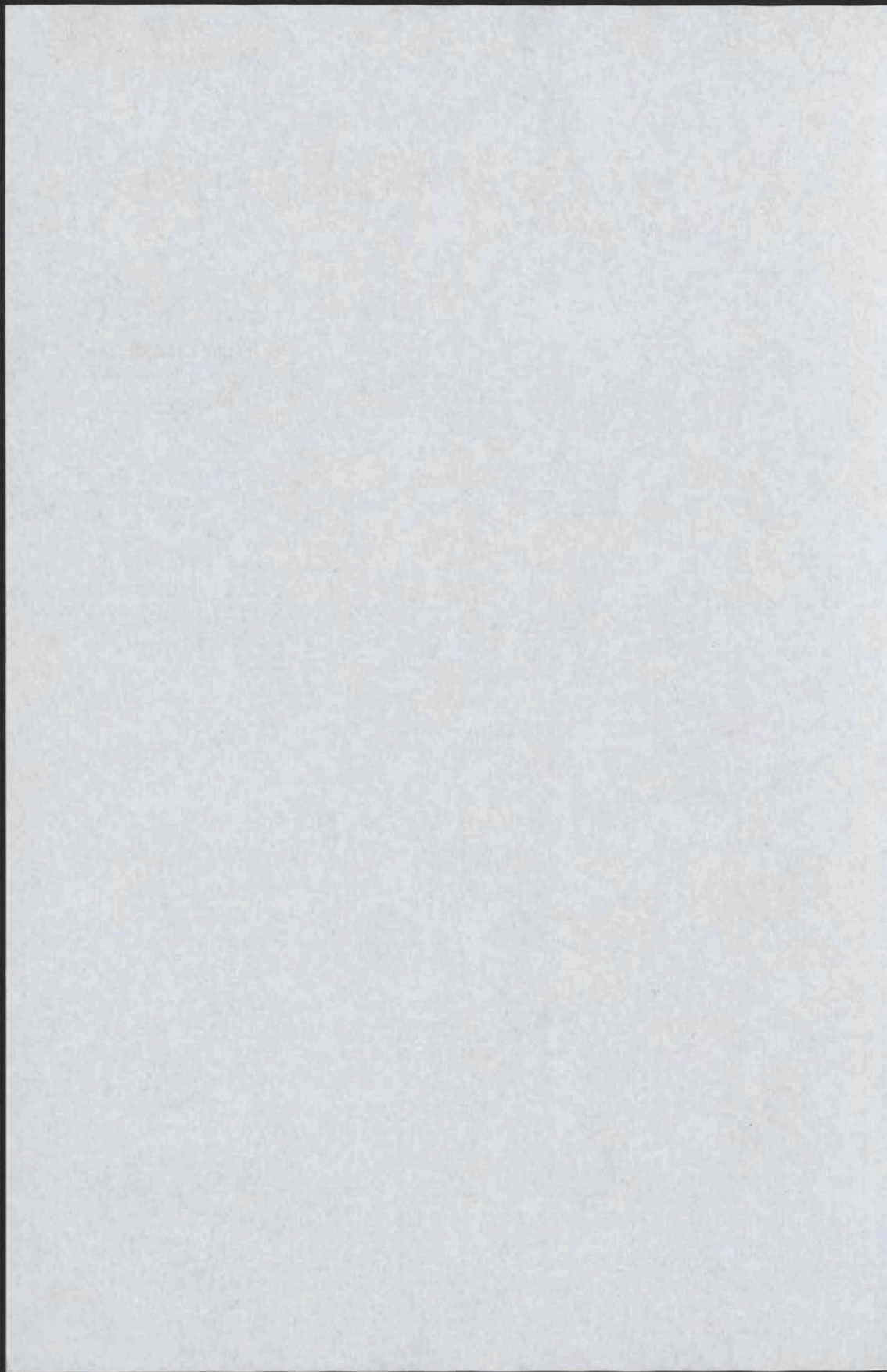
osiedla, domy, ulice

Ulica z charakterem

Wschodnia

Dariusz Kędzierski

str. 245



Ulica z charakterem

Wschodnia

osiedla, domy, ulice

Gdy na początku XIX w. władze Królestwa postanowiły doprowadzić do szybkiego rozwoju Łodzi i zaczęto tworzyć zręby Nowego Miasta, nacją, o której nie zapomniano, i która otrzymała ściśle wytyczne w zakresie osadnictwa – byli Żydzi. Początkowo, dla osiedlenia ludności żydowskiej planowano przeznaczyć tereny w zachodniej części Starego Miasta, głównie w obrębie ulicy Drewnowskiej. Później jednak przeważała koncepcja usytuowania „rewiru żydowskiego” w rejonie obejmującym południowe pierzeje Rynku, ulic Wolborskiej, Podrzecznej oraz dalej na południe, w kierunku ulicy Północnej, wzdłuż nieistniejącej jeszcze wtedy ulicy Wschodniej. 27 września 1825 roku Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych oficjalnie zatwierdziła ten obszar jako „rewir żydowski”. Łódź nie była tutaj żadnym wyjątkiem, gdyż tego typu „rewiry” powstawały w całej Europie, a podłożem ich tworzenia był aspekt religijny. Europa była chrześcijańska i nie życzyła sobie „zgorzenia” religijnego. Dlatego Żydzi, jako bezpaństwownicy, jeżeli chcieli żyć, osiedlać się i pielęgnować własną kulturę oraz zachować odrębność własnych praktyk religijnych, musieli godzić się na życie w specjalnie przeznaczonych dla nich miejscach. W samym Królestwie Polskim wyznaczonych było kilkadziesiąt takich „rewirów”. Były też wyjątki, poza rewirem mogli osiedlać się zamożni Żydzi, którzy potrafili wykazać się odpowiednim majątkiem, znali język polski, niemiecki lub francuski i najlepiej – jeżeli nie używali symboli charakterystycznych dla Żydów ultraortodoksyjnych.

Decyzja o utworzeniu „rewiru żydowskiego” właśnie w tym miejscu, praktycznie sankcjonowała stan już istniejący, gdyż jeszcze przed jej wydaniem Żydzi osiedlali się tutaj, obierając ten teren za miejsce swojego zamieszkania. Właśnie tu, w roku 1809 powstała nieduża, drewniana synagoga. Budynek nie był zbyt solidny i co jakiś czas wymagał napraw lub bardziej gruntownych remontów. W rezultacie w 1858 roku podjęto decyzję o budowie w tym miejscu nowego, bardziej trwałego budynku służącego modlitwie. Projektantem świątyni był architekt miejski – Jan Karol Mertsching, jej budowa została ukończona w 1871 roku. Natomiast w 1893 roku synagoga została przebudowana według projektu Adolfa Zeligsona. Powstał wtedy okazały gmach wzniesiony na planie prostokąta. Architektonicznie stanowił mieszaninę kilku stylów: mauretańskiego, bizantyjskiego, neomauretańskiego i neoromańskiego.

Władze miasta, podejmując decyzję o takim właśnie usytuowaniu „rewiru”, miały nadzieję, że trudniący się głównie handlem Żydzi szybko zagospodarują ten teren, w tym zabudują go domami murowanymi. Zakładano, że w ten oto sposób nastąpi szybkie urbanistyczne połączenie Starego Miasta z dopiero co tworzoną Nową



Miastem. Niestety, obszar ten był zamieszkały przez żydowską biedotę, której nie było stać na spełnienie warunków umożliwiających osiedlanie się poza tą strefą.

Liczba ubogiej ludności żydowskiej systematycznie rosła, co doprowadziło do ogromnego zagęszczenia. Ludzie mieszkali wszędzie, w piwnicach, na strychach, w ogromnym ścisku. O tym jak szybko zwiększała się ludność Łodzi, w tym liczba ludności żydowskiej, niech świadczy fakt, iż w momencie budowy pierwszej synagogi w roku 1809 Żydów była ledwie setka, natomiast dziewięćdziesiąt lat później było ich już prawie sto tysięcy. Rozrosła się również Wschodnia, a zlikwidowanie grobli na Nowomiejskiej i stawu na rzece Łódce pozwoliło na przedłużenie ulicy w kierunku północnym, najpierw do Łódki, a później przez mostek do ulicy Wolborskiej. Uzyskano w ten sposób większą przestrzeń handlową, co pozwoliło na powstanie prawie pięciuset nowych straganów. Odsłonięte koryto rzeki Łódki zaczęto przykrywać dopiero w 1902 roku, było to o tyle ważne, gdyż w tamtym czasie rzeka była jednym wielkim ściekiem.

Na styku Wolborskiej i Wschodniej znajdował się tzw. *Szachermark* czyli wielki targ starzyzną: sprzedawano stare buty, zniszczone ubrania, różne przedmioty codziennego użytku – niekiedy do samodzielnej naprawy. Na pozostałej zaś części handlowano głównie żywnością. Panujące tu warunki sanitarne urągały wszelkim normom. Przestrzeń handlową zajmowały byle jakie budy sklecone z kawałków desek, tektury i szmat, dookoła było błoto z resztkami gnijących odpadów, a obok plac pełniący rolę ustępu. Nic więc dziwnego, że wobec takiego stanu rzeczy dozór sanitarny zabraniał w tym miejscu handlu produktami innymi niż suche. Były plany, aby cały ten teren zniwelować, natomiast rzekę zasypać ziemią i obsadzić drzewami. Miało powstać coś na kształt bulwaru. Planu tego jednak nie zrealizowano. Likwidacja setek straganów

pozbawiłaby tysiące ludzi jedyne źródła utrzymania, a właściciele placów – w tym żydowski dozór bożniczego przy Wolborskiej 22, do którego należał targ przy Wschodniej – stałych dochodów z ich dzierżawy.

To, czego nie zrobiono przed wojną, brutalnie dokonano się w czasie okupacji. Niemcy zburzyli synagogę i zrównali cały teren z ziemią, a ludność żydowską zapędzili do utworzonego w północnej części Łodzi getta, gdzie powstała druga w dziejach miasta przymusowa dzielnica żydowska.

Po zakończeniu działań wojennych postanowiono na pozostawionym przez Niemców gruzowisku urządzić park. W ten oto sposób powstał park Staromiejski, którego projektantem był inżynier – Kazimierz Chrabelski. Siłą rzeczy, skróceniu uległa również ulica Wschodnia, a właściwie ulica Piłsudskiego. Warto bowiem przypomnieć, że w 1928 roku powołany do obchodów uczczenia 10. rocznicy uzyskania niepodległości Komitet Obywatelski wystąpił z propozycją przemianowania ulicy Piotrkowskiej na ulicę 11 Listopada, a Wschodniej na ulicę Piłsudskiego. Ostatecznie w wyniku silnych protestów łodzian Rada Miejska postanowiła nie zmieniać nazwy ulicy Piotrkowskiej. Nazwę 11 Listopada nadano ulicy Konstantynowskiej, a Wschodnią przemianowano na Piłsudskiego. Po zakończeniu wojny Wschodnia wróciła do starej nazwy.

Zabudowa ulicy Wschodniej to czynszowe kilkunastokondygnacyjne kamienice stawiane głównie przez ich żydowskich właścicieli. O tym, że Wschodnia została stworzona przez Żydów może świadczyć fakt, że przy ulicy, która ma raptem 930 metrów długości, znajdowało się aż 20 domów modlitwy. Na innych łódzkich, bogatszych, dłuższych i bardziej okazałych ulicach, poza Piotrkowską, aż tylu miejsc służących modlitwie nie było.

Wschodniej zawdzięczamy artystę wielkiego światowego formatu. To tu, pod numerem ósmym przyszedł na świat Artur Rubinstein. Zabawne, że na swój sposób to ośmioletni brat wielkiego wirtuoza nazaczył jego przyszłość. Najmłodsze, siódme dziecko Rubinsteinów miało bowiem mieć na imię Leon, ale ośmioletni Ignacy kategorycznie się temu sprzeciwił. Przekonał rodziców, że skoro Artur – jeden z synów sąsiadów – tak pięknie gra na skrzypcach, to i jego najmłodszy brat również powinien nosić takie imię, gdyż jest szansa, że wyrośnie na wielkiego muzyka. Wobec takiej argumentacji rodzina uległa, a kilka lat później przepowiednia zaczęła się spełniać. Mały, niespełna czteroletni Artur w czasie, gdy jego siostra pobierała nauki gry na fortepianie, sam pojął umiejętność gry na tym instrumencie. Zachwyceni rodzice wyprosilili konsultację u Józefa Joachima, najśłynniejszego w tamtym czasie skrzypka, dyrygenta Cesarsko-Królewskiej Akademii Muzycznej w Berlinie. Gdy mały Artur odegrał ze słuchu temat z *Niedokończonych symfonii* Schuberta, który mistrz zagwizdał, Józef Joachim uznał, że małego Rubinsteina czeka wielka kariera.

Z Łodzią, w tym szczególnie z ulicą Wschodnią, łączy się osoba marszałka Józefa Piłsudskiego. 15 lipca 1899 roku Piłsudski poślubił Marię z Koplewskich Juszkiewiczową, działaczkę PPS zwaną przez członków partii „Piękną Panią”. Już po

kilku miesiącach, w październiku, młodzi małżonkowie przyjechali do Łodzi. Pod zmienionym nazwiskiem, jako Państwo Dąbrowscy, zamieszkali w kamienicy przy ulicy Wschodniej 19. Wśród bagażu, który ze sobą przywieźli, znajdowała się skrzynia, a w niej spakowana ręczna drukarnia tzw. bostonka oraz czcionki. Tajna drukarnia rozpoczęła pracę niemal od zaraz, gdyż pierwszy „Łódzki”, a trzydziesty trzeci z kolei numer konspiracyjnego „Robotnika” ukazał się jeszcze z datą pierwszego października. Cała praca zorganizowana była doskonale. Pokój, który pełnił rolę drukarni nie posiadał okna i był najbardziej oddalony od drzwi wejściowych. Niestety, na początku 1900 roku nasiliły się aresztowania i rewizje w domach osób podejrzanych o działalność konspiracyjną. Mieszkanie i drukarnia były dobrze ukryte, na nieszczęście przypadek sprawił, że doszło do wpadki. 19 lutego przyjechał do Łodzi na spotkanie z Piłsudskim członek Centralnego Komitetu Robotniczego – Aleksander Malinowski. Był obserwowany przez szpicli, którzy zauważyli, że zakupił on dosyć dużą ilość papieru, z którym udał się na ulicę Wschodnią. W nocy 21 lutego Malinowski został aresztowany, a o trzeciej nad ranem żandarmi wkroczyli do mieszkania Piłsudskich, gdzie właśnie trwał druk trzydziestego szóstego numeru „Robotnika”. Piłsudskiego najpierw przewieziono do więzienia przy ulicy Długiej, skąd w kwietniu został przetransportowany do cytadeli warszawskiej, a następnie do szpitala więziennego w Petersburgu, z którego udało mu się zbiec za granicę.

Kilka domów dalej, przy Wschodniej 29, miał swoją siedzibę Łódzki Oddział Towarzystwa dla Uregulowania Emigracji Żydowskiej. Przed wojną wśród wyznawców religii mojżeszowej coraz silniej zaczęli być zauważani zwolennicy idei syjonistycznej. Głosili oni odrębność narodowości żydowskiej oraz konieczność powołania państwa żydowskiego w Palestynie, do którego powinni ściągać Żydzi z całego świata. Wśród zwolenników syjonizmu nie było jednak jednomyślności co do sposobu dojścia do własnego państwa. W samej Łodzi działały trzy organizacje propagujące wśród ludności żydowskiej wyjazd do Palestyny. Jedna z nich prowadziła swoją działalność przy Wschodniej 29.

Niemal od początku swojego istnienia Wschodnia była też nazywana ulicą Pocztową, gdyż tu swoją siedzibę miała łódzka „pocztaliteria”, dokładnie na rogu Południowej (Rewolucji 1905 roku) i Wschodniej. Początkowo powstanie nowoczesnego punktu pocztowego blokowała Generalna Dyrekcja Poczty, wychodząc z założenia, iż wystarczającym jest istniejący punkt w Strykowie, ostatecznie jednak zgodę wydano. Najwyraźniej władze poczty nie były jeszcze wtedy w stanie przewidzieć, jak dynamiczny będzie rozwój nowego tworu miejskiego, jakim w przyszłości miała być Łódź. Od początku swojego istnienia łódzka „pocztaliteria” podlegała urzędowi pocztowemu w Piotrkowie. Piotrków bowiem, w tamtych czasach, był ważnym węzłem komunikacyjnym w kierunku Warszawy, Kalisza, Poznania oraz Ozorkowa i Łęczycy. Łódzka „pocztaliteria” była przedsięwzięciem prywatnym, działającym w oparciu o umowę z władzami pocztowymi, również lokal, w którym się mieściła wynajmowany był od

osoby prywatnej. Był to narożny, parterowy, drewniany budynek. Miejsce to nie stanowiło dobrego zabezpieczenia dla składanych tu depozytów, narzekali również podróżni, którzy musieli brnąć w błocie po ulicach pozbawionych bruku, aby dostać się do domu pocztowego. Do czasu powstania Kolei Żelaznej Fabryczno-Łódzkiej bardzo istotną funkcją „pocztalтерии” był transport pasażerski. Karetki pocztowe woziły ludzi do Kalisza, Łęczycy, Kutna lub Piotrkowa. W 1844 roku łódzka „pocztalteria” miała na stanie cztery konie pocztowe.

Na przełomie lat 60. i 70. XIX wieku funkcje poczty zostały rozdzielone. Nowy urząd, do którego poczta została przeniesiona, a który powstał przy ulicy Piotrkowskiej, zajmował się już tylko przyjmowaniem i wydawaniem listów, paczek i przesyłek pieniężnych, natomiast pocztę konną ulokowano przy ulicy Zawadzkiej (dziś Próchnika). Transport osobowy przejęły również prywatne przedsiębiorstwa transportowe.

Pisząc o ulicy Wschodniej, nie sposób pominąć nierozzerwalnie z nią związanej ulicy Włókienniczej (do 1957 roku – Kamiennej). Włókiennicza powstała po 1872 roku. Wcześniej na tym terenie znajdowała się cegielnia, a gdy zasoby gliny uległy wyczerpaniu, pusty teren postanowiono zagospodarować, wytyczając nową ulicę, w perspektywie do zabudowania. Tak też się stało. Po obu stronach ulicy szybko zaczęły powstawać niewysokie, dwu-, trzypiętrowe czynszowe kamienice, nawierzchnię zaś stanowiły polne kamienie, stąd może pierwotna nazwa „ulica Kamienna”. Zadziwiające, że jak na tak krótką, raptem ponad trzystumetrową ulicę, znajdowało się przy niej kilka szkół, w tym: pod numerem drugim – elementarna czteroklasowa szkoła żydowska,

osiedla, domy, ulice





pod dziesiątym – żeńska szkoła M. Pruszyńskiej, a pod numerami 3, 7, 9, 14, 16 – kilka chederów – żydowskich szkół o charakterze religijnym. Z ulicą tą łączy się nazwisko jednego z najznamienszych łódzian, który znacząco wpłynął na oblicze miasta. Mowa tu o Hilarym Majewskim, urodzonym w 1838 roku w Radomiu. Od 1872 do 1892 roku pełnił on w naszym mieście funkcję miejskiego architekta. Hilary Majewski, już mając dziewiętnaście lat, był pomocnikiem architekta miasta Warszawy. Studia architektoniczne ukończył w Petersburgu. Zanim dotarł do Łodzi, dużo podróżował po Europie i zapewne tam czerpał inspiracje do swoich późniejszych „łódzkich” projektów. Jako architekt miejski zatwierdzał nowe projekty do realizacji, ale również sam był autorem wielu przyszłych budowli. W tamtym czasie w Łodzi budowano bardzo dużo, powstawały kamienice czynszowe, budynki użyteczności publicznej, budynki fabryczne, wille i pałace fabrykanckie. To Hilary Majewski tworzył koncepcję urbanistyczną Łodzi. Jego podpis widnieje na projektach ponad pięciuset domów mieszkalnych i na ponad dwustu projektach fabryk i zabudowań fabrycznych.

Co ciekawe, ten uznany architekt nie wybrał Piotrkowskiej lub innej, bardziej reprezentacyjnej ulicy Łodzi, lecz właśnie przy ulicy Kamiennej postanowił wybudować swój dom rodzinny. W 1882 roku pod numerem jedenastym powstała jego

dwupiętrowa willa. Obecnie budynek, podobnie jak wszystkie na tej ulicy, jest bardzo zaniedbany i – zupełnie jakby nie chcąc się za bardzo wyróżniać – upodobnił się do otoczenia.

Kamienną sławiła w swojej piosence *Kochankowie z ulicy Kamiennej* Agnieszka Osiecka. W czerwcu 2004 roku odsłonięto na tej ulicy fontannę w formie płaskorzeźby, przedstawiającą parę zakochanych chowających się przed padającym deszczem pod ortalionowym płaszczem. Inspiracją była oczywiście piosenka Agnieszki Osieckiej.

Z Łodzią związany był również noblista, Władysław Stanisław Reymont. Gdy ze znanej firmy wydawniczej Gebethnera i Wolffa otrzymał zamówienie na napisanie nowej powieści, był bardzo uradowany, gdyż jej akcja miała rozgrywać się w Łodzi. Reymontowi Łódź nie była całkiem obca, gdyż spędzając swoje dzieciństwo w Tuszynie, niejednokrotnie miał okazję odwiedzić miasto. W styczniu 1896 roku przyjechał tu w celu zbierania materiałów do swojej powieści. Reymont nie za bardzo miał się gdzie zatrzymać, i tu z pomocą przyszedł mu dziennikarz i poeta – Gliszczyński, który polecił Reymonta księgarzowi – Juliuszowi Goźlińskiemu. Ten przyjął młodego pisarza bardzo ciepło i zaproponował mu u siebie kwatery. W ten oto sposób Reymont znalazł lokum w lewej oficynie, na pierwszym piętrze kamienicy przy ulicy Wschodniej 50.

Dni pracy Reymonta wyglądały zazwyczaj podobnie. Około południa udawał się na spacer, wieczory spędzał w kawiarniach, a za pisanie najczęściej zabierał się w nocy. A tak postrzegał Łódź z tamtego okresu: *To życie i tamten świat łódzki porywa mnie z różnorodnością żywiołów, brakiem wszelkich szablonów, rozpętaniem instynktów, nieliczeniem się z niczym, potęgą żywiołową prawie. Jest to chaos brudów, mętów, dzikości, złodziejstwa, klęsk, ofiar, szamotań, upadków; jest to rynsztok, w który spływa wszystko; jest to jedna dzika walka o ruble, wielka sarabanda przed ołtarzem złotego cielca.* W ten oto sposób powstała *Ziemia obiecana*. Powieść osiągnęła wielki sukces, ale sam Reymont miał już dosyć miasta i czym prędzej z niego wyjechał. W głowie – może dla równowagi – światał mu już inny pomysł, pomysł na powieść osadzoną w innych realiach – *Chłopi*.

Trzeba dodać, że pod koniec XIX wieku bardzo wzrosło zainteresowanie Łodzią. Większość gazet warszawskich wprowadziła na swoje łamy stałe rubryki poświęcone miastu – Gebethner i Wolff, wydawcy i właściciele ukazującego się w Warszawie „Kuriera Codziennego”, poszli jeszcze dalej i w Łodzi otworzyli swoją stałą agenturę. Zakładali również, że jeżeli zaczną drukować w odcinkach powieść poświęconą Łodzi, to szybko znajdą w naszym mieście nowych czytelników, stąd też pomysł na *Ziemię obiecana*.

Wschodnia była również miejscem zamieszkania różnej proveniencji szemranych typów. Tu pod numerem 49 mieszkał niejaki Jakub Bełchatowski. Człowiek ten stworzył coś w rodzaju gangu. Jego prawą ręką był przyszły zięć – Szymon Gieller, denuncjant i prowokator, właściciel domu publicznego na Wschodniej 43. Bełchatowskiemu

udało się również skorumpować funkcjonariuszy policji – Kwintkiewicz i Urbaniak. Jego grupa najczęściej posługiwała się szantażem. Z reguły wyglądało to tak, że na właściciele towarów podlegających rekwizycji nasyłał zaprzyjaźnionych policjantów. Po ich wyjściu proponował przerażonemu delikwentowi polubowne załatwienie sprawy i zwolnienie zarekwirowanego towaru, oczywiście za niemałym wynagrodzeniem. Bełchatowski „załatwiał” również reklamacje od służby wojskowej. Wraz ze współnikami nie gardził też dokonywaniem rabunków i napadów. W skład tej przestępczej grupy wchodził niejaki Popowski, właściciel składu manufaktury, ten z kolei zajmował się upłynnianiem zrabowanego towaru. Mieszkanie Bełchatowskiego przy Wschodniej nie raz było miejscem zakrapianych libacji całej szajki. W końcu policja, po intensywnym rozpracowaniu przestępczej grupy, doprowadziła do aresztowań. Ojcem sukcesu był komisarz Wejer. Zatrzymano skorumpowanych policjantów, a także Bełchatowskiego i Giellera. Ci dwaj, jeszcze w ostatnim momencie, aby się wywinąć przed aresztowaniem, zdążyli załatwić sobie fałszywe zaświadczenia rabinackie, które miały umożliwić im zwolnienie z rozprawy ze względu na długie święta religii żydowskiej.

A co obecnie dzieje się na ulicy Wschodniej?

Funkcjonująca pod numerem 29 „Galeria Wschodnia” od 1981 roku wpisuje się w krajobraz tej ulicy. Jest to prywatne przedsięwzięcie, które udało się utrzymać przez tyle lat. W miejscu tym nikt nie powinien czuć się skępowany, tu można podziwiać sztukę, tworzyć sztukę, rozmawiać o sztuce. Tu można uczestniczyć w koncercie, prezentacji video lub pokazie performance, spojrzeć na rzeźbę, obraz lub instalację. Można tu zetknąć się z prezentacją sztuki różnych dyscyplin zarówno tradycyjnej, jak i tej eksperymentującej. Galeria jest również miejscem, w którym przyznawana jest doroczna nagroda im. Katarzyny Kobro.

„Białe Gawrony” to Fundacja na rzecz Kultury Żywej. Jej celem jest ożywienie miejsca i aktywizacja lokalnej społeczności. Twórcy fundacji sami wiele by nie zdziałali, dlatego swoimi pomysłami starają się inspirować i zarazić mieszkańców i przedsiębiorców, którzy prowadzą tu swoje interesy oraz instytucje i stowarzyszenia. W pomysł kampanii „Słońce wschodzi na Wschodniej” wpisuje się tak spektakularne przedsięwzięcie jak „Święto ulicy Wschodniej”, ale także prowadzenie biblioteki, organizowanie warsztatów dla dzieci, czy spotkań z zaproszonymi gośćmi.

Pod numerem 49 swoją redakcję ma „Tygiel Kultury” – miesięcznik społeczno-kulturalny, wydawany od 1996 roku. Redakcja przyznaje własną nagrodę pod nazwą „Sprężyna”. *„Sprężyna” – jest honorowym wyróżnieniem za działania wykraczające poza zwyczajowo przyjęte obowiązki, wprowadzające ożywczy ferment w umysłowe życie środowiska, Łodzi, regionu...* Najwięcej miejsca redakcja poświęca tematyce łódzkiej, ale nie tylko, są też materiały dotyczące historii, polityki, sztuki, są zeszyty monograficzne poświęcone jednemu tematowi. W serii wydawniczej Biblioteka „Tygla Kultury” ukazało się dotąd także 40 książek autorów łódzkich lub z Łodzią związanych. Wiele miejsca na swych łamach czasopismo poświęca kulturze żydowskiej. W „Tyglu” sporo miejsca zaj-

osiedla, domy, ulice





muje poezja, prezentowane są dokonania znanych i nieznanych twórców. Tych ostatnich redakcja zachęca konkursami do nadsyłania swoich prac.

O Wschodniej można pisać dobrze albo źle. Jedni się tą ulicą zachwycają, inni są zde gustowani. Jedno jest pewne – nie można tą ulicą przejść obojętnie, gdyż budzi ona emocje. Jest zaniedbana, nie ma tu ważnych instytucji publicznych, fabryk, wspaniałych kamienic ani fabrykanckich pałaców. Przez lata uważana była za ulicę niezbyt bezpieczną. Mieszkający tu ludzie nie są zbyt zamożni, to głównie potomkowie łódzkiego proletariatu. Z kolei wielu doszukuje się w tym swoistej „egzotyki”. Tu najłatwiej wyobrazić sobie czasy PRL-u, a także te wcześniejsze. To tu łodzianie zaopatrywali się pokątnie w alkohol, gdy go brakowało w sklepach i był na kartki,

tu funkcjonowała kultowa restauracja „Golonka”. Tu można było, na przekór władzy, chłonąć sztukę i wolną myśl w salonie artystycznym u Sławy i Zdzisława Jaskułów.

Kiedyś na Wschodniej dominowali głównie Żydzi i na ulicy wszędzie królował handel. Teraz w Łodzi powstały wielkie centra handlowe, nad którymi Wschodnia ma jedną przewagę. To tu można uszyć u krawca spodnie, zreparować zegarek, zamówić kapelusz, naprawić buty lub wyrobić pieczętki. Sąsiedztwo reprezentacyjnej Piotrkowskiej w szczególności znaczący sposób na Wschodnią nie wpłynęło. Nie ludźmy się, że oblicze tej ulicy szybko ulegnie zmianie, ale miejmy nadzieję, że nie grozi jej rola rozsypującego się skansenu.

Dariusz Kędziński
– filmowiec, publicysta

Fot. Marek Strąkowski

Bibliografia:

1. E.A. Jarzyński, *Tajemnice starych kamienic*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1972.
2. H.S. Dinter, *Spod czarnych dymów*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1978.
3. M.Z. Wojalski, *Działo się w Łodzi*, „ZORA”, 1996.
4. K. Stefański, *Jak zbudowano przemysłową Łódź*, Regionalny Ośrodek Studiów i Ochrony Środowiska Kulturowego w Łodzi, Łódź 2001.
5. W. Kowalski, *Łodzi dawnej Lamus*, Wydawnictwo „WIST”, Łódź 2008.
6. M. Budziarek, *Łodzianie*, Wydawnictwo „Literatura”, Łódź 2000.
7. P. Spodenkiewicz, *Zaginiona dzielnica. Łódź żydowska – ludzie i miejsca*, Łódzka Księgarnia Niezależna, Łódź 1999.
8. W. Pawlak, *Patrząc na starą fotografię*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1981.
9. W. Pawlak, *W rytmie fabrycznych syren*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1984.
10. Z. Konicki, *Ulice Łodzi. Ulice w szachownicę*, Papier-Service Wojciech Grochowalski, Łódź 2005.
11. A. Rubinstein, *Moje młode lata*, Polskie Wydawnictwo Muzyczne 1986.
12. S. Lewicki, *Kariera miasta Łodzi*, „Książka i Wiedza”, 1971.
13. J. Cisek, *Polska Piłsudskiego*, „Rzeczpospolita” 19.03.2009.



Ulica z charakterem



ul. Wschodnia 19



róg ulic Wschodniej i Jaracza



ul. Wschodnia 18



ul. Wschodnia 55



ul. Wschodnia 76



ul. Wschodnia 66



ul. Wschodnia 56



ul. Wschodnia 33



ul. Włókiennicza 10



róg ulic Wschodniej i Jaracza



róg ulic Wschodniej i Rewolucji 1905 r.



ul. Wschodnia 69



róg ulic Wschodniej i Pomorskiej



ul. Wschodnia 51



ul. Wschodnia 45



ul. Wschodnia 35



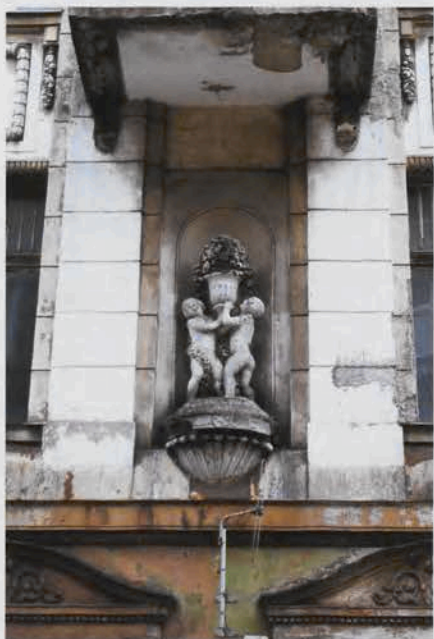
ul. Wschodnia 25



róg ulic Wschodniej i Jaracza



ul. Wschodnia 76 (detal)



ul. Wschodnia 76 (detal)



ul. Włókiennicza
– pomnik „Kochanków z ulicy Kamiennej”

2



ul. Wschodnia 76



ul. Wschodnia 64



ul. Wschodnia 57



ul. Wschodnia 9/13



ul. Wschodnia 23



ul. Wschodnia 61



ul. Wschodnia 50



ul. Wschodnia 27

recenzje

Za drutami pamięci

Świadectwo Abrama Kajzera

Wojciech Żródlak

str. 259

Sześćdziesiąt lat później

Wyrzuty ciężkiego sumienia

M. Magdalena Starzycka

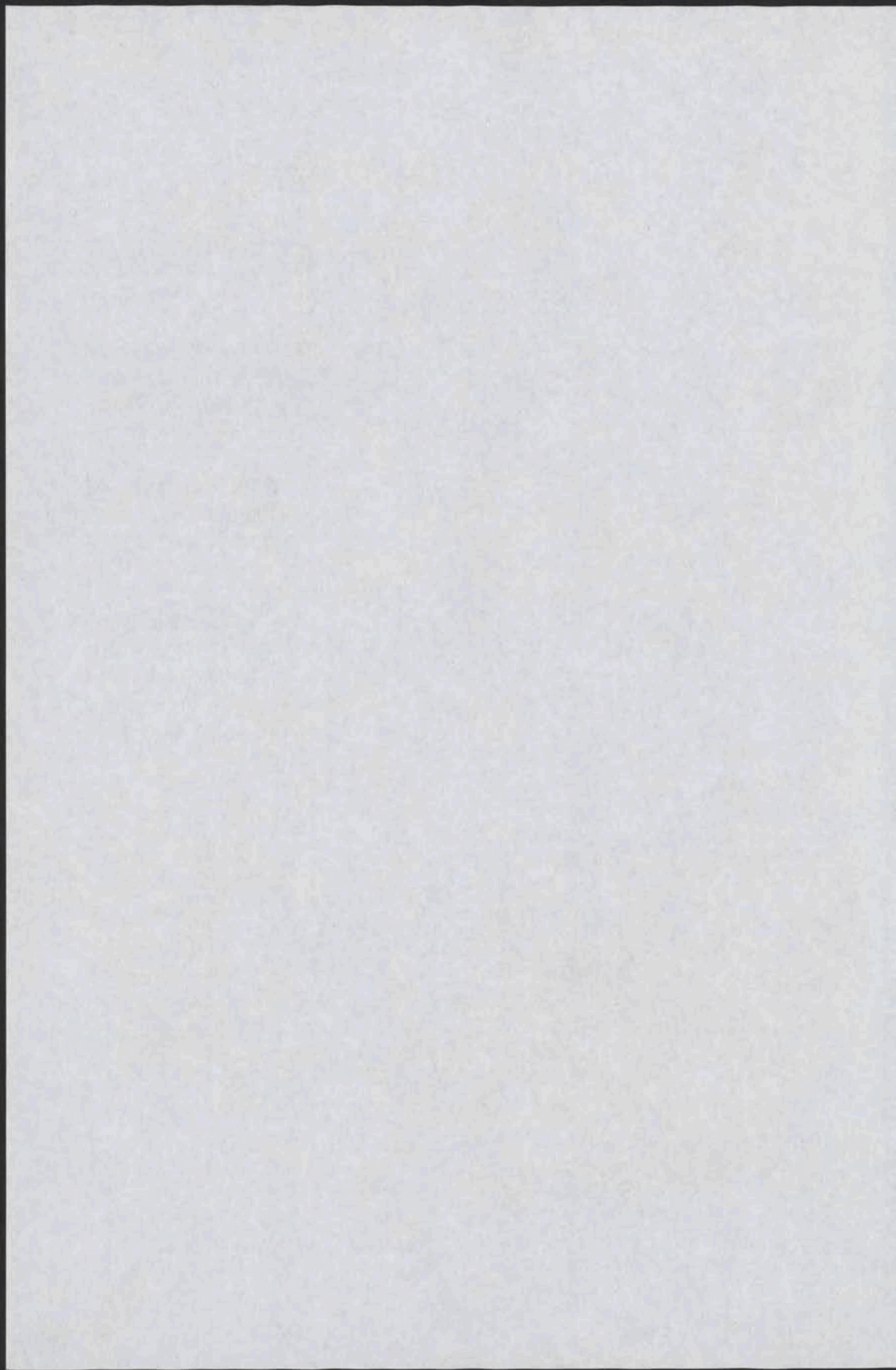
str. 264

Proces bez wyroku

Powrót Rumkowskiego

Gustaw Romanowski

str. 269



Za drutami pamięci

Świadectwo Abrama Kajzera

recenzje

Nakładem muzeum w byłym obozie koncentracyjnym Gross-Rosen w Rogoźnicy k. Wałbrzycha ukazała się ważna pozycja dotycząca zarówno tego obozu, jak i łódzkiego getta. Jest to reedycja wspomnień łodzianina, mieszkańca łódzkiego getta – Abrama Kajzera. Ich pierwsze polskie wydanie ukazało się w 1962 roku w nieistniejącym już Wydawnictwie Łódzkim¹.

Wspomnienia Abrama Kajzera (1914–1979) zajmują szczególne miejsce w dotychczasowej bibliografii Litzmannstadt Ghetto, bo praktycznie wszystkie publikacje poświęcone są jego dziejom, a w zakresie literatury pamiętnikarskiej – życiu w nim. Jedynie trzy pozycje pozwalają na prześledzenie losów mieszkańców getta po jego likwidacji. Pierwsza to *Medaliony* Zofii Nałkowskiej z rozdziałem *Człowiek jest mocny*, opartym na relacji Michała Podchlebnika, jednym z czterech osób ocalałych z obozu zagłady w Chełmnie n. Nerem. Tutaj ginęli łódzcy Żydzi jeszcze w trakcie funkcjonowania getta, a w czerwcu 1944 roku, podczas jego likwidacji, dalszych ponad 7 tys. Większość ostatnich mieszkańców getta (ok. 72 tys.) zginęło jednak w tym okresie w komorach gazowych KL Auschwitz. Jednym z nich mógł być Abram Kajzer, który ostatecznie stracił tam żonę i syna. Jego wspomnienia zaczynają się w momencie, kiedy ze stacji Radegast rusza pociąg w kierunku ich miejsca przeznaczenia: *Sierpień 1944. Jesteśmy w pociągu. Rozmawiam z żoną, że może to lepiej, że wyjeżdżamy z łódzkiego getta. Było do przewidzenia, że getto do końca wojny nie utrzyma się, a ciągle niepokoje, wysiedlenia i głód zatruwały każdą chwilę życia. Niech już lepiej ta zmiana – a co ma się stać, i tak się stanie. Długo w takim napięciu i tak byśmy nie wytrzymali. Dokąd jedziemy? Chyba do Niemiec na roboty. [...]*

Trzecia pozycja, odnosząca się zaledwie na kilku ostatnich kartach do losów wywożonych mieszkańców getta podczas jego likwidacji w sierpniu 1944 roku, ukazała się niedawno. To *Byłam sekretarką Rumkowskiego. Pamiętnik Etki Daum*². Etkka, czyli Estera, wraz ze swoim narzeczonym – Izaakiem Fren – trafiła do KL Oranienburg, a stamtąd do obozu w Wittenberg/Lutherstadt n. Łabą, gdzie doczekała wyzwolenia. Jej narzeczony również szczęśliwie ocalał.

W KL Auschwitz Abram Kajzer przebywał niecały miesiąc. Pod koniec sierpnia 1944 roku, w grupie ok. 2 tys. mężczyzn, w tym wielu łódzkich Żydów, został wywieziony do Kaltwasser (dziś okolica miejscowości Włodarz II), jednego z podobozów KL Gross-Rosen wchodzących w skład ich kompleksu w Górach Sowich. Na kompleks AL Riese (Arbeitslager „Riese”) składało się trzynaście podobozów. W ośmiu z nich prze-

bywał Kajzer. Z tego powodu jest to niezwykle ważna pozycja do dziejów KL Gross-Rosen, a w szerszej skali, do dziejów licznych, mniejszych podobozów. Poza zeznaniami osób tam więzionych, spisanyymi przez różne instytucje śledcze po wojnie, nie istnieją w zasadzie w literaturze przedmiotu tak obszerne, opublikowane wspomnienia ich więźniów. Relacja Kajzera jest jedyna, i z tego właśnie powodu nie była wspomniana ani brana pod uwagę przez badaczy dziejów łódzkiego getta.

Celem funkcjonowania obozów „Riese” była budowa w Górach Sowich kompleksu bunkrów dla przedstawicieli najwyższych władz III Rzeszy. Ich budowę rozpoczęto w 1943 roku, kiedy stało się jasne, że „tysiącletnia Rzesza” może nie przetrwać nawet kilku lat.

Przez kompleks AL Riese przeszło ok. 13 tys. więźniów, wyłącznie Żydów – polskich i z innych państw Europy – z których ok. 5 tys. zginęło. Dlaczego wyłącznie – nietrudno się domyśleć.

Abram Kajzer zaczął spisywać swoje wspomnienia jeszcze podczas pobytu w AL Riese. Czynił to w tajemnicy, na skrawkach papierów pakowych. To ciekawość. Robotnik, niezbyt pewnie posługujący się piórem, zaczyna pod wpływem przeżyć pisać pamiętnik! Odpowiedzią na tę kwestię jest stwierdzenie Kajzera, które przytaczam poniżej.

Przed przenosinami do kolejnego obozu ukrywał fragmenty wspomnień, przybijając je do wewnętrznej strony desek klozetowych. Miejsce okazało się wyśmienite dla tego celu. Z ostatniego miejsca pobytu w AL Dörnau (dziś okolica miejscowości Włodarz II) udało mu się, na początku kwietnia 1945 roku, uciec. Przetrwiał, ukrywany przez uciekinierkę z Wrocławia, zamieszkałą w pobliżu tego obozu aż do wkroczenia Rosjan na te tereny, do 10 maja. Nieomal natychmiast po odzyskaniu wolności objechał na rowerze prawie wszystkie miejsca, gdzie ukrył swoje wspomnienia. Większość z nich odnalazł. Po krótkim pobycie na Dolnym Śląsku powrócił do Łodzi. Nie udało się ustalić, gdzie tu zamieszkał i czym się zajmował, ale na pewno zaczął pisać na nowo swój pamiętnik na podstawie ocalałych materiałów. W 1947 r., poprzez Łódzki



A. Kajzer

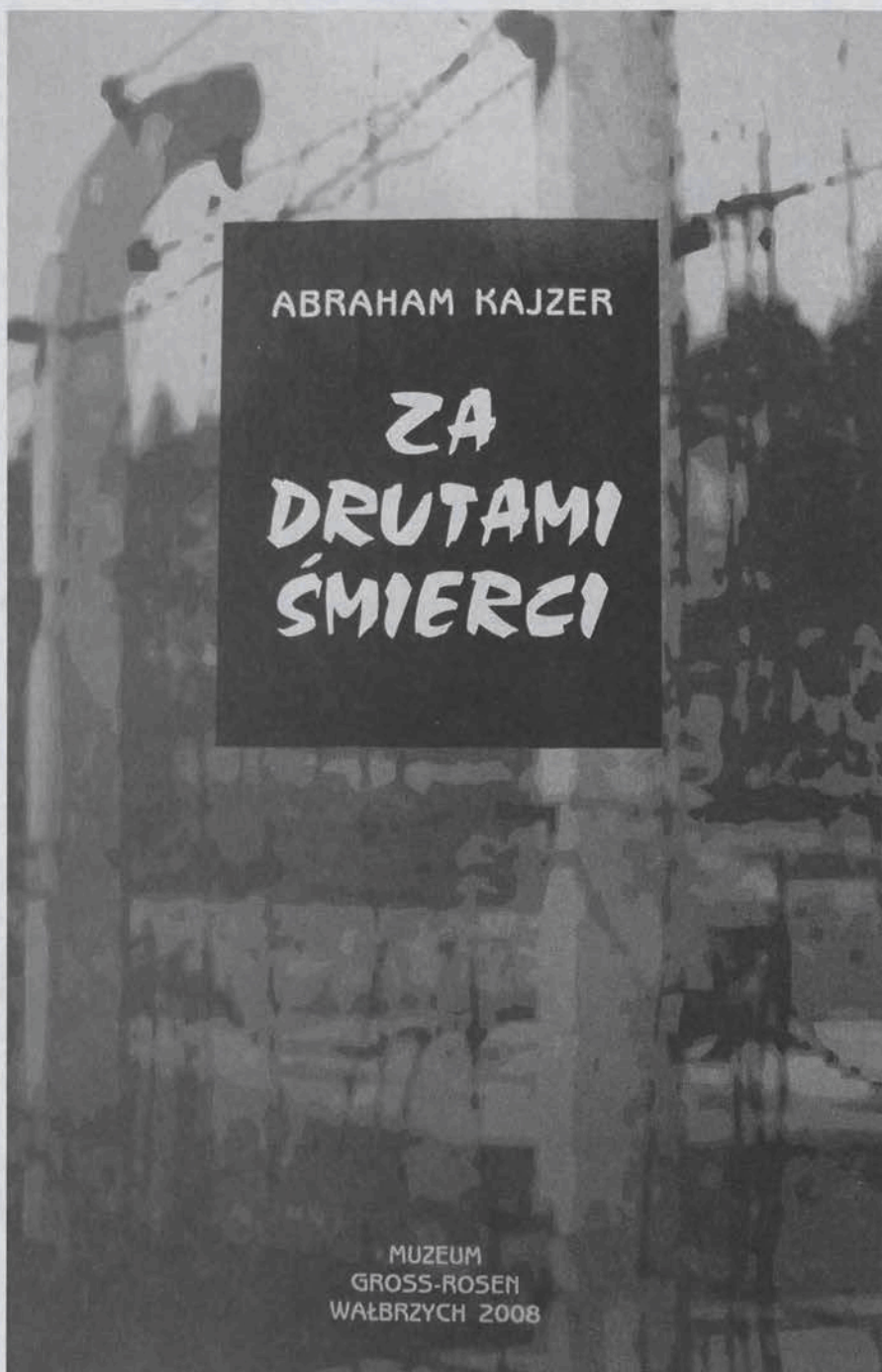
Komitet Żydowski i pisarza – Jana Brzechwę, nawiązał kontakt z sekretarzem oddziału łódzkiego Związku Literatów Polskich – Adamem Ostoją. Celem spotkania miało być literackie opracowanie pamiętnika, ponieważ Kajzer, z zawodu włókiennik, nie dawał sobie z tym rady. Ostoja, jak napisał w przedmowie do polskiego wydania z 1962 roku, początkowo bez zapału odniósł się do tej propozycji, ale po zapoznaniu się z tekstem podjął się pracy, która trwała cały rok. Na początku tej współpracy robotnika z literatem padło pytanie: „*Skąd pan wiedział, że ominie pana śmierć?*” [...]. *Nie miałem żadnej szansy, ale miałem wiarę. Byłem głęboko przekonany, że ocaleję.* To stwierdzenie to również przyczynek do okoliczności, w jakich więźniowie obozów koncentracyjnych byli w stanie przetrwać koszarne warunki bytowania w nich panujące.

Wkrótce po zakończeniu pracy nad pamiętnikiem – w 1949 roku – Abram Kajzer wyjechał do Izraela, gdzie zamieszkał wraz ze swoją siostrą w Tel Awiwie. Jego wspomnienia ukazały się po raz pierwszy w 1961 roku w Izraelu, w języku jidysz. A rok później w Polsce. Pracy nad niemieckim wydaniem nie zdążył już ukończyć.

Opublikowane wspomnienia Kajzera wtopiły się w liczną podówczas polską literaturę wspomnieniową, dotyczącą II wojny światowej i pozostały bez większego odzewu. Potem był rok 1968, nagonka antyżydowska, w trakcie której m.in. został zniszczony skład kolejnych tomów *Kroniki getta łódzkiego*. W tej sytuacji temat historii łódzkiego getta praktycznie został odłożony na przysłowiową półkę. Renesans zainteresowania jego dziejami nastąpił w końcu lat 90. XX wieku. Jednak i w nowej sytuacji pamiętnik Kajzera pozostawał w zapomnieniu, ponieważ bezpośrednio nie dotyczył getta. O ile mi wiadomo, uwagę na niego, kustoszowi Muzeum Gross-Rosen – Barbarze Sawickiej, zwrócił Antoni Galiński – ówczesny dyrektor łódzkiego oddziału Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Ponieważ pamiętnik jest istotnym przyczynkiem do zapoznania się z dziejami tego obozu, zapadła decyzja o wznowieniu publikacji. W nowym wydaniu tekst został uzupełniony niezbędnymi przypisami, natomiast istotną jego wartością są uzupełnienia („Wprowadzenie”) o szczegółowy życiorys Abrahama Kajzera i historię jego rodziny, zarys dziejów łódzkiego getta oraz obozu i podobozów KL Gross-Rosen. Całość została uzupełniona bogatym materiałem ikonograficznym, w tym zdjęć miejsc łódzkich oraz dwoma mapkami: „Filie KL Gross-Rosen” i „Rozmieszczenie obozów AL Riese i kompleksów podziemnych w Górach Sowich”.

Dla wykonania tej pracy kustosz Sawicka przeprowadziła szeroką kwerendę w Polsce oraz Izraelu. Szczęśliwie udało jej się odnaleźć i nawiązać współpracę z siostrzenicą Abrahama Kajzera – Miriam Meir. Dzięki niej mamy możliwość poznania wizerunku Abrahama Kajzera ze zdjęcia wykonanego u schyłku jego życia.

Dzięki niespożytej energii Sawickiej i jej ogromnej wiedzy o dziejach KL Gross-Rosen oraz pomagającym jej w tej pracy wielu osobom z Polski i Izraela naszej literaturze wspomnieniowej, dotyczącej okresu II wojny światowej oraz dziejom łódzkiego getta³ i jego mieszkańcom, została ponownie przyswojona niewątpliwie ważna pozycja. Zapewne tym razem zostanie zauważona i zacznie być uwzględniana w biblio-



grafiach Litzmannstadt Ghetto. Należy się to Abramowi Kajzerowi, jego niewiarygodnej woli życia, a także chęci zachowania dla pokoleń ku przestrodze jego tragicznego losu.

Jeszcze kilka słów o śladach łódzkich Kajzerów. Ojciec Kajzera – Fajwisz – zajmował się handlem na Górnym Śląsku. Do Łodzi Kajzerowie sprowadzili się prawdopodobnie tuż przed I wojną światową z Będzina, gdzie urodził się Abram. W Łodzi Fajwisz Kajzer zajął się produkcją włókienniczą do spółki z niejakim Zilberbergiem. Wiodło mu się widocznie całkiem nieźle, bo kupił niewielki, parterowy dom przy obecnej ul. Narutowicza 34, gdzie zamieszkał z całą rodziną. Zmarł w marcu 1923 roku (pochowany na cmentarzu żydowskim przy ul. Brackiej, grób zachował się). Zdaje się, że z tego powodu firma „Kajzer i Zilberberg” zakończyła niedługo potem działalność, a wdowa po nim – Udra Kajzer z sześciorgiem dzieci utrzymywała się z wyprzedazy majątku.

Dom przy ul. Narutowicza 34 (w pobliżu skrzyżowania z ul. J. Kilińskiego) przetrwał do I połowy lat 70. XX wieku. Tutaj mieszkała matka wraz z braćmi Abrama aż do wysiedlenia do getta, czyli do kwietnia 1940 roku. Posesję znacjonalizowały władze PRL, mimo że Abram Kajzer posiadał pełne prawa spadkowe. Dziś w tym miejscu stoi tzw. plombowiec powstały jeszcze za życia Kajzera. On sam ze swoją rodziną mieszkał przed wojną przy ul. Pomorskiej 107 i ten budynek zachował się. W getcie Abram Kajzer mieszkał w drewniaku, charakterystycznym dla tego rejonu miasta, przy ul. Limanowskiego 29/31 (północno-zachodni narożnik skrzyżowania z ul. Ciesielską). Również i ten dom nie zachował się; dziś jest tu plac parkingowy.

Jak już wspomniałem zachował się grób ojca Abrama, natomiast on sam został pochowany na cmentarzu w Holonie k. Tel Awiwu, gdzie spoczywa wielu łódzkich Żydów. Na tablicy nagrobnej rodzina umieściła inskrypcję: *Tutaj pochowany nasz drogi, kochający sprawiedliwość, Abraham KAJZER, syn Fajwisza, 1914–1979.*

Wojciech Źródłak

– historyk; kustosz Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi

Przypisy:

1. A. Kajzer, *Za drutami śmierci*, oprac. A. Ostoja. Łódź 1962.
2. E. Cherezińska, *Byłam sekretarką Rumkowskiego. Dziennik Etki Daum*, Poznań 2008.
3. Tu jedna uwaga: B. Sawicka pisze, że ostatnim Żydom, pracującym przy porządkowaniu terenu getta, udało się ukryć przed próbą ich zgładzenia przez Niemców. Był taki zamiysł. Wykopano nawet kilka dołów na cmentarzu żydowskim przy ul. Brackiej, ale fizycznie Niemcy nie podjęli takiego działania, zaskoczeni szybkim wejściem Rosjan do miasta nie 18 a 19 stycznia 1945 roku. Pozostali przy życiu mieszkańcy getta, zatrudnieni przy porządkowaniu jego terenu, nawet nie próbowali się ukryć! Zresztą byłoby to trudne do wykonania grupie ponad 800 osób bez pomocy z zewnątrz, a na taką nie mogli liczyć z powodu ścisłej izolacji terenu getta od reszty miasta. Faktem jest jednak, że ukrywała się skutecznie inna, znacznie mniejsza grupa.

Sześćdziesiąt lat później

Wyrzuty ciężkiego sumienia

W wydawnictwie „Czarne” ukazała się niezwykła książka *Świadectwo skazanych na śmierć – sześćdziesiąt lat później*. Autorką jest Pia-Kristina Garde, Szwedka (z wykształcenia aktorka, rocznik 1951). Tytuł tego dzieła wymaga wyjaśnienia: chodzi o więźniów obozów koncentracyjnych uwolnionych dzięki pertraktacjom dyplomacji szwedzkiej jeszcze w czasie trwających walk II wojny światowej. Wywieziono ich białymi autobusami (był to wymóg aliantów, żeby nie były bombardowane). Akcja ta zrealizowana w 1944 roku wydaje się niepojęta dla nas, znających z przekazów literatury warunki obozowe i sposób traktowania więźniów przez hitlerowców. W Polsce jest też mało znana.

Dla wyjaśnienia przyczyn i celu napisania książki należy w skrócie powiedzieć, jak do tego doszło. O tym informuje wstęp tłumaczki Izabeli A. Dahl, która w znacznej mierze przyczyniła się do wydania polskiego. Pierwotnie chodziło więc o uwolnienia jedynie skandynawskich więźniów (Duńczyków i Norwegów), a w działania zdążające do ich oswobodzenia włączył się hrabia Folke Bernadotte, bratanek króla Szwecji, który w tej sprawie skontaktował się z Himmlerem. Niespodziewanie stało się możliwe uratowanie też innych. Himmler prawdopodobnie traktował to jako pewne ustępstwo zmierzające do zawieszenia broni: widoczny był już zbliżający się koniec wojny.

W rezultacie pertraktacji przewieziono do Szwecji około 15 345 osób, połowę stanowili Skandynawowie. Po wojnie przesyłano tam też byłych więźniów transportami organizowanymi przez UNRRA. W rezultacie do Szwecji „białymi autobusami”, jak w skrócie nazywano tę pierwszą akcję Czerwonego Krzyża, przybyło 7200 Polek i Polaków. Natomiast w listopadzie 1945 roku było tam 15 062 osób pochodzących z Polski, w tym od 6 do 7 tys. Żydów.

Inspiracją dla Pii-Kristiny Garde była wydana w 1945 roku książka *Świadectwo skazanych na śmierć*. Napisła ją para małżeńska: pisarka szwedzka Gunhild Tegen i jej mąż profesor Einor Tegen. Profesor był przewodniczącym Komitetu Współpracy Odbudowy Demokracji. To organizacja obywatelska, której celem było wzbudzenie zainteresowania krajami Europy Środkowej i wsparcie jej duchowej i kulturalnej odbudowy po wojnie. W ramach pracy Komitetu przeprowadzano ankiety wśród uratowanych, wydawano gazety w różnych językach w celu poinformowania byłych więźniów o sytuacji w Europie i na świecie, a także umożliwiono im poszukiwanie rodzin.

W ankietach pytano o pochodzenie, o warunki życia w obozie, o to, czy ankietowani byli torturowani, bici czy znali powód aresztowania, jak odnosiła się ludność wobec deportowanych, czy znają losy reszty rodziny, jakie było wyżywienie

w obozach, czy mogą ustalić liczbę zmarłych w obozach, co było przyczyną śmierci więźniów i czy widzieli na własne oczy komory gazowe. Pytano także o najgorsze przeżycie, czy towarzysze niedoli okazywali współczucie i pomoc, czy chcą wrócić do swojego kraju oraz jaką karę powinni ponieść oprawcy.

Książka Gunhildy i Einora Tegen zawierała opis dwustu ankiet spośród sześciuset. Gdy w 1980 roku przeczytała ją Pia-Kristina Garde, zainteresowała się dalszym losem tych osób. Postanowiła je odszukać. Większość ankietowanych stanowiły kobiety, bo przyjezdne pochodziły na ogół z wielkiego obozu kobiecego Ravensbrück.

O innej jeszcze, ważnej inspiracji autorki tej pracy pisze ona sama we wstępie książki: *Osobą, która miała istotny wpływ na mnie i na ukierunkowanie mojego życia, jest Żenia Larsson. Napisała ona pierwsze w Szwecji książki o Zagładzie. Dały mi one pierwsze informacje i jakieś pojęcie o życiu Żydów i o Holokauście. Za to jej chcę serdecznie podziękować.*

Warto podkreślić, że wspomniana tu Żenia Marcinkowska, później Larsson, urodziła się w Łodzi w 1922 roku, w zasymilowanej rodzinie żydowskiej. Jej ojciec był fryzjerem. Miała siedemnaście lat, kiedy wybuchła wojna. Przeszła przez Litzmanstadt Ghetto, gdzie ojciec zmarł na gruźlicę, a potem wraz z matką została deportowana do Auschwitz. Następnie wobec zbliżania się Armii Czerwonej zostały ewakuowane do Bergen-Belsen, a potem do obozu pracy pod Hamburgiem. Tam matka zmarła, a Żenia Marcinkowska, zabrana przez Czerwony Krzyż, trafiła do Szwecji. Skończyła tam Akademię Sztuk Pięknych i Projektowania, wyszła za mąż i opublikowała wiele książek i esejów. Zabierała też głos na temat nauczania w Radzie Europy. Zmarła 4 września 2007 roku. (Te wiadomości zaczerpnęłam z Internetu i wydaje się, że jej książki nie były tłumaczone na język polski. Pia-Kristina Garde nie wyjaśnia przy tej okazji, kto to jest, bo zapewne dla czytelnika szwedzkiego nie była osobą anonimową).

Na czym więc polegała późniejsza praca autorki? Pia-Kristina Garde postanowiła odszukać osoby ankietowane i zapytać, jak doświadczenia wojenne wpłynęły na ich życie. Nie było łatwe odnalezienie ludzi często zmieniających miejsce zamieszkania i kobiet mających już inne nazwiska. Były kłopoty z różnym zapisem nazwisk, a także początkowa nieufność dawnych więźniów, którzy nie rozumieli, po co komuś po tylu latach jakiegokolwiek informacje o ich życiu. Cierpliwość, delikatność i ciepło osobiste autorki (mogę tego się domyślać, bo miałam z nią kontakt osobisty na spotkaniu autorskim w Teatrze Nowym w Łodzi) robiły swoje. Czasem po odmowie, dopiero po pewnym czasie przychodziła odpowiedź. Trzeba wziąć pod uwagę, że autorka prowadziła korespondencję z osobami już wiekowymi. Niekiedy korespondencja przedłużała się, zawiązywały się przyjaźnie. Bywało też, że jej listy przychodziły za późno, miała wtedy kontakt z dziećmi, współmałżonkami, przyjaciółmi...

Książka jest skonstruowana w następujący sposób: celem pracy było dowiedzieć się, czy uratowani z obozów odnaleźli swoją rodzinę i wrócili do kraju pochodzenia, istotne były pytania o życie przed wojną, unikano natomiast poruszania

tematu wojennego, bo o tym mówiono bezpośrednio po wojnie, wypełniając ankiety. Praca przedłużała się ze względu na brak środków finansowych i konieczność podjęcia równoległe pracy zarobkowej, ale nie tylko. Także ze względu na opieszałość różnych instytucji, do których Garde zwracała się z pytaniami o konkretne osoby. Czasem spotykała się z nieufnością. W końcu zaczęły napływać adresy, potem listy, czasem dochodziło do spotkań osobistych, o ile to było możliwe, bo byli więźniowie nierzadko rozjechali się po różnych kontynentach.

Odnalezione osoby należały do różnych narodowości, klas społecznych, miały różne wykształcenie. I tak autorka skontaktowała się z Francuzką – księżną de la Rochefoucauld z Nicei – lekarką działającą w ruchu oporu. W obozie przeżywała dodatkowe prześladowania, bo nie godziła się na badanie kobiet bez zachowania podstawowych wymogów higieny. Zmuszono ją więc, między innymi do pracy przy mieszaniu popiołu z kości z przechowywanymi przez lata ekskrementami – ta mieszanka miała służyć za nawóz.

Kontakt z nią był cenny, bo księżna była po wojnie świadkiem w procesie zbrodniarzy wojennych. Straciła całą rodzinę: męża, siostry i brata. Nie wiadomo, co się z nią stało potem, bo kontakt się urwał.

Garde z wielkim uznaniem pisze o polskim ziemianinie – Antonim Arkuszewskim, którego aresztowano wraz z ojcem, a siostry i matkę wysłano do Ravensbrück. Poza korespondencją prowadzoną przez lata, spotkali się osobiście w 2002 roku w Warszawie. Rodzina Arkuszewskich pomogła też znacznie finansowo przy wydaniu tej książki.

Wiele miejsca poświęca też łodziance – Helenie Zielonej urodzonej w 1926 roku, która pięć lat spędziła w Litzmannstadt Ghetto, a potem była w Auschwitz, Ravensbrück i Berlinie-Neukölln. Przeżyła najstraszniejsze bombardowania Berlina: *...trwało cztery godziny na dobę, wszystko było widoczne jak w biały dzień.*

Helena Zielona nie wierzyła w wyzwolenie nawet wtedy, gdy ją i inne więźniarki prowadzono z Ravensbrück na zachód, bo jeszcze podczas tego marszu były bite. Jak uwierzyć w cud uwolnienia, skoro do końca byli oszukiwani ci, którzy szli do komór gazowych?

Wtedy, w 1945 roku na pytanie w ankiecie, czy tęskni za krajem, Helena Zielona odpowiedziała: *Nie mam swojego kraju.* Zapytana teraz, po latach przez autorkę książki, która odszukała ją w Belgii, wróciła do tematu. Opowiedziała, że ojciec Samuel Zielony miał w Łodzi firmę meblową, a matka z domu Lewkowicz zajmowała się domem. Razem z młodszym o dwa lata bratem Romkiem chodzili do polskiej szkoły i tylko prywatnie uczyli się hebrajskiego. Nie stanowili jednak tradycyjnej żydowskiej rodziny. Po wybuchu wojny zmuszeni byli opuścić swój dom i iść do getta. Helena jako najstarsza w zespole była odpowiedzialna za produkcję. Potem był Auschwitz. Ojciec i brat trafili do kopalni soli. Po wojnie dowiedziała się, że ojciec przeżył wyzwolenie

w Hanowerze, ale po dwóch dniach walk wrócili Niemcy i zabili wszystkich więźniów. Romek zapadł na tyfus w Bergen-Belsen i też umarł już po wyzwoleniu.

Helena wyszła za mąż za człowieka, który miał za sobą pracę w ruchu oporu i też przeszedł piekło obozowe. Nie chciała wracać do Polski: *Po co? Nie mieliśmy stamtąd dobrych wspomnień*. Jednak dwukrotnie przyjechała do Łodzi. Była na cmentarzu, wówczas bardzo zaniedbanym, choć wie, że teraz jest tam lepiej. Widziała dom, w którym mieszkała, ale wejść nie miała siły. Czasem opowiada o tamtych latach, kiedy spotyka się z młodzieżą w szkole NATO...

To jedynie wybrane przykłady losów ludzi, których Szwedka wtedy odszukała.

Idea Garde, aby pójść tropem ludzi, którzy wypełnili ankiety w 1945 roku i zobaczyć, jak żyją, jak sobie radzą z traumą przeszłości, przyniosła wiele cennych informacji. Cennych, bo indywidualizowanych, co wyraźniej uwidatnia różne aspekty ich życia. Wiele z tych osób żyje do dziś z poczuciem winy: bo odeszli od rodziców w decydującym momencie, nie wiedząc, co za chwilę się wydarzy. I choć dzięki temu ocalili, do dziś czują jakby przeżyli ich kosztem. Pewna kobieta, która straciła syna już urodzonego po wojnie – bo popełnił samobójstwo – oskarża się o to, że po obozie stała się zbyt twarda i nie umiała w sposób właściwy porozumieć się z własnym dzieckiem. Ona też żyje z dramatycznym poczuciem winy.

Różna też jest pamięć minionego życia w Polsce przed wojną – jedni opisują porozumienie z Polakami, wspólne wesela i zabawy, inni skarżą się na antysemityzm i prześladowanie... jeszcze inni wydają się nie rozumieć, że i Polacy nie byli wolni. Bo patrząc z pociągów transportujących ich do obozów i widząc swobodnie spacerujących Polaków, odczuwali bolesną różnicę w traktowaniu przez okupanta Polaków i Żydów...

Czytając tę książkę, mimowolnie wspomina się inne znane lektury: prozę Tadeusza Borowskiego czy Zofii Nałkowskiej.

Książka niesie z sobą jeszcze inną wartość: pokazuje, że doświadczenie epoki pieców jest ważne po tylu latach. I to nie tylko dla tych, którzy sami zostali poszkodowani lub nieszczęście dotknęło ich bliskich. Ten opisany zbiór wojennych i powojennych losów ludzkich skłania do poszukania odpowiedzi na zasadnicze pytanie: kim jest człowiek i do czego jest zdolny. W końcu dochodzi się do samej esencji przeciwstawienia dobra i zła.

Ciekawe, że jedna z respondentek powiedziała, że z przeżyć obozowych wyniosła coś niezwykłego – „palący skarb”. Byli więźniowie uciekają od tych wspomnień, ale one stanowią też dla nich istotną wartość.

Niezwykła wydaje się też postawa autorki. Latami zмага się z instytucjami, nieufnością ludzką, tkwi świadomościowo w koszmarach przeszłości. I choć nie uzyskuje wystarczającej pomocy instytucjonalnej, draży temat i z uporem koresponduje z dawnymi niewolnikami faszyzmu, co wymaga taktu, cierpliwości i czasu. Jeździ

po Europie w poszukiwaniu swoich „podopiecznych”, poświęca im swój wolny czas i swoje pieniądze, żeby przekonać, że trzeba przeciwstawić się obłądnym „historykom”, zaprzeczającym istnieniu obozów śmierci, że trzeba jeszcze dziś dawać świadectwo, czynić je nieśmiertelnym.

O niezwykłościach losów ludzkich świadczy jeszcze jeden fakt. Polski czytelnik zawdzięcza możliwość przeczytania książki Pii-Kristiny Garde pracy translatorskiej Janiny Ludawskiej. Można mówić o szczęściu w jej przypadku, bo w sierpniu 1939 roku uzyskała stypendium szwedzkie i wyjechała do Sztokholmu. A gdyby nie zdążyła przed wybuchem wojny uciec od nadciągającego ludobójstwa?

Dziś lękiem napawa uczciwych ludzi to, że pojawiające się symptomy faszyzmu w Europie i w Polsce, są lekceważone przez władze.

M. Magdalena Starzycka

– tłumaczka literatury portugalskiej, pisarka



Pia-Kristina Garde,
*Świadeństwo skazanych
na śmierć*
– sześćdziesiąt lat później,
Wydawnictwo „Czarne”,
2009.

Proces bez wyroku

Powrót Rumkowskiego

recenzje

Postać przełożonego Starszeństwa Żydów Chaima Mordechaja Rumkowskiego wymyka się wszelkim kanonom, ułatwiającym dokonanie jednoznacznej oceny tego tragicznego człowieka. Tak było tuż po odjeździe ostatniego pociągu, zmierzającego z łódzkiego getta do Auschwitz, w końcu sierpnia 1944 roku i tak jest nadal, choć przez 65 lat pojawiło się mnóstwo publikacji i odbyła się niejedna zażarta dyskusja o roli tego Żyda, któremu okupujący Łódź Niemcy cynicznie powierzyli ręką – jak się w końcu okazało – władzę nad dziesiątkami tysięcy skazanych na gehennę współbraci. I wydaje się nadal, że relacje świadków, publicystyka, analizy historyków, a nawet znane literackie odniesienie do postaci Rumkowskiego w opowiadaniu Adolfa Rudnickiego *Kupiec łódzki*, sformułowały więcej pytań niż udzieliły odpowiedzi kim tak naprawdę był ten „król” kurczącego się getta, któremu wydawało się, że niczym Mojżesz przeprowadzi swój dziesiątkowany nieustannymi zbrodniami lud do spokojnej powojennej przystani.

Pisarz Andrzej Bart postanowił poddać postać Rumkowskiego czysto literackiej wiwisekcji, sygnalizując własną głęboką fascynację tą zamkniętą już na zawsze historią żydowskich mieszkańców Łodzi, a jednocześnie nie odmawiając sobie prawa zadawania nowych pytań, choć są to pytania o istnienie świata nierzeczywistego. W jednym z wywiadów, po ukazaniu się jego ostatniej powieści *Fabryka muchołapek*, Bart przyznał, że kiedy jako dziecko zetknął się po raz pierwszy z wiedzą o zamordowanej żydowskiej ludności, która na kilka lat przed jego przyjściem na świat znikła z polskiego krajobrazu, doznał czegoś w rodzaju obsesji. Obsesji, każącej mu poszukiwać wszelkich relacji, informacji, przekazów i zgłębiać obraz rzeczywistości, jakiej nie ujrzy już nikt ani z pokolenia pisarza ani z pokoleń następnych.

Pozostała zatem czysta pisarska kreacja. Wiedza o tym, że amputowana zbrodnią Holocaustu część łódzkiego krajobrazu nie wróci, pozwala pisarzowi nieograniczonemu wolną wyobraźnią spróbować wskrzesić zmarłych, stawiać im pytania i pomagać udzielać na nie odpowiedzi. W *Fabryce muchołapek* ożywają martwi. W nieznanym miejscu odbywa się proces Rumkowskiego, którego oceniają jego dawni gettowi podwładni, członkowie rodziny oraz cała plejada postaci historycznych. Na procesie zeznaje więc nawet Janusz Korczak, który przypomina, że podarował kiedyś „panu prezesowi” książkę *Król Maciuś Pierwszy*, a na pytanie sędziego czy Chaim Rumkowski jawi mu się jako postać pozytywna, po namyśle odpowie: *Można to tak ująć*. Tak mówi powieściowy Korczak, wychowawca opuszczonych dzieci, wybitny pedagog, zamordowany w Treblince w 1943 roku.

Sąd przesłuchuje także Hannę Arendt. Tę wybitną XX-wieczną niemiecką socjolożkę i filozofkę, autorkę kultowej pracy *Narodziny totalitaryzmu*, która *nie znała getta w Łodzi* sąd pyta o rolę Judenratów, czyli żydowskich samorządów zarządzających porządkiem wewnętrznym gett. W usta Arendt, która wojnę przeżyła w Stanach Zjednoczonych, Bart wkłada stanowcze twierdzenie, które pada podczas jej domniemanego zeznania: *Uważałam rolę Judenratów za szkodliwą. Gdyby nie one, a szczególnie ich przywódcy, byłoby może mniej ofiar. Niemcy mieliby mniejsze trudności w odnalezieniu Żydów. Tak w każdym razie sądziłam i w tym duchu pisałam o tym.* W tym miejscu pisarz każe sędziemu głębiej badać poglądy wybitnej uczonej na ten temat. Pyta więc ją o to gdzie mieliby się ukryć Żydzi, kiedy z braku Judenratów – gdyby w zgodzie z moralną oceną uczonej nie powstały – Niemcy mieliby większe trudności w odnalezieniu swoich ofiar. I Arendt odpowiada: *Ktoś by ich przecież ukrył.*

W tym fikcyjnym dialogu Andrzej Bart ironizuje wobec pewnej niemocy poznawczej wielu wybitnych ludzi Zachodu, nawet mających jak Hannah Arendt żydowskie pochodzenie, którzy nie byli w stanie pojąć rzeczywistej istoty totalitaryzmu w warunkach okupacji w Polsce. Czyni to ironicznie, wzbogacając całą sekwencję przesłuchania uczonej kilkoma niedorzecznymi paradoksami. Jak choćby tym, kiedy sędzia – człowiek ograniczony – pyta ją z nabożnym szacunkiem czy *była blisko z Immanuelem Kantem*, który, jak wiadomo, żył w XVIII wieku.

Fabryka muchołapek jest książką ironiczną, ale jest to ironia gorzka, której ostrze nie burzy bynajmniej obiegowego mitu Chaima Mordechaja Rumkowskiego jako stworzonej przez Niemców ludzkiej hybrydy, łączącej w jednej osobie kata i ofiarę. Kata widzi w nim zeznający przed tym sądem Dawidek Sierakowiak, ów młodociany autor pamiętnika z łódzkiego getta, który zarzuca Rumkowskiemu nepotyzm i niesprawiedliwe dzielenie przywilejów. *To niewola i upokorzenie, a nie zwyczajny świat. Dodatkowa zupa, zgoda, ale nie tak obrażający każdego kontrast* – tłumaczy Dawidek, odparowując uwagę obrońcy Rumkowskiego, że *prezes musiał lepiej nagradzać kadre, z pomocą której stworzył swoje dzieło.*

W plejadzie świadków powołanych przez Barta nie zbraknie także Hansa Biebow, hitlerowskiego nadzorcy getta, jak wiadomo straconego w Łodzi w 1947 roku po zakończeniu prawdziwego procesu tego wojennego zbrodniarza. W procesie wirtualnym Biebow nazwany przez prokuratora katem, mordercą i gwałcicielem wykrzykuje: *Zgodziłem się tu przyjść, bo chciałem wyciągnąć rękę do zgody. Myślicie psy, że po to całe piętnaście minut pękał mi na stryczku stos pacierzowy, abym teraz musiał wysłuchiwać impertynencji?*

Sam pisarz, w tej intelektualnej grze wyobraźni, dla siebie przeznaczając rolę sprawozdawcy procesowego. Może więc obserwować oskarżonego i z rezerwą, ale też nierzadko ze zrozumieniem współczuć mu, a kiedy indziej utożsamiać się z sytuacją Reginy, żony Rumkowskiego, tkwiącej podczas tego dziwnego procesu tylko w ławce dla publiczności.

W tym wirtualnym świecie wykreowanym fantazją pisarza, pada oczywiście wiele pytań etycznych, ale odpowiedzi na nie bywają osobliwą paradą uniów. Nikt nie ma zamiaru bić się w piersi za zbrodnie i złe uczynki, bo w świecie tym balansuje moralny relatywizm. Kiedy więc np. proces Rumkowskiego przeistacza się w końcu w teatralne przedstawienie, w którym aktor gra rolę „prezesa”, a on sam przygląda się temu z łoży, pisarz ucieka w publicystyczne dygresje. Służyć temu ma jego współczesny dziennik, w którym notuje: *Nie wiem dlaczego poruszyła mnie wiadomość, że Bruno Schulz często odwiedzał w Łodzi pewną kobietę. Czyżbym do końca życia nie miał się uwolnić od tego miasta? Podobno bał się fabrycznych kominów, a już najbardziej dymiących. Widzę niezbyt urodziwą pannę, jak dużo wcześniej tak planuje spacerować, aby nie wystawić gościa na widok dymiących smoków. Kim była, córką małego fabrykanta czy żydowską nauczycielką, próbującą poezji i dlaczego napisałem niezbyt urodziwą? A koniec? Getto czy wcześniejsza ucieczka z Polski? Wiem, że jej brat mieszkał po wojnie w Meksyku. Będę o tym myślał.*

O tej tajemniczej znajomej Bruno Schulza próbowaliśmy kilka lat temu napisać w „Kronice Miasta Łodzi”, ale poza ustaleniem jak się nazywała i pod jakim adresem mieszkała, nie udało nam się posunąć dalej. Dobrze więc, że pisarz chce podjąć ten wątek.

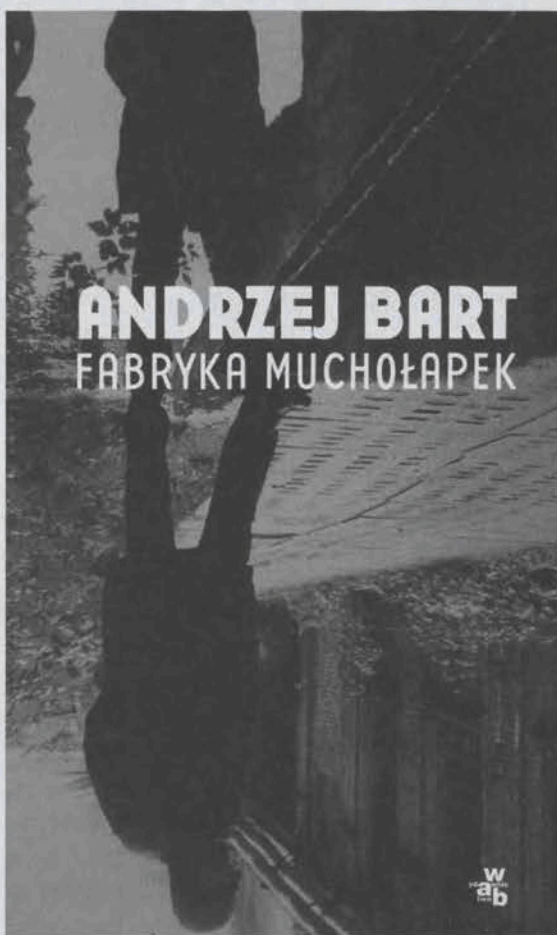
Takich jednak „dziennikowych” dygresji w książce Andrzeja Barta jest dużo. Postmodernistyczna konwencja stosowana przez tego pisarza od samego początku jego błyskotliwej literackiej kariery, pozwala przecież mieszać nie tylko plany historyczne i ożywiać umarłych, ale także inkrustować główny wątek narracyjny powieści przypadkowymi cytatami.

Czy jednak rzeczywiście przypadkowymi? Tak się może wydawać, ale czasem pojawia się w *Fabryce muchołapek* wyraźnie interwencyjny sens takich dygresji. Na przykład kiedy pisarz wędruje po ulicach współczesnej Łodzi z Dorą, piękną Żydówką, wskrzeszoną ofiarą Zagłady, która pyta go, co znaczą dziś gwiazdy Dawida wymalowane na murach i słowo „Jude”, często się przy nich powtarzające. I szukając odpowiedzi Bart sięga po cytaty z *Pociągu do podróży*, swojej poprzedniej powieści, *kiedy to choremu umysłowi jawiła się bliżej nieokreślona przyszłość, gdy poznikają z Łodzi nie tylko Niemcy, którzy ją stworzyli, ale i Żydzi i Rosjanie*. Jednak w tej „czystej” od obcoplemieńców Łodzi nie znika ksenofobia, więc Bart ironizuje: *Niestety, dzieciśka nowych mieszkańców miały malować na murach słowo Jude pod każdym nazwiskiem nielubianego sportowca, choćby ten był jasnowłosym parobczakiem*. Ale kiedy ta ironia nie uzyskuje aprobaty w pięknych oczach Dory, pisarz sięga po kłamstwo. Po to aby Dora, czeska Żydówka, przywieziona tu niegdyś na zagładę razem z siostrami Franza Kafki, pomyślała o Łodzi dobrze, a nawet odczuła dumę z powodu tych niezrozumiałych dla niej napisów zauważonych po kilkudziesięciu latach na ścianach kamienic. Więc tłumaczy jej: *Tymi napisami hitlerowcy sygnowali domy pożydowskie przeznaczone do rozbiórki. Czytałaś Ali Babę i czterdziestu rozbójników? Pamiętasz, że Ali Baba oznaczył*

kredą wszystkie domy w pobliżu tego, oznaczonego wcześniej przez rozbójników? Tak samo postąpili mieszkańcy Łodzi. Nocą wszędzie malowali napisy i gdyby trzymać się tych znaków, trzeba by zburzyć pół miasta. Potem pokryto napisy bezbarwnym lakierem, aby pozostały na wieczną pamiątkę bohaterskiego fortelu tutejszych ludzi.

Ironia jest obroną słabych i ucieczką przed absurdem, ale tylko absurd pozwala tłumaczyć nierzeczywistość. Podły świat zaludniony przez zjawy z przeszłości jawi się w powieści Barta jako gonitwa absurdów, bo tylko tak można unieść się ponad totalitarne zło. Bart nie usiłuje nawet analizować w swojej powieści istoty tego zła. Jest ono jakby tajemniczą umową istniejącą między człowiekiem a absurdem. Absurdem istniejącym na kształt jakiegoś nierozpoznawalnego absolutu, który może dopaść w każdym momencie każdego człowieka. Dlaczego tak się dzieje, nie wiemy – zda się mówić Bart. To bardzo wybitna książka tego tak bardzo łódzkiego pisarza.

Gustaw Romanowski



Andrzej Bart,
Fabryka muchołapek,
Wydawnictwo W.A.B.
Warszawa 2008.

Z łódzkiego raptularza

KWIECIEŃ 2009

z łódzkiego raptularza

1 kwietnia

- Radni z trzech klubów SLD, PiS i PO zorganizowali happening w Pasażu Rubinsteina, rozrzucając tysiąc papierowych łódeczek. Chcieli w ten sposób przypomnieć łodzianom o wiosennych porządkach, wspólnie „wyciągając łódkę z brudu”. Łódzeczki wykonali uczniowie Szkoły Podstawowej nr 81.
- Towarzystwo Przyjaciół Łodzi przyznało „Srebrną Łódkę” spektaklowi Teatru „Arlekin” – *Opera za trzy grosze* Bertolda Brechta w reżyserii Waldemara Wolańskiego.
- Ze szpitala dziecięcego im. J. Korczaka ewakuowano małych pacjentów na wniosek ekspertyzy nadzoru budowlanego. Wg rzeczoznawców w szpitalu w każdej chwili mogły się zawalić stropy. Dzieci umieszczono w „Matce Polce”.
- W Uniwersytecie Łódzkim odbyło się seminarium „Jak wspólnie wzmacniać kapitał intelektualny w województwie łódzkim”, z udziałem przedsiębiorców i samorządowców. Celem debaty było zacieśnienie więzów uczelni z biznesem.

2 kwietnia

- W czwartą rocznicę śmierci Jana Pawła II w wielu kościołach Łodzi odbyły się msze święte i czuwanie do godz. 21.37. O tej porze w mieście zaległa cisza w hołdzie papieżowi. Okolicznościową mszę świętą w archikatedrze odprawił abp Władysław Ziśłek, a przed kościołem przy ul. Zgierskiej 123 odsłonięto pomnik papieża dłuta Krys-tyny i Bogusława Solskich. Pomnik ufundowali parafianie – Barbara i Piotr Klemmowie.
- Działacze Socjaldemokracji Polskiej w Łodzi uznali, że ich partia przestała być znaczącą siłą polityczną i rozwiązali struktury powiatowe. Szeregi partii opuścili także łodzianie.
- W Galerii Kobro i „Blok” w łódzkiej ASP otwarto wystawę prezentującą sztukę nowych mediów. Pokazano prace nagrodzone i wyróżnione w Konkursie Sztuki Video i Video Instalacji przez Muzeum w Marl.
- W ms2 przy ulicy Ogrodowej chętni amatorzy mogli spróbować swych sił w tworzeniu nowoczesnych eksponatów sztuki nowoczesnej. Zaproponowane zostały m.in. projekty: *Sąsiedzi*, *Inwentaryzacja (nie)możliwości* oraz *Niewidzialne miasto*. Akcje zaplanowano na dwa miesiące.

→ W Sądzie Rejonowym dla Łodzi-Śródmieście w IV Wydziale Karnym wznowiono proces przeciwko sprawcom politycznej weryfikacji łódzkich dziennikarzy w stanie wojennym.

→ Rozpoczęły się zajęcia związane z projektem „Słyszę gwar” – spotkania z kulturą jidysz, których celem jest ukazanie wielokulturowej Łodzi, będącej niegdyś drugim, co do wielkości skupiskiem ludności żydowskiej w Europie. Projekt skierowany do młodych ludzi – uczniów gimnazjów i liceów chętnych pogłębić swoją wiedzę na temat kultury żydowskiej – przygotowała grupa studentów Uniwersytetu Łódzkiego pod auspicjami organizacji Europejskiego Forum Studentów AEGEE. Projekt współfinansowany z programu „Młodzież w działaniu” objął patronatem m.in. Prezydent Miasta Łodzi – Jerzy Kropiwnicki.

3 kwietnia

→ 150 firm krajowych i zagranicznych wzięło udział w 12. Międzynarodowych Targach Sprzętu Fotograficznego, Filmowego i Video. Targom towarzyszyły seminaria i warsztaty.

→ W Parlamencie Europejskim w Brukseli otwarto wystawę *Ulica Parlamentarna* z podtytułem *Łódź w centrum Europy*. Tworzą ją fasady 14 kamienic zaprojektowanych przez 5 architektów łódzkich. Projekt będzie uzupełniany i ma w zamyśle doprowadzić Łódź do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury w 2016 roku.

→ Z okazji 50-lecia twórczości Danuty Muszyńskiej-Zamorskiej w Łódzkim Domu Kultury otwarto wystawę malarstwa pt. *Złoty jubileusz*. Artystka otrzymała od dzieci Order Uśmiechu i Srebrny Medal Zasłużony Kulturze Gloria-Artis. Z okazji jubileuszu ŁDK opublikował album poświęcony dorobkowi artystki, a Poczta Polska cykl pocztówek z portretami dzieci.

→ Jubileusz X-lecia obchodziło Centrum Polityki Społecznej. Centrum stara się pomagać osobom dotkniętym przez biedę, choroby, oraz niepełnosprawnym i starszym. Kieruje nim od 10 lat pomysłodawczyni placówki – dyr. Anna Mroczek.

5 kwietnia

→ Na zakończenie cyklu Gwiazdy Met w Filharmonii Łódzkiej wystąpiła sopranistka – Maria Guleghina. Artystka pochodzi z Odessy. Występy w La Scali w 1987 r. otworzyły przed nią drzwi do międzynarodowej kariery. Od 1991 r. rokrocznie śpiewa w Metropolitan Opera w Nowym Jorku. W Łodzi towarzyszyła jej orkiestra FŁ pod batutą Carla Montanaro z Florencji.

→ W Radzie Miejskiej zorganizowano II Dni Otwarte. Od godz. 10 do 14.00 można było zwiedzać dużą i małą salę obrad, salę komisji oraz gabinet przewodniczącego. Radni traktują spotkanie z łodzianami jako specjalny dyżur, podczas którego oprócz oprowadzania gości, jest także czas na rozmowy i wysłuchanie rad obywateli miasta.

- Muzeum Fabryki w „Manufakturze” otrzymało prestiżową nagrodę Gold Maxi Award. To już druga nagroda dla tej placówki.
- Łódzki Ośrodek Telewizyjny zorganizował przed swoją siedzibą festyn dla bezdomnych zwierząt. Zbierano wszystko, co może przydać się zwierzętom przebywającym w schroniskach w Łodzi przy ul. Marmurowej i w schronisku zgierskiej fundacji „Medor” i fundacji „Azyl”, które zajmują się adopcją zwierząt. Festyn wsparli muzycy: „Blue Cafe”, Bogusław Mec oraz sportowcy: Jan Tomaszewski i Artur Partyka.
- W Niedzielę Palmową ulicą Piotrkowską w marszu „Dla Jezusa” przeszła młodzież z archidiecezji łódzkiej. W archikatedrze msze św. dla kilku tysięcy uczestników odprawił abp Władysław Ziśłek.

6 kwietnia

- Jury 27. Konfrontacji Teatrów Młodzieżowych „Centrum” przyznało Grand Prix aktorce – Joannie Połec z Grupy Produkcyjnej „Respirator” z Piotrkowa Trybunalskiego. Grupa ta zdobyła I nagrodę. II nagrodę otrzymał „Taki Sobie Teatr” z Domu Kultury „Lokator” ze Zduńskiej Woli, a III – Teatr „i Kropka” ze Stowarzyszenia „Busola” z Piotrkowa oraz Teatr „Soliloquium” z Centrum Kultury Młodych.
- Księgarnia „Litera” rozpoczęła akcję czytania dzieciom wierszy Juliana Tuwima. Dzieci obejrzały animacje „Lokomotywa” Zbigniewa Rybczyńskiego, a następnie czytały wiersz wspólnie z pracownikami księgarni. *Tuwimotywa* stanowi część promocji nowego opracowania wierszy Tuwima przez wydawnictwo „Wytwórnia”. Oficyna otrzymała za nie międzynarodową nagrodę Bologna Ragazzi Award 2008.
- Fundacja „Krwinka” postanowiła zaszcześcić 300 uczennic w wieku 13 lat z łódzkich gimnazjów przeciw rakowi szyjki macicy. Koszt szczepień ufundowali sponsorzy.

7 kwietnia

- Projekcją filmu *Witamy w Nollywood* w kinie „Cytryna” rozpoczął się Festiwal Kultury Afrykańskiej, w ramach którego odbyły się projekcje filmowe, wystawy fotografii, warsztaty gry na bębnach. Projekcjom towarzyszyły spotkania z twórcami, dyskusje na tematy społeczne i kulturowe. Festiwal trwał 16 dni.

→ 9 kwietnia

- Radca prawny Urzędu Miasta Łodzi dotarła do dokumentów, z których wynika, że Danuta Porter z Londynu, spadkobierczyni właścicieli kamienic przy ul. Piotrkowskiej 104a i 106, otrzymała już odszkodowanie w czasach PRL za znacjonalizowany majątek. W tej sytuacji powinna zwrócić Urzędowi Miasta wypłacone niedawno 5 mln zł i zrezygnować z dalszych roszczeń.

10 kwietnia

→ Prezydent Jerzy Kropiwnicki w imieniu prezydenta RP – Lecha Kaczyńskiego udekorował Krystynę Śreniowską, em. prof. historii Uniwersytetu Łódzkiego, wielce zasłużoną dla opozycji, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Prof. Krystyna Śreniowska, lwowianka, po wojnie osiedliła się z rodziną w Łodzi.

14 kwietnia

→ W Pałacu Poznańskich otwarto wystawę *Okna. Witraże łódzkie belle époque*. W jednym miejscu zgromadzono kilkadziesiąt kompozycji zdobiących łódzkie wille, pałace i świątynie. Autorem scenariusza był Jan Dominikowski.

15 kwietnia

→ Grupa Pewnych Osób zorganizowała w lutym plebiscyt na najciekawsze wydarzenia, najbardziej barwne osoby, najciekawsze miejsca. Napłynęło 300 zgłoszeń. Jury plebiscytu przyznało nagrody w 9 kategoriach: lokale, ludzie, instytucje, inicjatywy, atrakcje, budynki, mała architektura, (witryny), budynki (remonty, rewitalizacje), podwórka. Plebiscyt będzie kontynuowany.

16 kwietnia

→ W Łodzi powołano pierwszą w Polsce Komisję Filmową, której zadaniem jest stwarzanie dogodnych warunków do realizacji filmów reżyserom i zespołom filmowym krajowym i zagranicznym. Komisja przystąpiła do międzynarodowego stowarzyszenia AFCI zrzeszającego 320 komisji filmowych.

→ Bogdan Klich – minister obrony narodowej podczas pobytu w Łodzi zapowiedział powołanie na Uniwersytecie Medycznym Fakultetu Wojskowo-Medycznego, który będzie przygotowywał kadry dla polskiego wojska, a w przyszłości dla całego NATO. Łódź posiada doświadczone kadry i zaplecze po zlikwidowanej w 2001 r. Wojskowej Akademii Medycznej.

→ XXII Olimpiada Wiedzy Ekonomicznej dla szkół średnich przebiegała pod hasłem „Środowisko naturalne w procesie gospodarowania”. Z 15 117 uczestników do finału doszło czterech uczniów z Łodzi. Michał Bieńkowski z XIII LO oraz Piotr Rutkowski, Bartłomiej Drażyk i Dominik Posmyk – wszyscy z I LO.

→ Na Politechnice Łódzkiej trwały XI Dni Młodych Elektryków, w których uczestniczyli studenci wydziałów elektrycznych z uczelni technicznych w Polsce i Austrii. Dni odbywają się cyklicznie od 1997 roku. Tegoroczną edycję pod hasłem – *Łódź – transformatory, wczoraj, dziś i jutro* zorganizowały: studenckie Koła SEP przy PŁ oraz oddziały SEP w Łodzi, Piotrkowie Trybunalskim, oraz Koło SEP w Elektrowni Bełchatów.

→ Na wniosek Studenckiego Koła SEP przy Politechnice Łódzkiej jego patronem został prof. dr hab. – Michał Jabłoński, zmarły 17 maja 2008 roku, wielki przyjaciel i wychowawca młodzieży.

17 kwietnia

→ Prezydent Jerzy Kropiwnicki – inicjator obywatelskiej akcji zbierania podpisów pod petycją do Sejmu w sprawie przywrócenia Święta Trzech Króli jako dnia wolnego od pracy, poprowadził w Warszawie marsz zwolenników tego tradycyjnego święta. Prezydent przekazał na ręce marszałka Sejmu milion podpisów pod petycją.

19 kwietnia

→ Z okazji Dni Włókniarza muzea łódzkie zaprosiły na specjalne imprezy. W Muzeum Historii Miasta Łodzi odbył się kiermasz rękodzieła, a Muzeum Fabryki w „Manufakturze” zaprosiło łodzian na „Niedzielę u fabrykantów”.

20 kwietnia

→ Po dłuższej przerwie łódzkie środowisko etnologiczne zorganizowało dwudniowy Przegląd Filmów Etnologicznych. W programie znalazły się filmy zrealizowane przez muzea, regionalne ośrodki telewizyjne, fundacje i pracownie naukowe. W dyskusjach uczestniczyli studenci i autorzy filmów. Organizatorami Przeglądu byli: Łódzki Dom Kultury, Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej UŁ, Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi, oraz Studenckie Koło Naukowe Etnologów UŁ.

→ W ramach cyklu: „Gdy muzyka była młodsza” w klasztorze oo. Dominikanów wystąpiło trio gambitów „Cantor Anticus”.

→ W Archiwum Państwowym przy placu Wolności odbyła się promocja *Notatnika* Szmula Rozensztajna, sekretarza Chaima Rumkowskiego – przełożonego starszeństwa Żydów w łódzkim getcie. Książka ukazała się w Bibliotece Świadectw Zagłady. Z języka jidysz *Notatnik* przełożyła i opracowała Monika Polit.

→ Prezydent Jerzy Kropiwnicki wziął udział w spotkaniu w Brukseli grupy EOPP (Europejskiej Partii Ludowej – Europejscy Demokraci), oraz w posiedzeniu Prezydium Komitetu Regionów Unii Europejskiej. 21 kwietnia rozpoczęła się dwudniowa 79. sesja plenarna Komitetów Regionów. Głównym tematem posiedzenia były społeczne skutki kryzysu oraz Partnerstwo Wschodnie UE.

→ Rozpoczął się 9. Festiwal Nauki, Techniki i Sztuki pod hasłem: „Łódź w nauce i sztuce europejskiej”. Tradycyjnie podczas inauguracji wręczono statuetki „Łódzkie Eureka” przyznane przez Radę ds. Szkolnictwa Wyższego i Nauki przy Prezydencie Miasta Łodzi za osiągnięcia naukowe, artystyczne i techniczne w 2008 roku. Wyróżnienia otrzymali:

- Prof. dr hab. Dominik Sankowski, dr Laurent Babount, dr inż. Robert Banasiak, dr inż. Zbigniew Chaniecki, dr inż. Krzysztof Grudzień, dr inż. Włodzimierz Mosorow, dr inż. Jacek Nowakowski, dr inż. Andrzej Romanowski, dr inż. Radosław Wajman, dr inż. Liu Zhijan, mgr inż. Jakub Betiuk z Katedry Informatyki Stosowanej, Politechniki Łódzkiej za – „Zastosowanie trójwymiarowej tomografii w bezinwazyjnej diagnostyce wybranych procesów przemysłowych”.
- Dr inż. Zdzisław Czaplicki z Oddziału Łódzkiego IWN za – „Metodę i urządzenie do pomiaru skrętu przędz”.
- Dr inż. Zbigniew Stempień z Katedry Automatyzacji Procesów Włókienniczych Politechniki Łódzkiej za – „Ultraszybką kamerę do badania procesów odkształceniowych w miękkich osłonach balistycznych”.
- Prof. dr hab. inż. Izabella Krucińska, prof. dr hab. inż. Krzysztof Gniotek, prof. dr hab. inż. Tomasz Kacprzak, dr inż. Sławomir Hausman, dr inż. Łukasz Januskiewicz, dr inż. Jacek Leśnikowski, dr Marina Michalak, dr Grzegorz Owczarek, mgr inż. Jadwiga Bilka, mgr inż. Krzysztof Łęzak, inż. Andrzej Dereń z Wydziału Technologii Materiałowych i Wzornictwa Tekstyliów Politechniki Łódzkiej i Centralnego Instytutu Ochrony Pracy za – „Ubranie strażackie nowej generacji z elektronicznym systemem monitorowania parametrów fizjologicznych”.
- Prof. dr hab. inż. Marek Snyderski, dr inż. Izabela Frontczak-Wasiak z Instytutu Architektury Tekstyliów Politechniki Łódzkiej za – „Tekstylią o budowie sieci pajęczej”.
- Prof. Jolanta Dylewska z Wydziału Operatorskiego i Realizacji Telewizyjnej PWSFTViT im. L. Schillera, za osiągnięcia artystyczne w 2008 r.: reżyserię filmu dokumentalnego pt. *Po-Lin. Okruchy pamięci* i zdjęcia do filmu fabularnego *Tulpan*.
- Prof. dr hab. Bronisław Wrocławski, Wydział Aktorski, PWSFTViT. im. L. Schillera – za wybitne osiągnięcia aktorskie w 2008 r.: rola Toma w przedstawieniu *Prześwit Dawida Hare'a*; monodram *Seks, prochy i rock&roll*.

21 kwietnia

➔ Piotr Bielski, współzałożyciel fundacji na rzecz Kultury Żywej „Białe Gawrony”, organizującej m.in. Święto Ulicy Wschodniej, znalazł się wśród 100 laureatów Europejskiego Roku Kreatywności i Innowacji, ogłoszonego przez Komitet Regionów. Laureaci wzięli udział w warsztatach i dyskusjach.

➔ Uniwersytet Łódzki zajął IV miejsce w Polsce w wykorzystaniu stypendiów w ramach programu „Erasmus”. W ciągu 10 lat ze stypendiów skorzystało 2700 studentów, a obecnie rozszerzona Karta Erazmusa pozwala korzystać z wyjazdów także pracownikom naukowym.

→ 400 młodych Izraelczyków i 600 uczniów łódzkich szkół wzięło udział w Dniach Pamięci o Zagładzie. Młodzież odnowiła farbą granice getta. Przemówienia wygłosili: wiceprezydent – Włodzimierz Tomaszewski i Symcha Keller – przewodniczący Żydowskiej Gminy Wyznaniowej. O godz. 15.00 młodzież odczytywała imiona i nazwiska Żydów zamkniętych w gettcie. Pieśni żydowskie wykonał Młodzieżowy Chór Żeński „Iuvenales Cantores Lodzenses”. W Muzeum Sztuki, Piotr Piluk, fotografik i publicysta, przedstawił zdjęcia ukazujące żydowskie dziedzictwo kulturowe w Europie Wschodniej. W dyskusji uczestniczył także Michał Sobelman – red. naczelny „Słowa Żydowskiego”.

→ W Muzeum Historii Miasta Łodzi odbyło się spotkanie z Cyprianem Kosińskim, pochodzącym z Łodzi inżynierem chemikiem, przez 30 lat pracującym w Afryce, głównie w Zairze. Zebrani obejrzeli film etnograficzny autorstwa C. Kosińskiego o życiu mieszkańców królestwa Bakuba, oraz zapoznali się z jego książką *Afrykański polonez*. Muzykę Czarnego Łądu zaprezentował zespół „City Bum Bum”.

→ Na 9. Festiwalu Filmów Europy Środkowej i Wschodniej „GoEast” w Wiesbaden Muzeum Kinematografii z Łodzi zaprezentowało plakaty filmowe do wspólnych dzieł Romana Polańskiego i Krzysztofa Komedy Trzczińskiego. Wystawą uczczono 40. rocznicę śmierci Komedy. W Łodzi wystawę będzie można oglądać w październiku 2009 roku.

22 kwietnia

→ W kinie „Bałtyk” odbył się specjalny pokaz filmu Ryszarda Bugajskiego *Generał Nil*.

23 kwietnia

→ Prezydent Jerzy Kropiwnicki wraz z lordem Prevostem i burmistrzem Georgem Grubbem otworzył w Edynburgu Festiwal Kultury Polskiej. Podczas Festiwalu łódzka filmówka zaprezentowała swój dorobek artystyczny filmem *Then and Now* i przedstawiła wystawę *Atelier 72*. Z tej okazji Richard Demarco wygłosił wykład o współpracy stolicy Szkocji z Łodzią. Festiwal promował Łódź jako miasto kandydujące do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury.

→ W Festiwalu Szkół Teatralnych jury przyznało nagrody aktorskie ministra kultury: I – Annie Gorajskiej z Krakowa i Piotrowi Trojanowi z Łodzi; II – Natalii Kalicie z Krakowa i Dobromirowi Dymcekiemu z Łodzi; III – Annie Suchanek z Łodzi i Tomaszowi Schuchardtowi z Krakowa. Nagrodę marszałka województwa otrzymały: Anna Markowicz z Warszawy i Anna Bugajska z Krakowa. Nagrodę zespołową prezydenta Łodzi zdobyli wykonawcy przedstawienia *Moulin Noir* w Warszawie. Nagrodę im. Jana Machulskiego „Bądź orłem, nie zniżaj lotu” otrzymała Wiktoria Gorodeckaja z Warszawy, a nagrodę dziennikarzy – Justyna Wasilewska z Łodzi.

→ Łódź zdobyła 5 nagród na III Festiwalu Promocji Miast i Regionów. Za komiks o Łodzi *City stores* otrzymała statuetkę i czek na 200 tys. zł. Nagrodzono także akcję „Młodzi w Łodzi” i „Łódź design”. W ten sposób miasto okazało się liderem w wyścigu o miano kulturalnej stolicy Europy w 2016 roku. Nagrody odebrał wiceprezydent, Włodzimierz Tomaszewski podczas uroczystości w warszawskim hotelu „Sheraton”.

→ W Muzeum Sztuki Daniel Buren – słynny francuski artysta konceptualista zbudował instalację, która zostanie w muzeum jako stały eksponat. Muzeum zakupiło ją dzięki pomocy Fundacji „Signum” z Poznania. *Chata* autorstwa Burena służy ekspozycji obrazów i reliefów Henryka Stażewskiego, jednego z założycieli łódzkiego muzeum.

24 kwietnia

→ Na placu Wolności otwarto Galerię „Wideo”, nad którą opiekę powierzono prof. Józefowi Robakowskiemu.

→ Grand Prix VI Międzynarodowego Festiwalu Solistów Lalkarzy zdobyła Amerykanka – Hilary Chaplain, która przedstawiła *Portret kobiety*. Waldemar Wolański – dyrektor naczelny i artystyczny teatru „Arlekin” – organizuje ten festiwal dla upowszechnienia współczesnych trendów w teatrach lalkowych świata. W Łodzi wystąpili tacy mistrzowie jak: Laura Kibel z Włoch, Michael Vogel z Niemiec, Christoph Blochdanský z Austrii, Władimir Zacharow z Rosji, Agnieszka Baranowska i Anna Skubik z Polski.

→ W „Atlasie Sztuki” otwarto wystawę ze zbiorów kolekcjonera i mecenasa sztuki – Dariusza Bieńkowskiego. Na dużą i różnorodną kolekcję składają się obrazy, grafiki, rzeźby, fotografie i prace video.

→ Dr Małgorzata Stolarska – ordynator oddziału onkohematologii w szpitalu dziecięcym przy ul. Spornej otrzymała na wniosek dzieci „Order Uśmiechu”. Pani doktor jest nie tylko doskonałą lekarką, ale także kochaną przez chore dzieci opiekunką i przyjaciółką.

→ W kinie „Charlie” rozpoczął się 6. Międzynarodowy Festiwal Filmów Animowanych „ReAnimacja”. O statuetkę Złotego Ślimaka walczyły 52 filmy z Europy i obu Ameryk. Zwyciężył francuski film *Malban* Elodie Bouédec. W konkursie filmów polskich wygrał film *Miasto płonie* Balbiny Bruszewskiej.

25 kwietnia

→ W Teatrze Powszechnym odbyła się prapremiera *Roszady* Pawła Kossakowskiego, w reżyserii Macieja Wojtyszki i Pawła Aignera. Scenografię opracowali – Krzysztof Kelm i Dorota Zalewska, muzykę – Krzysztof Knittel. Sztuka zajęła III miejsce w konkursie na komedię ogłoszonym przez Teatr Powszechny w Łodzi.

→ W kinie „Cytryna” Grupa Teatralna „Verde” wystawiła *Fall, Hot Rain* kanadyjskiego dramaturga B.J. Castelemana w przekładzie i reżyserii Piotra Wawrzyniaka. Jest to już drugi (po musicalu *My fair lady*) spektakl wystawiony przez grupę „Verde”.

26 kwietnia

→ Teatr Politechniki Łódzkiej wystawił spektakl *Factory* Igora Bauersimy na podstawie opowiadania Réjane Desvignes i Igora Bauersimy w przekładzie Moniki Muskały, w reżyserii Darii Kopiec. Teatr powstał rok temu. Występują w nim studenci Politechniki i Uniwersytetu.

→ Członkowie SLD w Łodzi zaproponowali Kartę Łódzianina uprawniającą do 50 procent zniżek w opłacie czynszów mieszkaniowych, opłatach przedszkolnych, oraz do ośrodków sportowych i muzealnych. Karta przysługiwałaby przez 3 miesiące osobom zwolnionym z pracy.

28 kwietnia

→ Kawiarnia Literacka Teatru Nowego gościła rosyjską poetkę – Natalię Gorbaniewską, dziennikarkę, działaczkę opozycji. Za wybitne osiągnięcia w dziedzinie kultury i przybliżanie kulturze światowej literatury polskiej Gorbaniewska została wyróżniona nagrodą „Kultury” w 1990 r. i polskiego PEN CLUBU w roku 1992.

→ Komenda Chorągwi Łódzkiej ZHP zaprosiła łódzian do Muzeum Tradycji Niepodległościowych na otwarcie wystawy *Myśl o Polsce, o mnie nie myśl wcale*, poświęconą Januszowi Włodarskiemu (1921–1942) i harcerzom działającym w konspiracji podczas II wojny światowej.

→ W Bibliotece im. Piłsudskiego odbyła się uroczystość wręczenia nagród „Złoty Ekslibris” – autorom najlepszych książek o Łodzi. Tytułową nagrodę otrzymali: M. Czocharński, T. Kośka i G. Kowalski za *Zarys dziejów geodezji w Łodzi*, za najlepszy album o Łodzi uznano *Miasto-City* J. Kusińskiego. Za najlepszą publikację o ziemi łódzkiej – *Historię Smardzewic* S. Zdonki, a za najlepszy album – *Załęczański Park Krajobrazowy* K. Gary.

29 kwietnia

→ Prezydent Łodzi, Jerzy Kropiwnicki, otrzymał absolutorium z realizacji budżetu w 2008 roku. Radni PO i PiS uznali, że prezydent dobrze wykonał swoje zadania.

→ Rada Miejska powołała Miejską Arenę Kultury i Sportu – spółkę, która będzie zarządzać nową halą sportową, organizować imprezy sportowe i kulturalne. Spółka będzie także prowadzić budowę nowego stadionu sportowego. Radni podjęli także decyzję o kupnie wszystkich udziałów w spółce „Aqua Park”.

PERSONALIA:**7 kwietnia**

→ Inspektor Jarosław Wołoszyński – komendant Komendy Miejskiej Policji, został odwołany ze stanowiska.

30 kwietnia

→ Paweł Biczuk – dyrektor Zarządu Dróg i Transportu, został odwołany ze stanowiska. Jego miejsce zajęła na krótki czas poprzednia dyrektorka – Alina Giedryś.

ODESZLI:**10 kwietnia**

→ Józef Zbiróg – aktor, reżyser, malarz. Był związany przez wiele lat z Teatrem im. Jaracza w Łodzi oraz z Teatrem Nowym im. K. Dejmka. Zagrał 200 ról teatralnych m.in w: *Czajce Czechowa*, w *Kaukaskim Kole Kredowym* Brechta, w *Weselu* Wyspiańskiego w *Mężu i żonie* Fredry. Grał także w filmach m.in. w *Znachorze* i w *Śmierci prezydenta*. W Poznaniu miał dwie wystawy swoich obrazów. Został pochowany w Łodzi na cmentarzu na Dołach.

29 kwietnia

→ Julita Chojnowska-Jeziarska – prof. dr hab. n. med., kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych i Farmakologii Klinicznej i Terapii Monitorowanej UM w Łodzi. Wieloletni prezes Towarzystwa Terapii Monitorowanej.

→ Ks. kanonik Bohdan Papiernik – proboszcz z parafii pw. Najświętszej Eucharystii w Łodzi, działacz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, twórca Międzynarodowego Festiwalu Piosenki i Pieśni Religijnej, b. członek ZHP. Opiekun i wychowawca młodzieży. Kanonik honorowy Kapituły Katedralnej Łódzkiej.

M A J 2 0 0 9**1 maja**

→ W piętą rocznicę przystąpienia Polski do Unii Europejskiej o północy, przed Instytutem Europejskim w Łodzi, w obecności władz Łodzi i województwa, wciągnięto na maszt błękitną unijną flagę. Ceremonię powtórzono 1 maja w południe.

3 maja

→ Dwa tysiące łodzian przy akompaniamencie orkiestry MPK śpiewało na placu Wolności hymn państwowy. Wspólnie z mieszkańcami Mazurka Dąbrowskiego

odśpiewały władze miasta i województwa z prezydentem Jerzym Kropiwnickim i wojewodą Jolantą Chełmińską. Wcześniej Lucjan Muszyński – pełnomocnik prezydenta ds. obchodów, przypomniał historię hymnu. Pomysłodawcą tej akcji był Tomasz Kowalski z portalu wiadomości 24.pl. Patronat nad zbiorowym śpiewaniem objęły Muzeum Historii Polski i Muzeum Hymnu Narodowego.

→ Na 10 miesięcy ograniczenia wolności w zawieszeniu i 2 tys. zł grzywny zostali skazani trzej kibice ŁKS, którzy podczas meczu z Widzewem nosili koszulki z antysemickimi napisami.

→ W plebiscycie „Rzeczpospolitej” łódzka firma „Atlas” znalazła się na IV miejscu wśród najlepszych przedsiębiorców XX wieku.

5 maja

→ Maria Kornatowska, eseistka, krytyk filmowy, wykładowca w Szkole Filmowej i Sławomir Fijałkowski, który z kina „Charlie” zrobił interesujące miejsce promujące sztukę filmową, otrzymali nagrody Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej.

6 maja

→ Premierowym spektaklem *Let's Dance Chopin* według pomysłu dyrektora Andrzeja Sułka w Filharmonii Łódzkiej zainaugurowano Łódzkie Spotkania Baletowe. Utwory Chopina opracowali Krzesimir i Radzimir (ojciec i syn) Dębscy oraz Janusz Stokłosa. Dyrygowali Paweł Przytock i Janusz Stokłosa, tańczyli: Małgorzata Haduch, Makiko Ito i Małgorzata Stokłosa.

→ Na tegoroczny program złożyły się m.in. występy baletu niderlandzkiego i izraelskiego, oraz Arty-Center ze słynnym Michałem Barysznikowem. Spotkaniom towarzyszyły Przegląd Filmów o sztuce tanecznej w Muzeum Kinematografii, wystawy plastyczne i warsztaty baletowe.

→ Andrzej Wajda przyjechał do łódzkiej filmówki na spotkanie ze studentami. Młodzież przygotowała dla reżysera niespodzianki: na Dworcu Łódź-Fabryczna witali go studenci w strojach z filmu *Pan Tadeusz*, a w szkole na słynnych schodach umieszczono tabliczki z nazwiskami znanych absolwentów, w tym na pierwszym miejscu nazwisko gościa. Andrzej Wajda dyskutował z młodzieżą o swoim najnowszym filmie *Tatarak* i kinie artystycznym.

→ W galerii „Willa” otwarto wystawę rzeźb, rysunków i grafik Jana Grodka pt. *Wstęga ciągłości*. Od 1972 r. artysta jest pedagogiem w łódzkiej ASP.

7 maja

→ W Łódź Art Center otwarto główną wystawę 8. Międzynarodowego Festiwalu Fotografii. Można było obejrzeć kilkadziesiąt fotografii z całego świata. Prace studentów i dyplomantów uczelni fotograficznych pokazano w Patio Centrum Sztuki w WSHE pod hasłem „Fabryka Fotografii”. W Art Center z okazji 30-lecia

działalności swój najnowszy projekt pokazała grupa „Łódź Kaliska” pod hasłem *Niech szczeną mężczyźni*.

→ W kinie „Charlie” rozpoczął się przegląd zatytułowany: „Kino na cenzurowanym”. Widzowie obejrzeni 45 filmów, które leżały na półkach z powodu zakazu wyświetlania ich przez cenzurę. Były to m.in.: *Dwie godziny* Stanisława Wohla, *Przysłuchanie* Ryszarda Bugajskiego, *Kobieta samotna* Agnieszki Holland i inne tytuły nieznanne dotychczas publiczności.

→ W ramach trwającego w Łodzi projektu „Słyszę gwar – Spotkania z kulturą jidysz” w kinie „Cytryna” odbyła się projekcja filmu dokumentalnego *Po-lin. Okruchy pamięci*. Dyskusję po pokazie prowadził Arkadiusz Walczak.

8 maja

→ Małżonkowie, którzy przeżyli ze sobą co najmniej 50 lat, otrzymali medale za długoletnie pożycie małżeńskie z rąk prezydenta Łodzi Jerzego Kropiwnickiego. Medale te przyznał 39. parom Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

→ Dwadzieścia lat temu ukazał się pierwszy numer „Gazety Wyborczej”. Z tej okazji w całym kraju przygotowano dla czytelników wiele atrakcji. W Łodzi „Wyborcza” obchodziła jubileusz „bardzo kulturalnie”. Na rynku w „Manufakturze” w specjalnie postawionych namiotach łodzianie mogli obejrzeć 11 spektakli teatralnych oraz wysłuchać koncertów. W imprezach wzięło udział 240 tysięcy osób. Na wszystkie imprezy wstęp był bezpłatny

→ Po 38 latach „PaLMa” – akademicka przychodnia lekarska przeprowadziła się z budynku przy ul. Rewolucji 37/39 do pomieszczeń na osiedlu akademickim przy ul. Lumumby.

→ Prezydent Łodzi – Jerzy Kropiwnicki i marszałek województwa łódzkiego – Włodzimierz Fisiak podpisali list intencyjny w sprawie uratowania szpitala pediatrycznego im. J. Korczaka. Plany zakładają rewitalizację placówki do końca 2012 roku.

9 maja

→ Prof. Władysław Bartoszewski spotkał się z czytelnikami w nowej księgarni „Świat Książki” w Centrum Handlowym „Tulipan”.

→ Katedra Pragmatyki Językowej UŁ zorganizowała międzynarodową konferencję naukową *Rasa, religia, reprezentacja*, poświęconą zagadnieniom etniczności, religii i jej przedstawieniu w sztuce, mediach i literaturze.

11 maja

→ Stowarzyszenie „Topografie” organizowało cykl spotkań pod hasłem: „Czy Łódź uda się uratować?”. W Muzeum Sztuki wykład *Jak zachować wartość zabytków przemysłowej Łodzi bez zamieniania jej w skansen* wygłosił prof. Krzysztof Stefański, historyk sztuki, wieloletni wykładowca UŁ oraz PŁ, wybitny znawca architektury Łodzi.

12 maja

→ Na skrzyżowaniu ulicy Kopcińskiego i al. Piłsudskiego otwarto najbardziej nowoczesny łódzki biurowiec nazwany „Forum 76”. Inwestor – firma „Virako” – całkowicie przerobiła na ten cel dawny obiekt łódzkich Zakładów Spirytusowych. Autorami projektu są architekci: Łukasz Królikowski i Krzysztof Wichlinski z pracowni „Archidea”.

→ MPO zakupiło Tornado ACS 35 – maszynę, która usuwa nielegalne napisy i malowidła ze ścian budynków, nie niszcząc przy tym elewacji.

→ Sława Lisiecka, wybitna tłumaczka literatury niemieckiej została uhonorowana tegoroczną nagrodą „Literatury na Świecie”. Łódzką tłumaczkę nagrodzono za *przyswajanie polszczyźnie eksperymentalnej trudnej językowo i formalnie prozy Uwe Johnsona*.

→ Były prezydent RP, Aleksander Kwaśniewski, wygłosił w Wyższej Szkole Przedsiębiorczości i Zarządzania w Łodzi wykład na temat perspektyw i zagrożeń w Unii Europejskiej.

13 maja

→ W warszawskiej „Zachęcie” prezydent Łodzi – Jerzy Kropiwnicki i przewodniczący wyznaniowej gminy żydowskiej – Symcha Keller zorganizowali konferencję prasową, aby poinformować o przygotowaniach do sierpniowych obchodów 65. Rocznicy Likwidacji Litzmannstadt Ghetto. Obecny był ambasador Izraela w Polsce – Zvi Rav-Ner.

→ Radni Rady Miejskiej w Łodzi przyjęli strategię działania dla ulicy Piotrkowskiej. Plan przygotowali naukowcy z Katedry Gospodarki Regionalnej i Środowiska UŁ, wykorzystując też prace Sztabu powołanego w ub. roku przez prezydenta miasta. Zgodnie z przyjętym planem, Piotrkowska ma być wizytówką Łodzi metropolitarnej, ulicą europejską o ważnych funkcjach kulturalnych, gospodarczych, turystycznych i rozrywkowych. Ma mieć specjalnego menedżera i obsługujący ją zespół. Decyzję w tej formie podjęto wbrew woli prezydenta.

14 maja

→ Poleski Ośrodek Sztuki i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi gościły dawną łódziankę – Renatę Jabłońską poetkę, prozaiczkę, tłumaczkę i eseistkę mieszkającą od 1957 r. w Izraelu. W ramach Łódzkiej Premiery Literackiej autorka przedstawiła książkę *Przed odlotem. Opowiadania nierealistyczne*.

→ Fotoreporterka „Gazety Wyborczej” w Łodzi – Małgorzata Kujawka zajęła II miejsce w prestiżowym konkursie dla zawodowych fotoreporterów GRAND PRESS PHOTO. Nagrodzone zdjęcie przedstawia ptaka kowalika z migdałem w dziobie, które zostało wykonane w parku Poniatowskiego.

15 maja

→ Na uroczystej sesji Rady Miejskiej w Łodzi zasłużonym dla miasta łodzianom wręczono nagrody i odznaczenia. Nagrody Miasta Łodzi otrzymali: Jerzy Jarniewicz – prof. UŁ, tłumacz i pisarz, Mieczysław Michalski – ekonomista i menadżer, Jakub Rembieliński – prof. UŁ, Łucja Robak – architekt, prezes Stowarzyszenia Przyjaciół Starego Miasta, Bogdan Skopiński – artysta plastyk. Odznaki „Za zasługi dla Miasta Łodzi” otrzymali: Henryk Bem, Tomasz Budziarek, Danuta Chlebna-Sokół, Waldemar Dyba, Henryk Dzwonkowski, Maria Korzeniowska-Sondej, Mieczysław Kuźmicki, Ryszard Lasota, Zbigniew Nowak, Cezary Pawlak, Andrzej Pelc, Zbigniew Skowroński, Lucyna Sochaczewska, Anna Strzechowska, Irena Tomaszewska, Jadwiga Tomaszewska, Wielisława Warzywoda-Kruszyńska, Wiesława Zewald. Zbiorową Odznakę przyznano: Rudzkiemu Klubowi Sportowemu, który w tym roku obchodzi 85 lat działalności, oraz Towarzystwu Opieki nad Zabytkami.

→ Tegoroczne święto Łodzi zbiegło się z trzecią rocznicą otwarcia „Manufaktury”. Na łodzian czekało mnóstwo atrakcji spod znaku sztuki i kosmosu. Zapoczątkowała je projekcja *Odysei kosmicznej 2001* Stanleya Kubricka prezentowana na ogromnym ekranie w „Manufakturze”. Projekcji towarzyszyła orkiestra Filharmonii Łódzkiej pod batutą Marcina Woniewskiego. Łodzianie zobaczyli też występy słynnej teatralnej grupy francuskiej „Plasticiens Volants” w spektaklu *Łowca księżycy*. Nad głowami tłumnie zgromadzonej publiczności „przeplęwały” smoki i nieziemskie potwory, które budziły wśród zgromadzonych podziw i lęk.

→ W Klubie Nauczyciela Renata Jabłońska prezentowała wybór opowiadań izraelskich w swoim tłumaczeniu pod tytułem: *Powiedział między innymi...* Spotkanie prowadził Michał Sobelman, fragmenty prozy czytał Aleksander Ford (junior). Książka ukazała się w Bibliotece „Tygla Kultury”. Wydawnictwu i prezentacji patronowali Ambasada Izraela w Polsce i prezydent Łodzi – Jerzy Kropiwnicki.

→ W sobotę wystartował „mBank Łódź Maraton”. Wzięło w nim udział 1300 biegaczy z całego świata. Maraton wygrał Marcin Fehlau.

→ 50. urodziny obchodziło z rozmachem studenckie Radio „Żak”.

16 maja

→ W plebiscycie „Gazety Wyborczej” na „ikonę Łodzi” wygrała ulica Piotrkowska. Następne „ikony” to drużyna Widzew-Łódź, „Manufaktura”, Księży Młyn i Szkoła Filmowa.

→ W kompleksie „Manufaktury” otwarto pierwszy w Łodzi hotel czterogwiazdkowy „Andel’s Hotel”. Hotel oferuje 220 pokoi, 58 apartamentów i 5 loftów. Dysponuje także siedmioma salami konferencyjnymi, salą balową i basenem. Na Rynku „Manufaktury” nadal brakuje pomnika Izraela Poznańskiego.

→ Podczas tegorocznej Nocy Muzeów swoje zbiory udostępniły łodzianom 22 placówki muzealne. Oprócz dobrze znanych w swoje progi zapraszały także niewielkie placówki takie jak: Muzeum Uniwersytetu Łódzkiego, Uniwersytetu Medycznego, MPK, Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego i Muzeum Farmacji. Na zwiedzających czekały niespodzianki, oprócz zwiedzania – programy artystyczne, konkursy. Dojazd między placówkami ułatwiały specjalne linie autobusowe.

→ W Turynie odbyła się publiczna prezentacja kolejnej książki Wojciecha Góreckiego, łodzianina, autora nagrodzonej w 2007 r. włoskim wyróżnieniem „Premio Gambrinus” książki zatytułowanej *Planeta Kaukaz*. Tym razem we Włoszech wydano eseje Góreckiego ze zbioru *Podróże do Gruzji*. Włoski przekład nosi tytuł *La terra del vello d'oro*.

20 maja

→ Na Wydziale Organizacji i Zarządzania UŁ z inicjatywy poślanki prof. Zdzisławy Janowskiej odbył się panel dyskusyjny pt. *Kobiety i władza*. Konferencje zorganizowano z okazji XV-lecia istnienia Wydziału. Gościem honorowym była Jolanta Kwaśniewska. W panelu udział wzięły kandydatki do Parlamentu: Magdalena Środa, Jolanta Szymanek-Deresz, oraz europoseł Jacek Syriusz-Wolski.

→ Komisja Europejska przyznała Politechnice Łódzkiej prestiżowy certyfikat „ECTS Label”. Jest to pierwszy taki certyfikat przyznany polskiej wyższej uczelni. Oznacza on m.in., że uczelnia ma szansę kształcić zagranicznych studentów, bez przeszkód wysłać własnych podopiecznych na uczelnie zagraniczne, a zdawane na niej egzaminy będą honorowane za granicą.

21 maja

→ Przed budynkiem Biblioteki Uniwersyteckiej IPN Oddział w Łodzi przygotował wystawę o historii NZS.

22 maja

→ Po raz pierwszy studenci łódzkich uczelni Juwenalia zorganizowali i świętowali wspólnie. Na osiedlach studenckich odbyły się koncerty, występy kabaretów oraz mecz UŁ kontra PŁ.

→ 12. Festiwal Muzyki Filmowej poświęcony był twórczości Jerzego Satanowskiego. W Filharmonii Łódzkiej można było wysłuchać utworów kompozytora do filmów: *Jeziro Bodeńskie*, *Magnat*, *Kobieta w kapeluszu*, *Ekstradycja*. Nagrodę im. Tomasza Gaduły-Zawratyńskiego – pomysłodawcy festiwalu, przyznano Tomaszowi Raczkowi za upowszechnienie kultury filmowej.

→ W ogrodach Muzeum Historii Miasta Łodzi, w Pałacu Poznańskiego Teatr Muzyczny, którego macierzysta siedziba jest w remoncie, wystawił premierę F. Lehara *Wesoła wdówka*. Reżyserował Zbigniew Macias, kierownictwo muzyczne – Lesław Sałacki, scenografia i kostiumy – Anna Bobrowska-Ekiert

→ Evelyn Glennie, genialna szkocka perkusistka, wystąpiła w Filharmonii Łódzkiej z prawykonaniem koncertu Marty Ptaszyńskiej na perkusję i orkiestrę. Filharmonikami dyrygował Wojciech Michniewski.

23 maja

→ Diecezjalny Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy obchodził jubileusz 20-lecia. Dzięki pomocy Ośrodka 1345 dzieci znalazło swoje miejsce w rodzinach zastępczych i adopcyjnych. Ośrodek pracuje zgodnie z autorskim programem „Dziecko czeka”.

25 maja

→ Z okazji 64. rocznicy powołania Uniwersytetu Łódzkiego odbyło się uroczyste posiedzenie senatu uczelni, podczas którego nadano tytuł *dr honoris causa* prof. hab. Heinzowi Heimgartnerowi – profesorowi chemii z Zurichu. Odbyła się także uroczystość odnowienia doktoratu emerytowanej prof. etnologii – Bronisławy Kopczyńskiej-Jaworskiej.

26 maja

→ Do czynnego życia muzycznego powrócił triumfalnie Dominik Połórski, po przerwie spowodowanej chorobą nowotworową. Artysta wykonał specjalnie napisany dla niego koncert wiolonczelowy.

→ Biblioteka Uniwersytecka i redakcja pisma społeczno-kulturalnego „Tygiel Kultury” zaprosiły 26 maja na *Wiosnę z „Tygłem Kultury”*. Czytelnicy obejrzeni wystawę złożoną z 66. zeszytów pisma, 40. publikacji książkowych wydawanych w Bibliotece „Tygla” oraz plakatów i okładek czasopisma autorstwa Zbigniewa Koszałkowskiego i Andrzeja Chętko.

ODESZLI:

7 maja

→ Krzysztof Pankiewicz – wybitny himalaista, wieloletni prezes Łódzkiego Klubu Wysokogórskiego. Z wykształcenia chemik, dr farmacji. Wspiął się od 1971 roku. Zaliczany był do czołówki polskich alpinistów.

13 maja

→ Andrzej Bogusz – historyk sportu, założyciel i kierownik Klubu Olimpijczyka i Muzeum Sportu i Turystyki w Łodzi, były wykładowca w łódzkiej filii Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie, trener koszykówki.

CZERWIEC 2009

2 czerwca

→ W Łodzi odbyła się największa impreza biotechnologiczna w Europie Środkowej – „Bioforum 2009”. Uczestniczyło w niej ponad 500 osób. Przedstawiono najnowsze osiągnięcia badawcze w branży biotechnologicznej od kosmetyki, poprzez farmację aż do oczyszczania wody i gleby. Zebrani mieli także okazję wysłuchania wykładów na temat finansowania badań.

4 czerwca

→ Rocznicę wyborów, 4 czerwca 1989 roku, uczczono w Łodzi i w województwie zgodnie z hasłem „Nie ma wolności bez radości”. W Muzeum Tradycji Niepodległościowych otwarto wystawę pt. *Tam nasz początek* według pomysłu Marka Czekalskiego – zastępcy dyrektora muzeum, a wojewoda łódzki – Jolanta Chełmińska i marszałek województwa łódzkiego – Włodzimierz Fisiak zaprosili łódzian i mieszkańców województwa do kościoła pw. Podwyższenia św. Krzyża w Łodzi na uroczystą mszę św. w intencji Ojczyzny. Wieczorem wznoszono toasty za wolność m.in. w Muzeum Tradycji Niepodległościowych, w pasażu Schillera, w Teatrze Powszechnym, w Filmówce i innych publicznych miejscach w Łodzi i województwie.

→ W Muzeum Sztuki artyści z grupy „Łódź Kaliska” otworzyli wystawę prac zatytułowaną *Szczerzość i blaga. Etyka prac Łodzi Kaliskiej w latach 1979–1989*.

→ Osiemnasty już raz rozdano „Złote Maski” za najlepsze przedstawienia i kreacje aktorskie. Za najlepsze przedstawienie recenzenci uznali przedstawienie Teatru Nowego *Brygada szlifierza Karhana Vaška Kani* w reżyserii Remigiusza Brzyka, a za najlepszego aktora – Wojciecha Błacha za rolę w tym przedstawieniu i w *Królu Duchu* J. Słowackiego. Specjalne „Złote Maski” przyznano dyrektorom Teatru Jaracza – Wojciechowi Nowickiemu i Waldemarowi Zawodzińskiemu.

→ Łódzka premiera koncertu Piotra Rubika *Santo Subito. Cantobiografia Jana Pawła II* uświetniła 20. rocznicę wyborów w 1989 r. i rocznicę papieskich pielgrzymek do Polski, w tym do Łodzi w czerwcu 1987 roku.

8 czerwca

→ Kulminacyjnym punktem obchodów 90-lecia województwa łódzkiego był koncert w Teatrze Wielkim z udziałem śpiewaka – Placido Domingo. Światowej sławy tenor był owacyjnie witany przez łódzian. Artyście towarzyszyła chilijska sopranistka – Veronica Villarroel, a w końcowej części koncertu maestro zaprosił do wspólnego śpiewu młodego śpiewaka z Łodzi – Arnolda Rutkowskiego. Kilka tysięcy widzów słuchało i oglądało występ na telebimie ustawionym przed teatrem.

- Dr Marek Edelman odebrał w Pałacu Kazimierzowskim w Warszawie dyplom *doktora honoris causa* nadany przez Uniwersytet Jagielloński. Tę najwyższą godność akademicką Senat UJ przyznał dr. Edelmanowi za *obronę nieprzemijających wartości, dobra, prawdy, wolności i przywracanie wiary w możliwości i siłę człowieka...* w uznaniu jego wielkiego autorytetu moralnego oraz za osiągnięcia naukowe dotyczące badań przesiewowych nowotworów piersi i kardiologii.
- Łodzianka, Zofia Stępczyńska, obchodziła jubileusz setnych urodzin. Z tej okazji prezydent Jerzy Kropiwnicki odwiedził jubilatkę z życzeniami i upominkiem od władz miasta.

9 czerwca

- Jerzy Antczak – reżyser filmowy od 1980 r. pracujący w USA, odsłonił w alei Gwiazd przy ul. Piotrkowskiej swoją gwiazdę. Reżyser odwiedził Łódź wraz ze swoją żoną, aktorką – Jadwigą Barańską. Podczas spotkania ze środowiskiem filmowym w Muzeum Kinematografii Jerzy Antczak opowiadał o swojej książce pt. *Noce i dni mojego życia*.
- Do Parlamentu Europejskiego aż trzech kandydatów z Łódzkiego zdobyło mandaty: Jacek Saryusz-Wolski (PO), Joanna Skrzydlewska (PO) oraz Janusz Wojciechowski (PiS). W roli europarlamentarzysty debiutuje Joanna Skrzydlewska, pozostali posłowie mają już doświadczenie w tej pracy.

10 czerwca

- Malwina Biskupska – uczennica XV Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi, wygrała konkurs ogłoszony przez Muzeum Tradycji Niepodległościowych pt. *Tradycja, kultura i zagłada Żydów polskich*. Laureatka pojedzie na wycieczkę do Izraela ufundowaną przez prezydenta Łodzi i konsorcjum Polskich Biur Podróży. II i III miejsce zajęły uczennice XXI LO – Partycja Kowańska i Paulina Kotynia. Fundatorami nagród byli: Bank PKO BP, Marek Czekalski – z-ca dyrektora Muzeum, organizatora konkursu, oraz „Gazeta Łódzka”.

12 czerwca

- 22. rocznicę pobytu w Łodzi Jana Pawła II łodzianie uczcili wędrówką „Śladami Ojca Świętego”. Wyruszyli spod Urzędu Miasta, odwiedzając lotnisko na Lublinku, potem dawne zakłady „Uniontextu” i bazylikę archikatedralną. Wieczorem w łódzkiej Katedrze wystąpił zespół „Śląsk” z programem *Santo subito*. W sobotę 13 czerwca młodzież zebrała się w archikatedrze na nocnym czuwaniu.
- Waldemar Frydrych, założyciel Pomarańczowej Alternatywy, i Krzysztof Skiba, twórca Galerii Działań Maniakalnych, w obecności Krzysztofa Dudka – dyrektora Narodowego Centrum Kultury położyli w pasażu Schillera kamień węgielny pod budowę pomnika Pomarańczowej Alternatywy.

14 czerwca

→ Rozpoczęły się „Spotkania z kulturą żydowską” organizowane z okazji obchodów 65. Rocznicy Likwidacji Litzmannstadt Ghetto. Bogaty program uwzględniał szerokie zainteresowania odbiorców, którzy mogli wybierać filmy, wystawy, warsztaty językowe dla tłumaczy z języka jidysz i hebrajskiego, spektakle teatralne i koncerty. Wśród wydarzeń muzycznych na odnotowanie zasługuje: występ skrzypka Nigela Kennedyego z zespołem „Kroke” (jeden z najlepszych zespołów muzyki żydowskiej w Europie) i Miri Ben-Ari (izraelska skrzypaczka specjalizująca się w muzyce hip-hop, założycielka Fundacji „Gedenk”, szerzącej wiedzę o Holokauście wśród młodych Amerykanów). Wśród spektakli teatralnych na uwagę zasługuje spektakl *Bleter* Teatru Fabrycznego (grany w języku polskim i jidysz (reżyseria Marek Strąkowski), oraz Festiwal Etgara Kereta (izraelski pisarz, scenarzysta) przygotowany przez kawiarnię „Literacką” Teatru Nowego.

→ Archidiecezjalne Święto Eucharystii rozpoczęła procesja z kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej do Archikatedry. O godz. 11.00 rozpoczęła się msza św. przy ołtarzu polowym. Uroczystościom przewodniczył ks. kard. Stanisław Ryłko – przewodniczący Papieskiej Rady ds. Świeckich. Do udziału w święcie szczególnie zaproszono obecnie dorosłe osoby, które 13 czerwca 1987 roku jako dzieci przyjęły podczas wizyty papieża I Komunię św. na Lublinku.

17 czerwca

→ Filharmonia Łódzka zakończyła sezon *Festiwałem Piotra Anderszewskiego*, na który złożyły się koncerty w wykonaniu pianisty i jego przyjaciół.

18 czerwca

→ W Muzeum Włókiennictwa odbyła się konferencja *Rewitalizacja po ludzku* w ramach projektu *Spoleczna strategia rewitalizacji*. Projekt był współfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego, a nad jego wykonaniem czuwali: Urząd Miasta Łodzi i Wojewódzki Urząd Pracy w Łodzi. Podczas konferencji dzielono się wynikami badań socjologicznych i doświadczeniami pracy fundacji i stowarzyszeń.

19 czerwca

→ Aleja Gwiazd przy ulicy Piotrkowskiej powiększyła się o gwiazdę Jerzego Lipmana (1922–1983) wybitnego operatora filmowego, jednego z twórców polskiej szkoły filmowej, zmuszonego do emigracji w 1968 roku.

→ Podczas ogólnopolskiej konferencji *Biznes, Sztuka, Technologia – jak połączyć te siły dla rozwoju miasta?* ogłoszono wyniki konkursu *Łódź proponuje – innowacyjni i kreatywni*. W kategorii „Innowacyjny Produkt” znalazły się: Opatrunek dla zwierząt po zabiegu chirurgicznym – firma „Kuna”, program komputerowy „ArCaDia Termo

Pro” – firma „ArCADiasoft”, fotelik pionizujący „BAFFIN” dla dzieci z porażeniem mózgowym – „LIW-Projekt”. W kategorii „Innowacyjna usługa” wskazano firmy: Grupa „Fabricum” (zwiedzanie fabularne); „MobileMS” (“Odkoduj Miasto. Innowacyjny System Informacji Turystycznej”), „Nano FX Studios s.c.” (nowatorskie rozwiązania w zakresie animacji, postprodukcji i cyfrowych efektów specjalnych). Do kategorii „Innowacja Marketingowa” nominowano firmy: grupa „Fabricum”, „INTERsoft PARTNER” i „SFERA”. Nominowani i laureaci zostaną objęci kampanią promocyjną w ramach projektu „Łódź – Miasto Innowacji”.

20 czerwca

→ Przy ulicy Piotrkowskiej 41 spotkali się członkowie sztabu wyborczego Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, którzy przygotowywali wybory w czerwcu 1989 roku. Łodzianie ustawiali się w kolejce po prezent – wspomnieniową książkę *Nasze 53 dni i dwa tygodnie* i autografy członków sztabu.

25 czerwca

→ Rodzina Joczów zaprosiła na otwarcie Salonu Pawła i Andrzeja Joczów w mieszkaniu przy ulicy Andrzeja Struga 4 m 5. W Salonie prezentowane będą rzeźby i rysunki Pawła i Andrzeja Joczów, oraz organizowane wystawy czasowe młodych twórców. Jako pierwsze wystawiły swoje prace: Iwona Kulagowska i Marzena Borowiec. Salonem kieruje Marcin Jocz, najmłodszy z braci.

→ Kilkuś lekarzy z Polski i zagranicy przyjechało do Łodzi na Kongres Polskiego Towarzystwa Medycyny Prenatalnej zorganizowany przez Klinikę Medycyny Matczyno-Płodowej ICZMP, kierowaną przez prof. Jana Wilczyńskiego. Ambicją organizatorów było zapoznanie uczestników z najnowszymi osiągnięciami badawczymi oraz z historią i kulturą Łodzi.

→ Zuzanna Koraluk – studentka pedagogiki na Uniwersytecie Łódzkim, otrzymała I nagrodę w konkursie Urzędu Miasta *Młodzi w Łodzi – Mam pomysł na biznes*. Laureatka planuje otworzyć *Dziecięcy zakątek*, czyli punkt opieki nad małymi dziećmi. II nagrodę zdobył Marcin Stanisławek za pomysł otworzenia całodobowej wypożyczalni rowerów w mieście, III – Szymon Jaroszewski i Michał Motyka za firmę wydającą świadectwa energetyczne i badania termowizyjne budynków. W kategorii ogólnej I nagroda przypadła Michałowi Pawlakowi i Piotrowi Strzeleckiemu za otwarcie Biura Turystyki Regionalnej. II – Agnieszce Nowakowskiej za „Bio Studio-Agnes”, III – Tomaszowi Sadleckiemu za Miejską Bazę Sportu.

26 czerwca

→ Okręgowa Rada Adwokacka w Łodzi obchodziła 60-lecie działalności. W 1949 r. samorząd adwokacki zrzeszał 290 adwokatów i 60 aplikantów, obecnie Rada liczy 506 adwokatów i 240 aplikantów z trzech województw: łódzkiego, skierniewickiego

i sieradzkiego. Od 1980 r. dwukrotnie łódzkie adwokátky stawały na czele polskiej palestry. ORA w Łodzi, współpracuje z prawnikami w Lyonie i w Birmingham, dzięki czemu aplikanci mogą odbywać staże za granicą. W stanie wojennym niektórzy łódzcy adwokaci z oddaniem bronili więźniów politycznych. Obecnie na czele Okręgowej Rady Adwokackiej stoi Andrzej Pelc. Na jubileusz przyjechali: Andrzej Czuma – minister sprawiedliwości i prof. Wiesław Chrzanowski – b. minister sprawiedliwości.

→ Na dziedzińcu Białej Fabryki Geyera zainaugurowano cykl koncertów w ramach Letniego Festiwalu Sztuki organizowanego przez miasto. Nowy cykl otworzył Leszek Kułakowski i jego trio koncertem poświęconym muzyce filmowej Krzysztofa Komedy. W kolejnych koncertach zaplanowanych na dwa miesiące także przeważa jazz. Pomysłodawcą cyklu jest Tomasz Gołębiowski z impresariatu Q4Q. Na wszystkie koncerty wstęp jest bezpłatny.

28 czerwca

→ Rozpoczęły się letnie festiwale muzyczne: XVI Lato z Muzyką w Grotnikach, II Festiwal w Kolegiacie Wolbromskiej, XXII festiwal „Muzyka w starym klasztorze” w Łagiewnikach.

→ X Wędrowny Festiwal Filharmonii Łódzkiej otworzyła Maria Pomianowska koncertem *Jedwabny szlak*.

→ Urząd Marszałkowski zorganizował w „Manufakturze” całodzienny Piknik Funduszy Europejskich. Odwiedzający mieli zapewnioną rozrywkę w dobrym stylu i dokładną informację o wykorzystywaniu funduszy unijnych w regionie. Mogli przekonać się o korzyściach płynących z realizowanych projektów, w tym z Regionalnym Planem Operacyjnym na lata 2007–2013.

30 czerwca

→ Na ścianach zakrystii w archikatedrze w Łodzi odkryto malowidła, prawdopodobnie z początku XX w. (niestety, brak jest dokumentów informujących o powstaniu malowideł). Obrazy przetrwały pożar świątyni w latach 70. Po zdjęciu z nich starej farby zostaną odnowione przez konserwatorów.

→ W rankingu tygodnika „Newsweek Polska” na najlepsze i najciekawsze centrum handlowe w Polsce I miejsce zajęła łódzka „Manufaktura”, która otrzymała maksymalną liczbę punktów za ofertę handlową, liczbę lokali gastronomicznych, miejsc parkingowych oraz ofertę kulturalną, akcje społeczne i sportowe.

→ Zgodnie z decyzją łódzkich radnych park Sienkiewicza będzie spełniał rolę „Hyde Parku”. Można tu przemawiać bez ubiegania się o zgodę władz miasta oraz organizować spotkania, happeningi, protesty. Dziennikarzy poinformował o tym Krzysztof Piątkowski – wiceprzewodniczący Rady Miejskiej w Łodzi.

PERSONALIA:**5 czerwca**

→ Andrzej Sułek – dyrektor naczelny i artystyczny Filharmonii Łódzkiej złożył rezygnację ze stanowiska. Swoją decyzję uzasadniał objęciem w listopadzie 2008 roku stanowiska szefa Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina i przygotowaniem do Roku Chopinowskiego w 2010 roku.

9 czerwca

→ Inspektor Ryszard Wiśniewski został nowym komendantem Komendy Policji w Łodzi. Komendant ma 46 lat, w policji pracował na kierowniczych stanowiskach. Ostatnio pełnił funkcję dowódcy oddziału prewencji.

ODESZLI:**15 czerwca**

→ Tadeusz Krzemiński – geograf, emerytowany prof. zw. Uniwersytetu Łódzkiego, prorektor UŁ w latach 1975–1981, długoletni kierownik Katedry Geografii Fizycznej i Regionalnej, redaktor wielu czasopism i wydawnictw, współzałożyciel Stowarzyszenia Geomorfologów Polskich, sekretarz i przewodniczący Wydziału III ŁTN.

20 czerwca

→ Waldemar Ceran – historyk, światowej sławy uczyony, badacz historii starożytnej. Twórca i wieloletni kierownik Katedry Historii Bizancjum, w latach 2002–2006 kierował Instytutem Historii UŁ. Wieloletni prodziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego UŁ. Legendarny wykładowca i popularyzator wiedzy, autor cenionych prac naukowych.

27 czerwca

→ Józef Jaroński – prof. dr hab. inż., wieloletni nauczyciel akademicki Politechniki Łódzkiej. Dyrektor Instytutu Techniki Ciepłej i Chłodnictwa, członek wielu międzynarodowych komitetów i organizacji, wybitny specjalista w dziedzinie spalania.

Opracowała: *Małgorzata Golicka-Jabłońska*

Verordnung

vom 14. November 1939

Erhebliche durch die Juden verursachte Mißstände im öffentlichen Leben des Verwaltungsbereichs des Regierungspräsidenten zu Kalisch veranlassen mich, für den Verwaltungsbereich des Regierungspräsidenten zu Kalisch folgendes zu bestimmen:

§ 1

Als besonderes Kennzeichen tragen Juden ohne Rücksicht auf Alter und Geschlecht am rechten Oberarm unmittelbar unter der Achselhöhle eine 10 cm breite Armbinde in judengelber Farbe.

§ 2

Juden dürfen im Verwaltungsbereich des Regierungspräsidenten zu Kalisch in der Zeit von 17—8 Uhr ihre Wohnung ohne meine besondere Genehmigung nicht verlassen.

§ 3

Zuwiderhandlungen gegen diese Verordnung werden mit dem Tode bestraft. Bei Vorliegen mildernder Umstände kann auf Geldstrafe in unbeschränkter Höhe oder Gefängnis, allein oder in Verbindung miteinander, erkannt werden.

§ 4

Diese Verordnung tritt bis auf die Bestimmung in § 1 sofort, § 1 vom 18. November 1939 ab in Kraft.

Lodz, den 14. November 1939.

Der Regierungspräsident zu Kalisch
Uebelhoer

Cmentarz na Brackiej

Kamień, kamyki, na kamieniu kamień
kamieniem dyszą tu biblijni święci
mogiły cierpną w kamiennej pamięci
kiedy je strwoży gawrona krakanie.

Tu śpią dziadowie z twarzami do wschodu
na czołach mają wieczne – „Witaj Panie”
wnuków cmentarze rampy mają z przodu
i – miast kamieni – dymiący kaganiec.

Przygasa cmentarz jak lampka Chanuka
drży w prochach przodków ten lament za wnuka.

(Gustaw Romanowski, z cyklu *Z topografii miasta*, 1967)



WIMBP
im.
J. P.
w Łodzi

10671-A

PR

B. CHASKIEL
RIEDMAN

LAT 20
21 XI 1942 R.

FOJGEL BIELAWSKA

DIED IN GHETTO

4TH JUNE 1944

DEDICATED BY HER BROTHER

MENDEL BEALE

MANCHESTER ENGLAND

BŁOGIEJ PAMIĘCI MOJEJ UKOCHANEJ SIOSTRZY CZCZEB
REGINKA FLATTO רבקה בת ר' יצחק אהרן ע"ה
LAT 15 KTÓRA ZGINAŁA PODCZAS BOMBARDOWANIA
20 KWIETNIA 1944 R. W NEU SEDDIN KOŁA POTSDAM
W NIEMCZĘCH. REGINKA BYŁA GOŃCEM
PRZYMOCKIEGO. PRZEZ CAŁY OKRES POBYTU W
WALCZYŁA ABY POMOC SWOJEJ RODZINIE.
JESTEM JEJ WIECZNIE WZIĘCZNA.
Y JEJ PAMIĘĆ ŻYŁA WIECZNIE
HANKA FLATTO - LIPMANOWICZ

W PAMIĘCI MOJEJ UKOCHANEJ I CUDOWNEJ RODZINIE
ר' יצחק אהרן בן אליעזר צבי ע"ה
רעכיל בת מאיר ע"ה
אליעזר צבי בן ר' יצחק אהרן ע"ה
חיים שלמה בן ר' יצחק אהרן ע"ה
רבקה בת ר' יצחק אהרן ע"ה

FLATTO

ABY ICH PAMIĘĆ ŻYŁA WIECZNIE
ANN HANKA FLATTO - LIPMANOWICZ
תנצבה

פנ"ו משה ב"ר אהרן
התקטירה המפורסמת
כל יצרו עסק במורה
מורה ישראל יצחק
בית אהרן
מורה אהרן
בית אהרן
התקטירה

שרה - רבקה ספיר

כל אה וסלומיאה

לנספנו בשואה

הלם יקום דמם

משפחה:

ספיר - מיזוביץ, קלוגמן,

B. P.

ABRAM CYTRYN

SYN GENI I JAKUBA CYTRYN
ZGINAŁ W WIEKU 17 LAT

ZA MEKE NARODU

ZA MŁODOŚĆ ZWIEDŁĄ W SZALE

ABRAM CYTRYN ZOSTAWIŁ 28 ZESZYTÓW

240 WIERSZY

TABLICE UFUNDOWAŁA SIOSTRA LUCIE

CYTRYN-BIAŁEK JEDYNA OCALAŁA

Z RODZINY KTÓRA WRACAJĄC

Z OSWIECIMIA ZNAŁAZŁA W GETTCIE

JEGO ZESZYTY

ת.נ.צ.ב.ה.

ROB CHASKIEL
RIEDMAN

LAT 20
21 XI 1942 R.

אהרן דבאל הכהן מידוויצק

רעייתו שיינדיל לאה, ע

ולזכר בניהם, כלותיהם

משה, ה

אביגד

לזכרם של:

In memory of

**Fajga Monastyrski b. Milerad
and
Szlomo Monastyrski**

Their children :

**Syma Klain b. Monastyrski
Leon Monastyrski**

**Sara Ala Rajchman b. Monastyrski
Fredzia Chojnowski b. Monastyrski**

Lola Kogan b. Monastyrski

Their grandchildren :

**Andzia Klain
Cyla Monastyrski
Heniek Chojnowski**

Who perished in the Holocaust

תנצבה

The family in Israel and Sweden

א"ש י"ד ר'
במשפחת חפץ מאיר
נבזר כארץ יהי
היע דור ישרים
נשא ונתן באמונה
נכבד עולם חתורה
מורה שלמה ז"ל
פ"י שמעון ז"ל
נ"ו ר' מנחם תרצה
בשנת ה'תש"ט וארבע
ר"מ ה"י תנצבה

פנ"ו משה ב"ר אליע

בעהמם ס' אבן מ
נפ' יד' תמוז תר"י
בן פב' שנים

הי' מצ' בפה לג' שנים
בעהמם יד משה המרת משה
המרת הנפש תרשיש שהם
אבן שהם הגהות על פ"מג
אוה וזור"ר הגהות על המקה
וקצת הגהות על שאר חלקי ש"ע
וס' שארית משה

